

MROczna OPOWIEŚĆ O MIĘDZYWOJENNEJ,  
PRZESTĘPCZEJ WARSZAWIE

REMIGIUSZ

# MROŹ



ŚWIT, KTÓRY NIE NADEJDZIE



**ŚWIT, KTÓRY NIE NADEJDZIE**



REMIGIUSZ  
**MRÓZ**

**ŚWIT, KTÓRY NIE NADEJDZIE**



Copyright © Remigiusz Mróz, 2016

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2016

Redaktor prowadząca: Monika Długa

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Magdalena Owczarzak

Projekt okładki: Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN – [www.panczakiewicz.pl](http://www.panczakiewicz.pl)

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / [panbook.pl](http://panbook.pl)

Fotografia na okładce: [www.shutterstock.com/Stocksnapper](http://www.shutterstock.com/Stocksnapper)

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2016

eISBN 978-83-7976-537-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

[redakcja@czwartastrona.pl](mailto:redakcja@czwartastrona.pl)

[www.czwartastrona.pl](http://www.czwartastrona.pl)

*Blogerom książkowym,  
za całą pracę, którą wykonują,  
by inni wiedzieli, co warto czytać.*

*Zjawy stają się coraz bardziej nieprzyjemne.  
Ale nie odczuwam na razie żadnego strachu.*

Stanisław Ignacy Witkiewicz, *Narkotyki*



# Księga pierwsza

# Rozdział pierwszy

Wilmański wysiadł z pociągu na tymczasowym dworcu przy Chmielnej bez żadnego bagażu. Nie zabrał ze sobą nawet własnej przeszłości. Z pugilaresem w kieszeni, w którym zgromadził czterysta złotych, zamierzał zacząć wszystko od początku. Był to czteromiesięczny zarobek przeciętnego robotnika i Ernest Wilmański przypuszczał, że tyle wystarczy mu na rozruch w stolicy.

Obejrzał się na parowóz, głęboko wciągając nosem chłodne, wieczorne powietrze. Zdawało się przesiąknięte smarem, oparami palonego węgla i czymś metalicznym. Mrok w hali przyjazdowej rozganiały ledwo działające lampy, a pasażerów było niewiele. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że bezpieczniej podróżować za dnia. Jemu jednak było wszystko jedno.

Dostrzegł trafik kawałek dalej i przyszło mu na myśl, by kupić kilka papierosów. Szybko jednak uświadomił sobie, że o tej porze kiosk będzie już zamknięty.

Wyszedł na Chmielną i ściągnął poły gabardynowego płaszcza. Było chłodno, nawet jak na listopad, ale Ernest był na to przygotowany – w Warszawie rzekomo zawsze panowały niższe temperatury niż w innych miejscach w kraju.

Wilmański przez moment się zastanawiał, po czym ruszył w kierunku Złotej. Przeciął biegnące nią tory, gdzieś w oddali słysząc dzwonki tramwajów. Mimo późnej pory ruch nadal był wzmożony. W gąszczu domów czynszowych, sklepów, kafejek i podejrzanych wyszynków kłębili się ludzie zajęci własnymi sprawami. Nikt nie zwracał uwagi na wysokiego, postawnego mężczyznę w szarym płaszczu, z twarzą znaczoną głębokimi bliznami. A powinni, pomyślał Ernest. Jako jedyny nie nosił żadnego nakrycia głowy, wyróżniał się z tłumu.

Miał mocno podgolone włosy z tyłu i po bokach, a grzywkę ułożoną na bok dzięki niemałej ilości brylantyny. Zastanawiał się, ile kosztowałby go zwykły, filcowy kapelusz. Przypuszczał, że tutaj mógłby przepłacić, ale na Kercelaku z pewnością udałoby się trochę utargować. Słyszał, że to tam należy pójść, jeśli kupującemu nie zależy na legalnym pochodzeniu towarów.

Potrząsnął głową i poprawił nieodłączne czarne, skórzane rękawiczki. Nadal myślał po swojemu, a obiecał sobie, że tym razem będzie inaczej. Zamierzał zacząć nowe życie w zgodzie z prawem i trzymać się z dala od półświatka. W dłuższej perspektywie planował zatrudnić się w jednej z kas wekslowych, w najgorszym razie jako biuralista. Będzie to spokojna, uczciwa praca, dzięki której utrzyma się bez większych problemów.

Westchnął, a potem powiódł wzrokiem po szeregu budynków na Sosnowej. Iluminowane reklamy zdawały się rzucać więcej światła od ulicznych lamp łukowych. Z mrowia zakładów szewskich, sklepów spożywczych, salonów fryzjerskich, zegarmistrzów, optyków i składów szkła niełatwo było wyłowić sklep z kapeluszami, ale w końcu go dostrzegł.

Minął dwóch tragarzy śpiących przy jednym z budynków, bacznie się rozglądając.

Poczucie, że nikt nie zwraca na niego uwagi, mogło być złudne, a nieraz słyszał, że stolica to królestwo kieszonkowców. Tutaj nazywano ich doliniarzami i kształcono tak, jak adeptów każdego innego zawodu. Jeśli wierzyć doniesieniom „Gazety Codziennej”, potrafili obrabować każdego, niezauważenie rozcinając kieszeń, odpinając guzik czy po prostu wyciągając pugilares.

Ernest wiedział, że musi się pilnować bardziej niż inni. Gdyby stracił trzymane przy sobie pieniądze, skończyłby z niczym.

Dotarł do sklepu z kapeluszami, po drodze omijając większe grupy ludzi. Wyszedł z założenia, że im mniej osób wokół niego, tym bezpieczniej. I może był to nie tylko sposób na uniknięcie doliniarzy, ale także filozofia życia.

Powiódł wzrokiem po wystawie, ale nie zdążył nawet przelotnie zastanowić się, jaki kształt główki i runda by go interesował. Gdzieś niedaleko rozległ się dziewczęcy pisk, który sprawił, że Wilmański natychmiast odwrócił się w tamtym kierunku.

Wydawało mu się, że dochodził z jednej z mniejszych uliczek. Rozejrzał się i odniósł wrażenie, że tylko on zainteresował się hałasem. Życie w Śródmieściu pozostawało niezakłócone, ludzie zajmowali się swoimi sprawami.

Po chwilowym namyśle uznał, że w taki sposób się tu funkcjonuje. Obojętność stanowiła coś więcej niż styl życia. Zrobił krok w kierunku wejścia do sklepu, ale zatrzymał się jak rażony piorunem, gdy dziewczyna znów krzyknęła.

Zaklął pod nosem, a potem odwrócił się i ruszył szybkim krokiem w stronę zaułka. Minął róg budynku i wszedł w wąską, niewybrukowaną uliczkę. Śmierdziało w niej odchodami i wilgocią, a bieda zdawała się namacalna.

Mężczyzna w przekrzywionym kaszkiecie stał nad dwunasto-, może trzynastoletnią dziewczyną. Kawałek dalej ktoś postawił węglarkę, z której wypadło kilka czarnych brykietów. Dziewczyna zawodziła cicho, a mężczyzna uniósł drewnianą pałkę, cedząc coś pod nosem.

Nie tak Wilmański chciał zacząć nowe życie.

– Hej! – krzyknął.

Napastnik zamarł, a potem szybko się odwrócił.

– Naprawdę tego potrzebujesz? – rzucił Ernest.

Mężczyzna spojrział na trzymane narzędzie.

– Miałem na myśli biedę, której sobie napytasz.

– O czym ty mówisz?

– Zamachnij się tym jeszcze raz, a się dowiesz.

Rozmówca przez chwilę wyglądał na skołowanego. Poprawił kaszkiet, podrapał się kijem po karku i skrzywił, jakby nie bardzo mógł zrozumieć, dlaczego ktokolwiek mu przeszkodził.

– Zaszedłeś w złe miejsce – oznajmił.

Akurat tego Wilmański nie miał zamiaru kwestionować. Pomyślał, że to krótkie zdanie mogłoby spiąć klamrą całe jego dotychczasowe życie.

Uniósł spokojnie otwarte dłonie.

– Nie szukam zaczepki.

– W takim razie znikaj, nic tu po tobie.

– Mam taki zamiar. – Ernest powoli wskazał na dziewczynę. – Ale ona pójdzie ze mną.

Mężczyzna na moment obejrzał się przez ramię i zaśmiał cicho.

– To zasrane dziewuszysko chciało ukraść mi węgiel. Nie puszczę jej ot tak.

– Puścisz.

– Dopiero, jak nauczę ją kilku zasad.

Wilmański opuścił ręce i zacisnął lekko pięści. Rozmówca spojrział na nie z rezerwą, marszcząc czoło.

– Po co ci te rękawiczki, człowieku? – burknął. – Kapelusza nie masz, nagusem jesteś, a...

– Nie noszę ich ze względu na modę.

– Ta? A ze względu na co?

Ernest nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję. Tracił czas, który mógł przeznaczyć na szukanie tymczasowego lokum. W dodatku wedle wszelkiego prawdopodobieństwa straci też energię, by wyperswadować temu człowiekowi ukaranie dziewczyny.

Ta szybko się uspokoiła, jakby wznoszone przed momentem lamenty były tylko pozorowaniem strachu. Teraz rozglądała się na boki, a w oczach miała opanowanie. Wilmański zrozumiał, że szuka drogi ucieczki.

– Więc jak będzie? – zapytał.

– Chcesz zabrać tę małą mamazelę, musisz się postarać.

Mężczyzna w kaszkiecie zbliżył się do niego. Ernest nabrał głęboko powietrza, unosząc wzrok. Mógł po prostu odejść, zapomnieć, że cokolwiek się wydarzyło. Do takich sytuacji jak ta musiało dochodzić tutaj każdego wieczoru. Dziewczyna dostanie nauczkę, brykiety węgla wrócą na swoje miejsce, a potem wszyscy się rozejdą.

Wilmański cofnął się o krok.

– Słuszna decyzja – powiedział napastnik.

– Nie lubię nierównych pojedynków.

Rozmówca zerknął na pałkę.

– Nie. Znów nie to mam na myśli – sprostował Ernest. – Ty jesteś jeden, a ja biję jak za dwóch.

Przeciwnik ponownie się roześmiał.

– Nie jesteś stąd, prawda?

– Dopiero przyjechałem.

– To widać – odparł mężczyzna i zakręcił kijem w dłoni. – Skąd?

– Z miejsca, do którego nie mam zamiaru wracać.

– A jednak najmądrzej byłoby, gdybyś to zrobił.

Ernest znów się cofnął, a pałkarz ruszył w ślad za nim. Jeszcze kilka kroków, a dziewczyna będzie miała odpowiednio wiele miejsca, by uciekać. Wilmański widział, że zwietrzyła okazję i już się do tego przygotowywała. Wystarczyło, by jeszcze przez moment robił to, co dotychczas. Przy odrobinie szczęścia uda się uniknąć konfrontacji, której wyniku nie mógł być pewien.

Gdyby doszło do starcia na gołe ręce, nie miałby żadnych obaw. Mimo że był już w wieku, kiedy zawodowe pięściarstwo nie wchodziło w grę, wciąż poradziłby sobie bez

trudu z niewyszkolonym przeciwnikiem. Obuch zmieniał jednak układ sił. Zanim Wilmański doskoczy do napastnika, ten niechybnie zdąży uderzyć.

Ernest spojrział w stronę dziewczyny. Porozumiewawczo do niego skinęła.

Nagle miejscowy się obejrzał.

– A cóż to? – spytał, unosząc lekko kącik ust. – Chcesz dać jej okazję, żeby związała?

Nie czekając na odpowiedź, zatrzymał się, pokręcił zawiedziony głową, a potem wycofał się na poprzednią pozycję.

– To nie wchodzi w grę – oznajmił z satysfakcją. – Albo załatwimy to, jak trzeba, albo daj sobie spokój i odejdz, póki możesz.

Wilmański namyślał się tylko przez moment. Ściągnął płaszcz, złożył go na pół, a potem umieścił na jednym z parapetów. W mieszkaniu przelotnie dostrzegł przerażoną kobietę, która znikła natychmiast, kiedy tylko ich spojrzenia się spotkały.

Poprawił rękawiczki i kamizelkę. Nigdy nie nosił marynarek, nie znosił ich. Kamizelki były jednak stałym elementem jego ubioru. Odróżniał się na tym tle od tych, którzy hołdowali obecnym trendom, ale nie było to ani pierwsze, ani ostatnie odstępstwo od normy.

– Niech będzie – rzucił mężczyzna.

Ernest machinalnie chciał przyjąć pozycję do ataku, jakby był na deskach ringu, ale w porę się zmitygował. Niemądrze byłoby zawczasu oznajmiać przeciwnikowi, że zna się na rzeczy.

Ten nie dał mu zresztą sposobności. Ruszył na Wilmańskiego, ściskając obuch obiema rękoma. Wziął zamach, a w jego oczach zapalił się zew, który Wilmański dobrze znał. Nie z ringu, a z ulicy. Adwersarz niewątpliwie uczestniczył w niejednym mordobiciu.

Ernest uniósł lewą rękę, przyjmując cios na przedramię. Zawył z bólu, jakby drewno połamało mu kości. Na okamgnienie stracił orientację, ale ciało zadziało mechanicznie.

Zanim mężczyzna zdążył przygotować kolejny atak, Wilmański wyprowadził krótki, mocny prawy prosty. Trafił w klatkę piersiową i właściwie tyle wystarczyło, by przejął inicjatywę.

Natychmiast poprawił lewym sierpowym, aż coś gruchnęło w szczękę napastnika, a potem uderzył go jeszcze kilkakrotnie. Pałka upadła w kałużę, mężczyzna w kaszkiecie zatoczył się w tył, a Ernest od razu ruszył za nim. Jeden, ostatni cios powalił go na ziemię.

Wilmański spodziewał się, że mała natychmiast ucieknie, ale ta wstała spokojnie, otrzepała zniszczone ubranie i spojrzała z góry na mężczyznę w kaszkiecie. Nieumiejętnie splunęła w jego kierunku, po czym podniosła kilka brykietów i upchnęła je do kieszeni.

Ruszyła w stronę Ernesta.

– Coś ci nie pasuje? – spytała.

Wilmański uniósł brwi.

– Dużo na tym nie zarobisz.

Zatrzymała się i rozmierwiła czarne, pozlepiane włosy. Popatrzyła na węglarkę,

jakby oceniała, czy uniesie tyle kilogramów. W końcu machnęła na to ręką.

Wilmański kontrolnie zlustrował przeciwnika. Z ust i nosa ciekła mu krew, dyszał ciężko i zdawał się na moment przenieść do innego świata. Ostatecznie nic mu nie będzie, może nie licząc niewielkiego uszczerbku na honorze.

– Chodź – odezwała się dziewczyna, ruszając w stronę Sosnowej.

– Hm?

– Im dłużej tu zostaniesz, tym gorzej dla ciebie. Nie widzisz, ilu szpicli wygląda z okien?

Ernest popatrzył po brudnych elewacjach i przekonał się, że nastolatka ma rację. Podobnie jak wcześniej kobieta w jednym z mieszkań, tak i teraz gapie wycofywali się natychmiast, gdy tylko padł na nich jego wzrok.

– Choć może i tak już cię zapamiętali – dodała.

Wilmański zerknął jeszcze na przeciwnika, zabrał płaszcz z okna, a potem ruszył za dziewczyną. Jego pobyt w stolicy nie zapowiadał się najlepiej. Ale czego się spodziewał? Od lat znał tylko jeden sposób rozwiązywania problemów.

– Masz jakieś słodycze? – odezwała się mała.

– Co?

– Papierosy?

– Nie mam.

– Kupisz na rogu Twardej i Żelaznej. Opowiem ci, w co żeś się wpakował, a potem się rozejdziemy.

Wilmański słuchał tego z niedowierzaniem. Dziewczyna wyszła za winkiel, a potem rezolutnie rozejrzała się na boki. Skinęła na swojego towarzysza, jakby nie dopuszczała możliwości, że postąpi wbrew niej.

Kupił kilka papierosów po półtora złotego za sztukę i ją poczęstował. Najpierw wypluła nieco tytoniu, a potem nawet się nie zaciągnęła. Chyba paliła po raz pierwszy. Przyjrzała się papierosowi, obracając go w dłoni, po czym głęboko westchnęła, jakby była ciężko doświadczona trudami życia.

– Gdzie znajdę miejsce na nocleg? – zapytał Wilmański.

– A ile masz pieniędzy?

– Wystarczająco, żeby nie spać na ulicy, ale jednocześnie nie tyle, żeby zatrzymać się w Bristolu.

– Więc jednak wiesz coś o Warszawie.

– Tylko tyle, że Paderewski urządza tam polityczne dyskusje.

Dziewczyna rozejrzała się, mrużąc oczy.

– Pójdź na Krochmalną – powiedziała. – Tuż przed koszarami stoi niewielka kamienica, na trzecim piętrze gospodyni da ci pokój w niezłej cenie.

Wilmański popatrzył na młodą z dystansem. Przypuszczał, że skierowała go do jednego z lupanarów, ale właściwie nie robiło mu to różnicy. Chciał jedynie trochę odpocząć, zanim o świcie rozpocznie poszukiwanie punktu zaczepienia dla nowego życia.

– I zostań w tamtych rejonach – dodała dziewczyna. – Tutaj długo nie pożyjesz.

– Na razie radzę sobie nie najgorzej.

– Na razie – odparła i wzruszyła ramionami. – Ale jak się tu kiedykolwiek pokażesz, Bannicy ci nie przepuszczą.

– Kto?

Wyglądała, jakby usłyszała najbardziej niemądre ze wszystkich pytań. Przyjrzała mu się z niedowierzaniem, a potem upuściła papierosa i zagniotła go butem. Szkoda całkiem niezłego tytoniu, pomyślał Ernest.

– Nie słyszałeś o nich?

– Jedyni bannicy, których znam, to demony topiące ludzi.

Wydeła usta, przez moment się zastanawiała i ostatecznie skinęła głową. Najwyraźniej w jakiś sposób trafił w sedno.

– To tutejszy gang – wyjaśniła. – Kontrolują teren od Krochmalnej do Rakowieckiej.

– Mhm.

– Na północ od Krochmalnej rządzą ci z Kercelaka. Tam będziesz bezpieczny, może nawet ktoś uściśnie ci rękę za to, że pobiłeś jednego z Banników. Ale tutaj się nie pokazuj.

Zanim zdążył choćby zastanowić się nad tym, czy podziękować jej za radę, dziewczyna uniosła dłoń i szybkim krokiem oddaliła się w stronę dworca. Wilmański dopiero teraz uświadomił sobie, że nie zapytał nawet, jak ma na imię.

Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Jeśli mówiła prawdę, rzeczywiście nie powinien się tu pojawiać.

Dopalił papierosa, myśląc o tym, że już na samym początku narobił sobie wrogów wśród ludzi, od których należało się trzymać z daleka. Zaczepiwszy jednego z przechodniów, zapytał o Krochmalną, a potem ruszył w jej kierunku. Nie spieszył się, chciał oczyścić nieco umysł. Poszedł naokoło, robiąc rundkę wokół zamkniętych hal targowych na placu Kazimierza Wielkiego.

Przed wejściem do lupanaru uznał, że najroztropniej będzie, jeśli jego noga rzeczywiście nie postanie już w Śródmieściu.

Tylko czy to zda się na cokolwiek? Jeśli ci ludzie trzymali w ryzach samo serce stolicy, należało uznać, że łatwo nie odpuszczą. Bannicy będą go szukać i nie spoczną, dopóki nie wymierzą mu sprawiedliwości.

Z tą myślą zasnął jak dziecko.





# Rozdział drugi

Gdyby ktoś jeszcze pół roku temu powiedział Elizie Zarzeczej, że przywdzieje mundur Policji Państwowej, zaśmiałyby się w głos. A jednak stała teraz przed lustrem, po raz pierwszy dopinając ostatni guzik służbowego żakietu.

Nie czuła dumy, bo bycie policjantką nigdy nie było jej marzeniem. Los jednak chciał, że jako jedna z pierwszych znalazła się w nowo utworzonej formacji. Formacji, której większość mężczyzn nie wieszczyła sukcesu.

Innego zdania był jednak komendant główny, który jakiś czas temu w końcu podpisał odpowiedni rozkaz. Eliza wraz z dwudziestoma dziewięcioma innymi dziewczynami rozpoczęła kurs, który kończył się promocją w szeregi policji kobiecej.

Nie był to ani najłatwiejszy, ani najprzyjemniejszy okres w życiu Zarzeczej. Przede wszystkim musiała wyrzec się szeregu rzeczy, które dla wielu innych kobiet stanowiły fundament egzystencji. Na kurs bowiem przyjmowano jedynie, jeśli kandydatka zobowiązała się, że przez dziesięć lat nie weźmie ślubu. Inne wymagania były równie absurdalne – określono minimalny wzrost, długość włosów, wiek, a dodatkowo żądano też świadectwa moralności. Z tym ostatnim żadna z nich nie miała problemu – wystarczyło zwrócić się do jednej z sześćdziesięciu czterech organizacji kobiecych, które mogły wystawić taki papier. Eliza otrzymała go dzięki znajomej, która działała w Narodowej Organizacji Kobiet. Namawiała ją swego czasu do kandydowania do sejmu, ale Zarieczna wychodziła z założenia, że dziewięć posełkiń to wystarczająca liczba. Nawet połowa z nich obnażyłaby polityczne słabości mężczyzn.

Poza tym jako osoba z robotniczej rodziny, wciąż mieszkająca na Muranowie z rodzicami, nadawałaby się bardziej do PPS-u. Tak czy inaczej nie miała ambicji politycznych – powołania do służby także nie, wybrała tę drogę z rozsądku, by wyrwać się z biedy, która ją otaczała.

Eliza przesunęła dłonią po chropowatym materiale munduru. Przypuszczała, że w oczach płci przeciwnej nie będzie budził ani postrachu, ani nawet szczątkowego respektu. Policja kobieca miała jednak zajmować się głównie przestępstwami związanymi z kobietami – walczyć ze wszechobecną prostytutką i plagą handlu młodymi dziewczynami. Kontakty z mężczyznami miały być ograniczone do minimum.

Pożegnała rodziców, a potem opuściła niewielkie mieszkanie. Przeszła przez dziedziniec budynku, zerkając w kierunku drewnianego wychodka. Przez moment się zastanawiała, po czym uznała, że niektóre rzeczy lepiej załatwić na komendzie.

Szła na piechotę – szkoda jej było pieniędzy na dorożkę, a tym bardziej na tramwaj. Zostawiła sobie zresztą spory zapas czasu, nie było się czym przejmować. Dotarwszy do Alei Jerozolimskich, zrobiła głęboki wdech. Czasem miała wrażenie, że to ostatnie miejsce, gdzie może poodychać powietrzem nieprzesiąkniętym smrodem zatłoczonego miasta.

Wielu twierdziło, że na północ od alei jest już tylko gorzej – na nierównych ulicach zalegają końskie odchody, domy stoją jeden przy drugim, jakby komuś zależało, by

upchnąć jak najwięcej osób na jak najmniejszym terenie. I nie dbać przy tym o zasady budownictwa. Część frontonów odpadała, ściany w większości mieszkań były krzywe, a elewacje oblepione dymem i pyłem z pieców węglowych.

Zarieczna nie musiała jednak zagłębiać się w tę gęstwinę, jeszcze nie teraz. Skręciła w prawo i Alejami Jerozolimskimi dotarła aż do Nowego Światu. Potem skierowała się w lewo i po dziesięciu minutach znalazła się przed siedzibą Komendy Stołecznej przy Krakowskim Przedmieściu.

Weszła na piętro i udała się do sali, w której miała rozpocząć się odprawa. Prowadziła ją komisarz, którą Eliza dobrze знаła. Kobieta wcześniej pracowała w Urzędzie Śledczym, gdzie odpowiadała za pion pilnujący obyczajności i przestrzegania zasad sanitarnych.

Po kilku krótkich, krzepiących formułkach prowadząca przeszła do konkretów. Przydziały nie były dla nikogo niespodzianką, informacje na ich temat krążyły między policjantkami od pewnego czasu.

– Posterunkowa Zarieczna i posterunkowa Kier, okręg ósmy.

Eliza zawczasu sprawdziła na mapie, jak duży teren patrolowy otrzymały. Rozciągał się od Grzybowskiej na północy do Alei Jerozolimskich na południu. Obejmował bodaj najgęściej zabudowaną część Śródmieścia. Tę, na którą patrzyła dziś rano, idąc do pracy.

Gdyby mogła wybrać sobie rewir, z pewnością postawiłaby na inny. Podobnie rzecz miała się, jeśli chodziło o przydzieloną jej partnerkę. Salomea Kier była niczym niewyróżniającą się cichą myszką, która nijak nie pasowała do przywdzianego przez nią munduru. Podczas całego szkolenia odezwała się do innych policjantek może kilkakrotnie, wzrok zawsze wbijała w ziemię i wydawało się, że niezbyt często zażywa kąpieli. W dodatku była o głowę niższa od większości kandydatek i tylko cudem załapała się na dolny pułap wzrostu. Wszystkie wiedziały, że ktokolwiek zostanie z nią sparowany, będzie miał dodatkowe utrudnienia na ulicy.

Zarieczna spojrzała na partnerkę, chcąc posłać jej lekki uśmiech, ale Salomea sprawiała wrażenie, jakby była obecna jedynie ciałem. Nawet nie podniosła wzroku, kiedy komisarz wyczytała jej nazwisko.

– Zostańcie po odprawie – dodała.

Eliza uniosła brwi. Przy innych przydziałach prowadząca nie polecała zostawać. Czyżby już na samym początku były jakieś komplikacje? A może powodem był fakt, że Kier stanowiła najsłabsze ogniwo?

Zarieczna czekała z niecierpliwością na koniec spotkania. Wreszcie komisarz dotarła do ostatniej pozycji na liście, zebrała plik kartek, stuknęła nim o blat mównicy i rozkazała się rozejść. Kiedy policjantki zaczęły wymieniać się cichymi uwagami, prowadząca oszczędnie życzyła im powodzenia.

Eliza przypuszczała, że wszystkim dziś się przyda. Szczególnie jej. Nie dość, że otrzymała jeden z najbardziej niebezpiecznych terenów, miała sprawować nad nim pieczę z osobą, która najmniej się do tego nadawała.

Spojrzała na Salomeę. Kier siedziała ze ściągniętymi ramionami, złączonymi nogami i opuszczoną głową. Czekala na to, co miała do powiedzenia komisarz, jak na wyrok.

– Mam coś dla was – odezwała się przełożona. – Wczoraj wieczorem doszło do pewnego... niecodziennego zdarzenia.

– Jakiego? – spytała Eliza.

– Ktoś wszedł na teren Banników i pobił jednego z członków gangu.

Zarieczna zmarszczyła czoło. Rzadko zdarzało się, by jedni napadali na drugich. W Warszawie panował dość spokojny *status quo*, tereny zostały podzielone między poszczególne grupy i nikt nie wchodził sobie w paradę.

– Porachunki półświatka? – zapytała.

– Rzecz w tym, że na to nie wygląda.

Eliza skinęła głową, czekając na jakiś ruch ze strony partnerki. Salomea jednak nawet nie drgnęła, zdawała się nie słuchać rozmowy.

– Znani wam są Bannicy? – odezwała się komisarz.

– Oczywiście. To jeden z największych gangów. Obok Żydów z placu Grzybowskiego i ludzi z Kercelaka.

– I kilku innych grup, ale mniejsza z tym – odparła dowódczyni i machnęła ręką. – W każdym razie zdajecie sobie zapewne sprawę z tego, że tacy jak oni nie odpuszczają.

– Oczywiście.

– Ukarzą tego, kto zamachnął się na ich człowieka, nie ma co do tego wątpliwości.

– Do czego pani zmierza?

Szefowa uśmiechnęła się pod nosem.

– Już wyjaśniam – rzuciła. – Otóż byłam tam o poranku, rozmawiałam z pewną kobietą, która twierdziła, że z okna swojego mieszkania widziała całe zajście. Utrzymuje, że ten, który znokautował Bannika, nie był związany z żadną grupą przestępczą. Stanął w obronie jakiejś dziewczyny, prawdopodobnie nieletniej mamazeli lub chustkowej.

Zarieczna doskonale znała te określenia – wszystkie kandydatki musiały poznać je podczas szkolenia teoretycznego. Hierarchia prostytutek w mieście była jasna i czytelna dla wszystkich, od polityków, przez policjantów, aż po przestępców. Mamazele znajdowały się na samym dole, działały na placach, w pustostanach czy parkach. Chustkowe czekały na klientów pod latarniami, kapeluszowe pod lokalami, a w samych lokalach na mężczyzn polowały najdroższe, grandesy, girlsy i fordanserki.

– I co w związku z tym, pani komisarz? – zapytała Eliza.

– To, że jeśli to prawda, mamy idealne warunki.

– Do czego?

– By zwerbować tego człowieka.

Zarieczna spojrzała na przełożoną z niedowierzaniem. Doświadczona policjantka zeszła z podestu i zbliżyła się do dwóch posterunkowych. Obróciła jedno z krzeseł stojących przed nimi, po czym usiadła, krzyżując ręce na oparciu.

– Kiedy wypowiedzieliśmy wojnę sutenerstwu, postawiłam sobie za cel, by mieć kogoś w świecie przestępczym – podjęła. – Żadna z kobiet nie wchodzi w grę, bo są zbyt skrupulatnie pilnowane. Mężczyźni mają jednak znacznie większe pole manewru. A w dodatku są podatni na... nasze wdzięki.

– Co pani sugeruje?

– Że w fachu, którym teraz się paracie, trzeba będzie używać wszystkich atutów, jakie mamy.

– Ale...

– A ty masz ich sporo, posterunkowa.

Zarieczna przełknęła ślinę. Owszem, dbała o siebie na tyle, na ile pozwalały warunki w dzielnicy robotniczej, ale nigdy nie powiedziałaaby, że mogłaby uwieść jakiegokolwiek gangstera czy innego przestępcę. Miała wrażenie, że jej twarz jest zbyt pulchna, zbyt owalna. Ciemnobrązowe włosy wciąż się kręciły, a jej figura pozostawiała wiele do życzenia.

– Wierz mi, wiem, co mówię.

Eliza nie miała pojęcia, co odpowiedzieć. Podsumowała w głowie wszystko, co usłyszała, starając się ustalić, jak przełożona zamierza osiągnąć swój cel.

– Przyznam, że nie bardzo rozumiem – odezwała się w końcu. – W jaki sposób ten mężczyzna miałby nam pomóc?

W oczach komisarz pojawił się nagły błysk.

– W bardzo prosty. Jeśli jeszcze żyje, z pewnością uświadomił już sobie, w jak opłakanej sytuacji się znalazł. Bannicy nie spoczną, dopóki go nie utopiają, i nieszczęśnik potrzebuje teraz sojuszników. Złożymy mu propozycję.

– My? – spytała z niedowierzaniem. – Jaka?

– Pomożemy mu dostać się do ludzi z Kercelaka lub z placu Grzybowskiego. Choć może raczej do tych pierwszych, bo podobno jest Wołyniakiem, toteż wśród Żydów nie ma czego szukać.

– Jesteśmy tego pewni?

– Świadkini twierdzi, że miał akcent z Wołynia.

Zarieczna skinęła głową.

– Zapewnimy go, że to jedyny sposób, żeby uszedł z życiem. Musi zyskać protekcję, wejść w strukturę któregoś z konkurencyjnych gangów. A biorąc pod uwagę to, jak rozprawił się z Bannikiem, ma kilka cech, które czynią z niego dobrego kandydata. Wspomożemy go, damy mu wszystkie potrzebne informacje, załatwimy mu lokum w odpowiednim miejscu, a w zamian będzie nas informował o wszystkim, co ma związek z prostytutką i handlem ludźmi. Szczególnie o dostawach nowego... towaru.

– I sądzi pani, że na to przystanie?

Komisarz znów się uśmiechnęła.

– Nie ma innego wyjścia.

– Może próbować zdobyć protekcję na własną rękę.

– Nikt na to nie przystanie. To nieopłacalna inwestycja. My zaś możemy zadbać o to, by było inaczej.

– Nawet jeśli... jak go odnaleźć?

– Przez dziewczynę – odparła przełożona, po czym zreferowała wszystko, czego dowiedziała się od świadka.

Opuszczając budynek komendy, Eliza uznała, że przełożona w istocie ma rację. Wołyniak znalazł się w nieciekawej sytuacji i czy już o tym wiedział, czy nie, potrzebował pomocy. Policja kobieca mogła mu ją zapewnić, szczególnie w sposób,

który zaproponowała komisarz.

Jakikolwiek inny nie wchodził w grę. Nawet jeśli mężczyzna był przyjeźdnym, z pewnością doskonale zdawał sobie sprawę, jak funkcjonuje Policja Państwowa. Była to formacja utworzona *ad hoc* po odzyskaniu niepodległości, składająca się z niewykwalifikowanych kadr i zupełnie nieefektywna. Bywało, że pod nosem policjantów dochodziło do przestępstw, oni tymczasem albo to zignorowali, albo tego nie dostrzegali. Zarieczna nie wiedziała, które z uchybień jest gorsze.

Spojrzała na swoją partnerkę. Na chudej Salomei mundur zdawał się wisieć.

– Co o tym sądzisz? – spytała.

Kier wzruszyła ramionami.

– A zatem chyba się zgadzamy – mruknęła Zarieczna. – Wątpię, czy w ogóle uda nam się znaleźć tę dziewczynę, co dopiero mówić o Wołyniaku. Ale jeśli tak, to rzeczywiście może się opłacić.

Nie odzywając się, Salomea ruszyła w kierunku ogrodu Saskiego. Od terenu, który miały patrolować, dzielił je najwyżej dziesięciominutowy marsz. Pogoda była ponura, ciemne chmury wisiały nad stolicą i nie zanosilo się na to, by wiatr miał je rozgonić.

Dotarli pod kościół Wszystkich Świętych, a potem weszły między mrowie domów czynszowych. Zarieczna zastanawiała się, jak w tym miejskim kłębowisku mają odnaleźć jedną dziewczynę.

Ludzie patrzyli na nie z zaciekawieniem. Po raz pierwszy widziano tutaj kobiety w mundurze i reakcje sprowadzały się do skołowania, może nawet dezorientacji. Eliza przypuszczała jednak, że ten stan długo nie potrwa. Kiedy początkowy szok zejdzie na drugi plan, rozbrzmia drwiny, salwy śmiechu i rozpoczną się prowokacje. Żadna z nowo powołanych policjantek nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Przeszły na Sosnową, w okolicach której miało wczoraj dojść do zdarzenia. Ślady krwi w niewielkim zaułku to potwierdzały.

– Ani śladu po dziewczynie.

– Mhm.

– Skoro jednak tu była, to musi być jej rewir.

Salomea nie odpowiedziała, ukradkiem się rozglądając. Wyglądała na przestraszoną, choć Eliza przypuszczała, że jej lęk nie wynika z wejścia na terytorium Banników, a raczej z tego, że znalazły się pośród całego gąszczu ludzi.

– Od jedenastu do trzynastu lat, ciemne, pozlepiane włosy... – powiedziała pod nosem Zarieczna. – Trochę takich musi tu być.

– Chyba.

– Ale świadkini twierdziła, że to była wyjątkowo beczelna mała. Może to w jakiś sposób pomoże.

Kier się odwróciła.

– Masz jakiś pomysł? – spytała Eliza.

– Nie.

– W takim razie zostaje nam tradycyjne poszukiwanie. Rozdzielimy się. Ja wezmę Sienną, ty Śliską. Będziemy...

– Lepiej zostać razem.

– Owszem, lepiej. Ale w ten sposób pójdzie szybciej.

– Chyba że będą komplikacje.

Zarieczna popatrzyła na nią i westchnęła.

– Wtedy pójdzie wolniej – dodała Kier.

Właściwie miała trochę racji. Koniec końców Eliza uznała, że będą trzymać się razem, choć zrobiła to raczej przez wzgląd na partnerkę niż na możliwe problemy. Nie spodziewała się ich teraz, nie na początku pierwszego dnia. Trochę czasu musiało minąć, zanim Bannicy otrzymają wiadomość, że na ich terenie pojawiły się umundurowane, patrolujące okolice policjantki.

Posterunkowe przeszły po Śliskiej, obserwując bacznie, co dzieje się na ulicach. Po tych nieco szerszych przemykały furmanki i dorożki, tutaj królowali tragarze. Kawałek za kościołem Wszystkich Świętych widok nieco się zmieniał, tam wzdłuż ulic stały przede wszystkim bałaguty, żydowskie wozy, z których sprzedawano każdy produkt, jaki widziało ludzkie oko.

Tutaj wystawiano jednak głównie żywy towar. Kilka dziewczyn na widok mundurów pierzchło do klatek schodowych, ale zdecydowana większość zupełnie zignorowała Zarieczną i jej towarzyszkę.

Eliza wiedziała, że prędzej czy później będzie trzeba zrobić z nimi porządek. Na tym miała polegać ich służba, choć dzisiaj zadanie było inne. Do walki z prostytutką musiały odpowiednio się przygotować. Sutenerami byli tutaj Bannicy i z pewnością niemądrze byłoby wypowiadać im wojnę już pierwszego dnia, nie mając w odwodzie żadnego wsparcia.

Posterunkowe przeszły Śliską dwukrotnie, zanim uznały, że tutaj dziewczyny nie znajdują. Przeniosły się na kolejną z równoległych ulic i dopiero tam szczęście się do nich uśmiechnęło.

Czarnowłosa nastolatka stała przy jednej z klatek, rozglądając się. Wzrok miała bezpardonowy, wyzywający, jakby starała się oszukać wszystkim wokół, że szuka zaczepki.

Policjantki zatrzymały się przed nią. Dziewczyna skrzyżowała ręce na piersi i uniosła brodę.

– Bał przebierańców jest w „Adrii” – rzuciła.

Eliza podeszła bliżej i zgromiła małą spojrzeniem.

– Co tu robisz? – zapytała.

– Nic złego.

– W tej chwili być może rzeczywiście nie – przyznała Eliza. – Ale wczoraj było inaczej, prawda?

Mała prychnęła lekceważąco.

– Kradłaś węgiel?

Była wyraźnie zaskoczona. Nie spodziewała się, że mogą spotkać ją jakiegokolwiek konsekwencje ze strony stróżów prawa. Gdyby rzeczywiście tak się stało, byłby to bodaj pierwszy raz, kiedy policjanci weszliby w kompetencje lokalnych gangów.

– Skąd wiecie? – zapytała dziewczyna, patrząc niepewnie na Kier. – Przecież...

– Mamy swoje źródła – odparła Zarieczna. – Ale nie to nas interesuje.

A przynajmniej nie będzie interesowało, jeśli powiesz nam, gdzie możemy znaleźć Wołyniaka.

– Kogo?

– Mężczyznę, który wczoraj ci pomógł.

– A czego od niego chcecie?

Tym razem Eliza przyjęła strategię swojej partnerki. Obie milczały, patrząc na dziewczynę ponaglająco.

– Nie zrobił nic złego.

– Zdajemy sobie z tego sprawę. I dlatego chcemy go odnaleźć.

– Ale po co?

– Trzeba go ostrzec.

Mała rozplotła ręce i schowała je do kieszeni znoszonych, luźnych spodni. Zaczęła sprawiać wrażenie nieco przybitej.

– Na to już pewnie za późno – powiedziała. – Do tego czasu dostał już ostrzeżenie.

– Może jeszcze nie.

– Bannicy działają szybko.

– Mimo wszystko...

– Hertz weźmie się za niego, jak tylko dowie się, co się stało.

Zaręcznej nie trzeba było tłumaczyć, kim jest Fryderyk Hertz. Znał go każdy, kto miał jakiegokolwiek pojęcie o półświatku. Mimo dystyngowanej aparycji, był to bezwzględny, bezlitosny mężczyzna, który stworzył gang Banników od zera.

– Chcę tego uniknąć – odezwała się Eliza.

– W takim razie masz pecha, bo nie wiem nawet, gdzie jest. Spał na Krochmalnej, tuż przed koszarami. Trzecie piętro.

Zaręczna wymieniła się znaczącym spojrzeniem z partnerką, po czym skinęły do siebie głowami i szybko ruszyły we wskazanym kierunku. Eliza przypuszczała, że każda minuta może być na wagę złota.





# Rozdział trzeci

Do „Mokradła” zapuszczali się jedynie ci, którzy wiedzieli, że są postrzegani jako przyjaciele. W przeciwieństwie do „Oazy” przy Wierzbowej, restauracji Żelichowskiego przy Focha, „Pod Bukietem” przy Marszałkowskiej czy „Gastronomii” i „Astorii” przy Nowym Świecie, tutaj nie przychodziło się ani by jeść, ani by tańczyć. W „Mokradle” załatwiano interesy.

Muzyka zresztą nie nastrajała do tańców. Nigdy nie słyszało się tutaj modnych ostatnio fokstrota, charlestona czy tanga. Z gramofonu nieustannie dobiegały dźwięki Dixielandu, jazzowej kapeli prosto z Nowego Orleanu. Przeważały trąbki, puzony i banjo, i mimo że niektóre kompozycje wydawały się wesołe, w istocie ludziom, którzy przychodzili do „Mokradła”, kojarzyły się raczej z niepokojem.

Fryderyk Hertz wszystkich interesantów przyjmował przy jednym ze stolików. Nigdy nie prowadził nikogo na zaplecze, nigdy nie załatwiał interesów w piwnicy. Zawsze robił to w wyszynku, wychodząc z założenia, że właśnie on jest siedzibą jego organizacji.

Hertz miał włosy ulizane do tyłu, a po bokach i z tyłu zupełnie wygolone. Nosił cienki wąsik, pociągnięty jakby kredką tuż pod nosem. Na stoliku, przy którym siadywał, zawsze leżała czarna fedora, taka w jakiej grywali amerykańscy jazzmani. Fryzura zresztą także wynikała z fascynacji ich środowiskiem.

Fryderyk poprawił poły dwurzędowej marynarki, odłożył papierosa do popielniczki, a potem powoli podniósł wzrok. Kawałek od stolika zatrzymał się jeden z jego ludzi, którego Hertz znał z widzenia, jakkolwiek nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa.

Trudno było wszystkich spamiętać. Tym bardziej, że trzymał rękę na pulsie całego biznesu, niewiele pozostawiając swoim podwładnym. Pamiętanie imion tych, którzy znajdowali się nisko w hierarchii, było sprawą drugorzędną.

Przez chwilę patrzył na obitą twarz junacza, który międził w dłoniach wysłużony kaszkiet, a potem przyzwał go ruchem ręki. Chłopak podszedł z wolna, unikając spojrzenia szefa.

Fryderyk milczał, choć bynajmniej nie dlatego, że nie miał nic do powiedzenia. Leciwał właśnie jego ulubiony kawałek, „Royal Garden Blues” z 1921 roku, w którym swojego głosu w refrenie użyczył Al Bernard. Hertz chciał posłuchać w spokoju.

– Szefie, to nie tak, że...

Fryderyk uniósł dłoń, a chłopak natychmiast urwał. Sprawiał wrażenie, jakby chciał zapaść się pod ziemię. Poczekał do końca numeru, najwyraźniej domyślając się, z czego wynika zwłoka.

Kiedy dźwięki Dixielandu ucichły, Fryderyk wskazał mu krzesło po drugiej stronie niewielkiego stolika. Junacz spojrzał na fedorę, potem na dymiącego się papierosa, a dopiero później zajął miejsce.

– Doszły mnie niepokojące słuchy – odezwał się Hertz.

Chłopak wyglądał, jakby przez moment siłował się ze śliną, która nie chciała przejść

mu przez gardło.

– Ktoś zaatakował mojego człowieka – dodał Fryderyk, wskazując na rozmówcę. – To zawsze powód do niepokoju. Świadczy bowiem o tym, że ktoś okazał mi lekceważenie.

W końcu młodemu udało się przełknąć ślinę.

– W dodatku widzę, że oberwałeś dotkliwie.

– To nic takiego, szefie.

– A jednak masz zabandażowany nos.

Chłopak pokiwał głową, zażenowany.

– Powiedz mi, kto cię tak urządził, a zapewniam cię, że nie zostawimy tego bez odpowiedzi – ciągnął Fryderyk. – Ci od Siemiątkowskiego? A może Żydzi?

– Nie, to nikt od nich.

– Więc kto? Biali bracia z Łodzi? Wola?

– Nie, to...

– Prałaci?

Ze wszystkich możliwości ta stanowiłaby dla Hertza największą ujmę. O ile z pozostałymi organizacjami udawało się bez trudu utrzymywać korzystne dla wszystkich zawieszenie broni, o tyle z Prałatami wymagało to wielu ustępstw. Gang, który nosił purpurowe muszki, kontrolował tereny peryferyjne i miał nieustannie rosnące ambicje. Przy tym niestety brakowało mu zasad, składał się bowiem w dużej mierze z obdartusów i prymitywów, których Hertz nigdy nie wpuściłby do swojego lokalu.

– Nie, to nie był członek żadnego gangu.

– Zatem przypadkowy człowiek?

– Tak. Tak przypuszczam...

– Ciekawe. W takim razie jakiś kasiarz?

Fryderyk przypuszczał, że to któryś z nich. Jako jedyni wśród przestępców uważali się za lepszych od innych, zresztą podpuszczali dziennikarzy, by tak przedstawiali ich w gazetach. Jakiś czas temu Hertz czytał, że wszyscy warszawscy włamywacze to elita półświatka, dżentelmeni i osoby, którym pozostali okazują daleko idący szacunek.

Nie zauważył, by tak było. Zresztą nigdy by na to nie pozwolił. Tkwiło jednak ziarno prawdy w tym, że wielu z nich sądziło, iż wolno im więcej niż pozostałym. Tylko kasiarz mógłby być na tyle bezczelny, by atakować jednego z Banników na ich terenie.

– Mów – ponaglił Fryderyk.

– Nie wiem, kim był ten człowiek.

Hertz westchnął. Nie przypuszczał, by napastnik przedstawił się, zanim obił twarz jego podwładnego.

– Doprawdy? – mruknął.

– Miał jakby wołyński akcent, dopiero co przyjechał do Warszawy i...

– Wołyniak. Coś więc już wiemy.

– Niestety to chyba wszystko...

Fryderyk zgasił spokojnie papierosa i popatrzył z powątpiewaniem na rozmówcę. Wiedział, że nie minie godzina, a dowie się znacznie więcej. Choć nie od chłopaka.

Kiedy tylko rozeszła się wieść, że jeden z Banników został zaatakowany, Hertz wysłał na Sosnową swojego najbliższego współpracownika, prawą rękę. Kiedy ten wróci z raportem do „Mokradła”, Fryderyk będzie miał wszystkie niezbędne informacje, by wystosować właściwą odpowiedź dla Wołyniaka.

– Dlaczego cię napadł?

Junacz wzruszył ramionami.

– Z pewnością nie stało się to bez powodu. Sprowokowałeś go?

– Nie.

– Wobec tego skąd ten atak?

– Stanął w obronie małej, zasranej złodziejki.

Nieustannie gniotąc kaszkiet, chłopak opowiedział mu o kradzieży węgla i o tym, co się później wydarzyło. Udało mu się nawet zapamiętać kilka sformułowań, których użył Wołyniak, i Hertz musiał przyznać, że brzmiały dość ciekawie. Zupełnie, jakby napastnik był samobójcą.

– Musiał trenować boks – dodał na koniec młody. – Te ciosy były jak... jak z ringu.

– Uprzedzał, że bije się za dwóch.

– Tak, ale...

Fryderyk znów uniósł dłoń.

– Ostatnim, czego od ciebie oczekuję, są wymówki.

– Rozumiem.

– Zresztą nie mam pretensji. Żywię je pod adresem Wołyniaka, który powinien wiedzieć, że nie spluwa się na Banników.

Chłopak pobladł, jakby ta uwaga sprawiła, że zbliżył się o krok do śmierci.

– Tak, powinien...

– Najwyraźniej nikt jednak mu tego nie uświadomił.

– Może na Wołyniu...

– Nie, nie. Mam na myśli Warszawę. To tutaj ktoś powinien go ostrzec, że takie zachowanie nie jest mile widziane.

Niemal niezauważalnie rozmówca odsunął nieco krzesło. Fryderyk właściwie nie dziwił się temu odruchowi – młody musiał doskonale zdawać sobie sprawę, że tym kimś powinien być on sam.

– Skoro jednak tak się nie stało, muszę wyciągnąć konsekwencje.

– Szefie...

– Ale najpierw załatwisz tę sprawę.

– Oczywiście.

– I zrobisz to na oczach tych wszystkich ludzi, którzy widzieli, jak byłeś okładany.

– Z wielką chęcią, potrzebuję tylko...

– Nie dostaniesz rewolweru – uciał Hertz. – Nie zasłużyłeś na przywilej jego noszenia.

Ale ufam, że sobie poradzisz.

Podwładny pokiwał gorliwie głową, ale Fryderyk spodziewał się, że na tym się nie skończy i poprosi zaraz o wsparcie. Był jedynie szeregowym, sam nie mógł skrzyknąć ludzi, którzy mogli służyć mu pomocną dłonią... czy może pięścią. O ile Hertz wiedział, chłopak był jednym z lipkarzy, drobnych włamywaczy, których w szeregach Banników

było na pęczki.

– Wybornie – skwitował Hertz. – Bo jeśli zawiedziesz mnie jeszcze raz... – Zawiesił głos, a potem wskazał na niewielkie wyszczerbienie na skraju stolika. – Wiesz, co to jest?

– Oczywiście, szefie. Każdy wie.

Fryderyk uznał, że powiedział wszystko, co należało. Zerknął w kierunku baru i tyle wystarczyło, by rozmówca odebrał niezwerbalizowany rozkaz. Czym prędzej się podniósł, ukłonił nieco zbyt nisko, a potem oddalił. O posiłkach nie wspomniał. Być może miał jednak trochę oleju w głowie.

Hertz zamknął na moment oczy i wsłuchał się w kolejny utwór. Barman zmienił płytę gramofonową na jeden z nowszych nabytków. Fryderyk nie mógł sobie przypomnieć, jak nazywała się kapela. Na swoje usprawiedliwienie miał jedynie to, że ona sama miała drugorzędne znaczenie. Liczyło się bowiem to, kto z nią grał – a dźwięki gitary Eddiego Langa poznałby nawet stojąc na środku Kercelaka, osaczony gwarem i pokrzykiwaniami.

Kilka numerów później do „Mokradła” w końcu wrócił współpracownik Hertza, jego najbardziej zaufany człowiek i numer dwa w organizacji Banników, Szymon Trawicki. Ubierał się i czesał podobnie jak szef, dlatego niektórzy twierdzili, że chce wyglądać jak brat bliźniak Fryderyka.

Hertzowi to nie przeszkadzało. Tym bardziej, że Trawicki swego prawdziwego pochodzenia nie mógł ukryć – był postawny, wzrok miał surowy, a niemal kwadratowa szczęka i mocne rysy twarzy dowodziły, że w jego żyłach płynęła krew warszawskich walczaków. Gdyby Fryderyk nie wciągnął go w szeregi Banników, Szymon z pewnością trudniłby się na ulicach miasta najgorszymi, najbardziej ohydnyimi przestępstwami.

Podchodząc do stolika, ściągnął kapelusz, a potem położył go obok fedory szefa. Wyjął tabakę, nasypał trochę na dłoń, pociągnął, po czym otarł nos. Dopiero teraz popatrzył na Hertza.

– Sprawa w toku – oznajmił.

– Czyli dowiedziałeś się wszystkiego?

Trawicki pokiwał głową z obojętnością, jakby było to pytanie retoryczne.

– Wołyniak późnym wieczorem wysiadł z pociągu na Dworcu Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej, a potem...

– Mówiłem ci, że ten dworzec już się tak nie nazywa.

Szymon potarł nos.

– Co za różnica?

– Taka, że niepodległy kraj to niepodległe nazewnictwo.

– Mnie tam wszystko jedno.

Fryderyk przez moment patrzył na swojego zastępcę, wykonał ponagląjący ruch ręką i sięgnął po papierośnicę. Zapalił, a dym z jego papierosa zmieszał się z kłębamися wiszącymi nieustannie pod sufitem. W „Mokradle” był to widok nieodzowny, choć podobnie było we wszystkich innych przybytkach tego typu.

– Sprawa właściwie jest błaha – oświadczył Szymon. – Jakaś smarkuła chciała

ukraść trochę węgla, jeden z naszych ją przyfilował i chciał czegoś nauczyć, a Wołnyiak stanął w jej obronie.

– Co o nim wiadomo?

– Niewiele. Tylko tyle, ile powiedzieli mi ludzie na Sosnowej.

– Czyli?

– Miał czarne rękawiczki, nosił kamizelkę. Chyba były bokser, biorąc pod uwagę blizny i fakt, że umie się bić.

– Załatwiłeś sprawę?

Trawicki potaknął.

– Wszystko jest na swoim miejscu. Potrzeba tylko czasu.

– Świetnie – odparł Fryderyk i zaciągnął się głęboko. – W takim razie przejdźmy do spraw ważniejszych. Co z Niemcami?

– Wszystko jest już ustalone, czekamy na wieści z Gdańska.

Przedsięwzięcie, do którego przygotowywał się Hertz, miało być jego *opus magnum*. To właśnie je po latach zamierzał wspominać jako przełomowe. Planował wprowadzić Banników na zupełnie nowe terytorium i sprawić, że historia nigdy o nich nie zapomni.

A przy okazji wzbogacić się tak, że jego wnuki będą mogły wyżyć z tego, co zarobi w najbliższych latach.

– Policja nie jest niczego świadoma?

– Nie – zapewnił Trawicki.

– A mimo to chodzą słuchy, że jest jakiś ruch w Urzędzie Śledczym.

– Trzymamy rękę na pulsie.

Fryderyk pokiwał głową. Ufał swojemu człowiekowi, bo ten nigdy nie dał mu powodów, by wątpić w jego umiejętności i oddanie sprawie.

– Co z tym obitym kretyńcem? – zapytał Szymon.

– Poleciałem mu zająć się Wołnyakiem.

– Rozumiem, że tylko dla pro formy.

– *Pro forma*. Bez „dla”.

– No tak – potwierdził pod nosem Trawicki. – Mam to wziąć na siebie?

– Jeszcze nie. Chcę dać mu szansę. Jeśli pokaże temu bokserowi, gdzie jego miejsce, usuniesz go po fakcie. Jeśli nie, Wołnyiak być może sam się nim zajmie.

– Rozumiem.

– Tak czy inaczej ustal, jak się nazywa ten awanturnik, a potem zrób, co potrzeba.

– Ciało zostawić na widoku?

Fryderyk spojrzał na niego, jakby to on zadał teraz pytanie retoryczne.



# Rozdział czwarty

Już po niecałym kwadransie spędzonym w niewielkim pokoju przy Krochmalnej Wilmański wiedział, że tej nocy się nie wyśpi. Jego przypuszczenia okazały się trafne – mała wysłała go do jednego z lupanarów. W dodatku takich, gdzie ceniono sobie odpowiedni wolumen kobiecych krzyków.

W środku nocy miał ochotę wyjść na korytarz i zrobić porządek ze zbyt głośnymi jękami, ale ostatecznie uznał, że tego dnia narobił sobie wystarczająco dużo problemów. Tym bardziej, że ten dom rozpusty z pewnością znajdował się pod protekcją jednej z grup, o których wspominała dziewczyna.

Obracał się z boku na bok na niewygodnej pryczy, bez nadziei na to, że zmruży oko. W końcu jednak stękanie, rżenie i pojękiwanie na moment ustało. Ernest szybko skorzystał z okazji, ułożył się jak najwygodniej i udało mu się zdażyć przed kolejnym klientem ekspresyjnej bezwstydnicy. Zasnął.

Zbudził się bladym świtem z powodu przemożnego bólu przedramienia. Odkrył kołdrę i spojrzał na spuchnięty, zaczerwieniony ślad po uderzeniu pałką. Pomyślał, że właściwie powinien się spodziewać, że stolica przywita go w taki sposób. Naprawdę łudził się, że dotrze tu z czystą kartą? Że od razu zacznie zupełnie nowe życie?

Dostrzegł karalucha, który przemknął po skraju łóżka. Strzepnął go na podłogę, syknął i dotknął opuchlizny. Nie wyglądała najlepiej, a ból był tak dotkliwy, że Wilmański miał wrażenie, jakby emanował gdzieś spomiędzy kości.

Zwłókł się z łóżka, obmył twarz i przeciągnął ręką po włosach. Uznał, że jest gotowy do wyjścia. Rachunek uregulował z góry, nie miał już tutaj czego szukać. Założył kamizelkę i rękawiczki, przerzucił płaszcz przez ramię, a potem skierował się do wyjścia.

Otworzywszy drzwi, zobaczył w progu przesyłkę niewątpliwie adresowaną właśnie do niego. Natychmiast się rozejrzył, ale na korytarzu nikogo nie było. Schylił się i przyjrzał temu, co leżało na podłodze.

Mimowolnie się wzdrygnął.

Wyłupiaste oko, krótki dziób, długa szyja. Wilmański nie miał wątpliwości, że patrzy na oberżniętą głowę kury. Pokryto ją czarną, oleistą powłoką, być może jakąś ponaftową mazią. Podniósł znaleźisko i przyjrzał mu się. Przygotowano je zawnazasu, lepik zdążył porządnie się związać.

Ernest ponownie się rozejrzył, ale nic nie wskazywało na to, by ten, kto zostawił głowę zwierzęcia, gdzieś na niego czekał. Nie ulegało jednak wątpliwości, że to wiadomość. W dodatku dość wymowna.

Zszedł na dół, mijając po drodze pierwszych klientów, którzy najwyraźniej zamierzali dobrze rozpocząć dzień. Wyszedł na Krochmalną i zapalił ostatniego papierosa.

Bannicy. Czarna kura.

Coś łączyło jedno z drugim, ale Wilmański nie mógł znaleźć związku. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jak każdemu słowiańskiemu demonowi, tak i bannikowi

składano określone ofiary. W jego przypadku była to właśnie czarna kura, która miała sprawić, że istota na jakiś czas odpuści śmiertelnikom.

Ernest zaciągnął się głęboko, a gdy wypuszczał dym, dostrzegł nadbiegającą od Towarowej dziewczynę. Pędziła wzdłuż torów tramwajowych na złamanie karku. Wilmański nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy, ale najwyraźniej miała mu coś ważnego do powiedzenia.

Dopadła do niego, ale się nie zatrzymała. Złapała go za rękę i pociągnęła za sobą, chcąc biec dalej. Ernest jednak nie ruszył się o krok, a mała niemal się przewróciła.

– Chodź! – krzyknęła.

– Spokojnie. Najpierw powiedz mi, co takiego...

– Zaraz po ciebie przyjdą, są tuż za mną!

Wilmański powiódł wzrokiem w kierunku, z którego przybiegła. Souvenir pod drzwiami pokoju stanowił wystarczająco wymowną wiadomość, właściwie nie potrzebował potwierdzenia, by wiedzieć, że po niego idą.

Zastanawiało go jednak, dlaczego w ogóle zdecydowali się zostawić ostrzeżenie. Jeśli wiedzieli, w którym lokum się zatrzymał, wystarczyło, by weszli do środka i załatwili sprawę, gdy spał.

Być może chodziło o utrzymanie pozorów. Wilmański nieraz przekonał się, jak istotne są dla ludzi pokroju Banników. W całym szaleństwie, które ich otaczało, stanowiły prześwit, przez który patrzyli na rzeczywistość. Bez nich wszystko zdawało się pozbawione sensu.

Dostał ostrzeżenie, następnie zostanie pokazowo osądzony, a ostatecznie posłuży jako przykład tego, czego nie należy robić. Przypuszczał, że do tego wszystko się sprowadzi.

– Idziesz czy nie? – syknęła młoda, ciągnąc go z całej siły.

Czy był sens uciekać? Prawdopodobnie nie, jeśli ci ludzie byli tak groźni, jak sugerowała dziewczyna. Jedyna nadzieja tkwiła w zbliżeniu się do innej, konkurencyjnej grupy. Jeśli panowała między nimi jako taka zgoda, była to nadzieja zgoła płonna. Nikt nie będzie ryzykował wybuchu konfliktu dla jednego byłego boksera. Mógłby wprawdzie przydać się do pilnowania porządku tu i ówdzie, ale czy była to wystarczająco mocna karta przetargowa?

– Mówię ci, że nie masz dużo czasu!

– Uspokój się.

– Spokój w niczym nie pomoże!

– Zazwyczaj pomaga.

Szarpnęła z furją, jakby od tego, czy z nią pójdzie, zależało znacznie więcej niż jego życie. Wilmański zerknął jeszcze raz w stronę nadjeżdżającego od Śródmieścia tramwaju, usłyszał charakterystyczny dzwonek, a potem nabrał tchu.

Odwlec nieuniknione. Choć tyle mógł zrobić.

Ruszył za dziewczyną, choć znacznie ją spowolnił. Ostatnim, czego chciał, było przykuwanie uwagi wszystkich wokół.

– Nie zapytałem wczoraj, jak się nazywasz.

Spojrzała na niego jak na chorego na umyśle.



- Teraz chcesz to wiedzieć?
- Moment dobry jak każdy inny.
- Anastazja. Ale wszyscy mówią Ana.
- Nazwiska nie masz?
- Chyba nie.
- Chyba?
- Rodzice zostawili mnie na ulicy, skąd mam wiedzieć?

Wilmański pokiwał głową. Było coś pociągającego w tym scenariuszu. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że chodzi o perspektywę zupełnej nieznamości własnej przeszłości.

- Dużo jest takich jak ty?
- Za dużo, żebyśmy wszystkie się pomieściły na ulicach. Chodź.
- Idę przecież.
- Za wolno! Zaraz tu będą!

Czytał w którejś gazecie, że Warszawa swego czasu cierpiała na plagę porzuconych dzieci. Zostawiano je na ulicach, część umierała, a część spotykał jeszcze gorszy los. Młode dziewczyny trafiały pod skrzydła sutenerów, którzy wychodzili z założenia, że nigdy nie jest za wcześnie, by zacząć zaspokajać męskie żądze.

Czy Ana była jedną z nich? Prawdopodobnie tak. Ernestowi trudno było wyobrazić sobie inny sposób, dzięki któremu przeżyłaby na ulicy tak długo.

Przecięli tory tramwajowe biegnące wzdłuż Wolskiej i Chłodnej, po czym dziewczyna zaciągnęła go za róg szpitala. Nieforemny budynek otoczony był licznymi dużymi krzewami i niewysokimi drzewami. Być może przez samą bryłę, a być może z uwagi na wyróżniające się wykusze, przywodził na myśl raczej letnią rezydencję magistratu niż miejsce, w którym masowo chorowano i umierano.

Refleksja ta pociągnęła za sobą kolejną. Wilmański uświadomił sobie, że przeciętny człowiek stwierdziłby raczej, że masowo tu leczono.

Odsunął tę myśl i spojrzał na zasapaną Anastazję.

- Skąd wiesz, że po mnie idą?
- Bo mnie znaleźli.

Otaksował nieco uważniej jej twarz, ale nie dostrzegł żadnych obrażeń.

- Bannicy cię znaleźli i nic ci nie...
- Nie Bannicy. Policja.

Ernest uniósł brwi.

- Czego mieliby ode mnie chcieć policjanci?
- Nie policjanci, a policjantki.

O tym jeszcze nie słyszał. Najwyraźniej trafił do dziwniejszego miejsca, niż przypuszczał. Wprawdzie nie widział nic złego w tym, by kobiety także nosiły mundury, ale nie sądził, by władze publiczne były podobnego zdania. Tolerowano taką sytuację, o ile w grę wchodziły formacje działające samodzielnie, kontynuujące tradycje konspiracyjnych ruchów przed Wielką Wojną czy samoorganizowania się podczas konfliktu.

Ale być może ten stan rzeczy w końcu musiał się zmienić. Od kiedy w 1918 roku

kobiety uzyskały prawa wyborcze na mocy dekretu Piłsudskiego, ich sytuacja zaczynała przybierać doprawdy dziwny kształt.

– Dlaczego mnie szukano?

– Nie wiem. Ale nie spodziewałabym się na twoim miejscu niczego dobrego.

– I powiedziałaś im, gdzie mnie znaleźć?

– Nie miałam wyjścia. One prędzej czy później wrócą.

Wilmański uznał, że dziewczyna postąpiła słusznie. Policjantki pójdą na Krochmalną, potwierdzą, że Ana powiedziała im prawdę, i młoda będzie kryta. A jednocześnie sama popędziła tu, jakby się paliło, by go ostrzec. I wilk syty, i owca cała. Jediną poszkodowaną w całej tej sprawie była kura. Przynajmniej na razie.

Ernest wyjął z kieszeni otrzymaną przesyłkę i pokazał ją dziewczynie. Spojrzała na nią bez emocji.

– Wiadomość od Banników – powiedziała, a potem się zamyśliła. – Ale nie takiej się spodziewałam.

– Co konkretnie oznacza?

– Że musisz złożyć ofiarę.

– Czyli?

Anastazja wzruszyła ramionami.

– Aż tak się nie znam na ich sprawach. Trzeba popytać.

– Więc to nie zapowiedź zbliżającej się kary?

Dziewczyna oparła się o ścianę budynku i skrzyżowała ręce na piersi. Popatrzyła na niego, jakby to on był dzieckiem, a ona dorosłą.

– Wejście na ich teren to już zapowiedź kary – powiedziała. – Mówiłam ci przecież, że nie odpuszczają.

– Ale skoro zostawili ten łeb, dają mi szansę.

– Może... sama nie wiem.

Równie dobrze mogli zdecydować się na prosty, jakkolwiek skuteczny fortel. Miałoby to sens, biorąc pod uwagę, że Krochmalna znajdowała się na terenie kontrolowanym przez ich konkurentów. Może gangsterski kodeks nie pozwalał ot tak zabijać ludzi na nie swoim terytorium. Może należało poczekać, aż ofiara znajdzie się na ulicach należących do Banników.

Wilmański obrócił głowę zwierzęcia w dłoni.

– Gdzie mogę z tym pójść?

– Jak najdalej stąd.

– Miałem na myśli złożenie wizyty komuś, z kim będę mógł o tym porozmawiać.

– To nie jest dobry pomysł.

– Lepszy niż ucieczka i szukanie ochrony wśród innych szemranych ludzi.

Wciąż wyglądała, jakby miała do czynienia z niesfornym, lekkomyślnym dzieciakiem. Właściwie Ernest nie mógł się dziwić – z jej punktu widzenia wyjście było tylko jedno. On jednak przemyślał sprawę dogłębnie i uznał, że nawet jeśli inna grupa nie wyda go od razu, z pewnością dojdzie do tego później. Wystarczy, że jego rzekomi wybawiciele będą chcieli prehandlować coś z Bannikami. On wystąpi wówczas w roli cennej waluty.

– Mają jakąś siedzibę? – spytał.

– Tak.

– Gdzie?

Zacisnęła usta tak mocno, że trudno było o wymowniejszą odpowiedź.

– Albo dowiem się od ciebie, albo od pierwszego lepszego przechodnia w Śródmieściu.

Ale w takim wypadku mogą mnie dopaść szeregowie rzezimieszki, zanim trafię do tego, który podejmuje decyzje.

Przez chwilę się zastanawiała, pocierając tłuste włosy.

– „Mokradło” – oznajmiła.

– Brzmi adekwatnie.

– To wyszynk przy skrzyżowaniu Wielkiej i Siennej. Na rogu, nie przegapisz, bo jest duża reklama. Ale mało kto tam wchodzi, a już na pewno nikt, kto nie jest zaproszony.

Wilmański uniósł czarny łeb.

– Ja jestem.

– Chyba na ucztę w piekle.

– Akurat tam się nie wybieram.

– Na niebo bym nie liczyła – odparła Ana i rozplotła ręce. – Nie wyglądasz mi na takiego, co nie ma nic za uszami.

– Taka z ciebie znawczyni?

Westchnęła głęboko, jakby pytanie nie zasługiwało na inną odpowiedź. Właściwie coś w tym było. By przeżyć w gąszczu przemocy i zbrodni, musiała znać się na ludziach. Przynajmniej na określonej grupie. Z pewnością nie poradziłyby sobie na salonach, ale bez trudu mogła rozeznac się pośród osób moralnie wątpliwych.

Czy on do nich należał? Biorąc pod uwagę wszystko, co zrobił w przeszłości, należałoby uznać, że tak. Ale miał jeszcze przecież czas, ostateczny werdykt nie zapadł. Mógł się jeszcze zrehabilitować.

Jeden z tramwajów zatrzymał się niedaleko budynku, w którym spędził noc. Wyszły z niego dwie policjantki. Wyższa miała ciemne, kręcone włosy i Wilmańskiemu przypominała jedną z gwiazd filmowych, Jadwigę Smosarską. Widział ją niedawno w filmie „Iwonka”, w którym grała tytułową rolę. Była dla niego ideałem kobiecości – miała rozwiane włosy, enigmatyczne, jakby lekko nieobecne spojrzenie i pełną, owalną twarz. Zresztą nie tylko jemu się podobała. Jakiś czas temu wygrała zorganizowany przez jedną z gazet plebiscyt na najlepszą aktorkę. Widzowie byli jednomyślni.

Wilmański nieco zbyt długo patrzył na policjantkę. Oderwał od niej wzrok dopiero, kiedy poczuł uderzenie w zębra. Spojrzał ze zdziwieniem na swoją młodą towarzyszkę.

– Zastanawiasz się, czy nie lepiej pójść do nich zamiast do Banników?

– Nie.

– A może powinienes.

– Nie sądzę – odparł cicho. – Gorsze od doświadczeń z przestępcami mam tylko doświadczenia z nimi.

– Z policją?

– Z kobietami.

Popatrzyła na niego, a potem wymownie wskazała na siebie.

– A jednak się ze mną zadajesz.

– Nie jesteś jeszcze kobietą.

– Znam kilku mężczyzn, którzy twierdzą inaczej.

– Tak czy owak trudno powiedzieć, bym się z tobą zadawał – powiedział i cofnął się o pół kroku, kiedy jedna z policjantek zerknęła w ich stronę. – Nasze drogi po prostu skrzyżowały się o dwa razy za dużo.

– Skrzyżują się jeszcze wiele razy, Wołyniaku.

Obrócił się do niej i uniósł brwi.

– Wołyniaku?

– Tak o tobie mówią w Śródmieściu.

Może to i dobrze, pomyślał Ernest. Ostatni pseudonim, jaki mu nadano, do dzisiaj źle mu się kojarzył. Stanowił smutne przypomnienie tego, co niegdyś robił – a konkretnie wszystkich tych rzeczy, których robić nie powinien.

– I pytałam poważnie.

– A ja poważnie ci odpowiedziałem.

– Większe szanse na przeżycie miałbyś po rozmowie z nimi niż z Hertzem.

– Hertzem?

Ana rozejrzała się niepewnie, jakby szukała prawdziwego demona czającego się gdzieś nieopodal, a nie przestępcy, który przywłaszczył dla swojej organizacji jego imię.

– Fryderyk Hertz – powiedziała cicho. – To on rządzi Bannikami.

– Sporo o nich wiesz.

– Muszę. Wychowałam się przecież na ich podwórku.

– I co możesz mi powiedzieć?

– Że na stoliku, przy którym zawsze siedzi w „Mokradle”, jest wyszczerbienie.

Wilmański uznał, że to niespecjalnie przydatna informacja. Właściwie brzmiała wystarczająco osobliwie, by mógł uznać, że z tą dziewczyną w istocie coś jest nie w porządku. Powinna trafić do normalnego domu, pod opiekę porządných ludzi. Być może po jakimś czasie stałaby się taka, jak jej rówieśnicy.

Teraz przywodziła jednak na myśl lekko niezrównoważoną, nieco buntowniczą wersję klasycznej starej maleńkiej. Zachowywała się, jakby miała dziesięć lat więcej, choć brakowało jej roztropności, jaka powinna się z tym wiązać.

Przynajmniej po części. Rozmowa z policją mogła w ostateczności okazać się najbardziej rozsądnym rozwiązaniem. Tyle że Ernest nie zwykł postępować rozważnie.

– Wiesz, skąd to wyszczerbienie?

– Skąd miałbym wiedzieć? Wczoraj przyjechałem. Nie zdążyłem zobaczyć nawet Pałacu Saskiego.

– A na co ci go oglądać?

– To najważniejsza atrakcja Warszawy.

– Co ty tam wiesz...

– Wiem, że to symbol naszej niepodległości.

Anastazja machnęła ręką, jakby chciała zasugerować, że takie bajdy opowiada się

naiwnym turystom. Z jednej strony mogła mieć rację. Z drugiej mogła sądzić, że prawdziwe atrakcje to dansingi w „Adrii”, orgie w domach publicznych czy seanse w kinie „Apollo” przy Marszałkowskiej.

– Kogo to obchodzi? – zapytała. – Ludzie przyjeżdżają tutaj nie po to, żeby oglądać jakieś symbole.

– A więc po co?

– Ty mi powiedz – odbąknęła Ana. – Przecież dopiero co sam przyjechałeś.

Zostawił tę uwagę bez odpowiedzi. Przypuszczał jednak, że dziewczyna miała nieco spaczone pojmowanie świata. Środowisko, w którym się wychowała, właściwie nie mogło odcisnąć na niej żadnego innego piętna.

– To jak będzie? – spytała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– W związku z czym?

– Pójdiesz z nimi porozmawiać?

– Nie. Rozmówię się z Bannikami.

– To poważny błąd.

– Który każdy dorosły człowiek ma prawo popełnić. I żadne dziecko nie ma prawa go za to ganić.

– Ja mam.

W takich chwilach Ernesta cieszyło, że nigdy się nie ustatkował. Prędzej czy później albo jego wybranka zmusiłaby go, by poszerzyli rodzinę, albo stałoby się to wbrew jego woli, choć z pewnością przy czynnym udziale.

Nie potrafił rozmawiać z tą małą, nie miał pojęcia, jak kiedykolwiek mógłby odnaleźć się w roli ojca. Gdyby codziennie przyszło mu ścierać się z podobnym dziecięcym temperamentem, z pewnością szybko odszedłby od zmysłów.

– Zastanawiasz się?

– Tak. Ale nie nad tym.

– A nad czym?

– Nad tym, że gdybym miał na co dzień obcować z kimś takim jak ty, zamknięto by mnie w Zofiówce albo podobnym przybytku.

– W Zofiówce na pewno nie. To Zakład dla Psychicznie i Nerwowo Chorych Żydów. Ty na Żyda nie wyglądasz.

– Mhm.

Wilmański odczekał, aż policjantki skręcą w Krochmalną, a potem wyszedł zza winkła budynku. Skinął na dziewczynę, by poszła za nim. Skoro przyszła go ostrzec, mógł odwdzińczyć się chociaż tym, by kupić jej bilet na tramwaj powrotny do Śródmieścia.



# Rozdział piąty

Eliza zatrzymała się przed koszarami i spojrzała na budynek, w którym według dziewczyny nocował Wołyniak. Nie wyróżniał się niczym spośród miejskiego krajobrazu – miał brudne ściany, pod którymi powoli rozstawiali się pierwsi straganiarze i żebracy. Tu i ówdzie wisiały jakieś szyldy, ale większości Zarzeczna nie mogła odczytać. Okna były brudne, a w powietrzu unosił się zapach śmieci.

Właściwie niewiele się zmieniło, od kiedy przechadzał się tędy Żeromski. Wykorzystał Krochmalną, żeby pokazać, jak jego zdaniem wyglądała Warszawa na początku nowego wieku. I odmalował dość przygnębiającą wizję ciasnoty, biedy, brudu i smrodu. Do dziś Eliza pamiętała opisy sklepowych podłóg pokrytych zaschniętymi grudami błota, małych łachmaniarzy snujących się bez celu czy Żydówek gotujących bób i fasolę na ulicach.

Niewiele się tu zmieniło przez ostatnich dwadzieścia lat.

– Zastanawiasz się, czy warto? – odezwała się cicho Salomea.

– Czy co warto?

– Wchodzić tam...

– Nie. Myślę o Judymie i *Ludziach bezdomnych*.

Kier nie wyglądała na mola książkowego, ale kiedy podniosła spojrzenie, Eliza zobaczyła w jej oczach błysk. Był to bodaj pierwszy raz, kiedy znajoma zerknęła na nią z takim ożywieniem. Wprawdzie szybko uciekła wzrokiem, ale Zarzeczna zrozumiała, że książki są tematem, który może stanowić pomost między nimi. I słusznie, pomyślała. Między innymi od tego były.

– Próbuję sobie przypomnieć, jak Żeromski to ujął – dodała.

– Co konkretnie?

– To – odparła ciężko Eliza i zatoczyła ręką krąg. – Krochmalną.

Druga posterunkowa zmarszczyła czoło, zastanawiając się przez moment. Ostatecznie jednak syknęła z dezaprobatą i wzruszyła ramionami.

– Wilgotny grób pełen śmierdzącej pary?

– Może – przyznała Salomea. – Wchodzimy do niego?

– Po to tu przyszliśmy, prawda?

Towarzyszka nie odpowiedziała, ale z jej zachowania wynikało, że gdyby to zrobiła, bynajmniej by nie potwierdziła.

– Coś nie tak? – spytała Zarzeczna.

– Nie, po prostu... nie myślałam, że tak to będzie.

– To znaczy?

– Że będziemy musiały... no wiesz.

Eliza nie mogła być pewna, ale przypuszczała, że chodzi o zadania wiążące się z mężczyznami. Być może partnerka łudziła się, że będą miały do czynienia jedynie z kobietami i dziećmi.

Nie chciała pytać wprost, ale czuła, że nie musi.

– Nie wiedziałaś, na co się piszesz?

– Wiedziała.

– Więc o co chodzi? Spodziewałaś się, że pilnowanie obyczajności sprowadzi się do kilku karcących spojrzeń?

– Nie, tylko że... nie myślałam, że będziemy musiały kogoś werbować.

– A co w tym kłopotliwego?

Wskazała w kierunku lupanaru i skrzywiła się, jakby samo spojrzenie na zaniedbany budynek budziło w niej sprzeciw.

– Przecież nie wystarczy się uśmiechnąć do tego człowieka.

A zatem o to chodziło. Najwyraźniej wyobraźnia Salomei była bujniejsza niż Zarzecznej. Eliza uśmiechnęła się w duchu na tę myśl. Coś było w powiedzeniu, że tam, gdzie tafla najspokojniejsza, dno znajduje się najgłębiej. W odmętach wyobraźni Kier najwyraźniej kłębiły się kosmate myśli.

– Sądzisz, że naprawdę będziemy musiały go uwieść?

Salomea odwróciła wzrok, jakby nie chciała rozważać tej kwestii. Przynajmniej nie na głos.

– Nie martwiłabym się tym, to tylko gadanie komisarz – stwierdziła Eliza. – Od uwodzenia są panny w jedwabnych bluzkach z dekoltami na plecach, nie w mundurach.

Kier nie wyglądała na przekonaną, ale skinęła lekko głową. Chyba tylko po to, by skończyć temat. Zarzeczna przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna jeszcze czegoś dodać, po czym uznała, że i tak nie uspokoi towarzyszek.

Zrobiła krok w kierunku przybytku przy Krochmalnej, ale nagle zamarła, gdy rozległ się głośny, piskliwy okrzyk.

– Pomocy!

Natychmiast się odwróciła, nawet nie myśląc o tym, by chwycić broń. Wprawdzie na kursie powtarzano im bez końca, by wypracować nawyk sięgania do kabury, ale dłoń Zarzecznej nawet nie drgnęła. Służbowy rewolwer marki Nagant wciąż znajdował się w zamkniętym futerale i gdyby nagle musiała go użyć, z pewnością nie zdążyłaby w porę.

Ostatecznie jednak i tak zareagowała lepiej niż jej partnerka. Salomea cofnęła się o krok.

Eliza szybko rozpoznała dziewczynę, która krzyknęła. Była to ta sama nastolatka, z którą rozmawiały na terytorium Banników. Wtedy wydawała się butna i starsza o kilka lat, teraz sprawiała wrażenie przerażonej.

Szarpała się z jakimś mężczyzną, patrząc błagalnie w stronę dwóch umundurowanych kobiet.

Nie zastanawiając się długo, Zarzeczna odpięła kaburę i ruszyła biegiem w jej kierunku. Rewolweru nie wyciągnęła, ale teraz była gotowa zrobić to w każdej chwili. Tym bardziej, że nie słyszała, by Kier za nią popędziła.

Trudno. Od początku wiedziała, że w sytuacji kryzysowej będzie zdana na siebie.

Znalazłszy się bliżej, zobaczyła, że źle oceniła sytuację. To nie mężczyzna ciągnął tę dziewczynę, a ona jego. W dodatku wyglądało na to, że nie grozi jej żadne



niebezpieczeństwo. Przeciwnie. Człowiek w gabardynowym płaszczu i czarnych rękawiczkach sprawiał wrażenie, jakby to on znalazł się w niewygodnym położeniu.

– Co tu się dzieje? – zapytała Eliza, kładąc rękę na uchwycie rewolweru.

Poczuwszy znaną chropowatość drewnianego okucia, stała się nieco pewniejsza. Niemal nie zwracała uwagi na to, że nogi lekko jej się trzęsły.

Dziewczyna puściła rękaw mężczyzny i uśmiechnęła się do niej serdecznie.

– Szukałyście go – oznajmiła. – Oto i on. Wołyniak.

Eliza spojrzała mu w oczy. Rzeczywiście, pasował do opisu, który przedstawili świadkowie. Był postawny, miał mnóstwo blizn, włosy podgolone wokół głowy, a w dodatku nie nosił żadnego kapelusza, co stanowiło niejaki odstępstwo od normy.

Przez moment mierzyli się wzrokiem, jakby nie było jeszcze do końca jasne, czy którekolwiek z nich się odezwie. Wyswobodziwszy rękę, Wołyniak uciekł spojrzeniem w stronę nadjeżdżającego tramwaju i Eliza pomyślała, że rozważy ucieczkę.

Nie byłoby to zupełnie nierozsądne z jego strony. Jeśli zdążył rozmówić się z dziewczyną, z pewnością pomiarkował już, dlaczego poszukuje go policja. Sama rozmowa z umundurowanymi funkcjonariuszkami mogła okazać się dla niego niebezpieczna, jeśli dostrzegłby ich ktoś ze środowiska przestępczego.

– Wszystko... wszystko w porządku? – rozległ się głos zza pleców Zarzecznej.

Nie odwróciła się, nie chcąc tracić mężczyzny z oczu.

– Tak – rzuciła.

Salomea stanęła obok niej, zaciskając dłoń na wyciągniętym rewolwerze. Rozbiegane spojrzenie, trzęsąca się ręka i przyspieszony oddech potwierdzały, że nie każdy posterunkowy w Policji Państwowej powinien korzystać z prawa do noszenia broni.

– Spokojnie – powiedziała Eliza. – Schowaj broń, ten człowiek nam nie zagraża.

Kier zawahała się, ale ostatecznie wsunęła naganta do pokrowca. Nie zamknęła go jednak.

– Jest pani tego pewna? – odezwał się mężczyzna.

Rzeczywiście miał lekko kresowy, śpiewny akcent.

– Nie wygląda mi pan na awanturnika.

– A jednak właśnie z powodu awantury się spotykamy.

Eliza spojrzała na dziewczynę, która skrzyżowała ręce na piersi i przyglądała im się z satysfakcją. Nie ulegało wątpliwości, że ta rozmowa była jej pomysłem. I że była dumna z doprowadzenia do niej.

– Trudno nazwać awanturą sytuację, w której ktokolwiek broni dziecka – zauważyła Zarzeczna.

Wołyniak wzruszył ramionami.

– Jak pan się nazywa?

– A do czego to pani potrzebne?

– To zwykłe pytanie.

– Tak jak zupełnie zwykły jest mój brak odpowiedzi.

Zbliżyła się o krok i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Niech pan posłucha...

– Nie zwykłem słuchać umundurowanych mężczyzn, co dopiero kobiet. A teraz, jeśli

pani pozwoli, wróć do swoich spraw.

Ruszył przed siebie, jakby nie stała tuż przed nim. W ostatnim momencie wyminął ją, a Eliza kątem oka dostrzegła, że Kier nerwowo drgnęła. Będzie musiała się z nią porządnie rozmówić. W tej sytuacji brak opanowania nie stanowił problemu, ale prędzej czy później może okazać się tragiczny w skutkach.

Na razie jednak musiała skupić się na Wołyniaku. Nie zamierzała ot tak pozwolić mu odejść. Ruszyła za nim, jednocześnie wskazując Salomei, by przypilnowała dziewczyny. Wyświadczyła im niemałą przysługę, ale na tym jej rola musiała się skończyć. Dalsza rozmowa powinna toczyć się w cztery oczy.

– Jakie to sprawy? – zapytała, zrównując się z mężczyzną.

– Moje.

– Zawsze jest pan tak opryskliwy w stosunku do kobiet?

– Tylko kiedy ubierają się jak mężczyźni.

Eliza odchrząknęła i strzepnęła niewidzialny pyłek z pagonu, na którym znajdowało się oznaczenie najniższego policyjnego stopnia. Właściwie powinna spodziewać się gorszych, bardziej uszczypliwych uwag. Od jakiegoś czasu przygotowywano je na to, że nie będą miały łatwego życia.

– Jeśli szuka pan protekcji, udaje się pan w złym kierunku.

– Doprawdy?

– Idąc dalej przed siebie, wejdzie pan na teren Banników.

– Nie miałem pojęcia.

– A jak tylko pana zobaczą, nie będzie nawet czasu, by się odezwać. Wezmą pierwsze lepsze wiadro, a potem...

– Słyszałem o tym, jak traktują nieprzyjaciół.

– I mimo to wchodzi pan na ich terytorium? Spieszno panu umierać?

– Gdyby było mi spieszno, zostałbym tam, skąd przyjechałem.

– Czyli?

Wołyniak westchnął głęboko, po czym nagle się zatrzymał. Wypuścił ze świstem powietrze, gromiąc policjantkę wzrokiem. Nie miał najmniejszej ochoty z nią rozmawiać, ale zdał już sobie sprawę z tego, że łatwo mu nie odpuści.

– Najlepiej będzie, jeśli da mi pani spokój.

– Nie zamierzam.

– W takim razie może pani ucierpieć.

– To groźba?

– Ostrzeżenie. W istocie ma pani rację. Nie wiem, jak zareagują Bannicy na mój widok. Szczególnie jeśli pójdę do nich w towarzystwie... policjantki.

– W takim razie naprawdę sugeruję zawrócić.

– Tak? A potem co począć? Modlić się, by o mnie zapomnieli?

– Nie.

Przez moment znów patrzyli na siebie w milczeniu. Zarzeczna dostrzegła w oczach tego człowieka co najmniej kilka życ. Zdawał się przejść więcej niż niejedna osoba w jego wieku. Musiał, skoro zdecydował się zostawić wszystko na wschodzie i przyjechać do Warszawy.

– Mam dla pana propozycję.

– Nie interesuje mnie ona.

– Mimo wszystko ją złożę. Sprowadza się do tego, by pozwolił pan się chronić.

– Wam?

– Oczywiście. Nikt inny nie zapewni panu bezpieczeństwa. Bannicy od razu pana utopia, Prałaci dadzą ochronę tylko do czasu, aż pana sprzedadzą, Żydzi nawet nie będą chcieli z panem rozmawiać, a na Kercelaku... cóż, tam dopiero może być różnie.

Wołyniak schował ręce do kieszeni i pochylił głowę. Nie odzywał się, co uznała za zachętę, by mówić dalej.

– My możemy to zmienić.

Uśmiechnął się lekko i pokręcił głową.

– Naprawdę nie przypuszczałem, że uformują jednostkę do zawodowego uwodzenia i mamienia mężczyzn – powiedział. – Bo właśnie to będzie pani usiłowała zaraz zrobić, prawda?

– Nie.

Poczuła się lekko zmieszana, ale robiła wszystko, by nie dać tego po sobie poznać. Powtarzała w duchu, że jest na to gotowa. Na wszystkie damsko-męskie uszczypliwe komentarze, erotyczne aluzje i obsceniczne uwagi. Przerabiały to. Nic nie mogło jej zaskoczyć.

– A powinienem – mruknął do siebie.

– Co takiego?

– Powinienem spodziewać się, że ktoś prędzej czy później wpadnie na taki pomysł. Jest genialny w swojej prostocie.

– Przyznam, że nie bardzo...

– Nie rozumie pani? – zapytał z niemającym uśmiechem. – Wasza grupa została powołana, żeby werbować takich jak ja. Przełożeni wiedzą, że łatwiej będzie to zrobić kobiecie, szczególnie tak pięknej.

Przełknęła ślinę.

– Po to panią przysłali, tak? Żeby mnie zwerbować?

Nie zamierzała zaprzeczać. Skinęła lekko głową.

– Nie rozumiem tylko celu – dodał, mrużąc oczy. – Przecież sama pani mówi, że w żadnej organizacji nie mam czego szukać. Po co wam taki szpicel?

Eliza nabrała głęboko tchu, uznając, że czas wziąć się w garść i przejść do konkretów. Skoro sam wykoncypował, dlaczego się tu pojawiły, należało wyłożyć wszystkie karty na stół. Tym bardziej, że nie było ich wiele. I nie miała absolutnie nic do stracenia.

– Dysponujemy pewnymi środkami – zaczęła.

– Mhm.

– I posiadamy informacje, które panu pomogą.

– W jaki sposób?

– Wiemy, z kim i w jaki sposób mógłby pan porozmawiać.

– To znaczy?

Rozejrzała się, a potem wskazała kierunek, z którego przyszli.

– Jedyne ratunek to Kercelak – powiedziała. – Wskażemy panu, z kim warto się zaprzyjaźnić. Możemy poinstruować, w jaki sposób najłatwiej będzie to osiągnąć, a w zamian...

– Będę donosił.

– Raczej przekazywał nam zawczasu informacje o sprawach, które mogą godzić w obyczajność i bezpieczeństwo publiczne.

Wołyniak zaczął przeszukiwać płaszcz. Sprawdziwszy wszystkie kieszenie, zaklął pod nosem.

– Ma pani papierosa?

– Nie, ale można kupić nieopodał, na rogu Grzybowskiej.

Ruchem ręki zasugerował jej, by poprowadziła. Kiedy ruszyli ku jednemu z niewielkich kramików, Eliza uznała, że robi postępy. Zyskała przynajmniej tyle czasu, ile zajmie mu wypalenie papierosa.

Kupił ich dwadzieścia pięć, wyraźnie zadowolony, że kosztują mniej niż złotówkę.

– Na prowincji płaci się pięćdziesiąt groszy za sztukę – powiedział, zapalając. – A tytoń lepszy.

– Przeniósł się pan na własne życzenie.

– Niezupełnie. Ale mniejsza z tym – odparł ze skręciuchem w kąciku ust. Przesunął dłoń po płaszczu, a potem wyciągnął dłoń do policjantki. – Ernest Wilmański.

– Posterunkowa Zarzeczna.

– Wyjątkowo ciekawe imię.

Uciekła wzrokiem w bok, sama nie wiedząc dlaczego. W spojrzeniu tego człowieka było coś, co sprawiało, że nie chciało się zbyt długo patrzeć mu w oczy. Z początku widać było w nich jedynie uprzejmość i jakiś zadawniony ból, ale im dłużej się w nie wpatrywało, tym więcej niepokojących elementów można było dostrzec.

– Eliza.

– Miło mi – odparł i wyjął na moment papierosa z ust, by ucałować jej dłoń. – Pani wybacz rękawiczki, nigdy ich nie ściągam.

– Nie szkodzi.

– Więc co może mi pani powiedzieć o bandzie z Kercelaka?

– Sporo, ale nie będziemy rozmawiać tutaj.

– Ach, rozumiem – powiedział, wypuszczając dym. – Najpierw podpisane zobowiązanie na komendzie, dopiero potem nagroda.

– Mniej więcej – przyznała z lekkim uśmiechem.

Coś jakby zazgrzytało w powietrzu. Dopiero po chwili Zarzeczna uświadomiła sobie, że to dysonans między jej wyrazem twarzy a kamienną maską, którą przyjął Wilmański. Nie sprawiał już wrażenia człowieka w gruncie rzeczy dobrego, który byłby skłonny ruszyć na odsiecz atakowanemu dziecku.

W okamgnieniu zmienił się nie do poznania.

– Problem w tym, że nie wybieram się na policję – oświadczył.

Zanim zdążyła zareagować, złapał ją za rękę i gwałtownie przyciągnął do siebie. Szybko sięgnęła po broń, ale kiedy chwyciła za kaburę, poczuła jego rękę trzymającą uchwyt naganta. Był szybki, niewątpliwie miał doświadczenie, którego jej brakowało.

Przekląła się w myśli za niefrasobliwe podejście.

– Nic się pani nie stanie – powiedział, zanim zdążyła sformułować jakąkolwiek groźbę. Wszystkie w jej głowie brzmiały żałośnie. I przypuszczała, że żadna nie przyniosłaby zamierzonego skutku.

Znaleźli się tak blisko, że dym z papierosa wpadł jej do oczu.

– Niech pan mnie puści.

– Jak tylko zyskam pewność, że nie pójdzie pani za mną.

– Nie pozwolę, żeby...

– Albo pani tu zostanie, albo zabiorę tę broń i będzie się pani pół dnia tłumaczyła przed przełożonymi, dlaczego straciła służbowy rewolwer.

– Niech się pan natychmiast odsunie.

Zrobił to, ale wyrwał naganta z kabury. Zarzeczna natychmiast się cofnęła, rozglądając się mechanicznie w poszukiwaniu ratunku. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Znajdowali się w miejscu, gdzie takie przepychanki były na porządku dziennym. Jedynym odstępstwem dziś było to, że uczestniczyła w nich umundurowana kobieta.

Ernest Wilmański otworzył magazynek, sprawdził mechanizm, a potem zakręcił bębenkiem i wycelował gdzieś na wysokości jej brzucha. Od razu uniosła lekko rękę. Chciała coś powiedzieć, ale głos uwiązł jej w gardle.

Wołyniak bez słowa zaczął wycofywać się w kierunku jednej z mniejszych uliczek. Tuż przed rogiem uśmiechnął się lekko, obrócił rewolwer w dłoni, a potem rzucił go Elizie. Broń zatoczyła łuk nad ulicą, a Zarzeczna zareagowała instynktownie, łapiąc naganta tuż przy samej ziemi.

Kiedy podniosła wzrok, Wilmańskiego już nie było.



# Rozdział szósty

Żadna kapela nie mogła się równać z Original Dixieland Jazz Band. Płyta gramofonowa z ich nagraniami kręciła się pod igłą dziś już któryś raz, mimo to Hertzowi nie znudził się żaden z utworów. Właściwie dźwięki te w pewien sposób stanowiły immanentną część jego życia. Czy oddychanie mogłoby mu się znudzić? Nie, podobnie jak wyczyny Tony'ego Sbarbaro na perkusji, „Daddy'ego” na puzonie czy „Nicka” na klawirze.

Nie lubił, gdy ktoś przerywał mu w najlepszym momencie dany kawałek. Tak jak teraz, gdy Szymon Trawicki znów stanął po drugiej stronie stolika. Tym razem słowa nie były jednak potrzebne. Położył na blacie czarną głowę kury.

Fryderyk uniósł brwi.

– Naprawdę? – spytał.

– Tak. Stoi na ulicy i czeka.

– Muszę przyznać, że tego się po nim nie spodziewałem – odparł Hertz, patrząc w kierunku wejścia. Przez kłęby dymu nie zauważyłby, gdyby Wołyniak zdecydował się wejść bez zaproszenia. – Gdzie jest ten... ten młody, który ucierpiał? I jak on się w ogóle nazywa?

– Władek. I nie ma go, prawdopodobnie jeszcze zbiera ludzi.

Fryderyk podniósł głowę zwierzęcia i przyjrzał się jej. Symbol był dobry jak każdy inny, ale chłopakom nie zawsze udawało się dobrze go przygotować. Tym razem najwyraźniej się postarali.

– Cóż... – zaczął Hertz. – I tak zasłużył na rozmowę, prawda?

Trawicki pokiwał głową.

– Niewielu odnalazłoby w sobie tyle odwagi, by tu przyjść.

– Albo głupoty.

– Zwał jak zwał. Rezultat jest ten sam.

– Więc wpuścić go?

Fryderyk lekko skinął głową i odprowadził wzrokiem swojego zastępcę. Po chwili Szymon wrócił, prowadząc przed sobą tego, na którego od rana polowano. Dym papierosowy zdawał się zawijać za jego plecami.

Hertz znał się na ludziach, umiejętność czytania ich bez konieczności rozmowy wyssał z mlekiem matki. A nawet gdyby było inaczej, gdyby wywodził się z innego środowiska, ulica i tak szybko nauczyłaby go, jak rozpoznawać tych, którzy są czymś więcej niż tylko wydmuszkami.

Wołyniak z pewnością do wydmuszek nie należał. Miał grubą skorupę, a pod nią zahartowanego ducha.

Podszedł do stolika, a potem spojrzął na krzesło.

– Siadaj – polecił Hertz.

Gość zacisnął obie dłonie na oparciu, odsunął powoli krzesło i usiadł na nim, nie odrywając wzroku od gospodarza. Wysłał wszystkie sygnały, jakie powinien, uznał

Fryderyk. Hertz położył czarny łeb kury na blacie i przesunął go na drugi koniec.

- Roztropna decyzja – ocenił.
- Czasem udaje mi się takie podejmować.
- Raczej rzadko, z tego co dotychczas zaobserwowałem.

Wołyniak obejrzał się przez ramię na stojącego za nim Trawickiego. Szymon nie ruszył się o krok, a Fryderyk nie miał zamiaru go odprawiać. Gdyby rozmawiał z kimkolwiek innym, mógłby być pewien, że nic mu nie grozi. Przyjezdny był jednak nieobliczalny, nie wiedział, co groziłoby mu za podniesienie ręki na Herta.

– Zrobiłbym to jeszcze raz, gdybym zobaczył, że jakaś szumowina bije małą – odparł mężczyzna. – Nie ma w tym nic nieroztropnego.

– Dżentelmen?

Wołyniak milczał.

- Czy może raczej człowiek z zasadami?
- Nie mam ich wiele.
- Ale trzymasz się tych, które wyznajesz.

Wilmański skinął głową.

– To się ceni – dodał Fryderyk. – Przynajmniej dopóty, dopóki nie godzą w ważniejsze reguły. A te ustalają tutaj ja. I jedna z nich polega na tym, że atak na któregokolwiek z Banników jest atakiem na mnie.

Wołyniak milczał.

- Teraz pora, byś powiedział, że o tym nie wiedziałeś.
- Nie lubię prawić rzeczy oczywistych.

To również Hertz był gotów docenić. Najwyraźniej mężczyzna nie przyszedł tu na czcze rozmowy i karkołomne próby przekonania go, że gdyby tylko miał pojęcie, z kim zadziera, zastanowiłby się dwa razy. Zamiast tego wybrał szczerą. Całkiem słusznie, bo w żadne z tych bredni Fryderyk by nie uwierzył.

- Byłeś bokserem? – zapytał Hertz.
- Owszem.
- Jak cię zwali?
- To teraz nieistotne. Nazywam się Ernest Wilmański.

Nie odrywał przenikliwego wzroku od jego oczu i przez moment Hertz miał wrażenie, jakby to on był oceniany. Prawda była jednak inna. To Fryderyk starał się oszacować wartość człowieka, który siedział po drugiej stronie stolika. Fakt, że tamten zamknął swoją przeszłość za krótkim i stanowczym oświadczeniem, zapisał na jego korzyść.

Zanim zdążył zadać mu kolejne pytanie, muzyka nagle ucichła. Fryderyk skierował pełen dezaprobaty wzrok na barmana, a ten wzruszył ramionami.

Dopiero po chwili Hertz zrozumiał, że to jeden z jego najbliższych współpracowników zatrzymał gramofon – i zrobił to nie bez powodu. Do „Mokradła” wprowadzono bowiem człowieka, na którego Fryderyk czekał od kilku dni.

- Coś nie tak? – zapytał Wilmański.
- Obawiam się, że będziesz musiał poczekać.

Ernest spojrział w kierunku drzwi. Za progiem stanął mężczyzna w niezbyt dobrym czarnym garniturze i białej koszuli z wąskim kołnierzykiem oraz krawatem. Za nim



ustawiło się dwóch postawnych chłopaków.

– Zajmie to tylko chwilę – dodał Fryderyk. – Usiądź przy jednym ze stolików, zamów sobie piwo. Na mój koszt.

Wilmański podniósł się równie ostrożnie, jak usiadł.

– Weź to od Haberbuscha i Schielego.

Ernest skinął głową.

– Dowożą je nam codziennie z Krochmalnej platformą konną. Wypijamy go więcej niż pół miasta.

– Nie tylko wy.

Hertz przyjął tę uwagę z zadowoleniem. Wspomagał lokalny browar w wysiłkach, by jego wytwory były obecne w całym kraju – i najwyraźniej na wschodzie też go znali. Nic dziwnego, ostatnie wieści dowodziły, że Haberbusch i Schiele zajmowali trzecie miejsce w ogólnopolskiej produkcji piwa. Przed nimi były tylko zakłady w Okocimiu i Tychach.

Fryderyk poczekał, aż jego rozmówca się oddali. Wołyniak roztropnie wybrał najodleglejszy stolik, a potem zamówił piwo. Dopiero wtedy Hertz skinął na dwóch osiłków w progu, którzy zareagowali niemal natychmiast. Popchnęli mężczyznę w garniturze i szybko doprowadzili go przed oblicze szefa.

– Puszczaj – mruknął Fryderyk, zerkając w kierunku gramofonu.

Podwładny stojący przy urządzeniu zmienił już płytę na bardziej adekwatną. Hertz wiedział, jakie dźwięki popłyną zaraz z głośnika. Muzyka skomponowana przez George'a Gershwiną, utwór wykonany przez Alą Jolsona. „Swanee” z 1922 roku, sławny na całym świecie. Fryderyk za nim nie przepadał, jednak nie warto było marnować Dixielandu na spotkanie z człowiekiem, który zatrzymał się właśnie przed stolikiem.

Hertz wskazał mu krzesło.

Po chwili patrzył wyczekująco na gościa, ale ten nie robił nic oprócz pocenia się. Raz po raz wyciągał z kieszeni marynarki chustkę i ocierał twarz, ale nadaremno. Nowe krople potu natychmiast pojawiały się na jego skórze.

– Dajcie mu kaźmierskiego – polecił Fryderyk.

Po chwili przed mężczyzną postawiono szklanicę z koniakiem.

– Pij.

Wykonał polecenie bez wahania, ale wziął tylko łyk.

– Do końca.

Hertz przypuszczał, że nie będzie musiał mówić tego politykowi Polskiej Partii Socjalistycznej. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa poseł powinien mieć nawyk, by nie oszczędzać alkoholu. Może to wewnętrzna fala upału była odpowiedzialna za rezerwę.

Przechylił posłusznie szklankę, a potem odstawił ją trzęsącą się ręką i otarł usta. Widać było, że dopiero teraz zrobiło mu się naprawdę gorąco.

– Zabiegam o spotkanie z tobą od dwóch dni – zaczął Fryderyk.

– Panie Hertz, to wszystko...

– Poczekaj. Nie skończyłem.

Polityk pokiwał głową tak energicznie, że niemal rozchlapał pot na stolik.

– Miałem istotną wiadomość, która powinna trafić do twojego szefa – ciągnął Hertz. – Kluczowe było, by odebrał ją zawczasu, bo jakiegokolwiek opóźnienie mogłoby okazać się tragiczne w skutkach zarówno dla niego, jak i dla mnie.

– Rozumiem.

– Teraz być może tak, ale to zrozumienie przyszło za późno.

Pepeesowiec oblizał wargi.

– I to tylko dlatego, że odwiedzili cię moi ludzie.

– Tak, wytłumaczyli, że...

– Doskonale wiem, co zrobili. Sam im to poleciłem.

Tych najmocniejszych w gębie polityków nastraszyć było łatwo, Fryderyk przekonał się o tym nie raz. W przypadku tego wystarczyło dowiedzieć się, gdzie mieszka, a potem wysłać tam dwóch osiłków. Samo wtargnięcie przyniosłoby zapewne zamierzony cel, ale Hertz polecił im zrobić nieco więcej. Podtopili żonę nieszczęśnika w jej własnej wannie, a wówczas pepeesowiec zrobił się nagle tak ugodowy, że gotów byłby od ręki wprowadzić Fryderyka do zarządu miasta.

– Dlaczego się nie zgłosiłeś, kiedy potrzebowałem twojej pomocy?

– Przepraszam, panie Hertz, ja...

– Nie interesują mnie przeprosiny, tylko powód.

Rozmówca zamknął na moment oczy.

– Modlisz się? Nie pora teraz na to. Odpowiadaj.

Usta miał tak spierzchnięte, jakby przez cały dzień nic nie pił. Kiedy przesunął po nich językiem, Fryderyk miał wrażenie, że ten się do nich przylepi.

– Po prostu... nie sądziłem, że...

– A więc to twoja suwerenna decyzja?

– Tak, ale...

– To nie twój przełożony polecił ci mnie ignorować?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale dał mi *carte blanche*, jeśli chodzi o...

Hertz uniósł dłoń. Tyle mu wystarczyło.

Dwóm jego ludziom stojącym za samorządowcem również. Na znak uniesionej ręki jeden z nich natychmiast chwycił pepeesowca za fraki, a drugi złapał go za szczękę, wbijając palec wskazujący i kciuk mocno w policzki.

Mieli to opanowane.

Po chwili umieścili zęby polityka w miejscach, gdzie znajdowały się wgłębienia w blacie stołu. Fryderyk podniósł się, a potem obszedł mebel. Ustawił się obok samorządowca i spojrzał na niego z góry. Ten cały się trząsał, ale dwóch chłopaków nie dało mu żadnych szans, by się wyswobodził.

– Przekażesz swojemu szefowi, że muszę z nim porozmawiać.

Pepeesowiec wybełkotał coś niewyraźnie.

– Zazwyczaj załatwiam interesy tutaj, ale ponieważ czas nagli, spotkam się z nim tam, gdzie będzie sobie życzył. Jestem ugodowym człowiekiem.

Znów rozległ się niewyraźny mamrot.

– W tenisa gram jednak tylko na Agrykoli. Niech o tym pamięta.

Tym razem rozmówca nie zdążył wydać z siebie żadnego niezrozumiałego dźwięku. Hertz uniósł zaciśniętą pięść, a potem z impetem opuścił ją na głowę polityka. Rozległo się trzaśnięcie, kant stołu zdawał się wsunąć w żuchwę ofiary. Jeden z górnych zębów ułamał się i przesunął po stoliku.

Fryderyk szybko złapał samorządowca za włosy i podniósł mu głowę. Nie miał zamiaru pozwolić, by mężczyzna zapaskudził stolik krwią, która naraz wylała się z jego ust.

Łkał cicho, przeproszał, zapewniał o swoim oddaniu, ale Hertz nie chciał tego słuchać. Skinął na swoich ludzi, a ci szybko wyprowadzili pepeesowca z „Mokradła”. Fryderyk spojrzął na stół. Nie licząc kawałków zęba, blat był czysty. Załatwił tę sprawę tak, jak powinien.

Obrócił się w stronę Wołyniaka.

– Wypiłeś?

Wilmański uniósł pusty kufel.

– W takim razie chodź. Dokończymy rozmowę.

Kiedy Ernest zajął miejsce, na którym przed momentem siedział samorządowiec, z gramofonu znów popłynęły dźwięki Dixielandu. Teraz Hertz mógł poprowadzić normalną, cywilizowaną konwersację.

– Zawsze kojarzę muzykę z ludźmi – oznajmił. – I nie chcę, żeby jakikolwiek utwór kapeli z Nowego Orleanu kojarzył mi się z członkami PPS-u.

– To był pepeesowiec?

– Niestety – przyznał cicho Fryderyk i zapalił papierosa.

Wilmański spojrzął z obojętnością na kawałki zębów i liczne wyszczerbienia na blacie. Jeśli nawet wcześniej wiedział, skąd się wzięły, dopiero teraz przyjrzał im się na tyle dobrze, by oszacować, ile osób zostało potraktowanych w podobny sposób.

Musiał także zrozumieć, że jego spotka podobny los, choć nie dawał tego po sobie poznać.

– Nie darzę tych ladacznic żadną sympatią – oświadczył Fryderyk. – Nie głosowałem na nich, a na Chjenę.

Ernest zdawał się tego nie słyszeć.

– Nie zapytasz, dlaczego w takim razie układam się z PPS-em, a nie z chadekami?

– Nie.

– Nie jesteś przesadnie rozmowny.

– Nigdy nie miałem warunków, żeby rozwinąć się na tym polu.

Fryderyk przypuszczał, że to jedna z najbardziej szczerych deklaracji, jakie kiedykolwiek usłyszał. Zresztą Wilmański jawił mu się jako człowiek w gruncie rzeczy honorowy. Odbiegał od większości osób, z którymi Hertz musiał na co dzień się stykać. Wprawdzie starał się, by jego organizacja działała w oparciu o najwyższe standardy, ale pula potencjalnych członków była ograniczona. Większość chłopaków brano z ulicy, nie mieli za grosz kindersztuby.

– PPS i ja dobrze rozumiemy się na gruncie... przedsiębiorczości. W kwestii polityki uważam, że Grabski jest najlepszym, co...

– Nie przyszedłem tu rozmawiać o sprawach sejmowych.

– Rzeczywiście – przyznał z zadowoleniem Fryderyk. – A zatem o czym? Bo przyznam, że mnie to cokolwiek frapuje.

– Mogę się wam przydać.

Hertz byłby się roześmiał, gdyby nie to, że stanowiłoby to przejaw wyjątkowo złego wychowania. Pochylił się nad stołem, popatrzył wymownie na ząb, a potem przeniósł wzrok na rozmówcę.

– Mam trochę doświadczenia, mogę okazać się pomocny.

– W czym konkretnie?

– O tym porozmawiamy, jak zapewnisz mnie, że nic mi nie grozi ze strony Banników.

– Nie mogę dać takiej gwarancji. Bez względu na to, co mógłbyś mi zaproponować.

Wilmański uniósł bezradnie oczy.

– Więc naprawdę muszę uciekać się do gróźb? – zapytał.

– Tylko jeśli chcesz cierpieć bardziej, niż na to zasłużyłeś.

Ernest przez moment milczał, nie odrywając od niego spojrzenia. W końcu nabrał głęboko tchu i pokiwał głową, jakby właśnie przekonał do czegoś siebie samego.

– Nie ja będę cierpieć – powiedział, wskazując na kapelusz leżący na stoliku. – Zaraz sięgnę po rewolwer, który tam chowasz, a potem przestrzelę ci czaszkę. Ty nic nie poczujesz, ale zapewniam cię, że twoja organizacja tak. Padnie zaraz po tobie.

Fryderyk musiał przyznać, że rozmówca ujął to całkiem zgrabnie. Przy okazji dowiedział, że w istocie jest rozgarnięty. Mimo że Hertzowi wydawało się to oczywiste, nie każdy przychodzący do niego interesant rozumiał, dlaczego kapelusz zawsze znajduje się na wyciągnięcie ręki.

– Jak będzie? – dodał Wilmański. – Sprawdzimy, kto szybciej sięgnie po tę broń, czy...

Urwał, kiedy dwóch osiłków złapało go tak, jak wcześniej samorządowca. Okazał się dla nich bardziej wymagającym przeciwnikiem, ale ostatecznie także jego udało im się unieruchomić. Z trudem umieścili jego zęby na kancie stołu, po czym spojrzeli na swojego szefa.

– Powinieneś był usłyszeć, że nadchodzą – rzucił Hertz, podnosząc się z krzesła. – Ale może to przez tę muzykę.

Uśmiechnął się, a potem uniósł pięść.



# Rozdział siódmy

Przejsie kilkuset metrów wystarczyło, by Eliza się uspokoiła. Jeszcze przed momentem miała nogi jak z waty, ale kiedy mijała szyny tramwajowe na Żelaznej, świadomość, że nosi mundur i naganta w kaburze, zrobiła swoje.

Salomeę wypatrzyła już z oddali. Po młodej dziewczynie nie było śladu.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kier. – Jesteś blada jak prześcieradło.

Z pewnością nie bledsza od rozmówczyni, pomyślała Zarieczna. Skóra Salomei była w odcieniu trupim, w żaden inny sposób nie można było tego określić. Głębokie cienie pod oczami pogłębiały wrażenie, że patrzy się na osobę, która duchem jest już nieobecna na tym świecie.

Eliza odsunęła od siebie tę myśl.

– Wywinął mi się.

– Jak?

Zarieczna skrzywiła się z zażenowaniem.

– Starczy powiedzieć, że zabrał mi broń. Idealnie, jak na pierwszy dzień.

Kier nie skomentowała, wbijając wzrok w ziemię, ale i tak należało uznać, że dokonał się pewien przełom – przez cały okres szkolenia nie odbyły tylu rozmów, ile przez parę pierwszych godzin służby.

Zarieczna potoczyła wzrokiem po ulicy.

– Gdzie jest ta mała?

– Poszła w kierunku placu Kazimierza Wielkiego.

– Dlaczego jej nie zatrzymałaś?

– Próbowałam.

Eliza już otwierała usta, by zapytać, jakie konkretnie starania podjęła, w porę jednak ugryzła się w język. Mogła dopowiedzieć sobie resztę. Na dobrą sprawę wystarczyło zresztą, by dziewczyna oddaliła się szybkim, zdecydowanym krokiem, na odchodnym rzucając mniej lub bardziej zawołowaną groźbę. Salomea z pewnością oponowałaby niezbyt przekonująco.

Zarieczna przez moment milczała, przekonana, że jeśli się odezwie, później będzie tego żałować. Dotychczas robiła wszystko, by trzymać nerwy na wodzy, ale ostatecznie musiała przed sobą przyznać, że tak dalej być nie może. Decyzje Kier wpływały nie tylko na nią, ale także na ludzi, których miały chronić. Salomea nie nadawała się do tej pracy – i należało się z tym zmierzyć.

– Zdajesz sobie sprawę, że mała jest w niebezpieczeństwie?

Salomea nie podniosła wzroku.

– Nic jej nie będzie – mruknęła.

– Bannicy jej tego nie podarują.

– Czego?

Gdyby Eliza zwykła bluźnić, w tej chwili z pewnością by to zrobiła.

– Choćby tego, że rozmawiała z policją. Ktoś z pewnością nas widział.

– Sama rozmowa to nie grzech...

– Nie, ale biorąc pod uwagę, że to przez nią doszło do scysji na Sosnowej, trudno ludzi się, że przymkną na to oko. Najpierw rozprawią się z Wilmańskim, potem z nią.

Kier spojrzała na przejeżdżającą bryczkę, za którą podążał kołyszący się na wybojach automobil. Kierowca ze spokojem ciągnął się za wozem, wychodząc pewnie z założenia, że nawierzchnia i tak nie pozwoli mu rozwinąć przyzwoitej prędkości.

– Gdzie on jest, swoją drogą? – zapytała Salomea.

– Poszedł do „Mokradła”, jak mniemam.

– Oszalał?

– Bez cienia wątpliwości. I przypuszczam, że stało się to już jakiś czas temu – odbąknęła Zarieczna, po czym wskazała towarzyszcze kierunek ku części miasta kontrolowanej przez Banników.

Dwie policjantki i organizacja Hertza byli na siebie skazani. Nie zanosilo się na to, by którakolwiek ze stron w najbliższej przyszłości miała się gdziekolwiek przenieść. Przynajmniej jeśli chodziło o kobiecą część Policji Państwowej – pozostałe oddziały dawno odpuściły, wynosząc się ze Śródmieścia. Może uznano, że walka z tak wielką plagą przestępstw jest jak próba okiełznania dzumy... a może przyczynę stanowiło coś innego.

Nie było tajemnicą, że funkcjonariuszy rekrutowano z nieprzygotowanych zastępów amatorów. Dawne kadry najpierw zostały przetrzebione przez rewolucję w Rosji, a potem przez nowe władze w Polsce, więc naprędce trzeba było szukać ludzi, którzy ze strzeżeniem prawa nie mieli wiele wspólnego.

Główny powód według Zariecznej tkwił jednak w świecących pustkami pugilaresach. Przestępcy z chęcią je zapełniali, a w zamian funkcjonariusze pozwalali im działać. Na tym tle policja kobieca miała nieco się odróżniać. Przynajmniej taki był zamiar.

Dwie posterunkowe przeszły między ściśniętymi budynkami, kierując się w stronę „Mokradła”. Konstrukcje wyglądały, jakby projektował je ktoś, kto bardziej od studiów architektonicznych cenil gorzałę. W dodatku Eliza odnosiła wrażenie, że zarząd miasta postawił sobie za cel, by zabudować każdy skrawek ziemi w sercu Warszawy.

Mijając licznych przechodniów, Zarieczna czuła na sobie coraz więcej zaciekawionych, ale także nieprzychylnych spojrzeń. Dyskomfort rósł z każdą kolejną przecznicą.

– Na co on liczy? – odezwała się Salomea, kiedy zatrzymały się przed Twardą, by przepuścić tramwaj jadący do ogrodu Saskiego.

Eliza nie spodziewała się, że partnerka podejmie rozmowę. Być może czuła się równie zaniepokojona reakcjami mieszkańców, jak ona, i wyszła z założenia, że lepiej czymś zająć myśli.

– Wydaje mu się, że ma do czynienia z rozsądnymi ludźmi.

– Gorzko się myli – odparła Kier.

– I boleśnie się o tym przekona – potaknęła Zarieczna, ruszając przez tory. – Hertz nie daje drugich szans tym, którzy na to wcześniej nie zasłużyli. To jedna z jego zasad.

– Wydawało mi się, że ich nie ma.

Eliza uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Ma ich całe mnóstwo – powiedziała. – Całe jego życie opiera się na kodeksie.

Podobnie jak jego organizacja.

– A ty skąd o tym wiesz?

– Pochodzę z robotniczej rodziny.

– I co z tego?

– Mój ojciec zna kilku ludzi z PPS-u, a ci mają wiele anegdot do opowiadania, szczególnie jeśli na stole stoi bimber i czasu wolnego jest nadto. A tak się składa, że na Rakowcu jeden i drugi warunek najczęściej jest spełniony.

Weszły na Sienną i Elizie przeszło przez myśl, że dopiero teraz zagłębiają się w prawdziwą strefę mroku. Przestrzeni było tutaj jeszcze mniej niż na innych ulicach, budynki były jeszcze bardziej zniszczone, pokryte jeszcze ciemniejszym nalotem. Niemal pod każdym siedzieli tragarze czekający na łatwy zarobek, a przy nich kręciły się bez celu dzieciaki w obszarpanych ubraniach. W powietrzu unosił się smród odchodów – i nietrudno było się przekonać, gdzie znajduje się źródło. Część odpadków i innych brudów leżała na ulicach.

Ten skrawek Śródmieścia przywodził na myśl odległą Wolę, gdzie próżno było szukać działającej kanalizacji, a czasem nawet wychodka. Kompleks budynków na Rakowcu, w którym mieszkała Zarzeczna, stanowił pod tym względem chlubny wyjątek.

Prawie wszyscy skupiali wzrok na przechodzących policjantkach, nawet dzieci. Jedynymi, którzy zdawali się obojętni, byli żebracy. Dostrzegając kątem oka policyjny mundur, od razu wiedzieli, że nie warto tracić czasu nawet na przelotne spojrzenie.

Gwar w sercu terytorium Banników był obezwładniający. Zewsząd dochodziły nawoływania, krzyki, śmiechy i dźwięki, które potwierdzały, że w tym miejscu nie trzeba długo szukać, by zaznać rozkoszy cielesnych.

Ku przerażeniu swojej towarzyszki, Eliza zwolniła kroku.

– Co robisz? – szepnęła Salomea.

– Daję znać, że to nie my powinniśmy czuć się zagrożone, a oni.

– O czym ty mówisz? Widzisz przecież, co tu się dzieje.

– Widzę, że będziemy mieć pełne ręce roboty.

Posłała koleżance pokrępiający uśmiech, ale nie przyniósł zamierzonego efektu.

– Po to nas tu wysłano, prawda? Żeby zrobić porządek.

– Ale jak...

– Wszystko w swoim czasie. Najpierw zajmijmy się Wilmańskim.

– Albo jego ciałem.

Eliza doceniła tę uwagę. Najwyraźniej wystarczyło osaczyć Kier całym mrowiem wrogich jej osób, by w końcu zaczęła konwersować jak człowiek z człowiekiem.

W pierwszej chwili wzięła jej uwagę za żart, ale kiedy na nią popatrzyła, przekonała się, że Salomea nie drwi. Przez chwilę się nad tym zastanawiała. Fryderyk Hertz znany był z podejmowania błyskawicznych, ale także racjonalnych decyzji.

Wprawdzie nie dawał drugiej szansy, Wilmański jednak na dobrą sprawę nie otrzymał pierwszej. Być może złożono mu jakąś propozycję. Jeśli tak, zdążą w porę i przy odrobinie szczęścia mu pomogą. Jeśli nie, Bannicy najpewniej zamknęli już ten



temat.

Chwilę później Eliza i Kier dotarły pod „Mokradło”. Przed lokalem stał niewysoki mężczyzna w kaszkiecie. Miał obandażowany nos i wyraźnie dostrzegalne szaleństwo w oczach. Pociągał nosem, a potem krzywił się, jakby zapomniał, że każdy taki odruch powoduje ból.

– Co to za przebrania? – rzucił, taksując je wzrokiem.

Eliza zignorowała pytanie.

– Posterunkowe Zarzeczna i Kier – odparła. – Musimy wejść do środka.

– Zamknięte.

Eliza zajrzała przez okno, a potem wskazała na mężczyznę siedzącego przy stoliku obok okna. Szyby były tak zabrudzone, że nie sposób było dostrzec twarzy, jedynie sylwetkę. Z pewnością nie był to rezultat niedbalstwa – Hertz słynął z pieczołowitości. Brud był jednak doskonałym kamuflażem, szczególnie w takiej okolicy.

– Widzę, że są klienci.

– To nie klientela.

– A więc kto?

Mężczyzna w kaszkiecie wzruszył ramionami i znów pociągnął nosem. Splunął z impetem na bok, jakby w ten sposób mógł ukarać tego, który tak go załatwił. Eliza przyjrzała mu się i pomyślała, że winowajcą mógł być Wilmański. A jeśli tak, to Hertz jeszcze z nim nie skończył. To zadanie będzie należało do tego człowieka.

– Albo nas wpuścisz, albo pójdziesz z nami.

Popatrzył na nią, jakby mówiła w obcym języku. Chwilę trwało, nim dotarło do niego znaczenie tego, co usłyszał. Potrząsnął głową, roześmiał się, a potem ściągnął kaszkiet i przeczesał włosy.

– Wybieram drugą możliwość – zadeklarował. – Kawalek dalej mam wolny pokój.

– Odsuń się – odparła Zarzeczna, kładąc rękę na kaburze.

Rozmówca natychmiast sięgnął za plecy.

– Spokojnie – dodała. – Nie rób nic lekkomyślnego. Jesteśmy dwie, ty jeden.

Czekała na jakąś uwagę związaną ze słabością ich płci, ale Bannik milczał. Nie wyglądał na zbyt lotnego, ale zważył chyba wszystkie za i przeciw, dochodząc do wniosku, że w istocie nie jest ważne, czy kobieca, czy męska dłoń trzyma rewolwer.

Zarzeczna łudziła się, że tak jest, jeszcze tylko przez moment.

Potem zrozumiała, dlaczego rozmówca zamilkł.

Za nimi stało dwóch mężczyzn z bronią, z Siennej wyszło dwóch kolejnych. Zdawali się tylko czekać na odpowiedni moment. Eliza skarciła się w duchu za to, że nie była na to przygotowana. „Mokradło” stanowiło oazę spokoju Fryderyka Hertza, było jednym z najpilniej strzeżonych wyszynków Banników. Należało przyjąć, że jest pod ciągłą obserwacją.

– Pozakładaliście mundury i myślicie, że to wystarczy, żeby wejść w nasz świat? – zapytał mężczyzna w kaszkiecie. – Nie tak szybko. Chcecie tańczyć z nami, musicie nauczyć się kroków.

Trzęsącą się dłonią Eliza odpięła kaburę z nagantem.

– A nauka nie jest bezbolesna – dodał Bannik.

Zarieczna wyciągnęła broń. Zrobiła to właściwie bezrefleksyjnie, kierowana tym, czego nauczono ją na kursie. Sytuacja była nad wyraz jasna. Zagrożono im, a one miały zrobić wszystko, by pokazać, że zachowania sprzeczne z prawem nie będą dłużej tolerowane.

Spojrzała na Salomeę. Ona również wyjęła naganą.

Eliza z niepokojem pomyślała, że jeśli sprawia takie wrażenie jak jej towarzyszka, dzisiaj wysłą tylko jeden sygnał – członkinie policji kobiecej potrzebują przynajmniej jeszcze jednego przeszkolenia, by stworzyć odpowiednie kadry.

– Nie podoba się nasz taniec, idźcie na dansing do „Adrii” albo „Oazy”. Tutaj tańczy się w rytm pocisków.

Uniosła powoli broń i wycelowała ją w mężczyznę. Zaśmiał się, a potem potoczył wzrokiem po wszystkich swoich towarzyszach, jakby chciał przypomnieć jej, że są otoczone.

– Naprawdę? Tego chcecie? – spytał.

– A wy? – odparła z nadzieją, że jej głos zabrzmiał pewnie. – Zależy wam na tym, żeby na oczach tych wszystkich ludzi zastrzelić dwie policjantki? W pierwszy dzień funkcjonowania nowej formacji?

Zbliżył się o krok, nadal trzymając dłoń za plecami.

– A kogo to obchodzi? – syknął.

– Komendanta głównego. Policja kobieca to jego pomysł. I to on będzie najbardziej rozsierdzony, jeśli...

– Nie obchodzi mnie komendant główny.

– Teraz być może nie. Ale kiedy przyśle tu całe zastępy funkcjonariuszy, zapewniam, że to się zmieni. – Zacisnęła palce mocniej na uchwycie naganta. – A teraz przesun się i pozwól nam wejść.

Mężczyzna powoli wsunął obie ręce do kieszeni spodni. Przechylił głowę na bok, po czym przyjrzał się Zariecznej.

– Jeśli tam wejdziecie, nie będziesz miała argumentu ze świadkami.

– Przepuść nas, już!

Potrząsnęła bronią i kątem oka dostrzegła natychmiastową reakcję pozostałych Banników. Zbliżyli się, przygotowując do oddania strzału. Eliza powtarzała sobie w duchu, że nie zrobią tego na środku ulicy. Że będą mieli na względzie to, o czym wspomniała. Komendant rzeczywiście musiałby zareagować ostrzej niż zwykle, ale...

Czy szeregowi żołnierze Hertza zdawali sobie z tego sprawę? Obawiała się, że za bardzo zbliżyła się do poznania odpowiedzi na to pytanie.

Przez chwilę wszyscy trwali w bezruchu. Nawet dzieciaki wbiegające i wybiegające z bram zdawały się na moment gdzieś zniknąć. Zarieczna przypuszczała, że ten, kto odezwie się pierwszy, ustąpi nieco pola drugiej stronie.

Czując, jak fala gorąca oplata jej ciało, zmusiła się do tego, by milczeć. Z każdą chwilą trudniej było wytrwać, tym bardziej, że z wycelowanych w nią pistoletów zdawały się spozierać na nią ślipia śmierci.

– Czego tu w ogóle szukacie? – zapytał w końcu mężczyzna w kaszkiecie. – Jeśli chcecie się napić, posłuchać muzyki, jest wiele innych miejsc. Tutaj kobiet nie

wpuszczamy.

– Mamy równe prawa.

– W polityce może tak, w takich miejscach nie.

Właściwie miał trochę racji. Do niedawna nie wpuszczano ich do żadnych lokali, dopiero od pewnego czasu przez kraj przetaczała się fala racjonalnego podejścia, a kobiety zaczęły wypełniać sale i parkiety. Miejsca rozrywki zmieniały swój charakter, przestały być przygnębiającymi spelunami i przekształcały się w świątynie dobrej, wesołej zabawy.

Powiodła wzrokiem po zabrudzonych szybach „Mokradła”. Tutaj było inaczej. A wewnątrz wciąż mógł znajdować się człowiek, któremu chciała pomóc.

Zerknęła na pozostałych Banników i ostatecznie musiała pogodzić się z tym, że nie uda jej się dostać do lokalu. Sprawa płci była drugorzędna. Ci ludzie otrzymali rozkaz od swojego dowódcy i byli gotowi rozpętać piekło na ziemi, byleby wypełnić go co do joty.

– Szukam Wilmańskiego – powiedziała Eliza. – Jeśli tam jest, wyprowadź go albo ściągniemy tutaj znacznie więcej funkcjonariuszy.

– Nie znam.

– To Wołyniak, który prawdopodobnie zgotował ci ten los. – Wskazała na bandaż.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– O twoim nosie, który...

– Z moim nosem wszystko jest w porządku. A wewnątrz nie ma żadnego Wołyniaka.

– W takim razie mam wrócić z posiłkami? Taka jest twoja decyzja?

Wzruszył ramionami.

– Wszystko mi jedno. Nie ma tam osoby, której szukacie.

– W porządku – odparła Zarzeczna. – Ale wrócimy tu za godzinę. I jeśli znajdziemy go martwego na jednym z tych podwórek, gdzie porzucacie ciała, nie będziemy mieć najmniejszych wątpliwości, co się stało.

Powoli opuściła broń. Nie był to wymarzony finał tej próby sił, ale uznała, że mogło być znacznie gorzej.

– Powiedz reszcie, żeby schowała rewolwery.

Mężczyzna w kaszkiecie nie odezwał się słowem, ale nie musiał. Bannicy zrobili to, czego oczekiwała. Dopiero teraz zrozumiała, że jej rozmówca nie był stróżem tego miejsca. Nikt nie patrzył na niego wyczekująco, licząc na rozkazy. Przeciwnie, ignorowali go.

Zorientowała się, że czeka przed wyszynkiem na swoją kolej, by zostać przyjętym przez Hertza.

Eliza wycofała się, nie chowając broni. Wraz z Kier odchodziły powoli, nie spuszczać wzroku z Banników. Ci stracili już zainteresowanie nimi. Rozchodzili się każdy w swoją stronę, niczym przypadkowi przechodnie.

Ruch na ulicy szybko wrócił do normy.

– Nigdy więcej... – szepnęła Salomea i otarła czoło.

– Nigdy? Wrócimy tu za godzinę.

– Eliza...

– Musimy tylko rozmówić się z komisarz. Potrzebujemy większej grupy.

– Będzie już za późno – zaproponowała stanowczo Kier. – Jeśli jeszcze go nie zabili, zaraz to zrobią.

Zaręcznej wydawało się to mało prawdopodobne. W takiej sytuacji Fryderyk Hertz nie będzie podejmował niepotrzebnego ryzyka. Niestety nie oznaczało to, że Wilmańskiemu nic nie grozi. Przeciwnie. Eliza przypuszczała, że ujdzie z życiem, ale cena będzie ogromna.



# Rozdział ósmy

Ernest robił wszystko, by wyrwać się dwóm osiłkom, ale ostatecznie musiał uznać swoją porażkę. Nie było sensu się szarpać, tylko pogarszał sytuację. Uspokoił się na tyle, na ile było to możliwe, a potem opanował drżenie całego ciała.

Jeden z mężczyzn przytrzymał jego szczękę od dołu. Mieli w tym doświadczenie, każdy ich ruch zdawał się wyuczony. Wilmański zastanawiał się, ilu nieszczęśników potraktowali w taki sposób, ale szybko doszedł do wniosku, że sami zapewne stracili rachubę.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że przed momentem na własne oczy widział, jak wygląda cały proceder. Wyobraźnia zrobiła resztę. Przypuszczał, że Fryderyk ustawił się tuż obok, podniósł zaciśniętą pięść i zaraz opuści ją na jego głowę, jakby walił młotem w kowadło.

Nie mógł liczyć na ratunek. Był w obcym mieście, nie znał tu nikogo, kto przyszedłby mu w sukurs. Zresztą nawet w rodzinnych stronach w podobnej sytuacji musiałby liczyć wyłącznie na siebie.

Czy miał jakąś kartę przetargową? Możliwe.

Problem polegał jednak na tym, że znalazł się w położeniu, w którym trudno było wyartykułować swoje racje.

Mimo to spróbował. Pierwsze słowa były pełnym bełkotem, żaden z mężczyzn nie miał szans, by go zrozumieć. Wilmański zamknął oczy i zrobił wszystko, by rozchylić szczękę nieco bardziej. Choćby na tyle, by wydusić z siebie jedno słowo.

W końcu mu się udało.

– Heroina – powiedział.

Czekał na uderzenie z góry, ale nie nadchodziło. Serce waliło mu jak młotem. Ostatnim razem czuł się tak, kiedy lata temu wchodził na ring przed starciem z lokalnym czempionem. Nie miał jeszcze doświadczenia, nie wiedział, że klucz do zwycięstwa tkwi w zachowaniu spokoju, a nie wyzwalaniu w sobie furii. Wówczas dał się porwać emocjom. Teraz zachował zimną krew.

I opłacało się.

Poczuł, jak jeden z mężczyzn rozluźnia chwyt. Po chwili drugi puścił jego szczękę i złapawszy go za włosy, poderwał mu głowę do góry. Ernest spojrzał na pochylającego się nad nim Hertza.

– Co powiedziałaś?

– Że heroina sprawi ci problem.

Fryderyk po raz pierwszy wydawał się naprawdę zaintrygowany.

– Nie do końca rozumiem – przyznał. – Skąd pomysł, że mam cokolwiek wspólnego z heroiną?

– Stąd, że proszek został na blacie.

Hertz powiódł wzrokiem po stoliku. Dostrzegłszy kilka ziarenek białego proszku, uśmiechnął się pod nosem, a potem zamaszystym ruchem ręki strzepnął je na

podłogę.

– Winszuję spostrzegawczości – odezwał się. – A teraz...

– Poczekaj.

– Na co?

– Będziesz potrzebował pomocy.

– Mam ludzi od sprzątanania. Nie potrzebuję dodatkowych rąk do pracy.

– Nie to mam na myśli.

– A zatem wysłów się, Wołyniaku, bo niepotrzebnie kluczysz. – Fryderyk pochylił się jeszcze bardziej. – Chyba że jesteś jednym z tych, którzy lubią zbliżać się niebezpiecznie do śmierci, zaglądać jej prosto w oczy, a potem liczyć na to, że ona nie spojrzy na ciebie z powrotem.

Wilmański szarpnął barkiem i zacisnął usta. Przeszło mu przez myśl, by poprawić Hertza, że nie przyjechał z Wołynia, a z Wileńszczyzny. Uznał jednak, że to bez znaczenia.

– Mówię o morfinistach, kokainistach i innych, z którymi będziesz miał do czynienia.

Hertz milczał, przyglądając mu się, jakby był okazem jedynym w swoim rodzaju.

– Ale nie tylko z nimi – dodał Ernest. – Jeśli wejdziesz w tę sferę działalności, to...

– Wejde? Skąd myśl, że dotychczas się tym nie zajmowałem?

– Intuicja.

Fryderyk zastanawiał się przez moment, który dla Wilmańskiego trwał w nieskończoność. W końcu wyprostował się, przeciągnął dłońmi po marynarce, po czym zajął swoje miejsce. Poprawił ułożenie kapelusza na stoliku i powoli skinął głową do swoich ludzi.

Puścili Ernesta, a ten głęboko zaczerpnął tchu. Obrócił się przez ramię, posłał jednemu i drugiemu wrogie spojrzenie, a potem szarpnął za poły kamizelki.

– Przed spotkaniem ze mną musiałeś widzieć się z kimś, kto zajmuje się przemytem heroiny – odezwał się Wilmański. – Pokazywał ci towar, być może któryś z twoich ludzi sprawdzał jego jakość.

Fryderyk się nie odzywał.

– Gdybyś zajmował się tym już od jakiegoś czasu, nie załatwiałbyś takich spraw osobiście. Zostawiłbyś je porcjarzom lub innym podwładnym znajdującym się niżej od nich w hierarchii. Fakt, że towar trafił prosto do „Mokradła”, dowodzi, że to pierwszy kontakt.

Hertz zapalił papierosa, zaciągnął się, po czym włożył go między dwa palce i machnął ręką w stronę osiłków. Oddalili się, a Wilmański poczuł, że złapał wiatr w żagle.

– Orientujesz się trochę w temacie.

– Lepiej niż przypuszczasz.

Grobową miną Fryderyka świadczyła o tym, że najwyższy czas przejść do konkretów. Wszelkie pozory znikły. Teraz Ernest miał przed sobą człowieka, który oczekiwał rozmowy o interesach.

– Ściągasz tylko heroinę? – zaczął.

Hertz skierował na niego obojętny, jakby zgaszony wzrok.

– Spowiadam się jedynie przed kapłanem.

– A jednak będziesz musiał coś mi zdradzić – zaproponował Wilmański. – Inaczej ci nie pomogę.

– W czym konkretnie?

– W uniknięciu kłopotów.

– Nie sądziłem, że jakiegokolwiek mi grożą.

Ernest nie miał zamiaru odpowiadać. Mogli wymieniać się werbalnymi ciosami bez końca, w dodatku Hertz doskonale zdawał sobie sprawę, że im więcej mu zdradzi, tym więcej sam się dowie.

– Nie doniosę – odezwał się Wilmański. – Nie musisz się tego obawiać.

– Wiem.

Ernest skinął głową z umiarkowaną wdzięcznością.

– Jesteś w końcu zdany na moją łaskę – dodał Fryderyk. – A takim ludziom z zasady należy ufać.

– Więc? Tylko heroina?

Gospodarz strzepnął leniwie popiół i wypuścił dym nosem.

– W mieście, gdzie panuje morfinomania? Bądźże poważny, Wołyniaku.

– Morfinomania?

– Nie czytujesz chyba zbyt wielu gazet.

– Tych stołecznych nie miałem jeszcze okazji przejrzeć.

– Błąd. Sporo możesz się z nich dowiedzieć.

– Na przykład?

– Choćby tego, że mamy tutaj tak naprawdę dwa rynki zbytu. – Fryderyk urwał, ściągnął brwi, a potem odłożył papierosa i skrzyżował ręce na stole. – Nie, o tym nie piszą.

Wilmański również położył dłonie na stoliku. Spojrzeli na siebie, jakby zamierzali siłować się na rękę.

– Pierwszy rynek to ludzie zamożni, drugi to zwykli mieszkańcy. Ci pierwsi gustują w eukodalu, eterze czy heminie.

– Oraz haszyszu.

Jeśli Fryderyk był pod wrażeniem, nie dał tego po sobie poznać. Właściwie wbrew temu, co twierdził, była to wiedza gazetowa. Ze względu na ekscesy Witkacego wieść o ulubionych substancjach artystów i ludzi zamożnych rozeszła się lotem błyskawicy po całym kraju. Każdy chciał być tak samo natchniony, zyskać tak samo magnetyczną osobowość jak ci, którzy poruszali wyobraźnię publiczności.

– Większość klientów preferuje jednak morfinę – ciągnął Hertz. – Jest nieco droższa od kokainy, ale nie tak droga jak heroina. Warszawa zwariowała na jej punkcie, stąd nagłówki o morfinomanii.

– Opium?

– Również w niższych warstwach.

– I czym zamierzasz handlować?

Usta Fryderyka nie drgnęły, ale jego oczy zdawały się mówić, że w duchu uśmiecha się na samą myśl, że stanie się jednym z tych, którzy rozwijają tę nową gałąź



miejskich interesów. Wyglądał, jakby dążył do tego od jakiegoś czasu.

– Wszystkim – odparł. – Ale nie interesuje mnie jedynie handel.

– Zatem co?

Nabrał głęboko tchu, sygnalizując, że to będzie dłuższy wywód. Wilmański nie miał nic przeciwko – im dłużej rozmawiali, tym szybciej malało prawdopodobieństwo, że Bannicy się go pozbędą.

– W tej chwili większość transakcji odbywa się w cukierniach – zaczął Hertz. – Samozwańczy porcjarze sprzedają niewielkie ilości tego i owego, zdobywając je ze składnic aptekarskich. I dobrze na tym wychodzą. Gram kokainy kupują po dwanaście złotych, sprzedają za dwadzieścia.

– Mhm.

– Moim zdaniem powinni oddawać część swojego zarobku takim ludziom jak ja.

– Jak ty?

– Takim, którzy tworzą im warunki do funkcjonowania.

– Trudno się z tym nie zgodzić – odparł Wilmański, choć na dobrą sprawę nie była to prawda. Warunki do odurzania się były zawsze, bez względu na to, czy ten lub inny gang skupiał na sobie uwagę wszystkich służb, czy nie. – Chcesz więc, by płacili ci daninę.

– Myślałem raczej o formie wdzięczności za moją protekcję.

– Oczywiście.

– Nie pochwalasz?

– Przeciwnie. Choć sądzę, że powinieneś zainteresować się także tymi, którzy stoją na samym początku tego łańcucha.

Fryderyk przytknął palce do skraju cienkiego wąsa, a potem je zsunął. Zmrużył oczy, czekając na wyjaśnienie.

– Porcjarze nie kupują w składnicy, a od aptekarzy. Oni zaś nie kradną towaru, bo wszystko jest ewidencjonowane. Sami kupują go w składnicach. Za złoty dwadzieścia, jeśli idzie o kokainę.

– Doprawdy?

Wilmański skinął głową.

– To oni zarabiają najwięcej, ryzykując najmniej, bo o ile papiery i stan magazynowy muszą się zgadzać, nikt nie sprawdza, co się później dzieje z towarem. Powinieneś się tym zainteresować.

– Z pewnością tak zrobię.

– Ale oprócz tego zamierzasz sam organizować handel.

– Oczywiście. Bannicy właściwie zostali do tego stworzeni.

Ernest w to nie wątpił. Każda organizacja chciała w końcu zająć się tym, co najbardziej dochodowe. Obrót substancjami rozweselającymi nocne życie robotników, mieszczaństwa i śmietanki towarzyskiej był zaś nie tylko zyskowny, ale także rozwojowy. Nie trzeba było czytać gazet, by wiedzieć, po co sięga coraz więcej ludzi.

– W takim razie znalazłeś źródło w Niemczech.

Hertz lekko skinął głową.

– I organizujesz przerzut przez Wolne Miasto Gdańsk.

– Już zorganizowałem.

Wilmański poczuł się nieswojo. Uświadomił sobie, że usłyszał już stanowczo zbyt dużo, by tak po prostu opuścić „Mokradło”. Albo zostanie wyniesiony tylnym wyjściem w szmacianym worku, albo opuści tę spelunę jako człowiek związany z Bannikami. Trzeciej możliwości nie było, a żadna z tych dwóch nie wydawała się zbyt korzystna.

Pomyślał, że to tyle, jeśli chodzi o jego karierę pracownika kasy wekslowej lub biuralisty.

– I tu zaczną się twoje kłopoty – powiedział.

Hertz przez moment się zastanawiał. Mógł zapytać o konkrety, ale najwyraźniej miał już wystarczająco dużo domysłów, by samemu ukuć solidną hipotezę.

– Pozwól, że teraz ja będę spekulować – odezwał się.

– Proszę.

– Na wschodzie nie zajmowałeś się jedynie boksem. A przynajmniej nie zawsze na ringu.

Wilmański skinął głową.

– Przyjechałeś z Wilna.

– Owszem.

– A zatem byłeś lub jesteś związany z Bruderferajn, przyjacielu.

Ernest nie musiał odpowiadać. Był to rzeczywiście logiczny wniosek, a renoma Bruderferajn rozciągała się na cały kraj. Grupa ta stanowiła największą organizację przestępczą w Polsce, którą co odważniejsi pismacy porównywali do innych tego typu ugrupowań na świecie – sycylijskiej Czarnej Ręki, amerykańsko-irlandzko-polskiego Gangu North Side, irlandzkiego Gangu Białej Ręki czy chicagowskiej organizacji pod wodzą Johnny’ego Torrio.

Każdy kraj miał swoją własną Bruderferajn. Wieści o zorganizowanych grupach dochodziły z kolejnych miejsc, a większość zdawała się wzorować na tym, co robili Sycylijczycy. Na tworzeniu odpowiedników rodzin. Dbano o członków i ich bliskich, jakby wszystkich łączyły więzy krwi. Zdrajców, którzy sprzeniewierzyli się zasadom, poddawano formalnym sądom.

Włoskie prowincje Palermo, Trapani, Caltanissetta, Enna czy Agrigento były pionierami. I być może ich wpływ ograniczyłby się do Italii, gdyby Benito Mussolini nie rozgonił mafii. Przestępcy rozpierzchli się jednak po świecie, a wraz z nimi ich idee.

Bruderferajn jako pierwsza w Polsce przyjęła model sycylijski, a inne organizacje szybko zaczęły do nich równać. Wilmański z racji wykonywanych zadań musiał trzymać rękę na pulsie i wiedział, że zarówno Biali Bracia w Łodzi, jak i Banda Władka w Sosnowcu zaczynały powoli kierować się podobnymi standardami. Oznaczało to, że niebawem będą postrzegać się jako równorzędni gracze, a zatem staną się konkurentami dla Bruderferajn.

Do tej pory nie można było powiedzieć tego o żadnej organizacji z Warszawy. Panowała tutaj zupełna samowolka, Wilmański nie znał nawet nazw gangów ze stolicy. Słyszał o Kercelaku, to wszystko. Oprócz tego musiało być ich tutaj całe mrowie.

Jeśli Bannicy chcieli się wybić, nie przyjdzie im to łatwo. I nie obędzie się bez ofiar.

Ernest patrzył na rozmówcę badawczo, zastanawiając się, czy zdaje sobie z tego sprawę.

– Przysłali cię tutaj na przespiegi? – odezwał się w końcu Fryderyk.

– Nie.

– Więc co tu robisz?

– Uciekam przed przeszłością.

– Z powodzeniem?

– To się okaże. Na razie musi ci wystarczyć, że nie ma dla mnie odwrotu.

– Być może wystarczy – przyznał Bannik. – Wszystko zależy jednak nie od twojej przeszłości, a przyszłości.

Wilmański pokiwał głową, cofnął ręce, a potem skrzyżował je na piersi. Odgiął się na krześle i zaczął mówić. Zaczął od kilku uniwersalnych spraw, mających pokazać, że w istocie zna się na rzeczy. Poradził Hertzowi, by żaden z jego ludzi nigdy nie dokonywał bezpośrednich transakcji – cukiernicy radzili sobie tak dobrze, bo najpierw odbierali od klienta zapłatę, a potem wskazywali paczkę ciastek, papierosów lub zapalek, w których znajdował się zakupiony towar. Przy większych transakcjach należało postarać się bardziej, ale zasada była podobna.

Fryderyk słuchał z obojętnością. Wilmański zdawał sobie sprawę, że rozmówca musiał już dawno zasięgnąć języka, niewątpliwie był przygotowany do wejścia na nowe terytorium. Cały monolog Ernesta miał jedynie potwierdzić jego własne kompetencje.

I jeśli błysk, który ostatecznie pojawił się w oczach gospodarza, mógł o czymkolwiek świadczyć, to należało uznać, że Wilmański odniósł sukces.

– W porządku – odezwał się Hertz. – Wygląda na to, że możesz okazać się pomocny.

– Owszem. A ty pomocy potrzebujesz.

– Nadal nie wyjawileś, dlaczego tak uważasz, Wołyniaku.

Ernest rozplótł ręce, po czym spojrzał pytająco na papierośnicę. Kiedy Fryderyk mu ją podsunął, chętnie się poczęstował.

– Bo rozpętasz burzę – oznajmił. – Przypuszczam, że znalazłeś nowych dostawców. Takich, którzy nie zaopatrują Bruderferajn, bo w przeciwnym wypadku nie sprawdzałyś o poranku jakości towaru, tylko ziemi na najbliższym cmentarzu.

– Słabo mnie znasz.

– Znam za to przemysłników z Niemiec i pośredników w Gdańsku. Nie będą zadowoleni, że otworzył się nowy kanał. Bruderferajn być może nie będzie mieć nic przeciwko, biorąc pod uwagę odległość dzielącą Warszawę i Wilno, ale ci, którzy teraz mają monopol...

Wilmański urwał i zapalił papierosa.

– Szykuj się na wojnę – skwitował, wypuszczając dym.



# Rozdział dziewiąty

To nie była łatwa pobudka. Eliza Zarieczna przespała znacznie mniej godzin, niż planowała, a wszystko dlatego, że przez pół nocy nie mogła zmrużyć oka. Wyobraźnia rysowała przed nią niepokojące, na poły abstrakcyjne obrazy Banników znęcających się nad Wilmańskim.

W pewien sposób czuła się za niego odpowiedzialna. Zwerbowanie go stanowiło jej pierwsze zadanie, być może dlatego. Powodzenie tego przedsięwzięcia wydawało jej się kluczowe, ale szybko przekonała się, że przełożeni nie podzielają jej zaangażowania.

Kiedy odmówiono wysłania liczniejszej grupy do „Mokradła”, zrozumiała, że próba werbunku była właściwie strzałem w ciemno. Miała stanowić sprawdzian dla niej i Salomei, nic ponadto. Gdyby się udało, komisarz byłaby wniebowzięta. Fiasko nie wiązało się jednak z żadnymi konsekwencjami, przynajmniej nie dla nich.

Zupełnie inaczej musiało być w przypadku Wilmańskiego.

Przez kilka godzin przed snem powtarzała sobie, że nie powinna się nim przejmować. Zagroził jej, odebrał broń, a właściwie może nawet poniżył na oczach przechodniów. Nie potrzebowali dodatkowych powodów, by traktować policjantki jako słabszą wersję funkcjonariuszy, a mimo to je otrzymali.

Zarieczna potarła oczy, a potem zrzuciła z siebie kołdrę. Usiadła na łóżku, przeciągnęła się i spojrzała na prześcieradło. Dostrzegłszy niewielką czerwoną plamkę, zaklęła w duchu. Tylko tego było jej dzisiaj potrzeba.

Podniosła się, zabrała z szuflady kilka rzeczy i przeszła do kącika higienicznego. Spojrzała na miednicę, dzbanek z wodą i mydło tymolowe. Potem przystąpiła do opłukiwania się. Właściwie robiła to znacznie częściej niż ojciec i matka. Swego czasu rodzice kręcili nosem na jej zwyczaje, twierdząc, że szkoda wody i w zupełności wystarcza mycie się od wielkiego dzwonu, ale ostatecznie dali za wygraną. Żyli jeszcze w poprzedniej epoce – i nie byli jedyni.

Obmywszy się z grubsza, Eliza owinęła się ręcznikiem i przechyliła przez próg.

– Jest wata? – rzuciła.

– Nie ma – odparła matka. – Przyjadą tragarze w przyszłym miesiącu, to się kupi.

– Nie mogłabyś pójść na Kercelak?

– Nie ma kiedy. Załóż, co trzeba.

Zarieczna westchnęła, a potem wróciła do sypialni i wyjęła ponadpółmetrową wkładkę, ręcznie uszytą przez matkę. Jej własnej roboty był także pas, który trzymał podpaskę. Matka wyhaftowała na nim nawet inicjały Elizy.

Chwilę trwało, nim uporała się z założeniem jednego i drugiego, a potem sprawdziła, czy wszystko jest w porządku. Z zazdrością myślała o tych wszystkich, które stać było na jednorazowe podpaski. Żadnego wygotowywania, żadnego czyszczenia, miejsce na materiał wypełniający, sama wygoda.

Ale ona prędzej czy później też się zaopatrzy. Praca w policji być może będzie się wiązała jeszcze z wieloma nieprzespanymi nocami, ale pieniądze w końcu zaczną

spływać.

Eliza przez moment trwała w bezruchu. Kogo chciała oszukać? Doskonale zdawała sobie sprawę, że pierwszą wypłatę przeznaczy na spłatę ojcowskich długów. Pozaciągał ich trochę i wprawdzie terminy spłat były jeszcze odległe, ale niemądrze było mieć zobowiązania wobec ludzi, którzy uprawiali lichwę.

Zarieczna opuściła niski, ceglany budynek i ruszyła w kierunku Śródmieścia. O wzięciu rikszy, dorożki czy tramwaju nawet nie pomyślała, choć w taki dzień jak dzisiaj odpuszczenie sobie spaceru byłoby wysoce wskazane.

Miała nadzieję, że podczas porannej odprawy usłyszy pokrzepiające, zachęcające do walki słowa. Że poczuje, iż to właśnie one, nowo powołane policjantki, mają być ostoją bezpieczeństwa dla kobiet, które na co dzień są wykorzystywane przez mężczyzn do zarabiania na ulicach.

Zamiast tego usłyszała suchy raport, a potem przydział obowiązków.

– Posterunkowe Zarieczna i Kier, będziecie uczestniczyły w oględzinach zwłok.

Wywołane funkcjonariuszki wymieniły się niepewnym spojrzeniem.

– Ofiarę znaleziono w waszym rewirze, dochodzenie prowadzi oficer... – Komisarz urwała, by zerknąć w notatki. – Referatu spraw kryminalnych wydziału czwartego... – Znowu zawiesiła głos, przesuwając palcem po kartce. – Cóż, nie ma nazwiska. Chodzi o Centralę Służby Śledczej. Poprzyglądacie się, co robi, jak robi i w jakim celu. Nauczcie się czegoś.

Eliza skinęła głową, choć ton przełożonej bynajmniej nie nastrojał optymistycznie. Przeciwnie, brzmiała, jakby miała żal za wczorajsze potknięcie. Być może gdyby to od niej, a nie od komendanta zależało wysłanie posiłków na Wielką, udałoby się wyciągnąć Wilmańskiego z „Mokradła”, pomyślała Zarieczna.

– Ofiara została utopiona – dodała komisarz.

Eliza dopiero teraz na dobre się przebudziła.

– Kobieta czy mężczyzna? – zapytała.

– Nie wiem nic więcej, tyle mi przekazali. Wszystkiego dowiedziecie się na miejscu.

– To znaczy gdzie?

– Ciało znaleziono tuż za dworcem.

Nikt nie był zdziwiony utopieniem. Zarówno funkcjonariuszki, jak i pozostali policjanci zdążyli przyzwyczaić się do tego, że topielców w Warszawie odnajduje się coraz więcej. Bannicy doskonale znali się na swojej robocie – i mieli sposób, dzięki któremu jasno zaznaczali, że są odpowiedzialni za śmierć ofiary, jednocześnie nie pozostawiając żadnych dowodów.

Spotkanie zakończyło się chwilę później, kiedy pozostałe dwójki otrzymały swoje przydziały. W większości sprowadzały się do pilnowania obyczajności, w kilku przypadkach sprawdzenia sytuacji rodzinnej uczennic paru szkół, a jeden z duetów miał dobrać się do sutenera prowadzącego interes niedaleko Krakowskiego Przedmieścia. Był to dobry rewir, być może najlepszy.

Eliza nie mogła powiedzieć tego o okręgu ósmym, który przypadł jej i Kier. Właściwie nie mogły trafić gorzej.

Kiedy przeszły Alejami Jerozolimskimi na miejsce zdarzenia, z oddali wypatrzyły

oficera Urzędu Śledczego. Znajdował się na tyłach dworca, przy nieużywanych torach. Eliza nie mogła dostrzec ciała, ale widziała doskonale, co robi policjant. Miał niewielki notes, w którym skrupulatnie coś zapisywał, raz po raz spoglądając na zwłoki. Na moment uniósł głowę, postukał ołówkiem w skroń, przygryzł wargę, a potem znów zaczął notować.

Kiedy do niego podeszły, spojrzął na nie przelotnie.

– Posterunkowa Zarzeczna – przedstawiła się Eliza i wskazała na towarzyszkę. – A to posterunkowa...

– Starszy przodownik Romer.

Niski stopień, uznała Eliza, i wbrew temu, co twierdziła przełożona, nie był to oficer. W drabince służbowej znajdował się od nich raptem dwa stopnie wyżej. Należało się chyba jednak tego spodziewać – takich topielców było sporo i komenda nie miała zamiaru tracić na nie czasu doświadczonych dochodzeniowców.

Przodownik nabrał głęboko tchu, a Zarzecznej zrobiło się słabo. Chmura smrodu zdawała się unosić nad zwłokami. Pojawiły się pierwsze, głośno bzyczące owady, których nie udawało się odgonić.

Salomea cofnęła się o krok, Eliza strzepnęła z rękawa marynarki natrętnie muszysko.

– Mamy tu mężczyznę. Dwadzieścia kilka lat. Przyczyna zgonu ewidentna.

Eliza osłoniła dłonią usta i z zaciekawieniem spojrzała na Romera. Ile czasu było potrzeba, by w bliskiej obecności śmierci móc sięgnąć po tak urzędowy ton? Chciała zapytać, ale ostatecznie uznała, że najlepiej zachować milczenie. Starszy przodownik z pewnością nie był zadowolony z ich obecności, a rozmowa tylko skomplikowałaby sytuację.

– Sprawa jest prosta, ale parę rzeczy trzeba sprawdzić. – Przykucnął przy zwłokach, po czym obejrzał się przez ramię. – Będziecie tak stały?

Salomea zbliżyła się ostrożnie, a Eliza stanęła przy policjancie. Wzbraniała się przed spojrzeniem na ofiarę.

– Kucnij obok.

– Postoję.

– Kucnij, do kurwy nędzy. To nie państwowa służba cywilna, żeby sobie dyskutować.

– Tak jest.

Niechętnie przykucnęła obok, czując, jak paski wrzynają jej się w biodra. Skrzywiła się i pomyślała, że takich sytuacji z pewnością będzie więcej. Policjanci nie mieli pojęcia, jak wygląda kobiecy świat. Tę sytuację należało uznać tylko za ciche preludium do prawdziwych problemów.

Romer wskazał ołówkiem na głowę ofiary. Zarzeczna w końcu zmusiła się do tego, by na nią spojrzeć. Na szczęście nie leżała na wznak, ale policjantka przypuszczała, że ten stan rzeczy niedługo się zmieni.

– Brak wyraźnych obrażeń głowy – powiedział starszy przodownik, po czym wymierzył ołówek w zardzewiałą szynę tuż obok. – A tu widzisz charakterystyczną, podbarwioną krwią, białą pianę.

Eliza się wzdrygnęła. Dopiero, gdy przechyliła się nieco, zobaczyła, że wydobywa się

z ust ofiary.

– W płucach jest płyn obrzękowy, ale to niech cię na razie nie interesuje – dodał i westchnął. – Za to...

– Piana zawsze występuje?

Spojrzał na nią kątem oka.

– Nie zawsze – odparł ciężko. – Bo nie zawsze dochodzi do rozedmy w płucach. Wszystko zależy od tego, w jakich okolicznościach i w jakiej wodzie doszło do utonięcia. W ponad połowie przypadków widać jednak charakterystyczny grzybek piany wydobywający się z ust czy nosa.

Eliza pokiwała głową. Czuła, jakby gardło zwęziło się jej tak, że nie uda jej się przełknąć śliny. Pasy przytrzymujące zdawały się wrzynać jeszcze mocniej w skórę.

– Im dłużej ofiara jest w wodzie, tym więcej piany. Powstaje także w żołądku. Oprócz tego pojawiają się krwawe wylewy w okolicach karku czy płuc. – Wskazał na szyję mężczyzny.

Zaręczona dopiero teraz zrozumiała, że wcześniej obrócił zwłoki na wznak. Być może od rana pracowali nad nimi wyżsi stopniem funkcjonariusze, a ten został tylko po to, by sporządzić notatki i powiedzieć im to i owo.

Najwyraźniej tak było, bo zamknął notes, a potem się podniósł. Zupełnie jakby uznał, że wypełnił rozkaz i jest już wolny.

– Obróćcie ciało, przyjrzyjcie się opuchliznie, zapamiętajcie sobie wszystko.

Wyciągnął papierosa z kieszeni marynarki i mechanicznie odpalił.

– Będziecie widywały takie sceny dość często.

– To Bannicy? – odezwała się w końcu Kier.

Romer uniósł brwi niemal do samej grzywki, po czym rozejrzał się niepewnie. Wyjął papierosa i wbił wzrok prosto w oczy Salomei.

– A kim ty, kurwa, jesteś?

– Posterunkowa Kier.

Podszedł do niej powolnym krokiem i gdyby nie to, że nosił mundur, mógłby uchodzić za przestępcę, który szykował się do konfrontacji. Eliza przez moment chciała zaoponować, stanąć w obronie partnerki, ale w głowie rozbrzmiało jej echo słów o służbie cywilnej.

– O takich rzeczach się tutaj nie rozmawia – syknął starszy przodownik. – To nie twoja liga, dziewczyno, rozumiesz? Takimi sprawami zajmuje się Urząd Śledczy.

– Ale...

– Wy macie odnotować, że znaleziono zwłoki w waszym rewirze. To wszystko.

– A przyczyna śmierci?

– Nie wpisujecie.

Eliza zastanawiała się, czy jest sens protestować. Po chwili uznała, że nie – i w tym momencie zdała sobie też sprawę z tego, w jakim celu się tutaj znalazły. Oczekiwanie, że chciano je przeszkolić, było tylko łudzeniem się. Tak naprawdę zamierzano pokazać im, jak zachować się w takiej sytuacji.

A należało spuścić zasłonę milczenia. Bez wątplenia ktoś płacił za to, by utonięcia nie pojawiały się w oficjalnych dokumentach i by władze nie zainteresowały się tym,



skąd nagle w Warszawie zaczęło się pojawiać tylu topielców.

– Więc mamy to tuszować? – zapytała Zarzeczna.

Romer odwrócił się i spojrzał na nią jeszcze bardziej wyzywająco niż na towarzyszkę.

– Że co proszę?

– Chodzi o to, żeby...

– Żeby ludzie nie panikowali, posterunkowa. Co innego chciałaś zasugerować?

Eliza podniosła się i założyła ręce za plecami.

– Nasz jedyny cel to zachowanie bezpieczeństwa i spokoju publicznego – dodał przodownik, chyba dopiero teraz dostrzegając, że ma do czynienia z osobami świeżo po szkoleniu. Z osobami nieskażonymi prawdziwym wymiarem tej roboty, natomiast przesiąkniętymi ideami i poczuciem misji.

– W takim razie powinniśmy zapobiegać takim sytuacjom – odparła Eliza, wskazując na nabrzmiałe zwłoki.

– I zapobiegamy, jeśli tylko możemy. Druga część tej pracy polega jednak na tym, żeby dzięki nam ludzie czuli się bezpiecznie. A jeśli zaczną rozchodzić się plotki o tym, że znajdujemy coraz więcej topielców i topielic...

Rozłożył bezradnie ręce, jakby czekał, aż dokończy zdanie. Zarzeczna nie miała zamiaru tego robić.

– Nic dobrego z tego nie będzie. Wystarczy, że my wiemy, co się dzieje.

– To nie w porządku.

– Wobec kogo?

– Ofiar.

Mogłaby wymienić jeszcze kilka podmiotów, które zasługiwały na to, by poznać skalę procederu, ale wolała skupić się na tych najbardziej oczywistych.

– Jak mamy wymierzyć sprawiedliwość zabójcom, skoro nie jesteśmy nawet gotowi przyznać, kto to zrobił?

Romer westchnął.

– Od tego jest śledztwo.

– Ale musi się od czegoś zacząć. Od podejrzanych, a w tym wypadku przyczyna śmierci jasno dowodzi, że...

– Niewiele rzeczy na świecie jasno czegokolwiek dowodzi – uciął śledczy. – A teraz odwróćcie to ciało, szkoda czasu.

Policjantki drgnęły, ale nie ruszyły się z miejsca.

– No już, obracajcie. Nie będzie to nic pięknego, ale naoglądacie się jeszcze ohydniejszych rzeczy. Szczególnie jak zaczniecie chodzić po burdelach przy Siennej.

Zarzeczna skinęła na towarzyszkę, a potem pochyliły się nad ofiarą i ostrożnie wsunęły ręce pod ciało. Eliza czuła, że robi jej się słabo. Z tak bliskiej odległości wyraźnie czuła mocz i kał, które wylały się ze zwłok, jakby te były jedynie workiem trzymającym wszelkie nieczystości.

Muchy zdawały się obsiadać całą jej twarz, a gdy pomyślała o tym, gdzie przed momentem się znajdowały, nogi zrobiły jej się jak z waty.

– Nie certolcie się z nim. On już nie żyje.

Sądziła, że pójdzie im łatwo, mężczyzna nie był bowiem przysadzisty. Zwłoki

zdawały się jednak znacznie cięższe, niżby to wynikało z czystej logiki. Eliza pomyślała, że być może kiedy duch opuszcza ciało, zostawia za sobą ciężar tego wszystkiego, co wiązało się z trudami życia doczesnego.

Kiedy w końcu odwróciły mężczyznę, spojrzała w jego mętne oczy i znieruchomiała. Natychmiast poderwała się na równe nogi i cofnęła o krok.

– Spokojnie – rzucił Romer. – On już nie wstanie.

Piana zaschła wokół ust i pod nosem, tuż przy uchu znajdowały się krwawe ślady. Twarz była napuchnięta, a ciemna skóra naciągnięta tak mocno, jakby za moment miała pęknąć. Kilka robaków przemknęło po szyi denata i znikło gdzieś pod ubraniem.

– Znam... znam tego człowieka – powiedziała Eliza.

Popatrzyła na Salomeę, ale ta wpatrywała się gdzieś w dal. I choć Zarzecznej wydawało się to zgoła niemożliwe, partnerka była bledsza niż zwykle.

– Znasz go? Skąd? – zapytał starszy przodownik.

– Wczoraj się z nim spotkałam.

Nagły błysk w oku rozmówcy kazał sądzić, że wywęszył szansę, by zapunktować u przełożonych.

– To ten Wołyniak? – zapytał.

Podniecenie w jego głosie było nad wyraz wyczuwalne. Uzmysłowił sobie, że może rozwiązać całą sprawę tu i teraz, a na komendzie przedstawić już nie tylko hipotezy śledcze, ale i przebieg zdarzeń.

Eliza nie miała złudzeń, że to zmieniliby cokolwiek. Nawet gdyby któryś z najwyższych rangą oficerów zyskał pewność, iż to Bannicy odpowiadają za zabójstwo, nie kiwnąłby palcem. Z jakiegoś powodu dostali wolną rękę, choć jednocześnie głośzono huczne zapowiedzi walki z sutenerstwem, prostytutką i innymi chorobami trawiącymi miasto.

– To on? – powtórzył Romer.

– Nie. To jeden z Banników.

Śledczy skrzywił się i przeniósł wzrok na ciało. Podrapał się ołówkiem pod czapkę oficerską, podnosząc nieco daszek.

– Nie sądzę. Oni nie topią swoich.

– A więc przyznaje pan, że...

– Skończmy te szarady – wpadł jej w słowo. – I niech pani mówi, co wie.

Najchętniej zachowałaby to dla siebie i postarała się, by sprawa podlegała policji kobiecej, ale nie było na to szans. Poza tym Romer miał rację. Rozkaz to rozkaz. Jeśli było coś, co podczas kursu ustawicznie im powtarzano, to właśnie tę frazę.

– Ten mężczyzna wdał się w bójkę z Ernestem Wilmańskim, a potem stał przed „Mokradłem”, gdy chciałam się tam dostać.

– Żartuje sobie pani.

Nie mogła nie odnotować zmiany w tonie rozmówcy. Z jakiegoś powodu pojawiła się w nim nuta szacunku. W dodatku stała się „panią”. Przypuszczała jednak, że ta niekonsekwencja wynika raczej z przyzwyczajenia niż z realnej potrzeby okazania szacunku. Policjanci też nie wiedzieli, jak odnaleźć się w nowej sytuacji.

– Widać nawet ślad po złamaniu nosa – powiedziała.

– Jest pani pewna, że to on?

Pokiwała głową z przekonaniem.

– Kto w takim razie go zabił? – zapytał cicho Romer. – Inna grupa? Czy ten Wołyniak dokończył robotę?

– Niestety nie pomogę.

Potrząsnął głową i spojrzał na nią bykiem, jakby poczuł się urażony.

– Wiem, do cholery. Przecież nie pytam pani, a głośno myślę.

Otworzył notes i przejrzał notatki, a potem zaczął stukać ołówkiem w obwolotę.

Okrażał ciało, przyglądając mu się, ale nie ulegało wątpliwości, że nic więcej z niego nie wyczyta.

Eliza doskonale wiedziała, gdzie szukać odpowiedzi.

Spędziły na miejscu zdarzenia jeszcze kwadrans, nim pojawił się ambulans i zabrał ciało do kostnicy. Romer oddalił się bez pożegnania, zatopiony we własnych myślach.

– Idziemy do „Mokradła” – oznajmiła Zarzeczna.

Nie czekając na odpowiedź Salomei, ruszyła w stronę Chmielnej. Towarzyszka ciągnęła się za nią jak cień, trzymając o dwa kroki z tyłu. Wyglądała, jakby jej ciało nadal nie podjęło decyzji, czy poradzi sobie z nadmiarem emocji.

– Już próbowaliśmy tam wejść – odezwała się w końcu.

– Wczoraj, kiedy Hertz załatwiał interesy.

– On cały czas je załatwia.

– Nie. Dzisiaj będzie inaczej.

Dzisiaj była bardziej zdeterminowana. Uznała, że pozwoli sobie na więcej. Być może już wczoraj powinna była to zrobić. Wprawdzie komisarz zrugowała je za wyciągnięcie broni w miejscu publicznym, ale ostatecznie to do policjantki w terenie należała decyzja. I Eliza przypuszczała, że przełożona koniec końców przełknęłaby nawet bardziej drastyczne postępowanie.

Przed lokalem tym razem nie było czujki, a przynajmniej nie dawało się dostrzec żadnego z Banników. Ale nawet jeśli rozstawieni byli na rogach ulic i już przekazali sobie wieść, że policjantki wróciły, Zarzecznej to nie przeszkadzało.

Fryderyk Hertz i tak nie zdąży przygotować się na tę wizytę.

Weszły do środka i Eliza odniosła wrażenie, jakby znalazła się w samym środku bitwy. Dym wypełniający pomieszczenie zdawał się pochodzić z płonących budynków, nie z papierosów stałych bywalców. Był gęsty, smugi wisiały w powietrzu, a gdy rozganiało się je ręką, natychmiast układały się w kolejne wstęgi.

Śmierdziało potem, alkoholem i nikotyną. Czymś jeszcze, ale w całej tej mieszance trudno było Zarzecznej ocenić czym. Haszysz? Być może. Wprawdzie rzadko palono go w tego typu miejscach, ale Bannicy mogli pozwolić sobie na dużo więcej niż inni mieszkańcy Warszawy.

Z gramofonu płynęła muzyka nijak niepasująca do dusznej atmosfery tego miejsca. Trąbki były zbyt wesołe, dźwięk fortepianu zbyt dostojny, a klarnet dodawał temu wszystkiemu lekkości, która klóciła się z „Mokradłem”.

– Co teraz? – zapytała Salomea.

Zarzeczna ruszyła przed siebie. Powoli z papierosowych oparów wyłaniały się

pojedyncze stoliki i siedzący przy nich ludzie. Z zewnątrz „Mokradło” wydawało się niewielkie, ale sala była przestronna. Miejsca siedzące znajdowały się na tyle daleko od siebie, by każdy mógł prowadzić rozmowę w prywatności.

Spojrzenia zaciekawionych klientów śledziły dwie policjantki. Eliza niemal fizycznie odczuwała niewypowiedzianą groźbę, która się z nimi wiązała. Mimo to szła dalej, zagłębiając się w obcy świat.

W końcu dotarła do ostatniego stolika. Leżał na nim czarny kapelusz, fedora.

Rozejrzała się, ale nie dostrzegła nigdzie ani Fryderyka Hertza, ani żadnego z jego zastępców. Ani nikogo, kto wyglądałby na istotnego członka Banników.

A to właśnie tutaj powinien znajdować się herszt tej bandy. Wiedział o tym każdy, kto chciał poruszać się bezpiecznie w tej części Warszawy. Do „Mokradła” się nie wchodziło. A jeśli już się weszło, pod żadnym pozorem nie można było się zbliżyć do ostatniego ze stolików.

– Co zamierzasz? – upomniała się o uwagę Kier.

Eliza obejrzała się przez ramię.

– Aresztować go.

Salomea otworzyła usta i wstrzymała oddech.

– To nie czas ani miejsce na żarty...

– Nie żartuję. Nie wyjdę stąd, dopóki go nie zatrzymam.

– Ale...

– Potem udowodnię, że któryś z nich odpowiada za śmierć tamtego chłopaka.

Zabrzmiało to, jakby w istocie chodziło o ofiarę. W rzeczywistości jednak Zarzeczną kierowało co innego. Chciała zmiany. Nie po to przebrnęła przez katorżnicze szkolenie wraz z dwudziestoma dziewięcioma innymi kobietami, by teraz oddawać pole przestępcom.

Takie praktyki skończą się dziś. Tu i teraz.

Wraz z nadejściem tej myśli pojawił się Fryderyk Hertz.



# Rozdział dziesiąty

Nie najgorsze mieszkanie, całkiem niemało pieniędzy na start i względnie dobra, stabilna przyszłość. Gdyby ktoś złożył taką propozycję Wilmańskiemu, gdy ten jechał pociągiem do Warszawy, wzięłby to w ciemno. Choć gdyby dołączono informację, że aby móc się tym cieszyć, będzie musiał związać się z organizacją przestępczą, z pewnością zastanowiłby się dwa razy.

Tak czy owak nie miał wyjścia. Otrzymał niewielkie lokum w budynku czynszowym przy Złotej, miał zarabiać znacznie więcej niż biuralista, a do tego Fryderyk obiecał, że jeśli się sprawdzi, w najbliższej przyszłości będzie mógł liczyć na więcej.

Ernest przeciągnął się i odsłonił grubą zasłonę w oknie. Widok z pokoju nie należał do najlepszych, bo ulica była niezwykle wąska, a po drugiej stronie znajdował się identyczny budynek. I niemal identyczny, zmęczony mężczyzna w oknie. Skinęli sobie głowami, po czym Wilmański otworzył lekko okno, wpuszczając do środka poranne, chłodne powietrze.

Wraz z pierwszym podmuchem do mieszkania wpadł też uliczny gwar. Mimo że była dopiero siódma, tragarze, dorożkarze, rikszarze, handlarze, prostytutki, żebracy i złodzieje zdawali się już pracować w najlepsze.

– Zimno – rozległ się zaspany głos. – Po co otwierasz?

– Bo dwie osoby na tak ciasnej przestrzeni potrzebują trochę powietrza.

– Nikt nie każe ci siedzieć w mieszkaniu. Możesz iść na spacer.

Wilmański westchnął i obrócił się w stronę Any. Leżała na łóżku zawinięta w kołdrę. Odstąpił jej miejsce niechętnie, sam kładąc się na podłodze. Właściwie równie niechętnie zgodził się, by spała w jego nowym mieszkaniu. Kiedy jednak okazało się, że alternatywą jest nocleg w bramie, nie miał wyjścia.

Nie nalegała. Przeciwnie, twierdziła, że jest przyzwyczajona do takiego stanu rzeczy. Raz po raz mężczyźni zapraszali ją, by spędziła z nimi noc, ale równie często zdarzało się, że musiała spać na ulicy.

Nie ona pierwsza i nie ostatnia, pomyślał wtedy Wilmański, jednak specjalnie go to nie przekonało. Bił się z myślami tylko przez chwilę, po czym postawił sprawę jasno i nie przyjął odmowy.

– Już żałujesz, że z tobą zamieszkałam?

Przysiadł na parapecie, nieco niepewnie, bo nie był pewien, czy ten nagle nie odpadnie.

– Nie zamieszkałaś ze mną – sprostował.

– Więc co tu robisz?

– Spędziłaś tu noc, bo nie miałaś dokąd pójść.

– Codziennie nie mam dokąd iść.

– To nie mój problem.

– W takim razie wyrzucisz mnie i nie pozwolisz już tu spać?

Ernest zaklął cicho i potarł mocno policzki. Przydałoby się golenie, ale nie kupił

żadnych potrzebnych akcesoriów, a na golibrodę szkoda mu było pieniędzy. Inna sprawa, że w tych okolicach mógłby pewnie znaleźć kogoś, kto takie usługi świadczy półdarmo.

– Skoro mnie nie wyrzucasz, to znaczy, że tu mieszkam.

– Chyba się nie rozumiemy...

– Ja rozumiem sytuację doskonale – zaproponowała Anastazja i uśmiechnęła się przebiegle. – To ty masz problem.

– Owszem, mam.

– A powinieneś robić wszystko, żeby mi się odwdzięczyć.

– Za co?

– No, jak to? – zachnęła się. – Gdyby nie to, że spotkałeś mnie w tamtym zaułku, nigdy nie miałbyś...

– Kłopotów.

– Nie – zaproponowała, siadając na łóżku, a następnie potoczyła wzrokiem dokoła. – Nie miałbyś tego wszystkiego.

– To dość przewrotne przypisywanie sobie zasług.

Wzruszyła ramionami, jakby to ona miała na karku grubo ponad czterdziestkę, a on nie dobił nawet do dwunastego roku życia. Przemknęło mu przez głowę, że urodziwszy się w innych okolicznościach, Ana byłaby typową salonową panienką. Rozstawiałaby po kątach gości w rezydencji rodzinnej, a na wystawnych balach wiodłaby prym.

Tutaj była zaś tylko dzieckiem, które żyło jak dorosły. W najgorszym tych słów znaczeniu.

– Powinieneś stawić się w „Mokradle”. Hertz pewnie już czeka.

Popatrzył na nią ponuro. Ostatnim razem taki ton słyszał z ust matki i był przekonany, że już nigdy więcej nie doświadczy niepokojącego uczucia, że jakakolwiek kobieta może sterować jego życiem.

– Znajdę ci inne lokum – oznajmił. – Na dłuższą metę tak nie może być.

– Dlaczego? Mnie się tu podoba.

– Choćby dlatego, że nie mam jak się umyć.

– Myj się śmiało. Nie takie rzeczy już widziałam.

Wilmański przesunął dłonią po włosach. Nie było tutaj lustro, ale na dobrą sprawę nie potrzebował go, by stwierdzić, że wygląda fatalnie. W tym względzie ten dzień nie mógł różnić się od innych.

Ernest narzucił na siebie pomiętą koszulę i kamizelkę. Zaczął zmudny proces zapinania guzików, co nie szło mu specjalnie dobrze w rękawiczkach. Nie miał jednak zamiaru ich ściągać.

Mała nie pytała o nie, co właściwie było dość dziwne. Teraz jednak przypatrywała mu się wyraźnie zaintrygowana. W końcu pokręciła głową, odrzuciła kołdrę i podeszła do niego. Szybko zapięła mu wszystkie guziki.

– Widzisz? Przydam ci się.

– Gdyby cię tu nie było, ściągnąłbym rękawiczki i poradziłbym sobie sam.

– No tak – przyznała, a potem postawiła mu kołnierzyk.

Chwilę później miał krawat związany tak starannie, jak nigdy wcześniej. Czuł się

trochę niekomfortowo, kiedy go wiązała, ale nie odezwał się słowem.

- Będzie z nas dobrana para.
- Nie mam zamiaru cię utrzymywać.
- Dlaczego nie?

Pytanie było tak niewinne, tak dziecięco szczere, że przez moment nie wiedział, co odpowiedzieć. Właściwie dlaczego nie wziąć jej pod swoje skrzydła? Utrzymanie jej kosztowałoby jedynie ułamek tego, co zarobi. Nie byłby samotny. Ona nie musiałaby pracować na ulicy. Zrobiliby dobry uczynek.

Uśmiechnął się w duchu na te absurdalne myśli. Kim miałby dla niej być? Ojcem, wujkiem? Nie nadawał się do żadnej z tych ról.

- Znajdę ci jakieś miejsce – powiedział.
- Znaleźć to i sama potrafię. Gorzej z opłacaniem.
- Tym też się zajmę.
- Taki z ciebie Samarytanin?

– Nie, ale od czegoś trzeba zacząć odkupywanie swoich win – rzucił na odchodnym, a potem zdjął płaszcz z gwoźdźca i wyszedł na korytarz.

Uznał, że podjął słuszną decyzję. Będzie miał czyste serce, stworzy dziewczynie dobre warunki, by zacząć wszystko na nowo, a jednocześnie nie będzie brał na siebie odpowiedzialności. Wszystko będzie zależało od niej.

Wyszedł na ulicę i ściągnął poły płaszcza. Pogoda była równie parszywa jak wczoraj i dzień wcześniej, nie zanosilo się na żadne zmiany. Ernest ruszył wzdłuż szyn kolejowych w kierunku Wielkiej.

Ulice sprawiały melancholijne, nieco posępne wrażenie. Z jakiegoś powodu Warszawa kojarzyła się Wilmańskiemu z rajem utraconym. Być może wynikało to z tych wszystkich nadziei, które rozbudzono kilka lat temu.

Ernest słyszał o tym, co działo się tutaj w styczniu 1919 roku. Paderewski przyjechał na Dworzec Wileński w środku nocy, ludzie masowo zostawiali konie bez dorożek na ulicy, a potem na piechotę szli na peron. Zebrały się tłumy, wszyscy nieśli pochodnie. Na czele stał Piłsudski, czekający, by powitać pierwszego premiera Polski.

Podniosła atmosfera panowała w całym odradzającym się kraju. Dopiero później zaczęto odkrywać, że zaborcy rozgrabili wszystko, co tylko się dało. Zostawili państwo w ruinie i nie było w Polsce ludzi, którzy wiedzieliby, jak je odbudować. Działali po omacku, a najlepiej radzili sobie ci, którzy byli dobrzy nie tyle w poznawaniu zasad, co ich tworzeniu.

Ludzie tacy jak Fryderyk Hertz, który wziął sprawy w swoje ręce, nie czekając, aż ktoś powie mu, czym najlepiej się zająć, by prowadzić dostatnie życie.

Decyzja o wejściu w handel heroiną, morfiną i kokainą była logicznym kolejnym krokiem. Problem polegał na tym, że Hertz nie miał pojęcia, na jak głębokich wodach zamierzał żeglować.

Ernest powiedział mu już jednak wszystko, co miał do powiedzenia. Teraz pozostało mu jedynie wykonywać powierzone zadania.

Kiedy wszedł do „Mokradła” i minął pierwsze chmury dymu, od razu zrozumiał, że dziś obowiązków będzie miał sporo.



Przed szefem stały dwie policjantki z dłońmi na odpiętych kaburach. Nie sprawiały wrażenia, jakby miało się skończyć na czczych groźbach.

Podwładnych Fryderyka próżno było szukać. Najwyraźniej gospodarz szybko ich odprawił, wychodząc z założenia, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Albo że będzie mu groziło, jeśli zostaną.

Wilmański podszedł bliżej i zatrzymał się dopiero, gdy niższa z kobiet raptownie się odwróciła.

– Stój! – pisnęła.

Ernest był skołowany. Z jednej strony było w jej stanowczości coś komicznego, z drugiej kobieta wyglądała na nieobliczalną. Była wyraźnie roztrzęsiona i nie przypominała policjantki, którą widział ubiegłego dnia. Wtedy przywodziła na myśl cichą myszkę, teraz wewnętrznie skonfliktowaną, dwugłową bestię.

Widział w jej oczach furię i gotowość, by ją wyzwolić. Znał doskonale ten wzrok, napotykał go w ciemnych uliczkach Wilna, na ringu bokserskim czy podczas szemranych spotkań na obrzeżach miasta. W każdym przypadku ogniki pojawiały się w oczach ludzi przypartych do muru. Ludzi przekonanych, że ich jedynym ratunkiem jest wyzwolenie swojej drugiej, ukrytej natury.

Nikt nie był jednowymiarowy. Ernest przekonał się o tym nieraz i przypuszczał, że jeszcze utwierdzi się w tym przekonaniu.

Przez moment patrzył na roztrzęsioną funkcjonariuszkę, a potem przeniósł wzrok na tę drugą. Musiał przyznać, że wyglądała równie ponętnie jak wczoraj. Być może nawet bardziej, biorąc pod uwagę, że teraz patrzyła na niego z niewypowiedzianą groźbą.

– Pani Zarzeczna – odezwał się, a potem skłonił lekko.

– Posterunkowa.

Popatrzył na Fryderyka, starając się stwierdzić, jak opłakana jest sytuacja. Rzecz jasna nie dla Bannika. Dla policjantek.

Hertz trwał niewzruszony, co nie było niczym dziwnym. Zasadniczo Wilmański nie przypuszczał, by szef kiedykolwiek sprawiał inne wrażenie. Kiedy ten skinął do niego głową i wskazał mu krzesło, Ernest zajął miejsce obok niego.

Funkcjonariuszki nie dobiły broni, co uznał za rozsądny ruch. Gdyby wyciągnęły rewolwery, przekroczyłyby Rubikon. Zasady takich konfrontacji były uniwersalne, znane każdemu, bez względu na to, czy miał do czynienia z Białymi Braćmi, Bruderferajn czy Bannikami. Obnażenie broni to policzek, na który można odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

Wilmański i Fryderyk przysunęli się nieco do stolika, a potem oparli ręce na blacie. Obrzucili policjantki wzrokiem, po czym Hertz odchrząknął i obrócił głowę do towarzysza.

– Pora jest odpowiednia, by się czegoś napić.

Wilmański potwierdził ruchem głowy.

– Drogie panie reflektują? – dodał Hertz.

– Nie – odparła stanowczo Eliza. – I ty także nie zdążysz wypić. Wstawaj, idziemy na komendę.

– Myślę, że zdążę. I zdecyduję się na marteaux.

Rarytas, pomyślał Wilmański, przynajmniej jeśli chodziło o wszystkie inne miasta. W Warszawie jednak ten koniak najwyraźniej był na porządku dziennym za sprawą szerokiej gamy trunków importowanych przez Habermuscha i Schielego.

– A ty, Ernest? Co jest twoją trucizną?

Wilmański spojrzał na Zarzeczną.

– Kobiety.

Fryderyk uśmiechnął się sardonicznie.

– W tych okolicznościach rozumiem w pełni.

– Wystarczy tego – powiedziała Eliza. – Wstawaj, Hertz. Pora na ciebie.

– Naprawdę? Nie pozwolą mi panie nawet wypić lampki koniaku?

– Nie.

– A cóż takiego zrobiłem, że Policja Państwowa życzy sobie mojej obecności na komendzie?

– Życzymy sobie twojej obecności w areszcie.

Hertz rozplótł ręce, a potem obrócił kapelusz na stoliku. Przesunął palcem po brzegu ronda i westchnął, jakby miał do czynienia z wyjątkowo niesfornymi dziewczuchami znajdującymi się pod jego pieczęcią.

– Umie pani rozmawiać z mężczyznami, to muszę pani oddać.

– Podnieś się.

– Ale sama rozmowa niczego nie da – dodał Fryderyk. – Żeby mnie stąd wyprowadzić, musi pani do mnie wymierzyć tym służbowym nagantem, którego trzyma pani przy pasie.

Oczy Elizy płonęły. Stojąca pół kroku za nią funkcjonariuszka lekko się trzęsła, jakby wyłącznie ostatkiem sił trzymała jeszcze na wodzy swoje wewnętrzne demony. Wilmański nie obawiał się Zarzecznicy, to ta druga mogła sprawić, że wszyscy tego dnia wzbogacą się o cały szereg problemów.

Nikomu nie opłacało się zabijać mundurowych. Sprzątnięcie drugorzędneho członka Banników, który nie rokował zbyt dobrze na przyszłość, było sprawą zgoła inną. Jego los nikogo nie interesował.

Trup w mundurze burzył jednak starannie budowaną równowagę.

– Więc jak będzie? – zapytał Fryderyk.

– Zrobię wszystko, co trzeba.

– I uważa pani, że wyjdzie stąd o własnych siłach?

– Tak. W dodatku trzymając cię na muszce, skoro taka jest twoja wola.

Hertz znów zwrócił się do Wilmańskiego.

– Nie uważasz, Ernest, że trzeba postawić komuś zarzuty, jeśli zamierza się go tak traktować?

– Z pewnością.

Eliza unikała jego spojrzenia. Spodziewał się tego, nie stanowił bowiem powodu, dla którego się tutaj pojawiła. Z pewnością nie zamierzała odpuścić mu po tym, co się wydarzyło, ale wybierała swoje walki. Zajmowała się przeciwnikami po kolei.

Słusznie, skwitował w duchu. Jej jedyny kłopot polegał na tym, że zaczęła od zawodnika wagi ciężkiej, po potyczce z którym nie stoczy już nigdy żadnego innego

boju. Jeśli w porę nie odda zwycięstwa walkowerem, wraz ze swoją towarzyszką zostaną utopione, a ich ciała Bannicy umieszczą w centralnym punkcie miasta. Będzie to jasna deklaracja, kto rządzi w Warszawie.

Problemowa, ale jasna.

– Wszyscy dobrze wiemy, czego się dopuściłeś – odezwała się Zarzeczna, wsuwając rękę do kabury. Zacisnęła dłoń na uchwycie rewolweru.

– Prowadzę legalny interes. Sprzedaję wódkę, piwo i koniak, balsamy dla serca. Karmię umęczone dusze.

– A oprócz tego handlujesz ludźmi.

– Nigdy. Nie imam się tak haniebnych praktyk.

– Jesteś sutenerem i bezwzględny kryminalistą. A twoje miejsce jest za kratkami. Wstawaj.

– To już któryś raz, gdy wydaje mi pani ten rozkaz. Wciąż przynosi taki sam efekt.

Wilmański zaklął w duchu, dostrzegając, że dłoń Elizy drgnęła. Kwestią czasu było, kiedy przejdzie od słów do czynów. Nie zjawiała się w „Mokradle”, by opuścić je z pustymi rękoma. Coś musiało się wydarzyć – coś, co kazało jej zlustrować własny światopogląd.

Fryderyk skinął do barmana, a potem uniósł dwa palce. Policjantki spojrzały w tamtym kierunku z niepokojem, ale szybko przekonały się, że była to prosta komenda, by podać dwa razy koniak.

Po chwili szklanice z marteaux znalazły się na stoliku, a pracownik wycofał się rakiem. Kiedy wrócił do baru, ustawił nową płytę. Z głośnika popłynęły spokojne, pojedyncze dźwięki fortepianu. Zaraz potem rozległy się trąbki. Tempo było znacznie wolniejsze od większości utworów, które grano w „Mokradle”, a piosenka wydawała się przesiąknięta melancholią.

Melancholią pełną satysfakcji, pomyślał Wilmański. Gdyby kompozycja mogła opisywać człowieka, ta z pewnością odnosiłaby się do doświadczonego życiem, ponurego samotnika, który nie wyobraża sobie innej egzystencji i w gruncie rzeczy jest z niej zadowolony.

– „Tin Roof Blues” – oznajmił Fryderyk. – Grają New Orleans Rhythm Kings. Utwór trwa niewiele ponad trzy minuty. Gdy się skończy, wasz czas również dobiegnie końca.

Eliza drgnęła nerwowo, dostrzegając zmianę na twarzy gospodarza. Dotychczas zdawał się przekomarzać, prowokować i igrać sobie z tym, co nieuniknione. Teraz, gdy pociągnął łyk koniaku, wyglądał już inaczej.

Ton jego głosu także był inny. Chłodny, nieznoszący sprzeciwu, sugerujący gotowość.

– Kolejnej kompozycji nie usłyszycie – dodał. – Zaręczam.

Spojrzał wymownie w stronę broni. Stojąca za Elizą funkcjonariuszka przestąpiła z nogi na nogę, jakby była na skraju urwiska i wszystko mówiło jej, by się cofnąć, a mimo to coś kazało zostać tam, gdzie jest.

Wilmański nie miał przy sobie broni, nie zyskał jeszcze odpowiednio dużo zaufania nowego szefa. Miał jednak pewność, że rewolwer znajduje się pod fedorą. W dodatku

gdzieś w oparach papierosowego dymu czaiło się kilku lub kilkunastu mężczyzn gotowych, by pociągnąć za spust.

Czekali tylko, aż skończy się „Tin Roof Blues”.

– Złe decyzje zapadają długo – ciągnął Fryderyk. – Te dobre podejmuje się szybko.

Wskazał wzrokiem wyjście z „Mokradła”, ale Zarzeczna nie ruszyła się ani o krok.

– A New Orleans Rhythm Kings nie będą grać w nieskończoność.

– Nie wyjdziemy stąd bez ciebie, rozumiesz?

Hertz podniósł się i spokojnym ruchem pociągnął w dół poły marynarki. Wilmański również powoli wstał. Poczł się jak przed ważną walką, serce zabiło mu nieco szybciej. Wiedział, że za moment nie będzie odwrotu, a obie strony ruszą na siebie z impetem.

Nie był tylko pewien, kto pierwszy sięgnie po broń. Obstawiał tę spanikowaną dziewczynę, która coraz bardziej zbliżała się do urwiska. Nawet jeśli jej partnerka nie zamierzała rozpętać tu piekła, ona to zrobi. I Eliza nie zdąży w porę jej powstrzymać.

– To wasz wybór – powiedział Fryderyk i rozłożył ręce.

– Nie zabijesz funkcjonariuszek Policji Państwowej.

– Jesteś tego pewna?

Nie odpowiedziała, ale nie musiała.

– Nie będzie żadnych świadków – dodał Hertz. – Ciała albo wyeksponuję na ulicy, albo po prostu usunę, jeśli zrobi się naprawdę gorąco. Tak czy inaczej nie poniosę żadnych konsekwencji. A może nawet na tym skorzystam.

Niższa z policjantek zrobiła krok do przodu.

– Eliza...

– Jak któryś z nich drgnie, strzelaj – ucięła Zarzeczna.

Partnerka skinęła niepewnie głową, a potem znów lekko się wycofała. Coś w jej zachowaniu było nie tak, ale Wilmański nie potrafił stwierdzić co. Owszem, kotłowały się w niej sprzeczne reakcje, tkwiło w tym jednak coś więcej.

– Ostatnie dźwięki – odezwał się Fryderyk.

Eliza spojrzała na kapelusz.

– Sięgniesz po to, a będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobisz.

Wilmański musiał przyznać, że jest pod wrażeniem. Zarzecznej trząśł się głos, na jej szyi pojawiły się kropelki potu, ręka drżała, a mimo to nie dawała za wygraną. Najwyraźniej nie zakładała munduru Policji Państwowej tylko dlatego, że chciała zarobić trochę grosza.

Ernest właściwie nie wiedział, dlaczego ktokolwiek miałby się na to zdecydować. Oczywiście było, że funkcjonariuszki narażają się na szykany, drwiny i nieustanne lekceważenie nie tylko ze strony gangsterów, ale także zwykłych ludzi. Wprawdzie Liga Narodów od pewnego czasu nakłaniała kolejne kraje, by wprowadzano kobiecą służbę policyjną, ale tutaj nikt nie traktował takiego pomysłu poważnie. Nawet politycy, którzy odpowiadali za wdrożenie zaleceń Ligi. Kilka lat temu wydano odpowiedni akt prawny, ale do tego czasu pozostawał martwy.

Być może tak powinno zostać. Lepiej mieć martwe prawo od martwych kobiet, uznał w duchu Wilmański.

Było mu szkoda tych dziewczyn. Jedna wyraźnie zaczęła poczuwać się do obowiązków służbowych, druga była w złym miejscu, o złym czasie i w złej roli społecznej. Powinna pracować w zaciszu jednego z biur, mając minimalny kontakt z innymi ludźmi. Być może wówczas czułaby się komfortowo.

Ernest spojrział w kierunku mężczyzny stojącego przy gramofonie. Jego pełna przejęcia mina mówiła, że do końca piosenki pozostało już niewiele czasu. Wilmański mógłby spróbować przemówić szefowi do rozsądku, ale nie musiał dobrze go znać, by wiedzieć, że to daremny trud.

– Wygląda na to, że naprawdę zdecydowałyście – odezwał się Fryderyk. – W porządku.

Ernest dostrzegł ruch za plecami kobiet. Kilku oprychów wyłoniło się z papierosowej mgły.

– Stać! – krzyknęła Zarzeczna, a potem wyszarpnęła naganta z kabury.

Kości zostały rzucone, nim rozbrzmiał ostatni dźwięk puzonu.

Wystrzał był głośny, zdawał się przybrać fizyczną formę i uderzyć we wszystkich wokół. Cały wyszynk na moment jakby się zatrząsł, a Wilmański poczuł się kompletnie dezorientowany.

Przypominały mu się potężne ciosy, którymi obrywał w najbardziej wymagających walkach. Do pewnego momentu rejestrował wszystkie, po czym każdy kolejny zdawał się coraz mniej wyraźny. Ostatecznie świat zaczynał się oddalać, stawał się nierealny. Teraz było podobnie, choć wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy, jakby w jednej chwili spadła na niego nawałnica niezliczonych uderzeń z każdej strony.

W okamgnieniu uświadomił sobie jednak, że był jedyną dezorientowaną osobą w całym „Mokradle”. Wszyscy inni najwyraźniej spodziewali się tego, co się wydarzyło. Byli na to przygotowani.

Krew trysnęła z klatki piersiowej Elizy Zarzecznej i ochlapała stojącego przed nią Fryderyka. Ten zdążył nie tylko zamknąć oczy, ale także sprawnym ruchem sprzątnąć ze stolika kapelusz i rewolwer, zanim policjantka upadła na mebel, przewracając go.

Stojąca za nią partnerka spojrzała na broń, z której wypaliła, a potem głęboko westchnęła. Na jej twarzy dokonała się zmiana, która była dla Wilmańskiego równie szokująca, jak sam wystrzał.

– I co teraz? – bąknęła z niezadowoleniem.



# Rozdział jedenasty

„Tin Roof Blues” skończyła się dopiero, gdy Eliza leżała na podłodze, wykrwawiając się. Hertz strzepnął czerwone krople z fedory, a potem zaklął pod nosem. Nie obejdzie się bez porządnego prania. Z doświadczenia wiedział, że usunięcie krwi z tego materiału nie należy do najprostszych zadań.

Wbił wzrok w Salomeę.

– To było konieczne? – zapytał.

Dziewczyna, która dotychczas sprawiała wrażenie jedynie tła dla egzystencji innych ludzi, teraz wyprostowała się i od razu zajęła jakby więcej przestrzeni. Mężczyźni stojący wokół schowali rewolwery i oddalili się, uznając, że jest już po wszystkim.

– Gdyby nie było, nie strzelałabym.

– Nie w tym rzecz – odparł z rozdrażnieniem Fryderyk. – Mogłaś ustawić się pod innym kątem. Nie widzisz, co narobiłaś?

Wilmański opadł ciężko na krzesło.

– Nie było czasu, mogła strzelić.

– Bzdura. Nigdy by się na to nie odważyła.

– A jednak nie mogłam ryzykować.

Hertz przesunął dłońią po ulizanych włosach, zerknął na przewrócony stolik, a potem usiadł obok Ernesta. Sprzątania będzie co niemiara, pomyślał, a w dodatku będzie trzeba postanowić, czy zrobić z policjantki przykład, czy nie.

Fryderyk uświadomił sobie, że jego nowy towarzysz wbija pusty wzrok przed siebie.

– Coś nie tak, Wołyniaku?

Wilmański się skrzywił, sugerując, że właściwie wszystko jest nie tak. Wskazał dłońią na powiększającą się plamę krwi, a następnie na drugą z funkcjonariuszek.

– Co to ma znaczyć, do cholery?

Do tej pory Hertz nie miał zamiaru odkrywać przed nim wszystkich swoich kart. Uznawał, że jest na to stanowczo za wcześnie. Teraz jednak sytuacja się zmieniła i zasadniczo kłamstwo niczemu nie służyło.

– Poznaj moją córkę – powiedział.

Salomea niedbale machnęła ręką.

– Córkę?

– Masz problemy ze słuchem?

– Po prostu...

– Zawsze uważałem, że sprawdziłaby się na ekranie lepiej od Poli Negri.

Ernest odchrząknął znacząco, a twarz Fryderyka nagle stężała. Spojrzał na rozmówcę bykiem.

– Masz inne zdanie?

– Skądże.

– Aktorką jest doskonałą. Chyba to udowodniła.

Wilmański skinął głową, ale wzrok nadal miał nieobecny, jakby słowa Hertza do

niego nie docierały. Przywodził na myśl pięściarza słaniającego się na linach ringowych i próbującego dostać się do słupa narożnego.

– Nigdy byś nie powiedział, że jej zachowanie to fasada, prawda? Nadaje się przed kamerę.

Ernest nie skwitował. I dobrze, uznał w duchu Hertz, niejednego bowiem mężczyznę musiał siłą przekonać, że Salomea w istocie ma wszelkie wymagane walory, by stać się gwiazdą kina. Wprawdzie jej powierzchowność pozostawiała nieco do życzenia, ale nadrabiała sprytem, przebiegłością, a przede wszystkim absolutną i nieugiętą awersją do kompromisów.

Gdyby Fryderykowi urodził się chłopiec z takim charakterem, nie miałby żadnych obaw o przyszłość Banników. Wiedziałyby, że prowadzi interes, który będzie przekazywany z rąk do rąk, z pokolenia na pokolenie.

– W dodatku ma świetne pomysły – dodał głosem dumnego ojca. – To ona wyszła z inicjatywą, by przeniknąć do Policji Państwowej, jak tylko usłyszała o naborze dla kobiet.

Wilmański sięgnął po papierosa. Raz po raz spoglądał niepewnie na ciało funkcjonariuszki. Stojący kawałek dalej Bannicy czekali na sygnał od szefa, by je zabrać i zacząć sprzątać. Fryderykowi jednak się nie spieszyło.

Obaj zapalili.

– Początkowo byłem sceptyczny – ciągnął Hertz. – Potem jednak okazało się, że kobiety mają zajmować się głównie walką z sutenerstwem i nierządem. A więc płaszczyznami, na których się podówczas koncentrowałem. – Wypuścił dym i założył nogę na nogę. – Zapewniała mnie, że to konieczne, bo nadchodzą zmiany. Mnie się jednak wydaje, że po prostu chciała się zabawić.

Spojrzał na nią przewrotnie, ale Salomea tylko westchnęła.

– Nie było w tym nic zabawnego, ojcze.

– Może dla ciebie – odparł i uśmiechnął się lekko. – Dla nas oglądanie cię w tej roli było jak najlepsza komedia.

Ernest pochylił się i podniósł popielniczkę. Zdusił w niej papierosa, po czym przykucnął przy zastrzelonej funkcjonariuszce.

– Jakby nie było, teraz to tragikomedie – odezwał się. – Mamy problem.

– Niekoniecznie – odparła Salomea. – Nie ma żadnych świadków, możemy sami ułożyć całą wersję zdarzeń.

Fryderyk zmarszczył czoło.

– Więc chcesz ciągnąć tę farsę?

– Oczywiście. Przydam ci się w szeregach policji.

– Bardziej przydasz mi się tutaj.

– Do czego? Sprzątania stolików?

– Nie bądź niepoważna.

– Nie jestem – zaoponowała, zamykając kaburę z bronią. – Wiem doskonale, do czego jestem ci potrzebna.

– Doprawdy?

– Gdybym była mężczyzną, już rychtowałbyś mnie na swojego następcę.



A tymczasem rozglądasz się raczej za mężem dla mnie. Mam być jedną z tych gospodyń, które...

– Dość – uciał Fryderyk, unosząc dłoń.

Dziewczyna zamilkła z wyraźnym zawodem.

– Jeśli sądzisz, że to wciąż bezpieczne, zostań w mundurze. Tylko, na Boga, czy naprawdę musisz nosić takie nazwisko?

– Co ci w nim nie odpowiada?

– Wydaje się... oczywiste.

Ernest spojrział na niego pytająco, a przywódca Banników westchnął.

– Może jednak nie – skwitował. – Choć dla mnie to jasne. Hertz to prawie jak *herz*.

– I?

– Po niemiecku „kier”.

Wilmański przykucnął przy Zarzecznej, a potem ostrożnie obrócił ją na plecy. Przez moment przyglądał jej się, trzymając za rękę. Miała otwarte usta, jakby zastygł na nich niemy krzyk. Oczy były zamknięte, kurtyna życia opadła.

– Trzeba postanowić, czy ją chowamy, czy robimy przykład – odezwała się Salomea.

– Skłaniam się ku drugiej ewentualności – odparł Hertz. – Wyeksponujemy ciało na Bagnie, to idealna ulica, byśmy zaczęli właśnie tam zostawiać wymowne komunikaty. Tym samym przypomnimy policji, że najmądrzej jest trzymać się od nas z dala.

– Nie wiem, czy taki będzie efekt.

– Oczywiście, że tak. Szeregowym funkcjonariuszom dzięki temu nic więcej nie strzeli do głowy.

– Nie szeregowymi się martwię.

– Ci wyżej są opłacani. Im nie trzeba o niczym przypominać.

Salomea pokiwała głową w zamyśleniu.

– Masz z nimi dobre układy – powiedziała. – Ale to się może zmienić, kiedy zobaczą, że wykończyłeś jedną z nich.

– Nie wiedziałem, że tak was postrzegają.

Kier zbliżyła się o krok i postawiła stolik. Przysiadła na skraju, nie zważając na krew.

– Mogą się z nas wyśmiewać, pomiatać nami i drwić sobie pokątnie, ale mundur to mundur – oznajmiła profesorskim tonem. – Jeśli zobaczą w nim trupa, płęć nie będzie miała znaczenia.

– Sugerujesz więc, by ją ukryć.

– Koniecznie. Nie chcesz ich rozjuszać. Nie teraz, kiedy tak dobrze z nimi żyjesz.

– Będą jej szukać.

– I co z tego? – odbąknęła Salomea. – Stracą trochę czasu, energii i ludzi na dochodzenie, z którego nic nie wyniknie. A nawet jeśli po czasie uda im się znaleźć ciało, nic nie będzie cię z nim łączyło.

Fryderyk zabębnił palcami o kolano. Musiał przyznać córce rację, nie było konieczności, by wysyłać tak klarowny sygnał. Nie w sytuacji, kiedy większość policjantów robiła to, czego wymagał. Jedna zbuntowana funkcjonariuszka, przesiąknięta szlachetnymi ideami wtłaczanymi jej do głowy podczas szkolenia, nie

powinna być powodem do zmiany jego polityki.

– Niech będzie. W takim wypadku...

– Ona żyje – przerwał mu Ernest. – Jest puls i płytki oddech.

Na moment wszyscy zamarli. Skupili wzrok najpierw na Zarzecznej, a następnie na Wilmańskim, jakby był wybitnym lekarzem, tylko czekającym, by postawić uczoną diagnozę.

Ernest nie zwracał na nich uwagi. Zrzucił kamizelkę, rozwiązał krawat, a potem obwiązał klatkę piersiową policjantki. Gałgan nie był najlepszego sortu, ale przez moment spełni swoje zadanie.

– Wezwijcie ambulans – rzucił.

Nikt się nie poruszył.

– Już!

Wilmański podniósł głowę i potoczył wściekłym wzrokiem po zebranych. Zaciskał mocno usta, jakby tylko ostatkiem woli wstrzymywał cały korowód przekleństw.

– Trzeba się nad tym zastanowić – odezwała się Salomea. – Podejdźmy do tego racjonalnie.

Ernest podniósł się i stanął przed nią.

– Racjonalnie rzecz biorąc, ona żyje. I być może da się ją uratować, o ile szybko zadziałamy.

Hertz również wstał, założył ręce za plecy i zaczął obchodzić policjantkę, przyglądając się jej. Nie słyszał, by oddychała, ale Wilmański z pewnością się nie pomylił.

– Macie tu telefon? – spytał.

Salomea skinęła głową.

– Dzwońcie – polecił. – Gdzie jest najbliższa stacja pogotowia?

– Jest tylko jedna, na Lesznie. Sanitarka będzie jechała kilka minut.

– O ile ją wezwiemy – odezwał się Fryderyk. – Nie jestem co do tego przekonany. Choć moja córka najwyraźniej bierze to pod uwagę.

Kier przez chwilę milczała, zbierając myśli. Hertz czekał cierpliwie, był ciekaw jej zdania – i mimo że nie był gotów tego przed sobą przyznać, liczył się z nim. Od najmłodszych lat córka była jego oczkiem w głowie. Zupełnie inaczej traktowała Salomeę jego żona.

Apolonia Hertz odnosiła się do niej chłodno, a w momentach, kiedy okazywała jakiegokolwiek emocje, sprowadzały się one do niezadowolenia, może nawet wstydu. Zupełnie jakby była urażona faktem, że jej córka, krew z krwi, może być tak mało urodziwa, niska i zasadniczo bezbarwna.

Być może dlatego Fryderyk miał dla niej tyle ciepła. Starał się zrekompensować jej to, czego nie otrzymywała od matki. Wyważyć nieco szale.

– Owszem, widzę w tym pewną szansę dla nas – przyznała Kier.

– Przyznam, że ja nie.

– Posłuchaj, ojczy – zaczęła i nabrała tchu. – Chcesz wysłać sygnał szeregowym policjantom, tak?

Skinął głową. Lubił, kiedy wykladała mu wszystko tak chłodno, logicznie. Słuchał

tęgo z przyjemnością, choć zazwyczaj chował ją pod płaszczykiem obojętności lub nawet dystansu.

– A jednocześnie nie chcesz zburzyć dobrych relacji z ich przełożonymi.

– Mhm.

– To idealna sytuacja.

– W jakim sensie?

– Nie będzie ciała, nie będzie dochodzenia. Sam postrzał wystarczy, żeby pokazać innym, że nie warto z tobą zadzierać, ale jednocześnie nie będzie to przyczynek do tego, by ktokolwiek myślał o wymierzeniu ci zemsty. O ile Eliza przeżyje.

Hertz przygładził cieniutki wąs i uśmiechnął się pod nosem. Właściwie nie była to najgorsza koncepcja.

– Zaprzyjaźniłyście się?

– Nie sądzę. Wydmuszka, którą stworzyłam, raczej nie nadaje się na przyjaciółkę dla nikogo.

– Mniejsza z tym – uciął Fryderyk. – Jak byś to w takim razie rozwiązała?

Salomea kucnęła obok Zarzecznej. Położyła rękę na jej piersi, a potem spojrzała na zakrwawioną dłoń. Nie było wiele czasu.

– Przez myśl jej nie przejdzie, że to ja strzelałam – powiedziała. – Będzie przekonana, że oberwała od jednego z Banników, a ja to potwierdzę. Potem powiem, że wybłągałam u ciebie telefon na pogotowie.

– A zatem wróci tu i będzie próbowała dokończyć to, co zaczęła.

– Po tym jak prawie zginęła? Nie sądzę.

Hertz był innego zdania. Widział determinację w jej spojrzeniu, widział wewnętrzną walkę, jaką ze sobą toczyła, by nie obrócić się na pięcie i czym prędzej nie znaleźć się na bezpiecznej ulicy.

– Nie odpuści tak łatwo.

– Przekonam ją.

Wilmański stanął obok Salomei, jakby tym samym chciał dać do zrozumienia, że jest po jej stronie.

– Być może trzeba będzie uciec się do gróźb – zauważył. – Ma rodzinę?

– Mieszka z matką i ojcem na Rakowcu.

– Mogę się tym zająć – zadeklarował Ernest.

– Nie – zaoponował Hertz. – Mam dla ciebie inne plany.

Były bokser z pewnością nadawał się do tego, by odpowiednio potraktować rodziców tej funkcjonariuszki i wytłumaczyć jej, do których lokali nie powinna wchodzić, Fryderyk jednak potrzebował Wilmańskiego gdzie indziej.

Zbliżały się nowe, ciekawe czasy dla Banników. W najbliższych tygodniach miało przesądzić się, czy następne lata spędzą na przepychankach z innymi, czy przejmą inicjatywę i staną się najważniejszą siłą w mieście.

– Czas na decyzję – zauważył Wilmański.

Te dobre zapadają szybko, dodał w duchu Fryderyk. W tym wypadku nie mogło być inaczej. I właściwie kiedy tylko jego córka podjęła temat, wiedział już, co zamierza zrobić.

– Dzwoncie – rzucił w kierunku barmana.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Podobnie jak na sanitarkę, której przyjazd zapowiadał głośny sygnał dźwiękowy. Gnała po ulicach Warszawy już od kilkunastu lat, a Hertz dobrze pamiętał początki. Wówczas ambulans był zaprzęgnięty w dwa konie, a obok woźnicy siedział sanitariusz z trąbką. Każdy przejazd robił wrażenie na mieszkańcach.

W 1909 roku pojawił się pierwszy automobil, a rok później było ich już dziesięć. Widok pędzących samochodów i dźwięk syren stały się immanentnymi elementami miejskiego życia.

Fryderyk miał dobre układy z sanitariuszami i lekarzami. Bywał zresztą w kamienicy przy Lesznie, by osobiście wesprzeć władze pogotowia datkami finansowymi. Wychodził z założenia, że to kontakty równie ważne jak te z policjantami.

Po chwili zjawilo się dwóch sanitariuszy z noszami. Wpadli do „Mokradła” na bezdechu, dopadli do rannej, a potem na moment jakby przełączyli się na inny tryb. Ostrożnie i powoli ułożyli Zarzeczną na noszach, po czym znów przyspieszyli. Wybiegli z knajpy, zanim Fryderyk miał okazję dobrze im się przyjrzeć.

– Za kilka minut będzie w sali opatrunkowej – powiedział, patrząc na córkę. – Pojedź tam, upewnij się, że porozmawiasz z nią zaraz po tym, jak odzyska przytomność.

Salomea skinęła głową.

– Ja w tym czasie poinformuję komendanta, że miała miejsce nieprzyjemna pomyłka.

– Słusznie.

– I jeśli ta kobieta będzie planowała jakąkolwiek wendetę, wybij jej to z głowy.

– Tak zrobię.

Chwilę później kilku chłopaków zaczęło sprzątać krew z podłogi i mebli, a Wilmański i Fryderyk przenieśli się do innego stolika. Siedzieli w milczeniu, popijając marteaux i słuchając jazzu.

– Co sądzisz? – odezwał się w końcu Hertz. – O mojej córce?

– Ma sporo po ojcu.

– Szczególnie jeśli chodzi o urodę, tak?

W pytaniu zadrgała nuta irytacji, ale Fryderyk miał nadzieję, że tylko on ją wychwycił. Wiedział, że jest przewrażliwiony na tym punkcie. Wszystko za sprawą Apolonii, która nieustannie utyskiwała na powierzchowność córki.

– Nie to miałem na myśli – sprostował Ernest. – Chodziło mi raczej o szalone pomysły.

– Potraktuję to jako komplement, Wołyniaku.

– Całkiem zasadnie, bo takie było moje zamierzenie.

– Choć nie wiem do końca, do czego pijesz, jeśli chodzi o mnie.

– Do twoich gdańskich planów.

– Ach... – Fryderyk napił się i oblizał usta. – Tak, to może w istocie okazać się szalone. Dlatego chcę mieć cię przy sobie.

Ernest pokiwał głową, jakby właśnie tego się spodziewał i z tego powodu w ogóle

o tym wspomniał.

– To będzie twój priorytet. Ruszamy za kilka dni.

– Rozumiem.

– Do tego czasu pilnuj tej policjantki. Gdyby choć przez myśl jej przeszło, by się na nas mścić, usuniesz ją. Jasne?

– Oczywiście – zapewnił grobowym głosem Wilmański.



# Rozdział dwunasty

Przez pierwszych kilkanaście godzin żaden lekarz nie potrafił powiedzieć Ernestowi, czy pacjentka przeżyje. Siedział w poczekalni razem z Salomeą, czekając na wieści, ale wszyscy zdawali się uchylać od wzięcia odpowiedzialności za jakiegokolwiek prognozy.

Szybko sprzykrzyło mu się to czekanie. Co pół godziny wychodził na dziedziniec zapalić, obserwował wjeżdżające i wyjeżdżające przez bramę karetki, snuł się wokół i myślał o tym wszystkim. Potem wracał do poczekalni i milczał. Salomea także nie odzywała się słowem.

Udawali nieznajomych, co było konieczne, biorąc pod uwagę obecność innych policjantek. Próbowaly zagadnąć Kier, ale ta wróciła do swojej roli. Wbijała wzrok w podłogę i nie podnosiła go nawet, kiedy któraś z funkcjonariuszek do niej podchodziła.

W końcu Wilmański uznał, że dalsze czekanie jest daremne. Stan Zarzecznej nadal się nie poprawił i wyglądało na to, że postrzelenie okazało się groźniejsze, niż sądzili sanitariusze. Konieczna była operacja, a jej rezultatu nie sposób było przewidzieć.

Ernest wrócił do mieszkania na Złotej, zatrzasnął drzwi i powiódł wzrokiem po lokalu. Nie przypominał miejsca, w którym dziś rano się obudził.

– Co tu się stało?

Ana usiadła na łóżku, podciągnęła się do wezgłowia i zaplótłszy ręce za głowę, oparła się o ścianę.

– Posprzątałam.

– Chyba „posprzedawałam”. Gdzie są wszystkie meble?

– Nie nadawały się do niczego.

Wilmański był podobnego zdania, ale bynajmniej nie planował się ich pozbywać. Pomieszkiwał w znacznie gorszych warunkach, a do wszelkich niewygód miał zamiar po prostu się przyzwyczaić. Przynajmniej dopóty, dopóki nie zarobi odpowiednio dużo, by zacząć wymieniać wyposażenie.

– Zwołałam kilku Żydów i sprzedałam im te rupiecie. Kupimy za nie nowe.

– Kupimy?

– Przecież zostaję, prawda? – zapytała, przekrzywiając głowę. – Czy może znalazłeś mi jakieś lokum?

– Nie, jeszcze nie. To był długi dzień.

– Każdy taki jest.

Trudno było się z tym nie zgodzić. W dodatku Ernest przypuszczał, że teraz jeden za drugim będą się wydłużać. Sternik Banników wprowadzał ich na nowe, nieznane wody, a w Wilmańskim upatrywał wilka morskiego, z którego doświadczenia chciał skorzystać.

Popełnił jednak poważny błąd jeszcze przed opuszczeniem portu. Rozprowadzanie narkotyków było najbardziej dochodowym zajęciem w przestępczym świecie, ale wymagało stworzenia prawdziwej, sprawnej i uporządkowanej organizacji.

Bruderferajn oparli swoją działalność na modelu stworzonym przez Sycylińczyków. Stanowili rodzinę, w której dbano o siebie wzajemnie i szanowano się. I to właśnie ów szacunek, a właściwie respekt wobec dowodzących, był kluczowym elementem całej konstrukcji.

Całą resztę wypełniały honor i zbiór zasad, których nie wolno było łamać. Z tego co zaobserwował Wilmański, akurat na tym polu w Warszawie także radzono sobie całkiem nieźle. Nie okradało się kobiet, broń Boże nie ruszało się sąsiadów ani innych kryminalistów parających się tą samą działalnością.

Ale czy to wystarczy, by Bannicy stworzyli zręby prawdziwej organizacji przestępczej? Wilmański w to wątpił. Fryderyk Hertz nie cieszył się odpowiednią estymą. Owszem, budził postrach, ale nie respekt. A bez tego trudno będzie mu utrzymać w ryzach rozpędzającą się maszynę.

Ernest zrzucił z siebie gabardynowy płaszcz i odwiesił go na gwóźdź tuż za drzwiami.

– Gdzie masz kamizelkę? I krawat?

Znow matczyńny ton głosu.

– Musiałem zostawić w „Mokradle”.

– Dlaczego?

– Bo się ufajdały – odparł pod nosem.

– Zdarza się – skwitowała Anastazja, a potem zeskoczyła z łóżka. – Chodź, ugotowałam ci coś.

– A więc stąd ten swąd...

Podeszła do niego, wzięła go za rękę, a potem poprowadziła do jednego z niewielu mebli, które ostały się w mieszkaniu. Usiadł przy niewielkim stoliku i spojrzał na danie znajdujące się na metalowym platerze.

– Przypaliło się trochę – przyznała.

– Co to jest?

– Obiad.

Postanowił nie pytać o nic więcej, czasem niewiedza naprawdę mogła okazać się błogosławieństwem. Wybrał kawałek mięsa lub zbitki czegoś, co mięsem nie było, odkroił nieco, a potem przez chwilę przeżuwał. Czuł na sobie wyczekujące spojrzenie dziewczyny.

– Nie jestem głodny – oznajmił, nadal przeżuując.

Zignorowała tę uwagę, po czym wróciła na łóżko. Zastanawiał się, co Anastazja robiła cały dzień i w końcu doszedł do wniosku, że zapewne niewiele ponad to, co teraz. Musiał znaleźć jej zajęcie, ale właściwie jedyna praca dla dziewczyn w jej sytuacji, która przychodziła mu na myśl, była niezbyt dobrą perspektywą.

Następnego dnia udało mu się dogadać z jedną ze starych handlarek. Ana miała pomagać jej z owocami, o świcie wykładać towar, przed zmierzchem chować wszystko do pudeł. Zapłata była symboliczna, ale nie miało to żadnego znaczenia. Wilmańskiego cieszyło, że dziewczyna na to przystała. Rzuciła kilka uszczypliwych uwag, zasugerowała też, że orźnie staruszkę przy najbliższej okazji, ale ostatecznie zrobiła to, czego wymagał.



Dopiero dzień później okazało się, że Ana w istocie nie żartowała. Kobięcie zaczęły znikać jabłka, a wraz z nimi zmniejszyła się też liczba klientów. Stara szybko zrozumiała, że dziewczyna sprzedaje owoce za rogiem, biorąc za nie raptem połowę z tego, co sama sobie liczyła.

Wilmański dogadał się więc z Żydówką sprzedającą bób niedaleko oddziału Szpitala Dzieciątka Jezus, a Anastazji oznajmił, że to jej ostatnia szansa.

W tym czasie Zarzeczna zaczęła dochodzić do siebie po operacji. Lekarze byli nieco lepszej myśli, choć zgodnie twierdzili, że jeśli policjantce uda się przeżyć, będzie potrzebowała długiej rekonwalescencji.

Córka Hertza przedstawiła przełożonym wszystko tak, jak powinna, a oni nie doszukiwali się w jej relacji żadnych zgrzytów. A nawet gdyby wystąpiły, z pewnością przymknęliby na nie oko. Bannicy mogli czuć się bezpiecznie.

Przynajmniej do czasu, aż Wilmański z Fryderykiem udali się na północ, do Wolnego Miasta Gdańska. Po zaakceptowaniu towaru podczas krótkiego zapoznania się w „Mokradle” Hertz miał dobić targu z handlarzami przemycającymi interesujące go substancje z Niemiec. Szczegóły były już ustalone, ale formalnościom musiało stać się zadość.

Miejszem spotkania była „Danziger Ratskeller”, ogromna restauracja znana nie tylko w Gdańsku. Mieściła się przy Langer Mark 44 i z zewnątrz nie sprawiała wrażenia słynnego wyszynku.

Wilmański i Fryderyk stanęli przed niewielką, kamienną klatką schodową prowadzącą pod ziemię. Ernest spojrzął na górujący nad wejściem posąg starożytniej, prawdopodobnie mitologicznej postaci.

– Wchodzimy? – zapytał.

Hertz podejrzliwie ściągnął brwi.

– A masz jakieś wątpliwości?

W pierwszej chwili Wilmański chciał odpowiedzieć, że byłby głupcem, gdyby ich nie miał. Spotkanie w Warszawie nie wiązało się z żadnym niebezpieczeństwem, było to terytorium Banników. Tutaj było inaczej.

– Czuję się tu nieswojo – powiedział.

– Sugerujesz, że mamy się czego obawiać?

– Kiedy sprawa idzie o tak duże pieniądze, zawsze są powody do obaw.

– Nie trap się, Wołyniaku – mruknął Fryderyk. – Duże pieniądze to akurat gwarancja, że wszystko pójdzie po mojej myśli. Nikomu nie opłaca się ukłęcać temu interesowi łba.

– Poza wszystkimi, którzy na twoich konszachtach stracą.

– Oni nie mają pojęcia, że się spotykamy.

Ernest ściągnął połę płaszcza i się rozejrzał. Pora była jeszcze zbyt wczesna, by nawet te najznamienitsze restauracje przeżywały oblężenie. Przypuszczalnie będą w sali sami, a jeśli nie, to klientów będzie na tyle mało, by znaleźli ustronne miejsce.

– Chodź – rzucił Fryderyk.

Zeszli na dół, machinalnie garbiąc się przy wejściu. Po chwili znaleźli się w przestronniejszej sali o niskim stropie i niezliczonych gładkich sklepieniach, kończących

się ozdobnymi kolumnami. Opinie o tym miejscu nie były przesadzone, uznał Ernest.

Jeden z pracowników szybko ich wypatrzył, a potem poprosił o przejście do innego pomieszczenia. Było znacznie mniejsze, ale nie panowała w nim chłodna, piwniczna atmosfera. Przeciwnie. Podłogę pokrywały bogato zdobione dywany, obicia kanap przywodziły na myśl styl wschodni, a strop składał się z ozdobnych belek.

Dwóch mężczyzn siedziało przy stoliku w rogu sali. Wilmański ruszył w ich kierunku, ale w ostatniej chwili usłyszał ciche syknięcie i zatrzymał się w pół kroku. Odwrócił się do szefa.

– Amba – odezwał się Fryderyk.

– Ale...

– Urządzili zasadzkę.

Ernest rozejrzał się niepewnie, sięgając pod połę płaszcza. Ton głosu Hertza nie pozostawiał wątpliwości, że jest pewien swojej oceny.

Gdyby nawet Wilmański nie wychwycił tej stanowczości, szybko przekonałby się, że Fryderyk ją żywi. Nie czekając na to, aż dwóch mężczyzn zainteresuje się tym, dlaczego goście nagle się zatrzymali, Hertz sięgnął po rewolwer.

Ernest zdążył tylko pomyśleć, że najlepsze decyzje to jednak niekoniecznie te, które podejmuje się natychmiast.

Hertz obrócił się na pięcie, wycelował w stojącego za nimi kelnera, a potem pociągnął za spust. Echo wystrzału zdawało się rozejść po sali, z której przyszli, i niknąć gdzieś w tej, którą wypełniały obite meble i dywany.

– Wal! – ryknął Fryderyk.

Wilmański wiedział, że nie ma czasu na pytania. Dobył broni, którą otrzymał od Hertza przed wyjazdem. Był to stary smith & wesson kalibru 9.65 milimetrów, podczas Wielkiej Wojny produkowany przez Amerykanów dla Brytyjczyków. Ważył niecały kilogram, a w magazynku mieścił sześć naboji.

Ernest zdążył wystrzelić tylko jeden, trafiając wstającego mężczyznę prosto w pierś. Siła odrzutu była tak duża, że ofiara z impetem uderzyła o miękkie obicie kanapy, a potem upadła na stół. Drugim z mężczyzn zajął się Hertz.

Kiedy echo strzałów wybrzmiało, obaj odwrócili się nerwowo. Wyglądało na to, że nikogo więcej w „Ratskeller” nie ma.

– Skurwiałe kmioty! – odezwał się Fryderyk. – Nie do wiary.

Wilmański nadal się rozglądał.

– Uwierzysz w to? Chcieli nas sprzątnąć.

Uznawszy, że nic im nie grozi, Ernest ruszył szybkim krokiem w stronę zastrzelonych mężczyzn. Hertz nadal kłął w najlepsze, rozładowując napięcie. Wilmański tymczasem obrócił na plecy swoją ofiarę i zaczął przeszukiwać wewnętrzne kieszenie marynarki.

– Żadnych dokumentów – mruknął.

– Nie potrzebuję ich, by wiedzieć, kto chciał się mnie pozbyć.

Ernest zaczął sprawdzać ubranie drugiego z mężczyzn.

– To nie ci Niemcy, z którymi mieliśmy się spotkać? – zapytał Wilmański.

– Nie.

– Skąd wiesz? Może...

– To nie oni, Wołyniaku – uciął ciężko Fryderyk i zatknął rewolwer za pasek spodni.

– Tamci mieli postawić na stoliku flakon wypełniony wodą, ale bez żadnych kwiatów. Dzięki temu mieliśmy wiedzieć, do kogo podejść.

Wilmański otrzepał ręce. Drugi mężczyzna także nie miał przy sobie niczego poza bronią.

– W knajpie nikogo nie ma – zauważył. – Może uznali, że to niekonieczne.

– Nie drwij sobie. To zbyt ważne ustalenie, by mogli tak po prostu je pominąć. –

Hertz obejrzał się na chłopaka, którego zabił jako pierwszego. – Poza tym kelner od razu wiedział, kim jesteśmy.

– Mogli mu powiedzieć, że czekają na...

– Nie. Absolutnie nie. Ci Niemcy w ogóle nie rozmawialiby z obsługą.

– Więc kim są ci ludzie? – spytał pod nosem Ernest.

Hertz miał już w głowie ułożoną teorię. Właściwie trudno było się temu dziwić, musiał zawczasu przeanalizować wszystkie czarne scenariusze. Miał też kilka swoich typów. Poczynając od Bruderferajn, które miało zwiedzić się, że na rynek narkotyków wchodzi nowy gracz, aż po Prałatów i Żydów z Warszawy, którzy nie chcieli kolejnej fali morfiny i innych środków w stolicy.

– Ci, z którymi mieliśmy się spotkać, musieli zobaczyć, że zjawili się nie ci ludzie, co trzeba – ciągnął Fryderyk. – Zrezygnowali więc z kontaktu.

Wilmański popatrzył po trupach.

– Słusznie zrobili.

– Mhm – potwierdził Hertz, po czym splunął na dywan. – Pora na nas. Nie mamy tu czego szukać.

– Trzeba sprawdzić jeszcze kelnera.

Przełożony machnął ręką, ale Ernest tak czy inaczej przykucnął przy chłopaku. Ze zdziwieniem przekonał się, że ten jeszcze żyje. Wprawdzie ledwo zapał, ale oddech był słyszalny.

Wsunął ręce do kieszeni i zaczął je przeszukiwać. Rezultat był taki, jak przy dwóch poprzednich.

– Nic?

Wilmański pokręcił głową.

– W takim razie stawiam na Bruderferajn – ocenił Hertz. – Prałaci nie byliby tak ostrożni, a Żydzi w swojej naiwności założyliby, że to niemożliwe, żeby coś poszło nie tak, więc mieliby wszystkie dokumenty przy sobie.

Ernest zastanawiał się, czy powiedzieć szefowi, że chłopak przeżył. Zapewne natychmiast by go dobił lub kazał jemu to zrobić. I byłoby to dość sensowne. Niemądrze zostawiać za sobą świadków.

Należało jednak mieć na uwadze, że to członek konkurencyjnego gangu. Nawet jeśli przeżyje, nie pójdzie na policję. W końcu Wilmański podjął decyzję, by zostawić wszystko losowi.

Podniósł się i obaj ruszyli do wyjścia.

– Ale skąd skurwiele wiedziały o spotkaniu? – zapytał Hertz.

– Od Niemców?

– Nie. Jaki cel mieliby w informowaniu ich?

– Może pogrywali z tobą.

Hertz pochylił się, wychodząc na Langer Markt. Stał przed klatką schodową, potoczył wzrokiem dokoła, a potem zawiesił spojrzenie na towarzyszu. Wydawał się urażony samą sugestią, że ktokolwiek mógłby chcieć go okantować.

– Nie ma mowy – zapewnił. – Zależało im na zapłacie równie mocno, jak mnie na towarze. Zresztą z pewnością chcieli wziąć ode mnie więcej niż od swoich obecnych... partnerów handlowych.

– Z pewnością.

– Więc przecieku trzeba szukać gdzie indziej.

Wilmański przełknął gęstniejącą ślinę. Doskonale rozumiał, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa. Niewypowiedziany zarzut zdawał się sprawiać, że powietrze naelektryzowało się jak przed burzą.

– Ale załatwimy to po powrocie – zadeklarował Hertz. – Wydaje się oczywiste, że to ktoś od nas.

– Równie dobrze...

– Nie, nie, Wołyniaku. Bruderferajn lub inne sukinsyny przekupiły któregoś Bannika, nie może być co do tego żadnych wątpliwości.

Upewniwszy się, że nikt ich nie śledzi, ruszyli w kierunku Dworca Głównego. Podróż do Warszawy nie zajmowała wiele czasu, ale Ernest przypuszczał, że będzie mu się dłużyła z racji niepokojącej ciszy.

Połączenie kolejowe było gotowe jeszcze przed Wielką Wojną, ale ponieważ tory znajdowały się na terenie dwóch zaborów, miały różny rozstaw szyn. Rozwiązaniem tego problemu zajęto się dopiero po odzyskaniu niepodległości, ale do przeróbki poszły głównie odcinki w innych częściach kraju. Tutaj rozwiązano tę kwestię inaczej, niestety jedynie prowizorycznie.

Mimo wszystko Wilmański musiał przyznać, że podróż przebiega znacznie lepiej, niż byłoby to jeszcze kilka lat temu. Może jeśli nie liczyć milczącego przywódcy Banników.

Cisza w przedziale zdawała się najpoważniejszym zarzutem, jaki Fryderyk mógł postawić towarzyszowi. Wilmański nie podejmował tematu, uznając, że jeśli zacznie się tłumaczyć, właściwie przyzna się do winy.

Skład zatrzymał się w Tczewie, jak zawsze. Miał tutaj półgodzinny postój, pracownicy kolei musieli przestawić zwrotnice, odczepić lokomotywy, obrócić je, a następnie podstawić takie, dzięki którym można było jechać dalej na południe.

Ernest przypuszczał, że Hertz będzie chciał wykorzystać ten czas na rozmówienie się z nim. Ten jednak trwał w milczeniu.

Odezwał się dopiero, gdy pociąg ruszył dalej.

– Zdradziłeś mnie, Wołyniaku?

– Nie.

Wilmański miał nadzieję, że brak choćby zdawkowego zawahania zadziała na jego korzyść. Kiedy jednak Fryderyk spojrzał na niego oskarżycielsko, wiedział już, że szef ma zbyt daleko idące podejrzenia, by zbyć je tak łatwo.

– A jednak tak podpowiada logika.

– Logika czy paranoja?

Skład przyspieszył, a Hertz zawiesił wzrok gdzieś za oknem. Nie zastanawiał się, miał wystarczająco dużo czasu, by do tej pory wyciągnąć wnioski i sobie wszystko poukładać. Teraz głowił się zapewne tylko nad tym, jak ubrać to w słowa. I czy w ogóle ubierać.

– Jeśli to Bruderferajn, jesteś głównym podejrzanym – odezwał się w końcu. – Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Tak.

– I co masz mi do powiedzenia?

– Tylko jedno – odparł cicho Wilmański. – Gdybym w istocie cię zdradził, wracałbym teraz do Warszawy sam.

Fryderyk oderwał wzrok od wiejskiego krajobrazu.

– A twoje ciało leżałoby na dywanie w „Ratskeller” – dodał Ernest.

Dotarli do stolicy, nie wymieniając już ani jednej uwagi. Ta ostatnia wybrzmiewała jeszcze w ich głowach jak głuchy pogłos wystrzału, ale żaden z nich nie miał zamiaru ciągnąć tematu. Nie było o czym deliberować.

Wilmański miał wrażenie, że Fryderyk docenił jego bezpośredniość. Być może nawet zastanowił się nad tym i doszedł do wniosku, że rzeczywiście istniała sposobność, by Ernest zakończył wszystko na miejscu. Mógł strzelić, nim Hertz zajął się pierwszym z przeciwników.

Przynajmniej w teorii.

Wysiedli na Dworcu Głównym, zapalili papierosy i przeszli przez Aleje Jerozolimskie. Ruch się wzmacniał, parę samochodów pomknęło po kostce brukowej, wyprzedzając tramwaje zdążające w obydwu kierunkach. Pośrodku tego wszystkiego znajdował się szeroki chodnik z niewysokimi drzewami. Niespiesznie przechadzający się mieszkańcy sprawiali niemal sielankowe wrażenie i gdy nieświadomy turysta po opuszczeniu dworca poznawał miasto z tej perspektywy, mógł sądzić, że rzeczywiście znalazł się w „Paryżu północy”.

Wystarczyło jednak przeciąć tę szeroką miejską arterię i udać się dalej w kierunku Złotej, by przekonać się, że to fasada. Wilmański i Fryderyk szybko znaleźli się na terytorium Banników, po czym skierowali się w stronę „Mokradła”.

– Mam nadzieję, że nie będziesz robił problemów – odezwał się Hertz, kiedy mijali zakład szewski.

Wilmański milczał.

– Zdajesz sobie sprawę, co muszę zrobić.

– Rób, co uważasz za słuszne.

– Świetnie – odparł z ulgą Fryderyk. – Wiedziałem, że rozsądny z ciebie człowiek.

– Mój rozsądek ma swoje granice.

– Doprawdy?

– Jeśli ich nie przekroczysz, gotów jestem współdziałać.

Hertz przyspieszył kroku, coraz bardziej podenerwowany.

– W tej sytuacji nie masz prawa stawiać mi warunków, Wołyniaku – rzucił. – Albo

pozwolisz, bym zyskał pewność, że mnie nie zdradziłeś, albo załatwimy to inaczej.

Ernest pomyślał, że sam mógłby załatwić sprawę jednym dobrze wymierzonym ciosem. Powaliłby rozmówcę, a potem oddalił się, nim jakkolwiek Bannik zauważyłby, do czego doszło. Popędziłby do mieszkania, zabrał małą i wsiadł w pierwszy lepszy pociąg na zachód.

Byłby bezpieczny. Zostając tutaj, narażał się na ogromne niebezpieczeństwo i właściwie nic nie przemawiało za tym, by się na to zdecydował.

A mimo to poszedł z Hertzem do „Mokradła”. Szef zatrzymał się przed progiem, po czym przepuścił Wilmańskiego. Ten westchnął, uznając, że gdyby miał targnąć się na życie Fryderyka, zrobiłby to już dawno.

Otworzył drzwi, a potem zamarł.

Wnętrze knajpy było w ruinie. Stoliki przewracano, krzesła połamano, a wszystkie obrazy zerwano ze ścian i zniszczono. Na podłodze leżały ciała Banników, w powietrzu po raz pierwszy nie unosił się dym papierosowy. Zastąpił go smród ekskrementów, krwi i śmierci.

# Księga druga

# Rozdział pierwszy

Nie sposób było pozbyć się szpitalnego zapachu. Zarieczna opłukiwała się wodą już od półgodziny, nie oszczędzając przy tym mydła, ale nadal miała wrażenie, jakby sterylna woń wręcz emanowała z jej skóry. Jakby wżarła się w nią razem ze świadomością tego, jak blisko śmierci się znalazła.

Dojście do siebie zabrało jej kilka tygodni, dziś jednak miała w końcu wrócić na służbę. Nie pamiętała zbyt wiele z tego, co się wydarzyło tamtego pechowego dnia. Wiedziała, że zaczął się nieciekawie, a potem było tylko gorzej.

Dlaczego sprawy tak się potoczyły? Uznała, że wszystko zaczęło się od tego, że coś w niej pękło. Coś, co powinno pęknąć w każdym policjancie w tym mieście.

Chwilę po kąpieli wyszła na niewielki dziedziniec budynku, w którym mieszkała z rodzicami. Powiodła wzrokiem po zakurzonych oknach, sznurkach rozciągniętych między nimi i suszącym się na nich praniu. Świeciło słońce, mieszkańcy Rakowca postanowili skorzystać z okazji.

Eliza przesunęła dłonią po mundurze w miejscu, gdzie została postrzelona. Ślad na ciele był wyraźny i obawiała się, że ten na psychice również. Ostatecznie przekonała się jednak, że przy odpowiedniej determinacji potrafi poradzić sobie ze świadomością tego, co się stało.

Teraz skupiała się jedynie na wymierzeniu sprawiedliwości tym, którzy zawinili. Formalnie nie prowadziła śledztwa – umorzono je zaraz po tym, jak trafiła do szpitala. Argumentowano, że powodem jest niemożliwość wykrycia sprawcy.

Kiedy przełożona odwiedziła Zarieczną w szpitalu, ta zapewniła ją, że nie będzie działać na własną rękę. Powtarzała, że nie należy do osób lekkomyślnych i teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej zdaje sobie sprawę z zagrożenia. W końcu komisarz uwierzyła.

Jej błąd.

Eliza wyszła na ulicę i rozejrzała się. Partnerka miała na nią czekać, ale najwyraźniej nie spieszyło jej się tego dnia na służbę. Zarieczna poczekała minutę, po czym ruszyła w stronę centrum.

Chwilę później zobaczyła nadchodzącą z tamtej strony Salomeę. Przypuszczała, że dziewczyna przez te tygodnie samotnej pracy nieco stwardnieje, a mundur zrobi swoje. Jej postawa wskazywała jednak na to, że wszystko było po staremu.

Kier szła ze wzrokiem wbitym w ziemię, tylko cudem nie zderzając się z innymi przechodniami. We wzmożonym porannym ruchu zapewne minęłaby Zarieczną, gdyby ta nie złapała jej za rękę.

Salomea przywitała ją dość wylewnie, biorąc pod uwagę jej usposobienie. Uściskała jej dłoń, potrząsając nią mocno.

– Jak się czujesz? – odezwała się.

Wysiłek, z jakim zadała to pytanie, był dobrze wyczuwalny. Najwyraźniej nie zwykła zaczynać rozmowy, a to krótkie pytanie układała sobie w głowie przez ostatni



kwadrans.

Zarieczna uśmiechnęła się blado. Trafiła jej się doprawdy ciekawa towarzyszka.

– W porządku – odparła, kiedy mijał ich gazeciarz. – Po tym wylegiwaniu się mam dwa razy więcej sił, żeby zabrać się za półświatek.

Kier skrzywiła się.

– Chyba nie zamierzasz... – zaczęła, a potem urwała.

– Dorwać Banników? A jak sądzisz?

– Że dowódczyni postawiła sprawę jasno.

– Owszem – przyznała Eliza. – W świetle braku dowodów innego wyjścia nie było. Ale mogą pojawić się nowe dowody.

– Jakie?

– Nie wiem. Jeszcze.

– Więc zamierzasz drążyć?

– Oczywiście. Ci ludzie nieomal mnie zabili. Chyba nie myślisz, że tak po prostu o tym zapomnę?

Zabrzmiała butniej niż zamierzała, zaskakując samą siebie. Najwyraźniej tkwiła w niej gwałtowna, atawistyczna potrzeba odwetu. Dotychczas sądziła, że zostanie stłumiona obawą przed tymi ludźmi, ale teraz rozumiała, że właściwie nie czuje strachu. To, co najgorsze, już się wydarzyło. Przeszła chrzest bojowy.

– Nikt nie każe ci zapominać.

– Otóż to.

– Ale nic dobrego z tego nie będzie. Narazisz się nie tylko im, ale też...

– Im naraziłam się już, chcąc aresztować herszta tej szajki.

– A jednak pozwolili ci żyć.

Zarieczna popatrzyła na nią z wyrzutem. Żadna funkcjonariuszka nie powinna przedstawiać sprawy w takich barwach. Nie powinna nawet widzieć jej w ten sposób. Było to jak potwarz.

– Mogli z tobą skończyć – dodała Salomea. – A potem zastrzelić mnie. Mimo to pozwolili mi zadzwonić po karetkę.

– Mam być im wdzięczna?

– Nie. Raczej potraktować to jako ostrzeżenie.

– Zatem zostałam ostrzeżona – odparła pod nosem Eliza. – A teraz powiedz mi, jak sytuacja?

Salomea zrobiła głęboki wdech, jakby powietrze nie było przesiąknięte smrodem końskich odchodów. Wcześniej Zarieczna go nie czuła, był immanentnym elementem miasta, po którym poruszało się przecież całe mnóstwo dorożek. Po wyjściu ze szpitala miała jednak wrażenie, jakby odór ją znokautował.

– Sytuacja? – spytała Kier.

– Na ulicy.

– Ach... bez zmian. Dziewczyny dalej przyjeżdżają z wiosek, idą na służbę domową, są wykorzystywane przez panów domu, trafiają na ulicę, a potem zostają chustkowymi.

Eliza spojrzała na rozmówczynię z niedowierzaniem.

– Coś nie tak?

– Miałam na myśli Banników, nie ogólną kondycję warszawskiej prostytutki.

– Aha – mruknęła Salomea. – Urząd Śledczy trzyma rękę na pulsie.

– I? Jak się sprawa rozwija?

– Nie rozwija się w ogóle.

– Salomea...

– Dobrze, już dobrze – odparła cicho Kier i na moment uniosła spojrzenie. – Nie udało się dojść do tego, kto przypuścił atak na „Mokradło”.

– Wszyscy tam zginęli?

– Co do jednego.

– Więc teoretycznie Bannicy powinni się rozpaść.

– Gdzie tam. Trochę ich zostało, nie wszyscy byli w szynku.

– Kto z ważniejszych osób ocalał?

– Przede wszystkim Hertz i Trawicki.

– Trawicki?

– Jego prawa ręka. Ubiera się jak on, czesze jak on, chce chyba wyglądać jak jego brat.

– A Wilmański?

– Jemu też nic się nie stało. Przez te tygodnie to oni trzej wzięli na swoje barki cały interes. Niektórzy mówią, że to Wilmański zaaranżował całe zdarzenie, żeby wyciąć ludzi ponad sobą.

Z każdym kolejnym zdaniem Kier zdawała się mówić coraz chętniej, a w jej oczach pojawiła się iskra, której Zarzeczna wcześniej nie widziała. Najwyraźniej towarzyszkę intrygował półświatek. Właściwie trudno było się dziwić.

Wahnięcie, jakie miało miejsce po ataku na „Mokradło”, mogło zmienić krajobraz całego miasta. Pozostałe gangi zyskały okazję, by wykończyć Banników i zająć ich miejsce. Szczególnie łakomi wydawali się ci z Kercelaka, ale zamiast atakować, wsparli swoich konkurentów. Chodziły słuchy, że udzielili im nawet pokaźnej pożyczki.

– Skąd te plotki o Wilmańskim? – zapytała Eliza.

– Nie wiem. Mówi się, że może grać na dwa fronty.

– Ile w tym prawdy?

Salomea wzruszyła ramionami. Przez chwilę szły w milczeniu, zbliżając się do okazałego gmachu Ministerstwa Kolei Żelaznej przy alei 3 Maja.

– Wszystko jest możliwe – dodała po chwili Kier. – Na dobrą sprawę nikt nie wie, kim jest ten człowiek.

– Sprawdzaliście jego przeszłość?

– Po tym, jak zostałaś postrzelona.

– To on strzelał?

– Nie. On był pierwszym, który cię ratował.

Zarzeczna skinęła zdawkowo głową, mając nadzieję, że wypadło to dość obojętnie.

– Ale starałyśmy się ustalić coś więcej – ciągnęła jak najęta Salomea. – Kontaktowałyśmy się nawet z policją w Wilnie, ale niewiele nam pomogli. Wilmański

unikał stróżów prawa.

– Był związany z jakąś organizacją przestępczą?

– Chyba tak.

Eliza podrapała się za uchem, a potem poprawiła nieco włosy.

– O bokserach zazwyczaj co nieco wiadomo – zauważyła. – Nie ustaliłyście nic w sprawie kariery sportowej?

– Mamy same suche statystyki. Radził sobie całkiem dobrze, a na ringu mówili na niego Orkan.

Ernest „Orkan” Wilmański. Zarzeczna powtórzyła sobie to kilkakrotnie w głowie, ale nie wyłaniał się z tego żaden konkretny obraz. Mężczyzna ten wydawał jej się pełen sprzeczności i był zbyt enigmatyczny, by go przejrzeć. Mogły przyświecać mu ukryte motywacje i nie zdziwiłaby się, gdyby w istocie okazało się, że kopie dołki pod Hertzem.

– Dlaczego wciąż nosi te rękawiczki?

– Nie wiem.

– A więc to tyle?

– Jeśli o niego chodzi, nie ustaliłyśmy nic więcej.

– A jeśli chodzi o pozostałych?

– Nawet nie próbowaliśmy.

Wymieniły się znaczącymi spojrzeniami. Oczywiście, Policja Państwowa nie miała zamiaru wkładać kija w mrowisko, szczególnie kiedy mrówki były rozjuszone i zdolne do wszystkiego.

Zarzeczna przypuszczała, że Fryderyk Hertz przez ostatnie tygodnie robił dokładnie to, co ona. Zbierał siły. Przygotowywał się, by wymierzyć sprawiedliwość tym, którzy mu zawinili.

Przemknęła jej przez głowę niepokojąca myśl, że warszawskie ulice niebawem spłyną krwią. Bannicy nie zostawią tej sprawy ot tak, znajdą winnych, a potem bezlitośnie zemszczą się na wszystkich, którzy przyłożyli rękę do ataku.

Policjantki w końcu dotarły do siedziby swojej formacji przy Krakowskim Przedmieściu. Stawiły się w gabinecie komisarz, która powitała Zarzeczna dumnym salutem. Posterunkowa odpowiedziała tym samym.

– Siadajcie – poleciła, wskazując im krzesła przed postawnym biurkiem.

Gabinet był imponujący zarówno pod względem powierzchni, jak i wystroju. Wisiały tu liczne obrazy, w rogu znajdował się niewielki kominek, a obok niego zestaw ozdobnych pogrzebaczy i innych akcesoriów. W jakiś sposób klóciło się to z podejściem do kobiecego oddziału, które zdawało się przeważać w policji.

Funkcjonariuszki dostawały najgorsze rewiry, słabe wyposażenie, niewiele zadań do wykonywania i były z każdej strony narażone na kpinę. Tymczasem tutaj wszystko wskazywało na to, że są istotną częścią policyjnych struktur.

– Napijecie się czegoś?

Obydwie pokręciły głowami.

– W takim razie przejdziemy od razu do rzeczy – zapowiedziała komisarz, patrząc na Elizę. – Posterunkowa Kier dała mi do zrozumienia, że nawiązała pani jakąś relację z tym nowym członkiem Banników.

– Słucham?

Zarieczna była kompletnie zbita z tropu. Mimowolnie popatrzyła na Salomeę, ale ta trwała w bezruchu z opuszczoną głową.

– Nie lubię się powtarzać – bąknęła przełożona. – Czy muszę to robić?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Więc proszę, oświeć mnie. Jaka to relacja?

– Właściwie...

– Bez wykrętów – ucięła komisarz. – Oczekuję konkretów.

– Konkretów?

Dowódczyni uniosła błagalnie wzrok, rozłożyła szeroko ręce i złapała za blat biurka. Przez moment sprawiała wrażenie, jakby miała z całej siły je popchnąć i przygnieść meblem dwie posterunkowe.

– Na Boga... – jęknęła. – Możesz go uwieść czy nie?

Eliza znów miała ochotę upewnić się, czy dobrze słyszała.

– Posterunkowa!

– Ja...

– To proste pytanie, a ja oczekuję odpowiedzi.

– Myślę, że istnieje taka hipotetyczna...

– Wprost idealnie – wpadła jej w słowo przełożona. – Rozumiem, że to z twojego punktu widzenia zadanie niełatwe i być może mało szlachetne, ale jeśli zyskałaś jego sympatię, należy to wykorzystać.

– Nie powiedziałabym, żeby...

– Twoja partnerka twierdzi zgoła co innego. A mianowicie, że Wilmański rzucił ci się na ratunek, kiedy zostałaś postrzelona, i że to jemu trzeba dziękować za to, że trafiłaś do szpitala, a nie do mogiły.

Zarieczna znów przeniosła wzrok na Kier.

– Oczy przed siebie – rzuciła dowódczyni.

– Tak jest.

Komisarz klasnęła z zadowoleniem.

– Świetnie – powiedziała. – Teraz możesz skupić się na tym, co mam do powiedzenia.

Kiedy komisarz nabierała tchu, Eliza pomyślała, że najlepiej było zostać w szpitalu jeszcze kilka dni. Jeśli to, o czym mówiła Salomea, było prawdą, Wilmańskiemu nie zostało wiele czasu. Prędzej czy później albo coś na niego znajdą, albo spreparują. Wśród Banników zapewne znajdzie się wiele osób, którym nie w smak jest szybki awans przyjezdnego boksera z Wilna.

– Mniemam, że jesteś jedną z tych beznadziejnych idealistek – podjęła przełożona. – Zgadza się?

Właściwie kiedy przystępowała do kursu, myślała pragmatycznie. Chciała zarobić na siebie i rodziców, spłacić wszystkie ich długi, a przy okazji sprawić, że nad rodziną zostanie roztoczony policyjny parasol ochronny.

Szybko się to jednak zmieniło. Kiedy przywdziała mundur, przewartościowała swoje priorytety i niedługo potem zrozumiała, że chce coś zmienić. Chce pokazać, że Polki nie będą gorszymi funkcjonariuszkami od ich odpowiedniczek w innych krajach.

– Nie mnie to oceniać – odparła.

– Ale mnie tak. I na moje oko, masz w sobie nadmiar idealizmu.

– Być może, pani komisarz, ale...

– I przez to liczyłaś zapewne na bardziej szlachetne misje. Uwodzenie jakiegoś kryminalisty być może w twoim przekonaniu nie licuje z rolą stróża prawa. Tak?

– Nie, w żadnym wypadku.

– Więc zdajesz sobie sprawę, że musimy działać wszelkimi możliwymi sposobami?

Kiwnęła głową.

– Jeśli więc nadarzy się okazja, pójdziesz z nim do łóżka?

Zarzeczna czuła, jak fala gorąca występuje jej na policzki. Bodaj pierwszy raz usłyszała tak bezpośrednie pytanie od osoby w gruncie rzeczy obcej. Owszem, kilkakrotnie rozmawiała z matką na te tematy, ale to było zupełnie co innego.

Przełknęła ślinę i zerknęła na Kier. Ku jej zdziwieniu, Salomea zdawała się nieporuszona.

– Zrobię, co będzie trzeba.

– Wybornie – skwitowała przełożona. – W takim razie nakreślę ci sytuację.

Eliza starała się skupić na głosie komisarz, odsuwając od siebie implikacje tego, co właśnie usłyszała. Nie było łatwo. Najgorsze w tym wszystkim było to, że na dobrą sprawę rozumiała dowódczynię.

Każda z nich chciała zrobić wszystko, by udowodnić, że decyzja o utworzeniu policji kobiecej była właściwa. A przełożona osiągnie to tylko wtedy, jeśli przedstawi wymierne rezultaty ich działań. Metody były sprawą drugorzędną, być może nawet nigdy nie powie nikomu o rozmowie, która dziś miała miejsce w jej gabinecie.

– Rzecz w tym, że Wilmański jest dla nas centralną postacią – kontynuowała komisarz. – Od początku wzięliśmy go na celownik, bo nadawał się najlepiej. Teraz sytuacja stała się jeszcze lepsza, przynajmniej z naszego punktu widzenia.

– To znaczy?

– Hertz podejrzewa, że Wołyniak nadal trzyma ze swoimi dawnymi mocodawcami. Z Bruderferajn, mafią z Wilna.

– Mafią?

– Nie znasz tego określenia? Mało interesujesz się więc tym, co działo się we Włoszech.

– Znam, ale...

– Niestety, do nas również dotarł powiew tych zbrodniczych praktyk. A wszystko dlatego, że Mussolini zaczął rozcinać ich jak muchy. Pouciekali, gdzie się da, a ich idee dalece ich wyprzedziły. Bruderferajn jest jedyną organizacją, która...

– Wiem, kim są.

– W takim razie musisz także wiedzieć, że Wilmański był z nimi w jakiś sposób związany.

Zarzeczna obróciła się do partnerki, ale ta najwyraźniej też słyszała o tym po raz pierwszy. Na moment uniosła wzrok z zaciekawieniem, po czym wróciła do swojej tradycyjnej pozy.

– Hertz ma mnóstwo podejrzeń wobec niego – kontynuowała komisarz. – Naszym

zadaniem będzie je podsycić, ale nie zaproszyć przy tym ognia. Chcemy, by Wołyniak poczuł się przyparty do muru. Żeby nie widział innej możliwości, jak współpraca z nami. Rozumiesz?

Eliza pokiwała głową.

– Ty tymczasem będziesz nad nim pracować. I gdy przyjdzie co do czego, złożysz mu propozycję, którą odrzuciłby jedynie samobójca.

Zarieczna machinalnie założyła nogę na nogę i dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie powinna zachowywać się tak beztrosko w gabinecie szefowej ich oddziału. Wyprostowała się na krześle.

– Masz jakieś pytania? – zapytała komisarz.

– Całe mnóstwo.

– W takim razie wybierz jedno, bo nie mam tyle czasu.

Eliza przez moment czekała, aż rozmówczyni się uśmiechnie, ale ta trwała z kamiennym wyrazem twarzy.

– Jak mam to osiągnąć? – zapytała. – Jak się do niego zbliżyć?

– Nie muszę ci chyba tego tłumaczyć...

– Mam na myśli to, że nigdy nie zaufa policjantce.

– Byłej policjantce.

– Co proszę?

Komisarz odsunęła jedną z szuflad przepastnego biurka, wyjęła sporządzony na maszynie dokument, a potem z gracją położyła pismo przed Elizą. Wyjąwszy pióro, wskazała jej miejsce, w którym powinna podpisać.

– Przyszłaś tu dzisiaj złożyć rezygnację – oznajmiła. – Swoją decyzję motywujesz faktem, że nie czujesz się na siłach, by dalej pełnić obowiązki służbowe. To tyle, jeśli chodzi o sprawy urzędowe. Nieoficjalnie mówi się na komendzie o tym, że postrzelenie zachwiało twoją psychiką. Masz dosyć policji i nie zamierzasz nigdy więcej przywdziewać munduru.

Zarieczna nie potrafiła dobyć głosu.

– Jeśli chcesz dodać coś jeszcze, proszę bardzo.

– Pani komisarz...

– Czegoś nie zrozumiałaś? Jeśli tak, wyłożę ci to jaśniej: otrzymałaś właśnie rozkaz, by pracować pod przykryciem.

W pomieszczeniu zaległa ciężka cisza. Przez moment Eliza miała wrażenie, że wszystkie trzy wstrzymały oddech.

– Podpisz. To tylko bzdurna formalność, nie ma żadnej mocy prawnej. Musimy jednak mieć to pismo, by cię uwiarygodnić w nowej roli.

Zarieczna potarła nerwowo koniuszek nosa i wbiła wzrok w miejsce, gdzie brakowało jej podpisu. Wiedziała, że nie ma wyboru, ale nie tak wyobrażała sobie pracę w policji kobiecej. Otrzymanie takiej misji w pewien sposób było uwłaczające, bo z trudem mogła wyobrazić sobie, by jakikolwiek funkcjonariusz został zatrudniony do podobnego zadania.

– To naprawdę konieczne?

– Tak.

– Sądzi pani, że co cokolwiek zmieni? – próbowała dalej Eliza. – Wilmański nie zaufa żadnej policjantce tylko dlatego, że odwiesiła mundur na kołek. Tym bardziej nie będzie chciał jej zdobyć.

– Przeciwnie. Będzie go pociągała taka perspektywa.

– Nie sądzę.

– Zatem nie znasz mężczyzn – odparła dowódczyni i dopiero teraz lekki uśmiech pojawił się na jej twarzy. – Zawsze pragnę tego, co nieosiągalne.





# Rozdział drugi

Minęło trochę czasu, nim jazzowe rytmy znów rozbrzmiały w „Mokradle”. Bez nich to miejsce sprawiało upiorne wrażenie, nawet kiedy niedobitki Banników uporały się ze sprzątaniami i tawerna na powrót wyglądała tak, jak powinna.

W końcu jednak wszystko wróciło do normy. Przynajmniej jeśli chodziło o samą siedzibę organizacji. Znów wypełniła się ludźmi, ale teraz wpuszczano tutaj nie tylko tych, którzy chcieli załatwić interesy – w „Mokradle” zaczęli pojawiać się także ci, którzy zamierzali po prostu wydać nieco grosza na dobrą gorzałę.

Na podwórzu otwarto nielegalną bimbrownię, by zaspokoić popyt rosnącej liczby klientów i uniezależnić się od dużych fabryk. Fryderyk Hertz za punkt honoru postawił sobie nie tylko odbudowę, ale także rozbudowę.

W efekcie zdewastowanie lokalu wyszło Bannikom na dobre. Przechodząc wąskim korytarzykiem z sali głównej na zaplecze, mijało się niewielkie, niepozorne drzwi po prawej stronie. Prowadziły do dobudówki znajdującej się obok bimbrowni, w której mieściło się nowe centrum operacyjne organizacji.

Powstało za namową Ernesta, który podobne rzeczy widział w Wilnie. W dwupokojowej przybudówce znajdowała się kancelaria prowadzona przez profesjonalnego biuralistę. Zaufanego, rzecz jasna. Oprócz tego umieszczono tutaj sejf, składowano część arsenału i pracowano nad tym, by jak najwięcej pieniędzy wtłoczyć do legalnego obiegu.

Wilmański na tym jednak nie poprzestał. By odkuć się po ostatnim rabunku i pokryć koszty rozbudowy, zaproponował wejście na teren, który w Śródmieściu dotychczas był niezagospodarowany.

Hertz szybko na to przystał, a w efekcie Bannicy zaczęli ściągać haracz od szeregu przedsiębiorców, którzy prowadzili swoje interesy na Złotej, Chmielnej, Wielkiej, Siennej... właściwie w całym kwartale. Źródłem opłat było całe mrowie, Ernestowi wydawało się nawet, że partery każdej kamienicy są zajmowane przez jakiś biznes.

Początkowo właściciele płacili niechętnie, ale Bannicy byli zdeterminowani. Kilka połamanych kości, jeden utopiony nieszczęśnik i wiadra pełne wody stojące przed drzwiami lokalnych przedsiębiorców zrobiły swoje.

Sz szczególnie ten ostatni pomysł podobał się Hertzowi. Jego autorem także był Wilmański.

Początkowo Ernest obawiał się, że to na niego spadnie cała furia szefa. Kiedy wrócili z Gdańska, był głównym podejrzanym i właściwie wszystko wskazywało na to, że będzie tylko gorzej.

Ostatecznie jednak jego wsparcie i gotowość do wykonywania rozkazów Fryderyka sprawiły, że odbudował zaufanie. Nie wiedział w jakim stopniu, ale jeśli reakcja prawej ręki Herta mogła o czymkolwiek świadczyć, to nie miał się czego obawiać.

Szymon Trawicki bowiem nieustannie łypał na niego podejrzliwie, podawał w wątpliwość jego motywacje i lojalność, a raz czy dwa pozwolił sobie nawet na

bezpośrednie oskarżenia.

Hertz zbywał je milczeniem. Po tym, jak Wilmański utopił nieprzejednanego handlarza, który nie chciał wypłacać haraczu, Ernest zdobył niewielki kredyt zaufania. Kolejne sugestie i rady tylko przybliżyły go do tego, by ostatecznie znaleźć się w ścisłym otoczeniu Fryderyka.

Był ostrożny. Wiedział, że jeden niefrasobliwy ruch może sprawić, że dawne wątpliwości odżyją. Nie był zresztą do końca pewny, czy szef całkowicie mu ufa. Być może pamiętał jeszcze o swoim wahaniu. A jeśli nie, to Trawicki co jakiś czas mu o nim przypominał.

Był to prosty chłopak, typowy mięśniak, który chciał uchodzić za nieco bardziej dystyngowanego, niżby to wynikało z jego stylu bycia. Nosił się tak, jak jego szef – wygolił włosy po bokach i z tyłu, miał podobną fedorę i równie dobrze skrojony garnitur. Nie mogło to jednak ukryć jego pochodzenia. Wypowiadał się z wyraźnym niechlujstwem językowym, jego ruchy były nerwowe, a sylwetka zgarbiona. To wszystko rekompensowały jednak szerokie barki, dzięki którym Szymon robił odpowiednie wrażenie.

Półtora miesiąca po napadzie na „Mokradło” Wilmański musiał przyznać, że w istocie stworzyli triumwirat. Hertz pełnił funkcję przewodnią, ale pozostałych dwóch Banników również miało co nieco do gadania. Na mieście zaczęto nawet mówić o Trzech Demonach Krwawej Łaźni, co szybko podchwyciła prasa – mimo woli zaczęła budować renomę, na której im wszystkim zależało.

Tajemnicą poliszynela było, że to Bannicy odpowiadają za rosnącą liczbę przestępstw w samym sercu miasta oraz że trup będzie ścielił się gęsto, gdy dowiedzą się, kto ich zaatakował. Policja jednak nie kiwnęła palcem, by czemukolwiek zapobiec.

Jeszcze tydzień temu Hertz był dobrej myśli i podkreślał, że wykrycie sprawców jest tylko kwestią czasu. Teraz jednak zaczynał dopuszczać do siebie świadomość, że akcja została zorganizowana zbyt dobrze, by kiedykolwiek odkryli prawdę. Mimo to nakazał, by próbować do skutku.

Tego dnia Wilmański przepytał kilku Żydów w północnej części Warszawy. Właściwie było to miasto w mieście, różniło się diametralnie od pozostałych dzielnic. O ile Śródmieście w dużej mierze było obskurne, tereny na północ od Leszna przywodziły na myśl mekkę potępionych. Z dnia na dzień zdawały się coraz bardziej przeludnione, coraz mniej zadbane. Władze Warszawy jakby z premedytacją ignorowały ten stan rzeczy, nie mając pomysłu na to, co zrobić z napływającą ludnością.

Nie zdobywszy żadnych informacji, Ernest opuszczał terytorium Żydów z ulgą, czując na sobie spojrzenia przynajmniej dwóch kilkusobowych grup. Minął przysypiających w bramach tragarzy, żywo dyskutujące kółka wzajemnej adoracji, a potem zatrzymał się na skrzyżowaniu Żelaznej z Nowolipiem, żeby złapać tramwaj.

Czekając na charakterystyczny dźwięk dzwonka, rozglądał się dokoła. W końcu zawiesił wzrok na przeszklonej fasadzie jednej z tutejszych karczem. Przy stoliku obok okna siedziała Eliza Zarzeczna.

Przez moment patrzył na nią z niedowierzaniem.

Zastanowiwszy się tylko przez krótką chwilę, zerknął na zegarek, a potem podjął

decyzję. Ruszył w kierunku wyszynku, przeciągając dłońią po włosach. Nadal nie zdecydował się na zakup kaszkietu czy kapelusza i przypuszczał, że już się nie zdecyduje. Hertz upominał go, że przez to robi z siebie nagusa, ale Ernest nie miał zamiaru się tym przejmować.

Wszedł do lokalu, odwiesił gabardynowy płaszcz na wieszak, po czym ruszył zdecydowanym krokiem ku stolikowi. Odchrząknął, zwracając na siebie uwagę nie tylko Elizy, ale także kilku innych bywalców.

– Wygląda pani inaczej w cywilnym ubraniu.

Podniosła się, jakby spodziewała się zagrożenia. Dopiero po chwili zmitygowała się i uniosła rękę. Ucałował ją, pochylając się nieco, a potem bez pytania zajął miejsce naprzeciw niej. Wystarczyło uprzejmości jak na jedno spotkanie.

– Chyba byliśmy już na „ty”? – spytała.

– Całkiem możliwe.

– Szczególnie po tym ostatnim spotkaniu.

– Trudno to nazwać spotkaniem. Było to raczej starcie.

Uśmiechnęła się blado, a on był przekonany, że niechętnie wraca do tego myśłami. Przez chwilę patrzył na nią badawczo, zastanawiając się, czy dobrze zrobił, wchodząc do lokalu. Gdyby przeznaczył chwilę na refleksję, być może postąpiłby inaczej.

Teraz znalazł się bowiem w dziwnej, niewygodnej sytuacji. Gdyby kilka spraw potoczyło się inaczej, skakaliby sobie do gardeł, a nie siedzieli przy jednym stoliku.

– Zawsze mogło być gorzej – dodała po chwili. – Mogłeś strzelić do mnie już przy pierwszej okazji.

– Mhm.

– Ze służbowej broni, którą mi wydarłeś.

Ernest nie potrafił przesądzić, czy tylko się drażni, czy robi mu zarzut.

– I której już nie masz – zauważył, chcąc zmienić temat. – Szybko sprzykrzyła ci się praca w policji.

– Dziwisz się?

– Właściwie nie. Nikt chyba nie powinien.

Zgodziła się skinieniem głowy, a potem napiła się kawy. Aromat był zachęcający, ale Wilmański postanowił nie szafować pieniędzmi. Zainwestował wszystkie zarobione środki w działalność Banników, by zyskać zaufanie szefa, i nie zostało mu wiele. Przypuszczał jednak, że w najbliższych tygodniach się odkuje. Z nawiązką.

– Napijesz się?

– Nie – odparł krótko.

Zaległa niewygodna cisza. Oboje rozejrzeli się po restauracji.

– Polecam – dodała po chwili. – Turecka, wysokiej jakości.

– Nie zostanę długo, mam kilka spraw do załatwienia.

– Zawodowych?

– Można tak powiedzieć – odparł z nadzieją, że nie będą się w to zagłębiać. Niestety uszczypliwość w głosie Elizy była wystarczającym dowodem na to, że czekała na taką okazję. – A ty co tutaj robisz? – dodał szybko. – Dzielnica Północna to chyba nie miejsce dla ciebie.

– Dlaczego nie?

Wzruszył ramionami, nie zamierzając wspominać o potencjalnych niebezpieczeństwach. Z pewnością wyszedłby na osobę nieprzychylną Żydom, tymczasem było wręcz przeciwnie. Ze wszystkich dzielnic warszawskich to właśnie nalewkowsko-muranowska była tą, w której chciałby mieszkać.

Życie toczyło się tutaj na ulicach. Grupy składające się z dzieci, nastolatków, dorosłych mężczyzn i brodatych seniorów żywiłowo dyskutowały, jakby mieszkania były tylko tymczasowym miejscem przebywania, a właściwy dom był tutaj, pośród innych ludzi.

Owszem, kurz unosił się w powietrzu, w podwórzach nadal znajdowały się studnie i wychodki, a większość trzypiętrowych budynków była zapuszczona. Nie zmieniało to jednak faktu, że Wilmański czułby się tu jak ryba w wodzie.

Gdyby tylko potrafił wtopić się w tłum. Tak jednak nie było i podejrzliwe spojrzenia mijających go ludzi dobitnie mu to uświadamiały.

– Przychodzę tu do Landsztejna – wyjaśniła Zarzeczna. – Tylko u niego się zaopatruję.

– Rzeźnik?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie. Prowadzi sklep z konfekcją damską.

– Rozumiem.

– A ty czego tu szukasz? Bannicy raczej nie zapuszczają się za kościół Najświętszej Maryi Panny.

Wilmański milczał.

– Szykujecie się do wojny, poszukując sojuszników?

– Nie w głowie nam żadne wojny. Jesteśmy pokojowo nastawieni.

– Szczególnie do tych, którzy obrócili w pył „Mokradło”?

Ernest odsunął krzesło i podniósł się.

– Chyba zbyt dużo tych pytań – orzekł. – Ale miło było cię spotkać.

Zarzeczna również wstała. Otworzyła usta, ale nie wypowiedziała ani słowa. Zawód na jej twarzy był wyraźnie widoczny i Wilmański pożałował, że zareagował w taki sposób. Przy odrobinie szczęścia udałooby się z pewnością skierować tę rozmowę na bardziej neutralne tory.

– Nie chciałam cię spłoszyć.

– Nie płoszę się z natury.

– A jednak uciekasz.

Uśmiechnęła się lekko, wyzywająco. Podobało mu się to.

– Mówiłem, czas nagli.

– W takim razie przy następnym spotkaniu wygospodaruj go sobie więcej.

– Następnym?

– Nie sądzisz chyba, że to nasze ostatnie?

Wpatrywał się w jej oczy w milczeniu. Wciąż przywodziła mu na myśl Jadwigę Smosarską. Miała pociągający owal twarzy, niesforne włosy i spojrzenie, które obiecywało więcej, niżby wypadało powiedzieć.

Stali naprzeciwko siebie i czekali na ruch drugiej strony. Ernestowi przemknęła przez głowę myśl, że nie zachowują się jak dwójka kokietujących się osób, a raczej jak potencjalni przeciwnicy, którzy kiedyś mogą spotkać się na deskach ringu.

– To była niewypowiedziana sugestia, żebyś zaproponował kolejne spotkanie.

– Odebrałem ją.

– I?

Nadal się uśmiechała, ale on trwał z kamiennym wyrazem twarzy.

– Gdzie cię znajdę? – spytał.

– Mieszkam na Rakowcu, ale raczej nie powinnam zapraszać cię do siebie. Moja matka zje cię jako przystawkę, a ojciec obgryzie kości.

– Są tak niebezpieczni?

– Raczej nieprzychylni.

– W takim razie gdzie mogę cię spotkać?

– W pracy – odparła, wzruszając ramionami. – Zatrudniłam się w domu wychowawczym przy Nowogrodzkiej.

Wilmański nie miał pojęcia, o czym mowa. Rozmówczynie najwyraźniej dostrzegła wyraz konsternacji na jego twarzy.

– Plac Starynkiewicza? Koszykowa?

Pokręcił głową.

– Trafisz tam bez trudu – powiedziała. – Wystarczy, że pójdziesz Żelazną w kierunku Alei Jerozolimskich. Cały czas prosto, a w końcu dotrzesz na Nowogrodzką. Skręcisz w prawo i będziesz na miejscu. Po jednej stronie ulicy jest Instytut Szczepienia Ospy, po drugiej dom wychowawczy.

Ernest zakonotował to w pamięci.

– Czym się tam zajmujesz?

– Tym, czym każdy inny człowiek w czasach dyktatury pieniądza. Zarabiam na życie.

Wciąż się nie uśmiechał, ale tym razem poczuł, że właśnie tego od niego oczekiwała. Uniósł lekko kącik ust, ale obawiał się, że wyszedł z tego raczej niewyraźny grymas.

– A poważnie mówiąc, staram się pomóc – dodała po chwili. – Skoro nie mogę zrobić tego dla tych, dla których jest za późno, zajmuję się tymi, którzy mają jeszcze szansę.

– Ci na ulicy również ją mają.

– Doprawdy?

– Od kilku tygodni sprawdzam to w praktyce – burknął, a potem skłonił się lekko i oddalił.

Nie miał zamiaru rozmawiać z nią o Anastazji. Zbyt często myślał o małej, by jeszcze dyskutować na jej temat z kimkolwiek. Miał szereg problemów, które powinien chyba nazwać wychowawczymi.

Dziewczyna była wyrzucana z każdej pracy, jaką jej naraił. Najdłużej wytrzymała u krawcowej, pomagając przyszywać guziki, ale kiedy zwinęła kilka, właścicielka zakładu się z nią pożegnała. Ana radziła sobie też całkiem nieźle u pewnego folusznika, chwalił ją za to, że czyści garnitury ze skrupulatnością doświadczonego fachmana. Pewnego dnia jednak podziurawiła czyjaś marynarkę, twierdząc, że

mężczyzna kiedyś załaził jej za skórę.

Wilmański stanął w progu restauracji, spojrzął jeszcze na Zarzeczną, a potem wyszedł na ulicę. Poszukał wzrokiem tramwaju, ale żaden nie nadjeżdżał. Złapał więc riksę i udał się na Wielką.

Fryderyk siedział przy swoim stoliku, kołysząc się lekko w rytm ulubionej muzyki. Dym papierosowy tego dnia pachniał inaczej. Wilmański przypuszczał, że to za sprawą nowych bywalczyń „Mokradła”, które z lubością sięgały po perfumowane egipskie sfinksy czy damesy.

Powitał szefa mocnym uściskiem dłoni, a potem usiadł przy stoliku. Znikąd pojawił się także Trawicki, jakby tylko czekał, by wejść między nich. Trzech mężczyzn zapaliło, pochylając się nad stojącą na środku stolika popielniczką. Wyglądali, jakby mieli decydować o losach świata.

– Napatoczyłem się na Zarzeczną – zaczął Ernest.

– Najwyższa pora – ocenił Hertz, pociągając łyk wódki.

Wzrok miał nieco zamglony, gdzieś na jego twarzy błąkał się lekki uśmiech. Najwyraźniej tego dnia nie żałował sobie pędzonej na podwórzu gorzały. Kołysanie się w rytm muzyki dobitnie to potwierdzało. Na trzeźwo Fryderyk rzadko pozwalał sobie na takie zachowanie, obawiając się, że umniejszy to jego wizerunek w oczach podwładnych.

– Na co ona czekała? – dodał. – Powinna była zabrać się do roboty już dawno.

– Dochodziła do siebie – podsunął Szymon. – Podobno zabieg był skomplikowany.

Ernest rozruszał kark. Miał wrażenie, że całe jego ciało przyzwyczało się do spania na prawym boku, jeśli nie liczyć szyi. Spędzał tak każdą noc, Anastazja spała bowiem po jego lewej stronie. A on nie mógł zmrużyć oka, o ile nie odwrócił się do niej plecami. I tak czuł się nieswojo, śpiąc z nią w jednym łóżku, ale było to lepsze niż kładzenie się na podłodze.

– Grunt, że w końcu zaczęła działać – odezwał się Fryderyk. – Co mówiła?

– Właściwie nic takiego. Widać, że nie odnajduje się jeszcze w tej roli.

– A ty?

– Pocałowałem ją w rękę na powitanie.

Trawicki zaśmiał się pod nosem, Hertz pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Uważaj, by nie przeholować, Wołyniaku – poradził. – To zbyt cenne dojsście, żebyś zepsuł to już na samym początku.

– Bez obaw. Nie spodziewa się, że o czymkolwiek wiemy.

– Jeśli będziesz ją całował po rękach, to może się zmienić.

Towarzysze znów okazali rozbawienie, Wilmańskiemu jednak nie było do śmiechu. Owszem, sytuacja z punktu widzenia Banników była wprost wymarzona, ale on najchętniej ukreśliłby temu wszystkiemu łeb już na samym początku.

Tyle że straciliby niebywałą okazję.

O powierzonej Elizie misji wiedziały zaledwie trzy osoby – ona sama, jej przełożona oraz córka Hertza. Dzięki temu policjantki były pewne, że tajemnica nie wycieknie przez któregoś ze skorumpowanych funkcjonariuszy.

I dzięki temu będą traktowały wszystkie informacje uzyskane w ten sposób jak

prawdę objawioną. Elizie i tamtej komisarz przez myśl nie przejdzie, że mogą być manipulowane, a Fryderyk właśnie to zamierzał robić. Wraz ze swoimi najbliższymi współpracownikami ułożył plan, który miał sprawić, że policja kobieca przyda im się bardziej, niż mogliby przypuszczać w najśmielszych marzeniach.

Plan makiaweliczny, bezlitosny i prawdopodobnie prowadzący do problemów, z którymi Zarzeczna już się nie upora. Jej przełożona wyjdzie z całej sytuacji obronną ręką, Ernest nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Salomea być może zostanie w policji, a jeśli nie, będzie korzystać z protekcji Banników. Eliza jednak poniesie wszystkie konsekwencje.

Całe przedsięwzięcie nie było skomplikowane. Właściwie wystarczyło tylko, by Wilmański grał swoją rolę. Czas miał zrobić swoje.

– Zaproś ją gdzieś, byle nie za prędko – odezwał się Hertz. – Może i cię nie zna, ale nie musi, by wiedzieć, że nie jesteś jednym z tych, którzy działają pochopnie.

Ernest pokiwał głową.

– Nie wychylaj się z żadnymi informacjami, strzeż naszych interesów. Tego też będzie się spodziewała.

– Oczywiście.

– Za jakiś czas zaczniemy karmić je pierwszymi zdawkowymi wieściami ze świata Banników. Stopniowo utuczmy tę klacz, a potem zrobimy z niej pożytek.

– O ile Wołyniak stanie na wysokości zadania – dodał Trawicki.

Wilmański puścił tę uwagę mimo uszu. Był przyzwyczajony, że Szymon wbija mu szpilę, kiedy tylko może.

Przez chwilę deliberowali o tym, co konkretnie należy poczynić w najbliższych dniach, tygodniach i miesiącach. Zemsta na ludziach odpowiedzialnych za atak nadal była priorytetem. Bannicy zebrali siły, jakkolwiek nadal nie wiedzieli, gdzie je skierować.

Ernest opuścił „Mokradło” dwie godziny później. Przełomu nie było, jak zwykle. Najlepszymi kandydatami na sprawców nadal pozostawali Prałaci, Żydzi, Niemcy i Bruderferajn. Wilmański proponował, by zorganizować okrągły stół, podczas którego Hertz mógłby rozmówić się z pozostałymi, ale Fryderyk odmawiał, twierdząc, że nie będzie się układał z potencjalnymi wrogami.

W mieście panowała atmosfera napięcia. Pozostałe grupy doskonale zdawały sobie sprawę, że Bannicy szukają winnych. I na wszelki wypadek wszyscy się zbroili, także ludzie Hertza.

Nazajutrz Wilmański miał spotkać się z przedstawicielem PPS-u, który za niemałą opłatą przyobiecał załatwić karabiny. Nie spodziewał się problemów. Ani jutro, ani tym bardziej dzisiaj.

Los jednak przewidział dla niego inny scenariusz.

Kiedy wracał do mieszkania czynszowego przy Złotej, usłyszał szept. Początkowo zbyt cichy, by zrozumiał cokolwiek, ale potem wyłapał jedno słowo.

„Orkan”.





# Rozdział trzeci

Eliza skończyła drugą zmianę i opuściła mury domu wychowawczego zupełnie wypompowana. Zmęczenie fizyczne jej nie doskwierało, ale czuła się wycieńczona psychicznie.

Dotychczas nie miała pojęcia, jak wiele dzieci codziennie porzucanych jest na ulicach. Nie przypuszczała, że tyle matek nie ma środków do życia. Zdawało się to plagą znacznie bardziej dotkliwą niż narkotyki, nierząd i rabunki razem wzięte.

Rozejrzała się, a potem wyciągnęła paczkę papierosów. Zapaliła farysa bez obawy, że ktokolwiek ją zobaczy. Najbliższa latarnia roztaczała niezbyt szeroki krąg światła, a ona stała kawałek dalej.

Najchętniej poszłaby prosto do domu i zasnęła, ale praca na dziś nie była jeszcze skończona.

Eliza zdążyła wypalić do połowy, zanim zjawił się jej kontakt.

– Tak na widoku? – odezwała się Salomea.

Zarieczna spojrzała na papierosa, a potem na partnerkę.

– Kto mnie tu zobaczy? Zresztą moja reputacja i tak podupadnie, jak tylko zacznę się widywać z Wilmańskim.

Podaly sobie rękę, Kier stanęła obok niej. Mrok, który dotychczas napawał Zarieczną niepokojem, tego wieczoru zdawał się przyjacielem. Chronił je przed ciekawskimi spojrzzeniami, choć właściwie w okolicy nie było przechodniów. Niewiele osób miało jakikolwiek cel w tym, by się tu zapuszczać.

Mimo to Zarieczna sądziła, że bezpieczniej będzie zmienić miejsce. Teraz, kiedy Ernest wiedział, gdzie pracuje, należało unikać możliwych spotkań o złej porze.

– Jakies postępy? – zapytała cicho Salomea.

– Szłam dziś za nim, od kiedy opuścił mieszkanie. Nadal jest z nim ta dziewczyna, Anastazja.

Kier wyjęła notes i zaczęła zapisywać. Skinęła głową z przejęciem, jakby ta prosta czynność stanowiła zadanie najwyższej wagi. Po prawdzie mogło tak być, przynajmniej z jej punktu widzenia. Komisarz dała jej tylko jeden rozkaz – przekazywać słowo w słowo to, co uda się ustalić Elizie.

Zarieczna wyrzuciła papierosa i zdeptała go. Potrząsnęła paczką, spoglądając znacząco na towarzyszkę, ale ta pokręciła głową.

– Dokąd poszedł? – zapytała.

– Do dzielnicy żydowskiej. Przypuszczam, że szukał informacji o napadzie na „Mokradło”.

– Nadal nie wiedzą, kto to zrobił?

– Nadal.

Salomea uśmiechnęła się lekko, Zarieczna odpowiedziała jej tym samym. Były pewne sfery, w których instytucje państwowe radziły sobie lepiej niż grupy przestępcze. Być może nie było ich wiele, ale ustalenie odpowiedzialnych za napad

rabunkowy z pewnością można było do nich zaliczyć.

Salomea przewróciła kilka kartek w notesie, jakby szukała wcześniej wynotowanych pytań.

– Rozpoznałaś kogoś, z kim się spotykał?

– Nie. Wszystkie rozmowy prowadził w kamienicach.

– Szkoda – odparła Kier i westchnęła. – Co stało się potem?

– Wiedziałam, że będzie wracać Żelazną, więc usiadłam w restauracji na rogu. Tak jak przy kilku ostatnich okazjach. Tym razem jednak w końcu mnie zauważył.

– Wreszcie.

– Mhm – mruknęła z zadowoleniem.

Miała serdecznie dosyć snucia się za Wilmańskim i polowania na jego zainteresowanie. Tym bardziej, że musiała zachowywać najwyższą ostrożność. Trzymała się daleko, nigdy nie zbliżała na odległość, z której mógłby przypadkowo ją zobaczyć. Przez to nieraz go gubiła, a następnego dnia musiała zaczynać od zera.

– Przysiadł się?

– Bez pytania, jak przystało na szarmanckiego dżentelmena – odparła pod nosem Zarzeczna. – Ale trzeba mu oddać, że pocałował mnie w rękę na dzień dobry.

– Umówiliście się?

Eliza zawiesiła wzrok gdzieś w oddali, patrząc w kierunku stacji filtrów. Dochodził stamtąd cichy szmer, dowodzący, że są w Warszawie miejsca, gdzie kanalizacja działa bez zarzutu.

Zarzeczna zastanawiała się, czy kiedykolwiek znajdzie się w tak dobrej sytuacji materialnej, by opuścić Rakowiec. Na pewno nie w najbliższej przyszłości. Nawet jeśli otrzyma dodatkowy zastrzyk środków dzięki zadaniu od komisarz, będzie musiała w pierwszej kolejności spłacić rodzinne długi. Dopiero potem zacznie myśleć o tym, by wynająć mieszkanie gdzieś na wschód od Marszałkowskiej, a może w okolicy ogrodu Saskiego. Gdzieś, gdzie obowiązują zupełnie inne standardy życia. Słyszała, że najlepiej jest na Krakowskim Przedmieściu, Alejach Ujazdowskich albo na Mazowieckiej. Zresztą czuło się to, wystarczyło przejść się tymi wyasfaltowanymi ulicami.

Miasto się rozwijało, powstawało coraz więcej takich miejsc. Rozpoczęto nawet budowę elitarniej dzielnicy na wzór tych, które powstały w Berlinie czy w Rzymie. Eliza nie przypuszczała jednak, by kiedykolwiek dane jej było tam zamieszkać.

– Umówiliście się czy nie?

– Trudno powiedzieć – odparła. – Powiedziałam mu, gdzie może mnie znaleźć. Jak tylko się zjawi, będziesz wiedziała o tym pierwsza.

– A myślisz, że się zjawi?

– Nie wiem. Jest nieprzenikniony.

– Na pewno możesz coś stwierdzić...

Zarzeczna obróciła się do niej i uśmiechnęła. Salomea wiedziała, że nie może wrócić do przełożonej z pustymi rękoma. Komisarz miała wybujałe oczekiwania związane z misją i z pewnością nie szczędziła Kier gorzkich słów, gdy ta przez ostatnie dni wracała z kwitkiem.

– Nawiązałam kontakt, to się liczy.

– Ale...

– Nie mam dla ciebie nic więcej – ucięła Eliza. – Wilmański nie należy do zbyt wylewnych osób.

– A jednak mieszka z tą dziewczyną. To o czymś świadczy.

– Właściwie może świadczyć o wielu rzeczach. O połowie wolałabym nie myśleć.

Salomea spuściła wzrok, jakby sama myśl ją zde gustowała. Rozmawiały jeszcze przez chwilę, ale wyłącznie po to, by te niezwerbalizowane sugestie zeszyły na dalszy plan. Pożegnały się, a potem Kier poszła w swoją stronę.

Eliza stała w ciemności jeszcze przez moment. Chciała pozbierać myśli, zapalić jeszcze jednego papierosa. Dwa–trzy tygodnie temu nigdy by nie powiedziała, że stanie się jedną z entuzjastek tytoniu. Teraz w jakiś sposób wydawał się nieodłącznym elementem jej nowej pracy.

Praca. Nie wiedziała nawet, czy może nazywać to w taki sposób. Gdyby powiedziała ojcu, czym się zajmuje na co dzień, zapewne kpinom nie byłoby końca. Mówiłby to, co mówili inni: że policjantki zostały powołane do uwodzenia mężczyzn. Miały być odpowiednikiem kapeluszy. Nierządnicami z wyższej półki, które polują na tych, którzy są w stanie zapłacić najwięcej. Tyle że w tym przypadku gratyfikacją były informacje i kontakty.

Potrząsnęła głową. Nie mogła pozwolić, by bzdurne zarzuty zaprzętały jej myśli. Mężczyźni zawsze uciekali się do największych absurdów, jeśli kobiety wchodziły na ich teren. Teraz jednak musieli się z tym pogodzić. Kobięce oddziały powstawały na całym świecie, a po Wielkiej Wojnie to niejednokrotnie one odpowiadały za bezpieczeństwo w miastach.

Zarieczna wypaliła papierosa, myśląc o tym, że światowy konflikt, w którym straciło życie tylu mężczyzn, otworzył przed kobietami drzwi, których już nikt nie zamknie. Pierwsze przechodzące przez próg były narażone na drwiny i pobłażliwość, ale wszystkie te, które będą szły za nimi, znajdą się w zupełnie innej sytuacji.

Być może w jakimś sensie będzie pionierką. Jeśli przyłoży rękę do rozmontowania jednej z największych przestępczych grup w mieście, przysłuży się sprawie.

Umysł doprawdy działał w ciekawy sposób. Myśli zdawały się poszukiwać bezpiecznej przystani dopóty, dopóki jej nie znalazły. Eliza uśmiechnęła się, uznając, że czas najwyższy zakończyć ten dzień.

Zgasła papierosa, po czym ruszyła w stronę domu. Nie uszła jednak kilku kroków, nim stanęła jak rażona piorunem. W niemrawym świetle odległej latarni zobaczyła leżącego na ulicy człowieka.

Konsternacja trwała tylko chwilę. Zarieczna popędziła w jego kierunku, jednocześnie machinalnie sięgając do miejsca, gdzie powinna znajdować się kabura z rewolwerem. Syknęła pod nosem, gdy dłoń przecięła powietrze, ale nie zwolniła.

Cokolwiek się wydarzyło, miało miejsce raptem przed momentem. Patrzyła w kierunku latarni, jeszcze kiedy rozmawiały z Salomeą, i z pewnością dostrzegłaby mężczyznę. Leżał na brzuchu i najwyraźniej chwilę wcześniej czołgał się w kierunku, z którego nadbiegała. Nic dziwnego, kawałek dalej znajdowało się miejsce, w którym

mógł szukać ratunku – Szpital Dzieciątka Jezus.

Teraz jednak biedak już się nie ruszał. Zarzeczna pomyślała, że niewiele mu zabrakło, główne wejście do szpitala znajdowało się bowiem pięćset metrów dalej.

W końcu dopadła do niego, przykucnęła, a potem obróciła go ostrożnie na plecy. Zamarła, kiedy spojrzała na jego twarz.

Wilmański oddychał ciężko, wbijając mętny wzrok w nocne niebo.

– Ernest? – jęknęła, pochylając się nad nim.

Kaszlnął, wypluwając krew, która zrosiła jej twarz. Eliza przymknęła oczy, niemal tego nie odnotowując. Natychmiast ujęła jego głowę, jakby samym dotykiem mogła mu w jakiś sposób pomóc.

– Ernest!

Wydukał coś niezrozumiałego, a potem znów kaszlnął. Tym razem zdążył jednak odwrócić głowę. Zarzeczna mechanicznie otarła twarz i potoczyła wzrokiem po jego ciele. Zdawało się, że nie ma żadnej rany postrzałowej. Dostrzegła czerwone plamy na płaszczu, kamizelce i koszuli, ale krew w dużej mierze musiała należeć do tych, z którymi się stał.

– Co się stało? Kto ci to zrobił?

Spojrzała w kierunku, w którym oddaliła się Salomea. Potrzebowała pomocy, by donieść go do szpitala, sama z pewnością nie da rady.

– Ernest!

Szepnął coś chrapliwie, ale nic nie rozumiała. Przybliżyła się do niego jeszcze bardziej, na tyle blisko, że poczuła woń papierosów i alkoholu.

– Bannicy...

Przez moment myślała, że źle usłyszała lub Wilmański odszedł od zmysłów. Kiedy jednak zmusił się do tego, by na dłużej spojrzeć w jej oczy, zrozumiała, że nie bredzi.

– Jak to możliwe?

– Zemsta...

Pokręciła głową. Nie było sensu wypytywać go teraz o cokolwiek. Rozejrzała się gorączkowo, ale w zasięgu wzroku nie było żywej duszy.

– Możesz iść?

– Nie...

– Pomogę ci, spróbuj wstać. Zaprowadzę cię do szpitala, to już niedaleko.

Przełożyła jego rękę nad sobą, a potem pozwoliła mu się objąć i wesprzeć. Podniosła się z trudem, mając wrażenie, że zaraz stracą równowagę. Ostatecznie jednak udało jej się utrzymać jego ciężar.

– W porządku – powiedziała. – Teraz powoli i spokojnie. Jesteś ranny?

– Nie... nie widać?...

– Mam na myśli rany postrzałowe.

– Nie...

Więcej nie potrzebowała wiedzieć, przynajmniej nie teraz. Wypyta go o wszystko dokładnie, kiedy tylko zaprowadzi go na salę przyjęć.

Okazało się to niełatwym zadaniem. Właściwie szybciej byłoby posadzić go przy jednym z budynków, a potem pójść po nosze i wrócić z sanitariuszami. Ponieważ

jednak dzieliło ich od wejścia już raptem trzysta metrów, zrezygnowała.

W końcu dotarli do szpitala. Wilmańskiego zabrano do innej sali, a ona opadła ciężko na jedno z drewnianych krzeseł w poczekalni. Powietrze zdawał się wypełniać zapach środków antyseptycznych, w jakiś sposób złowrogi i niezwiastujący niczego dobrego.

Eliza osunęła się nieco i zamknęła na moment oczy. Musiała odsapnąć, dać sobie chwilę na to, by wszystko poukładać w głowie.

Dlaczego Bannicy mieliby tak potraktować jednego ze swoich? Jednego z Trzech Demonów Krwawej Łaźni? Nie miało to żadnego sensu. Jeszcze dziś załatwiał ich interesy, a teraz leżał pobity w szpitalu.

Naraz nasunęło jej się inne pytanie. Dlaczego akurat ten szpital? Jeśli dorwali go gdzieś na swoim terytorium, miałyby znacznie bliżej do innych placówek. Nie miałyby czego szukać na południe od Alei Jerozolimskich.

Odpowiedź mogła być tylko jedna. Wilmański starał się dostać do jedynej osoby, której mógł ufać. Do niej.

Ale czy to nie nazbyt daleko idący wniosek? Potarła skronie, uznając, że snucie dalszych spekulacji jest bezcelowe. Wszystkiego dowie się w swoim czasie. Wilmański oberwał wprawdzie dość mocno, ale wyliże się z tego. Założą mu kilka szwów, zabandażują parę miejsc i wypuszczą go do domu, jak tylko wrócą mu siły.

A ona nie odpuści, dopóki nie powie jej wszystkiego.

Tym bardziej, że komplikowało to jej sytuację. Jeśli to rzeczywiście Bannicy byli odpowiedzialni, oznaczało to, że nastąpiło jakieś wahnięcie na szczytach władzy w organizacji. Zarzeczna mogła stracić swoje dojście.

– To pani przyprowadziła tego jegomościa w gabardynowym płaszczu?

Otworzyła oczy i spojrzała na mężczyznę w białym kitlu, który przyglądał jej się, przechylając głowę na bok.

– Tak.

Podniosła się i uśmiechnęła się blado.

– Mąż?

– Bynajmniej.

– Ale ktoś z rodziny?

– Nie – odparła i westchnęła. – Znajomy.

Doktor przez moment się zastanawiał, jakby rzeczywiście miało znaczenie, kim jest dla pacjenta. W końcu wyprostował się i odchrząknął.

– Będę potrzebował jakichś danych.

– Znam tylko imię i nazwisko.

– Niech będzie. Proszę za mną.

Zaprowadził ją do niewielkiego gabinetu, w którym siedziało kilka kobiet. Wskazał miejsce przed jedną z nich, a potem oddalił się bez słowa. Eliza chciała zatrzymać go i zapytać o stan Wilmańskiego, ale nie dał jej okazji.

Kobieta podniosła wzrok znad papierów rozłożonych na biurku, po czym wyciągnęła jakiś formularz. Rozpoczął się żmudny proces, który ostatecznie sprowadził się do jednego, klarownego wniosku: Eliza nie wiedziała nic o człowieku, którego

przyproceedziła do szpitala.

– Na Boga, pierwszy raz go pani spotkała?

– Nie pierwszy.

– Więc drugi?

Zarieczna bezradnie wzruszyła ramionami. Odpowiedziała przecząco jeszcze na kilka pytań, a potem z ulgą wróciła do poczekalni. Usiadła na krześle, znów zamknęła oczy i pomyślała, że Ernest musiał być w naprawdę opłakanej sytuacji, skoro szukał pomocy właśnie u niej.

Na dobrą sprawę zupełnie się nie znali. Nie mógł wiedzieć, czy może na nią liczyć, a mimo to literalnie czołgał się po ulicy, starając się dotrzeć do domu wychowawczego. Konkluzja mogła być tylko jedna. Wszyscy inni się od niego odwrócili.

Eliza przysnęła na krześle, nie wiedząc kiedy. Spała jak zabita, nie zbudził jej nawet szpitalny gwar. Kiedy otworzyła oczy, światło już gdzieś na horyzoncie. Przeciągnęła się, odnosząc wrażenie, jakby coś w jej plecach pękło.

Odnalazła lekarza, z którym rozmawiała po przybyciu do szpitala, a ten skierował ją do Wilmańskiego. Weszła do sali, rozglądając się niepewnie. Było to przestronne pomieszczenie, w którym udało się upchnąć kilkanaście łózek. Wszystkie stały w równym rzędzie, a leżący na nich pacjenci zdawali się cierpieć na najbardziej pospolite dolegliwości. Nie byli konający, za to niektórzy nosili ślady pobicia, inni kaszleli jak gruźlicy, jeszcze inni mieli zwykłe złamania.

Kiedy Zariecznej udało się odnaleźć Ernesta, musiała przyznać, że mimo opatrunków i siniaków wypada na tle pozostałych całkiem nieźle. Potwierdziły się także jej przypuszczenia, że większa część krwi pochodziła od przeciwników, z którymi się zmierzył.

Usiadła na łóżku, a potem lekko potrząsnęła jego ręką. Otworzył oczy, powoli powiódł wzrokiem po suficie, a dopiero później uświadomił sobie, kto go obudził. Spojrzał na nią, jakby pochodziła z innego świata.

– Co tu robisz?

– Przyproceedziłam cię.

– Tak, wiem, ale... – Urwał, po czym lekko się podciągnął ku wezłowi. – Powinnaś wracać do domu.

– Spodziewasz się dalszych problemów?

Uniósł pytająco brwi.

– Myślisz, że tu za tobą przyjdą?

– Nie. Nie wiedzą, dokąd uciekłem.

Ostatnie słowo jakby zachręściło w jego ustach.

– I to naprawdę Bannicy tak cię załatwili?

– Niestety.

– Więc czekam na wyjaśnienia – powiedziała, zakładając ręce na piersi. – Tyle jesteś mi winny.

Widziała, że nie musi nalegać. W jego oczach dostrzegła potrzebę podziękowania za to, że wyciągnęła do niego pomocną dłoń. I wprawdzie przedstawienie tego, co się zdarzyło, było lichą gratyfikacją, ale od czegoś musiał zacząć.

– Nie ma wiele do opowiadania – zastrzegł.

Milczała, czekając, aż przejdzie do konkretów.

– Wraciałem do domu, w pewnym momencie ktoś mnie zawołał.

– Kto?

– Widmo z przeszłości.

– Czyli?

– Człowiek związany z Bruderferajn.

– Czego chciał?

– Porozmawiać, rzecz jasna. Wilniuki trzymają rękę na pulsie, wiedzą doskonale, co się dzieje w stolicy. Szczególnie od kiedy... – Zawiesił głos, a potem odwrócił wzrok. – Od kiedy Bannicy zaznaczyli swoją obecność w skali kraju.

Nie dopytała, wiedząc, że i tak nie uzyska konkretów. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Samo wspomnienie o tym stanowiło pierwszą jaskółkę zmiany. Okoliczności sprawiły, że Wilmański mógł ostatecznie się przed nią otworzyć. Wymagało to tylko zastosowania odpowiedniego podejścia.

– Więc odkryli, że jesteś w szeregach Banników, i chcieli cię podejść?

– Tak.

– Złożyli ci jakąś propozycję?

– Dość intratną. Miałbym przekazywać im informacje, by mogli w porę zapobiec planom Fryderyka.

Zabrzmiało to, jakby sam oczekiwał, że pociągnie go za język. Eliza odsunęła tę konkluzję, było to jedynie myślenie życzeniowe. Nie pora jeszcze na to, by na tak lichym fundamencie rozpocząć budowę czegokolwiek. Cierpliwość była kluczem, zresztą od początku wiedziała, że jej misja nie skończy się zbyt szybko.

– Zgodziłeś się?

– Oczywiście, że nie. Nie jestem szalony.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Odmówiłem z pełną stanowczością.

– Poturbowałeś tego człowieka?

– Nie. Do rękoczynów nie doszło.

– Więc jak skończyłeś tutaj?

Wilmański odwrócił wzrok, jakby to, co wydarzyło się po spotkaniu z wilnianinem, stanowiło dla niego jakąś ujmę. Przełknął z trudem ślinę.

– Byłem śledzony.

– Przez kogo?

– Przez Trawickiego i jego ludzi – odparł ciężko. – Wysłannik Bruderferajn oddalił się niepokojony, puścili go wolno. Nie mieli jednak zamiaru stosować taryfy ulgowej wobec mnie.

– Napadli cię?

– Zaraz po tym, jak wilniuk odszedł. Zarzucili mi zdradę, Trawicki uznał, że od początku pracowałem dla Wilna.

– Rozumiem, że nie próbowałeś...

– Tylko winny się tłumaczy – wpadł jej w słowo Ernest. – Poza tym Szymon to

ostatnia osoba, przed którą mam zamiar się usprawiedliwić.

Kontynuował jeszcze przez chwilę, choć co jakiś czas musiała dopytywać o szczegóły. Właściwie resztę mogła sama sobie dopowiedzieć. Kilka zaczepnych uwag doprowadziło w końcu do scysji. Było trzech na jednego i zważywszy na okoliczności, Wilmański poradził sobie całkiem nieźle.

Problem tkwił w tym, że Trawicki oddalił się o własnych siłach i natychmiast skierował do „Mokradła”. To on przedstawił Hertzowi swoją wersję jako pierwszy.

– Nie wygląda to dla ciebie najlepiej – zauważyła Zarzeczna. – Samo spotkanie jest obciążającą okolicznością.

– Niewątpliwie.

Podniosła się z łóżka i podeszła do okna. Wyrzała przez zmętniałą szybę. Świat wydawał się dzisiaj funkcjonować na zwolnionych obrotach. Pomyślała, że przydałaby jej się jeszcze choćby godzina snu.

– Uda ci się przekonać Hertza?

– Nie – odparł bez wahania Ernest. – Przynajmniej nie od razu.

– Co zatem zamierzasz?

– Mam pewien pomysł. Ale będę potrzebował twojej pomocy.

Odwróciła się i oparła o parapet.

– Jeśli jesteś gotowa ubrudzić sobie ręce i trochę przy tym zarobić, przedstawię ci moją propozycję.

Eliza zgodziłaby się od razu, uznała jednak, że najlepiej będzie zachować pozory. Znowu przysiadła na łóżku, wysłuchiwała, co Wilmański ma do powiedzenia, a potem tylko skinęła głową.

– Jesteś pewna?

– Tak – zapewniła, choć nie była to prawda.





# Rozdział czwarty

Pierwszym, co Wilmański musiał zrobić, było zapewnienie bezpieczeństwa Anastazji. Kiedy tylko doszedł do siebie i wypisał się ze szpitala, ruszył na Złotą. Snuł się po ulicach dopóty, dopóki nie namierzył dziewczyny. Potem poczekał na nią w jednej z bram i wciągnął ją do środka, gdy przechodziła.

– Byłabym cię zabiła! – jęknęła. – Co to za nowe zwyczaje?

– Mamy problem.

– Domyślam się – odparła karcąco, biorąc się pod boki. Przyjrzała mu się bacznie, a potem uniosła błagalnie wzrok. – Nie dość, że nie było cię przez kilka dni, to jesteś cały poobijany.

– Wiem.

– Co się stało?

– Coś, co stać się nie powinno.

Przewróciła oczami. Zdawał sobie sprawę, że bardziej ogłędnie nie mógł już tego wyrazić, ale nie chciał tracić czasu na czczą gadaninę. Złota i okoliczne ulice stanowiły teraz niebezpieczne terytorium. Wystarczyło, by ktoś go zauważył, a mógłby skończyć z głową w baniaku pełnym wody.

Tym bardziej, że młodą z pewnością ktoś śledził. Za moment zorientuje się, dlaczego znikła w jednej z bram, i trudno będzie liczyć na to, że uda im się zbiec.

Wilmański pociągnął ją w kierunku podwórka. Protestowała, ale kiedy spojrzał na nią tak poważnie, jak bodaj nigdy wcześniej, spuściła nieco z tonu.

– Będziesz musiał mi wszystko wytłumaczyć.

– Jak tylko będziemy bezpieczni.

– Teraz nie jesteśmy?

– Nie.

– To dlatego jeden z Banników się dziś za mną ciągnął?

Ernest uśmiechnął się w duchu. Powinien się domyślić, że nic nie umknie jej uwadze.

– Tak – odparł. – Czekali, aż się zjawię.

– W takim razie mamy naprawdę duży problem – oceniła pod nosem. – Dokąd idziemy?

– Jeszcze nie postanowiłem.

Weszli na niewielkie podwórze, rozejrzeli się, a potem skierowali do jednej z klatek schodowych. Przeszli przez budynek i wyszli po drugiej stronie na Sienną. Była to równie niebezpieczna okolica, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zgubili cień, który podążał za dziewczyną.

Wilmański skierował się na Twardą, a następnie ruszył ku placowi Grzybowskiemu. Znaleźli się na terytorium kontrolowanym przez Żydów, a on poczuł się nieco pewniej. Nie miał tu wprawdzie przyjaciół, ale nie to liczyło się najbardziej – kluczowe było to, że nie znajdowali się tu jego wrogowie.

Myśląc tak o Bannikach, poczuł żal. Po raz pierwszy od długiego czasu zaczynał czuć, że w istocie może zagrześć tu miejsce. Ale może nie wszystko jeszcze stracone.

– Co teraz? – zapytała Ana.

– Napiję się kawy.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. Źle wyglądasz.

– A ty jak zwykle nie owijasz w bawełnę.

– Myślisz, że powinnam? Nie ma sensu mówić o nieboszczyku, że sprawia wrażenie, jakby ucinął sobie drzemkę.

– Niepokojące porównanie – odbąknął Wilmański, rozglądając się.

Plac niegdyś był jednym wielkim targowiskiem, na którym kłębiło się mnóstwo mężczyzn noszących długie, siwe brody i sztrajmle na głowach. Teraz zmienił nieco swój charakter, a pośrodku wzniesiono skwer. Po ulicach kręcili się przede wszystkim Żydzi z nowego pokolenia, ubiorem przywodzący Ernestowi na myśl krupierów i drobnych przedsiębiorców. Żadne znane firmy nie miały tutaj swoich siedzib, niepodzielnie królowały stragany pod budynkami domów i niewielkie sklepy. Jeśli wierzyć licznym drewnianym szyldom, można było tu kupić wszystko – od korzennych przypraw, przez węgiel, aż po słodycze.

W powietrzu unosił się zapach, który zdawał się to potwierdzać. Z któregoś mieszkania przy placu dochodziły dźwięki fortepianu, a gdzieś z oddali dobiegały chasydzkie pieśni. Wilmański miał wrażenie, że opuścił Warszawę i znalazł się w zupełnie innym mieście.

W końcu wypatrzył miejsce, gdzie mógł przez moment odsapnąć i nabrać sił. Wraz z Aną weszli do narożnej kafejki, po czym Ernest zamówił kawę.

– Dwie – rzuciła do kelnera Anastazja.

– Jesteś pewna?

– Szastasz pieniędzmi, więc korzystam.

Owszem, tego dnia nie zamierzał oszczędzać. Zamówił im śniadanie wiedeńskie, które najczęściej jedli wyłącznie ludzie lepiej sytuowani niż on. Było to danie raczej osobliwe. Do szklanki zanurzonej w miseczce gorącej wody wbijano bowiem jajko na miękko, dodawano do tego masło oraz pieczywo.

Ernest poprosił też o gazetę, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, a potem rozłożył ją na stole. Zanim kelner podał im zamówienie, Wilmański musiał odpowiedzieć na kilka pytań Anastazji. Uporał się z tym szybko.

– Trawicki tylko na to czekał – zauważyła.

Ernest skinął głową. Niechętnie wdawał się w dyskusje o półświatku z dziewczyną, którą chciał trzymać od niego z daleka. Miała oczywiście swoje zdanie na każdy temat, a w dodatku wydawało jej się, że rozumie wszystkie zawiłości.

– Może nawet sam w twoim imieniu skontaktował się z Bruderferajn.

– Mhm.

– Ściągnął tu jednego z nich, a potem...

– Nie ma sensu snuć domysłów. Wszystkiego się dowiem.

– Jak?

– Mam pewien plan.

- Wtajemnicz mnie.
- Wolałbym tego nie robić.
- Twój błąd – oceniła, podnosząc filiżankę. Powąchała czarny napój, siorbnęła głośno, a potem się skrzywiła. – Wiener Melange to to nie jest.
- Nie masz pojęcia, czym jest Wiener Melange.
- Mam. To wiedeńska kawa ze śmietanką.
- Nigdy jej na oczy nie widziałas, nie mówiąc już o...
- Widziałam. I piłam u Bliklego.

Właściwie mogło się to okazać prawdą. Oprócz tego, że Ana potrafiła w najmniej spodziewanym momencie zwinąć towar swoich kolejnych pracodawców, była także całkiem sprawną manipulatką i aktorką. Nie trzeba było wiele inwencji, by wyobrazić sobie, jak jakimś sposobem wkupuje się w łaski wysoko sytuowanego jegomościa i odwiedza z nim jedną z najlepszych kawiarni w stolicy.

Wilmański zbył to jednak milczeniem. Przejrzał IKC-a, pobieżnie skupiając się na treści. Na drugiej stronie reklamowano kalosze i śniegowce „Pepege”, rzekomo najtrwalsze. Był to znak, że zbliżała się zima.

Poniżej zamieszczono artykuł zatytułowany „Kary dla wielkich i małych złodziei!”, w którym rozpisywano się o szeregu zatrzymań w związku z rabunkami, łapówkarstwem i innymi nadużyciami. Powoływano się na zatrważające sprawozdanie Najwyższej Izby Kontroli Państwowej, z którego wynikało, że przestępczość szerzy się nie tylko na ulicach, ale także w ławach sejmowych, spółkach i wszystkich gałęziach gospodarki. Obraz, jaki wyłaniał się z tekstu, był na tyle niepokojący, że wzywano do drastycznych zmian. Społeczeństwo miało dosyć.

Bannicy również to odczuwali. Wprawdzie mało kto zająknął się o tym w ich towarzystwie, ogólna tendencja była jednak dobrze widoczna. Mieszkańcy coraz mocniej naciskali na władze, by te zaprowadziły porządek.

Ale politykom nie to było w głowach. Wilmański z pasją śledził ich ostatnie wyczyny, ciągłe kłótnie, kryzysy polityczne, nieustanne upadki i zmiany rządów. Sytuacja gospodarcza pogarszała się z dnia na dzień, robotnicy, kolejarze i pocztowcy protestowali, w kraju dochodziło do zbrojnych starć z policją i wojskiem. I być może udałoby się stłumić strajki, gdyby nie to, że część mundurowych przechodziła na stronę protestujących.

Chaos się pogłębiał, trwała wojna celna z Niemcami, a hiperinflacja odbijała się na portfelach zwykłych ludzi. Rządzący natomiast zachowywali się coraz bardziej niezrozumiale. Jakiś czas temu Wilmański ze zdziwieniem dowiedział się o utworzeniu nowego rządu, w którym znalazły się ugrupowania tak różne od siebie jak PPS i endecja.

W efekcie skompromitowali się wszyscy, nie było już komu zaufać.

- Snujesz plan zemsty? – odezwała się Anastazja, wyrrywając Ernesta z zamyślenia.
- Nie.
- Więc nad czym tak się głowisz?
- Nad tym, w którym kierunku to wszystko zmierza.
- I?

– I dochodzę do wniosku, że przed nami ślepa uliczka.

Ana przysunęła mu swoją kawę, a potem zajęła się śniadaniem wiedeńskim. Nie wyglądała, jakby dopisywał jej przesadny apetyt.

– Może powinniśmy wyjechać? – spytała z pełnymi ustami.

– Nie. Miałem na myśli kraj... zresztą nieważne. Jeśli chodzi o nas, wszystko załatwię.

– W jaki sposób?

– W jedyny słuszny.

– Mów – poleciła, mierząc do niego widelcem. – Pomogę ci, sam nie dasz rady Bannikom.

– Nie mam zamiaru ścierać się z Bannikami.

– To z kim?

– A muszę z kimkolwiek?

– Jak chcesz coś załatwić, musisz.

Właściwie była to życiowa prawda, pod którą mógłby się podpisać. Dojmujące było jednak to, że z takim przekonaniem wygłaszała ją dziewczyna, której największym zmartwieniem na tym etapie życia powinno być to, w co się ubrać.

Wrócił do przeglądania gazety. Wiedział doskonale, od czego musi zacząć, czekał tylko na to, aż Zarzeczna ureguluje sprawy w domu wychowawczym. Zapewniła go, że uda jej się otrzymać kilka dni wolnego, miała dobre układy z administracją. Żywił nadzieję, że tak będzie, bo był przekonany, że sam rzeczywiście sobie nie poradzi.

Kilka godzin później spotkali się na Muranowie. I jeśli wcześniej Wilmańskiemu wydawało się, że widział apogeum biedoty, teraz musiał zweryfikować swoje wnioski. Dzielnica zdawała się siedliskiem prostytucji i rabunku, ulic nikt nie sprzątał, a kanalizację doprowadzono jedynie do części budynków.

Eliza rozglądała się nerwowo.

– Nic nam nie grozi – powiedział Ernest.

– Nie? – zapytała z powątpiewaniem. – A mnie się wydaje, że jest wprost przeciwnie. Jesteś tu postrzegany jako wróg.

– Nikt mnie nawet nie kojarzy. Może z wyjątkiem dwóch najważniejszych Prałatów.

Nie wyglądała na przekonaną. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że Muranów kontrolowany jest przez konkurencyjną grupę przestępczą, której członkowie nosili purpurowe muszki. Różnili się od Banników tym, że rekrutowali się spośród najgorszego elementu. W ramach organizacji nie funkcjonowało wiele zasad, jedynie podstawowe. Cała reszta pozostawała w gestii poszczególnych członków, którzy mogli robić, co im się żywnie podobało.

Fryderyk Hertz uznawał Prałatów za zakałę Warszawy, wielokrotnie zapowiadał, że to właśnie z nimi rozprawi się w pierwszej kolejności, gdy tylko zbierze odpowiednie siły i środki.

– Moim zdaniem dobrze cię tu znają.

– Jeśli nawet, to...

– To nie wiedzą, że podpadłeś Bannikom. Z ich punktu widzenia jesteś nadal podwładnym Hertza, którego chętnie pobijają, porwą lub nawet zamordują, by wysłać

wymowny sygnał. – Obróciła się, tocząc wzrokiem wokół. – I gdzie jest Anastazja?

– W ogrodzie Krasińskich. Ma tam czekać, aż wrócę.

– O ile wrócisz.

– Jeśli mi pomożesz, nic złego się nie stanie.

Zarieczna rozmasowała skronie, jakby zmagając się z bólem głowy, którego nastręczył jej Ernest.

– Sporo ryzykuję – powiedziała.

– Nie przeczę.

– I może mi wytłumaczysz, dlaczego to robię?

– Dyktatura pieniądza – ocenił.

Spojrzała na niego z pretensją, ale nie kontynuowali tematu. Łączyła ich skomplikowana relacja, ale nawet gdyby było inaczej, Ernest nie drażyłby kwestii jej motywacji. Z doświadczenia wiedział, że ta sfera w przypadku kobiet może okazać się na tyle niebezpieczna, że prędzej zagłębiłby się w rozmowy na temat damskiej galanterii.

– Wiesz, dokąd iść? – zapytała Eliza.

Skinął głową, a potem ruszył w kierunku placu Broni. Kawałek dalej zaczynała się nowa zabudowa Żoliborza. Nazwa była znamienna, przynajmniej jeśli nie zapaściło się zbyt głęboko w tę dzielnicę. Joli Bord. Piękny brzeg. Przynajmniej do pewnego miejsca, pomyślał Wilmański. Obok mrowia wznoszonych budynków ciągnęły się baraki, w których od dwóch miesięcy ludzie przymierali głodem i chłodem. Każdy szukał dla siebie miejsca na Woli, woląc robotnicze czynszówki od spania niemal pod gołym niebem. Część tych ludzi ścigała na Kercelak, część do Śródmieścia. Bannicy rekrutowali spośród nich wielu nowych członków po zamachu na „Mokradło”.

Prałaci zaś czynili zakusy, by zawczasu przejąć kontrolę nad tym terytorium. Zdawali sobie sprawę, że dynamiczny rozwój Żoliborza ściągnie bogatych warszawiaków, zresztą było ich tu już całkiem sporo. Tereny do grasowania wydawały się wprost idealne. Tym bardziej, że część gangsterów już wykupiła dla siebie mieszkania w nowych budynkach.

W jednym z nich mieszkał Jan Bolczyk, prawa ręka przywódcy Prałatów. W przeciwieństwie do większości członków tej organizacji, płacił się w luksusach, podobnie jak jego szef. Wilmański uznawał, że to symptomatyczne. Rozdzwięk między dowództwem a szeregowymi żołnierzami stanowił odbicie sytuacji, jaka panowała w całej warszawskiej społeczności.

Ernest i Zarieczna zatrzymali się pod klatką Bolczyka. Budynek był okazały, niedawno ukończony. Architekt inspirował się chyba włoskim stylem architektonicznym, co nie było niczym dziwnym, biorąc pod uwagę, jak dynamicznie rozwijało się państwo Mussoliniego.

– Co teraz? – zapytała Eliza.

– Prędzej czy później Bolczyk się zjawi. Zaczepisz go, a potem postąpimy dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy.

– Ty zaplanowałeś. I zakładasz, że wszystko się uda.

– Nie może być inaczej.

– Może. I będzie, jeśli zabraknie nam szczęścia.

– Liczę na to, że tak się nie stanie.

Narażał ją na niebezpieczeństwo, ale nie było innej możliwości. Gdyby pokazał się tu za godzinę-dwie, kiedy dwaj najważniejsi Prałaci wrócą do swoich mieszkań, byłoby tak, jak mówiła Zarzeczna – z pewnością ujęliby go, wyciągnęliby z niego wszystkie istotne informacje, a potem zabili z zimną krwią. Tylko po to, by zasugerować Fryderykowi, że niemądrze jest wchodzić na ich terytorium.

Eliza mogła jednak poruszać się tutaj bez problemu. W dodatku łatwo mogła uchodzić za jedną z mieszczanek nowego pokolenia, które szukają dla siebie żoliborskiego lokum.

Wystarczyło, by zagadnęła Bolczyka, wypytała go o okolicę, warunki mieszkaniowe i lokalną społeczność, a cała reszta przyjdzie sama. Prałat nie przepuści okazji, zaprosi ją na kawę lub ciastko, a jeśli będzie bardziej bezpośredni, zaproponuje wizytę w którejś tawernie.

Wilmański szybko przekonał się, że dobrze go ocenił. Jan Bolczyk zjawił się późnym wieczorem, a gdy Zarzeczna do niego podeszła, dało się rozpoznać charakterystyczny błysk w jego oczach.

Po krótkiej rozmowie ruszyli w kierunku placu Muranowskiego. Zarzeczna śmiała się, jakby mężczyzna raczył ją najlepszymi dowcipami, jakie kiedykolwiek słyszała. Trzeba było oddać Bolczykowi, że się starał.

Wilmański ruszył za nimi jak cień.

Począł, aż wejdą w wąskie, zapuszczone uliczki na Muranowie, a potem przyspieszył kroku. Kiedy mężczyzna z purpurową muszką zorientował się, że ktoś za nimi idzie, było już za późno.

Obrócił się, a Ernest wyprowadził pierwszy cios. Prawy prosty trafił przeciwnika między oczy, a lewy podbródkowy wylądował tuż pod szczęką. Wilmański działał jak maszyna. Kilka kolejnych razów następowało jeden po drugim, jakby było to długo ćwiczone przedstawienie.

Bolczyk nie miał najmniejszych szans. Nie zdążył nawet unieść gardy, co dopiero sięgnąć po rewolwer. Zwalił się na ziemię, rozchlapując wokół krew. Wilmański rozejrzał się kontrolnie, a potem pochylił nad Prałatem. Wyjął z jego paska broń i podał ją Zarzecznej.

Popatrzyła na niego skonsternowana.

– Swojego smitha & wessona wciąż mam – powiedział. – Nikt mi go nie zabrał.

– Ale na co mi...

– Nigdy nie wiesz, kiedy się przyda – odparł, a potem uderzył przeciwnika jeszcze raz.

Teraz chodziło wyłącznie o to, by go ogłuszyć i zaoszczędzić mu dalszej męki. To, co Ernest dla niego przygotował, niechybnie by do niej doprowadziło. Po chwili, kiedy upewnił się, że Bolczyk jest unieszkodliwiony, podniósł się i rozejrzał.

– Potrzebuję wiadra – oświadczył.





# Rozdział piąty

Woda natychmiast stała się czerwona, a Jan Bolczyk ocknął się równie szybko. W wiadrze zabulgotało i Wilmański miał trudności z utrzymaniem głowy Prałata pod wodą. Ofiara szarpała się z całych sił, rozumiejąc już, że walczy o życie.

– Nie musisz na to patrzeć – odezwał się Ernest beznamiętnym głosem.

Zarieczna nie odpowiedziała, ale słowa Wilmańskiego odbiły jej się głuchym echem w głowie. Nie powinna się dziwić, że w końcu doszło do czegoś takiego. Przeciwnie, rozsądek od dawna podpowiadał, że powinna być na to przygotowana.

Ostatecznie ta misja musiała skończyć się takim dylematem. Sprowadzał się do odpowiedzi na proste pytanie: lepiej pozwolić, by Ernest zabił tego mężczyznę, i uwiarygodnić się w jego oczach, czy zainterweniować i wypełnić swój służbowy obowiązek?

Gdyby Wilmański zabrał się za Bogu ducha winnego człowieka, nie miałyby żadnych wątpliwości, od razu zdecydowałyby, że ochrona obywateli jest jej najwyższym nakazem, zgodnie ze złożoną przysięgą.

Bolczyk jednak do świętych nie należał, miał za uszami z pewnością więcej niż Fryderyk i Wilmański razem wzięci. Czy to jednak cokolwiek zmieniało?

Uznała, że właściwie nie. Podobnie jak w przypadku drobnego przestępcy, którego ciało znaleźli w okolicach dworca. Przestępstwo było przestępstwem, a do niej należało, by mu zapobiegać.

– Ernest... – zaczęła.

Nie zdążyła dokończyć, bo wyszarpnął głowę Prałata z wody. Bolczyk zaczął gwałtownie kaszleć, jednocześnie starając się sformułować groźbę wobec oprawcy. Wypluł większość wody, ale nadal rzeził.

– Nie... wiesz... z kim...

Ernest znów zanurzył mu głowę. Spojrzał pytająco na Zarieczną, jakby zastanawiał się, co tutaj jeszcze robi. Potem powiódł wzrokiem w kierunku wyjścia z uliczki.

– Nigdzie się nie wybieram – powiedziała.

– Jesteś pewna?

– To ja ci go wystawiłam, prawda?

Skinął głową.

– W takim razie powinnam w tym uczestniczyć do końca.

– Nie musisz.

– Muszę – odparła nieprzejednanym tonem, a potem zbliżyła się do Wilmańskiego.

Stała za nim, gotowa w każdej chwili interweniować. Miała broń, mogła zrobić z niej użytek, zanim Ernest sięgnąłby po swojego smitha & wessona. Nie musiałyby strzelać, wystarczyłoby wziąć go na celownik.

W najgorszym wypadku postrzelić.

– Co zamierzasz? – odezwała się.

– Nie widać?

Bolczyk na moment nieco się uspokoił, zbierając siły. Zaraz potem znów zaczął się wyrwać. Wilmański miał jednak mocny chwyt, Prałat nie mógł łudzić się, że uda mu się uratować.

– Naprawdę chcesz go tutaj utopić?

Ernest wyciągnął go z wody.

– Posłuchaj, ty skurwiały...

Znów go zanurzył, a potem obejrzał się przez ramię.

– Sam nie wiem – rzekł. – Kusi mnie ta perspektywa.

– Nie wyjdziemy stąd żywi, jeśli to zrobisz.

– Bez obaw. Nikt nas tu nie znajdzie.

Miał rację. Znajdowali się w zaułku, gdzie nie zaglądał nawet diabeł w poszukiwaniu zbłąkanych dusz. Wąska uliczka kończyła się ceglany murem, a jedyne okna w budynkach były umieszczone na drugiej kondygnacji i zabite deskami. Same ściany sprawiały wrażenie, jakby miały zwalić się na siebie.

– Ale przypuszczam, że chcesz zostawić go na widoku – powiedziała Zarzeczna. – Czy się mylę?

Wilmański wzruszył ramionami, nie przestając szamotać się z przeciwnikiem.

– Zamierzasz wyciągnąć go stąd i umieścić tuż przed którąś ze spelun kontrolowanych przez Prałatów. Z głową w wodzie, tak? Chcesz zostawić im klarowną wiadomość, że to Bannicy rządzą w mieście?

Nadal nie odpowiadał. Eliza przesunęła palcem po kabłąku rewolweru, a potem ścisnęła mocniej uchwyt. Zbliżał się moment podjęcia decyzji.

– Narazisz ich na krwawy odwet, ale o to ci chodzi, prawda?

Bolczyk zaczął trząść się jeszcze bardziej. Zabarwiona na czerwono woda ochlapała Wilmańskiego, ale ten zdawał się tego nie zauważyć. Docisnął głowę nieszczęśnika.

– Chcesz wywołać wojnę – ciągnęła. – Takie rozwiązanie wybrałeś, prawda? Osłabisz jednych i drugich, a potem zgłosisz się do Bruderferajn. Albo już to zrobiłeś.

Nie przedstawił jej wszystkich swoich planów, ale była przekonana, że je przejrzała. Na jego miejscu postąpiłaby właśnie w taki sposób. Nie wiedziała, co sprawiło, że musiał opuścić Wilno, ale w tej sytuacji wyłącznie wśród wilniuków mógł szukać ratunku. Nie mógł jednak zwrócić się do nich z pustymi rękoma.

Osłabienie dwóch warszawskich gangów i rozpętanie krwawego konfliktu w stolicy byłyby właściwym prezentem.

– Ernest!

Gwałtownie wyciągnął Prałata spod wody i wydawało jej się, że zrobił to w ostatniej chwili. Bolczyk kaszlał, jakby miał wypluć płuca. Nie silił już się na żadne groźby, jego zadziorność znikła bezpowrotnie, gdy uświadomił sobie, że zbliża się nieuchronny koniec.

– Po... poczekaj...

Eliza przypuszczała, że będzie próbował przekupstwa, ale Wilmański nie dał mu czasu na sformułowanie propozycji. Głowa Prałata znów znalazła się pod wodą, a on bronił się z coraz mniejszą werwą. Tracił siły. I wedle wszelkiego prawdopodobieństwa po tym zanurzeniu miał już ich nie odzyskać.

– Ernest, zastanów się nad tym, co robisz.

– Zastanowiłem się dogłębnie.

– I naprawdę chcesz zapalić ten lont?

Nie odpowiedział, ale poluzował nieco chwyt. Mimo to Bolczyk nie próbował się wynurzyć.

– Wybuch może cię dosięgnąć – ciągnęła, mając wrażenie, że ciężar rewolweru rośnie z każdą chwilą. – Jedna i druga strona będzie na ciebie polować.

Prałat stracił resztki sił, jego ciało niemal zwiotczało. Ostatkiem woli próbował się unieść, ale nie było w tym już ani krzty wcześniejszej determinacji. Instynkt samozachowawczy zawodził, a Zarzeczna zrozumiała, że albo zadziała teraz, albo do końca życia będzie wypominała sobie, że nic nie zrobiła.

Uniosła broń i wycelowała w tył głowy Wilmańskiego.

Zrobiło jej się sucho w ustach. Zobaczyła, że trzęsie jej się ręka, a obraz przed oczami lekko rozmazuje. Skupiła się. Od tego, co teraz powie, zależało to, co wydarzy się dalej.

Jedno było pewne, wszystko zmieni się w okamgnieniu.

Wilmański stanie się jej wrogiem, a ona jego. Farsa, która miała być jej udziałem, skończy się, jeszcze zanim na dobre się rozpoczęła.

Eliza nie miała jednak innego wyjścia. Nabrała tchu i już chciała się odezwać, kiedy Ernest wyciągnął ofiarę z wody. Natychmiast opuściła rękę i poczuła przyspieszone bicie serca. Zupełnie jakby rekompensowało sobie kilka uderzeń, które przed momentem ominęło.

Wilmański rzucił Prałata w błoto, a potem uderzył go otwartą dłońią w policzek. Jan Bolczyk ocknął się i przewrócił na bok, wypluwając wodę z krwią. Oddychał ciężko, charczał i wodził półprzytomnym wzrokiem wokół.

– Zrobię... zrobię, co będziesz chciał, do kurwy... nędzy...

– Jestem rad – odparł tylko Wilmański, a potem podniósł się i sięgnął do kieszeni płaszcza. Wyciągnął paczkę papierosów i spojrzał na Elizę. – Reflektujesz?

– Nie.

– Ja zapalę.

Po chwili przykucnął przy Prałacie i wypuścił dym nosem, patrząc na niego z góry. Klatka piersiowa Bolczyka nadal unosiła się i opadała jak miech. Nie potrafił się uspokoić.

– Czego chcesz? – wycharczał, a potem zaniósł się kaszlem. – Okupu?

– Nie.

– Zemsty? Powiedz, czym ci zawiniłem, a...

– Chcę tylko informacji.

Prałat w końcu uspokoił nieco oddech. Popatrzył na Ernesta jak na człowieka, który postradał zmysły i powinien zostać odizolowany od społeczeństwa.

– Kpisz sobie?

– Nie – odparł Wilmański i spokojnie się zaciągnął. – Oczekuję tylko jednego: odpowiedzi na proste pytanie. Potem odejdę, a ty będziesz mógł wrócić do swoich.

Bolczyk pokiwał gorączkowo głową, najpewniej snując już myśli o tym, jak

najdotkliwiej odplacić się swojemu niedoszłemu katowi. Ernest musiał być tego świadomy. Jeśli rzeczywiście chciał wyciągnąć z niego jakieś informacje, należało liczyć się z tym, że Prałaci postawią sobie za punkt honoru, by wymierzyć sprawiedliwość.

– Kto napadł na „Mokradło”? – zapytał Wilmański.

Twarz Bolczyka jakby zszarzała. Gotowość do zrobienia wszystkiego, by ująć z życiem, zdawała się w jednej chwili gdzieś rozpuścić. Eliza podeszła bliżej i pochyliła się nad mężczyzną.

– To jedno, proste pytanie. Odpowiedź na nie sprawi, że będziesz żył.

Prałat przez chwilę siłował się z muszką, starając się ją poluzować. W końcu zerwał ją gwałtownie i cisnął na bok.

– Nie będę dopytywać – kontynuował Wilmański. – Nie mam zamiaru dłużej cię podtapiać. Wiesz już, co cię czeka, nie widzę w tym sensu. Przedstawiłem ci propozycję i alternatywę. Decyzja należy do ciebie.

Podniósł się i zaciągnął głęboko. Spojrzał na papierosa, a potem na Bolczyka.

– Czas na jej podjęcie masz do momentu, aż dopalę.

Prałat popatrzył niepewnie na dym unoszący się spomiędzy palców Ernesta. Potem przeniósł wzrok na Zarzeczną. Policjantka starała się przybrać obojętną maskę, by nie łudził się, że może u niej szukać ratunku.

– Mów – odezwała się.

Wilmański sztachnął się mocno.

– Posłuchaj...

– Czas się skończy – przerwał mu Ernest.

Bolczyk rozejrzał się desperacko, jakby dawał jeszcze kilka sekund swoim towarzyszom, by przyszedli mu w sukurs. Nikt się jednak nie zjawił. Prałat w końcu zamknął oczy i zaklął szpetnie pod nosem.

– Niemcy – powiedział. – Niemcy się za was wzięli.

– Kto konkretnie?

– Konkretnie... to nie...

Ernest pstryknął papierosem na bok. Wpadł w błoto i zasyczał cicho.

Bolczyk natychmiast zrozumiał niewypowiedziane ostrzeżenie. Uniósł lekko otwarte dłonie i chrapliwie nabrał tchu.

– Powiem wszystko, co wiem – zapewnił.

Ernest i Zarzeczną milczeli, kiedy mężczyzna wycofał się w kierunku ściany, oparł o nią, a potem zwiesił głowę. Wyglądał na pokonanego i poniżonego, i zapewne tak właśnie się czuł.

– Ci, z którymi handluje Bruderferajn, dowiedzieli się, co kombinujecie.

Eliza uznała, że najwyższa pora włączyć się do rozmowy.

– I co z tego? – zapytała.

– Nie byli zadowoleni, że pojawi się nowe źródło. I nowa grupa w stolicy.

– Niemcy czy wilnianie?

– Jedni i drudzy. Nie zależy im na tym, by kolejni zawodnicy wchodzili do gry.

– Bzdury opowiadasz – włączył się Wilmański. – Co im do tego? Warszawa nijak nie

rzutuje na Wilno.

– Na Wilno nie, ale pojawił się trzeci gracz.

– Kto?

– Łokietek.

Mimo że policja także dotarła do tego tropu, Eliza nie przypuszczała, że ów pseudonim padnie. Mężczyzna naprawdę nazywał się Judel Dan Łokieć, był Żydem, który jakiś czas temu porzucił swoją religię. W przeciwieństwie do takich jak Bolczyk, był dobrze wykształcony, studiował chemię i farmację za granicą. Doktorat z tej pierwszej dziedziny robił w Genewie. Policja miała trochę informacji na jego temat, ale nie udało się uzyskać odpowiednich dowodów, by go ująć.

– To on napadł na „Mokradło”? – zapytał Ernest.

– Nie, mówię przecież, że Niemcy... ale na jego prośbę.

– Jakie tereny kontroluje?

– Pragę. Skupia się na Nowym Porcie, wymusza haracze od dokerów, kontroluje przepływ towarów... i dogadał się z grupą, która zaopatruje Bruderferajn.

Nie brzmiało to najlepiej dla Banników, pomyślała Zarieczna. Najwyraźniej utworzono trójstronne porozumienie między Łokietkiem w Warszawie, Bruderferajn w Wilnie a Niemcami przerzucającymi narkotyki w Gdańsku. W takim układzie nie było miejsca dla Fryderyka Hertza i jego dostawców.

– Kasuje za wszystko – dodał Prałat. – Nawet za dopuszczenie pracowników do pracy przy przeładowywaniu towarów. Zaczynał na Kercelaku, dał się tam poznać jako wyjątkowy skurwysyn... choć nie taki jak Pantaleon.

Na dźwięk tego pseudonimu Zarieczna się wzdrygnęła. Nie było w gangsterskim półświatku osoby o gorszej reputacji. Leon Karpiński znany był jako Król Kercelaka, wykonywał bowiem czarną robotę, którą zlecał mu dowódca tamtejszego gangu, Siemiątkowski. Ani jeden, ani drugi nie przebierali w środkach, ostatecznie doprowadzając do tego, że na placu płaciło się za wszystko.

Jeśli handlarz chciał otworzyć biznes i go prowadzić, musiał uiszczać codzienne opłaty. Płacić należało nawet za przejście przez Kercelak, zebranie na nim czy wzięcie ślubu w tamtejszej synagodze.

Kary były srogie. Od wybicia zębów, przez zniszczenie dobytku, aż po dotkliwe pobicie. Pantaleon i jego szef nie mieli skrupułów, podrzucali czasem nielegalne towary tym, którzy ociągali się z płatnościami, po czym informowali policję.

Zarieczna słyszała o licznych aresztowaniach na Kercelaku, ale nigdy o tym, by ktokolwiek ruszył któregoś z tych ludzi. Urząd Śledczy spekulował, że w okresie szczytowej brutalności w skład gangu wchodził także Łokietek. Nie było do końca jasne, czy teraz prowadzi własny interes na Pradze, czy działa jako podwładny mafii kontrolującej Wolę.

Jedno było pewne – cała prawobrzeżna Warszawa do niego należała. I jeśli sprzymierzył się z innymi grupami, Bannicy mogli już zacząć się pakować. Zdeprawowanie „Mokradła” i zabicie kilku z nich należało uznać jedynie za uprzejme ostrzeżenie.

Wilmański jeszcze przez chwilę starał się wyciągnąć z Prałata coś więcej, ale

ostatecznie odpuścił. Bolczyk przekazał im wszystkie informacje. Po więcej musieliby sięgnąć do źródła.

– Pozostaje kwestia odwetu – powiedział na koniec Ernest, wyciągając kolejnego papierosa.

– Nie będzie żadnego odwetu...

– Wątpię.

– Masz moje słowo.

– Które nic dla mnie nie znaczy.

Prałat milczał, gorączkowo zastanawiając się nad tym, jakie zapewnienie mogłoby przekonać oprawcę. W jego oczach kołatał się strach, kiedy zrozumiał, że nic, co powie, nie zmieni podejścia Wilmańskiego.

– Jeśli mnie zabijesz, będą cię ścigać.

– Przywykłem.

– Znajdą ciebie i ją. – Spojrzał na Elizę. – A potem pokażą ci, co spotyka tych, którzy podnoszą rękę na Prałatów.

Wilmański wypuścił dym bokiem ust.

– Bannicy cię nie ochronią – dodał Bolczyk. – Znikną z mapy Warszawy, zanim Hertz zdąży zebrać ludzi, by odeprzeć nasz atak.

– Więc jedyny ratunek dla mnie to oszczędzić cię?

– Tak.

Przez chwilę Eliza miała wrażenie, że Wilmański się roześmieje, a potem wymierzy rewolwer prosto w głowę rozmówcy i pociągnie za spust. Napięła mięśnie, po raz kolejny przygotowując się do tego, co może okazać się nieuniknione.

Ernest jednak trwał w bezruchu.

– Miałeś dziś okazję mnie poznać – odezwał się. – I to z dobrej strony.

Bolczyk milczał.

– Naprawdę sądzisz, że taki argument może do mnie przemówić? – dodał Wilmański.

– Chciałem tylko...

– Daruję ci życie – uciał Ernest. – Ale zrobię to tylko dlatego, że nie mam powodu, by ci je odbierać. Rozumiesz?

– Tak.

– Wstawaj.

Jan Bolczyk podniósł się, ubłocony i zakrwawiony. Spojrzał niepewnie na Ernesta, jakby spodziewał się, że to jeszcze nie koniec, a zapewnienie o darowaniu mu życia nie było ostateczne.

– Wracaj do domu – rzucił Wilmański. – I pamiętaj, że jeśli zająkniesz się słowem o tym, co się wydarzyło, wrócę.

– Wszystko zostaje między nami.

Ernest wyciągnął rękę do Zarzecznej, a ona dopiero po chwili zorientowała się, że chce dostać rewolwer z powrotem. Zawahała się, ale podała mu broń. Kiedy oddał ją Bolczykowi, ten szybko zatknął ją za pasek i ruszył ku wyjściu z zaułka.

Eliza odetchnęła.

– To było konieczne? – spytała. – Serce na moment mi zamarło.

– Nie strzeliłby.

– Skąd pewność?

– Stał, że nie zdążyłby tego zrobić. A teraz chodźmy, spędziliśmy tu dostatecznie dużo czasu.

– Dokąd?

– Wynajmę gdzieś lokum na tę noc dla mnie i Anastazji. Możesz zostać z nami, jeśli wola.

– Dziękuję, ale wrażeń mam nadto na jeden dzień.

W milczeniu ruszyli przed siebie. Zarzeczna musiała przyznać, że wszystko skończyło się lepiej, niż mogłaby przypuszczać. Wprawdzie nie wierzyła, by Bolczyk ot tak zapomniał o całym zajściu, ale najważniejsze było to, że nie doszło do strzelaniny. Nikt nie ucierpiał, przynajmniej na razie.

– Co zamierzasz? – odezwała się po chwili.

– Z samego rana pójdę do „Mokradła”.

Niespecjalnie ją to dziwiło. Zyskał kartę przetargową, której mógł użyć, o ile na jego widok Bannicy nie wyciągną broni i nie zaczną strzelać.

– I co powiesz Hertzowi? – zapytała.

– Że zbliża się armagedon.





# Rozdział szósty

Wilmański miał wrażenie, że stojącemu przed „Mokradłem” chłopakowi oczy wyjdą z orbit. Ledwo go zobaczył, sięgnął po broń, ale Ernest powstrzymał go ruchem ręki.

– Nie ma potrzeby – powiedział.

Młody Bannik usłuchał. Najwyraźniej wyszedł z założenia, że kiedy Ernest znajdzie się w środku, reszta wyceluje w niego wystarczającą liczbę rewolwerów, by nie zdążył nawet na nikogo krzywo spojrzeć.

Przepuścił go, a potem ruszył za nim. Wilmański wszedł do tawerny z duszą na ramieniu, niepewny, jak zachowa się Trawicki. O Fryderyka się nie obawiał. Mimo że był człowiekiem bezwzględny i okrutny, nieraz udowodnił, że jest gotów wysłuchać tych, którzy zabiegają o rozmowę z nim.

Jazzowe rytmy zdawały się potęgować napięcie Ernesta, mimo to przedzierał się dalej przez opary tytoniu, czując na sobie spojrzenia mijanych osób. Niektórzy podnosili się powoli i sięgali do kabur z bronią. Inni urywali rozmowy i tylko wodzili za nim wzrokiem.

Kiedy dotarł do stolika na końcu restauracji, miał wrażenie, że skupia się na nim uwaga wszystkich zebranych. Jedyne wyjątek stanowił człowiek, do którego przyszedł.

Hertz przeglądał gazetę, nie podnosząc wzroku.

– Niemcy dogadali się z Bruderferajn i Doktorem – odezwał się Wilmański.

Fryderyk nadal sprawiał wrażenie, jakby nie odnotował jego obecności. Ernest kątem oka dostrzegł Trawickiego, który zbliżał się powoli i ostrożnie, jakby zakradał się ku dzikiej bestii. Być może w pewnym sensie tak było.

Ich ostatnie spotkanie z pewnością mogło napełniać go obawami. Właściwie zakończyło się remisem, choć przy nierównym rozkładzie sił stanowić musiało to pewną ujmę dla Szymona.

– Chodzi mi o Łokietka.

– Wiem, kim jest Doktor – odparł cicho Fryderyk. – Pytanie, skąd o tym wiesz?

– Podtopiłem jednego z Prałatów.

Dopiero teraz Hertz podniósł wzrok. Przez chwilę przypatrywał się rozmówcy, a potem wskazał mu krzesło. Wilmański ściągnął płaszcz, zawiesił go na oparciu i zajął miejsce. Zerknął na Trawickiego, po czym zaczął opowiadać wszystko, co wydarzyło się od momentu, kiedy widzieli się ostatnim razem.

Próbował wyczytać cokolwiek z twarzy szefa, ale ta pozostawała nieprzenikniona. Hertz słuchał z uwagą, tylko tyle Ernest był w stanie stwierdzić. Kiedy skończył, zapalił papierosa. Niepokojące wydało mu się, że Fryderyk zrezygnował z pozorów. Nie zaproponował napitku, nie kazał nastawić ulubionej płyty, nie dał mu żadnego ultimatum. Po prostu siedział i słuchał.

Aż do momentu, gdy sięgnął po kapelusz.

Wilmański przypuszczał, że gdyby sam dobył broni, zdążyłby wycelować w rozmówcę jako pierwszy. Zawczasu jednak postanowił, że tego nie zrobi. W miejscu

pełnym Banników jeden niepokojący ruch sprawiłby, że otworzyliby do niego ogień. Nie miałyby żadnych szans.

Fryderyk przełożył fedorę na drugą stronę stołu, a potem umieścił dłoń na rewolwerze.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć? – spytał.

Wilmański się nie odzywał. Nie był to czas na czczą gadaninę.

Hertz uniósł broń i oparłszy łokieć o blat stołu, wycelował w Ernesta. Było w tym geście coś niedbałego, jakby sugerował, że zabicie go tu i teraz jest jak wyrzucenie śmieci.

Wilmański zrozumiał, że to wszystko rezultat zawiedzionego zaufania. Przypuszczał, że Fryderyk wiązał z nim dalekosiężne plany, być może zamierzał uczynić go swoją prawą ręką i wspólnie z nim budować organizację opartą na sycylijskich wzorcach. Jeśli tak w istocie było, gorycz mogła przesądzić o losie Ernesta. Wystarczyło, by emocje przyćmiły nieco racjonalizm szefa.

– Szymon widział cię z jakimś wilniukiem – odezwał się oskarżycielskim tonem Hertz. – Rozmawialiście jak dwóch starych, dobrych znajomych.

– Bo się znamy.

– Ten człowiek wiedział, gdzie cię szukać – ciągnął Fryderyk. – Nie wyglądało na to, żebyście wpadli na siebie przypadkiem. Dlaczego miałbym uwierzyć, że nie byliście umówieni? Że nie zdawałeś mu raportów co jakiś czas?

Ernest zaciągnął się, mrużąc oczy. Najwyraźniej pod jego nieobecność Trawicki wykonał świetną robotę.

– Może od początku działałeś na ich polecenie?

– Nie ma na to żadnego dowodu.

– Oprócz samego spotkania.

– Podczas którego dostałem propozycję i natychmiast ją odrzuciłem – odparł spokojnie Wilmański. – Sama rozmowa o niczym nie świadczy. Równie dobrze można by nazwać cię socjalistą, bo spotykasz się z członkami PPS-u.

Jeśli дума narodowca została urażona, szef gangu nie dał tego po sobie poznać.

– W dodatku powiedziałem ci o układzie, który się zawiązał.

– Otóż to. Mogłeś dowiedzieć się o nim nie od tego rzekomego Prałata, a od samej Bruderferajn. Może wiedziałeś o tym od początku.

Ernest spojrział na broń. Miał wrażenie, że lufa znalazła się nieco bliżej. Może jednak powinien zawczasu sięgnąć po rewolwer? Przy odrobinie szczęścia stworzyłby impas, który w porównaniu z obecną sytuacją mógłby być znacznie lepszym scenariuszem.

– I nie doszły mnie słuchy o żadnym podtapianym Prałacie – dodał Fryderyk. – Nie sądzisz, że gdyby któryś z nich został zaatakowany, z samego rana pod „Mokradłem” ustawiłaby się cała purpurowa banda?

– Przestrzegłem go, żeby...

– Milcz.

Wilmańskiemu nagle zrobiło się gorąco. Nie spotkał się dotychczas z tak zasadniczą i oschłą reakcją szefa. Nawet kiedy ten rozmawiał z wrogami, zachowywał się inaczej. Ernest zrozumiał, że Hertz prędzej czy później pociągnie za spust. Podjął decyzję już

dawno, na gorąco, jak miał to w zwyczaju. Odłożył jedynie jej wykonanie.

– Będziesz mnie potrzebował – odezwał się Wilmański. – Nawet jeśli Doktor działa sam, a nie wspólnie z ludźmi z Kercelaka, to i tak trójgłowa Hydra.

– Jeden Bannik nie robi mi różnicy.

Może była to prawda, ale Ernest nie miał zamiaru tego przyznać. Gorączkowo poszukiwał argumentów, które sprawiłyby, że szef przemysłu jeszcze swoją decyzję. Nie potrafił jednak żadnych znaleźć. Z jego punktu widzenia sytuacja rzeczywiście była jednoznaczna. Nie warto było ryzykować.

– W takim razie skończmy to – powiedział Wilmański. – Nie ma sensu przeciągać.

– Nie, nie ma.

Ernest wstrzymał oddech, kiedy Hertz wyprostował rękę. Przymknął oko, mierząc do niego, po czym nagle przesunął rewolwer w prawo. Wycelował w stronę Trawickiego i pociągnął za spust.

Wystrzał rozszedł się po pomieszczeniu, niknąc gdzieś w zasłonach i obiciach mebli. Cichy pogłos odbił się Wilmańskiemu echem w uszach, ale musiał przyznać, że to miły dźwięk. Dźwięk świadczący o tym, że uda mu się przeżyć.

Obrócił się w stronę Szymona. Ten stał nieruchomo z uniesionymi rękoma. Kula przemknęła tuż obok niego i wbiła się w ścianę. Trawicki pobladł.

– Szefie...

– Następnym razem wyceluję lepiej – oświadczył Fryderyk. – Wystarczy, bym dowiedział się, że znów bezpodstawnie oskarżasz kogoś z naszych. Zrozumiałeś?

Szymon skinął głową.

– Świetnie – odparł Hertz. – Choć nie w porę. Mogłeś doprowadzić do wyjątkowo kłopotliwej sytuacji.

– Kiedy ja...

– Albo wyciągnąłeś zbyt pochopne wnioski, albo uznałeś, że skorzystasz z okazji. Tak czy inaczej zawiodłeś moje zaufanie.

Nie trzeba było mówić mu nic więcej. Trawicki poczekał, aż przełożony przestanie do niego mierzyć, po czym powoli wycofał się w kierunku kontuaru. Usiadł przed nim i zamówił sobie alkohol.

Wilmański wbijał wzrok we Fryderyka, nie do końca rozumiejąc, co zaszło. Hertz schował broń pod kapeluszem, skinął na kelnera, a potem uśmiechnął się przebiegle.

– To było naprawdę bezcenne doświadczenie – powiedział.

Ernest otworzył usta, ale się nie odezwał.

– Widzieć cię takim przerażonym – dodał Hertz, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Za kogo ty mnie masz, Wołyniaku?

Nie było dobrej odpowiedzi na to pytanie. Wilmański poczekał, aż kelner poda im wódkę, a potem szybko się napił.

– Zastanawiasz się, dlaczego ci uwierzyłem?

– Powiedzmy.

– Nie uwierzyłem – odparł lekkim tonem Fryderyk i osuszył kieliszek. – Nie musiałem.

– To znaczy?

Hertz wskazał na wejście do tawerny.

– Zanim wydałem polecenie, by wpuszczono cię do „Mokradła”, rozmawiałem z Salomeą. Twoja policjantka nocą złożyła jej pełny raport, opisując, co się stało.

Wilmański dolał sobie i szefowi. Powinien spodziewać się takiego rozwoju wydarzeń. Eliza miała wystarczająco dużo czasu, by spotkać się ze swoją łączniczką i przekazać wszystko, co istotne. Tym bardziej, że z punktu widzenia policji cennych informacji było pod dostatkiem.

– Wyobraź sobie, że była o krok od zastrzelenia cię.

– Eliza?

Fryderyk kiwnął głową, przypatrując mu się bacznie. Wilmański odstawił kieliszek, czując, jak przyjemna fala gorąca rozlewa się w żołądku.

– Doprawdy? – mruknął.

– Była przekonana, że chcesz utopić tego biedaka. Stała za tobą i nawet do ciebie wymierzyła.

– Mhm.

– Nie wydajesz się poruszony.

– Robiła tylko to, co do niej należy.

– W przeciwieństwie do ciebie.

Wilmański uniósł brwi. Powiedziałby raczej, że zrobił więcej, niżby to wynikało z czystej logiki. Wiele osób w jego sytuacji czmychnęłoby z Warszawy i nigdy więcej nie pojawiałoby się w tych okolicach. Wymagałoby to nieco zachodu, ale z pewnością mniej niż przy rozwiązaniu, na które się zdecydował.

– Mam na myśli urobienie tej dziewczyny.

– Nie jest do urobienia.

– Oczywiście, że jest. Jak każda.

– Wyraźnie nie znasz się na kobietach – zaoponował cicho Ernest, a potem im dolał. Przypuszczał, że tego dnia żaden z nich nie będzie miał oporów, by wypić nieco więcej.

– A ty? – spytał z powątpiewaniem Fryderyk. – O ile dobrze cię oceniam, Wołyniaku, nigdy nie dopuściłeś do siebie żadnej.

– Mylisz się.

– Tak? A więc planowałeś przyszłość z jakąś? Oświadczyłeś się którejś? Zamieszkałeś z którąś?

– Może i nie – przyznał Wilmański. – Co nie znaczy, że się na nich nie znam.

Unieśli kieliszki, wznieśli toast za kobiety, a potem przez moment milczeli. Zdawali sobie sprawę, że świadomie stronią od poruszania tematu, który był teraz najbardziej istotny. Nad Bannikami zbierały się ciemne chmury, a ulewa, która z nich spadnie, miała sprowadzić na nich potop.

– Potrzebujemy jej – odezwał się w końcu poważnym tonem Hertz. – Teraz być może bardziej niż wcześniej.

– Jak mówiłem...

– Jest do urobienia, nie opowiadaj bzdur.

– Przed momentem sam mówiłeś, że gotowa była mnie zastrzelić.

– A ty twierdziłeś, że nie jest beznadziejną idealistką.

– Nie jest – przyznał. – Dołączyła do policji z powodów pragmatycznych.

– Więc w czym tkwi problem?

– Wykształciło się w niej mocno zakorzenione poczucie obowiązku.

– Z pewnością nie mocniejsze od potrzeby związania się z kimś.

Wilmański nie miał ochoty tego rozważyć. Kiedy tylko Salomea doniosła im o działaniach podjętych przez policję, Hertz natychmiast zwietrzył okazję. Część jego planu opierała się na uwiedzeniu Zarzecznej, ale Ernest od początku nie sądził, by było to możliwe. Przynajmniej nie w takim stopniu, jak oczekiwał tego szef.

– Nigdy nie przejdzie na drugą stronę – zapewnił Wilmański.

– Jeśli ją w sobie rozkochasz, skoczy za tobą w ogień.

Ernest bezradnie pokręcił głową.

– Nie jestem dla niej potencjalnym kochankiem, a obiektem prowadzonych czynności. Traktuje mnie służbowo.

– To się okaże, kiedy już porządnie się postarasz. A zapewniam cię, że zaczniesz od dzisiaj.

– W ten sposób nic nie osiągniemy.

Fryderyk zbył tę uwagę milczeniem, a potem przysunął sobie butelkę. Wymownie popatrzył na towarzysza, tym samym informując go, że na więcej alkoholu nie może liczyć.

– Musisz być w najlepszej formie – oznajmił.

– To nic nie zmieni.

Hertz polał sobie i od razu wypił.

– Złożę to na karb twojej wrodzonej skromności, Wołyniaku, i uznam temat za zamknięty. Ustalone?

Ernest uniósł wzrok, nie odzywając się.

– Ustalone?

– Tak – odparł niechętnie Wilmański.

– A zatem możemy przejść do rzeczy ważniejszych.

Ernest rozsiadł się wygodniej i głęboko odetchnął. Ta rozmowa mogła skończyć się dla niego różnie – szczególnie gdyby Bannikom przewodził człowiek o innym charakterze. Człowiek podobny do tych, którzy trzęśli Kercelakiem.

Ale czy w istocie tak nie było? Wilmański przypuszczał, że przełożony kieruje się chłodną oceną tylko do pewnego momentu. Kiedy emocje przekroczą punkt wrzenia, będzie równie brutalny i bezwzględny jak Siemiątkowski czy Doktor. Może nawet bardziej.

– Masz jakieś propozycje co do naszego problemu? – zapytał Fryderyk.

– Tylko jedną.

Hertz wykonał zachęcający ruch ręką.

– Uderzenie wyprzedzające – powiedział Ernest. – Zaatakują nas prędzej czy później, nie warto czekać.

– Ale w kogo mierzyć?

– W najśłabsze ogniwo, tak będzie najrozsądniej.

– Czyli?

– Niemcy nie wchodzą w grę, Bruderferajn również nie. To jeszcze nie na nasze siły.

– Zostaje więc gang z Nowego Portu. Doktor.

Wilmański pokiwał głową.

– Jeśli go usuniemy, wyślemy jasny sygnał, że nie zamierzamy ustępować. I tak w nas uderzą, ale przynajmniej w samej Warszawie będziemy mieć sytuację uregulowaną.

Fryderyk powiódł wzrokiem w stronę gramofonu, marszcząc czoło. Sprawiał wrażenie, jakby się zastanawiał, ale były to jedynie pozory. Decyzję podjął natychmiast i Ernest nie miał co do tego żadnych wątpliwości.

– Co wiemy o tych suczych synach? – spytał Hertz. – Policjantka coś zdradziła?

– Niewiele.

– Bo sama niewiele wie czy niewiele chce przekazać?

– Przypuszczam, że prawobrzeżna część miasta interesuje ich tylko z grubsza. Mają wystarczająco dużo kłopotów na Woli.

– W porządku. Czego się dowiedziałeś?

– Tylko tego, że banda Doktora jest zorganizowana tak, jak związki zawodowe. Sytuacja jest więc zbliżona do tego, jak to wygląda na Kercelaku.

Fryderyk skrzywił się, jakby poczuł coś nieświeżego. Handlował z lewicowcami, zaopatrywał się u nich nawet w broń, mimo to żywił wobec nich wyjątkową antypatię. A fakt, że obydwaj gangi organizowały się identycznie jak związkowcy, mówił sam za siebie.

– No tak... – mruknął. – Ci ludzie wywodzą się z PPS-u. A konkretnie z Pogotowia Bojowego.

– Tylko Siemiątkowski. Ten drugi został komendantem Milicji PPS.

– A, tak – bąknął Hertz. – Słyszałem o jego wyczynach. Pies bisurmański uwolnił lewackich posłów, których endecy ujęli na placu Trzech Krzyży. Była strzelanina.

Wilmański pokiwał głową. W drodze do Śródmieścia Eliza opowiedziała mu o tych zajściach. Kiedy do nich doszło, był zajęty rozwijaniem kariery w Wilnie, nie interesowało go to, co działo się w stolicy. Najwyraźniej jednak działo się sporo. Porywani posłowie, strzelaniny w centrum miasta... Mając na uwadze taką perspektywę, należało uznać, że teraz w Warszawie jest dość spokojnie.

Ernest nie sądził jednak, by sytuacja miała trwać. Przy wciąż spadającej sile nabywczej pieniądza i pogrążaniu się kolejnych gałęzi gospodarki, ludzie w końcu będą mieli dosyć. A wtedy organizacje takie jak Bannicy będą miały prawdziwe użycie.

Należało jednak odpowiednio się do tych żniw przygotować.

– W Nowym Porcie z pewnością nie mają dobrej obstawy – powiedział Wilmański. – Wystarczy mi kilku ludzi. Byle nie Trawicki.

– Musicie się jakoś ułożyć.

– Ułożymy się, ale nie chcę go mieć w swojej grupie.

– Zastanowię się – odparł ciężko szef. – Zresztą wasz konflikt to najmniejszy problem. Kłopot stanowi to, że Doktor jest komendantem pepeesowskiej milicji. Może skrzyknąć oddział.

– Był – poprawił go Ernest. – Teraz jest przewodniczącym PPS w jednej z dzielnic.

– Więc sądzisz, że nie zwoła ludzi?

– Nie zdąży.

Fryderyk nie wyglądał na przekonanego. Owszem, zaakceptował od razu samą ideę, ale najwyraźniej miał inny pomysł na wcielenie jej w życie. Nie chciał otwartego starcia z praskimi gangsterami, choć Wilmański sądził, że to jedyne wyjście. Jedyne, dzięki któremu mogą jasno przedstawić swoje stanowisko.

Milczeli przez jakiś czas. Igła drapała o płytę gramofonową, która bez dwóch zdań zasługiwała na wymianę. Ernest miał już niejakie rozeznanie w kolekcji przełożonego i od razu poznał partie fortepianowe grane przez Duke'a Ellingtona.

– Washingtonians? – zapytał.

– Właściwie tak, choć ten utwór nagrali jako Duke Ellington and his Kentucky Club Orchestra. Skład ten sam, czy może prawie ten sam. Nie jestem do końca pewien, ciągle zmieniają nazwy, członków, miejsce nagrywania... zwodzą nawet najwierniejszych słuchaczy.

– Słuszna taktyka.

– Uskuteczniła także przez tych z Kercelaka i Pragi.

A zatem o to chodziło. Hertz obawiał się rykoszetu.

– Nie mamy pewności, czy nie działają razem – dodał Fryderyk. – Jeśli tak jest, wywołamy wojnę z całą Wolą. Nie stać nas na to, nie teraz.

– Więc co pozostaje?

– Sprytne podejście do sprawy. Piszesz się na to, Wołyniaku, czy w twoim wypadku w grę wchodzi jedynie mordobicie?

– Piszę się.

– W takim razie postanowione. Przechytrzymy skurwysynów – powiedział Hertz i trzasnął dłonią w stolik.

Potem zamknął oczy i zasłuchał się w jazzowe brzmienia.





# Rozdział siódmy

Zarieczna była tym wszystkim przytłoczona. Obudziła się rano z bólem głowy, jak przez mgłę pamiętając ostatnie wydarzenia. Zdawały się udziałem kogoś innego, zupełnie jakby usłyszała o nich od osoby trzeciej.

Tymczasem naprawdę zbliżyła się do granicy, której żaden stróż prawa nie miał zamiaru nigdy przekraczać.

Podniosła się z łóżka i przeciągnęła się. Rodzice już wstali, słyszała, jak krzątają się w kuchni. Szybko narzuciła na siebie podomkę i przeszła do drugiego pomieszczenia. Ojciec uśmiechnął się do niej blado, a napuchnięte worki pod jego oczami się uwydatniły. Matka ją zignorowała.

– Która godzina? – zapytała Eliza.

– A na co ci to wiedzieć? I tak nie idziesz do pracy.

– Pracuję w domu wychowawczym, mammo.

– To nie praca, tylko pomaganie za półdarmo. Albo za darmo.

Zerknęła na zegar. Na dziewiątą była umówiona z Wilmańskim w jednej z kafejek w Śródmieściu, miała jeszcze sporo czasu. Nie zamierzała jednak trwonić go na płonne dyskusje, od których coraz częściej rozpoczynały dzień.

– Byłaś przeciwna pracy w policji... – odezwał się pod nosem ojciec. – Teraz jesteś przeciwna domowi wychowawczemu.

– I?

– Nigdy nie będziesz zadowolona.

– Będę, jeśli ona będzie się zachowywać jak normalna kobieta.

– „Ona” tu stoi, mammo.

Rodzice jednak zdawali się tego nie dostrzegać. Wdali się w dyskusję na temat miejsca współczesnej kobiety w świecie. Zarieczna nabrała nieco rozmokniętej owsianki z garnka, a potem czym prędzej wróciła do sypialni. Usiadła na łóżku i czekała, aż śniadanie nieco ostygnie. Właściwie nie miało żadnego smaku, ale nie przeszkadzało jej to. Przyzwyczyła się, zupełnie tak samo, jak do nieustannych domowych kłótni.

Nasiliły się, od kiedy lichwiarz podniósł ojcu procent. Dług rósł w tempie wykładniczym i Eliza zaczęła się obawiać, że nawet jeśli otrzyma premię za dobrze wykonane zadanie, nie zdoła go spłacić.

Przemknęło jej przez głowę, że mogłaby poprosić Wilmańskiego o pomoc. Wierzycielem ojca był któryś z Żydów, zapewne związany w taki czy inny sposób z grupą, która załatwiała interesy na placu Grzybowski. Ernest z pewnością byłby skłonny pomóc, by umocnić nieco pozycję Banników po niedawnych wydarzeniach.

Uśmiechnęła się, pokręciła głową, a potem zabrała do owsianki. Krótkie zbliżenie z przestępczością zorganizowaną najwyraźniej wystarczało, by zaczęła myśleć jak osoba znajdująca się po przeciwnej stronie barykady.

Śniadanie było rozmoknięte i rozmemłane, właściwie nazywała je owsianką nieco na

wyroast. Składało się głównie z jagły i otrębów pszennych, najtańszych dostępnych składników. Matka gotowała je z mlekiem w okazałym garnku i nie zważała na to, jak długo stał na ogniu.

Chwilę później Eliza była gotowa do wyjścia. Przejrzała się w zabrudzonym lustrze, po czym opuściła mieszkanie, słysząc, jak rodzice wciąż się spierają.

Z Wilmańskim umówiona była w dość nietypowym miejscu, przynajmniej z jej punktu widzenia. Być może Ernest bywał tam częściej, niżby to wynikało z czystej logiki. Podjechała tramwajem na skrzyżowanie Nowego Świata z Warecką, a potem przeszła kawałek na plac Napoleona.

Stanęła przed „Małą Ziemiańską” i nabrała tchu. Rzadko bywała w miejscach, gdzie spotykała się artystyczna i intelektualna elita stolicy. Właściwie nie spodziewała się, że Wilmański kiedykolwiek ją tu zaprosi. Najwidoczniej jednak chciał wyrzucić na niej wrażenie.

Weszła niepewnie przez drzwi wahadłowe i rozejrzała się. Dostrzegła Ernesta natychmiast, czekał na nią przed kontuarem. Przywitali się, po czym Wilmański wskazał na całą wystawę ciast, tortów i innych przysmaków.

– Konieczne zamówienie to ziemianka i pół czarnej.

– Słucham?

– Wszyscy od tego zaczynają – wyjaśnił, jakby bywał tu dzień w dzień. – Ziemianka to lokalny przysmak, pączek. A pół czarnej to po prostu kawa w szklance.

– W szklance?

– Tak tu podają. I leją tylko do połowy.

– Dlaczego?

– Taki zwyczaj. Oprócz tego wypada zjeść choć kilka faworków.

Usiedli przy jednym ze stolików, przebijając się przez pierwsze poranne chmury papierosowego dymu. Zarzeczna przypuszczała, że za kilka godzin będzie tu panowała mgła wcale nie mniejsza od tej w „Mokradle”.

Potoczyła wzrokiem wokół i dostrzegła, że na części stolików ustawiono aparaty telefoniczne. Goście zdawali się zupełnie tego nie zauważać, jakby nie stanowiło to żadnego odstępstwa od normy.

Wystrój cukierni był adekwatny do jej renomy. Ozdobne boazerie, obrazy i złotawa farba na ścianach przywodziły na myśl miejsce ekskluzywne. W powietrzu unosił się zapach świeżych wypieków, choć ustępował pola perfumowanym papierosom.

– Spróbuj ziemianki, naprawdę dobra – powiedział Ernest, rozkładając gazetę.

Eliza zobaczyła, że czyta „Poranną Warszawską”, szczerze znienawidzoną przez ojca.

– Podobno nadaje się to tylko do palenia w piecu – rzuciła.

Wilmański podniósł wzrok, a ona wskazała na dziennik.

– Tak przynajmniej twierdzi mój ojciec.

– Rozumiem, że nie jest endekiem.

– Nie. Z pewnością nie.

– Pepeesowiec?

– Sam chyba tego do końca nie wie. Ostatnio bliżej mu do komunistów.

– A komunistom ostatnio do endeków, więc może koło się zamknie.

Uśmiechnęła się blado. Nadal czuła się w tym miejscu nieswojo i niezobowiązująca rozmowa w niczym nie pomagała.

– Skąd u niego takie poglądy? – zagał Ernest.

– Z pragmatyzmu. – Zarzeczna spróbowała pączka i już po pierwszym kęsie uznała, że na jednym się nie skończy. – Zatopił nas w długach i chętnie widziałby społeczeństwo bezklasowe, w którym robotnik nie musi iść do lichwiarza, by wyżywić rodzinę.

Wilmański pokiwał głową i napił się kawy.

– Duże są te długie?

– Mniej więcej takie, jak prestiż tego miejsca.

Tym razem to Ernest lekko uniósł kąciki ust. Uwydatniło to blizny na jego twarzy i Eliza pomyślała, że jej rozmówca odbył więcej walk w ringu niż ona rozmów przy kawiarnianych stolikach.

– W takim razie nie zazdroszczę – powiedział.

Zarzeczna nie miała zamiaru o tym rozmawiać, szczególnie że niepokojące myśli, by poprosić go o pomoc, wciąż krążyły jej po głowie. Nachyliła się do Wilmańskiego i znacząco odchrząknęła.

– Słyszałam, że przychodzi tu Boy.

– Nie tylko on.

Wilmański obejrzał się i wskazał jej wzrokiem samotny stolik na półpiętrze.

– To strefa dla najznamienitszych gości – wyjaśnił. – Zaczną się schodzić około dwunastej. Zazwyczaj spotkać można Tuwima, Iwaszkiewicza czy Lechonia. Ale żeby tam wejść, trzeba mieć przyzwolenie od któregoś z nich.

– A Boy? Często bywa?

Wilmański mruknął coś pod nosem.

– Słucham?

– Nic takiego – odparł. – Dziwi mnie tylko, że wszystkie kobiety interesuje akurat Boy-Żeleński.

– To przez *Flirt z Melpomeną*. Uwielbiam ten cykl, w przyszłym roku ma wyjść nowy tom.

Mina Ernesta jednoznacznie świadczyła o dwóch rzeczach. Po pierwsze nigdy nie słyszał o tych publikacjach, po drugie sądził, że to jakieś kobiece romansidła, które należy traktować z przymrużeniem oka.

– Tytuł jest mylący – wyjaśniła Eliza. – To teksty o...

– O niczym, co zaciekałoby mężczyznę.

– Przeciwnie. Boy omawia najnowsze spektakle teatralne i książki.

Wilmański pokiwał głową nieprzekonany. Napił się kawy, a potem przewrócił stronę gazety. Widać było, że wkroczył na grunt, na którym nie czuł się zbyt dobrze. Nic dziwnego, wileński bokser nie mógł dobrze orientować się w nowych trendach kulturalnych. Zarzeczna zaś robiła wszystko, by być na bieżąco.

– Na tak zwanym półpięterku bywa też często Wieniawa-Długoszowski. Jeszcze większy kobieciarz od Boya. Nieco nieźrównoważony.

– I były adiutant Marszałka.

– Otóż to.

– Ale to chyba nie twoje środowisko, biorąc pod uwagę dobór lektur? – zapytała, wskazując na gazetę.

– Nie. Czytam to, bo Hertz zaczyna od tego dzień. Czasem chce podyskutować i dobrze jest wiedzieć, co piszą w „Porannej”.

Eliza pociągnęła łyk kawy. W porównaniu z faworkami i ziemianką nie była niczym specjalnym, właściwie Zarzeczna zastanawiała się, czy w jakiegokolwiek restauracji piła kiedyś gorszą kawę. Chyba nie.

– Dobrze orientujesz się w warszawskich sprawach – zauważyła.

– Czytam, obserwuję, słucham. Opłaca się znać miasto.

Rozejrzała się.

– Często tu bywasz?

– Na tyle, żeby wiedzieć, kto przesiaduje na półpiętrze – odparł, a potem nabrał tchu.

– Większość przychodzi tutaj, żeby posłuchać tych ludzi, ale ja słucham raczej tych, którzy są na dole. To oni interesują mnie najbardziej.

– Dlaczego?

– Muszę wiedzieć, jakie są nastroje. Co się mówi o... osobach z innych sfer.

– To znaczy?

– O tych z Kercelaka, placu Grzybowskiego lub innych miejsc.

– A rozmawia się tutaj o was?

– Oczywiście. To dla bywalców obcy świat, są nim zainteresowani nie mniej niż tym, co mówią artyści na półpiętrze. Choć to od tych drugich czerpią plotki, które później chodzą po mieście.

Zarzeczna nie mogła nie zauważyć zmiany w zachowaniu Wilmańskiego. Coś sprawiło, że postanowił przyjąć zupełnie inne podejście. Stał się bardziej rozmowny, próbował zaimponować jej znajomością zasad rządzących takimi miejscami.

Po raz pierwszy poczuła, że robi postępy. Być może wspólna wizyta w Dzielnicy Północnej sprawiła, że ich relacja nabrała nieco rumieńców. Jeśli tak, to dzisiejszy raport będzie z pewnością obszerniejszy niż poprzednie. Komisarz powinna być zadowolona.

– Coś nie tak? – spytał Ernest.

– Nie, dlaczego?

– Zamyśliłaś się. Zbyt głęboko, by mogło chodzić o coś błahałego.

Wzruszyła niewinnie ramionami.

– Jestem po prostu ciekawa, dlaczego zaprosiłeś mnie akurat tutaj.

Ernest sprawiał wrażenie, jakby miał odpowiedź na końcu języka, ale nie wiedział, czy powinien jej udzielać. Zapalił papierosa i zaciągnął się dwukrotnie, przypatrując się Elizie. Jego wzrok był zbyt badawczy, zbyt przenikliwy, by czuła się komfortowo. Pomyślała, że podeszła do sprawy zbyt optymistycznie. Coś było nie tak.

– Dobrze czasem usiąść w lepszym miejscu niż „Mokradło” – powiedział w końcu. – Tym bardziej, że nie wiem, ile będę miał jeszcze okazji.

– Co masz na myśli?

Westchnął, a potem złożył gazetę. Obrzucił spojrzeniem nagłówek na pierwszej

stronie. Ich autorzy zdawali się wieszczyc nie tylko upadek państwa, ale także nadejście sądu ostatecznego. Szczególnie jeśli cała władza nie przejdzie w ręce endecji.

Wilmański dopił kawę, odstawił szklankę i wbił wzrok w Elizę.

– Szykuje się pewne starcie – odezwał się.

– Banników z Prałatami?

– Nie. W tym wypadku wszystko rozeszło się po kościach.

– Bolczyk nie doniósł?

Ernest zdawkowo pokręcił głową, jakby było oczywiste, że tego nie zrobi.

– Chodzi o coś innego – oznajmił. – Szykujemy się do pewnej... operacji. Może się różnie skończyć, szczególnie dla mnie, więc to chyba najwyższa pora, by korzystać z życia. A jak zrobić to lepiej, niż zapraszając piękną kobietę do „Małej Ziemiańskiej”?

Zaśmiała się cicho.

– Rzeczywiście mówisz, jakbyś miał pożegnać się z tym światem. – Sięgnęła po paczkę papierosów, którą położył na stoliku. – I jakbyś chciał mnie uwieść.

Przytrzymał jej wzrok, a potem tylko kiwnął głową. Więcej nie musiał robić.

– A więc ostatecznie okazałeś się takim absztyfikantem, za którego cię miałam.

– A miałaś?

– Oczywiście. Awanturnik i samotnik z Wilna, były bokser, mężczyzna przystojny, skryty, wycofany... od razu uznałam, że nadajesz się na uwodziciela.

Wilmański przez moment wyglądał, jakby miał się roześmiać. Ostatecznie jednak tylko uniósł brwi. Zarzeczna obróciła w dłoni niezapalonego papierosa.

– Do Casanovy jednak trochę mi brakuje.

– Zależy – odparła. – Jeśli chodzi o tego, który pojawił się w filmie Alfréda Deésyego, powiedziałabym, że go przebijasz.

– Z pewnością nie liczbą kochanek. Pierwowzór dobił rzekomo do stu dwudziestu dwóch.

– A ty?

– To dość bezpośrednie pytanie.

– Na które chciałabym otrzymać odpowiedź, by wiedzieć, czy moja wizja absztyfikanta jest słuszna.

– Nie jest – odparł cicho i podał jej ogień.

Spodziewała się, że pociągnie temat, ale zamilkł. Przez chwilę wpatrywał się w obrotowe drzwi, ale jakby nie zauważał wchodzących przez nie osób. Ożywił się dopiero po chwili.

– Tuwim – rzucił cicho.

Eliza obróciła się i spojrzała na mężczyznę w długim brązowym płaszczu. Miał włosy zaczesane do tyłu, na lewym policzku widoczne było ciemne znamię. Kiedy ich mijali, poczuła woń alkoholu. Na moment wszyscy ściszyli głos i dopiero, gdy Tuwim wszedł na półpiętro, rozmowy wróciły do normy.

– Wcześniej zaczyna pić – zauważyła Zarzeczna.

– I późno kończy, jeśli wierzyć plotkom.

– A więc macie coś wspólnego. Bannicy i artyści.

– Być może.

Nadal zdawał się zamyślony, wręcz nieobecny.

– Powiesz mi, o co chodzi?

W końcu oderwał wzrok od wejścia, przeciągnął dłońmi po kamizelce i wyprostował się. Na jego twarzy pojawiła się szarość, która stanowiła nieodłączny element jego wizerunku. Było w niej coś z obojętności, ale także pewnej zadumy.

– To nic, czym powinnaś się przejmować.

– A jednak mam nieodparte wrażenie, że to nie czcze gadanie i naprawdę dopuszczasz możliwość, jakbyś miał już nigdy tu nie wrócić.

– A kto to może wiedzieć?

– Właściwie nikt – odparła i westchnęła. – Ale z pewnością łatwiej ocenić sytuację komuś, kto pakuje się w coś niebezpiecznego. A ty na taką osobę wyglądasz.

– Doprawdy?

– A jeśli tak jest, chciałabym wiedzieć. Szczególnie biorąc pod uwagę, że poczyniłeś pierwsze kroki w kierunku uwiedzenia mnie.

– Udało się?

– Jeszcze nie wiem. Tak czy inaczej dobrze byłoby ustalić, czy pożyczysz na tyle długo, bym się przekonała.

– Nie wiem.

Przez chwilę sądziła, że obróci to w żart, ale ton głosu i wyraz twarzy jasno świadczyły o tym, że nie ma takiego zamiaru. Przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby w tej krótkiej odpowiedzi zawarł całą prawdę.

– Z kim idziecie na wojnę, Ernest?

– Trudno powiedzieć.

Przewróciła oczami.

– To nie wymówka – zastrzegł. – Naprawdę nie jestem tego pewien.

– W takim razie to niezbyt roztropne.

– Nie, przypuszczam, że nie – przyznał. – Ale musimy dać odpór temu, co się dzieje.

– A co się dzieje?

Rozejrzał się, jakby któryś z ich wrogów miał przysłuchiwać się rozmowie. Zarzecznej serce nagle zabiło szybciej. Zrozumiała, że może znajdować się tylko o krok od uzyskania informacji, na którą czekała.

To wszystko mogło skończyć się tu i teraz, bez konieczności kontynuowania misji długimi miesiącami. Bez podchodów, gry pozorów i pozwalania, by Wilmański sądził, że udało mu się ją zdobyć.

– Jak wiesz, nie wszystkim odpowiada, że chcemy rozszerzyć działalność – powiedział.

– Tak, Bolczyk wyrażał się w tej kwestii dość jasno.

– Otóż to. A dostawca zaopatrujący Wilno...

– Zbuntował się, bo wywęszył, że otworzyliście nowy kanał przerzutu.

– On i ludzie, z którymi pracuje. Tyle że nie wiemy, kim konkretnie są.

– A co wiecie na pewno?

– Że musimy uderzyć w Porcie Praskim.

Zarzeczna zmrużyła oczy i porozumiewawczo pokiwała głową.

– A więc Rebe.

– Kto?

– Tak nazywają Łokietka. Nie mówiłam ci o tym?

– Nie – odparł, po czym machnął ręką. – Ale mniejsza o to, od dziś będą nazywać go trupem.

– Więc dziś przypuścicie atak?

– Nocą – odparł cicho. – Dowiedzieliśmy się, że jest transport. Doktor ma przyjąć towar z Gdańska i rozdzielić go do dalszej... dystrybucji.

– Jaki towar?

– Ten najbardziej chodliwy.

Wiedziała, że więcej jej nie zdradzi. Nie musiał. Miała wszystko, czego potrzebowała, by zakończyć swoją misję już tej nocy.





# Rozdział ósmy

Dwie sprawy były dla Wilmańskiego absolutnie kluczowe. Samo przekonanie Elizy, że nadarzyła się niepowtarzalna okazja, nie nastrecało żadnej trudności, ale dwie pozostałe kwestie mogły okazać się problematyczne.

W dodatku Ernest był pewien, że jest zdany na siebie. W akcji oprócz niego miał uczestniczyć wyłącznie Szymon Trawicki, więc Wilmański nie miał na podorędziu nikogo, komu mógłby zaufać.

Kilka godzin po zapadnięciu zmroku spotkali się nieopodal stacji pompowej, przy porcie. Skinęli do siebie głowami w milczeniu, a potem ruszyli w stronę brzegu. Weszli do zawczasu przygotowanej łodzi i skierowali się ku mostowi Poniatowskiego. Minęli go, nie odzywając się słowem.

Warszawa zdawała się przykryta całunem. Wokół panowała cisza, słyhać było jedynie cichy chłopot wody, kiedy zanurzali w niej wiosła. W oddali po lewej stronie widzieli niewyraźne światło, zapewne z elektrowni znajdującej się tuż za Wybrzeżem Kościuszkowskim.

Przepełnęli jeszcze kawałek, mijając most kolejowy, po czym skręcili w prawo, wpływając do Nowego Portu. Część była jeszcze w budowie, przedostanie się tu niezauważenie nie stanowiło problemu.

Przybili do brzegu, a potem zaczęli wyładowywać towar.

– Jesteś pewien, że ją przekonałeś?

– Tak.

Trawicki zerknął na Ernesta bez przekonania. Kiedy ten zjawił się w „Mokradle”, by poinformować szefa, że wszystko poszło po jego myśli, Szymon natychmiast zgłosił obiekcje. Ostatecznie jednak to Hertz podejmował decyzje – i kiedy już to zrobił, nie wypadało z nim dyskutować.

– I jesteś pewien, że się zdecydują?

– Tak.

Wilmański nie miał zamiaru udzielać kolejnej takiej samej odpowiedzi, ale czuł, że to nie koniec pytań. W głosie Trawickiego pobrzmiwały nie tylko wątpliwości, ale także pogarda. Właściwie Ernest mógł uznać, że jego dzisiejszy towarzysz jest tu tylko dlatego, że otrzymał taki rozkaz. W istocie musiał być pewien, że akcja się nie powiedzie.

– Spalą jej przykrywkę – zauważył.

Wilmański sięgnął po kolejny pakunek do łódki.

– Słyszysz?

– Już o tym rozmawialiśmy. Wszystko załatwimy tak, jak trzeba.

– Jeśli się tu zjawią. A tego nie możesz wiedzieć.

– Zjawią się.

– Skąd pewność?

Ernest podał mu skrzynkę i sięgnął po kolejną. Trawicki nieco się ociągał, więc przy

następnym pakunku posłał mu znaczące, ponagląjące spojrzenie. Szymon zdawał się jednak nawet go nie odnotować.

– Hm? – mruknął. – Nie możesz być pewien, że...

– Nie przepuszczą takiej okazji.

– Nawet nie wiedzą, do czego się sprowadza.

– Nie potrzebują szczegółów – zaproponował Wilmański, ostatecznie uznając, że lepiej będzie wyłożyć rozmówcy wszystko, niż słuchać niekończących się pytań. – Wystarczy, by Zarzeczna zdała raport. A zrobiła to zapewne natychmiast.

– Nie wiem, czy to wystarczy.

– Oczywiście, że tak. Salomea przekaże wieść komisarz, a ta natychmiast zaalarmuje Urząd Śledczy. Będzie wiedziała, ile może ugrać. Na Doktora polują od dawna i dotychczas sądzili zapewne, że potrwa to jeszcze dłużej. Tymczasem nagle, po wcale niedługim działaniu, policja kobieca trafiła na coś konkretnego.

– Komendant główny może nie dać wiary jej słowom.

– Nie miałby powodu – odparł pod nosem Ernest. – Zda sobie sprawę, że taka informacja to dla komisarz być albo nie być. Jeśli donos się sprawdzi, wybije się na tym. Jeśli nie, pograży swoją karierę.

– Więc sądzisz, że przyjdą.

– Nie – zaproponował Wilmański i wyprostował się. – Sądzę, że gdzieś tutaj już są. Czekają na dobry moment.

Pod osłoną nocy przenieśli skrzynie do jednej z nieukończonych hal, mając nadzieję, że to właśnie od nich policja rozpocznie poszukiwania kontrabandy. Pierwsza z dwóch trudności została pokonana – umieścili kompromitujący towar tak, że nikt tego nie zauważył.

Kluczowy był jednak drugi problem. I to właśnie nim Wilmański przejmował się najbardziej.

– Ile zostało do wyznaczonej godziny? – zapytał Trawicki.

Ernest wyciągnął zegarek z kieszeni.

– Nieco ponad kwadrans.

– W takim razie czas się stąd zbierać.

– Byle nie za daleko.

Popatrzył badawczo na Szymona, zastanawiając się, czy towarzysz w krytycznym momencie nie ucieknie. Istotne było, by obaj zostali tutaj do końca całego zamieszania, które niechybnie wybuchnie. Jeśli Wilmański zostałby sam, drugi kłopot mógłby okazać się znacznie poważniejszy.

Tymczasem jednak brakowało jeszcze jednego elementu, by układanka była w całości.

Wcześniej tego dnia Fryderyk wysłał jednego ze swoich ludzi, by rozmówić się z Doktorem. Łokietek początkowo zdawał się niechętny, ale ostatecznie przystał na spotkanie. Hertz stawiał się na nim w towarzystwie Wilmańskiego i obaj zadbali o to, by wszystko poszło po ich myśli.

Ukorzyli się przed Doktorem, przyznając, że weszli na teren, na który zapuszczać się nie powinni. Zapewnili, że nie będą kontynuować handlu narkotykami, a dodatkowo

przyobiecali nigdy nie rościć sobie praw do wpływów z haraczy portowych. Jako akt dobrej woli zaproponowali sprzedaż Łokietkowi morfiny, którą dotychczas udało im się zgromadzić. Rzecz jasna po okazjonalnej cenie.

Doktor przystał na ten układ, choć trudno było powiedzieć, czy zamierza go uhonorować. Ostatecznie nie miało to znaczenia, oni bowiem takiego zamiaru nie mieli. Zależało im tylko na tym, by Łokietek zjawił się w wyznaczonym miejscu o wyznaczonej porze.

A wtedy do hali zawita także oddział policji i ujmie go na gorącym uczynku. Skrzynki pełne morfiny załatwią całą resztę.

Wilmański powiódł po nich wzrokiem. Wszystko było na miejscu. Teraz on i Trawicki musieli zająć odpowiednie pozycje, a potem uzbroić się w cierpliwość. Jeśli wszystko pójdzie po myśli Banników, ten moment zapisze się w historii organizacji jako przełomowy.

– Idziemy – rzucił Szymon.

Ernest spojrział jeszcze na towar, który musieli poświęcić. Trudno było oszacować jego wartość, ale właściwie żadne pieniądze nie mogły kupić efektu, który osiągną kosztem straconej morfiny.

Trawicki ruszył w kierunku wyjścia, a Wilmański poszedł zaraz za nim. Wychylili się ostrożnie, rozejrzeli, po czym skierowali ku jednej z dźwignic na nabrzeżu. Przykucnęli za niewielkim filarem i czekali.

Czas zdawał się zatrzymać, a port tonął w ciszy. Wprawdzie plany budowy ważnego węzła przeładunkowego były szumne, ale niewiele zdążono zrobić. Zajęto się murowaniem nabrzeża i zagospodarowaniem starorzecza pod trzy baseny, ale daleko temu było do rozmachu, jaki władze Warszawy miały w zamierzeniu. Ruch był niewielki, choć według Hertza i tak bardziej natężony niż w porze letniej.

– Czekamy, aż wejdą, a potem otwieramy ogień – odezwał się cicho Szymon.

– Mhm.

– Zrozumiałeś?

Wilmański zaklął w duchu.

– Nie tylko zrozumiałem, ale i uczestniczyłem w przygotowaniu tego planu.

– Twoja rola była raczej bierna – odparował Trawicki. – Wszystko ustalił szef. A ja muszę tylko wiedzieć, że nie stracisz zimnej krwi.

– Nie jestem znany z pochopnych działań.

– To akurat prawda – burknął Szymon.

Wilmański spojrział na niego podejrzliwie. Krył się w tej uwadze jakiś przytyk, ale Ernest uznał, że to nie pora na drażnienie tematu. Jego towarzysz najwyraźniej był innego zdania.

– Przemyślałeś sobie wszystko dokładnie, prawda? Od samego początku.

Wilmański zbył to milczeniem.

– Nie wiem, czym podpadłeś w Wilnie, ale jedno jest dla mnie pewne: zwietryłeś okazję, by na powrót wkupić się w łaski Bruderferajna, i postanowiłeś z niej skorzystać.

– Gdyby tak było, nie słuchałbym teraz tych zarzutów, tylko w spokoju patrzył na twoje zwłoki.

Trawicki obrócił się do niego i uniósł lekko rewolwer. Przez moment mierzyli się wzrokiem i Ernest mógłby przysiąc, że na twarzy rozmówcy pojawił się cień uśmiechu. Być może docenił jego ostatnią uwagę.

Szymon zamilkł na jakiś czas i Wilmański miał nadzieję, że dotrwa tak do momentu, gdy zjawią się ludzie Doktora. Nie zostało im wiele czasu.

Ernest liczył na to, że się nie spóźnią. Odpowiednie zgranie wszystkiego w czasie było kluczowe.

– Wiesz, co myślę? – odezwał się Trawicki.

– Nie.

– Że skalkulowałeś to sobie.

Wilmański wciąż nie podejmował tematu. Wodził wzrokiem po oświetlonych częściach portu. Ludzie Łokietka z pewnością przybędą od strony mostu Kierbedzia, policja mogła natomiast dostać się na prawobrzeżną Warszawę także drugim mostem, nie robiło im to żadnej różnicy. Gdyby jednak był na ich miejscu, wybrałby wejście od alei Zielenieckiej. Dłużej pozostałoby niezauważeni.

– Liczysz na to, że pociągniesz tę farsę jeszcze przez kilka miesięcy – kontynuował Trawicki. – Zdobędziesz wszystkie kontakty, wszystkie namiary, poznasz wszystkich Banników. A potem przekazesz to Bruderferajn. Pozostanie im jedynie nas wyeliminować, a potem przejąć cały interes. Przyjdą na gotowe.

– Doprawdy?

– Być może liczysz też na to, że obsadzą cię w roli przywódcy lokalnych struktur. Rozszerzą działalność na Warszawę, a ty zostaniesz...

– Zamknij się.

– Powiedz tak jeszcze raz, a...

Wilmański wymierzył w niego smitha & wessona, ale zanim Trawicki zdążył podnieść broń, zrozumiał, że to nie groźba. Ernest szybko wskazał wzrokiem kilkusobową grupę mężczyzn nadchodzących od strony mostu Kierbedzia.

– Łokietek? – szepnął Trawicki.

– Bez wątplenia. Policja zjawi się w znacznie większej liczbie.

Wilmański popatrzył w stronę czekającej na nich łódki. W ostatnim akcie tego przedstawienia staną przed najtrudniejszym zadaniem. Kiedy rozpocznie się piekło, będą musieli wymknąć się z portu. W taki dzień jak dziś, kiedy księżyc był przesłonięty chmurami, pod osłoną nocy powinno im się to udać. Pewności jednak mieć nie mogli i Ernest przypuszczał, że szef Banników jest gotów spisać dwóch swoich najważniejszych ludzi na straty.

Przedsięwzięcie było tego warte.

– Jak stoimy z czasem? – spytał Szymon.

Ernest wyciągnął zegarek i zerknął na tarczę.

– Wszystko jest, jak być powinno.

– W takim razie przygotuj się.

Wilmański nie wiedział, jak miałby jeszcze lepiej przygotować się do tego, co nadchodziło, ale zachował tę myśl dla siebie. Obserwował, jak grupa mężczyzn otrzymuje rozkazy od jednego z nich. Musiał kazać sprawdzić im teren, bo po chwili

zaczęli się rozchodzić. Obeszli budynek, po czym spotkali się przy wejściu.

Ernest znów zerknął na zegarek. Żeby wszystko się udało, musieliby zacząć przeładunek w ciągu kilku minut.

– Na co czekają? – szepnął Trawicki.

– Nie wiem.

– Może spodziewają się, że ktoś z naszych się pojawi?

– Nie. Fryderyk dał im jasno do zrozumienia, że zostawimy towar i nie będziemy na nich czekać.

W dodatku sprzedał to jako gest dobrej woli, wyraz zaufania do Łokietka i jego ludzi. Było to genialne w swej prostocie posunięcie, które rozwiązywało wszystkie problemy poza jednym. Tym ostatnim, który nadal stał pod wielkim znakiem zapytania.

Wilmański rozejrzył się.

Kłopot sprowadzał się do tego, by utrzymać pozory i nie pozwolić Zarzecznej spalić swojej przykrywki. Hertz uważał za kluczowe, by mieć ją na podorędziu, a to wymagało pewnej gimnastyki.

Gdyby zostawili Doktora i jego ludzi na pastwę funkcjonariuszy, byłoby jasne, że świadomie dali cynk Zarzecznej i że doskonale wiedzieli o próbie infiltracji. Nie mogłaby dalej grać swojej roli, wszyscy gracze przy stole odkryliby swoje karty.

Jeśli jednak Wilmański i Trawicki wdadzą się w wymianę ognia, narażą się na ujęcie na gorącym uczynku, policja będzie przekonana, że Bannicy nadal nie wiedzą o prawdziwej roli Elizy.

Potem wystarczy spreparować zarzut wobec któregoś z członków organizacji i wykonać egzekucję. Ukarać człowieka, który miał rzekomo odpowiadać za przeciek do policji.

W takiej sytuacji dowódczyni Zarzecznej nie powinna mieć wątpliwości, że jej podkomendna jest bezpieczna i nadal może pracować pod przykrywką. Bannicy utrzymają korzystny dla nich układ, a dodatkowo z pomocą policji usuną największą część problemu.

Wszystko opierało się jednak na zgraniu w czasie. Salomea przekazała im, o której policja zamierza uderzyć, a Wilmański i Fryderyk obliczyli, o której należy umówić odbiór przesyłki z ludźmi Łokietka.

Machina była zaprojektowana z najwyższą starannością i naoliwiona. Teraz należało tylko puścić w ruch jej tryby.

– Ociągają się – mruknął Trawicki.

– Zaraz wejdą.

– A jeśli nie? Cały scenariusz weźmie w łeb.

– Wejdą – powtórzył Ernest. – Cierpliwości.

Sam jednak odczuwał jej deficyt. Wiedział, ile rzeczy może pójść nie po ich myśli, i właściwie spodziewał się trudności już o wiele wcześniej. Do teraz jednak wszystko było, jak należy. Ponaglił w duchu mężczyzn stojących przed wejściem.

– Co oni robią, do kurwy nędzy? – gorączkował się Trawicki.

– Szukają zasadzki.

– Nigdzie jej nie znajdą. Niech wchodzą, bo będzie amba.

Warszawskie określenia z półświatka nadal stanowiły dla Wilmańskiego niezgłębioną materię. Wprawdzie większość Banników nie używała ich w jego obecności, ale Trawicki niespecjalnie przejmował się tym, że Ernest nie wszystko łąpie. Właściwie sprawiało mu to przyjemność, szczególnie kiedy po raz pierwszy użył określenia „bukiet” dla opisan... cóż, Wilmański nadal nie był pewien czego. Chodziło o jakiegoś rodzaju nieprzyjemność, co do tego nie miał wątpliwości.

– Nie wejdą – orzekł Szymon.

– Spokojnie. Sprawdź teren i zaczną działać.

Wilmański ponownie skontrolował czas. Musiał przyznać, że Doktorowi wyjątkowo niespieszno do przejęcia towaru.

– Powinniśmy byli się tego spodziewać – ciągnął Szymon.

– Czego?

– Że będą ostrożni.

– Wzięliśmy to pod uwagę przy obliczaniu czasu.

– Najwyraźniej nie doceniliśmy ich przezorności. Widać boją się bardziej, niż przypuszczaliśmy.

Ernest powiódł wzrokiem po portowych urządzeniach. Wszystkie zdawały się technologicznymi nowinkami, odbiegały standardem od tego, co znajdowało się w porcie po lewej stronie Wisły. Były też rozmieszczone na większej przestrzeni, przez co nie było tu wielu miejsc, gdzie można by się ukryć.

Jakiego zagrożenia mogli się spodziewać ci ludzie? Niełatwo byłoby tu urządzić zasadzkę, nawet mając przewagę liczebną, o którą Banników trudno było posądząć.

Wilmański zastanawiał się przez moment, po czym doszedł do wniosku, że Doktor nie spodziewa się żadnego podstępu. Czekali z zupełnie innego powodu.

– Nie mają zamiaru tam wchodzić – syknął.

– Co? Przed momentem twierdziłeś...

– Nie ufają nam i są przekonani, że my także nie ufamy im.

– I co z tego?

– Wiedzą, że nie zostawilibyśmy towaru ot tak.

Wilmański schował rewolwer do kabury.

– Wiedzą, że ktoś pilnuje morfiny – dodał. – I że ich obserwuje.

Trawicki ściągnął fedorę, nerwowo potarł włosy, a potem z powrotem założył kapelusz. Spojrzał niepewnie na Ernesta.

– Co proponujesz?

– Pójdę do nich. Wprowadzę ich do środka.

– To nie najlepszy pomysł.

Wilmański nie spodziewał się, by towarzysz oponował. Przeciwnie, przypuszczał, że szybko przystanie na tę propozycję, a nawet będzie zachęcał go, by poszedł rozmówić się z Łokietkiem.

– Nagle zapalałeś do mnie sympatią, Trawicki?

– Nie. Ale w ten sposób możesz pogrążyć cały plan.

– Dam im gwarancję, że wszystko jest w porządku, wejdę z nimi do środka, a potem wrócę tutaj, zanim zjawi się policja.

– Nie zdążysz. A jeśli natkniesz się na Zarzeczną, cały ten wysiłek...

– Zdam.

Wilmański spojrział na zegarek. Nie zostało wiele czasu, ale nie miał innego wyjścia.

Był przekonany, że jeśli nie zjawi się żaden z Banników, grupa mężczyzn nie wejdzie do magazynu.

Podniósł się i nabrał tchu.

– Poczekaj, do cholery...

Wilmański zignorował protesty towarzysza i ruszył przed siebie. Miał nadzieję, że uwinie się w porę.





# Rozdział dziewiąty

Jak należało się tego spodziewać, Urząd Śledczy szybko przejął całą sprawę. Kiedy tylko Zarzeczna poinformowała Salomeę o spotkaniu, do którego miało dojść w porcie, wiedziała już, że ostatecznie nie skończy się to inaczej.

Wydarzenia następowały po sobie z prędkością błyskawicy. Kier przekonała Elizę, by sama złożyła raport przed przełożoną, a gdy ta to zrobiła, komisarz zabrała ją ze sobą na spotkanie w Urzędzie Śledczym.

Decyzje zapadły natychmiast. Oczy funkcjonariuszy, którzy jako pierwsi usłyszeli o sprawie, zdawały się świecić jak ślipia bestii w środku nocy. Oficerowie poczuli krew i nie zamierzali odpuszczać, dopóki nie dopadną ofiary.

Zaangażowane zostały liczne siły i Zarzeczna nie mogła oprzeć się wrażeniu, że po raz pierwszy od lat policji rzeczywiście zależało na ujęciu przestępców. Przez jakiś czas zastanawiała się, skąd ta zmiana, i ostatecznie doszła do wniosku, że spowodowana jest faktem, iż chodzi o prawobrzeżną Warszawę. Gdyby rzecz dotyczyła tych, którzy systematycznie wpłacali na konto niektórych policjantów hojne datki, determinacja z pewnością byłaby mniejsza.

Urząd Śledczy chciał oczywiście przypisać zasługi jedynie sobie, a do akcji w porcie nie angażować żadnej z kobiet, ale komisarz postawiła sprawę jasno. Albo do grupy zostaną włączone dwie funkcjonariuszki, które odkryły miejsce i czas spotkania, albo dowódczyni pójdzie z tym do samego ministra.

W efekcie Zarzeczna i Salomea szły teraz na samym końcu kilkunastoosobowego zespołu, który zmierzał w stronę Nowego Portu. Przeprawili się przez Wisłę mostem Poniatowskiego, zamierzali podejść do zabudowań portowych od strony Saskiej Kępy. Znajdowało się tam kilka nieruchomości w budowie, za którymi bez trudu mogli się ukryć.

Kier szła w milczeniu, głęboko zamyślona. Sprawiała wrażenie, jakby tej nocy ciężar całego świata spoczął na jej barkach. Eliza przypuszczała, że całe to przedsięwzięcie spędzało jej sen z powiek i dałaby wszystko, żeby być teraz gdzie indziej. Nie była stworzona do takich rzeczy.

– Myślisz, że to coś więcej niż pozory? – odezwała się cicho Salomea.

– Hm?

– Że jesteśmy tu, żeby rzeczywiście... no wiesz.

– Nie.

– Będziemy musiały strzelać?

Zarzeczna uśmiechnęła się, myśląc o tym, że jeśli rzeczywiście dojdzie do wymiany ognia, Kier z samego rana złoży rezygnację, mając tego wszystkiego serdecznie dosyć.

Powiodła wzrokiem po oficerach Urzędu Śledczego. Wszyscy wyglądali, jakby spełniali tego dnia dziejową misję.

– Przypuszczam, że będą robili wszystko, by nas odsunąć – odezwała się.

Salomea odetchnęła głośno.

– Ale wszystko zależy od tego, jaki opór stawia przeciwnicy.

– Może niewielki, kiedy przekonają się o naszej liczbie.

– Może – odparła Zarieczna bez przekonania. Spodziewała się raczej, że ludzie Doktora i Bannicy będą walczyć do ostatniej kropli krwi. Jeśli w magazynach znajdowała się kontrabanda, nie mieli nic do stracenia.

Przez moment szły w milczeniu, wodząc wzrokiem po skrytych w mroku ulicach. Znad Wisły jak zawsze zdawało się wiać zimne powietrze. Zupełnie jakby sama rzeka była jego źródłem.

Grupa minęła Międzyszyńską i pierwsze zabudowania portowe. Eliza obrzuciła je wzrokiem, szukając drogi, którą wejdą do środka. Nasłuchiwała też dźwięków świadczących o tym, że doszło już do spotkania, ale nocna cisza była niezmacona.

– Myślisz, że tam będzie?

Zarieczna popatrzyła na drugą policjantkę.

– Wilmański – wyjaśniła Salomea, choć bynajmniej nie musiała.

– Nie wiem.

– A ja przypuszczam, że tak – mruknęła Kier. – Co wtedy zrobisz?

– To samo, co wobec każdego innego Bannika.

– Strzelisz do niego?

– Jeśli będę musiała.

Przypomniała sobie ostatnie spotkanie w „Małej Ziemiańskiej”, ale szybko odsunęła te myśli. Pierwsi oficerowie wchodzili już na teren portowy, część została oddelegowana w inne miejsce. Zarieczna przypuszczała, że będą okrążyć kompleks.

– Widzisz, mówiłam... – skwitowała cicho Salomea.

– Co?

– Że się nie obejrzysz, a to wszystko się skończy.

– Zobaczymy.

– Nawet jeśli go tutaj nie będzie, ty będziesz spalona.

– Nie szkodzi. Osiągnęliśmy cel, prawda?

– Tak myślisz?

Nie odpowiedziała, bo nie była tego pewna. Owszem, komisarz nie miała co do tego żadnych wątpliwości, ale jej zależało wyłącznie na tym, by pokazać, że policja kobieca ma rację bytu.

I dziś to udowodni.

Problematyczną kwestią pozostawało jednak to, w jakim stopniu misja Elizy przyniosła wymierne rezultaty w walce z przestępczością. Doktor Łokietek być może zniknie z prawobrzeżnej Warszawy, a być może nie. Tak czy inaczej natura nie znosi próżni, szczególnie ta kryminalna. Jeśli nie on, pojawi się ktoś inny.

W dodatku Śródmieście w niczym nie skorzysta na dzisiejszej akcji. Zbrodnia nadal będzie kwitła, nieład będzie miał się w najlepsze, a ilość narkotyków na ulicach z pewnością szybko wzrośnie, kiedy tylko zostaną ustanowione kanały przerzutu.

A policja straci swoją wtykę. Wtykę, która mogła w przyszłości przynieść wiele korzyści, doprowadzić do szeregu skazań i zeznawać w sądzie na niekorzyść całego korowodu gangsterów.

– Oby nie było ich zbyt wielu – odezwała się Salomea.

Zarieczna spojrzała przed siebie. Sylwetki oficerów niknęły w mroku, ale nie musiała ich widzieć, by zdać sobie sprawę, że zajmują już pozycje. Wraz z Kier zatrzymały się przed wejściem, tuż obok ostatniego z policjantów.

– Nie będzie – zapewniła towarzyszkę Eliza. – Bannicy nie spodziewają się problemów, przyślą najwyżej kilku ludzi. Ci od Łokietka też nie będą mieli powodu sądzić, że coś jest nie tak, może być ich jeszcze mniej.

– Mam nadzieję.

Funkcjonariusz zlustrował je wzrokiem, jakby były dwiema kandydatkami do pracy w policji, a nie osobami, dzięki którym cała ta akcja mogła się odbyć.

– Tu się kończy wasza droga – oznajmił.

Eliza prychnęła. Spodziewała się, że prędzej czy później któryś spróbuje takiego numeru. Nie miała zamiaru się z nim przepychać, ale nie planowała też odpuszczać. Sięgnęła za pazuchę, wyjęła podpisany przez komendanta rozkaz, a potem wręczyła go policjantowi.

– Co to jest?

– Ubezpieczenie od naszej komisarz. Zadbała o to, by żaden z was nie zdecydował się na samowolkę w ostatniej chwili.

– Ciemno jest – odparł bezradnie funkcjonariusz. – Nic nie widzę.

– Więc przeczytam, co...

– Nie ma czasu. Pierwsza grupa już weszła do portu od strony mostu Kierbedzia.

– W takim razie ograniczę się do najważniejszych punktów – nie ustępowała Eliza. – Komendant rozkazuje, by dopuścić posterunkowe Zarieczną oraz Kier do czynności operacyjnych przeprowadzanych w Porcie Praskim, w ramach działań mających na celu zapobieżenie niebezpieczeństwu publicznemu poprzez...

– W porządku, w porządku – burknął policjant.

Sądziła, że się odsunie, ale ten jeszcze przez moment im się przyglądał. Salomei znacznie dłużej, jakby nie dowierzał, że ktokolwiek dopuścił taką osobę do akcji.

– Wiecie, jak tego używać? – zapytał, wskazując na kaburę przy pasie Kier.

– Przeszliśmy szkolenie.

– Nie o to pytam.

– A ja nie mam zamiaru odpowiadać na trywialne pytania. Wchodzimy.

Ruszyła przed siebie, a funkcjonariusz niechętnie ustąpił o krok. Kier poszła za nią, wbijając wzrok w ziemię, jakby ta krótka scysja była powodem do wstydu. Eliza uznała jednak, że poszło lepiej, niż przypuszczała.

Doskonale wiedziała, co mówią między sobą policjanci, gdy kobiety nie słyszą. Ich formacja była wyśmiewana coraz bardziej, choć na dobrą sprawę żadna z nich nie dawała nikomu powodu do śmiechu. Wynikało to z upływu czasu. Im dłużej działały, im więcej osób o nich wiedziało, tym głośniejszy był rechot.

Rechot niesprawiedliwy, niczym nieuzasadniony i krzywdzący. Ale jednocześnie zupełnie naturalny, bo będący reakcją obronną. Mężczyźni w podobny sposób reagowali za każdym razem, gdy zaczynali obawiać się, że kobiety zajmą ich miejsce.

Zarieczna poczuła się z tą myślą nieco pewniej. Weszły na teren portu i ruszyły za

jednym z ostatnich funkcjonariuszy, który czekał na swojego towarzysza. Wymienili się znaczącymi spojrzeniami, ale się nie odezwali.

Eliza i Salomea zajęły wraz z nimi miejsca za niewielkim murkiem. Był w trakcie budowy, być może miał stanowić fundament pod murowany podest.

Kiedy policjanci odpięli kabury i wyciągnęli browningi, one zrobiły to samo. Wszyscy wymierzili przed siebie.

– Wiadomo coś? – zapytała Zarzeczna.

Nikt nie odpowiadał. Odchrząknęła głośno, a potem spiorunowała wzrokiem tego, który przed momentem na nich czekał.

– Przed jednym z magazynów stoi grupa ludzi – powiedział.

Eliza wyteńczyła wzrok, ale niczego nie dostrzegła. Musieli znajdować się za rogiem budynku.

– Jak liczna? – spytała.

– Nie wiem. Zobaczymy, jak tylko zmienimy pozycję.

– Gdzie mamy ją zająć?

Policjant wskazał w kierunku dźwignicy naprzeciwko. Znajdowała się dość daleko i by się do niej dostać, musieliby wejść w krąg światła po drodze. Z tamtej perspektywy ludzie Łokietka byliby jednak widoczni jak na dłoni.

– Czekamy na jakiś sygnał? – odezwała się Salomea.

– Raczej na rozwój wydarzeń.

– To znaczy?

– Jeden z naszych obserwuje tę grupę przed magazynem. Na razie po prostu tam stoją. Wygląda na to, że czekają na drugą stronę. Naszym sygnałem będzie to, że zjawiła się reszta towarzystwa.

– Stąd nic nie zobaczymy – wtrąciła Zarzeczna.

– Spokojnie. Zaraz zmienimy miejsce.

Eliza poczuła, że robi jej się sucho w ustach. Miała wrażenie, jakby uczestniczyła w wyjątkowo nerwowej partii szachów. Figury z wolna były stawiane na polu gry przez kogoś innego, a przeciwnicy patrzyli na siebie w wyczekiwaniu. Wokół zalegała ciężka, absolutna cisza.

Minuty zdawały się biec wolniej niż zwykle, a nocne powietrze nie chłodziło tak, jak powinno. Przeciwnie, Elizie wydawało się, że wokół przetacza się fala gorąca. Spojrzała na swoją towarzyszkę, przypuszczając, że ta denerwuje się jeszcze bardziej.

– Jeszcze chwila – odezwał się oficer. – Poczekamy.

Salomea rzeczywiście wyglądała jak kłębek nerwów. Przyglądając się jej, Zarzeczna odniosła jednak wrażenie, że nie targają nią takie emocje, jakich się spodziewała. Kier wyglądała raczej na złą, niżli wystraszoną. Jakby coś nie szło po jej myśli.

Odczekali jeszcze chwilę, po czym funkcjonariusz powoli się podniósł. Zgarbiony, ruszył ostrożnie przed siebie i skinął ręką na pozostałych.

Eliza wstała, ale natychmiast zamarła.

– Stój! – szepnęła.

Policjant zamarł.

– Ktoś idzie od strony dźwignicy – dodała.

Wszyscy natychmiast wycofali się za murek. Przykucnęli, oparli się o konstrukcję i zaczęli wyglądać postaci. Kiedy wysoki, postawny mężczyzna wszedł w krąg światła, Eliza natychmiast go rozpoznała.

– Wilmański – odezwała się Salomea.

Zaręczona skinęła głową i na moment przymknęła oczy. Zdała sobie sprawę, że to nie może dobrze się skończyć.



# Rozdział dziesiąty

Ludzie Doktora szybko go wypatrzyli. Natychmiast unieśli broń, jakby jeden samotny mężczyzna w płaszczu rzeczywiście mógł stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Wilmański zwolnił nieco kroku, czekając, aż dowodzący da znak, by się uspokoił.

Po chwili przekonał się jednak, że nic takiego się nie stanie. Jedyne człowiek, który do niego nie mierzył, stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi i mu się przypatrywał. Ernest zaklął w duchu i przyspieszył kroku.

Jeśli szybko nie rozwiąże problemu, będzie mógł spisać się na straty. A wraz ze sobą także wszystko inne.

– Wystarczy – rzucił przywódca grupy. – Bliżej nie musisz podchodzić.

Wilmański się zatrzymał. Odniósł wrażenie, że głos nie należy do Łokietka, a kiedy przyjrzał się mężczyźnie, przekonał się, że ma rację. Najwyraźniej Doktor postanowił nie wikłać się w nocne spotkania w porcie.

Coraz więcej rzeczy zaczynało iść nie po jego myśli. Ernestowi przemknęło przez głowę, że w takiej sytuacji być może najlepiej byłoby obrócić się na pięcie i czym prędzej oddalić, póki nie zjawiała się policja.

– Jest jakiś problem? – zapytał Wilmański.

– Taki, że nikt nas nie przywitał.

– Bo nie tak się umawialiśmy.

– Rzeczywiście – przyznał mężczyzna. – Umawialiśmy się, że będzie sam towar. Żadnych Banników.

– Mhm.

– A jednak stoisz tu przed nami. Żywy dowód na to, że nasza umowa została złamana.

Wilmański nie miał czasu na takie przepychanki. Uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli zamilknie. Każda ze stron wiedziała, że to tylko gra, i nic, co by powiedział, nie sprawiłoby, że ludzie Doktora sobie ją odpuszczą.

– Masz coś na swoje usprawiedliwienie? – zapytał rozbawiony rozmówca.

Sprawiło im przyjemność, że wywabili go z ukrycia. Powinien się tego spodziewać. Uważali się za sprytniejszych i czerpali satysfakcję z tego, że udowodnili, iż Bannicy postąpili wbrew ustaleniom.

– No? Będziesz tak milczał?

– Taki mam zamiar.

– W takim razie może po prostu rozejdziemy się, każdy w swoją stronę, i wszystko zostanie po staremu?

– Wasz wybór. Wy tracicie najwięcej.

– A wy nie posuwacie się naprzód. I nadal macie w nas wroga. Tego chcecie?

Ernest powoli uniósł dłoń i wskazał na wejście do magazynu.

– Chcemy to załatwić jak najszybciej – powiedział. – A tam czeka na was to, co...

– Skąd mam wiedzieć, co lub kto jest w środku?

Wilmański westchnął. Popelnili błąd, nie doceniając własnej reputacji. Bannicy byli znani z tego, że nie dawali sobą pomiatać. Fakt, że zgodzili się na gest dobrej woli z morfiną, musiał napawać innych niepokojem i podejrzliwością.

– Jest tam tylko towar – zapewnił Ernest.

– Albo grupa ludzi z karabinami.

– Gdyby tak było, już otworzyliby ogień. Poza tym nasza umowa...

– Jest gównem warta – wpadł mu w słowo mężczyzna. – Dowodzi tego twoja obecność.

– Miałem tylko upewnić się, że wszystko pójdzie, jak trzeba.

– Albo zaskoczyć nas z drugiej strony, kiedy ci z magazynu otworzą ogień. –

Rozmówca zerknął w kierunku dźwignicy. – Ilu Banników tam się chowa, co?

Wilmański uznał, że kończy mu się czas. Musiał podjąć decyzję.

Nabrał głęboko tchu, a potem ruszył zdecydowanym krokiem przed siebie. Wiatr rozwiał połę gabardynowego płaszcza, a on poczuł na twarzy ściągający chłód nocy.

– Hej!

– Sam tam wejdę – rzucił. – Jeśli wewnątrz ktoś będzie strzelał, to wyłącznie do mnie. Odpowiada wam to?

– Zaraz, zaraz, Wołyniaku...

Wilmański nie zwalniał kroku.

– Stójże! – ryknął mężczyzna, w końcu sięgając po broń.

Ernest nie miał zamiaru się zatrzymywać. Czując na sobie niepewne spojrzenia wszystkich stojących przed nim mężczyzn, brnął naprzód z trudem, jakby przedzierał się przez nawałnicę.

Spodziewał się, że w każdej chwili może usłyszeć strzał. Wystarczyło, by któryś z przeciwników okazał się nieroztropny lub nie potrafił utrzymać nerwów na wodzy.

Im bliżej się znajdował, tym bardziej miał wrażenie, że każdy kolejny krok okupiony jest coraz większym wysiłkiem.

W końcu zatrzymał się przed przywódcą grupy. Ten przez moment świdrował go wzrokiem.

– To prawda, co o tobie mówią – zauważył. – Naprawdę szukasz śmierci.

– Raczej ona mnie.

– Tak czy inaczej szybko trafisz do piachu.

Biorąc pod uwagę jego poczynania, od kiedy przyjechał do Warszawy, trudno było z tym polemizować. Ściągnął połę płaszcza i spojrzał na wejście do magazynu.

– Jeszcze nie dziś – powiedział. – A teraz przepuście mnie.

Poczekali, aż dowódca da zgodę, a potem się odsunęli. Wilmański podszedł do budynku, odsunął zasuwę, a potem otworzył drzwi. Przez moment stał w progu, by pokazać zebranym, że wszystko jest w porządku.

– Towar jest w skrzyniach – rzucił, nie odwracając się. – Ładujcie je i znikajcie.

– Nie tak szybko.

Ernest zwiesił bezradnie głowę.

– Najpierw sprawdzimy towar.

– Naprawdę? – spytał z niedowierzaniem, obejrzawszy się przez ramię. – Jaki cel moglibyśmy mieć w tym, by umieszczać tam cokolwiek innego?



Rozmówca wzruszył ramionami, a potem popchnął Wilmańskiego. Weszli do środka.

– Trudno powiedzieć – orzekł. – Nigdy nie wiadomo, czego się po was spodziewać.

Mogliście wypełnić te skrzynki materiałami wybuchowymi.

Była to tak absurdalna myśl, że Ernest postanowił nie odpowiadać. Czym prędzej podszedł do jednej ze skrzynek i zabrał się do otwierania jej. Starał się przesadnie nie spieszyć, by nie wzbudzać podejrzeń, ale przypuszczał, że czas mu się kończy.

A być może już się skończył.

Dyskusje przed magazynem trwały stanowczo za długo, policja mogła już być na miejscu. Nie potrafił przewidzieć, co w takim układzie się wydarzy. Z pewnością dojdzie do wymiany ognia, a on znajdzie się w samym środku draki. Konsekwencje będą przemożne, nawet jeśli uda mu się ujść z życiem.

Otworzył wieko i wskazał wymownie na zapakowaną w worki morfinę.

– Proszę – powiedział. – Z wyrazami sympatii od Banników.

Mężczyzna zbliżył się z wolna i zajrzał do środka. Przywołał jednego ze swoich podwładnych i kazał mu otworzyć pakunek.

Wilmański popatrzył w stronę otwartych drzwi, a potem wyciągnął zegarek. Obawy okazały się uzasadnione. Jeśli wszystko poszło tak, jak według Salomei planowała to policja, funkcjonariusze byli już na swoich pozycjach.

Nawet jeśli teraz wyjdzie z magazynu, nie puszczą go wolno. Prawdopodobnie otworzą ogień od razu, uznając, że jeśli zastrzelą pierwszego wychodzącego, reszta zostanie wewnątrz.

– Spiesz ci się gdzieś? – zapytał jeden z ludzi Doktora.

Ernest popatrzył na niego, a potem na przywódcę grupy.

– Dostyc tego – powiedział, ignorując pytanie. – Chcecie tracić tutaj czas, to wasz wybór. Ja wracam na drugą stronę Wisły.

Nie czekając na protesty, ruszył w kierunku wyjścia. Musiał spróbować szczęścia, nie było innej możliwości. Może policjanci chwilę się spóźnili, może nie zdążyli się jeszcze ustawić, a może nie spodziewali się, że ktokolwiek opuści magazyn tak szybko.

Jak by nie było, musiał spróbować. W najgorszym wypadku puści się pędem przed siebie i będzie liczył na to, że żadna kula go nie sięgnie.

– Poczekaj, Wołyniaku...

Usłyszał dźwięk odciąganego kurka i pomyślał, że się przeliczył. Pierwszy strzał mógł nadejść nie ze strony policjantów, a ludzi w magazynie. Zwolnił, ale nie zatrzymał się.

– Pociągnij za spust, a wszystko zaprzepaścisz – rzucił. – W tej chwili odchodzie ze wszystkim. Jeśli jednak strzelisz...

– Też odejdziemy ze wszystkim – przerwał mu mężczyzna.

Wilmański stanął przed progiem i obrócił się.

– Oraz wyrokiem śmierci – dopowiedział. – Bannicy zaoferowali wam swoją przyjaźń, ale jeśli dalej będziecie odtrącać naszą wyciągniętą rękę, szybko przekonacie się, że zaciśnie się w pięść.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Potem dowódca grupy zerknął do skrzynki, przesunął kilka worków, a ostatecznie schował broń. Skinął głową bez słowa – i tyle w zupełności wystarczyło Wilmańskiemu.

Skierował się na zewnątrz, głęboko zaczerpnąwszy tchu. Przygotowywał się do tego, że zobaczy szereg czekających na niego funkcjonariuszy.

Wyszedł w mrok i nikogo nie dostrzegł. Nasłuchiwał, ale jedynymi dźwiękami zdawały się porywiste podmuchy wiatru. Chłód był wszechogarniający.

Wilmański czuł, że napięcie sięga zenitu. Chwycił za smitha & wessona, uznając, że lepiej przygotować się na najgorsze. Gdzie byli ci policjanci? Z pewnością musieli już znajdować się na terenie portu.

Musieli także ich widzieć.

Na co czekali?

Ruszył powoli w stronę miejsca, gdzie krył się Trawicki. Nie sposób było dojrzeć, czy towarzysz nadal się tam chowa. Jeśli jego wcześniejsze zachowanie mogło o czymkolwiek świadczyć, to Ernest musiał dopuścić możliwość, że Szymon wrócił na łódkę i odpłynął.

Wilmański przyspieszył nieco kroku.

W tym samym momencie rozległ się wystrzał.



# Rozdział jedenasty

Wszystko poszło nie tak. Eliza poderwała się na równe nogi, jeszcze zanim wybrzmiało echo pierwszego strzału. Natychmiast ruszyła przed siebie z całą grupą policjantów, nie oglądając się nawet na swoją partnerkę.

Dostrzegła, że Wilmański zatoczył się w bok i choć nie wiedziała, kto strzelał, zdała sobie sprawę, że mierzył do Ernesta. Celnie.

Zanim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, rozległy się kolejne wystrzały. Ludzie Łokietka wybiegli z magazynu, posyłając kule właściwie na oślep. Huk był wszechogarniający, a cały port zdawał się zamienić w jedno wielkie pudło rezonansowe.

Zarieczna słyszała nawoływania policjantów z drugiej strony kompleksu, ale nie mogła nic zrozumieć. Uniosła machinalnie rewolwer. Był to ledwie uświadomiony odruch i dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że nie wie, gdzie celować.

W jakiś sposób jednak broń stanowiła tarczę. Nie rzeczywistą, a psychologiczną. Dzięki rewolwerowi Eliza czuła, jakby miała większe szanse przeżyć. Pomyślała, że być może podobne wrażenie mają szeregowi żołnierze na polu walki.

Pędzą prosto na siebie, na otwartym terenie, właściwie bez szans na to, by wyjść cało z opresji. Trzymana broń w jakiś sposób musiała dawać im złudne poczucie bezpieczeństwa. Tak jak teraz jej.

Jeden z biegnących obok policjantów przesunął lufę w stronę magazynu i oddał kilka strzałów. Zarieczna zrobiła to samo, przy każdym huku przymykając oczy. Czuła się, jakby strzelała po raz pierwszy.

Po chwili usłyszała, że Salomea również opróżnia magazynek. W okamgnieniu rozpętało się piekło, a kakofonia grzmotów była tak głośna, że nie ulegało wątpliwości, iż w porcie znajduje się więcej uzbrojonych osób, niż sądziła policja.

Eliza pociągnęła za spust ostatni raz, po czym zorientowała się, że nie ma już więcej naboju. Natychmiast zaczęła ładować broń, ale ręce trzęsły jej się tak bardzo, że upuściła pierwszy z pocisków.

Zaraz potem jedna z kul świsnęła tuż obok niej. Rozległ się cichy jęk, a ona poczuła coś lepkiego na twarzy. Spojrzała w bok i zobaczyła leżącego na ziemi policjanta.

Kiedy uświadomiła sobie, że oberwał, nogi niemal się pod nią ugięły. Zarejestrowała jeszcze, że trafiono go w szyję, z której buchnęła fontanna krwi. Zarieczna upadła obok niego i natychmiast zaczęła uciskać ranę. Posoka przelewała jej się przez palce, a z gardła nieszczęśnika zaczął dobywać się bulgot. Rzucił głową na boki jak opętany, a ona nie potrafiła utrzymać go nieruchomo.

Chciała krzyknąć, by się uspokoił, ale nie udało jej się dobyć głosu. Zaraz potem mężczyzna nagle znieruchomiał. W powietrzu rozszedł się smród moczu, kiedy jego zwieracze puściły. Eliza zaciskała ręce na jego szyi, krew wciąż wylewała się z ciała zmarłego.

W końcu dotarło do niej, co się wydarzyło. Odskoczyła do tyłu, wycofała się rakiem,

a potem zamarła. Trzęsąc się, starała się odegnać od siebie myśl, że kula równie dobrze mogła trafić ją.

I że kolejna także może.

Eliza potrząsnęła głową i rozejrzała się. Wymiana ognia nadal trwała w najlepsze, przywodziło to na myśl nie tyle gangsterską strzelaninę, co starcie regularnych oddziałów armii.

Zamiast maleć, rumor zdawał się rosnać z każdą chwilą. Zarieczna sięgnęła po pistolet zabitego policjanta i wymierzyła w kierunku magazynu. Nikogo już tam nie było.

Przeniosła wzrok w kierunku Wisły i zobaczyła, że grupa mężczyzn, którzy opuścili budynek, powoli przesuwawała się ku rzece. Chowali się, za czym mogli, ale w pewnym momencie po prostu zabrakło im potencjalnej osłony. Zostali przygwożdżeni, ale Zarieczna nie miała pojęcia przez kogo.

Policjanci po drugiej stronie portu ładowali w nich bez ustanku, ale oprócz tego wystrzały dochodziły także z innej strony.

Poszukała wzrokiem Wilmańskiego, nigdzie go jednak nie dostrzegła. Odwróciła się, by sprawdzić, co z Salomeą. Ta skryła się za kilkoma skrzyniami i strzelała w grupę nieopodal rzeki. Partnerka nie przypominała samej siebie.

Eliza wymierzyła w tym samym kierunku, ale nie zdążyła pociągnąć za spust. Rozległo się głośne wołanie, którego nie zrozumiała, a potem zapadła cisza. Sprawiało to wręcz surrealistyczne wrażenie.

Zarieczna podniosła się powoli, niepewna, czy utrzyma się na nogach. Były jak z waty, a serce tłukło jej się szaleńczo w klatce piersiowej. Nie docierała do niej świadomość, że strzelanina się skończyła. Nie mogła też zrozumieć powodu, dla którego tak się stało.

Świat wyglądał jak senna mara i Eliza ocknęła się dopiero, gdy podeszła do niej Kier. Oddychała ciężko i mimo niskiej temperatury była cała spocona. Spojrzała z przerażeniem na Zarieczną i złapała ją za rękę. Potrząsnęła nią mocno.

– Dostałaś? – zapytała.

Eliza pokręciła głową, podczas gdy partnerka starała się uspokoić oddech.

– To koniec – dodała Salomea. – Już po wszystkim.

Przyglądała jej się z niepokojem i dopiero po chwili Zarieczna uświadomiła sobie, dlaczego tak jest. Musiała mieć całą twarz we krwi. Uniosła dłonie i przekonała się, że one również są całe czerwone.

W jakiś sposób ten widok sprawił, że w końcu się otrząsnęła.

– Co się stało? – zapytała.

Salomea przez chwilę milczała, patrząc w stronę dźwignicy.

– Nie żyją – powiedziała w końcu.

– Wszyscy?

– Ci z magazynu.

– A reszta?

– Uciekli. Nie słyszałaś?

– Nie.

Eliza popatrzyła na zastrzelonego policjanta, a potem rozejrzała się w poszukiwaniu drugiego z nich. W końcu go wypatrzyła. Podchodził ostrożnie do ciał leżących przed dźwignicą, z drugiej strony szli mu na spotkanie pozostali funkcjonariusze. Wyglądało na to, że grupa ludzi, którzy zjawili się tutaj niespodziewanie, rzeczywiście się wycofała.

– Wystrzelali ich co do jednego – zauważyła Salomea, ruszając w stronę rzeki.

Zarieczna ruszyła wraz z nią.

– Nie wiem, czy ktokolwiek z naszych w ogóle ich trafił. W większości strzelali ci nowo przybyli.

Mówiła spokojnie, jakby cała ta sytuacja była dla niej chlebem powszednim. Być może nadawała się jednak do policji bardziej, niż Eliza sądziła. Najwyraźniej miała kłopoty z odnalezieniem się w zwyczajnych, codziennych sytuacjach, ale dobrze radziła sobie z kryzysowymi. Byłoby to osobliwe, ale z pewnością nie niespotykane.

Kiedy podeszły do grupy funkcjonariuszy, ci zdążyli już sprawdzić, czy któryś z przestępców uszedł z życiem. Nie musieli się odzywać, by Zarieczna mogła to stwierdzić. Ich wyrazy twarzy mówiły same za siebie.

– Ani jednego – odezwał się stojący najbliżej policjant. – Nie przeżył nikt, kto mógłby nam cokolwiek powiedzieć.

Eliza spojrzała na ciała. Nie dostrzegła nigdzie Wilmańskiego, ale nie poczuła ulgi. Spodziewała się, że po drugiej stronie tej lichej osłony znajdują się kolejne zwłoki. Stojący tam policjanci właśnie czemuś się przyglądali.

Z trudem przełknęła ślinę i weszła po schodkach na podest. Funkcjonariusze pytali o coś, zapewne o poległego towarzysza, ale Salomea wzięła na siebie ciężar wytłumaczenia im, co się stało.

Zarieczna zatrzymała się przy ciałach. Spojrzała na twarze.

– Ci też nie żyją – oznajmił oficer.

– Widzę.

Jeden miał rozłupaną czaszkę, kula musiała trafić pod kątem w któryś z płatów. Odszedł spory kawałek, ukazując makabryczny widok. Eliza przez moment patrzyła pustym wzrokiem na mózg mężczyzny. Zrobiło jej się słabo.

– Nie ma innych ciał? – spytała cicho.

– Nie. To wszyscy.

Zamknęła oczy i nabrała głęboko tchu. Szybko tego pożałowała i zaniósła się kaszlem. Miała wrażenie, jakby wciągnęła do płuc odór śmierci. Zakotłowało jej się w żołądku i pochyliła się, czując, że nie wytrzyma.

Pohamowała jednak odruch wymiotny. Wyprostowała się, a potem zamknęła oczy i wciągnęła powietrze nosem.

– Wszystko w porządku? – zapytał policjant.

Uniosła powieki i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nawet nie wiem, jak na to odpowiedzieć.

Skinął głową.

– To nie tak miało wyglądać – mruknął.

Eliza odwróciła się ku alei Zielenieckiej. Stamtąd nadeszła druga grupa policjantów,

ale nadal nie wiedziała, od której strony na teren portu wtargnęli nieproszeni goście. Ani tym bardziej kim byli.

– Co się w ogóle stało? – zapytała. – Jak do tego doszło?

– Będziemy to sprawdzać.

– Ale...

– Najwyraźniej o całej akcji wiedział ktoś jeszcze. Ktoś, kto wiedzieć nie powinien.

– O naszej akcji? Czy ich wymianie?

Wzruszył ramionami.

– Na tę chwilę wiem tyle, ile ty.

Wyciągnął pogniecioną paczkę papierosów i zapalił jednego. Dopiero po chwili zorientował się, że Zarzeczna patrzy na niego znacząco. Gdy ją poczęstował i podał jej ogień, usiadła na podeście. Zaciągnęła się głęboko i nieświadomie przytrzymała dym w płucach. Czuła, że wraz z nim wniknęły w jej ciało dusze wszystkich, którzy dziś zginęli w porcie.

Powiodła wzrokiem po zwłokach. Nie chciała nawet zastanawiać się nad tym, ile ich jest.

Papieros sam wypalił się w jej dłoni. Przypomniała sobie o nim dopiero, gdy poczuła ciepło między palcami. Wyrzuciła niedopałek i zobaczyła, że zbliża się do niej Salomea. Na powrót przypominała dziewczynę, którą Eliza знаła.

Szła niepewnie ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby spodziewała się, że zaraz na swojej drodze spotka kogoś, kto z jakichś powodów będzie miał do niej pretensje.

Nie patrząc na Zarzeczną, usiadła obok.

– Żyjemy, to się liczy – odezwała się.

Eliza przypuszczała, że to próba pocieszenia jej. Towarzyszka musiała zdawać sobie sprawę, że fiasko misji odbije się przede wszystkim na Zarzecznej. To ona była inicjatorką i to ona firmowała całe to przedsięwzięcie.

– Poza tym może nie wszystko stracone – dodała po chwili Kier.

– Nie wszystko? Rozejrzyj się.

– Mam na myśli ciebie.

Eliza obróciła ku niej głowę, ale partnerka zdawała się udawać, że tego nie widzi.

– Może twoja przykrywka nie została spalona – zauważyła. – W całym tym zamieszaniu z pewnością nikt cię nie rozpoznał.

– I co z tego? – odparła cicho Zarzeczna. – Wilmański będzie wiedział, kto dał cynk policji.

– Niekoniecznie.

Eliza odgięła głowę i spojrzała w nocne niebo. Przez cienką warstwę chmur gwiazdy były ledwo widoczne.

– Przecież zjawiała się tu też inna grupa, prawda? – podjęła Salomea.

– To nie ma związku.

– Dla ciebie nie, ale dla Banników tak.

– Wątpię.

– Zastanów się nad tym – odparła nieco zakłopotana Kier. – Będą winić przede wszystkim tych, którzy rozpętali to piekło. Może nawet nie domyślą się, że była tu

policja. A jeśli nawet, to mogą uznać, że za przeciek odpowiada ktoś z ich szeregów. Niekoniecznie ty.

Zarieczna oderwała wzrok od nieba. Zdawało się odzwierciedlać jej mętną przyszłość, tym bardziej, że znad Śródmieścia zaczęły nadciągać ciemniejsze, cięższe chmury, oświetlane z boku przez niewyraźne światło księżyca.

– Nie wiedziałam, że jesteś marzycielką – powiedziała.

– Analizuję na chłodno.

– Bardzo chłodno – zauważyła Eliza. – Właściwie nie spodziewałam się po tobie tyle zimnej krwi.

– To pochwała czy przytyk?

Zarieczna ściągnęła ramiona. Robiło się zimno.

– Jedno i drugie – rzuciła. – Ale sprawdziłaś się wzorowo. Lepiej niż ja.

– Niemal nic z tego nie pamiętam.

Elizie przemknęło przez myśl, że jeśli rzeczywiście tak jest, może tylko zazdrościć partnerce. Przypuszczała, że w jej wypadku nie będzie tak łatwo. Dzisiejsze doświadczenia przełożą się na kilka nieprzespanych nocy, parę dni nieustannego napięcia i cały łańcuch niepokojących wspomnień.

– Uważam, że powinnaś spróbować – odezwała się po chwili Kier.

– Czego?

Rozmówczyni przez chwilę milczała.

– Spotkaj się z Wilmańskim – poradziła. – Sprawdź, ile wie. Jeśli cię przejrzał, będziesz wiedziała o tym od razu.

– Bo wyceluje do mnie z rewolweru?

Salomea skinęła lekko głową.

– Nie jest to zbyt roztropne.

– A co jest w tej sytuacji? – odparła Kier, rozglądając się.

Zarieczna zamilkła. Musiała przyznać towarzyszcze rację. Poza tym jeśli istniała jakakolwiek szansa, by z tego pożaru jeszcze coś uratować, powinna spróbować.





# Rozdział dwunasty

Kurz pobitewny nie chciał opaść. Wilmański i Trawicki dotarli do „Mokradła” zmachani, zakrwawieni i spoceni, ale dopiero wtedy zaczęły się problemy. Jeszcze przed wejściem zrozumieli, że nie mogą liczyć na odpoczynek.

Natychmiast wycelowało do nich dwóch chłopaków z rewolwerami. Opuścili broń dopiero, gdy zorientowali się, że zbliżają się członkowie kierownictwa. Dwaj z Trzech Demonów Krwawej Łaźni. I jeśli kiedykolwiek wyglądali adekwatnie do tego przydomka, to było to tej nocy.

– Co się dzieje? – wysapał Szymon.

– Zostaliśmy zaatakowani.

Trawicki splunął na bok. Był ranny i Wilmański musiał podtrzymywać go, od kiedy wyszli z dorożki kilka ulic dalej. Mijani przechodnie zawieszali na nich wzrok, ale w mroku nocy dwaj zataczający się mężczyźni najpewniej sprawiali wrażenie starych znajomych, którzy wypili nieco za dużo.

– Przez kogo? – zapytał Ernest.

– Jeszcze tego nie ustaliliśmy.

– Gdzie uderzono?

– W nasze interesy na Złotej – odparł jeden z chłopaków. – Spalono dwa sklepy, które płaciły nam najwięcej za protekcję. Zakład szewski i pasmanterię. Oprócz tego zrobiono burdę w kilku lokalach. Zabito kilku naszych.

Trawicki wskazał głową na wejście do „Mokradła”, Wilmański ruszył przed siebie.

– Szef jest? – rzucił Szymon.

– Przy swoim stoliku. Radzi się z innymi.

Weszli do środka, a kiedy stanęli przed Fryderykiem, zobaczyli plan miasta rozłożony na blacie. Pochylało się nad nim kilku mężczyzn. Wszyscy rozstąpili się, gdy tylko uświadomili sobie, kto przyszedł.

Ernest posadził Trawickiego na krześle, a potem czym prędzej złożył raport. Właściwie nie było wiele do powiedzenia. Pewne było jedynie, że to nie ludzie Doktora zorganizowali zasadzkę.

Gdy skończył relacjonować wydarzenia z portu, zaległa cisza. Tej nocy w „Mokradle” nie grano jazzu.

Hertz przez chwilę milczał, wbijając wzrok w mapę.

– Towar przepadł? – zapytał.

– Bez wątpienia – odparł Wilmański. – Policja go zarekwiruje. A Łokietek z pewnością upomni się prędzej czy później o to, co mu obiecano.

– Więc może jednak brał w tym udział? – podsunął Trawicki. – Może to było przemysłane?

– Nie. Zginęło zbyt wielu jego ludzi.

– Może o to nie dba.

Ernest musiał przyznać, że to realna możliwość. Fryderyk jednak jej nie przyjmował

i ponieważ trudno było mu się dziwić. Patrzył na to ze swojej perspektywy, przez pryzmat tego, jak sam podszedłby do sprawy. Nigdy nie poświęciłby tyłu Banników, by podjąć niepewną próbę zmiany układu sił w mieście.

– Nie – orzekł w końcu. – To nie oni. A w takim razie także nie Kercelak.

– Zostają nam więc Prałaci i Żydzi – zauważył Szymon, z trudem pochylając się nad stolikiem. Trzymał się za bok, krwawił lekko, ale ani on, ani nikt ze zgromadzonych nie miał zamiaru się tym przejmować.

– Przynajmniej jeśli chodzi o Warszawę – dodał jeden z mężczyzn. – Atak mogli przeprowadzić Niemcy lub gnoje z Bruderferajn. Jesteśmy teraz narażeni z każdej strony.

Wilmański już miał się z nim zgodzić, kiedy do „Mokradła” wpadł jeden z gońców, skupiając na sobie uwagę wszystkich. Podbiegł do stolika, popatrzył przepaszająco na szefa, a potem głęboko zaczerpnął tchu.

– Wygląda na to, że się wycofali – rzucił. – I to równie szybko, jak się pojawili.

Fryderyk zacisnął usta, a siedzący naprzeciw Trawicki zaklął pod nosem i pokręcił głową.

– Więc nie ma kogo ścigać? – zapytał.

– Nie.

– Pozwoliliście im uciec?

Chłopak wskazał na mapę i popatrzył po naradzających się mężczyznach, jakby chciał zasugerować, że gdyby dowództwo pospieszyło się z odwetem, być może udałoby się ująć któregoś z napastników.

– Czekaliśmy na posiłki i...

– Nie czas na tłumaczenia – uciął Szymon, a potem odprawił gońca ruchem ręki.

Przez chwilę wszyscy milczeli, czekając, aż szef zabierze głos. Hertz jednak się nie kwapił. Wbijał wzrok w wyszczerbiony kant stołu, obracając fedorę. W końcu powoli się podniósł. Podszedł do gramofonu, wybrał jedną z płyt i puścił urządzenie w ruch. Igła dotknęła winylu, rozległ się charakterystyczny, cichy chrzęst. Potem z głośnika popłynęły dobrze znane wszystkim dźwięki „Tin Roof Blues”.

Fryderyk wrócił do stolika z butelką wódki. Kelner bez słowa postawił na blacie wystarczającą liczbę kieliszków, a szef zaczął rozlewać. Zgromadzeni wyciągnęli papierosy, Trawicki sięgnął po tabakę i pociągnął nosem solidną porcję.

– Niewątpliwie to nie była akcja jednego gangu – odezwał się w końcu Hertz. – Wygląda na to, że mamy większy problem, niż sądziliśmy.

Milczenie pozostałych oznaczało zgodę.

– Zawiązało się przeciwko nam porozumienie. I waszym zadaniem w nadchodzących dniach będzie ustalić, kto z kim się w istocie sprzymierzył.

Hertz uniósł kieliszek, jakby ten rozkaz wymagał przypieczętowania alkoholem. Reszta uczyniła to samo. Łyknęli niemal w jednym momencie, a potem z impetem odstawili kieliszki na stół.

– Przepytaacie wszystkich, którzy mogą coś wiedzieć. Sprawdzicie każdy zaułek, w którym mogą ukrywać się winni. Wejdziecie do każdego lokalu, który do nas nie należy. Rozumiecie?

Cisza ponownie świadczyła o zgodzie.

– To nie czas na półśrodki. Chcę, byście działali bez kompromisów. Jeśli dojdziecie do wniosku, że trafiliście na trop, macie moje przyzwolenie, by robić wszystko, co uznacie za słuszne.

Kilku mężczyzn pokiwało głowami. Fryderyk znów zaczął napełniać kieliszki, niespecjalnie się do tego przykładając. Rozlewał wódkę po stoliku, strużka zaczęła kapać na podłogę.

– Nie obchodzi mnie, czy wywołacie wojnę, topiąc jakiegoś przypadkowego skurwysyna – dodał. – Konflikt już trwa.

Znów się napili. Chmura dymu wisząca nad stołem gęstniała z każdą chwilą.

– Przemieszczajcie się w kilkusobowych grupach. Nie możemy pozwolić sobie na to, by stracić więcej ludzi.

– Od czego mamy zacząć? – zapytał jeden z zebranych.

Hertz odstawił butelkę i zakorkował ją. Powiódł wzrokiem po podwładnych, a potem zaczął przydzielać zadania. Pierwsza grupa miała przepytac wszystkich właścicieli sklepów i lokali, którzy tej nocy zostali poszkodowani. Kolejne miały sprawdzić wyznaczone tereny, które Fryderyk zakreślił na mapie.

– A ty, Wołyniak, sprawdzisz wszystko na swoim froncie.

– To znaczy?

– Przekonasz się, ile wie policja.

– Ten most został spalony.

– W żadnym wypadku – zaproponował szef. – Padło dzisiaj tylu ludzi, że nie będziemy mieć problemu ze zrzuconiem winy na kogoś z nich. Powiesz swojej gołębiczy, że znaleźliśmy szpicla, który doniósł policji o nocnym spotkaniu w porcie. I wykonaliśmy egzekucję.

– Sądzisz, że dziewczyna w to uwierzy?

– Jeśli odpowiednio to sprzedasz, tak.

W ferworze walki Ernest nie zastanawiał się nad tym, ale teraz musiał przyznać, że Hertz może mieć rację. *Status quo* było do uratowania, nic nie musiało się zmieniać. Przynajmniej jeśli chodziło o pozory.

– Tak czy inaczej trzeba ustalić, kto w rzeczywistości był źródłem przecieku – zauważył Trawicki. – Ile osób wiedziało o przedsięwzięciu?

Wszyscy zdawali sobie sprawę, jaka była odpowiedź na to pytanie. Spojrzeli po sobie w milczeniu.

– Nie tylko my wchodzimy w grę – zauważył Wilmański. – Skoro wiedziała o tym policja, to ktoś w ich szeregach mógł poinformować napastników.

Fryderyk skinął głową, jakby była to najbardziej sensowna konkluzja, jaką tej nocy usłyszał.

– Otóż to – przyznał. – Dlatego tak istotne jest, byś ustalił, co wie Zarzeczna.

– Więc to tam upatrujesz źródła.

– Tak – potwierdził Hertz. – Jeśli uda nam się dotrzeć do funkcjonariusza, który dał cynk, dowiemy się, komu go przekazał.

– O ile to rzeczywiście informacja wyciekła stamtąd.

– Jestem przekonany, że tak.

Wilmański popatrzył na mężczyzn ustawionych wokół stolika. Nie ufał im, ale też nie spodziewał się, by którykolwiek z nich współpracował z Bruderferajn, Niemcami czy innymi grupami, które chciały wysadzić Banników z siodła. Jeśli byłoby inaczej, taki człowiek z pewnością byłby już teraz daleko od Warszawy. Nie miałby powodu ryzykować powrotu do „Mokradła”.

– Zatem wszystko ustalone – powiedział Fryderyk.

Tym samym spotkanie dobiegło końca. Na strzemiennego nikt nie mógł liczyć, wszystko zostało powiedziane, a Bannicy mieli zakasać rękawy i brać się do roboty. Rozeszli się w milczeniu, przywodząc na myśl żałobników.

Wilmański i Trawicki zostali nieco dłużej i wypili nieco więcej. Do żadnych konstruktywnych wniosków jednak nie doszli. Ernest wracał do domu chwiejnym krokiem, przypuszczając, że zdąży jeszcze przespać się dwie-trzy godziny, nim wzejdzie słońce. Potem weźmie się do pracy.

Wydawało mu się, że otworzył drzwi i wszedł do środka bezszelestnie. Szybko przekonał się, że tak nie było.

– Ale się tłuczesz – mruknęła zaspana Anastazja. – Która godzina?

– Późna.

– I bełkoczesz.

– Ledwo powiedziałem jedno słowo...

– Tyle wystarczy. Poza tym zionąłeś od razu bimbrem.

– Wódką.

– Bez znaczenia – odburknęła, a potem gwałtownie zrzuciła kołdrę. Usiadła na łóżku, skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na niego bykiem. – Nie wstyd ci?

– Nie.

Ściągnął płaszcz i zawiesił go na wieszaku. Dopiero teraz zorientował się, że poplamił go krwią. Nie stanowiło to żadnego problemu, po latach na ringu miał swoje sposoby, by skutecznie się jej pozbyć. Wystarczyło trochę octu.

– A powinno być.

– Wykonuję tylko swoją robotę.

Chciał dodać, że dzięki temu oboje mają dach nad głową, ale ostatecznie uznał, że niemądrze jest drażnić rozbudzoną w środku nocy bestię. Zaczął mozolnie się rozbierać, niemal tracąc przy tym równowagę.

– Nie podoba mi się to – rzuciła Ana.

– Mhm.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

Ściągnęła mocno brwi, nie odrywając od niego wrogiego spojrzenia. Wilmański westchnął głęboko, uznając, że wszystko jest nie tak, jak być powinno. Przyjechał tutaj, by zacząć spokojne życie.

Samotne życie.

Nie chciał się wiązać z żadną kobietą, a w najgorszych koszmarach nie przyśniłoby mu się, że będzie musiał opiekować się młodą dziewczyną. W dodatku taką, która sądziła, że jej obowiązkiem jest matkowanie mu.

Położył się na łóżku i obrócił do niej tyłem.

– Tak nie może być – powiedziała.

– Błagam, wystarczy tych bzdurnych...

– Bzdurnych? – obruszyła się Anastazja. – Te zarzuty są uzasadnione.

– I mówi to osoba, która...

– Nie rozmawiamy teraz o mnie!

Uśmiechnął się pod nosem. Władował się w głębsze bagno, niż mógłby kiedykolwiek przypuszczać. Z tą myślą zaczął powoli odpływać. Dziewczyna nadawała w najlepsze, ale jego umysł szybko odciął się od dźwięku jej głosu. Ernest zasnął. Przebudzał się tylko w tych momentach, kiedy szturchała go w plecy.

W końcu Ana odpuściła. Przespał kilka godzin i zwlókł się z łóżka tuż po ósmej. Uznał, że nie musi się spieszyć. Zanim Eliza dojdzie do siebie po nocnej akcji i stawi się w pracy, zapewne minie trochę czasu. Poza tym na dobrą sprawę nie wiedział, czy jeszcze ją tam zastanie. Mogła uznać, że została przejrzana, i z samego rana przywdziała mundur, by wrócić do dawnej roli.

Kiedy wychodził, Anastazja jeszcze spała. Wyszedł z kamienicy czynszowej na ulicę i skrzywił się. Od rana lekko siąpiło, a on nadal nie nabył żadnego kapelusza. Postawił kołnierz płaszcza, a potem ruszył ku pierwszemu kupcowi, u którego mógł nabyć ocet.

Mężczyzna od razu rozpoznał Bannika i pozwolił mu skorzystać z zaplecza. Płam nie było wiele, Wilmański uporał się z nimi dość szybko. Przypuszczał, że wszelkie ślady znikną w trakcie dnia, kiedy przemoknie do suchej nitki. Nie zanosilo się na to, by miało przestać padać.

Ruszył w kierunku Alei Jerozolimskich, mijając dziewczyny w wieku Any, które od rana zaczynały pracę. Na niego nawet nie patrzyły. Wiedziały, czyjego wzroku należy tutaj unikać.

Bannicy roztaczali nad nimi opiekę, ale niepisana zasada było, że nastolatki nie zaczepiały tych, którzy znajdowali się na samej górze hierarchii. Ci bowiem udawali, że dziewczyny nie istnieją. Fryderyk nie był gotów przyznać, że jego organizacja zajmuje się też sutenerstwem nieletnich.

Wilmański szedł niespiesznie, wiedząc, że i tak nie ma większego znaczenia, jak długo będzie na deszczu. Zanim dotrze do domu wychowawczego, przemoknie do suchej nitki. Najchętniej podjechałby tramwajem, ale żadna z linii nie biegła stąd w kierunku, który go interesował.

W innych stolicach europejskich dynamicznie rozwijał się transport autobusowy i taksówkarski, Warszawa postawiła jednak na szynowy. W dodatku nadal głównym środkiem przemieszczenia się były dorożki i bryczki. I riksze, które sprawiały, że nieprzychylni turyści z Zachodu określali miasto mianem „Azji”.

Ernest powiedziałby raczej, że kojarzyło się z jednym wielkim padokiem. Końskie gówna zalegające na ulicach były nie do zliczenia. W słoneczny dzień parowały i śmierdziały, w taki jak dziś rozmoknięte placki zdawały się pokrywać większość wybrukowanych miejsc. Raz po raz Wilmański wdeptywał w odchody, ale po pewnym czasie przestał zwracać na to uwagę.

W końcu dotarł do domu wychowawczego. Stanął przed wejściem i powiódł

wzrokiem po ponurym budynku, po czym postarał się strzepnąć z płaszcza jak najwięcej wody. Efekt nie był powalający.

Szybko udało mu się ustalić, gdzie znajdzie Elizę. Odetchnął, kiedy usłyszał, że tego dnia przyszła o normalnej porze.

Czekał na nią na korytarzu, a jedna z kobiet zapewniła go, że zaraz poinformuje Zarzeczną o jego przyjsciu. Wilmański w tym czasie przyglądał się porzuconym dzieciakom, przemierzającym przestronne hale. Różniły się diametralnie od tych, które snuły się po śródmiejskich ulicach. Ale może to wszystko stanowiło jedynie pozory.

Po chwili Ernest utwierdził się w tym przekonaniu. Ich oczy były takie same. Puste, pozbawione życia.

– Jeśli będziesz mnie tak nachodzić, ludzie zaczną mówić.

Obrócił się i skłonił Elizie. Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Niech mówią – rzucił.

Otaksowała go wzrokiem i pokręciła głową.

– Jesteś przemoczony.

– Nie przeszkadza mi to.

– Na przyszłość powinieneś jednak zainwestować w parapłuj.

– W co takiego?

Zaśmiała się cicho i niewinnie, jakby był to dzień jak co dzień. Wilmański widział jednak wyraźne cienie pod jej oczami. Miała też przekrwione spojówki, co utwierdziło go w przekonaniu, że ma za sobą trudną noc.

Poczuł się nieswojo, gdy pomyślał, z jaką łatwością zasnął. I to nawet mimo utyskiwań młodej.

Dotychczas do końca nie uświadamiał sobie, jak ogromna przepaść ich dzieliła. Teraz jednak wnioski nasuwały się same. W normalnym świecie tylko cud mógłby sprawić, że dwie tak różne od siebie osoby zaczęłyby się ze sobą spotykać. Ale to nie był normalny świat. Tutaj wystarczyło, by ktoś zdecydował się na infiltrację, podwójną grę i oszustwo.

– Wybacz – powiedziała. – Moja babka zawsze mówiła „parapłuj”. Tak nam zostało w rodzinie.

Ernest uniósł brwi.

– Mówiła, że parasol chroni przed słońcem, a parapłuj przed deszczem.

Wilmański nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Nie był specjalistą od prowadzenia niezobowiązujących rozmów, a stojąc naprzeciw Zarzecznicy na korytarzu, na którym nagle zdawali się zostać sami, czuł się jeszcze bardziej nie na miejscu.

– Co cię sprowadza? – odezwała się po chwili.

– Nic konkretnego.

– Chciałeś po prostu trochę zmoknąć?

– Mniej więcej.

Powód bynajmniej nie był błahy, oboje zdawali sobie z tego sprawę. Choć ona najwyraźniej w nieco mniejszym stopniu. To Wilmański miał wszystkie mocne karty, tymczasem Eliza wiedziała jedynie o połowie.

Zachowywała się, jakby nie było jej zeszłej nocy w porcie. Była przekonana, że może

nadal wykonywać swoją misję.

Ernest odetchnął. Poczuł się nieco lepiej, przynajmniej do momentu, gdy Zarzeczna zbliżyła się o krok. Nadal znajdowali się w bezpiecznej odległości, ale spojrzała mu w oczy tak głęboko, że miał wrażenie, jakby ich dusze się zbliżyły.

– A mnie się wydaje, że szukasz oparcia – powiedziała.

– Oparcia?

Rozejrzała się ukradkowo, z pewnym entuzjazmem, jakby ta tajemniczość sprawiała jej przyjemność.

– Może i nie pracuję już w policji, ale nadal mam tam znajome.

– Nie wątpię. Przeszłyście razem szkolenie, zżyłyście się.

– I dzięki temu wiem, co się wczoraj działo w Nowym Porcie.

– O niczym mi nie wiadomo.

– Moja przyjaciółka twierdzi co innego.

– Co konkretnie?

– Że Bannicy starli się zarówno z policją, jak i inną, obcą grupą.

– Jeśli tak było, zapomnieli mi o tym powiedzieć. Stawiłbym się.

Pokręciła głową z lekkim uśmiechem, a potem odwróciła się i zachęciła go ruchem ręki, by poszedł za nią.

– Chodź. Osuszymy cię trochę, a potem pogadamy o szczerości.

Miał wrażenie, że to ostatnia rzecz, o jakiej którekolwiek z nich chciałoby rozmawiać.





# Rozdział trzynasty

Podczas gdy jego podwładni przemierzali miasto wzdłuż i wszerz, Fryderyk siedział przy swoim stoliku i słuchał nowej płyty. Dotarła do niego zza oceanu, czekał na nią dość długo. I musiał przyznać, że było warto.

Zespół nazywał się The Chocolate Kiddies, a za cztery utwory na albumie odpowiadał sam Duke Ellington. Była to z pewnością nowa odsłona jazzu, która garściami czerpała z inspiracji muzyką afrykańską.

Wydawnictwo zrobiło na nim wrażenie. Tego samego nie mógł jednak powiedzieć o raportach, które składano mu od samego rana. Mimo że podwładni byli nieustępliwi, nikomu nie udało się dowiedzieć niczego konkretnego.

Około południa z miasta wrócił Trawicki. Usiadł przy stoliku i skrzywił się.

– Dziwne te rytmy, szefie – zauważył.

– Z pewnością nowatorskie.

– To te Negry grają?

– Tak. Cały zespół się z nich składa. Stąd nazwa.

– I szef naprawdę lubi tego słuchać?

– Jeszcze nie przesądziłem. Muszę oswoić się nieco z tą muzyką.

– Wstępnie jednak...

– Nie mam nic przeciwko Negrom, gdy grają. Kiedyś służyli, podając białym jedzenie, teraz zapewniają rozrywkę. Wiesz, ilu ich grywa w Ameryce?

– Przypuszczam, że wielu – odparł Szymon i wysypał nieco tabaki na dłoń.

Pociągnął, przetarł rękawem pod nosem i przymknął oczy.

Fryderyk starał się ignorować fakt, że jeden z jego dwóch najbliższych współpracowników ubiera się jak dżentelmen, ale zachowuje jak jeden z junaków. Właściwie po takim czasie powinien się już do tego przyzwyczaić.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytał.

– Niczego, co mogłoby nam pomóc – odparł Trawicki i schował pojemnik z tytoniem.

– Rozmawiałem z ludźmi z PPS-u, słyszeli o tym, co się stało, ale nie mają żadnych informacji co do sprawców.

– Nie chcę słyszeć o PPS-ie.

– Ale...

– Załatwiliśmy z nimi wszystko, co mieliśmy do załatwienia.

– Wciąż mają dostęp do niemałego arsenału. I są gotowi sprzedać nam broń, biorąc pod uwagę sytuację.

– Nie będziemy niczego od nich kupować.

Wiedział, że Trawicki najchętniej zbratałby się z nimi jeszcze bardziej, ale Hertz uznał, że nadszedł moment, kiedy Bannicy powinni określić się także politycznie. Inne grupy współdziałały z konkretnymi partiami, a czołowi gangsterzy chronieni byli przez najbardziej prominentnych polityków. Za usługi i sowite zapłaty załatwiali sobie szereg gwarancji, dzięki którym nie musieli nadto martwić się o swoją przyszłość.

Fryderyk stawiał na endecję. Przypuszczał, że niebawem dojdzie do wahnięcia w polityce i to właśnie siły narodowe wysuną się na prowadzenie. Zresztą nawet gdyby stało się inaczej, wolał trzymać z Chjeną niż z lewicowcami.

Większość jego ludzi była jednak innego zdania, tak jak Trawicki. Nie bez znaczenia pozostawał z pewnością fakt, że to politycy PPS-u roztaczali parasol ochronny nad gangiem działającym na Kercelaku. Szeregowi Bannicy pragnęli podobnej ochrony.

– Jak szef uważa – powiedział Szymon.

Fryderyk zignorował uwagę, która nie powinna w ogóle paść. Wsłuchiwał się w dźwięk z płyty, choć musiał przyznać, że po utworach skomponowanych przez Ellingtona kolejne wypadały raczej blado.

– Co mam im przekazać? – zapytał Trawicki.

– Że broni mamy pod dostatkiem.

– Nie wiem, czy dadzą wiarę.

– Nie interesuje mnie, w co wierzą socjaliści. O ile wierzą w cokolwiek.

– Rozumiem.

Hertz wychwycił niewypowiedziane pytanie. Znał swojego podwładnego na tyle dobrze, by wiedzieć, że ten zastanawia się, czy w istocie mają odpowiednio duży arsenał.

– Zajrzyj do kancelarii, jeśliś ciekaw – rzucił Fryderyk. – W szafie jest więcej broni niż Banników na ulicach. Naszym problemem są ludzie, nie rewolwery.

– W takim razie trzeba ogłosić werbunek.

– Nie teraz.

– Kiedy właśnie teraz potrzebujemy...

– Nie – uciął Hertz. – Jeśli w tej chwili zaczniemy rekrutować, zgłoszą się miernoty. Wartościowi ludzie będą od nas stronić, przekonani, że jesteśmy słabi. Musimy poczekać.

– Mięso armatnie też by się przydało. Może być mierne.

– Nie.

Stanowcza, krótka odpowiedź sprawiła, że Trawicki umilkł. On również znał przełożonego na tyle dobrze, by wiedzieć, kiedy może pozwolić sobie na dyskusję, a kiedy nie. Dziś Fryderyk nie był w nastroju do prowadzenia dysput. I raczej szybko się to nie zmieni.

Przynajmniej dopóty, dopóki nie dowie się czegoś w sprawie ataków. Salomea miała dziś wybadać teren, podpytać bardziej doświadczonych kolegów na komendzie. Zrobi to jednak dopiero po służbie, co oznaczało, że wieści przekaże im najwcześniej wieczorem.

Było jednak jeszcze jedno źródło, na które liczył Hertz.

– Co z Wołyniakiem? – zapytał.

Jeszcze wczoraj takie pytanie i sugestia, że to Wilmański może pomóc, byłyby dla Trawickiego nie do przełknięcia. Po akcji w Nowym Porcie coś się jednak w ich relacjach zmieniło. Nie diametralnie, ale wystarczająco, by przestali skakać sobie do gardeł.

– Poszedł z samego rana do tej swojej policjantki – odparł Szymon. – I wygląda na to,

że wszystko jest w porządku. Gdyby fortel wziął w łeb, dawno by tu wrócił.

Fryderyk potarł starannie ogolony policzek, a potem przesunął palcami po cienkim wąsie.

– To prawda – przyznał. – Nadzieja więc jest.

– Niewielka.

Hertz sądził jednak, że to właśnie na tym froncie należy upatrywać szansy. Pół nocy spędził na analizowaniu całej sytuacji i ostatecznie utwierdził się w przekonaniu, że to wśród funkcjonariuszy doszło do przecieku.

Kwestią otwartą pozostawało, komu przekazali wiadomość o spotkaniu w porcie.

– Jeśli szef pozwoli, będę działać dalej – odezwał się Trawicki.

– Działaj.

Szymon podniósł się i zabrał ze stołu swój kapelusz. W progu „Mokradła” minął się z dwoma jegomościami, którzy nijak nie pasowali do tego miejsca. Zmierzył ich wzrokiem, ale nie zainteresował się nimi tak bardzo jak Hertz.

Przywódca Banników bacznie ich obserwował, kiedy szukali dla siebie stolika. Obaj mieli wysokogatunkowe wełniane garnitury, jeden brązowy, drugi szary. Spodnie zwięzane u dołu, marynarki jednorzędowe, krawaty jedwabne. Sprawiali wrażenie, jakby przyjechali prosto z Londynu.

Jeden miał na karku najwyżej pięćdziesiątkę, drugi był o dobre dziesięć lat młodszy. Obaj nosili homburgi, niewielkie kapelusze z podwiniętymi rondami. Wciąż się rozglądali, jakby nie mogli znaleźć sobie miejsca.

W końcu podszedł do nich kelner. Młodszy z przybyszów odezwał się do niego, starszy milczał.

Podwładny Hertza nie wyglądał, jakby przyjmował zamówienie. Na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju, a chwilę później spojrzął w kierunku szefa. Fryderyk szybko zrozumiał, że goście szukają konkretnego stolika.

Skinął głową do kelnera, a ten wskazał im, gdzie siedzi Hertz. Oddali długie płaszcze chłopakowi z obsługi i niespiesznie podeszli do Fryderyka. Nie pofatygował się, by wstać. Przypuszczał, że nieproszeni goście nie są posłańcami dobrej nowiny.

Przez moment po prostu na siebie patrzyli.

Potem starszy z mężczyzn usiadł przed Hertzem, a młodszy podsunął sobie krzesło ze stolika obok.

– Wypadałoby się przedstawić – odezwał się Fryderyk.

– Wypadałoby – odparł starszy z mężczyzn. – Szczególnie jeśli przychodzi się z wizytą w szacowne miejsce. To do nich nie należy.

Hertz położył dłoń obok fedory.

– Albo jeśli chce się zrobić wrażenie – dodał gość. – Ja przedstawię ci się właśnie z tego drugiego powodu.

– Nie przeszliśmy na „ty”.

– I formalnie nie zdążymy przejść. Dlatego pomińmy ten etap.

Fryderyk nabrał głęboko tchu. Najpewniej trafili mu się kolejni przyjezdni, którzy nie wiedzieli, jakie zwyczaje panują w mieście. Podobnie jak niegdyś Wilmański, tak teraz tych dwóch popełniło błąd. Słyszeli co nieco o „Mokradle”, wiedzieli, że mogą się tutaj

rozmówić z przywódcą lokalnego gangu, ale nie zdawali sobie sprawy z konieczności okazania szacunku.

Hertz spojrział w stronę kelnera. Ten trwał w gotowości.

– Saszka Lichtsohn – odezwał się mężczyzna siedzący naprzeciw.

Fryderyk drgnął nerwowo. Nie było w półświatku człowieka, który nie słyszałby tego imienia i nazwiska.

– Widzę, że jestem ci znany.

– Owszem – odparł Hertz. – Także jako Chana Bobkes.

Mężczyzna skinął głową, Fryderyk trwał w bezruchu. Mimowolnie wstrzymał oddech. Spodziewał się, że kiedyś dojdzie do tego spotkania, ale nie przypuszczał, że stanie się to tak szybko.

Rozejrzał się po „Mokradle”. Nie licząc kelnera, wszyscy jego podwładni byli w terenie. Trudno było się spodziewać, że posiłki dotrą tutaj w porę. Było dwóch na dwóch, ale jeśli wierzyć pogłoskom na temat Lichtsohna, nie był to równy układ sił. Tym bardziej że kelner nie należał do twardych walczaków, a Chana Bobkes zapewne zabrał ze sobą jednego z najlepszych ludzi.

Hertz zaklął w duchu.

– Wiesz, z kim masz do czynienia – odezwał się Lichtsohn. – To się chwali.

– Być może u was. U nas to podstawa – odparł beznamiętnym głosem Fryderyk. – Tutaj chwali się za to kulturę osobistą, której tobie brakuje.

Lichtsohn wpatrywał się w przywódcę Banników bez słowa, jakby w ciągu krótkiej chwili starał się ocenić, z jakim człowiekiem przyszło mu rozmawiać.

– Przyjechałeś tu z Wilna tylko po to, by mierzyć się wzrokiem?

– Nie.

– Więc przejdźmy do konkretów – skwitował Hertz. – Czemu zawdzięczamy wizytę samego Prezesa?

Fryderyk dostrzegł, że znajomość nomenklatury używanej przez Bruderferajn zrobiła na rozmówcy wrażenie. Po prawdzie wiedział o tej wileńskiej organizacji znacznie więcej – jak każdy, kto na co dzień parał się przestępczością.

Nazwa wywodziła się z jidysz i oznaczała związek braterski. Bruderferajn zaczęli od ochraniać grupy włamywaczy, ale szybko skupili się na wymuszeniach i haraczach. I nie przebierali przy tym w środkach. Na porządku dziennym były nie tylko zwykłe zabójstwa, ale także podkładanie ładunków wybuchowych w mieszkaniach.

Do organizacji szybko przystąpili wszyscy przestępcy w mieście. Nie było wyjątków. Jeśli ktoś chciał się bogacić w nielegalny sposób, musiał być członkiem Bruderferajn. I musiał wpłacać do wspólnej kasy część zysków.

Uzbierany przez gang fundusz podobno był pokaźny. Wpłacano z niego pieniądze, ilekroć trzeba było przekupić sędziego czy policjanta. A jeśli pech chciał, że trafiono na ludzi bez skazy moralnej, przeznaczano środki na wsparcie rodziny skazanego.

To wszystko sprawiło, że w szeregach Bruderferajn znajdowało się przeszło tysiąc członków. Wszyscy byli gotowi, by w każdej chwili ruszyć na wroga.

Fryderyk nie dziwił się, że Lichtsohn zdecydował się przyjechać z tak nieliczną

obstawą. Był jedynym gangsterem w kraju, który nie musiał obawiać się, że ktokolwiek podniesie na niego rękę. Każdy zdawał sobie sprawę, co tym samym by na siebie sprowadził.

Hertz czekał, aż gość odpowie na jego pytanie. Ten jednak zaczął się rozglądać po „Mokradle”, a potem zainteresował się dźwiękami płynącymi z gramofonu. Przysłuchiwał się im przez moment, po czym pokiwał głową na boki.

– Nie trafiają do mnie te murzyńskie rytmy.

– Ucho musi przywyknąć.

– Moje przywykło raczej do cywilizowanej muzyki.

– Czyli?

– Do Młynarskiego, Kiepurę. Ostatnio słyszałem dość ciekawy utwór niejakiej Zuli Pogorzelskiej.

Nazwisko obilo się Fryderykowi o uszy. Nie kojarzył go jednak ze śpiewem, a raczej z tańcem. O ile pamięć go nie myliła, to właśnie Pogorzelska niedawno zastąpiła wykonaniem charlestona podczas jednej z nowoczesnych rewii. Zgorszyło to wielu, ale nikt nie mógł zatrzymać dokonujących się zmian – nadchodziły czasy charlestona i jazzu, nowe wypierało stare, zupełnie jak w naturze.

I nie tylko w niej. Fryderyk przypuszczał, że obecność Lichtsohna w Warszawie dowodzi, iż Bannicy zostali uznani za zagrożenie dla obecnego ładu.

– Mniejsza o muzykę – powiedział Hertz. – Stanowi tylko tło.

– Dla ciebie coś więcej, z tego co słyszałem.

Fryderyk położył dłonie na stole i rozsunał je.

– Przejdziemy do konkretów? – zapytał. – Szkoda czasu na dalsze podchody.

– Oczywiście. Jak mówiłem, nie zostaniemy długo.

– Słusznie.

Lichtsohn w końcu oderwał wzrok od gramofonu, przeniósł go na rozmówcę, a potem lekko się uśmiechnął. Było w tym coś protekcyjnego, jakby spotkał się z młodszym kuzynem, który jedynie bawi się w mafijną działalność.

– Gdzie Czarnoręki? – zapytał Chana Bobkes.

– Kto taki?

– Orkan.

Hertz dopiero teraz zrozumiał, o kogo chodzi. Wilmański nie mówił wprawdzie wiele o swej przeszłości, ale podczas jednej z popijaw Fryderykowi udało się wyciągnąć z niego co nieco na temat dawnej kariery bokserskiej.

– Nie wiedziałem, że miał dwa pseudonimy na ringu.

– Na ringu miał tylko jeden – odparł Lichtsohn. – Orkan.

– A więc ten drugi...

– Obowiązywał na ulicy. I trzeba przyznać, że budził respekt.

– A mimo to Wilmański opuścił Wilno. Dlaczego?

Gość zaśmiał się pod nosem i spojrzał na swojego towarzysza. Ten odpowiedział znaczącym uśmiechem.

– To długa historia – powiedział Chana Bobkes. – I nie przyjechałem tutaj, by ją opowiadać. Szczególnie umarlakowi.

Hertz uniósł brwi.

– Zaskoczony? – spytał Lichtsohn. – Nie powinienes być. Po tym wszystkim, czego próbowałeś, powinienes spodziewać się śmierci.

Zaległa cisza. Mężczyzna siedzący obok Prezesa powoli sięgnął do rewolweru. Fryderyk cały czas był gotowy, by odrzucić fedorę, a potem zrobić użytek ze swojej broni. Była obrócona lufą do Lichtsohna, wystarczyło tylko trochę zdecydowania i szybkości.

I jeszcze więcej szczęścia. Nawet jednak, gdyby udało się położyć obydwu intruzów, problem stanowiło to, co wydarzy się później. Jeśli zjedzie się tutaj choćby połowa wszystkich członków Bruderferajn, połączone siły wszystkich warszawskich gangów nie dadzą im odporu. A trudno było przypuszczać, że Prałaci czy Kercelak dołączą do Banników. Raczej wystawią ich na pożarcie.

Ale czy istotnie miało to jakiegokolwiek znaczenie? Jeśli pogłoski o Lichtsohnie były prawdziwe, nie rzucał słów na wiatr. Wszystko sprowadzi się do walki o własne życie, pomyślał Fryderyk. Tu i teraz.

– No? – ponaglił go wilniuk. – Gdzie Orkan?

– W terenie.

– Kiedy można się go spodziewać? Chciałbym, żeby tu był.

– W jakim celu?

– Niech zobaczy, jak jego dawny szef morduje aktualnego.

– Jesteś pewien, że ci się to uda?

– Oczywiście. Nie pierwszy raz siedzę przy stoliku z człowiekiem, którego planuję zabić. I wielu miało rewolwer znacznie bliżej niż ty.

Chana Bobkes obejrzał się przez ramię.

– Nie wspominając już o wsparciu – dodał. – Ten kelner nie wygląda na zaprawionego w boju.

– Nie musi być.

– Polemizowałbym – odparł Prezes i wskazał na swojego towarzysza. – Bo jeśli o niego chodzi, strzela świetnie. Boleśnie doświadczyli tego bolszewicy kilka lat temu.

Mężczyzna rzeczywiście wyglądał na byłego żołnierza. Wzrok miał przygaszony, jakby wspomnienia wojenne odcisnęły na nim piętno, ale jednocześnie zdecydowany i surowy. Znał się na rzeczy na tyle, by zachowywać pełen spokój.

Kelner zaś sprawiał wrażenie, jakby miał popuścić. Hertz zaklął w duchu, licząc na to, że Wilmański rzeczywiście zjawi się prędko. Ile mogły zająć mu rozmowy w domu wychowawczym? Z pewnością dowiedział się już wszystkiego. Do tej pory zdążył także umówić się z tą przekłętą dziewczyną na wieczór. Powinien już tu być.

Fryderyk popatrzył w kierunku drzwi.

– Twierdziłeś, że ci spieszno – odezwał się. – Teraz chcesz czekać na Wilmańskiego?

– Przypuszczałem, że gdzieś tu się kręci.

– Nie.

– U nas zawsze był pod ręką. Można było na niego liczyć w każdej chwili.

– Tutaj widocznie ma większy zakres zadań.

– Albo odczuwa mniejszą potrzebę chronienia swojego szefa.

– To się okaże.

Znów zmierzili się wzrokiem, a Hertz wciąż trwał w bezruchu. Gość dobrze przygotował się do wizyty i wiedział, dlaczego fedora nieustannie leży na stoliku znajdującym się na końcu „Mokradła”. Jeden podejrzany ruch mógł sprawić, że tych dwóch otworzy ogień.

Fryderyk pomyślał, że na przyszłość powinien nawet w sytuacji kryzysowej zostawić więcej Banników w siedzibie. Po prawdzie jednak nie spodziewał się, że którykolwiek z jego wrogów będzie miał czelność, by się tu pokazać.

– Nic to – odezwał się Lichtsohn. – Poczekamy.

– Wódki?

– Nie. To trunek dla ludzi bez fantazji.

Hertz nie miał zamiaru proponować mu czegokolwiek innego. Siedzieli w ciszy przez kilka chwil. Fryderyk miał wrażenie, że jest jedynym, który się niecierpliwi. Towarzysz Lichtsohna miał wypisaną na twarzy głęboką obojętność – kazała sądzić, że nawet eksplozja ładunku wybuchowego nie wyprowadzi go z równowagi.

Przywódca Bruderferajn również był spokojny. Stanowczo zbyt spokojny. Musiał wiedzieć, że im dłużej w „Mokradle” pozostanie, tym większa szansa, że pozostali Bannicy wrócą z miasta.

– Dlaczego tak zależy ci na tym, by Wilmański tu był?

– Już ci mówiłem.

– Jedyne, co słyszałem, to wierutne bzdury. Jego też zamierzasz zabić?

– Ostatecznie tak – przyznał Chana Bobkes. – Czego innego się spodziewałeś?

– Roztropności.

Lichtsohn docenił tę uwagę, uśmiechając się i kiwając głową.

– Czarnoręki ma renomę, owszem. Ale zapewniam cię, że w tym wypadku nie będzie miał wiele do gadania.

– Cięży na nim jakiś wyrok?

Przywódca Bruderferajn westchnął, nie odpowiadawszy. Hertz odniósł wrażenie, że to teatralna demonstracja tego, że nie ma zamiaru prowadzić dalszej rozmowy.

Na dobrą sprawę nie musiał niczego wyciągać z Lichtsohna. Słyszał o procesach urządzanych przez jego ludzi. Były to inscenizowane posiedzenia mafijnego sądu, na modłę tych, które odbywały się we Włoszech czy w Stanach.

Bruderferajn czerpało garściami z doświadczeń zagranicznych kolegów po fachu. Z Chicago zjeżdżał do Wilna zresztą jeden ze współpracowników Ala Capone i Johnny'ego Torrio. Wilniuki były zafascynowane tym, jak sprawnie funkcjonują zachodnie organizacje i przenosiły na polski grunt ich zwyczaje.

Hertz pomyślał, że powinien pójść tą samą drogą. Jeśli zapewniała poszerzenie szeregów do przeszło tysiąca członków, model ewidentnie się sprawdzał.

Zresztą już z niego czerpali. W warszawskim półświatku także urządzano procesy. Dintojra nieraz organizowana była przez ludzi z Kercelaka. W przypadku Banników nie miała jeszcze miejsca, Hertz wydawał sądy jednoosobowo. I zanim zapadł wyrok, zazwyczaj dawał szansę tym, którzy mu zawinili. Czarna głowa kury stanowiła zachętę, by się ukorzyć.



Gdyby jego obecna sytuacja była nieco inna, Lichtsohnowi z pewnością by jej nie wysłał. Ten człowiek nie zasługiwał na drugą szansę.

Kiedy rozległ się dźwięk otwieranych drzwi, obaj zwrócili się ku wejściu. Hertz odetchnął, widząc Wilmańskiego. Ledwo jednak spojrzał na jego twarz, cała ulga znikła. Po raz pierwszy widział w oczach Wołyniaka strach.



# Rozdział czternasty

Ernest zawiesił płaszcz na jednym z krzeseł, idąc niespiesznie w kierunku stolika szefa. Mijając gramofon, posłał kontrolne spojrzenie kelnerowi. Ten skierował wzrok pod ladę i skinął lekko głową. Tyle wystarczyło Wilmańskiemu, by wiedzieć, że nieproszeni goście nie zainteresowali się rewolwerem, który się tam znajdował.

Lichtsohn podniósł się, po czym rozłożył szeroko ręce. Sprawiał wrażenie dobrego wujka, który przyjechał w odwiedziny.

– Orkan, w końcu.

Wilmański zbliżył się bez słowa. Podali sobie rękę, a potem kompan Lichtsohna podsunął mu krzesło. Ernest nie znał tego człowieka, nigdy wcześniej go nie widział. Najwyraźniej stanowił nowy narybek, a może był wynajmowany tylko na czas, kiedy przywódca Bruderferajn przebywał poza Wilnem.

Kiedy Wilmański zajmował miejsce, Hertz spojrzał znacząco na jego kaburę i zmarszczył czoło.

– Gdzie twoja broń? – zapytał.

– Przed lokalem stoi banda skurwieli – odparł Ernest. – Rozbroili mnie.

Chana Bobkes usiadł na powrót na swoim miejscu i pokiwał głową.

– Takie dostali rozkazy – oznajmił. – Nie wpuszczać nikogo poza Orkanem. A kiedy ten przyjdzie, odebrać mu broń.

– A zatem nie przyjechaliście we dwóch.

– W żadnym wypadku. To byłoby nieroztropne, nieprawdaż?

– Sam przyjazd jest nieroztropny.

Dwóch kolejnych mężczyzn weszło do „Mokradła”. Najwyraźniej wszystko było zaplanowane z góry. Czekali na sygnał, którym było przybycie Wilmańskiego. Układ sił właściwie nie pozostawiał nadziei, że jemu lub Hertzowi uda się wyjść z tego cało.

– Zaczniemy? – zapytał Lichtsohn.

Ledwo zamknął usta, a odpowiedź nadeszła sama. Jeden z nowo przybyłych sięgnął po rewolwer i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, wycelował w kelnera i pociągnął za spust. Rozległ się wystrzał, a głowa nieszczęśnika odskoczyła w tył. Na butelki stojące za chłopakiem trysnęła krew, jego ciało uderzyło o kontuar. Upadł na ziemię w nienaturalnej pozycji, z ręką podwiniętą pod ciało.

Zanim Wilmański zdążył przenieść wzrok na siedzących przy stole mężczyzn, ci już mierzyli do niego i Hertza. W przeciwieństwie do Banników, byli przygotowani na to, co się zdarzyło. Nie stracili ułamka sekundy na opanowanie konsternacji.

– Sięgnij po fedorę, a podzielisz los kelnera – powiedział Lichtsohn.

Fryderyk zacisnął usta.

– Tak się kończy cwałowanie w miejscu, gdzie powinieneś iść najwyżej kłusem – dodał Chana Bobkes. – Na co ci to było?

Hertz milczał. Lichtsohn podniósł się, westchnął, a potem przesunął kapelusz po

stole. Zrzuciwszy go na podłogę, sięgnął po rewolwer. Obejrzał go i zatknął swój za pas, uznając najwyraźniej, że sprawiedliwie będzie wykonać egzekucję tym, który należy do ofiary.

– Nie przygotowałeś terenu, to był twój największy błąd.

Fryderyk nadal nie odpowiadał. W tle rozbrzmiewały rytmy tak wesołe, że aż makabryczne. Wilmański gorączkowo rozważał wszystkie możliwości, ale musiałyby być wyjątkowym optymistą, by wierzyć, że cokolwiek wymyśli.

Może udałoby mu się obezwładnić jednego z przeciwników, zanim reszta otworzyłaby ogień. Nie dopadłby jednak nawet do drugiego z nich.

I na dobrą sprawę wiedział o tym już kiedy przechodził przez próg „Mokradła”. Nikt go do tego nie zmusił, przeciwnie. Stojący przed speluną mężczyźni poinformowali go, że może się oddalić.

Lub oddać broń i wejść.

Nie zastanawiał się ani przez chwilę. Czuł się odpowiedzialny za to, że zjawili się tu ludzie z Wilna. Przypuszczał, że interesowałoby się całą sprawą znacznie mniej, gdyby nie to, że w całym procederze uczestniczył jeden z byłych członków.

Teraz pożałował swojej decyzji. Podjął ją zbyt pochopnie. Powinien oddalić się, znaleźć Trawickiego, zebrać resztę chłopaków i wrócić do „Mokradła”, by odbić lokal siłą. Wprawdzie do tego czasu mogli stracić szefa, ale przynajmniej byłaby jakaś szansa. W tej sytuacji jej zabrakło.

– Należało najpierw załatwić protekcję Niemców, z którymi chciałeś współdziałać – kontynuował Lichtsohn. – Bez tego naraziłeś się na zbyt duże niebezpieczeństwo zewnętrzne. A jednocześnie nie zadbałeś o spokój wewnątrz. To miasto aż kipi.

– Co ty wiesz o tym mieście?

– Wystarczająco, by rozumieć, że nie obowiązują tu żadne zasady.

Hertz prychnął, a przywódca Bruderferajn obrócił rewolwer w dłoni. Przez moment przyglądał się Fryderykowi, jakby zachęcał, by podjął ostatnią próbę ratunku. Hertz był jednak niewzruszony.

Po chwili Lichtsohn znów do niego wymierzył.

– Nie błagasz o litość.

Warszawiak nie odpowiadał.

– Dlaczego? Nie chcesz przeżyć?

– Kto błaga o cokolwiek, ten w istocie nie żyje.

– Może coś w tym jest – przyznał Chana Bobkes. – Ale mógłbyś chociaż spróbować się wywinąć. Ot, choćby zapytać mnie, czego oczekuję w zamian za oszczędzenie ci życia.

– A jest taka rzecz?

– Nie.

– Więc nie mam po co pytać – odparł Fryderyk i powoli wstał. – Przyjechałeś tu, żeby dokonać egzekucji.

– Owszem.

– W takim razie do dzieła. Mam tylko jedno życzenie, zanim to zrobisz.

Lichtsohn spojrział w stronę gramofonu.

– Zgadza się – dodał Fryderyk. – Chciałbym przed śmiercią usłyszeć „Tin Roof Blues”.

– To da się zrobić. Z szacunku dla kolegi po fachu. – Chana Bobkes skinął na jednego z dwóch mężczyzn. – Choć nie jest to wielki szacunek, gdybyś był ciekaw. Wydajesz mi się amatorem.

Wilmański przypuszczał, że zmiana płyty w jakiś sposób ma im pomóc, ale po chwili uświadomił sobie, że to nie żaden wybieg.

Fryderyk rzeczywiście chciał usłyszeć swój ulubiony kawałek, zanim odejdzie.

– Może kiedyś stałbyś się kimś więcej – ciągnął wilniuk. – Ale teraz już się nie przekonamy.

Wymierzył w jego głowę i przymknął oko. Stojący obok mężczyzna trzymał Wilmańskiego na muszce.

– Umieszczę potem twoje ciało na ulicy, z głową w baniaku pełnym wody. Co o tym sądzisz?

Fryderyk splunął na podłogę.

– Tak myślałem.

Lichtsohn popatrzył ponaglająco na podwładnego, który miał zmienić płytę. Najwyraźniej znalazł już właściwe nagranie, bo wyłączył muzykę i podniósł igłę.

– Kto gra ten cały „Tin Roof Blues”? – zapytał Chana Bobkes.

– New Orleans Rhythm Kings.

– I ile to trwa?

– Niewiele ponad trzy minuty.

– Ciekawe...

– Co w tym ciekawego?

– W samym tym nic – odparł Lichtsohn, nadal z przymrużonym okiem i palcem na spuście. – Ciekawi mnie natomiast, jak będziesz się czuł, kiedy rozlegną się pierwsze dźwięki. Nigdy nie widziałem człowieka, który wie, że zostały mu tylko trzy minuty życia. A ty?

Wilmański zauważył, że szefowi drgnęła ręka. Przez moment miał nadzieję, że ten chowa drugą broń. Gdyby nawet tak było, nie zdążyłby po nią sięgnąć. Ernest nieraz przekonał się, że Lichtsohn jest dobrym strzelcem.

– To będzie ciekawe doświadczenie – dodał Prezes. – A myślałem, że nic nie wyniosę z wizyty w Warszawie.

Wilmański uznał, że jeśli ma działać, musi zacząć teraz.

– I być może się nie pomyliłeś – odezwał się. – Ty nic nie wyniesiesz, ciebie za to wyniosą w trumnie.

Chana Bobkes zagwizdał cicho i przeciągle.

– Jak zawsze elokwentny wtedy, kiedy trzeba – zauważył. – Czasem dziwi mnie bierze, że zostałeś bokserem. Ale nie miałeś innego wyjścia, prawda, Orkan?

– Nie miałem.

– Tak jak teraz go nie masz. Jedyne, co ci zostało, jest gadanie. Ale... cóż, jak by to ująć... mimo iż jesteś małomówny, dosyć mam słuchania tego, co masz do powiedzenia. Czas na rozmowy się skończył.

Hertz przełknął ślinę tak głośno, że Wilmański wyraźnie to usłyszał.

Co mogło dziać się w tej chwili w głowie szefa? Łudził się jeszcze, że ktoś w ostatniej chwili go uratuje? Że z ulicy dojdą ich dźwięki strzałów, zwiastujące, że któraś grupa Banników wróciła do siedziby?

Gdyby Prezes zjawił się tutaj później, być może tak by się stało. Teraz jednak wszyscy byli rozproszeni. Fryderyk wiedział o tym i nie mógł łudzić się, że coś się zmieni w ciągu trzech minut.

Ernest obrócił się do niego i zobaczył człowieka pogodzonego z losem. Hertz stał wyprostowany, wpatrywał się prosto w lufę swojego własnego rewolweru.

– Podaj mi fedorę – powiedział do Lichtsohna.

– Jak zacznie się utwór.

– Teraz.

– Nie. Najpierw chcę się przekonać, jak brzmi ten orleański jazz.

Był to sygnał dla podwładnego, by umieścić igłę na płycie. Kiedy to zrobił, Lichtsohn uśmiechnął się lekko.

– Trzy minuty, czas start – powiedział.

Rozległ się pierwszy szum gramofonu.

Przywódca Bruderferajn nie miał jednak zamiaru spełniać prośby swojej ofiary. Zanim New Orleans Rhythm Kings zaczęli grać, pociągnął za spust.

„Mokradło” wypełniło się hukami. Wilmański poczuł, jak krew chlusnęła mu na policzek. Zachwiał się, nie rozumiejąc, co się stało.

Hertz zwałił się ciężko na podłogę, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Zaległa cisza. Niewielka strużka dymu uniosła się znad lufy rewolweru, a Lichtsohn opuścił rękę.

Z głośnika popłynęły dźwięki „Tin Roof Blues”. Sprawily, że Ernest ocknął się z chwilowego marazmu. Natychmiast się obrócił, a potem przykucnął przy Fryderyku, jakby nie było jeszcze za późno. Jakby mógł coś jeszcze zrobić.

Spojrzał w jego otwarte oczy. Między nimi ziała rana po pocisku, głowa była lekko przechylona, przez co wylewająca się krew zalała prawe oko i ściekała po twarzy. Otwarte usta zdawały się na zawsze utrwalić niewykrzyczany ból.

Wilmański zamknął na moment oczy.

– Orkan, podnoś się – rzucił Lichtsohn. – Twoja kolej.

Ernest zignorował go. Jeszcze przez moment trwał w bezruchu z pochyloną głową. Potem zamknął szefowi powieki i sięgnął po fedorę. Przykrył nią twarz Fryderyka Hertza, uznając, że to jedyne pożegnanie, jakie może mu zapewnić.

Powoli wstał.

Spojrzał prosto w oczy zabójcy, po czym przeniósł wzrok na wycelowany w siebie rewolwer. Ten należał do Prezesa. I nie był wymierzony w niego po raz pierwszy.

– Co masz mi do powiedzenia? – zapytał Chana Bobkes.

– Że nie żyjesz.

– Intrygujące. Czuję się wyjątkowo ożywiony.

– Nie wyjedziesz z miasta, zapewniam cię.

– Kto mnie powstrzyma?

– Tabun Banników, którzy nie spoczną, póki nie utopiają cię w wiadrze pełnym gnoju. Lichtsohn pokręcił głową zawiedziony.

– Nie tak wyobrażałem sobie tę rozmowę – powiedział, zbliżając się do stolika, jakby potrzebował znaleźć się bliżej, by oddać celny strzał.

Wilmański jednak nie wątpił, że nawet z odległości kilkunastu metrów nie byłoby najmniejszej szansy, by przeciwnik chybił.

– Myślałem, że będziesz zabiegał o dintojrę – dodał. – I twierdził, że ci się należy.

– Nie zwykłem mówić rzeczy, o których każdy wie.

– A więc jednak uważasz, że zasługujesz na proces?

– Po tym, co zrobiłem dla Bruderferajn, zasługuję na dużo więcej – odparł Wilmański, obchodząc stolik.

Pozostali mężczyźni natychmiast do niego wymierzyli. Przywódca grupy uniósł jednak rękę, uspokajając ich. Pozwolił Ernestowi znaleźć się naprzeciw niego, ale nie nazbyt blisko. Kiedy Wilmański zrobił jeszcze krok, nerwowy ruch rewolweru kazał mu się zatrzymać.

– I z pewnością dostałbym szansę, gdyby na czele organizacji stał człowiek honorowy.

– Stoi. Wyjątkowo honorowy.

– Ciało Hertza temu przeczy.

Lichtsohn wzruszył ramionami, nawet pobieżnie nie spoglądając na swoją ofiarę.

– To nie ma nic do rzeczy. Ten człowiek musiał zginąć.

– Ale mogłeś pozwolić, by wysłuchał swojej piosenki.

– Co za różnica? Do zaświatów jej nie zabierze.

Wilmański przypuszczał, że mogło być inaczej, ale się nie odezwał. Nie miał zamiaru dawać Lichtsohnowi satysfakcji, której dostarczały mu takie rozmowy. Przysłuchiwał się im przez długi czas. Przez lata był taki jak ci, którzy teraz stali obok, czekając na dalszy rozwój wydarzeń.

Chana Bobkes czerpał przyjemność z poczucia kontroli. Nie miało dla niego znaczenia, w jaki sposób się przejawia. Nawet błahе posunięcia sprawiały, że czuł się, jakby wszystko na świecie zależało wyłącznie od niego.

– Jakies ostatnie prośby? – zapytał. – Apele?

– I tak ich nie spełnisz ani nie wysłuchasz.

– Przeciwnie.

– Zbyt dobrze cię znam, Saszka – odparł Wilmański.

Lichtsohn skrzywił się. Nikt nie pozwalał sobie na to, by zwracać się do niego po imieniu.

– Chyba jednak nie do końca – zauważył.

Ernest wbił wzrok w lufę, a potem spojrzął na palec spoczywający na spuście. Niewiele było trzeba, by jego życie się skończyło. Kurek rewolweru był odciągnięty, trzymający broń mężczyzna gotowy do strzału. Będzie jeszcze przez moment napawał się kontrolą, jaką ma nad ofiarą, a potem wszystko się skończy.

Nie było ucieczki. Pomoc nie nadejdzie.

Wilmański zrozumiał, że to jego ostatnie chwile.





# Rozdział piętnasty

Jak na tę porę dnia ruch był znikomy. Aleje Jerozolimskie zazwyczaj tętniły życiem za sprawą riksów, wozów konnych, dorożek, tramwajów i przechodniów, ale w taką pogodę zdawały się wyludnione, jakby w mieście wybuchła epidemia.

Eliza stała pod jednym z drzew na szerokim deptaku oddzielającym dwie jezdnie. Rozglądała się leniwie, wychodząc z założenia, że przy tak niewielkim ruchu bez trudu dostrzeże Salomeę.

Mimo że był już kwadrans po umówionej porze, nigdzie jej nie widziała. Dziwne, zazwyczaj Kier była pierwsza. Jeśli któraś z nich mogła napotkać problemy, to wyłącznie Zarieczna. Jej partnerka nie miała w trakcie dnia przesadnie absorbujących zadań. Patrolowała terytorium Banników i właściwie była zupełnie bierna. Nie angażowała się w żadne akcje, takie były wytyczne prosto z góry.

Eliza łudziła się, że po wydarzeniach w porcie ktoś dostrzeże choćby cień potencjału w strukturach policji kobiecej, ale stało się dokładnie odwrotnie. Komendant główny zamierzał wydać rozkaz, by formacja przerwała wszelkie działania operacyjne, a kobiety zostały wycofane z terenu. Tylko dzięki sile perswazji komisarz udało się nakłonić go do zmiany tego planu. Ostatecznie jednak miały ograniczyć się do obserwowania i zbierania materiałów.

Był to policzek, nie pierwszy i zapewne nie ostatni. Ci, którzy sądzili, że po powołaniu jednostki w Warszawie zaczną powstawać kolejne w innych miastach, gorzko się rozczarowali. Wszystko to okazało się jedynie farsą mającą na celu wypełnić zobowiązania wobec Ligi Narodów. Formalnie dopuszczono w Polsce udział kobiet w siłach policji – i nic więcej nikogo nie interesowało.

Zarieczna powiodła wzrokiem dokoła, a potem zerknęła na zegarek. Dwadzieścia minut spóźnienia było wystarczającym dowodem na to, że coś jest nie tak. Eliza przekrzywiła parasol, chroniąc się przed zacinającym deszczem, a potem ruszyła w kierunku Śródmieścia.

Wiedziała, że jeśli gdzieś ma odnaleźć partnerkę, to jedynie tam. Coś, a raczej ktoś, musiało ją zatrzymać. Może zaczepił ją jeden z sutenerów, a ona nie odnalazła w sobie na tyle odwagi, by jasno dać mu do zrozumienia, że powinien odpuścić.

Z jednej strony wydawało się to prawdopodobne. Z drugiej Zarieczna wciąż pamiętała zachowanie towarzyszk w sytuacji kryzysowej. Gdyby powtórzyła to na terytorium Banników, mogłaby już go nie opuścić.

Przyspieszyła kroku, starając się opędzić od czarnych myśli. Przeszła kawałek Marszałkowską i skręciła w lewo, ku „Mokradłu”. Uznała, że najlepiej będzie zacząć poszukiwania od epicentrum wszelkiego zła w okolicy.

Nie uszła jednak kilku kroków, a zobaczyła Kier. Stała przy rogu budynku, wyglądając zza niego w kierunku Wielkiej. Eliza szybko do niej podbiegła.

– Salomea?

Towarzyszka odwróciła się, jakby tuż za nią uderzył piorun. Wytrzeszczyła oczy

i otworzyła usta, a Zarzeczna odniosła wrażenie, że Kier spodziewała się każdego, tylko nie jej.

– Co się dzieje?

– Nie wiem – odparła cicho Salomea. – Jakaś grupa mężczyzn stoi przed „Mokradłem”.

Eliza zatrzymała się obok, a potem wychyliła zza winkła. Sześciu jegomości rzeczywiście zdawało się pilnować wejścia. Nie rozpoznawała żadnego z nich, ale nie było to nic dziwnego. Znała raptem kilku Banników, podobnie jak Kier.

– I? – zapytała. – Dlatego nie przyszedłeś w umówione miejsce?

– Coś jest nie tak.

– Nie przeczę – przyznała Zarzeczna. – Ale dodam, że nie od dziś.

– Mówię poważnie.

Eliza jeszcze raz spojrzała na zebranych. Nie wyglądali podejrzanie, przynajmniej jeśli wziąć pod uwagę tutejszą normę.

– Po czym wnosisz?

– Po tym, że to nie Bannicy.

– Skąd wiesz?

– Spójrz na nich – odparła przez zęby Salomea.

Znów nie przypominała samej siebie. Zarzeczna zmarszczyła brwi, zastanawiając się, która wersja partnerki jest tą prawdziwą. Wcześniej nie snuła takich rozważań, ale teraz miała wrażenie, jakby miała do czynienia z wedetą, która dotychczas na deskach teatru świetnie odgrywała swoją rolę, a gdy z nich zeszła, okazała się zupełnie inna w obejściu.

– Spoglądam – odbąknęła Eliza. – I wyglądają mi na szemrane towarzystwo. Czyli wszystko jest tak, jak być powinno.

– Mówię ci, że to nie ludzie Hertza – uparła się Salomea. – Zobacz, jak są ubrani. Drogie garnitury, porządne płaszcze i...

– Bannicy ubierają się podobnie.

– Tylko ci na szczycie hierarchii. A ich dobrze znamy, prawda?

Właściwie Zarzeczna musiała przyznać jej rację. Twarze wszystkich, którzy mieli cokolwiek do powiedzenia w organizacji, były policji świetnie znane. Jedynie szeregowi żołnierze pozostawali anonimowi. A ci na takich nie wyglądali.

Salomea patrzyła na nią dopóty, dopóki Eliza nie skinęła głową.

– Więc co to za ludzie?

– Ani Żydzi, ani Kercelak, ani tym bardziej Prałaci.

– Mhm.

– Prawdopodobnie więc ci, którzy zaatakowali Banników.

– Udało wam się ostatecznie przesądzić, co to za grupa?

– Nie. Wciąż mamy tylko przypuszczenia, żadnych dowodów.

Spuściła wzrok lekko zakłopotana, jakby dopiero teraz przypomniała sobie, jak powinna się zachowywać. Nie uszło to uwagi Zarzecznej i dało jej jeszcze bardziej do myślenia. Zaczęła zastanawiać się, jaki powód miałyby towarzyska, by stwarzać pozory nieśmiałej, zamkniętej w sobie kobiety. Nic nie przychodziło jej do głowy.

W innym miejscu, w innym otoczeniu być może na coś by się to przydało, jednak w policji? Tutaj nic nie mogła na tym ugrać, wręcz przeciwnie.

– Co robimy? – zapytała Salomea.

– Proponuję nie robić nic. Poczekamy, aż sytuacja...

Zarieczna urwała, kiedy rozległ się stłumiony łoskot. Nie była przekonana, czy słyszała wystrzał, ale kiedy spojrzała na Kier, nie mogła mieć dłużej wątpliwości.

– Doszło z „Mokradła” – rzuciła Salomea. – A ci ludzie przed wejściem nawet nie drgnęli.

– Spodziewali się tego.

– Trzeba coś zrobić.

– Co konkretnie? Nawet jeśli doszło tam do strzelaniny...

– Strzelaniny? – przerwała jej. – Pojedynczy strzał sugeruje egzekucję, nie strzelaninę.

– Tak czy inaczej nie wiem, co nam do tego. Jeśli chcą się wybić, niech się wybiją. Co zyskamy, interweniując?

Kier obróciła się do niej i przez moment sprawiała wrażenie, jakby chciała złapać ją za ramiona i mocno nią potrząsnąć. Nie uniosła jednak rąk, zamiast tego wsunęła je do kieszeni policyjnego płaszcza.

– A jeśli Wilmański jest w środku?

– Nie jest.

– Skąd ta pewność? Widziałaś się z nim dzisiaj?

– Tak. Był w domu wychowawczym, a potem...

Właściwie sama nie wiedziała, gdzie skierował się później. Po krótkiej rozmowie i jej usilnych staraniach, by wyciągnąć z niego jak najwięcej na temat strzelaniny na Pradze, umówili się na wieczór. Mówił, że się spieszy, ale nie oznajmił, dokąd idzie.

– No? Co potem?

– Nie wiem.

– Ani chybi wrócił do „Mokradła” – zapewniła Kier. – Po nowe rozkazy. Bannicy dziś cały dzień polują na mieście. Wilmański z pewnością chciał jak najszybciej do nich dołączyć, a przedtem...

– W porządku – ucięła Eliza. – Założmy, że może tam być. To nic nie zmienia.

– Nic?

– Ja wciąż działam nieoficjalnie, a ty masz zakaz podejmowania jakichkolwiek działań.

Salomea zbliżyła się o krok.

– Nawet jeśli Wilmański ma kłopoty?

Pytanie brzmiało bardziej jak oskarżenie.

– A dlaczego tak ci na nim zależy? – odparowała Zarieczna.

– Bo dzięki tobie to on może sprawić, że wyjdziemy na prostą. Pokażemy, na co nas stać i obalimy ten bzdurny zakaz.

– Nie sądzę.

– A jednak jesteś coraz bliżej i...

Kolejny wystrzał sprawił, że obie nagle przeniosły wzrok na „Mokradło”. Także tym

razem żaden z mężczyzn nawet nie drgnął. Byli przekonani, że wszystko w środku idzie po ich myśli.

I z pewnością mieli ku temu dobre powody.

Eliza przygryzła wargę, oczami wyobraźni widząc zadymione wnętrza speluny i Wilmańskiego, który stoi przed szeregiem uzbrojonych wrogów. Musieli mieć dużą przewagę, skoro ci na zewnątrz nie pofatygowali się nawet, by sprawdzić, co się dzieje.

– Co proponujesz? – zapytała. – Wejść tam?

– Nie wpuszczą nas.

Było to pytanie, na które nie musiała odpowiadać, najwyraźniej jednak była zbyt zaaferowana, by sobie to uświadomić.

– Jesteś uzbrojona? – zapytała Salomea.

– Nie – odparła pod nosem Zarieczna. – Ale nawet gdybym była i nawet gdybym miała na sobie mundur, niczego by to nie zmieniło.

– A więc amba...

– Pozostaje wezwać posiłki.

Eliza przyglądała się mężczyznom w garniturach.

– I to chyba z całej Warszawy – dodała. – Bo ci ludzie naprawdę nie wyglądają na takich, którzy łatwo ustąpią.

Kier nerwowo zaczerpnęła tchu. Nadmiernie się denerwowała, jakby w środku znajdował się ktoś, na kim wyjątkowo jej zależało. Eliza pomyślała, że to raczej ona powinna być tą, która przejmuje się bardziej.

Przez moment zastanawiała się nad tym, czy Salomea mogła nawiązać nieobyčajne relacje z którymś z Banników. Tłumaczyłoby to kilka spraw, ale trudno było w taki scenariusz uwierzyć.

Odsunęła od siebie tę myśl. Będzie jeszcze czas, by się zastanowić. Na razie musi skupić się na tym, by wyciągnąć Wilmańskiego z kłopotów. O ile rzeczywiście jest w „Mokradle”.

– Zróbmy tak – powiedziała, przenosząc wzrok na Salomeę. – Ty spróbujesz się tam dostać, przypomnisz tym ludziom, że policja ma okolicę na oku i prędzej czy później dotrze tutaj grupa, która wejdzie do lokalu.

– Sądzisz, że to pomoże?

– Dodasz, że jeśli funkcjonariusze znajdą tam ciała, nie będą mieli wątpliwości, kogo aresztować.

Kier nerwowo zmierzwiła krótkie włosy.

– A ty?

– Ja w tym czasie pójdę do komisarz. Spróbuję ją przekonać, by...

– Nie idź, jedź – przerwała jej Salomea, wskazując na nadjeżdżający tramwaj. – Na mój koszt.

– Nie ma potrzeby, żebyś...

– No już, czas nagli.

Nie musiała tego dwa razy powtarzać. Zarieczna szybko skorzystała z nadarżającej się okazji i wsiadła do tramwaju. Zazwyczaj był to najszybszy środek lokomocji, ale tego dnia miała wrażenie, jakby motorniczemu nie spieszyło się, by skład dotarł na

kolejny przystanek.

Wysiadła na rogu Królewskiej i Mazowieckiej, a potem popędziła ile sił ku komendzie miejskiej. Wpadła do przestronnego holu i zdyszana wbiegła po schodach. Nie fatygowała się, by zapukać do gabinetu przełożonej.

Komisarz zerwała się na równe nogi i machinalnie sięgnęła do kabury.

– Chryste – powiedziała, wypuszczając z ulgą powietrze. – Co to ma znaczyć?

Eliza otarła czoło, z trudem łapiąc oddech.

– Musimy wysłać oddział do „Mokradła” – wysapała.

Przełożona uniosła brwi i z powrotem usiadła na krześle. Przypatrywała się zmachanej policjantce, jakby starała się ocenić, czy jej miejsce jest na komendzie, czy w szpitalu dla chorych na umyśle.

– Pani komisarz!

– Słyszę cię, posterunkowa, słyszę. Nie bardzo jednak...

– Ci, którzy przypuścili na nich atak, są tam teraz.

– I?

Zarieczna uniosła wzrok i rozłożyła ręce.

– I zaraz stracimy nasze źródło informacji.

– Mówisz o Wilmańskim?

Na usta cisnęła jej się niespecjalnie uprzejma odpowiedź, ale w porę ugryzła się w język. Szkoda było czasu na przepychanki z przełożoną. Wprawdzie Salomei mogło udać się spowołnić nieco agresorów, ale nawet jeśli, to wyłącznie na moment. Każda minuta była teraz na wagę złota.

– Tak, mówię o Wilmańskim – odrzekła. – Jest w lokalu. Rozległy się już dwa strzały, może być ranny lub...

– Lub martwy.

Eliza skinęła nerwowo głową.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Pani komisarz...

– Czekam na konkrety, Zarieczna.

– Trzeba wysłać tam jak najliczniejszą grupę funkcjonariuszy. Jeśli teraz nie zareagujemy, za moment może być za późno. „Mokradło” prawdopodobnie jest otoczone, w środku ktoś dokonuje egzekucji.

Komisarz położyła łokcie na biurku i wsparła głowę na dłoniach.

– Na ile to pewne?

Zarieczna otworzyła usta, ale się nie odezwała. Rezerwa w głosie przełożonej kazała jej się zastanowić nad doborem słów.

– Na tyle, że biegłam tu ile sił – odparła wymijająco. – I jeśli zaraz nie wyślemy tam...

– Wyślemy? – wpadła jej w słowo komisarz. – Nie mam ludzi, których mogłabym tam wysłać. A jeśli zwrócę się do komendanta, wyśmiej mnie.

– Ale...

– Jak to sobie wyobrażasz? Że zadzwonię do niego i powiem mu, by ryzykował życie swoich funkcjonariuszy, żeby ratować jednego Bannika? Pół godziny spędzę na

przekonywaniu go, że to nie żart.

– Chodzi o nasze źródło osobowe.

– Będzie to miał w głębokim poważaniu. Z jego perspektywy lepiej pozwolić, by gangi się wybiły. Niewiele będą go obchodzić plany, które wiążemy z Wilmańskim.

Stanowczy ton głosu i chłodne spojrzenie nie pozostawiały wątpliwości – nie było żadnej szansy, by przekonać przełożoną. Mimo to Eliza podjęła próbę. Przez kilka minut starała się przemówić jej do rozsądku, podnosząc jeden karkołomny argument za drugim.

Komisarz była nieprzejednana.

– Nic nie wskóram – orzekła poirytowana. – Wszystkich w policji ucieszy, jeśli Bannicy znikną ze Śródmieścia.

– To do niczego dobrego nie doprowadzi.

– Wprost przeciwnie.

– Nie – uparła się Zarzeczna. – Na ich miejsce wejdzie banda z Kercelaka. Lub ktoś gorszy. Natura nie znosi próżni, pani komisarz. Nie ma co się łudzić, że...

– Wystarczy – ucięła przełożona, unosząc dłoń. – Przedstawiłaś swoje stanowisko, a teraz wracaj do pracy.

– Jakiej pracy? Jeśli Wilmańskiego tam zabiją, to...

– Dopóki nie dostanę takiej informacji, rozkazy pozostają w mocy.

Eliza zacisnęła usta, aż pobieleały.

– A teraz powiedz „tak jest”, wykonaj przepisowy salut, a potem opuść budynek tylnym wejściem, zanim ktokolwiek cię przyfiluje. Rozumiemy się?

Przez chwilę w gabinecie trwała ciężka cisza. Potem rozległo się zdawkowe „tak jest” i Zarzeczna opuściła pomieszczenie. Musiała się postarać, by nie trzasnąć drzwiami.

Zeszła na dół i skorzystała z głównego wyjścia. Stanąwszy na Krakowskim Przedmieściu, rozejrzała się. Nie miała żadnej koncepcji. Mogłaby próbować bezpośrednio u komendanta, ale zanim w ogóle by do niego dotarła, dawno byłoby po sprawie.

Podobnie stałoby się, gdyby zwróciła się do którejkolwiek z organizacji przestępczych, argumentując, że niewiele brakuje, a runie długo wypracowywane *status quo* półświatka. Uświadomiła sobie, że czas się skończył.

I dobitnie się o tym przekonała, gdy dotarła do „Mokradła”.

Po mężczyznach w garniturach nie było śladu. Salomea siedziała pod ścianą z podkulonymi nogami, przechodnie omijali wejście szerokim łukiem. Po tej stronie ulicy była jedynie jej towarzyszka.

Eliza podbiegła do niej i szybko przykucnęła.

– Co się stało? – zapytała.

Kier wbijała wzrok w ziemię. Była jak w transie, nie zareagowała nawet, gdy Zarzeczna ścisnęła ją za rękę. Dopiero, gdy lekko nią potrząsnęła, zdawała się uświadomić sobie, że towarzyszka pojawiła się obok.

– Zabili ich...

– Kogo?

– Wszystkich – odparła półgłosem. – Nie... nie wchodź tam...

Eliza podniosła się powoli i spojrzała na otwarte drzwi speluny. Ruszyła ostrożnie w kierunku wejścia i już po chwili poczuła odór ekskrementów, który wraz z dymem papierosowym przeciąg wywiewał na ulicę.

„Mokradło” wyglądało jak pobożowisko. W dodatku brak tytoniowej mgiełki w jakiś sposób powodował, że miejsce zostało odarte ze swojego charakteru. Lokal nie przypominał tego, który znała.

Policjantów jeszcze nie było. Z pewnością dostali już wiadomość o tym, co się wydarzyło, ale nie spieszyli się. Nie mieli powodu.

Eliza zobaczyła trzy ciała. Jako pierwszego dostrzegła kelnera z rozwaloną głową, potem Fryderyka Hertza, który podzielił jego los. Na końcu zobaczyła Wilmańskiego, leżącego w kałuży krwi.

# Księga trzecia



# Rozdział pierwszy

Początek zimy nie był dobrym czasem dla nikogo, kto pracował na ulicy. Anastazja szła Złotą, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo zmniejszył się ruch. Kilku mężczyzn w grubych szarych płaszczach i kaszkietach odgarniało białe hałdy, ale poza nimi próżno było szukać innych ludzi. Śródmieście zdawało się wyludnione i pogrążone w żałobie, ale to nie pierwsze opady śniegu były powodem takiego stanu rzeczy.

Okolica wyludniła się przez wszechobecny strach.

Każdy mógł spodziewać się zemsty Banników. Każdy był podejrzany. W niewielkich zaułkach odnajdywano kolejne ofiary utopione przez członków gangów. Mścili się bez litości, zapewne nawet sami nie wiedząc, czy biorą na celownik właściwe osoby.

Krwawa wendeta trwała od dwóch tygodni. Anastazja wiedziała, że zbliża się ku końcowi i niebawem wszyscy wreszcie odetchną. Łącznie z nią. Wprawdzie bezpośrednio nic jej nie groziło, ale bez Wilmańskiego trudno było sobie poradzić. Zbliżał się termin płatności czynszu, a przez ciągłe zmiany pracy nie udało jej się zarobić tyle, by go pokryć. Dzień w dzień ruszała na ulice, w takich okolicznościach trudno było jednak znaleźć potencjalnych klientów.

Zdawała sobie sprawę, że jeśli sytuacja się utrzyma, będzie potrzebowała pomocy. Właściwie była tylko jedna osoba, u której mogłaby jej szukać. Doskonale pamiętała, jak Wilmański wspominał, że Eliza Zarzeczna zwolniła się z policji i rozpoczęła pracę w domu wychowawczym.

Jeśli wierzyć plotkom, było to przeklęte miejsce, ale także jedyne, w którym mogła liczyć na to, że ktokolwiek wyciągnie pomocną dłoń. Co więcej, Zarzeczna ją знаła. I z pewnością słyszała o niej co nieco od Ernesta.

Jeszcze przez tydzień dziewczyna próbowała radzić sobie sama. Ostatecznie jednak stanęła przed alternatywą – albo wróci na bruk, albo zwróci się po pomoc. Innej możliwości nie było.

Zima była już w pełni, kiedy Ana brnęła w śniegu w kierunku Alei Jerozolimskich. Tory odśnieżano na bieżąco, ale wyglądało na to, że i w tym roku natura okaże się górą w starciu z człowiekiem. Jeśli będzie padało tak intensywnie jeszcze przez kilka dni, dojdzie do paraliżu komunikacyjnego.

Gdyby nie to, że wpływało to na rynek ulicznych usług, Anastazja mogłaby uznać, że lubi ten stan rzeczy. Miasto wydawało się wtedy wymarłe, skryte pod białym całunem. Ilość puchu zalegającego na ulicach w jakiś sposób sprawiała, że Warszawa stawała się enklawą ciszy. Śnieg tłumiał dźwięki. Dźwięki, które na co dzień przypominały Anie o tym, że przyszło jej żyć w tyglu nieprawości i łajdactwa.

Dotarła pod gmach domu wychowawczego, otrzepała buty o pierwszy schodek, a potem weszła do środka. Kobietę siedzącą przy niewielkim stoliku w holu poprosiła o wskazanie drogi do Elizy Zarzecznej.

Chwilę później była policjantka zeszła z piętra. Zatrzymała się tuż za schodami i popatrzyła na dziewczynę jak na zjawę. Zmrużyła oczy i Ana zrozumiała, że chyba

jej nie poznaje.

– Anastazja – odezwała się. – Od Wilmańskiego.

Zarieczna pokiwała głową. Dopiero teraz w jej oczach pojawiło się zrozumienie. Nic dziwnego, od miesiąca Anastazja nosiła rozpuszczone włosy, które opadały jej na twarz, a poza tym była tak okutana, że właściwie sama mogłaby nie poznać się w lustrze. Odwinęła chustę, obnażając zaczerwienione policzki.

Eliza zbliżyła się do niej i posłała jej ciepły uśmiech.

– Oczywiście – odezwała się. – Nie sposób cię zapomnieć.

– Tak, czasem to słyszę.

Zarieczna obejrzała się przez ramię.

– Wejdiesz? Dam ci coś ciepłego, porozmawiamy.

– Po to tu przyszłam, prawda?

Eliza zaprowadziła ją na stołówkę. Między porą śniadaniową a obiadową były tu jedynie dwie dziewczyny leniwie zamiatające podłogę. Krzesła odwrócono i ustawiono na stolikach. Zarieczna ściągnęła dwa, a potem na moment znikła w kuchni.

Wróciła, niosąc kubki z gorącym mlekiem. Usiadła przy stole i popatrzyła znacząco na Anastazję.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytała.

– No, mam nadzieję.

– Ja tym bardziej.

Ana napiła się mleka. Miała wrażenie, że poparzyła sobie usta, język i podniebienie. Kiedy jednak płyn dotarł do żołądka, poczuła się jak w niebie. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem piła coś ciepłego. Marzła od kilku dni i nic nie mogła na to poradzić. Chciała kupić niewielki piecyk, funduszy jednak nie starczyłoby nawet na kilka brykietów węgla, którymi mogłaby napalić.

– Jestem w kropce – zaczęła. – Bez Wilmańskiego nie mam nawet na czynsz.

– Rozumiem.

– Słyszałam, że Bannicy dbają o swoich, ale okazało się to bzdurą.

– Rozmawiałaś z nimi?

– Próbowалам. Może za Hertza było inaczej, ale teraz...

– Trzymaj się od nich z daleka – weszła jej w słowo Zarieczna. – Nic dobrego nie przyjdzie ci z utrzymywania takich kontaktów.

Ana spojrzała na nią z niedowierzaniem. Eliza nie przywodziła na myśl osoby, która byłaby skłonna wygłaszać moralizatorskie monologi.

– Byłam w „Mokradle”, chciałam porozmawiać z Trawickim. To on teraz dowodzi.

– Wiem.

– I pogonili mnie stamtąd.

Anastazja pociągnęła kolejny łyk, tym razem mniejszy. Rozmówczynie obróciła drugi kubek w dłoniach, a potem podsunęła go dziewczynie. Ta skinęła zdawkowo głową.

– Nic dziwnego – oceniła w końcu Eliza. – Trawicki i Wilmański skakali sobie do gardeł.

– Chcesz powiedzieć, że gdybym trzymała z innym Bannikiem, mogłabym teraz liczyć na jakąś pomoc?

– Chcę powiedzieć, że w takiej sytuacji naprawdę najmądrzej zrobisz, trzymając się od nich z daleka.

Ana zamyśliła się na chwilę.

– Gdyby to Trawicki był wtedy przy swoim szefie, wszystko byłoby inaczej – odezwała się w końcu.

Eliza kiwnęła głową. Wyraźnie nie chciała rozważać hipotetycznych alternatywnych scenariuszy.

– Byłabym teraz w idealnym położeniu – dodała dziewczyna. – Bo to Wilmański stanąłby na czele Banników.

Ale pech chciał, że Trawicki zjawił się dopiero, gdy dawno było po wszystkim. Wprawdzie natychmiast skrzyknął wszystkich Banników, lecz było już za późno, by choćby pomyśleć o zemście. Napastnicy rozplynęli się w powietrzu. Do dziś nikt nie miał absolutnej pewności, kim byli, ale na ulicy mówiło się, że w grę wchodzi może jedynie wileńska mafia.

Anastazja czekała na jakikolwiek odzew, ale była policjantka najwyraźniej nadal nie miała zamiaru podejmować tematu.

– Muszę się stamtąd wynieść – rzuciła dziewczyna.

– Słusznie.

– Cały kłopot polega na tym, że nie mam dokąd pójść.

– Więc przyszłaś tutaj.

Ana wzruszyła ramionami i napiła się mleka. Przez chwilę patrzyła badawczo na Elizę, czekając, jak na to zareaguje. Nie знаła panujących tu zwyczajów ani zasad przyjęć. Być może odeślą ją z kwitkiem, uznawszy, że jest już zbyt stara lub zbyt skrzywiona, by ją przygarnąć. Może brali tylko te osoby, którym mogli jeszcze pomóc.

– Dobrze postąpiłaś – przyznała Zarzeczna. – Zaopiekujemy się tutaj tobą.

– Przyjmujecie takie jak ja?

– To znaczy?

– Te, co przez ileś lat pracowały na ulicach?

– Oczywiście. To między innymi dla was ksiądz Boduen założył to miejsce.

– Kto?

– Gabriel Baudouin, francuski misjonarz. W 1732 roku zebrał pieniądze i kupił kamienicę, w której chciał zorganizować dom opieki dla wszystkich porzuconych noworodków i bezdomnych dzieci. Miał pełne ręce roboty, ale pomagał mu w tym...

– Nie interesuje mnie historia. Skupiam się na przyszłości.

Anie wydawało się, że Zarzeczna lekko się uśmiechnęła.

– Coś cię bawi?

– Nie.

– Więc po co te grymasy?

– Bo odnoszę wrażenie, że mówisz jak Wilmański. Przejęłaś jego ton głosu.

Ana prychnęła.

– Jeśli ktokolwiek coś od kogokolwiek przejął, to raczej on ode mnie. Za długo ze mną przebywał.

Lub zbyt krótko, dodała gorzko w myślach.

Obie przez moment milczały, patrząc na parę unoszącą się nad kubkami. Anastazja dopiła swoje mleko, a potem sięgnęła po drugą porcję. Oplotła naczynie dłońmi, ogrzewając je. Miała jednak wrażenie, że po tylu dniach wychłodzenia na nic się to nie zda.

Eliza odchrząknęła, jakby w końcu udało jej się odegnąć kłopotliwe myśli.

– Zanim pójdziemy po twoje rzeczy, musisz wiedzieć o kilku sprawach – odezwała się. – Po pierwsze...

– Nie możesz mi tego streścić w jednym zdaniu?

– Właśnie staram się to zrobić.

– Ale zaczynasz wymieniać. Nie lubię tego.

– Wielu rzeczy tutaj nie polubisz.

– Na przykład?

– Tego, że koniec ze szwendaniem się po ulicach i dorabianiem w wątpliwy sposób. Koniec z przeklinaniem, kłóceniem się i bijatykami.

– Nie wdaję się w bijatyki.

– Słyszałam co innego.

– Ja co najwyżej biję – odparła Ana z przekorą. – Bijatyka jest wtedy, kiedy dwie strony mają coś do powiedzenia.

Eliza przez chwilę wyglądała, jakby miała się zaśmiać. Ostatecznie jednak nawet nie uniosła kącika ust. W jednej chwili z przyjemnej, zwyczajnej partnerki do rozmowy zdawała się przepoczwarzyć w troskliwą wychowawczynię, która musi uważać na każde wypowiedane słowo.

– Tak czy owak nie możesz sprawiać żadnych problemów – podjęła.

– Widzisz? – spytała Anastazja, ocierając usta z piany.

– Co takiego?

– Jednak przekazałaś mi wszystko w pigułce. A ja teraz mogę ci powiedzieć, że nic z tego.

Zaręczona była wyraźnie zaskoczona. Jeśli spodziewała się, że Ana przystanie na wszystko, najwyraźniej Wilmański nie opowiadał o niej wystarczająco długo i dokładnie.

– Planuję zemstę – dodała Anastazja. – Chcę dorwać ludzi, którzy zaatakowali „Mokradło”.

Eliza uniosła brwi, nie odzywając się.

– Podnieśli rękę na Wilmańskiego. To tak, jakby podnieśli rękę na mnie.

– Mówisz poważnie.

Nie było to pytanie, więc Ana nie odpowiadała.

– Pozałuj tego, co zrobili. Zobaczysz.

– I jak zamierzasz wymierzyć im sprawiedliwość?

– Na wszelkie możliwe sposoby – odparła niechętnie Anastazja. Nie lubiła mówić o rzeczach oczywistych, a to wydawało jej się absolutnie bezdyskusyjne.

Eliza potarła czoło i westchnęła. Była to wymowna reakcja, ale Ana się jej spodziewała. Była przyzwyczajona do tego, że jest traktowana w podobny sposób. Od najmłodszych lat spotykała się z tym na ulicy.

– Najgroźniejsze uderzenie nadchodzi z kierunku, którego się nie spodziewasz – rzuciła. – Tak powiedział mi kiedyś Wilmański.

– Miał na myśli walkę bokserską.

– Walka to walka. Każda rządzi się takimi samymi prawami.

Zarieczna przez pewien czas namyślała się w milczeniu. Dziewczyna zdążyła dopić mleko i właściwie nawet tego pożałować. Skurczony żołądek szybko przypomniał sobie o tym, że powinna wrzucić do niego coś konkretniejszego. Dotychczas był jakby uśpiony. Kiedy zaburczało jej w brzuchu, powiodła znaczącym wzrokiem dokoła.

– O której obiad?

– Jeszcze nie doszliśmy do porozumienia. Nie jest przesądzone, czy tutaj...

– Oczywiście, że zostanę – ucięła Anastazja. – Zaraz zaczniesz przekonywać mnie, że zemsta to nie żadne dobre wytłumaczenie, ja będę przez jakiś czas trwać przy swoim, a ostatecznie nakłamię, że rozumiem.

Eliza milczała przez długą chwilę. Potem nagle wstała od stołu.

– Coś nie tak? – bąknęła Ana. – Myślałam, że docenisz szczerość.

– Doceniam.

– Więc...

– Chodź – ucięła Zarieczna, wskazując w kierunku korytarza. – Wybierzemy się na spacer.

– Dopiero co wróciłam z tej zimnicy.

– Zaraz będziemy z powrotem.

– Przyszłam tu szukać schronienia przed chłodem, a nie po to, żeby od razu wychodzić. Chyba że masz automobil. Chętnie bym się przejechała, jeszcze nie miałam okazji.

Eliza uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Daleko mi do takich, których stać. Zresztą w Warszawie jest w tej chwili raptem dziewięćdziesiąt samochodów.

– Myślałam, że macie jakąś budę do przewożenia noworodków.

– Nie mamy.

Zarieczna stanęła w progu, skrzyżowała ręce na piersi i czekała. Anastazja pociągnęła jeszcze łyk mleka, a potem zaklęła w duchu i uznała, że najwyraźniej nie ma wiele do powiedzenia. Przynajmniej na tym etapie, kiedy nie została jeszcze formalnie przyjęta do domu wychowawczego.

Poszła za Zarieczną, ale gdyby tylko wiedziała, dokąd się kierują, zastanowiłaby się dwa razy. Mimo że podjechały tramwajem, natychmiast zapragnęła wrócić do ciepłego wnętrza budynku przy Nowogrodzkiej. Albo na dobrą sprawę w jakiegokolwiek inne miejsce.

Eliza zabrała ją na cmentarz Powązkowski. W kwaterze nieopodal Tatarskiej znajdowała się niczym niewyróżniająca się mogiła z drewnianym krzyżem. W miejscu, gdzie przecinały się jego ramiona, gwoździem przybito parę czarnych rękawiczek.

Zarieczna stanęła przed grobem i zmówiła krótką modlitwę. Ana stała dwa kroki za nią, jakby miejsce ostatniego spoczynku Wilmańskiego napawało ją strachem.

– Po co mnie tu przyprowadziłaś? – zapytała.

– Bo jeszcze tu nie byłaś. I nie widziałam cię na pogrzebie.

– Nie mam tu czego szukać.

– Wręcz przeciwnie – odparła Eliza i odwróciła się do niej. – Możesz poszukać tu spokoju i ukojenia. I może odnajdując je, zrozumiesz, że zemsta niczemu się nie przysłuży.



# Rozdział drugi

Zemsta była kluczowa. Zarieczna była tylko o krok od rozpętania piekła i nie zamierzała odpuszczać. Siedziała w pociągu relacji Warszawa – Wilno, powtarzając w myśli wszystko to, co musiała zrobić.

Jeśli wszystko pójdzie sprawnie, wieczorem wróci do Warszawy na nocny dyżur w domu wychowawczym. I przy odrobinie szczęścia nikt nigdy nie dowie się, że maczała palce w wydarzeniach, które miała zamiar puścić w ruch.

Wysiadła z pociągu jeszcze przed południem. Przeszła przez niezadaszony peron i budynek dworca, a potem stanęła pod niewielką wiatą chroniącą przed śniegiem.

Ruch na Kolejowej był wzmożony i kazał sądzić, że przez Wilno nieustannie przetaczają się całe fale podróżnych. W dodatku nie byli pozostawieni samym sobie. Przed budynkiem dworca zatrzymywały się tramwaje konne, a kawałek dalej znajdowało się parę kilkunastoosobowych pojazdów. Kierowcy czekali spokojnie, aż wolne miejsca się zapełnią, stojąc na ulicy niemal w postawie zasadniczej, z rękoma założonymi za plecami.

– Pigutek to to nie jest – odezwał się ktoś.

Eliza obróciła się do mężczyzny, który zatrzymał się obok.

– Słucham? – spytała.

– Wpatruje się pani w ten tramwaj, jakby był cudem techniki. A to zwykła buda ciągnięta przez konia.

– Tak, widzę.

– Pigutek to co innego. Tramwaj motorowy.

– Doprawdy?

– Pani niemiejscowa?

– Nie.

– A, to w takim razie zrozumiało. Pigutek to od nazwiska inżyniera Pigutowskiego, jegomością dobrze u nas znanego, puścił bowiem w ruch pierwszą taką maszynę. Wyjął silnik z pewnego samochodu amerykańskiej konstrukcji, zamontował w tramwaju i... cóż, przez pewien czas wszystko szło po jego myśli.

Eliza skinęła głową, nie odpowiadając. Nie przyjechała tutaj, by prowadzić częste rozmowy z przypadkowymi przechodniami. Zresztą im mniej osób ją zapamięta, tym lepiej.

– Skieruje mnie pan na Antokol?

– A czego pani tam szuka?

Pytanie zabrzmiało, jakby porządne damy normalnie nie zapuszczały się w tamte tereny. Zarieczna właściwie nie miała żadnego rozeznania – nie wiedziała, czy to dzielnica zbliżona do Śródmieścia, Żoliborza czy Woli. Jej wiedza zaczynała się i kończyła na tym, że Antokol znajduje się w lewobrzeżnej części miasta.

– Po prostu muszę się tam dostać.

– To najlepiej skorzystać z tramwaju. Ale tego konnego.



Mężczyzna rozejrzał się, a potem wskazał drugi z wagonów w oddali.

– Linia numer dwa – oznajmił. – Jedzie przez Mickiewicza, robi tam pętelkę, a potem zmierza prosto na Antokol.

– Dziękuję.

– Jest pani pewna, że...

– Tak, jestem pewna – rzuciła na odchodnym, a potem szybkim krokiem ruszyła przed siebie.

Na dobrą sprawę nie mogła powiedzieć nic, co bardziej pokrywałoby się z prawdą. Wiedziała, że przed nią niełatwe i niebezpieczne zadanie, które mogło mieć przemożne konsekwencje, ale była przekonana, że postępuje słusznie.

Pół godziny później Eliza wysiadła z tramwaju nieopodal ulicy Tiwoli. Ta część miasta znajdowała się na wzniesieniu, z którego doskonale widoczna była jego centralna część. Stanowiło to miłą odmianę względem tego, co widać było w Warszawie, choć ogrom wolnej przestrzeni sprawił, że Eliza przez moment poczuła się nią przytłoczona.

Minęła znajdujący się po prawej stronie kościół Świętych Piotra i Pawła, i przed dużym gmachem szpitala skręciła w lewo. Nie potrzebowała wiele czasu, by odnaleźć miejsce, w którym miała się zjawić.

Weszła do jedynej restauracji na Tiwoli, zawiesiła płaszcz na wieszaku przy wejściu, po czym rozejrzała się. Wypatrzyła Salomeę bez trudu, choć ta poczuła się w obowiązku, by wstać i niemrawo do niej zamachać. Sprawiała apatyczne wrażenie, ale nie stanowiło to żadnego odstępstwa od normy.

– Szybko się uwinęłaś – zauważyła Kier.

– Akurat miałam transport.

Salomea uśmiechnęła się lekko, a potem przesunęła po stole kartę dań i usiadła.

– Strasznie tu tanio – odezwała się. – Choć z tego, co mówią, nie wszędzie tak jest.

Najwięcej lokali mają na Mickiewicza, tam ceny są takie jak u nas.

Zarieczna przelotnie spojrzała na menu, ale nawet go nie otworzyła.

– Weź babkę z rumem, to podobno lokalny przysmak.

– Nie przyjechałam tutaj, żeby kosztować przysmaków. Ani rozmawiać o lokalach.

Salomea nagle spoważniała. Napiła się kawy, a potem pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Wszystko gotowe? – zapytała Eliza.

– Na tyle, na ile może być.

– Brzmisz, jakbyś miała wątpliwości.

– Po prostu nie do końca mi się to podoba.

– Jeśli zrobiłaś wszystko, o co cię prosiłam, to...

– Zrobiłam – zapewniła, na moment podnosząc spojrzenie. – Przecież wiesz, że bym cię nie zawiodła.

Trudno było z tym polemizować. Kiedy Bruderferajn zaatakowało „Mokradło”, w głowie Elizy zakolało się wiele podejrzeń związanych z partnerką. Kolejne dni sprawiły jednak, że rozwiały się wszelkie wątpliwości.

Kiedy tylko Zarieczna oznajmiła, że będzie szukać sprawiedliwości, Salomea

natychmiast zadeklarowała pomoc. Dla Elizy stało się oczywiste, że była związana z którymś z Banników.

Nie wnikała w szczegóły, nie wypytywała. Wyszła z założenia, że jeśli Kier kiedykolwiek będzie chciała zdradzić jej, który gangster skradł jej serce, sama podejmie temat.

Okazje z pewnością będą. Im dalej brnęły w realizację przygotowanego planu zemsty, tym bardziej się do siebie zbliżały. A jeśli ich udział kiedykolwiek wyjdzie na światło dzienne, zbliżą się jeszcze bardziej. Już jako byłe, bezrobotne policjantki.

Salomea odsunęła resztkę ciasta i spojrzała surowo w oczy towarzyszki. Momentami sprawiała wrażenie, jakby to ona była bardziej zdeterminowana, by odplacić się Bruderferajn.

– Zatem do roboty? – zapytała.

– Tak.

Kier sięgnęła za pazuchę zakietu i wyjęła złożony na pół skrawek papieru. Podała go Elizie, jakby zapisano na nim tajemnicę wszechrzeczy.

Towarzyszka spojrzała na adres, a potem na dane osoby, która w ich konstrukcji odgrywała kluczową rolę.

Elka Gurewicz. Człowiek, którego w Warszawie obdarzono by mianem kasiarza, czyli złodzieja profesjonalnego, wszechstronnego i świetnie przygotowanego do wykonywania swojego fachu na najwyższym poziomie. Tacy jak oni zajmowali się rabowaniem właściwie wszystkiego, co dało się zamknąć, i znajdowali się na samym szczycie hierarchii, wysoko nad doliniarzami kradnącymi z kieszeni, lipkarzami włamującymi się przez okno czy pajęczarzami rabującymi strychnię z suszącej się tam bielizny.

Eliza jednak nie planowała spotkania z Gurewiczem. Był jej niezbędny, ale przypuszczała, że ani on nigdy jej nie ujrzy, ani ona jego.

– Buty gotowe? – zapytała Zarzeczna.

– Tak.

– Wyglądają wiarygodnie?

– Jak to buty... wszystko jest na swoim miejscu.

– W takim razie zaczynamy.

Zarzeczna i Salomea opuściły restaurację, a potem skierowały się w stronę budynku, w którym mieszkał Saszka Lichtsohn. Jego dom stanowił zarazem siedzibę organizacji – choć, by tak mogło się stać, Prezes wykupił całe dwa piętra. Je interesowało drugie, na którym mieściła się kancelaria Bruderferajn. Przypominała zaplecze „Mokradła”, choć wedle tego, co ustaliła Eliza, tutejsi byli znacznie lepiej zorganizowani.

Mieli też znacznie większe wpływy do wspólnej kasy. Wpływy, które zamykano w sejfie na drugim piętrze budynku.

– Komisarz nic nie podejrzewa? – odezwała się Salomea, gdy mijały stadion przy Górze Trzykrzyskiej.

– Nie. Ty masz urlop, ja nadal wykonuję swoją wiekopomną misję.

Kier pokiwała głową z uznaniem.

– Nadal nie wiem, jak udało ci się ją przekonać, żeby wciąż pracować pod przykrywką.

– Użyłam najmocniejszej karty.

– To znaczy?

– Wmówiłam jej, że chodzi o moje bezpieczeństwo – odparła cicho Eliza, rozglądając się. – Że jeśli tak szybko wrócę do munduru, Bannicy przejrzą fortel, który dla nich ułożyliśmy.

– I zemszczą się na tobie?

– Od niecałego miesiąca mszczą się na każdym.

Salomea mruknęła coś pod nosem.

– I jak długo jeszcze zamierzasz tak funkcjonować? – spytała.

– Niedługo. Dziś osiągniemy cel, jutro pojawią się efekty.

– A potem wracasz do patrolowania ulic?

Zwątpienie w jej głosie było nader wyczuwalne. Po prawdzie w drodze do Wilna Zarieczna sama zastanawiała się, jaką decyzję powinna podjąć. Wcześniej o tym nie myślała, skupiając się jedynie na tym, by zrealizować plan. Teraz jednak musiała postanowić, co dalej.

– Chyba tak – odparła.

– A mnie się wydaje, że już cię w mundurze nie zobaczymy.

Eliza spojrzała na rozmówczynię.

– Jakie to ma znaczenie? – odbąknęła. – I tak nie pozwalają wam nic robić.

– To prawda.

– Jesteśmy tylko politycznym frontonem. W dodatku tymczasowym.

– Wcześniej nie snułaś takich czarnych myśli.

– Bo wcześniej łudziłam się, że możemy coś zmienić. Teraz wiem, że kiedy Liga Narodów przestanie się interesować sytuacją kobiet w polskich służbach, rząd w ogóle rozwiąże naszą formację.

Nie kontynuowały tematu. Zaszły do mieszkania wynajętego przez Salomeę, zabrały stamtąd parę butów, którą uszył dla nich jeden z szewców na obrzeżach miasta, a potem kontynuowały marsz w kierunku siedziby Bruderferajn.

Nie weszły do samego budynku. Zatrzymały się w niewielkiej bramie tuż obok, która wyglądała, jakby prowadziła donikąd. Salomea obserwowała okolicę od kilku dni i w końcu zdecydowała, że to idealne miejsce. Nikt się tu nie pałętał, a przez bramę przechodzili wyłącznie podwładni Lichtsohna. Podwórze po drugiej stronie musiało stanowić ich wyłączne terytorium.

W łuku brakowało kilku elementów, ze sklepienia kapala woda, a błoto było tak głębokie, że niemal przykrywało buty. Zarieczna musiała przyznać, że towarzyszka nie mogła lepiej wybrać. Przy odrobinie szczęścia tok zdarzeń będzie dokładnie taki, jak przewidywał to plan.

Eliza umieściła parę butów w niewielkiej wnęce, gdzie brakowało dwóch cegieł. Nie upychała ich zbyt głęboko, wychodząc z założenia, że muszą wprawdzie pozostawać niewidoczne dla zwykłego przechodnia, ale jednocześnie powinno wypatrzeć je bystre oko.

– Wiesz, że mogłam to zrobić sama – odezwała się Salomea.

– Wiem.

– Ale musiałaś podłożyć je własnoręcznie.

Zarieczna skinęła głową.

– Myślisz, że dzięki temu ruszysz dalej?

– Nie wiem.

– Tak ci zależało na Wilmańskim?

– Tego także nie wiem.

Eliza przyjrzała się butom, poprawiła nieco ich ustawienie, a potem uznała, że wszystko jest jak należy. Wyszła z bramy, zerknęła na boki, a potem wraz z towarzyszką ruszyły w stronę śródmieścia.

– Którędy do Gurewicza?

– Cały czas prosto. Potem zejdziemy na Dominikańską i po chwili będziemy na miejscu. List gotowy?

Zarieczna poklepała kieszeń płaszcza.

– Co napisałaś?

– Tylko tyle, ile było trzeba.

– Czyli?

– Że znam lokalizację sejfu Bruderferajn, że pęka w szwach i że dziś w nocy w siedzibie nikogo nie będzie.

– Nic więcej? Żadnego wytłumaczenia?

Eliza długo zastanawiała się nad tym, czy powinna jakieś podać. Ostatecznie uznała, że tak. Inaczej anonimowy donos mógłby wydać się Elce Gurewiczowi podejrzany i nie skusić go, by podjął się naprędce tej intratnej, acz szalonej misji.

– Dodałam na końcu, że chodzi mi wyłącznie o zadanie ciosu Bruderferajn. Że chcę, by upadli.

– Słusznie.

– Może pomyśli, że list przyszedł od którejś z poszkodowanych rodzin, a może że to element wewnętrznej walki w organizacji. Podobno są tarcia.

– Sporo o nich wiesz.

Zabrzmiało to jak zarzut. Zarieczna popatrzyła na Salomeę z pretensją, czekając, aż ta podkreśli, że nie chce jej żadnego czynić. Partnerka jednak milczała, wbijając wzrok pod nogi, jakby stąpała po kruchym lodzie. W pewnym sensie być może tak było.

– Z oczywistych względów – odparła po chwili Eliza. – Musiałam ich poznać.

– I poznałaś dogłębnie. Na tyle, że wiedziałaś, gdzie jest siedziba, sejf, i co wywabi ich nocą z budynku.

– Zmierzasz do czegoś?

– Tylko do tego, że należą ci się gratulacje.

– Więc pogratuluj i nie draż.

Kier uśmiechnęła się blado. Nie kontynuowała tematu, choć niewypowiedziany zarzut nadal wisiał w powietrzu. Nie był jednak skonkretyzowany i Zarieczna nie była pewna, co towarzyszką sugeruje. Że współdziałała z którymś z przeciwników Bruderferajn? Że wciąż utrzymuje kontakt z Bannikami?

Ten drugi scenariusz wydawał się bardziej prawdopodobny, biorąc pod uwagę, że przed momentem Salomea wypytywała o powód, dla którego dalej działa pod przykryciem.

Eliza przestała o tym myśleć, kiedy dotarli pod kamienicę, w której mieszkał Gurewicz. Weszły do środka, po czym przez szczelinę między drzwiami a podłogą wsunęły list do jego mieszkania.

Zaręczona otrzepała dłonie. Uśmiechnęły się do siebie i wróciły na ulicę. Pozostał im jeden ostatni element, a potem Eliza mogła wracać do Warszawy z poczuciem, że zastawiła sidła, które okażą się śmiertelne dla całego Bruderferajna.



# Rozdział trzeci

Nie zanosiło się na poprawę pogody. Stolica zdawała się stopniowo znikać pod coraz grubszą warstwą śniegu, zaczynało brakować produktów w sklepach, a komunikacja była coraz bardziej utrudniona. Woda w rurach zamarzała, a jakby tego było mało, od kilku dni dął uciążliwy wiatr, zmieniający zwykły opad śniegu w zawieruchę.

Mimo to Ana wybrała się na cmentarz Powązkowski. Tym razem chciała być tam sama. Tylko w ten sposób mogła być sobą. I tylko w ten sposób mogła porozmawiać z Wilmańskim.

Stała przed mogiłą i spojrzała na parę rękawiczek.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, dlaczego je nosiłeś – odezwała się.

Wiatr szarpał łysymi koronami drzew, śnieg uderzał w jej twarz z prawej strony.

– Ale w ogóle mało mówiłeś – dodała. – Nie mogłeś się trochę otworzyć? Z kim mam teraz rozmawiać?

Rozejrzała się za czymś, co mogłoby posłużyć jej jako prowizoryczna ławka. W końcu wypatrzyła gałąź, która musiała spaść przy mocniejszym podmuchu. Przyciągnęła ją do grobu, a potem przysiadła. Nie było wygodnie, ale niespecjalnie się tym przejmowała.

– Mam tylko jakieś wyobrażenie o tobie – dodała pod nosem. – Nie wiem nawet, czy prawdziwe.

Pokręciła głową i wydeła usta.

– Ale trudno. Musi wystarczyć.

Objęła ramiona i energicznie je potarła. Posiedzi tu kwadrans, najwyżej dwa, a potem wróci do ciepłego domu wychowawczego. Minął już tydzień, a jej nadal stamtąd nie wyrzucono. Musiała przyznać, że się tego nie spodziewała. Biorąc pod uwagę zebrane do tej pory doświadczenia, dawała sobie w porywach dwa-trzy dni.

Okazało się jednak, że sytuacja tym razem była inna. Porzuciła plan zemsty, kiedy tylko Zarzeczna powiedziała jej, czego dokonała. Anastazja poczuła wewnętrzny spokój. Zupełnie jakby po długiej podróży wróciła do domu.

– Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że twoja dziewczyna cię pomściła – odezwała się, patrząc na kołyszące się na wietrze rękawiczki. – Naprawdę nieźle trafiłeś. Szkoda, że nie zdążyłeś z tego skorzystać.

Objęła się mocniej.

– Dała mi przedwczoraj gazetę – ciągnęła Ana. – Jakiś tam kurier, nie pamiętam nazwy. Był artykuł na kilka stron o zamknięciu Saszki Lichtsohna i jego współników. Siedzą w więzieniu, Wilmański. Jesteś zadowolony?

Przypuszczała, że nie byłby. Nie do końca. Wolałby pewnie, żeby Lichtsohn wylądował w grobie.

– Całkiem nieźle to sobie obmyśliła – kontynuowała Anastazja. – Najpierw dała wszystko, co trzeba, pewnemu kasiarzowi, Gurewiczowi. Potem kazała uszyć buty z jego inicjałami i umieściła je w takim miejscu, by Bruderferajn po napadzie mogli je

znaleźć. Znałeś pewnie Gurewicza, wiesz, że zaczynał jako lipkarz. Taki zawsze wchodzi oknem. I zawsze ściąga buty. To ich znak rozpoznawczy.

Ana nie wiedziała, czy tym razem w istocie tak było. Ale nawet jeśli, to przypuszczała, że Gurewicz nie zostawiłby obuwia nawet w sytuacji, gdyby musiał naprędce zniknąć po udanym napadzie.

Nie miało to żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że podwładni Lichtsohna znaleźli buty i wskazali winnego. Bruderferajn szybko zabrało się do wymierzenia sprawiedliwości złodziejowi. Zorganizowano dintojrę, skazano Elkę na karę śmierci. Następnego dnia kasiarz został zastrzelony.

Był jednak na tyle znany i na tyle poważany, że jego towarzysze postanowili nie zostawiać tej sprawy bez odpowiedzi. W podjęciu decyzji z pewnością pomógł im fakt, że Gurewicz oprócz pieniędzy zrabował także szereg dokumentów.

Jeszcze tego samego dnia policja otrzymała więcej materiałów, niż potrzebowała. Ujawniały całą strukturę przestępczą, hierarchię Bruderferajn, personalia osób zaangażowanych w poszczególne akcje, a także plany na przyszłość i opis tego, co udało się dotychczas osiągnąć.

Jako pierwszego aresztowano Saszkę Lichtsohna. Zaraz po nim za kratki trafił jego zastępca, Aaron Wójcik. W gazecie spekulowano, że policja celowo nie wzięła się do pozostałych członków, licząc na to, że teraz rozpocznie się walka o władzę, która doprowadzi do rozbicia organizacji na mniejsze odłamy.

I jeśli informacje, które od tamtej pory udało się zebrać Elizie, były prawdziwe, wszystko wskazywało na to, że tak właśnie się stanie.

Kiedy Ana skończyła opowiadać to wszystko, siedząc przed grobem, obrzuciła mogiłę wzrokiem, jakby czekała na odpowiedź. Wiatr nieco się uspokoił, słyszała spokojne zawodzenie podmuchów gdzieś w oddali.

Uniosła oczy i westchnęła.

– Mam nadzieję, że to wszystko do ciebie w jakiś sposób dotarło – powiedziała. – Jeśli okaże się, że bez powodu odmrażam sobie tyłek, więcej tu nie przyjdę.

Zwiesiła głowę i przez moment trwała w milczeniu. Przeszło jej przez myśl, że powinna się pomodlić, ale nie wiedziała nawet, od czego zacząć. Ani do kogo konkretnie się zwrócić. Nigdy nie była w kościele i nigdy nie przypuszczała, że będzie wysiadywać przed czyimś grobem. Nie należała do osób, które... cóż, które mogły liczyć na to, że będą kiedyś z kimś na tyle blisko, by odwiedzać go na cmentarzu.

Podniosła się i otrzepała ubranie ze śniegu. Daremna próba, pomyślała.

Podeszła do mogiły, przesunęła dłonią po skórzanych rękawicach, a potem cofnęła się o krok.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała. – Jak Zarzecznej udało się sprawić, że tej nocy nikogo nie było w siedzibie?

Ana przestąpiła z nogi na nogę. Ziąb dawał jej się już mocno we znaki.

– Ona sama zbywa temat – dodała. – Ale przypuszczam, że to musiało być coś dobrego. Nie sądzisz? Tylko że w gazecie nic o tym nie pisali. A ja nie chcę jej przyciskać. Mogłabym to zrobić, ale zaczynam ją lubić. Chyba rozumiem, dlaczego ty ją lubiłeś. Jest w porządku.



Ana rozejrzała się, po czym przeżegnała się niepewnie lewą ręką, odwróciła i czym prędzej opuściła Powązki.



# Rozdział czwarty

Dowódcy Bruderferajn otrzymali wysokie wyroki, Zarzeczna była zadowolona. Nie wiedziała wprawdzie, jak ostatecznie sprawa się zakończy, ale miała świadomość dobrze wykonanej roboty.

Finał mógł być różny. W Warszawie wypuszczano najgroźniejszych kryminalistów dość szybko. Wstawiali się za nimi wysocy urzędnicy państwowi, znikali świadkowie, sędziowie zmieniali zdanie, a prawnicy odnajdywali nowe dowody. Metod ratowania się było wiele.

W tej chwili Lichtsohnowi i Wójcikowi ich zabrakło, ale Eliza przypuszczała, że w przyszłości może być inaczej.

Nie chciała jednak zamartwiać się na zapas. W najbliższym czasie zamierzała czerpać przyjemność z przekonania, że wymierzyła sprawiedliwość. Wprawdzie komisarz nie pochwaliłaby sposobu, w jaki tego dokonała, ale miało to drugorzędne znaczenie.

Przeszła po korytarzu na pierwszym piętrze domu wychowawczego, sprawdzając kilka pokoi. Niektórym dziewczynom zaczynało brakować podstawowych produktów, ale nic nie mogła na to poradzić. Drogi dojazdowe do Warszawy były zasypane.

Jakiś czas temu Eliza pojechała bryczką na Grójecką. Podróż trwała kilkakrotnie dłużej niż zazwyczaj, a sytuacja na trasie wyjazdowej ze stolicy przywodziła na myśl warunki z dalekiej północy. Oprócz morza błota, które niemal uniemożliwiało podróżowanie, kłopotem były przyzmy śniegu. Mieszkańcy domostw ciągnących się wzdłuż Grójeckiej przejmowali się przede wszystkim tym, by odśnieżyć obejścia. Nikogo nie interesowało to, że przy coraz intensywniejszych opadach z hałd tworzą się właściwie nieprzekraczalne zasięki.

Władze miasta zaś skupiały się na Śródmieściu, a przede wszystkim na okolicach Krakowskiego Przedmieścia. Efekt był opłakany, sytuacja coraz gorsza. Zarzeczna zaczynała obawiać się, że niedługo zacznie brakować jedzenia.

Sprawdziwszy, jak czuje się kilka jej najbardziej wątłych podopiecznych, skierowała się ku pomieszczeniu, w którym trzymano leki. Była to niewielka klitka na końcu korytarza, do której zagłądano niezbyt często. Pracowniczki domu wychowawczego starały się same nie aplikować leków, robiły to tylko, gdy zaistniała absolutna konieczność. Zazwyczaj zdawano się na lekarzy ze Szpitala Dzieciątka Jezus, który znajdował się kilkaset metrów dalej, przy Żelaznej.

Eliza zatrzymała się przed drzwiami do kanciapy, rozejrzała się, a potem weszła do środka. Doskonale wiedziała, którą szafkę otworzyć. Przykucnęła i niepewnie omiotła wzrokiem zapasy.

Kurczyły się w zastraszającym tempie. W końcu ktoś musiał odkryć, że morfiny ubywa.

Zaczną się poszukiwania złodzieja, nikt nie będzie miał wątpliwości, że jedna z pracownic dorabia na boku. Za gram morfiny na ulicy płacono dwadzieścia złotych,

a teraz, kiedy zima utrudniła transport, nawet więcej. Był czas żniw dla wszystkich tych, którzy mieli dostęp do magazynów, aptek i szpitalnych zasobów.

Zarieczna wzięła kilka gramów i zamknęła szafkę. Podniosła się i nagle zamarła, słysząc kroki. Dźwięk szybko stawał się coraz głośniejszy. Zrozumiała, że ktoś musiał dostrzec otwarte drzwi na końcu korytarza.

Może już szukano złodzieja? Może ktoś ją podejrzewał, dlatego nie raczono jej o tym poinformować?

Z trudem przełknęła ślinę. Powinna wiedzieć, że władze domu wychowawczego w pierwszej kolejności zainteresują się tymi, które pracują tu najkrócej. Byłaby pierwsza na takiej liście.

Nie namyślając się długo, dopadła do drzwi i zamknęła je. Przyłgnęła do nich plecami, zamknęła oczy i nasłuchiwała. Zastanawiała się, jaką wymówkę może mieć, by uzasadnić swoją obecność tutaj.

Gdyby był to pierwszy raz, być może coś by wymyśliła, ale teraz, kiedy znikło tyle morfiny? Nikogo nie przekona, że któraś z dziewczyn pod jej opieką potrzebuje zastrzyku.

Rozległo się pukanie. Eliza niemal podskoczyła, wydawało jej się głośne jak wybuch.

– Wiem, że tam jesteś.

Zarieczna otworzyła oczy i zamarła.

– Ana?

– Widziałam, jak zamykałaś drzwi.

Eliza odwróciła się i przez chwilę zastanawiała. Najwyraźniej szczęście się od niej nie odwróciło. Ze wszystkich osób, które mogłyby ją przyłapać, ta jedna nie stanowiła problemu.

Odetchnęła i otworzyła drzwi. Szybko wyszła na korytarz i zamknęła je za sobą. Rozejrzała się, nie dostrzegając nikogo innego.

– Spokojnie – powiedziała Anastazja. – Mało kto się tu zapuszcza.

Eliza popatrzyła na nią z góry.

– A mimo to ty się zapuściłaś.

– Bo szłam za tobą.

– Dlaczego?

– Chciałam porozmawiać o... no cóż, teraz to nieważne. Mamy chyba ważniejsze rzeczy do omówienia.

Zazwyczaj dojrzały styl bycia dziewczyny wywoływał uśmiech na twarzy Zariecznej, ale tym razem był nieprzyjemnie oskarżycielski.

– Co zwijas? – zapytała.

– Posłuchaj, Ana...

– Chcę tylko wiedzieć z ciekawości. Przecież na ciebie nie doniosę.

Eliza ruszyła przed siebie, ale mała zaszła jej drogę i popatrzyła na nią bykiem.

– Niczego nie kradnę. Jedna z dziewczyn potrzebowała...

– Stawiam na morfinę, jej jest najwięcej – ucięła Anastazja. – Poza tym cena jest nie najgorsza. Dostaniesz więcej niż za kokainę, której macie znacznie mniej. Wprawdzie nie tyle, co za heroinę, ale to już zupełnie...

– A ty skąd to wszystko wiesz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie mam na myśli wiedzy z ulicy – sprecyzowała Eliza, marszcząc brwi. – Tę wyssałaś z mlekiem matki. Chodzi mi o to, skąd wiesz, ile czego mamy.

Ana powtórzyła gest, ale tym razem lekko się uśmiechnęła.

– Pewnego dnia sprawdziłam, co i jak.

– Zamierzałaś nas okraść?

Anastazja zaśmiała się cicho, wskazując w kierunku dłoni, którą Zarzeczna chowała za plecami.

– Ty to mówisz? – spytała.

Przez chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Gdzieś z oddali dobiegły ich wesołe kobiece głosy. Klóciły się zarówno z atmosferą, jaka zapanowała na korytarzu, jak i pogodą za oknem.

– I co masz do powiedzenia na swoją obronę?

Zarzeczna uniosła brwi.

– Nie wiedziałam, że jestem oskarżona.

– Jesteś.

Trudno było stwierdzić, czy Ana sobie z niej drwi, czy mówi poważnie. Ostatecznie Zarzeczna uznała, że pierwsza możliwość jest jednak bardziej prawdopodobna. Nie trwała jednak w tym przekonaniu zbyt długo.

– Nie żartuję – zaznaczyła Anastazja. – Przyłapałam cię na gorącym uczynku.

Jej twarde spojrzenie, spokojny ton głosu i fakt, że blokowała przejście, zdawały się to potwierdzać. Eliza nie spodziewała się, że skończy się to w taki sposób. Po chwili uświadomiła sobie powód, dla którego tak jest.

Pokręciła głową z uśmiechem. Młoda zwietrzyła okazję do małego szantażu.

– Czego chcesz, Ana? – spytała.

Dziewczyna uniosła wzrok, jakby istniała niezliczona liczba takich rzeczy.

– Hmm...

– Pospiesz się – poradziła jej Zarzeczna. – Wymuszenie działa tylko, jeśli presja pojawi się szybko. Zanim ofiara zdąży dwa razy się zastanowić.

– To nie żadne wymuszenie, a uczciwa wymiana.

– I na czym konkretnie ma ona polegać?

– Ja daję ci moje milczenie, a ty mi informację.

– O czym?

– O tym, co się stało w Wilnie.

– Wszystko ci opowiedziałam. A resztę wyczytałaś z gazet.

– Nie wszystko.

Eliza głęboko zaczerpnęła tchu. Była przekonana, że nie będą już wracać do tego tematu. Ana początkowo wprawdzie drażyła, ale w pewnym momencie zdecydowała się odpuścić. Wyglądało na to, że pełna wiedza nie jest jej do niczego potrzebna.

A jednak była.

– Chcę wiedzieć, jak wywabiłaś Bruderferajn z ich siedziby.

– Na co ci to?

Anastazja przez chwilę się namyślała. Być może sama nie знаła powodu, a potrzeba poznania całej prawdy była zwykłym dziecięcym kaprysem.

– To był najważniejszy element, prawda? – zapytała. – Gdyby nie to, że Gurewicz zobaczył, jak ci ludzie wychodzą z budynku, nigdy nie zdecydowałby się na napad.

– Owszem.

– W takim razie chcę wiedzieć, jak do tego doprowadziłaś.

– Nie musisz wiedzieć wszystkiego.

– Ale chcę – uparła się. – Tym bardziej, że ty nie masz zamiaru o tym mówić.

Wstydzisz się czegoś? Musiałaś zrobić coś wyjątkowo ohydneho? A może niegodnego?

– Dlatego chcesz wiedzieć? Bo sądzisz, że nisko upadłam?

– Tak.

W jej głosie wychwyciła nutę troski. Zrozumiała, że Anastazja może dociekać rzeczywiście dlatego, by upewnić się, czy Zarieczna nie posunęła się za daleko.

– Zapewniam cię, że moralnie nie dokonałam niczego wątpliwego.

– Nie wierzę ci.

– A powinnaś.

– Niby dlaczego?

– Bo nigdy nie dałam ci powodu, żebyś wątpiła w to, co mówię.

– Ale skoro nic nie mówisz...

– Ana – ucięła Eliza. – Powiedziałam ci wszystko, co powinnaś wiedzieć. Reszta może narazić cię wyłącznie na nieprzyjemności.

Dziewczyna prychnęła i machnęła ręką. Ustąpiła jej z drogi, a potem wykonała zamaszty ruch w kierunku klatki schodowej.

– W takim razie to ja ciebie narażę na nieprzyjemności – powiedziała. – Ale proszę bardzo. Idź. Ja poczekam chwilę, a potem pójdę prosto do naczelnej.

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

– Bo mnie nie znasz. Nie wiesz, co jestem gotowa zrobić, żeby postawić na swoim.

– Ana...

– Wybieraj – przerwała jej stanowczo. – Albo powiesz mi, co chcę wiedzieć, albo złożę donos.

Takie ultimatum w ustach nastolatki powinno brzmieć komicznie. Powinno, ale w tym przypadku tak nie było. Eliza nie musiała dobrze znać dziewczyny, by wiedzieć, że w istocie jest gotowa zrobić wszystko, żeby wymusić na kimś swoją wolę.

– Więc jak będzie?

Zarieczna zdała sobie sprawę, że właściwie podjęła decyzję już jakiś czas temu, aż do teraz nie była jednak tego świadoma. Przynajmniej nie do końca. Co jakiś czas nachodziły ją przeróżne refleksje związane z tym, co zrobiła. I czasem wśród nich przewijało się postanowienie, by powiedzieć Anastazji więcej, niż powinna wiedzieć.

Zaraz potem uznawała, że tylko niepotrzebnie naraziłaby ją na niebezpieczeństwo. Ale teraz? Zagrożenie ze strony Bruderferajn zostało zneutralizowane. Nikt nie podejrzewał, że działania Gurewicza były inspirowane przez kogoś z zewnątrz. Wiedział o tym tylko sam złodziej, a on nikomu już nic nie zdradzi.

– Czas ci się kończy – dodała Ana.

– Nie wiedziałam, że wyznaczyłaś termin upływu swojego ultimatum.

– Zawsze jakiś jest. Przecież nie będę czekać w nieskończoność.

Eliza potaknęła, uniosła kąciki ust, a potem się rozejrzała. Przez chwilę zastanawiała się, gdzie powinny odbyć tę rozmowę. Z pewnością nie na korytarzu, a najlepiej w ogóle nie w domu wychowawczym.

– W porządku – powiedziała w końcu Zarieczna. – Ale musisz uzbroić się w cierpliwość.

– Skończyła mi się.

– Nie będziemy tu o tym rozmawiać. Musisz poczekać, aż skończę dyżur. Pójdziemy do mnie.

– Na Rakowiec? Nie, dziękuję. W taką pogodę nie ruszam się dalej niż...

– Nie – ucięła Eliza. – Wynajmuję stancję na Hożej.

– Dobra decyzja.

Zarieczna pokiwała głową.

– Dzięki temu nie muszę przedzierać się przez zawieruchę każdego dnia. A cena nie jest wysoka.

Anastazja patrzyła na nią badawczo, jakby spodziewała się jakiegoś fortelu. W końcu jednak zgodziła się odsunąć rozmowę o kilka godzin.

O wyznaczonej porze spotkały się na parterze, obie okutane, jakby miały wejść do przerębla, a nie ruszyć przez Oczki i za koszarami skręcić w prawo. Hoża znajdowała się o rzut kamieniem od domu wychowawczego, jednak Eliza i Ana miały serdecznie dosyć zimowej aury. Mróz zdawał się nieprzejeđnany.

Dojście na stancję zajęło im raptem kilka minut. Weszły do zaniedbanego budynku, przywodzącego na myśl raczej lupanar niż miejsce, w którym zatrzymywali się przede wszystkim uczniowie i studenci.

– Nie masz tu chyba za wiele spokoju – zauważyła Anastazja.

Szły po skrzypiących schodach, a dziewczyna niepewnie spoglądała na przegniłe stopnie.

– Wynajęłam mieszkanie na ostatnim piętrze. Jest nie najgorzej.

– Ile pokoi?

– Dwa. Ale nawet o tym nie myśl.

– Nie wiem, do czego pijesz.

– Wilmański jakimś cudem zdecydował się z tobą mieszkać, ale ja ucę się na cudzych błędach.

Ana zrobiła niewinną minę i wzruszyła ramionami. Zatrzymały się przed popękkanymi drzwiami, Zarieczna sięgnęła po klucze do kieszeni. Chwilę mocowała się z zamkiem. Właściciel jakiś czas temu proponował, że zajmie się uszkodzonym mechanizmem, ale zbyła go, twierdząc, że jej to nie przeszkadza. Ważne, że mieszkanie w ogóle się zamykało. I tak było w lepszym stanie niż rodzinne lokum na Rakowcu.

W końcu Elizie udało się otworzyć drzwi.

– Zapraszam – powiedziała, puszczając dziewczynę przodem.

Ana weszła do środka, kilkakrotnie pociągając nosem.

– Nie pachnie tu najlepiej.

– W porównaniu z domem wychowawczym nie, ale przypuszczam, że bywałaś w bardziej śmierdzących miejscach.

– Co to za zapach?

– Papierosów z domieszką alkoholu.

Zarieczna wciągnęła powietrze nosem. Unosiła się tu woń jeszcze jednego specyfiku, choć była przekonana, że do tej pory się wywietrzy. Może powinna na dłużej zostawić otwarte okno, ale ziąb był za duży.

– Nie, nie. Czuję coś jeszcze.

– Może jesteś wyczulona.

– Jestem – przyznała. – Bo znam ten zapach z kilku wyszynków. Właściwie tylko tych lepszych.

Ana obróciła się do niej i skrzyżowała ręce na piersi. Przechyliła głowę na bok, jakby miała zamiar udzielić jej reprimendy.

– Palisz opium? – spytała.

Eliza milczała, wpatrując się w jakiś punkt za dziewczyną. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Przynajmniej przez chwilę.

– Nie – rozległ się głęboki, chrapliwy głos. – Ona nie, ale ja tak.

Dziewczyna obróciła się gwałtownie, jakby usłyszała dudniące echo prosto z zaświatów. W pewnym sensie tak było.





# Rozdział piąty

Wilmański spodziewał się, że w końcu do tego dojdzie. Zarzeczna nie raz i nie dwa wspominała, że powinni wtajemniczyć Anastazję. Podkreślała, że młoda cierpi, umartwia się i bezskutecznie szuka sobie miejsca w życiu, przekonana, że Ernest nie żyje. Argumentowała, że poznanie prawdy dałoby jej trochę motywacji, by zmienić kilka rzeczy, które kładły się cieniem na jej przyszłości.

W którymś momencie Wilmański był niemal gotów się z nią zgodzić, ale pewnego dnia dziewczyna przyszła do domu wychowawczego. Zwróciła się o pomoc, a jemu tyle wystarczyło. Postanowił, że wiedza o tym, co naprawdę się z nim stało, naraziłaby ją na niepotrzebne ryzyko.

Teraz widział, że odbije mu się to czkawką.

Anastazja przez moment trwała w bezruchu. Zbladła i wytrzeszczyła oczy. Potem zatrzęsa się lekko, jakby przez jej ciało przeszedł jakiś ładunek. Ernest spodziewał się wybuchu – i nie pomylił się.

Pierwsze, co dziewczyna zrobiła, było rzucenie się na niego z pięściami. Okładała go po klatce piersiowej, dopóki Eliza jej nie powstrzymała.

– Spokojnie! – krzyknęła, obracając ją do siebie. – Rany mu się zagoiły, ale...

– Skurwysyn!

Wilmański uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że to musi chwilę potrwać, wrócił więc do sypialni po paczkę papierosów. Zapalił i przeszedł do drugiego pokoju. Kiedy dogorywał w łóżku, a w jego żyłach płynęła niemal wyłącznie morfina, pomieszczenie to czasowo zajmowała Zarzeczna. Od kiedy jednak wróciły mu siły, wprowadziła się z powrotem do rodziców. Miał mieszkanie dla siebie, choć właściwie wolałby, żeby Eliza została.

I to nie tylko dlatego, że dbała o niego, jakby za życiowy cel obrała sobie wyrwanie go ze szponów śmierci.

– Ty zapchlony psubracie! – krzyczała z przedpokoju Ana.

Dawał jej jeszcze kilka minut.

– Ernest! – odezwała się Zarzeczna. – Może byś mi pomógł?

Opadł ciężko na fotel i zaciągnął się papierosem. Wiedział, że Eliza sobie poradzi, a jego udział tylko rozjuszyłby młodą. Wypuścił dym, a potem pociągnął kilkakrotnie nosem. Nie czuł opium, najwyraźniej szybko przywykł do tego zapachu, choć niespecjalnie mu się podobał.

Działanie narkotyku też nie znalazło jego aprobaty. Nadto otumaniał, a oprócz tego wprowadzał w głupkowaty, właściwie wesołkowaty nastrój. Wilmański nie lubił samego siebie w takim wydaniu.

Ale nie przyjmował opium dla przyjemności. Zapalił je tylko dlatego, że zabrakło morfiny, a ból w klatce piersiowej był przemożny. Eliza dawała mu inne środki, ale żaden nie działał. W końcu udało jej się nabyć na ulicy trochę opium. Cena była horrendalna, ale nie spodziewali się niczego innego – deficyt towarów dotknął także

rynku narkotykowego.

Po chwili Ernest usłyszał, że młoda się uspokoiła. Weszła powoli do pomieszczenia i popatrzyła na niego nieprzeniknionym wzrokiem. Nie mógł stwierdzić, czy w jej oczach więcej jest ulgi, pretensji czy zaskoczenia.

Uniósł dłonie w ciemnoczerwonych, skórzanych rękawiczkach.

– Będziecie się z tego długo tłumaczyć – odezwała się.

– Nic innego nie planujemy – odparła ciężko Eliza, dopiero teraz ściągając gruby płaszcz.

Ana zrobiła to samo, a potem usiadła na krześle przy niewielkim stole. Wskazała Ernestowi miejsce po drugiej stronie, a ten długo nie zwlekał. Niemądrze było rozjuszać drapieznika, nawet jeśli był jeszcze podlotkiem.

– Co to wszystko ma znaczyć? – rzuciła.

Wilmański nabrał głęboko tchu i już miał zacząć monolog, kiedy dziewczyna uniosła rękę.

– Nie, nie – powiedziała. – Wszystko po kolei. Od początku do końca.

– Od początku, czyli...

– Lichtsohn wchodzi do „Mokradła”, strzela do kelnera, potem do Hertza, a później...

– Panie, świec nad jego duszą – wtrącił Wilmański.

– A później wali do ciebie.

– Tak było. W dużym skrócie i pomijając...

– Pomijając wszystko, co nieistotne. Interesują mnie tylko te ważne rzeczy.

Ernest pokiwał głową, po czym ściągnął wełnianą koszulinę i odchylił podkoszulek. Wskazał na dużą, nieciekawie wyglądającą bliznę na klatce piersiowej, a potem na nieco mniejszą na barku.

– Trafił mnie dwukrotnie – powiedział, wkładając z powrotem koszulę. – I był przekonany, że tyle wystarczy.

– Najwyraźniej się pomylił.

Wilmański potarł bliznę. Nadal miał wrażenie, jakby w pewnym momencie rana sprzed miesiąca miała się otworzyć, a jego dusza ulotnić tą drogą. W narkotycznych majakach czasem widywał nawet, jak się to dzieje.

– Eliza znalazła mnie półżywego.

Spojrzał na Zarzeczną, która podeszła do niewielkiej kuchenki i nastawiła wodę. Nie włączała się do dyskusji, nawet nie obejrzała się przez ramię. Słusznie, uznał Ernest. Wyszła z założenia, że tę rozmowę muszą odbyć we dwoje.

– Wyciągnęła mnie z „Mokradła” przez kancelarię, tylnym wejściem. Obawiała się, że jeśli tylko ktoś spostrzeże...

– Tak, tak – wpadła mu w słowo Ana. – Gdyby ktoś dowiedział się, że przeżyłeś, szybko by cię wykończyli. Nie chcę słuchać rzeczy oczywistych!

– Pozwól mi opowiedzieć, to...

– Sama mogę sobie wszystko wyjaśnić – odburknęła i posłała Elizie wrogie spojrzenie. Ta jednak nadal ich ignorowała. – Albo zabrała cię do szpitala i dała komuś łapówkę, albo zaciągnęła cię do znajomego lekarza.

– Zdecydowała się na to drugie.

– I dobrze. W szpitalu inne gangi mają swoich ludzi.

Wilmański też był tego zdania. Dla niego i Anastazji, którzy byli zaznajomieni ze zwyczajami półświatka, było to oczywiste. Lekarze nierzadko kupowali od przestępców zwłoki do badań, a także handlowali środkami odurzającymi.

Podobne układy zawierali ludzie z Kercelaka, Żydzi, Prałaci, a nawet ci zza Wisły. Gdyby niewłaściwy gang dowiedział się, że Wilmański żyje, wiadomość szybko trafiłaby do Bruderferajn.

– Więc zadekowała cię tutaj i najęła lekarza, tak?

– Mhm.

– Co było dalej?

– Nic dobrego – odparł cicho Ernest. – Długo balansowałem na granicy, podobno nawet raz czy dwa się za nią wychyliłem i spojrzałem w otchłań.

– I zobaczyłeś tam swoje odbicie?

– Nie.

Tym razem nie musiał nawet patrzeć na Zarzeczną, by wiedzieć, że tylko udaje nieobecna. Niełatwo przetrwała tamten okres, opiekowała się właściwie pół człowiekiem, pół zmarłym. Lekarz pomagał, ale tylko wieczorami. Przez cały dzień to na jej barkach spoczywał cały ciężar utrzymania go przy życiu.

– Pompowali w ciebie morfinę, co?

– Niepoważne ilości.

– Więc zostałeś morfinistą?

– Nie wiem. Przekonam się, jak tylko zniknie ból i odstawię leki.

– To nie pora na żarty, do cholery!

Wilmański zapalił kolejnego papierosa i wypuścił dym w stronę zamkniętego okna. Lekki ruch powietrza rozwiał kłęby, dowodząc, że nie jest przesadnie szczelne.

– Nie żartuję – odparł Ernest i zaciągnął się, krzywiąc przy tym, jakby nikotyna szczypała go w oczy. – Nie wiem, jakie będą konsekwencje.

– Skończ to pieprzenie – mruknęła Anastazja. – Nikt nigdy nie wie. Mów, co było potem? To ty podałeś jej wszystkie informacje o Bruderferajn?

Nie odpowiedział, ale nie musiał.

– Oczywiście... – kontynuowała, kręcąc głową. – Kto inny wiedziałby tak wiele? To ty przygotowałeś cały plan.

– Niecały.

Spojrzała na jego rękę, kiedy strzepywał popiół, i dopiero teraz dostrzegła, że ma ciemnoczerwone rękawiczki. Zmrużyła oczy, przyglądając im się.

– Co to za nowy nabytek?

– Starych musiałem się pozbyć.

– Tak, zauważyłam. Wiszą na twoim grobie.

– Uznaliśmy, że to będzie wymowne.

– Nawet zbyt wymowne, jeśli interesuje cię moje zdanie – syknęła. – Ale dlaczego taki kolor?

– By nie było widać krwi.

– Co takiego?

– Zamierzam nieraz zbrukać nią dłonie. To logiczny wybór.

Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się niewyraźny uśmiech. Patrzyła na niego w charakterystyczny dla siebie sposób – jakby to ona była dorosła, a on okazał się niesfornym dzieciakiem. Sięgnęła po paczkę papierosów i sama się poczęstowała.

– Po co ten grób? – zapytała niewyraźnie.

– Musieliśmy przekonać Bruderferajn, że nie żyję.

– No tak...

– Inaczej szukaliby miejsca pochówku do skutku. A gdyby go nie znaleźli, zaczęliby się interesować tym, co wydarzyło się po tym, jak wyszli z „Mokradła”.

Właściwie Ernest obawiał się, że nawet mogiła nie wystarczy. Szybko przekonał się jednak, że Saszka Lichtsohn był tak pewny swego, iż opuścił Warszawę zaraz po egzekucji. Trudno było się dziwić. Ilość krwi, która wylała się z ran postrzałowych, nie pozostawiała wątpliwości, że Wilmański kiedykolwiek wstanie. I nie wstałby, gdyby nie Zarzeczna.

– I? Leżałeś tu przez miesiąc i planowałeś, jak splamić sobie ręce krwią?

– Mniej więcej.

– A ostatecznie uznałeś, że tego nie zrobisz.

– Hm?

– Zemściłeś się na Bruderferajn, nie przelewając kropli krwi.

– Kilka kropli się przelało – odparł ze spokojem. – Gurewicz musiał zginąć. Kilka innych osób musiało oberwać.

– A Lichtsohn i Wójcik, zamiast gryźć piach, siedzą w więzieniu. Tak nie powinno być.

Zabrzmiała jak córka przywódcy gangu. Bodaj po raz pierwszy Ernest pomyślał, że dziewczyny nie czeka świetlana przyszłość. Nawet jeśli na dobre udało jej się wyrwać spod władzy sutenerów, nigdy nie wyswobodzi się z półświatka. Zostanie żoną któregoś gangstera, a ostatecznie zginie w mniej lub bardziej przypadkowej strzelaninie. W najlepszym wypadku pójdzie siedzieć.

Pokręcił głową. Przez to wszystko najwyraźniej stał się fatalistą.

– I nadal nie wiem, jak sprawiliście, że wszyscy wyszli z siedziby.

– To akurat było najłatwiejsze.

– To znaczy?

– Pojechałem do Wilna.

– Co zrobiłeś? Zwariowałeś? W tym stanie?

– Mój stan się unormował.

– Ale twoja norma jest... – urwała i rozłożyła ręce. – Zresztą nieważne. Pojechałeś do Wilna i co?

– Pokazałem się w kilku miejscach – wyjaśnił z satysfakcją. – Wyobraź sobie zdziwienie Bruderferajn, kiedy wieść rozeszła się po mieście. Wszyscy rzucili się, żeby sprawdzić, czy to prawda. A kiedy potwierdzili informacje...

– Zaczęli na ciebie polować.

– Tak – przyznał i zgasił papierosa. Rozbolała go głowa. – Kilku musiałem obić, żeby uwierzyli, że Orkan wrócił. Przy okazji przekonałem się, że skóra dobrze się zrosła. –

Poklepał się po klatce piersiowej.

Nie była tak umięśniona jak kiedyś. Przez miesiąc stracił sporo na wadze, ale planował niebawem rozpocząć wzmożone treningi. Powrót do dawnej formy, jeszcze sprzed przenosin do Warszawy, traktował jako sprawę pierwszorzędą.

Ana przez chwilę wodziła wzrokiem za dymem unoszącym się nad stołem.

– Nadal nie jestem przekonana do tych rękawiczek.

– Są adekwatne.

– Tamte bardziej do mnie przemawiały.

– Tamte należały do człowieka Bruderferajn. Czarnorękiego. A on zginął na podłodze „Mokradła”.

To był prawdziwy powód, dla którego zdecydował się przybić je do krzyża. Moment, w którym Lichtsohn do niego strzelił, był także momentem, w którym zamknął swoją przeszłość za grubym murem.

– Coś jeszcze chcesz wiedzieć? – zapytał.

– Nie. Żałuję, że w ogóle zaczęłam drążyć ten temat.

Woda się zagotowała i dopiero teraz Zarieczna obejrzała się przez ramię. Posłała Wilmańskiemu zdawkowy uśmiech.

– Żyłabym w przekonaniu, że mam od ciebie spokój – dodała Ana.

– Nie każdemu jest dane zaznać takiego szczęścia.

– Niestety. Więc co teraz? Jestem narażona na jakieś niebezpieczeństwo?

– Całkiem możliwe.

Popatrzyła najpierw na niego, potem na Elizę.

– Przecież ci z Bruderferajn siedzą... a reszta bije się o wpływy. Kogo obchodzi, co się dzieje w Warszawie?

Ernest przyjął poważny wyraz twarzy. Podniósł się, otrzepał popiół ze szmacianych spodni, a potem podszedł do okna. Przysiadł na parapecie.

– Wieść o moim pojawieniu się w Wilnie szybko się rozeszła.

– I co z tego? Nawet jeśli ktoś w to uwierzył, to...

– Nieistotne, czy ktoś wierzy, czy nie – uciął. – Liczy się to, że są ludzie, którzy chcą to sprawdzić.

– Jacy ludzie?

– Z placu Grzybowskiego.

– Ten żydowski gang?

– Zgadza się – powiedział i ciężko westchnął. – Ustaliliśmy, że to z nimi Bruderferajn współpracowało.

– W zasadzie logiczne... Żydzi trzymają z Żydami.

– Otóż to – przyznał. – I dopóki nie mam protekcji ze strony Banników, jestem narażony na niebezpieczeństwo. A wraz ze mną wszyscy inni.

Anastazja otworzyła usta, ale przez jakiś czas trwała w milczeniu. Zdawała się układać sobie wszystko w głowie, choć elementów nie było wiele. Wszystko, co on i Eliza robili od ataku na „Mokradło”, stanowiło jedynie odpowiedź na kłody, które los rzucał mu pod nogi.

– Naprawdę liczysz na protekcję Banników? – zapytała w końcu.

Teraz także ona spoważniała.

– Tak.

– Jesteś na bieżąco z tym, co robi Trawicki?

Pokiwał głową. Zarzeczna trzymała rękę na pulsie. Szymon folgował swoim najgorszym, zwierzęcym instyngtom, od kiedy tylko dowiedział się, co miało miejsce. Wydawał wyroki śmierci, porzucał kolejne ciała topielców w publicznych miejscach i rabował, co się dało, a potem opłacał z tych funduszy oficjeli.

Bannicy nigdy nie zdobywali nowych terenów tak szybko. Nigdy nie siali większego postrachu. I nigdy nie odeszli dalej od kierunku, w którym wcześniej zmierzał Fryderyk.

Wilmański znał jego plany, wiedział, że Hertz chciał stworzyć solidną organizację, która przetrwa lata. Organizację wykraczającą daleko poza zwykły bandytyzm. Owszem, zamierzał opanować miasto, ale nie za pomocą najprostszych, najbardziej brutalnych sposobów.

Tymczasem Trawicki obrał inny kurs. Krok po kroku sprawiał, że Bannicy coraz bardziej kojarzeni byli jako banda złodziei, gwałcicieli i morderców, którym nie przyświeca żaden cel poza samym dawaniem upustu swoim żądzom.

– I wydaje ci się, że przyjmie cię z otwartymi rękoma? – spytała po chwili Ana.

– Nie, przypuszczam, że nie.

– Więc może w ogóle nie powinieneś się do niego zgłaszać...

Wilmański nie odpowiadał.

– Prędzej do tych Żydów – dodała. – Bo wydaje mi się, że Trawicki będzie chciał się ciebie pozbyć bardziej niż oni.

– Być może.

Zmarszczyła czoło, kiedy Zarzeczna podała im herbatę.

– Ale masz jakiś plan, tak?

Skinął głową.

– Zamierzasz się nim ze mną podzielić?

– Zamierzam zrobić dużo więcej, niż tylko o tym mówić – odparł z lekkim uśmiechem. – Zamierzam przejąć przywództwo wśród Banników.





# Rozdział szósty

Witkacy miał rację. Ernest słuchał niegdyś jego wywodów w „Małej Ziemiańskiej”, kiedy ten osobliwy literat rozwodził się nad skutkami działania morfiny. Pierwszy raz wiązał się z poczuciem otumanienia i właściwie trudno było uznać, by takie przeżycia zachęciły kogokolwiek do ponownego sięgnięcia po specyfik.

Wilmański jednak nie po to go przyjmował. W piętnaście minut po iniekcji zniknął wszelki ból. Jak ręką odjął, nie pozostawał nawet najmniejszy ślad po jakichkolwiek dolegliwościach. W pierwszych dniach po strzelaniu morfina była dla niego jak dotknięcie boskiej ręki.

Teraz jednak chodziło o coś innego. Coś, co Witkacy określił jako fenomeny, które występują w ludzkiej duszy. Czar morfiny sprowadzał się do tego, że na nowo definiowała każdą, najmniejszą cząstkę bytu. Każdy zastrzyk był jak początek nowego życia. I stawało się to w jednej chwili.

Jedno zdanie, które Wilmański słyszał wtedy w „Ziemiańskiej”, oddawało wszystko, co sam odczuwał. Witkiewicz powiedział, że kiedy bierze zastrzyk, całe zło znika.

W jego przypadku także znikało. Zło, cierpienie, kłopoty, utrapienia, niechęć, wszystko, co negatywne, przestawało istnieć. Nie odsuwało się na dalszy plan, nie zostawało zepchnięte gdzieś w mrok duszy. Znikało.

Sądził, że taki stan ducha nie pomoże mu przed rozmową z Trawickim, więc tego dnia nie przyjął zastrzyku. Zwlókł się z łóżka i spojrzął na flaszki, które wczoraj przyniosła mu Zarzeczna.

Iniekcję zrobił zaraz po tym, jak wraz z Aną opuściły mieszkanie. Ulga była niewypowiedziana.

Teraz jednak potrzebował zła. Chciał, by było paliwem jego duszy, kiedy rozmówi się z Trawickim.

Narzucił na siebie brudną koszulę i kamizelkę, którą niemal udało mu się wyczyścić. Wprawne oko dostrzegłoby jednak ślady zaschniętej krwi. Memento tego, co się wydarzyło.

Potem włożył gabardynowy płaszcz, naciągnął rękawiczki i wyszedł z mieszkania. Miał wrażenie, że zima w tym roku doskwiera bardziej niż kiedykolwiek. Zmrużył oczy, kiedy podmuch wiatru sprawił, że śnieg uderzył go prosto w twarz.

Ruszył przed siebie, niepewny, gdzie znajdzie się za kilka godzin. Mógł zostać w „Mokradle”, wrócić do mieszkania przy Hożej lub skończyć w trumnie. Nie sposób było przewidzieć reakcji Szymona.

Przed lokalem stało trzech mężczyzn. Wszyscy bacznie się rozglądali, żaden się nie objął. Przywodzili na myśl grupę żołnierzy, którym powierzono kluczową misję. I być może tak było. Wprawdzie w obecnej sytuacji nikt nie byłby na tyle nieroztropny, by atakować „Mokradło”, ale najważniejsze były jasne sygnały, które odbierał każdy, kto mijał to miejsce.

Wilmański zatrzymał się przed mężczyznami. Popatrzyli na niego, jakby mieli

trudności z rozpoznaniem go. Potem spojrzeli po sobie zdumieni.

– Ale... – zaczął jeden z nich.

Ernest ruszył przed siebie, a oni natychmiast się rozsunęli. Nie zdążyli wydusić z siebie nic więcej. Wszedł do środka, a potem skierował wzrok na ostatni stolik w spelunie.

Z oddali można było się pomylić i pomyśleć, że wciąż siedzi przy nim Fryderyk. Trawicki od zawsze starał się do niego upodobnić, a teraz zapuścił nawet zbliżony, cienki wąs.

Jedna rzecz sprawiała jednak, że nie mogło być wątpliwości, iż przywództwo Banników objął ktoś inny. W lokalu nie rozbrzmiewał już jazz. Gramofon wyniesiono, a wewnątrz wypełniały głośne rozmowy, dźwięki objającego się o siebie szkła i kobiece śmiechy.

Szczególnie ten ostatni element zdawał się w jakiś sposób klócić z dawnymi zwyczajami. Był to także jedyny plus całej sytuacji, uznał Wilmański.

Przedzierając się przez kłęby dymu, ruszył w stronę stolika nowego szefa. Mijając innych Banników, nie mógł nie odnotować, że rozmowy nagle zamierały. Stopniowo w całym „Mokradle” zapadała cisza.

Kiedy dotarł do stolika Trawickiego, wszyscy milczeli.

Szymon dopiero po chwili zorientował się, że coś jest nie w porządku. Podniósł wzrok znad rozłożonej gazety i zamarł.

– Powstałem z martwych – rzucił Wilmański. – A teraz przysiędę, bo trochę się zmęczyłem.

Usiadł naprzeciwko zdumionego Szymona i spojrzął na fedorę leżącą na blacie. Przeszło mu przez myśl, że Trawicki znacznie przesadza. Czym innym było inspirowanie się swoim przywódcą, czym innym kopiowanie jego stylu co do joty.

– Woł... Wołyniak?

Ernest spojrzął w stronę kontuaru. Na miejscu kelnera stała teraz jakaś dziewczyna, niewiele starsza od Anastazji. Jako jedna z nielicznych zdawała się niesparaliżowana. Podeszła do stolika i uśmiechnęła się.

– Wódki – powiedział Ernest.

Nie odpowiadając, ruszyła do lady.

Wilmański wbił wzrok w oczy siedzącego naprzeciw mężczyzny. Ten sprawiał wrażenie, jakby potrzebował jeszcze dobrej godziny, by zrozumieć, co się stało. Od stolików powoli zaczęli wstawać pozostali Bannicy. Niepewnie zbliżali się do Ernesta i Trawickiego.

– Jak... jak to możliwe? A więc...

– Musiałeś coś słyszeć. Wieści ze wschodu podróżują szybko.

– Słyszałem, Wołyniaku, słyszałem. Ale...

– Co mówili?

– Że Wilmański zmartwychwstał w Wilnie.

– Brzmi to całkiem niezłe. Ale doszło do tego w Warszawie.

Dopiero teraz Ernest uświadomił sobie, że rozmówca patrzy na niego z przestrawieniem. Nie żeby traktował go jako zjawę czy wizytatora z zaświatów – obawa

dotyczyła tego, jak inni będą go widzieć.

Musiał dokonać szybkiej kalkulacji i w mig zrozumieć, jak wielkie zagrożenie stanowi dla niego Wilmański. Z punktu widzenia jego podwładnych, a także członków innych gangów, Ernest był tym, który oszukał śmierć. Tym, o którym będą krążyły miejskie legendy. Prawdziwym Demonem Krwawej Łaźni.

– Gdzie ten balsam? – zapytał Trawicki, unosząc dłoń do dziewczyny.

Ze wszystkich warszawskich określeń półświatka to wydawało się Wilmańskiemu najbardziej adekwatne. I najłatwiejsze do zapamiętania.

Kelnerka przyspieszyła nieco, niosąc dwa kieliszki i butelkę przepalanki. Szybko napełniła szkła, rozlewając nieco na blat. Trawicki strząsnął krople dłonią, a potem chwycił kieliszek i wznosił toast za „powrót przyjaciela”, niemal przy tym krzycząc. Raptownie przechylił naczynie i kazał pobrać jeszcze raz.

Wilmański wypił bez pośpiechu.

– Na rany Chrystusa – skwitował po trzecim kieliszku Trawicki. – Twardy z ciebie skurwiel!

Ernest skinął głową, doceniając ten komplement.

– Opowiadaj. Chcę wiedzieć wszystko.

– Po to przyszedłem.

Wilmański zaczął od tego, jak Lichtsohn zjawił się w lokalu, skończył zaś na tym, jak Zarzeczna umieściła go na stacji nieopodal Alei Jerozolimskich. Nie zagłębiał się w szczegóły, nie chciał zdradzać zbyt wiele.

I nie zająknął się słowem o zemście, którą zaprojektował. Wyszedł z założenia, że może zadziałać to wyłącznie na jego niekorzyść. Wprawdzie sprowadził sprawiedliwość na zabójcę Fryderyka, ale w tym celu nasłał na Bruderferajn policję. A to stanowiło przekroczenie pewnej granicy.

– Mówiłem, że znajomość z tą policjantką ci się przyda!

– Mhm.

– Rozkochałeś sukę w sobie, trzeba ci to przyznać – powiedział Trawicki i znów sobie pobrał. Krytycznie popatrzył na wciąż pełny kieliszek rozmówcy. – Zrobiła dla ciebie więcej, niż powinna.

– To prawda.

– I pozszywała cię sama?

– Nie. Opłaciła znajomego lekarza.

– Mądre dziewczę – przyznał z uznaniem Szymon. – Choć ma pecha do ludzi, z którymi się wiąże. Salomea, ty...

Wilmański nie miał zamiaru z tym polemizować. Salomea spędzała mu zresztą sen z powiek, od kiedy wrócił do siebie. Obawiał się, że Eliza podzieli się z nią swoją tajemnicą, nieświadoma, że Kier właściwie wchodzi w szeregi Banników.

Rozważał, czy nie zdradzić tego Zarzecznej, ale ostatecznie uznał, że przy niepewnej przyszłości najlepiej będzie zachować obecny charakter ich relacji. Nie wiedział, jak wszystko się skończy i w jakim świecie się obudzi. Teraz wydawało się, że podjął słuszną decyzję.

Wcześniej nie był jednak pewien, jak ukształtowały się relacje między Salomeą

a Trawickim. Mogła zdradzić mu zbyt wiele, a to z kolei mogłoby okazać się tragiczne w skutkach. Zarówno dla Elizy, jak i dla niego.

Szymon jeszcze przez kilka chwil próbował nawiązać niezobowiązującą rozmowę i okazywać daleko idącą ulgę i radość. Stopniowo jedno i drugie stawało się jednak coraz mniej wyraźne, a na pierwszy plan zaczęła wysuwać się podejrzliwość. Wilmański się tego spodziewał.

Tak jak pytania, które w końcu padło.

– Wiesz, że jest pewna rzecz, która mnie nurtuje – rzekł konspiracyjnie Szymon.

– Doprawdy?

– Widziano cię w Wilnie.

– Rzekomo tak.

– A zaraz potem aresztowano przywódców Bruderferajn.

Wilmański usłyszał, jak kilku mężczyzn splunęło na podłogę. On sam również miał ochotę to zrobić.

– Łatwo powiązać jedno z drugim – dodał Trawicki.

– Nazywasz mnie zdrajcą?

– Skąd. Kogo miałbyś zdradzić? Przecież nie Lichtsohna.

– Zasady.

– W dupie mam zasady – odparł Szymon i machnął ręką. – Szczególnie te, które obowiązują w Wilnie.

Ernest przez chwilę milczał. Zdawał sobie sprawę, że rozmówca go podpuszcza. Nawet jeśli sam był gotów przymknąć oko na współpracę z policją, wielu Banników nie będzie skłonnych tego zrobić. Wilmański straci w ich oczach, jeśli przyzna się do czegokolwiek.

– Te warszawskie też niespecjalnie cię interesują – zauważył.

– Hę?

– Od pewnego czasu robisz, co ci się żywnie podoba.

– Przeciwnie. Robię wiele rzeczy, które mi nie odpowiadają.

– Jak na przykład?

Na twarzy Trawickiego Ernest dostrzegł wyraźną pretensję.

– Musiałem podjąć wiele trudnych decyzji, kiedy cię nie było, Wołyniaku. Decyzji, które mogły okazać się katastrofalne w skutkach.

– Po co zatem je podejmowałeś?

– Tego wymagała sytuacja. Musiałem znaleźć winnych.

– I znalazłeś ich?

– Nie. Ale ty to najwyraźniej zrobiłeś. I ukarałeś ich w sposób, który... – zawiesił głos, powiódł wzrokiem po mężczyznach stojących za plecami Wilmańskiego, a potem westchnął. – W najgorszy możliwy sposób.

Ernest zdusił w sobie potrzebę, by się odwrócić.

– Nie miałem z tym nic wspólnego.

– Gówno prawda.

– Gdybym miał, wiedziałbyś o tym jako pierwszy.

Szymon odsunął butelkę wódki i kieliszek, a potem oparł ręce na stole. Rozsunął je,

jakby potrzebował zmanifestować, że teraz wszystko tutaj należy do niego.

Właściwie może i tak było. Aż do teraz.

Nikt wprawdzie nie spisał zasad sukcesji w organizacji, ale Bannicy kierowali się w dużej mierze niepisanymi regułami, a często także niedopowiedzeniami i analogią. Pod władzą Hertza cenili sobie logikę – i po jego śmierci była to jedna z rzeczy, które nie powinny się zmienić.

A logika podpowiadała, że skoro Fryderyk miał dwóch zastępców, to istniało przynajmniej dwóch kandydatów do objęcia schedy po nim. Trawicki musiał zdawać sobie z tego sprawę.

I dlatego postanowił nie odpuszczać.

– Zapominasz o czymś, Wołyniaku – powiedział.

Po serdeczności, która jeszcze przed momentem pobrzmiwała gdzieś w jego głosie, nie było już śladu.

– O czym?

– O tym, że nadal mamy Salomeę w strukturach policji.

– I?

– Doniosła o tym, co zrobiła Eliza Zarzeczna – odparł z satysfakcją Trawicki. – Dotychczas sądziliśmy, że chciała cię pomścić, ale... cóż, twoja obecność tutaj mówi sama za siebie.

Wilmański milczał.

– Chcesz, żebyśmy uwierzyli, że działała sama?

– Wierz, w co chcesz – odparł cicho Ernest. – Mnie interesuje jedynie to, że zabójca Fryderyka siedzi w więzieniu.

– To żadna kara. Będzie prowadził tam...

– Nie – uciął Wilmański. – To dotkliwa kara, bo kiedy wyjdzie, nie będzie miał do czego wracać. Bruderferajn już właściwie nie istnieje.

Widział, że Szymon szuka dobrej odpowiedzi, ale nie udało mu się żadnej sformułować. Pokręcił bezradnie głową, jakby przyszło mu się spierać z upartym i niezbyt rozgarniętym interlokutorem.

Wilmański dopiero teraz obrócił się na krześle. Chciał przekonać się, jak reagują pozostali Bannicy. Wszyscy istotni członkowie byli na miejscu, brakowało dwóch, może trzech zaufanych ludzi Hertza.

Wciąż patrzyli na niego z niedowierzaniem. Niczego więcej nie wyczytał z ich twarzy.

– Nie ma co się nad tym rozwodzić – powiedział Trawicki. – Temat uważam za zamknięty.

– Słusznie.

– Ale jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw coś, co rzuci na ciebie cień podejrzeń, wiedz, że...

– Wystarczy – wpadł mu w słowo Ernest.

Spojrzeli na siebie, jakby tylko chwila dzieliła ich od sięgnięcia po broń. Trawicki w zasadzie mógł to zrobić, zapewne chował rewolwer pod fedorą. Wilmański nie miał jednak swojego smitha & wessona.

– Jeśli chcesz mi rozkazywać, musisz bardziej się postarać, Wołyniaku.

– Uprzedzam tylko, że jesteś o krok od rozsierzenia mnie.

Nie planował, że ta rozmowa pójdzie w takim kierunku. Spodziewał się konfrontacji, ale przebiegającej w zupełnie innym tonie – pełnej aluzji, ukrytych prztyczków i niedomówień. Tymczasem zdawali się coraz bardziej rezygnować z pozorów.

A publiczność wciąż się przyglądała. Gdyby to Hertz oznajmił, że uważa temat za zamknięty, byłby to jasny sygnał dla reszty, by się rozeszli. W tym wypadku jednak Bannicy najwyraźniej liczyli na ostateczne rozstrzygnięcie.

Ernest wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Zapalił i czekał. Wiedział, że zbliżają się do konkretów i że ten, który odezwie się jako pierwszy, będzie w znacznie gorszej sytuacji.

– Czego oczekujesz? – zapytał w końcu Trawicki.

– Niczego.

– Nie chcesz wrócić do naszych szeregów?

– Nigdy ich nie opuściłem.

Szymon nie był gotowy przyznać mu racji. Przeciwnie, jego milczenie było wymownym zanegowaniem tego stwierdzenia.

– Niech ci będzie – odparł po chwili. – W takim razie chcesz dla siebie przywództwa, tak?

– Nie ma zasad sukcesji.

– Owszem, nie ma.

– Ale logiczne jest, że Banników powinien poprowadzić któryś z dotychczasowych zastępców Fryderyka.

– Z pewnością. I jeśli ostatni miesiąc...

– Przez ostatni miesiąc nie miałeś kontrkandydata.

– Teraz go mam?

– Owszem.

Ernest uznał, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Zaczynała sprowadzać się do przepychanki, a on chciał jej uniknąć. Nie byli dwoma politykami walczącymi o państwowy stołek, debatowanie do niczego nie prowadziło.

Wstał od stołu i potoczył wzrokiem po zebranych. Patrzyli na niego, jakby oczekiwali, że wygłosi przemowę niczym kandydat na posła. Wilmański zamiast tego wsadził papierosa w kącik ust, a potem ruszył w stronę kontuaru. Przysiadł przy nim i poprosił kelnerkę o koniak.

Skonsternowany Trawicki rozłożył ręce, patrząc wymownie na swoich towarzyszy.

– Chcesz głosowania? – zapytał głośno. – Loterii? Pojedynku?

Ernest nie miał zamiaru odpowiadać. Obserwował, jak dziewczyna nalewa trunek do grubej szklanicy.

– Podchodów? Skrytobójstwa?

Trawicki podniósł się i ruszył w jego stronę.

– Bo po Wilnie chyba wszystkiego mogę się po tobie spodziewać?

Wilmański dopiero teraz obrócił się i posłał mu wrogie spojrzenie.

– Zasugeruj jeszcze raz, że miałem z tym cokolwiek wspólnego, a skończymy to tu i teraz, bez żadnej dintojry.

– Spokojnie, Wołyniaku – odparł protekcyjnie Trawicki. – Nie ma potrzeby się unosić.

Ernest pociągnął niewielki łyk trunku i oblizał usta. Brakowało mu tego smaku, przywodził na myśl dobre czasy. Nie przypuszczał, że będzie wspominał w ten sposób swoje początki w szeregach Banników, ale z dzisiejszej perspektywy wydawały się niemal sielanką.

Wiedział, że czeka go krwawy bój. Bez względu na to, jak dalej potoczy się rozmowa z Szymonem, przeleją litry krwi, zanim któryś z nich ostatecznie zatriumfuje.

– Rozstrzygniemy to tak, jak przystało na Banników – dodał Trawicki. – Tak, jak życzyliby sobie tego Fryderyk.

Ernest czekał w milczeniu na propozycję.

– Zbierzemy wszystkich członków z najdłuższym stażem, niech oni postanowią.

Było to ewidentne wbicie mu szpili. Nie dość, że podkreślił krótką karierę Wilmańskiego w szeregach organizacji, to jeszcze zaproponował, by decyzję podejmowali ci, którzy znali Szymona od lat.

Mimo to Ernest musiał przystać na propozycję, przynajmniej oficjalnie. To, co w istocie robi, było zgoła odmienną kwestią.

– Zgoda – powiedział, a potem opróżnił szklanicę i odstawił ją z hukiem na kontuar.

– Jutro o ósmej wieczorem. Tutaj.

– Nie chcesz tracić czasu.

– Straciłem go wystarczająco dużo.

Chwilę później Wilmański opuszczał „Mokradło”, ściągając mocno poły wysłużonego płaszcza. Nadawał się na jesienne ochłodzenie, ale w zimowej aurze sprawdzał się jak ksiądz na Kercelaku.

Na nowe okrycie nie było jednak co liczyć. Wszystkie środki Ernest przeznaczał na morfinę i nie mógł trwonić pieniędzy na sprawy drugorzędne. Tym bardziej, że specyfik z pewnością jeszcze podrożeje.

Wrócił do mieszkania, a potem spojrzął na flaszkę przyniesioną przez Elizę. Nie był to roztwór przeznaczony do iniekcji, najwyraźniej zapasy były na wyczerpaniu.

Otworzył pojemnik i wypił trochę. Morfina w tej wersji nie działała tak dobrze. Wolniej sprowadzała na niego poczucie błogości, a sam stan był krótkotrwały. Ernest przypuszczał jednak, że tyle wystarczy, by poczuł się nieco lepiej. I by spojrzął z optymizmem w przyszłość, która nie rysowała się w radosnych barwach.





# Rozdział siódmy

Dochodził kwadrans po szóstej, kiedy Wilmański w końcu zjawił się w „Jutrzence”, niewielkiej restauracji przy Złotej 42. Właściciele sumiennie płacili Bannikom haracz, jak każdy w okolicy. Dzięki temu Zarzeczna otrzymała prestiżowe miejsce i dużą zniżkę, gdy tylko oznajmiła, z kim jest umówiona.

Ernest powitał ją skinieniem głowy, nie uśmiechając się. Zajął miejsce po drugiej stronie małego stolika i westchnął. Był wyraźnie zmęczony, a ona nie mogła się dziwić. Od kiedy odwiedził wczoraj „Mokradło”, skupiał się jedynie na tym, by zebrać jak najwięcej ludzi po swojej stronie.

– Spóźniłeś się – zauważyła bez cienia pretensji.

Nie należał do osób, które przepraszają za byle spóźnienie, ale tym razem sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar to zrobić. Zbyła temat uśmiechem, zanim zdążył otworzyć usta.

– Przypuszczam, że miałeś pełne ręce roboty.

– Raczej usta pełne frazesów.

– Odniosły jakiś skutek?

– To się okaże o ósmej – odparł i wyjął z kieszeni marynarki niewielki zegarek. – Jeśli jednak liczba odbytych spotkań i ilość pustosłowia przełożą się na wyniki, to mogę być spokojny.

Skinęła głową. Nie sposób było stwierdzić, czy taka analogia wchodzi w grę. Nie miała wątpliwości, że Wilmański dał z siebie wszystko, by przekonać pozostałych Banników, iż to on powinien przewodzić organizacji, ale Trawicki miał miesiąc, by zjednać sobie poparcie.

Część ludzi zdążyła przyzwyczaić się do tego, że to on jest teraz szefem. Teoretycznie trudno było się spodziewać, że Ernestowi uda się to zmienić, ale po tym wszystkim, co się działo przez ostatnie tygodnie, część Banników mogła chcieć powrotu do dawnych zwyczajów. Była to jedyna szansa Wilmańskiego.

– Zamówiłaś coś?

– To, co każdy inny warszawiak.

– Flaki?

– Otóż to.

– Naprawdę nie rozumiem, skąd bierze się wasze uwielbienie dla tego dania.

– W bigosie i fasolce po bretońsku też nie gustujesz.

– Lubię za to te wasze maczanki.

Eliza też przepadała za podawanymi na ciepło bułeczkami, nadziewanymi mięsem i polanymi obficie sosem grzybowym. Stanowiły pewne *novum*, które przyszło rzekomo z okolic Krakowa, ale na mieście wciąż królowały flaki, bigos i fasolka. Wilmański stwierdził kiedyś, że niczego innego się w stolicy nie jada. I właściwie miał rację.

Kiedy podszedł do nich kelner i skłonił się nisko, Ernest wbił w niego wzrok.

– Dla mnie też dama zamówiła flaki?

- Owszem.
- Dobrze podajecie?
- Najlepsze, panie Wilmański. Garnuszkowe.
- To znaczy?

Kelner uniósł brwi i spojrział na niego z niedowierzaniem, jakby ostatnim, czego się spodziewał, było to, że jeden z Banników nie wie, czym są flaki garnuszkowe. Zarzeczna odchrząknęła znacząco, upominając go.

- Są przyrządzane zgodnie z nakazami tradycji – powiedział kelner.
- Nie znam żadnych flaczanych tradycji – odbąknął Ernest i rozpiął kamizelkę, po czym zakasał rękawy koszuli.
- W całej Warszawie robi się je jednakowo – wyjaśnił pracownik „Jutrzenki”. – Zapieka się w piecu, wrzucając do kamiennego garnka flaki, pulpety, parmezan, smażone masło oraz startą bułkę. Do tego przyprawy.

- Jakie?
- Imbir. Papryka.
- Może być – odparł Wilmański. – Ale proszę mi do tego dodać pełną szklanekę koniaku.
- Ernest...

– Spokojnie. Do spotkania w „Mokradle” jeszcze niecałe dwie godziny. Muszę się odpowiednio nastroić.

Mężczyzna odczekał chwilę, niepewny, czy to całe zamówienie, a potem znów się skłonił i odszedł. Zarzeczna wpatrywała się w Wilmańskiego i szybko doszła do wniosku, że przed momentem musiał łyknąć nieco morfiny. Robił się po niej wesoły, ale na swój sposób. Właściwie przywodził jej wtedy na myśl nieco grymaśnego chłopca.

Przeciągnął się, a potem splótł dłonie na stole i wypuścił ze świstem powietrze.

– Nie wiem, jak ci pepeesowcy i endecy mogą to robić na co dzień.

– Co takiego?

– Przymilać się. Przekonywać. Nagabywać.

– No tak... – skwitowała pod nosem. – Nie jesteś do tego stworzony. Chyba że chodzi o przekonywanie pięściami.

– Nie rób ze mnie brutala.

– Nie muszę.

Docenił tę uwagę lekkim uśmiechem i wyjął papierosa. Nie poczęstował jej, co było całkowicie zrozumiałe. Tacy jak oni nie mieli podobnego odruchu, przywykli bowiem do tego, że kobiety nie palą w miejscach publicznych. W pewnym sensie byli relikami minionego świata.

Wyciągnęła ozdobną papierośnicę, którą jakiś czas temu kupiła na Kercelaku, po czym zapaliła perfumowanego egipskiego. Wypuściwszy wąską strużkę dymu, popatrzyła wyczekująco na towarzysza.

– Oczekujesz raportu? – mruknął.

– Raczej krótkiej relacji. Cały dzień o tym myślałam.

Wydawał się nieco zmieszany. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że niepotrzebnie rzuca takie uwagi. Ilekroć to robiła, Ernest zdawał się wycofywać o dwa kroki, jakby

stojąc w miejscu mógł zabrnąć za daleko w ich relacji.

Odsunęła te myśli. Były zbyt zagmatwane, podobnie jak ich stosunki. Nie potrafiła rozszyfrować, kim dla siebie są i kim mogą się stać za jakiś czas. Nadal pracowała pod przykryciem, a on nie miał o tym pojęcia. Była szpiegiem. W dodatku takim, na którego komisarz liczyła najbardziej.

Kiedy tylko przełożona dowiedziała się o sytuacji Wilmańskiego, nakazała zrobić wszystko, by utrzymać go przy życiu. Właściwie to jej wszystko zawdzięczał. To ona wyłożyła niemałe pieniądze, by zapewnić mu lekarstwa i opiekę.

Eliza na jej miejscu postąpiłaby dokładnie tak samo. Sytuacja była wprost wymarzona. Jeśli Wilmańskiemu udałoby się objąć przywództwo w organizacji i miałby u swego boku Zarzeczną, komisarz zyskałaby dostęp do wszystkiego, co ją interesowało.

– Niepotrzebnie się tym przejmujesz – odezwał się po chwili Ernest. – To ciebie nie dotyczy.

– Tak myślisz?

– Mhm.

Trudno było powiedzieć, o co mu konkretnie chodzi. Eliza mogła przyjąć przynajmniej dwie możliwe interpretacje. Albo chciał zasugerować, że ma zamiar ją chronić przed sprawami półświatka, albo uświadomić, że nie chce jej w swoim życiu.

Tak czy inaczej nie było to podejście, na które liczyła.

– Mnie się wydaje, że dotyczy, ale mniejsza z tym – odparła i zaciągnęła się. – Mów, jak poszło.

– Trudno przesądzić.

– Przekonałeś kogoś?

– Kilku starych wyjadaczy zdaje się niezadowolonych z prostackiego kierunku, który obrał Trawicki. Ich słowa, nie moje.

– Równie dobrze mogłyby być twoje.

Wzruszył ramionami, jakby sam rzeczywiście nie krytykował poczynań Szymona. Tymczasem kiedy leżał w łóżku półżywy, a ona opowiadała mu, co dzieje się na mieście, gotował się w środku.

Wtedy zrozumiała, że wraz z Fryderykiem mieli dalekosiężne plany. Zamierzali uczynić z Banników mafię na wzór wileński. Chcieli powołać zorganizowaną strukturę przypominającą wielką rodzinę, dbającą o swoich i opierającą się na wzajemnym szacunku. Podszytym bojaźnią, ale jednak szacunku.

– Są gotowi cię poprzeć?

– Kilku z pewnością. Ale z pozostałymi może być różnie. Nie chcieli się zdradzać.

– Dlaczego nie? To żadna tajemnica.

Nie odpowiedział, popatrzył tylko na nią znacząco. Tyle wystarczyło, by zrozumiała, że obnoszenie się ze swoimi sympatiami mogło skończyć się tragicznie. Jeśli któryś z kandydatów dowiedziałby się, że ten czy inny Bannik jest przeciwko niemu, nie stroniłby od gróźb czy szantażu. W tym względzie Wilmański i Trawicki działaliby podobnie.

Przerwali rozmowę, kiedy kelnerzy podeszli z jedzeniem i koniakiem. Ledwo

pomieścili wszystko na małym stoliku, a potem wyprostowali się jak żołnierze przed obliczem generałów, skinęli głowami i oddalili się.

Wilmański spojrział krytycznie na danie. Powąchał flaki, a potem sięgnął po łyżkę.

– Pachnie nie najgorzej. Ale przypuszczam, że to pozory.

– Po prostu zjedz. Nie zaszkodzi ci.

Spróbował, a potem odłożył łyżkę i sięgnął po koniak.

– Nie możesz żyć na samej morfinie i alkoholu.

– Jesteś pewna?

Zarieczna zakryła dłonią oczy, a potem przesunęła nią po włosach. Od kiedy zaczęła pracę w domu wychowawczym, nie obowiązywały jej policyjne wytyczne. Przypuszczała jednak, że niebawem się to zmieni i będzie musiała na powrót dbać o to, by włosy nie były za długie.

Nie wierzyła bowiem w to, że Wilmańskiemu uda się zdobyć władzę. Chciała być dobrej myśli, ale racjonalność brała górę. Zdawała sobie sprawę, że raz uzyskanej pozycji Trawicki bez walki nie odda. I o ile Ernest miał skrupuły, o tyle trudno było podejrzewać o to jego przeciwnika.

– Nikt nigdy nie sprawdził tego w praktyce – dodał Wilmański. – Może organizm wytrzyma.

– Patrząc na twoją suchą skórę, kurczące się mięśnie, podkrążone i przekrwione oczy, raczej powątpiewam.

– Jest zima.

– I?

– Część osób tak na nią reaguje.

Nie zamierzała odpowiadać, ale Ernest pociągnął niezobowiązujący temat przez kilka chwil. Najwyraźniej czuł potrzebę, by oderwać się od tego, co robił przez cały dzień. Przypuszczała, że rozmawiał ze wszystkimi Bannikami, którzy za dwie godziny mieli podjąć decyzję. Każdemu przedstawiał ten sam zamysł na przyszłość organizacji, tyle że to nie mogło wystarczyć – dla każdego z nich musiał przygotować konkretną propozycję.

Miał wszystko gotowe zawczasu, sposobił się do tego już od tygodni. Eliza nie była jednak przekonana, czy dobrze rozszyfrował oczekiwania poszczególnych członków. Ani tym bardziej, czy uwierzą jego słowom.

Przez kilka chwil jedli w milczeniu. Potem Zarieczna podniosła wzrok i przez chwilę mu się przyglądała. Nie mogła opędzić się od myśli, że wygląda na pokonanego.

– Będą jakieś przemówienia? – spytała.

– Niestety. Choć powiedzieliśmy już wszystko, co musiało zostać powiedziane.

– Więc wszystko w rękach losu?

– Mniej więcej.

– I sądzisz, że Trawicki niczym nie zaskoczy na ostatniej prostej?

– Liczę na to, że nie. Bo ja nie mam w zanadrzu niczego.

– Może powinienesz mieć.

– Może – przyznał. – Ale co?

Nie miała dla niego żadnej odpowiedzi. Kiedy on przez cały ten czas głowił się nad

argumentami, którymi mógłby przekonać starszyznę Banników, ona zastanawiała się wraz z komisarz, czy mogą wsunąć mu do rękawa jakiegoś asa. Ostatecznie na nic nie wpadły. Trawicki miał czyste papiery, nigdy nie złapano go na gorącym uczynku i był zbyt uważny, by miało się to zmienić.

Wilmański był zdany na siebie.

Dojedli w milczeniu, zamówili deser, a potem wypili trochę alkoholu. Na tyle, żeby poczuć się lepiej przed kluczowym spotkaniem, ale nie zbyt wiele, by nie mieć zamroczonych umysłów.

Potem opuścili „Jutrzenkę” i skierowali się do nieodległego „Mokradła”. Mimo że chodnik po tej stronie ulicy był znacznie lepiej odśnieżony, przechodnie szli przeciwnym. Widzieli, że dziś wieczorem w przybytku Banników coś się dzieje, i postanowili omijać go szerokim łukiem.

W pewnym momencie Eliza odniosła wrażenie, że większość mijanych mieszkańców patrzy na Wilmańskiego z niejakim podziwem. Zupełnie jakby był dowódcą wojskowym wracającym z wygnania, na które niesłusznie go skazano.

Przypuszczała, że wieść o jego powrocie przez pewien czas będzie stanowiła miejską legendę. Nie każdy będzie wierzył w to, że Wołyniak naprawdę przeżył i znów przechadza się ulicami Warszawy.

– Niedługo będzie o tobie pisał Artur Oppman.

– Kto?

Zarieczna skrzywiła się, jakby pytanie przybrało fizyczną formę i ubodło ją prosto w serce.

– Autor *Legend warszawskich*. Na Boga, Wilmański, czy ty naprawdę nigdy się nie zasymilujesz?

– Jak Bóg da, nigdy.

– Ale bazyliuszka kojarzysz, prawda?

– Tego stwora, który rzekomo urzęduje w piwnicy jednej z kamienic przy Krzywym Kole?

– Tak. Staniesz się podobną miejską atrakcją.

– Nie sądzę.

– To spójrz, jak ci ludzie na ciebie patrzą.

Dopiero teraz zdawał się zainteresować mijanymi osobami. Kiedy tylko spojrzał na kogoś, przechodzień natychmiast uciekał wzrokiem. Wilmański mruknął coś pod nosem, ale Eliza nie miała zamiaru dopytywać co.

Przed lokalem stała grupa mężczyzn uważnie rozglądających się w poszukiwaniu zagrożenia. Kiedy Ernest do nich podszedł, skinęli mu głowami jak jeden mąż, okazując nieudawany, ale też nieczłołobitny szacunek.

– Wszyscy już są? – zapytał Wilmański.

– Prawie. Czekamy jeszcze na Talkiewicza.

Ernest zacisnął usta i spojrzał z niezadowoleniem na Zarieczną. Nie musiał się odzywać, by zrozumiała, że kimkolwiek był Talkiewicz, obstawał za modelem organizacyjnym, do którego dążył Fryderyk Hertz.

Spóźnienie przy takiej okazji nie było w dobrym stylu, a oni zjawili się na styk. Jeśli

kogoś brakowało, oznaczało to zapewne, że już nie przyjdzie. I Eliza nie miała wątpliwości, dlaczego tak się w tym wypadku stało.

Wilmański wyjął zegarek, postukał palcem w tarczę, a potem się rozejrzył.

– Trudno – orzekł. – Zaczniemy bez niego.

Ruszył w stronę wejścia, a Eliza poszła za nim. Natychmiast jednak drogę zastąpił jej jeden z mężczyzn. Wyciągnął ku niej otwartą dłoń, przywodząc na myśl policjanta, a Wilmański zareagował instynktownie, odtrącając rękę.

– Spokojnie – odezwał się Bannik. – Nie chciałem...

– Nigdy nie podnoś na nią ręki.

– Ja tylko...

– Wchodzi ze mną – rzucił surowo Ernest.

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

– Szef kazał nie wpuszczać nikogo, kto nie jest nasz.

– Ona jest nasza. Ręczę za nią.

– Przepraszam, ale...

Bannik urwał, kiedy Wilmański odsunął Zarzeczną i stanął przed nim. Znajdowali się na tyle blisko, że gdyby doszło do bijatyki, żaden nie zdołałby wziąć zamachu. Mężczyzna cofnął się o pół kroku.

– Wejdz tam ze mną tak czy inaczej – oznajmił Ernest. – A ty albo się odsuniesz, albo będziesz leżał na ulicy, czekając na karetkę.

– Ale szef...

– Nie obchodzi mnie, co rozkazał. Zaraz może przestać być szefem.

Wilmański spojrział na pozostałych ochroniarzy. Zastąpili im drogę, blokując przejście. Wprawdzie nie wyglądali, jakby sprawiało im to satysfakcję, ale Eliza nie miała wątpliwości, komu okażą lojalność. Ernest nic nie wskóra groźbami. By ich przepuścili, będzie musiał przejść od słów do czynów.

– Masz ostatnią szansę – syknął, poprawiając poły płaszcza, jakby miał zamiar zrzucić go na śnieg.

– Może poślę po szefa, niech on...

– Już ci powiedziałem, że nie interesuje mnie zdanie Trawickiego.

– To nie zdanie, a rozkaz.

– Tym bardziej mam go w poważaniu.

Zarieczna zdawała sobie sprawę, że tylko krok dzieli Wilmańskiego od przywalenia rozmówcy. Nie byłby to dobry początek spotkania, na którym miano zadecydować o jego losie. I być może właśnie dlatego Szymon postanowił, by jej nie wpuszczać.

– W porządku, Ernest – powiedziała. – Poczekam w „Jutrzence”.

– Nie.

Zbliżyła się do niego, wzięła go za rękę i chciała odciągnąć. Mimo że włożyła w to sporo siły, nie ruszył się o krok.

– Nie komplikujmy sprawy – dodała.

Dopiero teraz odsunął się kawałek. Jego rozmówca skorzystał z okazji i dołączył do swoich towarzyszy, ustawiając się przed drzwiami. Jeden z nich spojrział nerwowo na zegarek.

– I tak jest bardziej skomplikowana, niż sądziłem – powiedział cicho Wilmański.

– Masz na myśli Talkiewicza?

Kiwnął głową.

– Jeśli miałem jakiegoś solidnego poplecznika, to był nim właśnie on.

– Używasz czasu przeszłego nie bez powodu, prawda?

– Obawiam się, że tak.

– Sądzisz, że Trawicki go zabił?

– Raczej najął kogoś, by to zrobił.

O więcej nie pytała. Uznała, że nie pora teraz na takie rozważania, a spóźnienie byłoby równie fatalnym początkiem spotkania, co bijatyka przed wejściem do wyszynku.

– Idź – rzuciła. – Zbliża się pora głosowania.

– Nie mam zamiaru wchodzić tam bez ciebie.

– Nie jestem ci do niczego potrzebna.

Milczał. I w jakiś sposób było to wymowne.

– No już – ponagliła go. – Szkoda czasu, Ernest. Pora działać.

– Jeśli cię tam nie wprowadzę, Trawicki wygra jeszcze przed linią startu.

– Nie żartuj. Nikt nawet nie wie, że przyszedłam tutaj z tobą i nie zostałam wpuszczona.

– Oprócz tych trzech.

– Którzy o niczym nie powiedzą. Sam widzisz, że są po twojej stronie.

– Gdyby byli...

– Wykonują tylko rozkazy – ucięła. – A ja to doskonale rozumiem.

Przypuszczała, że jeszcze przez jakiś czas będzie musiała go przekonywać, ale rozum najwyraźniej wziął górę nad emocjami. Przez chwilę patrzył jej prosto w oczy, a potem w końcu się zgodził.

Odprowadzała go wzrokiem, gdy wchodził do „Mokradła”. Widziała jeszcze, jak sprawnym ruchem zrzuca gabardynowy płaszcz, a potem drzwi się zamknęły.





# Rozdział ósmy

Nie ulegało wątpliwości, że Trawicki dobrze się przygotował. Wilmański liczył na to, że to samo będzie mógł powiedzieć o sobie, ale już po wejściu do lokalu zrozumiał, że na tym polu ustępuje przeciwnikowi.

Nie dość, że ten zneutralizował największe zagrożenie w postaci Talkiewicza, to jeszcze przed rozpoczęciem batalii pokazał, jak lojalni są wobec niego Bannicy. Nawet ci, którzy sympatyzują z Ernestem. Nie bez powodu wybrał tych trzech mężczyzn, by pilnowali wejścia.

Niczego nie robił bez powodu.

Także niewpuszczenie Elizy nie było przypadkowe. Z jednej strony był to prztyczek, z drugiej sensowna decyzja. Niemądrze byłoby mieć stróża prawa w miejscu, gdzie decydowały się losy organizacji przestępczej.

Tym bardziej, że Wilmański wśród zebranych wypatrył córkę Fryderyka.

Salomea Hertz również szybko go zobaczyła. Kiedy ruszyła w jego stronę, zaczął zastanawiać się, czy nie popełnił błędu. Rozmawiał z wieloma Bannikami, ale nie pomyślał o tym, by zwrócić się do niej. Na dobrą sprawę jej zdanie mogło okazać się kluczowe.

Podali sobie ręce i spojrzeli na siebie bez wyrazu.

– Przez chwilę byłam gotowa, by wyjść przez bimbrownię – powiedziała.

– Hm?

– Słyszałam, że niewiele brakowało, byś wparował tu z Elizą.

– Ale...

– Jeden z chłopaków relacjonował, co się dzieje, jak tylko usłyszał podniesione głosy na zewnątrz.

Wilmański zaklął w duchu. Powinien spodziewać się, że ten teatr nie był przeznaczony wyłącznie dla niego. Salomea czekała na odpowiedź, ale po chwili najwyraźniej uznała, że nie powinna na nią liczyć.

Ernest powiódł wzrokiem po zebranych, a potem skupił go na dziewczynie. Nie przypominała ojca, podobna była bardziej do matki. Szczególnie teraz, gdy nie musiała niczego udawać. Podkręciła modnie włosy, tworząc na nich miękkie fale, i włożyła strój wieczorowy. Sprawiała wrażenie, jakby zaraz po spotkaniu Banników wybierała się na dansing do „Adrii”.

Zbliżyła się nieco, a potem nachyliła mu się do ucha.

– Myślisz, że coś wskórasz? – szepnęła.

– To się okaże.

– Trzymam kciuki.

Odsunął się i spojrział na nią badawczo.

– Doprawdy?

– A jak sądzisz? – odbąknęła, zerkając krytycznie w stronę Trawickiego. Był zajęty rozmową z kilkoma mężczyznami, którzy otoczyli go szczelnym kordonem. – Wydaje ci

się, że odpowiada mi to, co on robi?

– Nie wiem.

– Więc zastanów się.

– Nie mam nad czym. Nie znam cię na tyle, by cokolwiek stwierdzić.

– Ale dobrze poznałeś mojego ojca. A ja odziedziczyłam po nim więcej, niż mógłbyś się spodziewać. Niech pozory cię nie zmylą.

Tego ostatniego nie musiała mu przypominać. Jeśli w „Mokradle” była osoba, która mogłaby konkurować grą aktorską z Polą Negri i Gretą Garbo, to jedynie ta dziewczyna. Wystarczyło na nią spojrzeć. Z zawstydzonej, niepewnej i cichej myszki przeistoczyła się w pewną siebie gwiazdę wieczoru. W jej oczach widać było nawet pewną arogancję, przekonanie o wyższości nad pozostałymi zebranymi. Wiele kobiet czułoby się nieswojo w towarzystwie tylu mężczyzn – ona zdawała się pławić w tej sytuacji.

– Jeśli Szymon dalej będzie nas prowadził, trafimy w ślepy zaułek – dodała.

– W takim razie dlaczego niczego nie zrobiłaś?

– Czego?

– Jako córka Fryderyka miałaś zapewne coś do powiedzenia, gdy Trawicki obejmował władzę.

– Trwał kryzys, Wołyniak. Nikt nie miał nic do gadania.

Zwróciła się do niego tym samym określeniem i używając niemal identycznego tonu jak jej ojciec. Wilmańskiemu przemknęło przez głowę, że może rzeczywiście ma w sobie więcej z Hertza, niż przypuszczał.

Byłaby z pewnością cennym sojusznikiem. Wprawdzie formalnie nie znajdowała się w szeregach Banników, ale wielu liczyło się z jej opinią. Szanowali ją, każdy bowiem wiedział, ile poświęciła, by znaleźć się w policji. I z jakim traktowaniem się tam spotkała.

Poza tym imponowało im, że potrafi tak skutecznie odgrywać swoją rolę.

– Wciąż możesz coś zrobić – odezwał się Ernest.

Skinęła spokojnie głową, jakby spodziewała się tej uwagi.

– Co konkretnie masz na myśli?

– Poprzyj mnie publicznie.

– To byłoby ryzykowne – odparła cicho. – Jeśli opowiem się po stronie przegranego, wygrany będzie miał mi to za złe przez lata.

– Ryzyko nagle zaczęło ci przeszkadzać?

Uśmiechnęła się przewrotnie. Stała na tyle blisko, że czuł wyraźnie nie tylko zapach jej perfum, ale także mydła. Patrzyła mu głęboko w oczy, jakby znali się znacznie lepiej, niż miało to miejsce w rzeczywistości.

– Załóżmy, że ci pomogę – odezwała się. – Czego mogę oczekiwać w zamian?

– To zależy.

– Od?

– Od tego, jaki warunek postawisz.

– Nie wiedziałam, że noszę się z takim zamiarem.

– Oczywiście, że tak – odparł i westchnął ciężko. Miał dosyć tych podchodów. –

Przecież właśnie po to do mnie podeszłaś. Powiedz więc, czego chcesz, a potem zaczniemy to przedstawienie.

Ernest nie miał żadnych obaw, że urazi ją swoją bezpośredniością. Owszem, nie znał jej zbyt dobrze, ale nieraz rozmawiał na jej temat z Fryderykiem. Hertz podkreślał, że zanim jeszcze się urodziła, jej dusza była hartowana przez samego diabła niczym najtwardsza stal przez kowala.

Gdy Wilmański patrzył w jej oczy, mógłby przysiąc, że w istocie tak było. Zrzucając maskę przeznaczoną dla policji, obnażała bezkompromisową, stanowczą i charakterną osobę. Nie miał wątpliwości, że ceni sobie konkrety.

– W porządku, Wołyniaku – powiedziała z satysfakcją. – Oczekuję rzeczy najbardziej oczywistej. Doskonale wiesz jakiej.

– Chcesz znaleźć się formalnie w szeregach.

– Nie tylko. Chcę być twoją prawą ręką.

– To niemożliwe. Doskonale zdajesz sobie sprawę, że...

– Że jeśli wygrasz, będziesz trzymał swojego większego wroga jak najbliżej? – wpadła mu w słowo. – W przypadku Trawickiego to będzie ogromny błąd. Nie odpuści i będzie czekał na okazję, by przejąć władzę.

– A ty nie?

– Ja także – przyznała i zaśmiała się cicho. – Ale jeśli kiedyś mi się to uda, zapewniam, że cię nie zabiję. Tymczasem on zrobi to, gdy tylko nadarzy się okazja.

Właściwie trudno z tym polemizować, przyznał w duchu Wilmański. Zamierzał powołać Szymona na swojego zastępcę, uznając, że wyśle to pozytywny sygnał dla wszystkich, którzy za nim nie optowali. Zamierzał zjednoczyć szeregi.

Istniały jednak inne sposoby, by to osiągnąć. Poświęcenie Trawickiego dla układu z Salomeą w istocie nie było żadnym wyrzeczeniem.

– Nie jestem pewien, czy to w ogóle możliwe – zaznaczył. – Reszta może się zbuntować.

– Wytłumaczysz im, że nie ma żadnego regulaminu.

– Jeszcze nie – zastrzegł. – Jeśli obejmę przywództwo, zamierzam usystematyzować pewne kwestie.

– Słusznie. A ja ci w tym pomogę – dodała, zbliżając się jeszcze trochę. Musiał się cofnąć, by nie znaleźli się za blisko. – Umowa stoi, Wołyniaku?

Wyciągnęła rękę tak, by nikt stojący za jej plecami tego nie dostrzegł. Wilmański spojrzał na jej dłoń. Nie miał się nad czym zastanawiać, tylko to mogło go w tej sytuacji uratować. Szybko uścisnął jej prawicę, a ona odsunęła się na komfortową odległość.

– Wywołaj mnie na środek – szepnęła. – Ale dopiero, jak będziesz zmierzał ku końcowi. Zadam ostatecznie uderzenie.

– Nie wiem, jaka będzie kolejność.

– Najpierw on, potem ty. Tak ustalono.

Jej ukradkowy uśmiech świadczył o tym, że miała w tej sprawie coś do powiedzenia. Musiał przyznać, że sytuacja powoli robiła się dla niego nieco korzystniejsza. Mówiąc jako drugi, miał większe szanse, by trafić do niezdecydowanych. To jego słowa będą im

jeszcze rozbrzmiewać echem w głowie, gdy będą głosowali.

– Jeszcze jedna rzecz – odezwała się Salomea. – Mam coś dla ciebie.

Skinęła na niego, a potem oboje podeszli do kontuaru. Kiedy przechyliła się przez ladę, sądził, że wyciągnie jakiś dobry koniak, który chowano od lat na taką okazję. Okazało się jednak, że nie sięgała po butelkę.

– Co to jest? – wypalił.

Trzymała w ręce szarą fedorę i nie spieszyła się, by odpowiedzieć. Na dobrą sprawę nie musiała. Spojrzał na szerokie rondo i wklęsłą fałdę na główce. Musiał przyznać, że jeśli kiedykolwiek zdecydowałby się nosić jakikolwiek kapelusz, to właśnie taki. W dodatku pasował kolorystycznie do jego płaszcza.

– Nie założę tego tutaj – powiedział.

– Nie musisz. Połóż ją na stole, zanim zaczniesz mówić.

Chwycił za rondo i przyjrzał się fedorze. Zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Trawicki uderzył kilkakrotnie dłonią w stolik, przy którym niegdyś siedział Hertz. Wszyscy zamilkli, obracając się ku niemu.

Nie był to zbyt wyszukany sposób, by przykuć uwagę zebranych, ale z pewnością skuteczny. W pewien sposób takie zachowanie definiowało Trawickiego. Był nieskomplikowanym, ale sprawnie działającym człowiekiem. Mięśniakiem, który w odpowiednim momencie trafił pod skrzydła osoby, dzięki której sam mógł rozwinąć swoje.

Nadal było w nim wiele prymitywizmu, potrzeby uciekania się do bezmyślnej siły fizycznej, ale gdzieś w tym wszystkim znalazło się miejsce dla sprytu i przebiegłości, które wykształcił w nim Fryderyk.

– Pora zaczynać – oznajmił Szymon. – Bannicy nie mają w zwyczaju długo pozostawiać otwartych, nierozwiązanych spraw. Zamknijmy tę jak najszybciej.

Po sali przeszedł cichy pomruk aprobaty.

– Ustaliliśmy, że obaj wygłosimy krótkie przemówienie. Na waszą szkodę, bo żadni z nas mówcy.

Kilku mężczyzn zaśmiało się chrapliwie. Najpewniej ci, którzy cały wieczór przygotowywali się do tego posiedzenia z pomocą wódki, piwa lub koniaku.

– Będę więc oszczędny w słowach – ciągnął Trawicki, obchodząc stolik. Stał za nim, popatrzył na swoją fedorę, a potem położył dłonie na blacie i pochylił się. Opuściwszy nieco głowę, potoczył wzrokiem po tych, którzy stali najbliżej.

– Znacie mnie od lat – dodał. – Wiecie, jakich ludzi cenię, a jakimi pomiatam. Wiecie, co dzieje się z tymi, którzy cenią mnie, i z tymi, którzy próbują mną pomiatać. Co więcej wam potrzeba?

Kilku znów cicho się zaśmiało.

– Przez miesiąc mogliście obserwować, jak dowodzę. Niech moje decyzje same się bronią, nie potrzebują zgrabnych słów. Niech się na nie sili Wołyniak, to on jest wielkim znakiem zapytania. Człowiekiem zagadką, przyjezdnym, obcym, który wkupił się w łaski Hertza. Niech powie, co planuje i jak zamierza to osiągnąć. Niech zapewni, że nie zrobi z Banników drugiego Bruderferajn. Niech pokaże, że jest godzien stanąć na czele. I że podoła, bo do tego mam największe wątpliwości. Zapytacie: dlaczego?

Odpowiem, choć z ciężkim sercem.

Westchnął ze współczuciem, ale była w tym także jakaś pretensja.

– Bo był tutaj, kiedy zginął szef. Zawiódł. Sam uszedł z życiem, ale pozwolił zamordować Fryderyka. To wszystko, co ma dla mnie znaczenie.

Trawicki wyprostował się, spojrzał w zadumie przed siebie, a potem odszedł od stolika. Posłał Wilmańskiemu pełne satysfakcji spojrzenie.

Ernest mu się nie dziwił. Reakcje zebranych zdawały się jednoznaczne. Wszyscy kiwali głowami.



# Rozdział dziewiąty

Czarna fedora leżała na blacie jak pozostawione przez Trawickiego wyzwanie. Wilmański spojrział na nią z góry, po czym podniósł ją i spokojnie odłożył na krzesło. Na jej miejscu umieścił swój szary kapelusz.

Powiódł wzrokiem po zebranych, a potem popatrzył na Szymona.

– Miało być krótko – zauważył pod nosem.

Wśród mężczyzn przeszedł szmer, a Trawicki zaśmiał się cicho, najwyraźniej uznając, że wypada to zrobić. Ernest od razu poczuł, że jest na straconej pozycji.

– Właściwie miało być w ogóle bez przemówień – dodał.

– Wolałbyś starcie na ringu? – odezwał się Szymon.

Wilmański kiwnął głową z powagą.

– Chyba nie tylko ja – odparł.

– W takim razie...

– Może kiedyś – uciął szybko Ernest. – Chętnie się z tobą zmierzę, ale to nie pora ani miejsce.

– Szkoda.

Wilmański przypuszczał, że przeciwnik nie byłby tak butny, gdyby w istocie stanęli razem w ringu. Owszem, był bardziej umięśniony, młodszy i zahartowany w ulicznych bojach, ale brakowało mu techniki. Wymiana kilku pierwszych ciosów uświadomiłaby mu, że nie będzie tak łatwo, jak mógłby się tego spodziewać.

– Ale traktuję to jako obietnicę na przyszłość – dorzucił Szymon.

– Ja również. Przyjdzie pora, że skrzyżujemy rękawice.

– Oby.

Trawicki ciągnął wymianę zdań z premedytacją, chcąc pokazać, że nawet kiedy przyszła kolej na przemówienie Wilmańskiego, to on wciąż kontroluje sytuację. Ernest oderwał od niego wzrok i postanowił ignorować dalsze zaczepki.

– Starcie bokserskie może i paru z was by przekonało – podjął Wilmański. – Pokazałoby, kto ma większy hart ducha i umiejętności. Wątpię jednak, by czcza gadanina osiągnęła podobny efekt.

Nikt nawet nie skinął głową. Ernest uświadomił sobie, że w szeregach jego popleczników brakuje kogoś, kto nadałby ton reakcjom. Tę funkcję pełniłby Talkiewicz, gdyby tutaj był. Gdyby Szymon w porę nie usunął go ze sceny.

– Nie mamy zresztą o czym deliberować – ciągnął. – Jak mówił Trawicki, przez miesiąc mogliście przekonać się, dokąd chce poprowadzić Banników. Wszyscy dostrzegacie, że to kierunek, który zbliży nas do Prałatów. Do organizacji, która oprócz noszenia muszek w tym samym kolorze, nie ma żadnych zasad.

Nadal nie dostrzegł żadnego wyrazu aprobaty.

– Do organizacji, która nie opiera się na niczym, do czego dążyłby Fryderyk, gdyby tutaj był. On zamierzał budować naszą renomę na szacunku wynikającym ze strachu. Zakładał, że to nie odwet, ale sama groźba jego wymierzenia jest najlepszym

narzędziem do osiągnięcia celu. Mój konkurent uważa inaczej.

Długo przygotowywał tę przemowę, ale słowa nie chciały się kleić. Szło mu opornie, nie był pewien, czy brzmi na odpowiednio zdeterminowanego, by kogokolwiek przekonać. Twarze Banników nadal były nieprzeniknione i trudno było uznać to za dobry omen.

– Fryderyk chciał stworzyć wspólnotę – kontynuował Wilmański. – Chciał scalić nas w coś trwałego. Zagwarantować każdemu pomoc, gdyby przyszło co do czego. Zamierzał zagwarantować spokój i wsparcie dla waszych rodzin. Zapewnić przyszłość waszym dzieciom. Chciał stworzyć własne państwo w tym mieście. Państwo, które będzie wszystkim, czego potrzebujemy.

Spojrzał na Salomeę, a ta uśmiechnęła się lekko.

– Trawicki chce czegoś innego. Bandy bezmyślnych idiotów, którzy będą szlajać się ulicami Śródmieścia i szukać problemów. Nie chce, by ludzie nas szanowali, nie obchodzą go te sprawy. Nie patrzy w przyszłość, bo jest skupiony na tym, co tu i teraz. Na rozwaleniu nosa jakiemuś nędznemu handlarzowi, który zapomniał zapłacić pięćdziesięciu złotych haraczu.

Pożałował, że nie nalał sobie koniaku. Przydałby się choć łyk, bo zaczęło zasychać mu w gardle. Nie czuł się dobrze w tej sytuacji, w istocie wolałby znaleźć się na ringu, nawet jeśli przyszłoby mu walczyć z groźniejszym przeciwnikiem.

Przełknął ślinę.

– Różnica między nami jest taka, że pod moimi rządami nikt nigdy nawet nie pomyśli o tym, by nam nie zapłacić – ciągnął. – Uczynię z Banników organizację, o jakiej marzył Fryderyk.

Zaczął odbiegać nieco od przygotowanej mowy. Ze zdziwieniem wychwycił w swoich słowach niejaką nostalgię, być może spowodowaną tym, że w oczach wielu zebranych także się pojawiła, gdy wspomniał o wizji Hertza.

– Możemy być silni – dodał. – Nie tylko tutaj, ale w skali kraju. Mieliśmy wielkie, ale i możliwe do realizacji założenia. Czas je wykonać, a nie pracować się po mordach pod Kercelakiem. Niech robią to tamtejsze bandy, niech gonią za własnym ogonem. Skończą za kratkami lub na cmentarzu, a ich rodziny trafią na ulice. My w tym czasie będziemy pławić się w luksusie. Bo to, co wam gwarantuję, to dostatnie życie. Ze mną za sterami nigdy nie zabraknie wam na nic. Będziecie narzekać raczej na nadmiar dobrobytu.

Dyktatura pieniądza. Według Elizy właśnie wizja takiego ustroju miała przekonać Banników, że najlepiej będzie postawić na Wilmańskiego. Ten początkowo nie był przekonany, czy słusznie iść w tym kierunku, ale ostatecznie się zgodził. Same idee Hertza i zapewnienie o rodzinnej formie organizacji mogły okazać się niewystarczające.

Ernest wyprostował się i uznał, że pora przejść do konkretów. Wyszedł z założenia, że jeśli przedstawi zebrany coś więcej niż tylko mętne zapowiedzi, będzie miał większe szanse, by mu uwierzono.

– Czas wprowadzić do Warszawy więcej narkotyków dla elit – rzucił. – Gazety piszą o morfinomanii, ale to tylko kropla w morzu. Jest wielkie zapotrzebowanie na eukodal



i eter, a śmietanka płaci za nie niebotyczne kwoty. – Wilmański zrobił pauzę, rozglądając się. – Mój konkurent chce sprzedawać papierosy na sztuki po pięćdziesiąt groszy, ja zamierzam być hurtownikiem tego, co naprawdę dochodowe. I dzielić się sprawiedliwie wszystkimi dochodami.

Kontynuował jeszcze przez chwilę, mówiąc o tym, jak szybko rozwija się popyt na haszysz oraz heminę. Argumentował, że Urząd Śledczy powołał nawet specjalną komórkę, co miało służyć jako najbardziej przekonujący dowód na to, jak wielu ludzi jest gotowych sięgać po te narkotyki.

– Pięćdziesiąt złotych za gram – powiedział Wilmański. – Tyle będziemy zarabiać w najgorszym możliwym wypadku. Jeśli Trawicki zaproponuje lepszy układ, sam na niego zagłosuję.

Dopiero teraz rozległy się ciche śmiechy.

– Ale taka propozycja nie padnie – dodał Ernest. – Mój konkurent bowiem nie ma pojęcia, jak prowadzić prawdziwy interes. Był blisko Fryderyka, ale jedynie po to, by zmieniać płyty gramofonowe. Hertz nigdy nie pozwalał mu podejmować żadnych decyzji, bo wiedział, jak się to skończy.

Wilmański poczuł na sobie ciężkie spojrzenie przeciwnika.

– Trawicki wspominał też o tym, że szybko awansowałem – kontynuował Ernest. – Pomiął jednak powód, dla którego tak się stało. Otóż Fryderyk szukał kogoś, komu mógłby powierzyć część zadań. Szukał prawej ręki, człowieka, który zna się na rzeczy. Człowieka, któremu może zaufać bez obaw o to, że spieprzy sprawę. I znalazł go. Dlatego postanowił szybko wcielić go w struktury Banników.

Wilmański na moment urwał, by zebrani mieli czas przyjąć to do wiadomości.

– Mój przeciwnik to świetny żołnierz, świetny zastępca, o ile wykonuje czyjeś rozkazy. Nie nadaje się jednak do tego, by samemu je wydawać.

Ernest podniósł fedorę, zgiął nieco boki główki, a potem potoczył wzrokiem po mężczyznach. Wszyscy patrzyli na niego, nikt nawet nie zerkał w kierunku Trawickiego. Wilnianin musiał przyznać, że poszło lepiej, niż się spodziewał.

– Ale jeśli któryś z was mi nie wierzy, może da wiarę słowom córki Fryderyka.

Odsunął się, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, że Salomea ruszyła w jego kierunku. Zamienili się miejscami przy stoliku sprawnie, jakby ćwiczili ten scenariusz od miesiący. Dziewczyna posłała mu przebiegły uśmiech, który zdawał się mówić, że wykonał całkiem niezłą robotę.

Ernest stanął wraz z innymi w szeregu i wsunął ręce do kieszeni. Jeśli dobrze odczytał wyraz twarzy Salomei, był gotów zgodzić się z jej konkluzją. Motyw finansowy rzeczywiście zrobił swoje.

Teraz zrozumiał, że powinien być od niego zacząć. Przy walącej się gospodarce, coraz większych brakach zaopatrzeniowych i mętnej perspektywie obietnica dobrych zarobków była na wagę złota. Argument ten sprawdzał się od niepamiętnych czasów. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

Mina Trawickiego mówiła zresztą sama za siebie. W dodatku wyraźnie zbiło go z pantałyku odwołanie się do córki Hertza. Był tak skonsternowany, że nawet nie zaoponował.

Salomea stanęła przy stoliku i spojrzała na krzesło za sobą, jakby chciała dobitnie podkreślić, że jest puste.

– Nasłuchaliśmy się już wystarczająco – zaczęła. – Poza tym widzę, że Ernest was przekonał. Mnie zresztą również.

Urwała i brzmiało to, jakby nie miała zamiaru powiedzieć nic więcej. Przez moment po prostu stała w miejscu, z którego niegdyś przemawiał jej ojciec. Potem pokiwała głową w zadumie.

– Wołyniak jest gwarancją dobrobytu – powiedziała. – Zapewni regularne wpływy do kasy, która stoi na zapleczu. Sprawi, że Bannicy będą bogatsi niż dotychczas.

Mężczyźni zdawali się upajać każdym słowem. Ernest przypuszczał, że część z nich już planowała, na co wyda wszystkie te pieniądze. On sam będzie miał nie lada problem, by sprostać oczekiwaniom, ale przecież nie w tym tkwiło sedno wyborczych obietnic. Stanowiły tylko tunel, a liczyło się światło na jego końcu.

– Nowe narkotyki, sojusze, może poszerzenie terytorium, pełne kieszenie... – wymieniała Salomea. – To wszystko może wam zagwarantować i nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie rzuca słów na wiatr.

Wilmański zobaczył, że kilka osób obróciło się do niego i spojrzało nań z ufnością.

– Pytanie, jakim kosztem to wszystko? – dodała Salomea.

Nawet gdyby nie usłyszał tego pytania, sam ton jej głosu natychmiast by go zaniepokoił. Mina mu zrzedła, gdy zrozumiał, że mógł popełnić błąd. Przeniósł wzrok na Trawickiego. Nie wyglądał już na pokonanego.

Wręcz przeciwnie. Na jego twarzy pojawił się szelmowski uśmiezek.

– Nic nie przychodzi za darmo – dodała Salomea. – A w tym wypadku koszt jest ogromny. I dobrze znany co poniektórym. Niestety nie wszystkim.

Ku jego zaskoczeniu, oskarżycielsko wymierzyła w niego palcem.

– Z pewnością słyszeliście wszyscy o tym, co wydarzyło się w Wilnie – kontynuowała, ściągając brwi. – Bruderferajn zostało rozbite, ale tylko dlatego, że kierownictwo trafiło do więzienia. A stało się tak, bo ktoś na nich doniósł. I dostarczył policji wszystkie dokumenty, które były potrzebne do skazania. Ktoś okazał się zdrajcą. Ohydny sprzedawczykiem, który sprzeniewierzył się wszystkim zasadom rządzącym naszym światem! I ma czelność powoływać się na mojego ojca, na jego plany, na jego zasady! Dość!

Wilmański poczuł, że robi mu się gorąco.

– Wystarczy tej obłudy! Spójrzmy prawdzie w oczy: to konfident, który sprzeda was policji, jeśli tylko będzie to służyło jego celom. – Urwała, unosząc rękę i uspokajając się. – Pamiętajcie o jednym. Albo Szymon Trawicki, albo koniec Banników. Trzeciej możliwości nie ma.

Kiedy rozbrzmiały pierwsze nerwowe komentarze, Salomea opuściła dłoń, zasunęła krzesło i odeszła od stolika. Na Wilmańskiego nawet nie spojrzała.

Uświadomił sobie, że musiała już dawno zawrzeć układ z jego przeciwnikiem. Trawicki pewnie obiecał jej znacznie więcej niż on, może nawet gotów był się z nią ożenić i wspólnie rządzić Bannikami. Z pewnością był skłonny do wszelkich ustępstw, byleby utrzymać się przy władzy.

W „Mokradle” szybko rozgorzała płomienna dyskusja. Jedni podkreślali, że Salomea nie ma żadnych dowodów na to, że Ernest maczał palce w akcji przeciwko kierownictwu Bruderferajn. Inni twierdzili, że skoro dziewczyna sama pod przykrywką uczestniczyła w operacji, wiedziała więcej niż ktokolwiek inny.

W końcu Salomea ponownie zabrała głos. Nie zostawiła na nim suchej nitki, starając się udowodnić, że Eliza Zarzeczna sama nigdy nie zdobyłaby wszystkich koniecznych informacji, by rozbić gang.

– Ty także brałaś w tym udział – zauważył jeden ze zwolenników Ernesta.

– Musiałam. Gdybym odmówiła, spaliłabym moje alter ego.

– To nie zmienia faktów.

Salomea przez jakiś czas polemizowała z mężczyzną, ale ostatecznie niewiele to zmieniło. Wilmański widział wyraźnie podział, który pojawił się wśród Banników. Po chwili przybrał nawet fizyczny kształt – zwolennicy Trawickiego ustawili się przy stoliku Hertza, poplecznicy Wilmańskiego przy kontuarze.

Mieszali się jednak od czasu do czasu, a część stała pośrodku. Trudno było przesądzić, jaki będzie werdykt.



# Rozdział dziesiąty

Zarieczna zdążyła już zwątpić, że Ernest tej nocy się pojawi. „Jutrzenka” dobrą godzinę temu przestała przypominać miejsce, w którym jedli kolację. Teraz jej charakter dopasował się do okolicy, w której przybytek się znajdował. I do pory, która nastąpiła.

Przy stolikach zasiedli podejrzani mężczyźni, a przy nich kobiety, które swoim wyzywającym wyglądem nie pozostawiały wątpliwości, że za ich towarzystwo będzie trzeba zapłacić. Alkohol lał się bez końca, a sala szybko wypełniła się dymem. Raz po raz któraś z dziewczyn sięgała pod stół i zachęcała swojego towarzysza, by wynajęli sobie pokój.

Elizy specjalnie to nie dziwiło. Warszawa stała nierządem. Pierwszym, co przyjezdni słyszeli po opuszczeniu dworca, były porady od dorożkarzy i rikszarzy, gdzie najlepiej się udać, by zaznać nieco rozkoszy.

Komitet do walki z handlem dziećmi i kobietami obliczył, że w mieście pracuje trzy i pół tysiąca nierządnic. Były to jednak dane oficjalne, obejmujące tylko te prostytutki, które się zarejestrowały. W prasie spekulowano, że ich liczba w rzeczywistości zbliża się do dwudziestu pięciu tysięcy.

Większość nie miała jeszcze ukończonych osiemnastu lat. Urzędowały w przybytkach na Chmielnej, Złotej, Pięknej... choć najwięcej było ich w Dzielnicy Północnej.

Zarieczna patrzyła na nie, myśląc o tym, że kiedy zaczynała służbę, to właśnie tym kobietom miała pomagać. Miała sprawić, że ich sytuacja znacznie się poprawi, przynajmniej w Śródmieściu. Tymczasem nie doprowadziła do skazania ani jednego sutenera, nie przysłużyła się zamknięciu ani jednego lupanaru.

I to pomimo że wiedziała doskonale, gdzie się znajdują. Władze miasta także o tym wiedziały – a niektórzy politycy nawet z autopsji. Widywano ich w najszlachetniejszych burdelach, tych mieszczących się przy Krakowskim Przedmieściu czy Nowym Świecie.

Zarieczna zapaliła papierosa, wzdychając. Być może nikt nie mógł zmienić tego stanu rzeczy. Może tak po prostu musiało być.

Po chwili dostrzegła przebijającego się przez dym Wilmańskiego i przestała się nad tym zastanawiać. Mimo że przez ostatni miesiąc wychudł, w płaszczu nadal przywodził na myśl postawnego mężczyznę. Szedł pewnie i rozglądał się bacznie. W końcu udało mu się ją wypatrzeć.

Eliza wstała i wbiła wzrok w jego oczy. Starła się wyczytać z nich, jaka decyzja zapadła. Były jednak nieprzeniknione, jak zawsze.

– Pijesz coś? – zapytał.

Wskazała na kieliszek z bursztynowym napojem.

– Xeres – oznajmiła.

– Sherry?

– Tak też to nazywają.

– To nie dla mnie. Potrzebuję czegoś mocniejszego.

Nie ściągnąwszy płaszcza, opadł ciężko na krzesło, aż zaskrzypiało. Wyciągnął papierosa i nerwowo go odpalił. Pomyślała, że nie rokuje to najlepiej. Pytanie o to, jak poszło, miała już na końcu języka, ale z jakiegoś powodu go nie zadawała, czekając, aż zamówi alkohol.

Po chwili zrozumiała, że obawia się złych wieści. I spodziewa się ich.

Wilmański zamówił koniak, odprowadził kelnera wzrokiem, a potem przez chwilę trwał w bezruchu. W końcu potrząsnął głową, jakby dopiero teraz był tu obecny myślami. Ściągnął płaszczy i westchnął.

– Szlag...

– Co?

– Zostawiłem kapelusz w „Mokradle”.

– Kapelusz?

– Dostałem – wyjaśnił i wzruszył ramionami.

– Od kogo?

– Od jednego z Banników. Uznał najwyraźniej, że... właściwie nie wiem. Jeśli miała być w tym jakaś symbolika, umknęła mi.

– Może chciał, byś przypominał Hertza?

– Nie. Okazało się, że ta osoba jest mi nieprzychylna.

Zaręczona napiła się xeresu. Smakował dobrze, ale byłby jeszcze lepszy, gdyby zamówiła do niego coś słodkiego. Uznała, że jeśli zaraz usłyszy złe wieści, to właśnie zrobi.

– A inni? – spytała. – Okazali się przychylni?

– Część tak.

– Większość?

Miała wrażenie, że nadzieja w jej głosie jest nadto wyczuwalna i Ernest znacznie podejrzewać, że liczy na korzystne rozstrzygnięcie głosowania nie tylko dlatego, że chce, by odniósł sukces.

– Niestety nie – powiedział i uniósł wzrok.

Eliza zasłoniła twarz dłonią, pocierając czoło. Nie chciała słyszeć ciągu dalszego.

– Doszło do burzliwej dyskusji – dodał Wilmański.

– Domyśliłam się. Biorąc pod uwagę, ile to trwało...

– Wybacz. Sądziłem, że skończy się szybciej.

– Nie szkodzi.

– Ale obawiam się, że to jeszcze nie koniec.

Opuściła dłoń i objęła kieliszek.

– To znaczy?

– Podzieliliśmy się po równo głosami – oznajmił Ernest. – Jest jeszcze kilkunastu niezdecydowanych, którzy twierdzą, że w takiej sytuacji nie sposób podjąć decyzji.

– A więc nie wszystko stracone.

– Nie, nie wszystko.

Odetchnęła z ulgą. Wyobraźnia natychmiast zarysowała przed nią wizję przyszłości w jasnych barwach. Zobaczyła siebie u boku przywódcy Banników, otrzymującą

dostęp do wszystkich tajemnic organizacji, do wszystkich dokumentów, danych i obciążających materiałów.

– Co w takiej sytuacji zrobicie? – zapytała.

– Wraz z Trawickim zostaliśmy oddelegowani.

– Hm?

– Wyproszono nas, by reszta mogła się naradzić. Mają postanowić bez naszego udziału, w spokoju.

A zatem to nie koniec, a być może dopiero początek, uznała.

– I jak widzisz swoje szanse?

Wzruszył ramionami. Był wyraźnie zmęczony, miał dosyć tego wszystkiego, co działo się tej nocy. Wiedziała, że nie czuje się dobrze w nowej roli, ale dopiero teraz zobaczyła, ile go to kosztuje.

Przez chwilę zdawali się zatapiać we wszechogarniającym gwarze. Wesole śmiechy kobiet i rozochocone, rubaszne odpowiedzi ich towarzyszy oplatały ich i sprawiały, że żadne nie spieszyło się, by kontynuować rozmowę.

W końcu Eliza odchrząknęła.

– Ile to może potrwać?

– Przypuszczam, że teraz pójdzie im sprawniej – odparł wymijająco. – Wyślą kogoś po nas, jak tylko zapadnie decyzja.

– Po nas?

– Owszem – przyznał z niejaką satysfakcją. – Postawiłem warunek, że tym razem zostaniesz wpuszczona.

– I zgodzili się ot tak?

– Powiedzmy, że usunąłem jedną przeszkodę, która okazała się kluczowa.

– Zabiłeś kogoś?

– Jeszcze nie.

– Dzięki Bogu – odparła z uśmiechem i napiła się.

Ernest na moment zamilkł i nabrał głęboko tchu. Dostrzegła, że chciał powiedzieć jej coś jeszcze, ale najwyraźniej nie bardzo wiedział, jak ubrać to w słowa.

– Żałuję, że tego nie widziałaś.

– Czego konkretnie?

– Tego, jak powołałem się na dyktaturę pieniądza. Oczy zabłyśły im jak drapieżnikom w księżycową noc. Szala od razu przechyliła się na moją stronę.

– Mówiłam ci.

– Tak, mówiłaś – przyznał tak cicho, że ledwie go usłyszała przez ogólny gwar.

Dopili swoje trunki w spokoju. Wilmański raz po raz podejmował temat, opowiadając jej, jak wyglądała jego przemowa. Snuł opowieść niespiesznie, a ona go nie ponaglała. Atmosfera stała się nieco luźniejsza, Zarzeczna powoli zaczynała być dobrej myśli. Uspokajała się i właściwie była już o krok od osiągnięcia komfortu psychicznego, kiedy zjawił się wysłannik z „Mokradła”. Oznajmił, że podjęto decyzję, a Elizie serce natychmiast zabiło szybciej. Cały spokój nagle znikł.

Ernest podniósł się i ściągnął płaszcz z oparcia krzesła.

– Trawicki został poinformowany? – spytał.

– Posłaliśmy po niego od razu.

– W takim razie chodźmy.

Zabrzmiało to, jakby Wilmański spodziewał się oszustwa na ostatniej prostej. Właściwie miał pełne prawo, uznała Zarzeczna. Gdyby konkurent zawczasu wyczuł, że sytuacja nie zmierza ku korzystnemu dla niego finałowi, byłby gotów na wszystko.

Trójka ludzi opuściła „Jutrzenkę” i skierowała się w stronę siedziby Banników. Na ulicach cisza zdawała się zalegać jak śnieg. Nie widać było żywej duszy, wszyscy mieszkańcy zdawali się już znaleźć sobie miejsce w którejś z restauracji. Jedynie przed „Mokradłem” jak zawsze stała grupa mężczyzn. Jednym z nich był Trawicki.

Kiedy do niego podeszli, Ernest zmierzył go wzrokiem.

– Czekasz na mnie, Szymon?

– Uznali, że powinniśmy wejść razem.

– Słusznie.

Trawicki popatrzył nieprzychylnie na Elizę, a potem ostentacyjnie ją zignorował, nie siląc się nawet na zdawkowe powitanie.

– Nadchodzi sądna chwila, Wołyniaku – rzucił, obracając się do Wilmańskiego. – Liczę, że uszanujesz werdykt.

– A ja liczę, że ty to zrobisz.

– W przeciwieństwie do ciebie, nie mam problemów z przestrzeganiem zasad.

– O jakich zasadach mówisz? Tych, które pozwalają napadać na przypadkowych ludzi tylko dlatego, że...

– Nigdy nie zaatakowałem nikogo przez przypadek.

– Słyszałem co innego – odparł Wilmański, zataczając ręką krąg. – I widziałem ciała topielców na ulicach. Topielców, którzy nie mieli nic wspólnego z Bruderferajn. A mimo to zapłacili cenę.

– Widocznie musieli.

Ernest zbliżył się do niego.

– Wsadziłeś kij w mrowisko – powiedział. – Żydzi już się buntują. Mówią o rozszerzeniu swojego terytorium na południe od placu Grzybowskiego. Są gotowi na wojnę.

– Tak? Skąd wiesz, co mówią Żydzi?

– Ich głos pobrzmiwa dość wyraźnie na mieście.

– Do mnie widocznie nie dotarł.

Ernest pokiwał powoli głową, jakby była to myśl, którą należy wyjątkowo docenić.

– Do ciebie wiele rzeczy nie dociera – odparł. – Ale może decyzja naszych towarzyszy to zmieni.

Ruszył ku wejściu, nim Trawicki zdążył odpowiedzieć. Eliza weszła za nim do środka, rozglądając się. Od razu odniosła wrażenie, że wzrok wszystkich Banników skupił się właśnie na niej. Zupełnie jakby to ona była powodem, dla którego musieli debatować po nocach.

Papierosowy dym jak zwykle skrywał większą część lokalu, ale już po kilku krokach dostrzegła, że poczyniono niemałe zmiany w wystroju. Bez wątplenia na dzisiejszą okoliczność. Odsunięto bowiem wszystkie stoliki, na środku ustawiono dwa krzesła



obok siebie, a przed nimi zorganizowano kilka rzędów miejsc do siedzenia.

Nachyliła się do Ernesta.

– Wygląda na to, że czekają na przedstawienie – szepnęła.

– Kojarzy ci się to z teatrem?

– Tobie nie?

– Bynajmniej – odburknął. – Przywodzi mi na myśl raczej dintojrę.

Popatrzyła na niego ze współczuciem. Tego dnia nic nie wywoływało u niego pozytywnych konotacji. I trudno było się dziwić, szczególnie teraz, kiedy napięcie sięgało zenitu.

– Nikt nikogo tutaj nie sądzi, Ernest – zauważyła.

– Jesteś pewna?

– Tak.

– Więc dlaczego odnoszę wrażenie, że oni wszyscy patrzą na mnie, jakby to miał być Sąd Ostateczny?

– Bo nie dostrzegasz, jak patrzą na mnie – odparła z lekkim uśmiechem. – Od razu poczułbyś się lepiej.

Potoczył wzrokiem po zebranych. Wyglądał jak myśliwy, który starał się ze ślipi otaczającej go bandy dzikich zwierząt wyłowić, które zaatakują jako pierwsze. Eliza również im się przyglądała. Trudno było cokolwiek przesądzić, wszyscy sprawiali wrażenie opanowanych, niemal obojętnych. Przypuszczała jednak, że aż się w nich gotuje.

Wiedzieli już, jaki będzie wynik, czy zostawili głosowanie na sam koniec? Patrząc na nich, należałoby uznać, że decyzja już zapadła. Eliza upomniała się w duchu, że ma przed sobą najbardziej zaprawionych kryminalistów w Warszawie. Musieli umieć stwarzać pozory.

Jeden z nich syknął na nią, narażając się na wrogie spojrzenie Ernesta, po czym wskazał jej jedyne wolne miejsce w pierwszym rzędzie.

– Powodzenia – odezwała się, klepiąc Wilmańskiego po ramieniu, a potem usiadła na wskazanym krześle.

Ernest i Trawicki stanęli przed innymi. Popatrzyli na siebie ukradkiem, jakby przez ten jeden, krótki moment doskonale się rozumieli i chcieli wzajemnie podnieść na duchu. Potem zajęli miejsca. Szymon wyciągnął nogi, Wilmański założył jedną na drugą. Obaj powoli wodzili wzrokiem po zebranych, a na ich twarzach malowała się nerwowość.

Siedzący obok Elizy starszy mężczyzna odchrząknął i podniósł się. Przypuszczała, że jest najbardziej zaawansowany nie tylko wiekiem, ale także stażem. To on miał dostarczyć jednemu z kandydatów złą, a drugiemu dobrą wiadomość.

Siwe włosy zaczesywał na bok, a łysiejący przedziałek obnażał ohydny, źle zagojoną bliznę. Najwyraźniej niegdyś otarł się o śmierć. I musiało to być wyjątkowo bliskie spotkanie.

Pełne szacunku spojrzenia, jakie rzucali mu inni Bannicy, zdawały się to potwierdzać. Zarzeczna szybko przywołała wszystkie informacje, jakie miała na temat weteranów półświatka. Mógł to być tylko jeden człowiek. Jan Czerniec, wśród

Banników znany przede wszystkim jako Bies.

Ktoś, kto dzielił pseudonim z przedchrześcijańskim demonem zła, nie mógł sprawiać dobrego wrażenia. W jego oczach Eliza dostrzegła jedynie surowość i wyrachowanie. Mimo że był najstarszy, wyglądał na pierwszego do bitki.

Uniósł lekko głowę i przez chwilę przyglądał się dwóm siedzącym przed nim mężczyznom. Na żadnym nie zatrzymał wzroku na dłużej, więc Zarzecznej nie udało się niczego wywnioskować.

– Decyzja została podjęta – oznajmił. – Po długich dyskusjach, bluźnierstwach, wzajemnych oszczerstwach i pomówieniach, w końcu osiągnęliśmy porozumienie.

Mówił beznamiętnie, jakby recytował wcześniej zapamiętany tekst.

– Chcę w tym miejscu podkreślić, że to sytuacja nie do przyjęcia – dodał. – Nie powinniśmy w ogóle uczestniczyć w takim spotkaniu.

Obrócił się do zgromadzonych i skrzywił się z niesmakiem, jakby nagle poczuł smród unoszący się w powietrzu.

– Tych dwóch powinno to rozwiązać między sobą. Tak, jak to robią prawdziwi mężczyźni.

Właściwie Zarzeczna obawiała się, że taki będzie finał. Najwyraźniej jednak spuścizna Fryderyka Hertza nie została zupełnie zaprzepaszczona. Co by o nim nie myślała, musiała przyznać, że starał się stworzyć cywilizowane zasady rządzące Bannikami. Gdyby pozostawić te sprawy ludziom takim jak Bies, wszystko załatwiałoby się za pomocą rewolwerów.

– Zamiast tego tracimy czas i energię na dyskusje, jak w sejmie – kontynuował tyradę Czerniec. – Zamiast zajmować się poważnymi, nagłymi sprawami, udajemy... kogo? Włochów z Chicago, którzy uciekli z własnego kraju? Żydów z Wilna? Co to za wzorce? Tutaj załatwia się rzeczy inaczej.

Eliza usłyszała kilka odosobnionych pomruków niezadowolenia. Mimo szacunku, jakim Bannicy darzyli Biesa, paru wyraźnie miało dosyć przemówień jak na jeden dzień. Jan Czerniec pokiwał głową i wykrzywił twarz w jeszcze większym grymasie.

Obrócił się do Wilmańskiego i Szymona.

– Naciskałem, żeby przy braku porozumienia rozwiązać to z pomocą kul – powiedział. – Większość się jednak ze mną nie zgodziła. Ostatecznie zapadła decyzja o pojedynku, który sami zaproponowaliście.

Dwóch przeciwników spojrzało na siebie.

– Stoczycie walkę w ringu. Do skutku. – Na moment zrobił pauzę i westchnął. – Ten, który pozbawi przytomności drugiego, dowiedzie swojej wartości. Rękawice sześciuncjowe, bez limitu rund, co jasne. Starcie odbędzie się za tydzień w hali Wyższej Szkoły Wojskowej.

Nie dodał nic więcej, wyraźnie niezadowolony z werdyktu, który ogłosił. Usiadł obok Elizy i skrzyżował ręce na piersi.

Przez chwilę zgromadzeni milczeli, jakby czekali, aż główni zainteresowani się wypowiedzą.

Wilmański podniósł się jako pierwszy. Obrócił się w kierunku oponenta, a potem wyciągnął do niego rękę. Kiedy chwilę później ściskali sobie dłonie, patrząc prosto

w oczy, nikt nie miał wątpliwości, że obaj są zadowoleni z takiego obrotu spraw.

Zaręczona była jednak pełna obaw. Ernest nie wrócił jeszcze do siebie po ponadmiesięcznej kuracji, a tydzień niewiele zmieni. Poza tym morfina dodatkowo go osłabiła, a ostatni pojedynek, w jakim uczestniczył, musiał odbyć się przynajmniej kilka lat temu.

Tymczasem Trawicki sprawiał wrażenie, jakby był w szczytowej formie. Mogła jedynie mieć nadzieję, że doświadczenie okaże się kluczowe. I jakimś cudem przeważy nad siłą fizyczną.



# Rozdział jedenasty

W mieszkaniu przy Hożej panowała cisza, jakby nikt na stałe w nim nie przebywał. Wilmański zamknął drzwi za Elizą i oparł się o nie plecami. Dopiero teraz na dobre odetchnął.

Choć z pewnością poczułby się lepiej, gdyby nie miał wrażenia, że wraca do opuszczonego domu.

– Chciałbym, żeby się tu wprowadziła – odezwał się ni stąd, ni zowąd.

– Że co proszę?

– Ana. Chciałbym, żeby znów ze mną zamieszkała.

Zaręczona popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– To upierdliwa smarkuła, nie przeczę – dodał. – Ale w jakiś sposób sprawia, że życie jest mniej ponure.

Eliza uśmiechnęła się i odebrała od niego płaszcz. Powiesiła go na wieszaku, po czym poklepała Wilmańskiego po plecach, jakby od wielu lat był jej mężem i właśnie wrócił z roboty po wykonaniu wyznaczonej normy.

– Możesz to załatwić? – spytał.

– To nie zależy ode mnie.

– Jeśli trzeba będzie, porozmawiam z naczelną tego waszego domu i...

– Miałam na myśli, że to decyzja Anastazji.

Ernest wszedł do niewielkiej kuchni, postawił żeliwny czajnik na piecu i napalił. Przypuszczał, że Ana zgodzi się bez zastanowienia. Widział, jak dobrze czuła się w poprzednim mieszkaniu, i był przekonany, że tutaj będzie jej jeszcze lepiej.

Eliza przysiadła na niezabebzowanym dębowym stole i skrzyżowała ręce na piersi. Przechyliwszy głowę, przypatrywała się Wilmańskiemu.

– Jeśli masz zamiar coś powiedzieć, nie krępuj się – mruknął.

– Chciałam tylko cię pochwalić.

– Za co?

– Za to, że jednak stać cię na okazanie ludzkich odruchów.

Zamknął metalowe drzwiczki niewielkiego piecyka i odwrócił się do niej.

– To znaczy?

– Zatęskniłeś za młodą.

– Bez przesady.

– Więc skąd ta prośba?

– Czuję się za nią odpowiedzialny – odparł z powagą. – I nie wiem, czy dom wychowawczy jest dla niej odpowiednim miejscem.

– Krzywda jej się tam nie stanie.

– Poniekąd dzieje jej się codziennie.

– Słucham? – odparowała, wstając. – Robimy wszystko, by zapewnić jej i innym jak najlepsze warunki, Ernest.

Uniósł otwarte dłonie.

– Zdamę sobie z tego sprawę. Rzecz w tym, że to wszystko uspi jej czujność.

– O czym ty mówisz?

– Poczuj się tam zbyt bezpiecznie. Przytępi jej się instynkt.

Patrzyła na niego, jakby zwariował.

– Kiedy wróci na ulicę, a w końcu tak się stanie, będzie bezbronna.

Nie miał zamiaru dodawać niczego więcej, sam bowiem nie był przekonany, czy mówi do rzeczy. Raczej nie, ale nie miało to żadnego znaczenia. Musiał mieć jakieś wytłumaczenie, zarówno dla Zarzecznej, jak i dla siebie.

Eliza zaśmiała się cicho.

– Niewiarygodne – skwitowała. – Nie jesteś w stanie nawet dopuścić do siebie myśli, że po prostu ci jej brakuje, prawda?

Przez chwilę milczał.

– Prawda – przyznał w końcu.

– Nie masz zbyt dużo doświadczenia, jeśli chodzi o kontakty z ludźmi. Przynajmniej jeśli mowa o tych, które odbywają się bez rękawic.

Spojrzał na swoje dłonie, skryte pod ciemnoczerwonymi rękawiczkami, i skinął głową.

– Miałam na myśli te bokserskie – sprecyzowała Eliza. – Ale właściwie...

Urwała. Nie musiała kończyć, by oboje wiedzieli, jaki wniosek jej się nasunął. Miała rację. Rękawiczki stanowiły namacalny dowód na to, że nigdy tak naprawdę się do nikogo nie zbliżył. Dziewczyna była jedyną osobą, z którą dzielił dom.

Nie licząc tego, co miało miejsce przez ostatni miesiąc.

– Myślę, że chętnie z tobą zamieszka – odezwała się Zarzeczna, gdy woda się zagotowała.

Wilmański zalał kawę. Pora nie była odpowiednia, ale czuł, że tej nocy nie pójdzie szybko spać. Zresztą po takiej ilości alkoholu nie miało znaczenia, ile kawy przyjmie przed snem.

– Traktuje cię jak ojca – dodała.

– Przesadzasz. Darzy mnie pewną sympatią, ale...

– Nie – ucięła. – W przeciwieństwie do ciebie widziałam ją, kiedy cię rzekomo pochowaliśmy. Zmieniła się nie do poznania.

Skinął głową. Nie chciał do tego wracać. Nie chciał myśleć o tym, co dziewczyna w istocie musiała przeżywać. Może dlatego wpadł mu do głowy pomysł, by się wprowadziła? Może chciał jej zrekompensować tamte przejścia?

Usiedli przy stole i przez chwilę ogrzewali dłonie przy gorących kubkach. W mieszkaniu panował ziąb, na niższych piętrach było nieco lepiej, ale całe stare mury zdawały się emanować chłodem.

– Jutro z nią porozmawiam – dodała Zarzeczna.

– Będę zobowiązany.

– Chyba że sam wolałbyś to zrobić?

– Nie.

– Tak też sądziłam – odparła i napiła się fusowatej kawy. – Nie wiedziałabyś nawet, od czego zacząć, prawda?

- Poradziłbym sobie.
- Z wielkim trudem.
- Być może – przyznał. – Takie rozmowy to nie moja specjalność.
- Tak, odczuwam to na własnej skórze. Nawet teraz.

Obrócił ceramiczny kubek, odchrząknął i lekko się zgarbił.

- Znacznie lepiej radzę sobie w sytuacjach, w których nie trzeba używać słów.
- W bijatykach.
- Nie to miałem na myśli.
- Co w takim razie?

Spojrzał w kierunku sypialni. Nie do końca wiedział, co robi – i czy robi to właściwie. Nie przemyślał tego, pozwolił się wieść instynktowi. Dotychczas jedyne kobiety, z jakimi miał do czynienia na stopie osobistej, były albo prostytutkami, albo osobami o wątpliwej moralności. W Wilnie nieraz po walce oblepiały go wszelkiej maści kurtyzany, przez lata nauczył się, jak powinien je traktować. Nigdy jednak nie spał z... cóż, z porządną damą, taką jak Eliza.

Oderwał wzrok od progu i popatrzył na nią znacząco. Spuściła oczy.

- Chcę tylko powiedzieć, że jestem ci wdzięczny.
- W takim razie wybrałaś dziwny sposób, by to oznajmić.

Podniósł się i szybkim krokiem podszedł do płaszcza. Wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. Miał już serdecznie dość dymu jak na jeden dzień, ale i tak wydawało się to najlepszym, co mógł w tej sytuacji zrobić.

- I nie masz za co być wdzięczny.

Podał jej paczkę.

- Mam – odparł. – Gdyby nie twój wkład, przegrałbym w pierwszej rundzie.
- Nic nie zrobiłam.
- Pomogłaś z przemówieniem, a to okazało się kluczowe.

Odpalił jej, a potem stanął obok. Trwali przez moment w bezruchu, Zarzeczna zdawała się go ignorować. W końcu obróciła się do niego, a on ujął jej dłoń i lekko pociągnął w górę.

Przeszło mu przez myśl, że kobiety, które miał w Wilnie, należało ujarzmić. W przypadku Elizy było wprost odwrotnie.

- Co robisz? – zapytała.

Położył ręce na jej talii i posadził ją na stole. Nie miał zamiaru odpowiadać, uznając, że jeśli zda się na słowa, do niczego nie dojdzie. Stanął przed nią, a potem przez chwilę patrzył jej prosto w oczy. Nie uciekła wzrokiem, ale szybko zaciągnęła się papierosem, jakby to mogło zwiększyć dystans między nimi.

Wilmański najpierw zgasił swojego, a potem wyjął jej papierosa spomiędzy palców i zdusił go w popielniczce. Przez chwilę wydawało mu się, że Eliza zaprotestuje, da mu do zrozumienia, że posuwa się o krok za daleko, ale ona tylko rozchyliła lekko usta.

Przysunął się bliżej, słysząc, jak przyspiesza jej oddech. Ujął ją tuż pod uchem, wplatając palce w kręcone włosy, a potem przysunął ją do siebie. Ich usta powoli się zetknęły, a on uważał, by nie dać się ponieść. Nie od razu.

Po chwili oboje sobie na to pozwolili. Przywarli do siebie tak mocno, że w pewnym

momencie Ernest odniósł wrażenie, jakby sprawiał jej ból. Przeciągnął dłońmi po jej ciele i rozsunął lekko uda. Zareagowała szybko, przesuając się na skraj stołu.

Na moment zamarła. Położyła mu dłoń na ustach i spojrzała głęboko w oczy.

– Sporo wypiliśmy.

– I jeszcze więcej dzisiaj przeżyliśmy – zauważył.

– To dlatego?... – zapytała i zawiesiła głos.

– Nie.

– A więc...

– Musimy to teraz omawiać?

– Jeśli ma do czegoś dojść...

– To lepiej to zrobić, niż o tym mówić – odparł, a potem włożył rękę pod jej uda i podniósł ją.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, już przenosił ją przez próg sypialni. Zaśmiała się nerwowo, kiedy położył ją na łóżku. Przyklęknął obok, ściągnął przez głowę koszulę i rzucił ją na podłogę. Spojrzała na jego rany, a potem zaczęła powoli przesuwać dłońią po bliznach.

Położył się na niej i bodaj po raz pierwszy w życiu poczuł prawdziwą harmonię. Zdawali się pasować do siebie idealnie. Ściągnął z niej koszulę, a ona oddychała coraz szybciej. Kiedy zaczął całować ją po szyi, jej ciche jęki zdawały się wypełniać cały świat.

– Ernest...

– Później porozmawiamy – odparł, z trudem opanowując rozbawienie.

– Ale...

– Później – powtórzył, a potem ją pocałował.

Przez kilka chwil, które zdawały się trwać wieczność, pochłaniali się dotykiem. Nie było miejsca, którego ich dłonie nie chciały poznać. Wilmański poczuł się otumaniony jak nigdy przedtem. Wszystko, co robili, zdawało się surrealistyczne.

– Tyle że ja... – odezwała się szeptem. – Sam rozumiesz...

– W pełni.

– Mam na myśli...

– Wiem, co masz na myśli – odparł.

Na moment przerwał, wsparł się na łokciach i popatrzył na nią. Odgarnął kosmyk włosów, który zaplątał się w kąciku jej oka.

– Niczego się nie obawiaj – powiedział.

– Ale może... powinniśmy zastosować lysol lub...

– Nie ma takiej potrzeby.

– Na pewno na stacji można coś kupić i...

– Zaufaj mi.

Zrobiła to, a on nie zawiódł jej zaufania. Rozbierał ją powoli, jakby samo w sobie stanowiło to namiętny rytuał. Potem znów się na niej położył, lekko rozsunął jej nogi i zatopił się w niej. W pierwszej chwili zobaczył wyraz bólu na jej twarzy, więc się wycofał. Kiedy wszedł w nią po raz drugi, jęknęła cicho. Zaczął powoli, a potem stopniowo przyspieszał, czując, że obejmuje go coraz mocniej. Gdy oplotła nogami jego



pośladki i wbiła mu palce w plecy, oboje zupełnie zatracili się w swoim zbliżeniu.

Po chwili krzyknęła z rozkoszy, przyciskając go do siebie tak mocno, że straciła dech w piersiach. Wilmański miał wrażenie, jakby znaleźli się gdzieś poza rzeczywistością, w miejscu, gdzie słońce wschodzi pomiędzy nimi.

Kiedy położył się obok niej, oboje przez moment próbowali uspokoić oddech. Nadaremno.

– Teraz możemy omówić wszystko, co chciałaś – odezwał się.

Eliza zaśmiała się cicho i lekko uderzyła go w pierś. Obróciła się i przylgnęła do niego, oplatając go, jakby wisiała nad przepaścią.

– Teraz nie mamy czego omawiać – odparła.

– A ten lysol?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem i pokręciła głową. Potem położyła ją na jego ramieniu i zamknęła oczy.

– Skąd w ogóle o tym wiesz? – zapytał.

– To, że nie mówi się głośno o zapobieganiu ciąży, nie znaczy, że nie mówi się w ogóle.

– Tyle że to niebezpieczny środek.

– Słyszałam, że... chroni.

– Owszem, chroni. Zarówno przed ciążą, jak i przed zdrowiem. Używa się tego między innymi do dezynfekowania...

Zamknęła mu usta swoimi wargami. Wilmański zaśmiał się pod nosem, po raz pierwszy od długiego czasu.

– Teraz rozumiem, dlaczego nie chciałaś rozmawiać przed – zauważyła. – Do romantyków z pewnością nie należysz.

Trudno było z tym polemizować. Na dobrą sprawę nie potrafiliby nawet zdefiniować romantyka, a co dopiero udawać jednego.

– Mamy ciepłą wodę? – zapytała.

– A sądzisz, że napaliłem w piecu przypadkowo? – odparł z satysfakcją. – Baniak już powinien się zagrzać.

– Widzę, że byłeś przygotowany na to, co miało się zdarzyć.

– Planowałem to i owo.

– Od dawna?

– Od zbyt dawna.

Objął ją i przez chwilę leżeli w milczeniu, rozkoszując się swoim dotykiem i obecnością. Żadne z nich nie zamierzało psuć tego, co odczuwali. Żadne nie chciało wspominać o tym, co miało zdarzyć się za tydzień.



# Rozdział dwunasty

Przenosiny Any na Hożą nie okazały się specjalnie skomplikowane. Zarzeczna dała dziewczynie jedną walizkę, ale ta wypełniła ją tylko w jednej trzeciej. Formalności zajęły chwilę, po czym obie ruszyły do nieodległej stacji.

Zgodnie z przypuszczeniami Elizy, Anastazji nie trzeba było przekonywać. Zgodziła się od razu, choć nie okazała choćby zdawkowego entuzjazmu. Prawdopodobnie jednak opuszczała dom wychowawczy z ulgą.

– Jakby co, na jak długo opłacony jest czynsz? – spytała.

– „Jakby co”?

– No wiesz... – odparła Ana. – Jakby Wilmański padł na ringu.

– Nie padnie.

– Jesteś pewna? Nie walczył już chyba od lat. Nie wiem, czy pamięta jeszcze, jak wiązać rękawice. A o Trawickim ciągle słychać, że to demon.

– Z pewnością dlatego, że wymordował szereg Bogu ducha winnych ludzi. To bez związku z tym, czy potrafi boksować.

Ana wymownie zamilkła. Minęły skrzyżowanie z Żelazną w ciszy.

– Zapłaciłam za pół roku z góry – odezwała się w końcu Eliza.

– To dobrze.

– Ale nie masz się o co martwić. Przypuszczam, że Ernest położy go już w pierwszej rundzie.

– W takim stanie? Z tego co słyszałam, morfiniści nie są zbyt dobrymi pięściarzami. Szczególnie jeśli jakiś czas wcześniej otarli się o śmierć.

Zarzeczna nabrała tchu, przygotowując się do dłuższego monologu, ale w porę ugryzła się w język. Anastazja nie należała do osób, które dałoby się podnieść na duchu nawet najbardziej pokrzepiającymi słowami.

Niepokoiliła się i było to całkowicie zrozumiałe, ale w pewnym momencie sama dojdzie do wniosku, że to Wilmański jest faworytem. Nawet jeśli daleko mu do życiowej formy.

Nie zastały go w mieszkaniu. Zarzeczna dostrzegła za to opróżnioną flaszkę po morfinie, którą musiał dopić rankiem, kiedy wyszła do pracy. Z pewnością powinien ograniczyć narkotyk, ale nie zamierzała odcinać mu do niego dostępu. Odstawienie teraz zbyt by go osłabiło. Zajmą się tym po walce.

Wyrzuciła puste naczynie i wyjęła z kieszeni pełne, które zabrała z domu wychowawczego. Anastazja rzuciła walizkę na podłogę, a potem pokręciła głową.

– Gdzie on poszedł?

Zabrzmiała jak zblazowana żona, która po latach małżeństwa ma serdecznie dosyć każdego, nawet najmniejszego przewinienia męża.

– Mógłby poczekać, aż przyjdziemy – dodała. – Powitać mnie w tym moim rzekomym nowym domu.

– Mógłby.

– Więc gdzie on jest?

Zarieczna rozejrzała się. Rzeczywiście spodziewała się, że Ernest będzie czekał, w końcu sam wyszedł z tą inicjatywą. Najwyraźniej jednak miał naglące sprawy. Spodziewała się, że w najbliższych dniach mogą się pojawiać jak grzyby po deszczu. Bannicy trwali w niejakim zawieszeniu, nikt nie wiedział, jak odnaleźć się w nowej sytuacji. Formalnie organizacja nie miała przywódcy, *de facto* rządził jednak Trawicki. Czy miał jednak prawo podejmować jakiegokolwiek istotne decyzje? Zapewne żaden z Banników nie miał jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie.

I jeśli cokolwiek będzie zależało od Ernesta, to z pewnością zadba, by przez ten tydzień współzrządzili. Tym bardziej, że z wiadomości, które otrzymywała Eliza, wynikało, iż Żydzi rzeczywiście czynią zakusy na ich terytorium.

Zarieczna starała się odsunąć myśli o potencjalnym konflikcie, który mógłby zdestabilizować sytuację w całej Warszawie, ale nie było to łatwe. Cały kraj zdawał się chwiać, zarówno politycznie, jak i gospodarczo. W dodatku zima dawała się coraz bardziej we znaki. Brakowało już nie tylko rzeczy, bez których żyło się trudno – zaczynało brakować także tych, bez których w ogóle nie dawało się żyć.

Grunt był podatny nie tylko dla zmian w strukturze przestępczej stolicy, ale także dla rewolucji. Emocje zdawały się sięgać zenitu i należało się spodziewać, że prędej czy później ten tygiel wykipi.

W zeszłym miesiącu przez Polskę przetoczyła się fala strajków, rząd Grabskiego podał się do dymisji, powołano kolejny, tym razem pod przewodnictwem Skrzyńskiego. Wyglądało, że niemal wszystkie partie się dogadały, ale nikt nie spodziewał się cudów.

– Spójrz – odezwała się Anastazja.

Eliza popatrzyła w miejsce, które wskazywała dziewczyna, i dostrzegła kartkę obok pieca.

– Chyba jednak zostawił coś na powitanie – dodała Ana.

Zarieczna podniosła wiadomość.

– Co pisze?

– Że poszedł do Dzielnicy Północnej.

Anastazja załamała rękę.

– Okulał na umyśle? – jęknęła. – W takiej sytuacji idzie do Żydów? Co on niby zamierza?

– Może chce im wytłumaczyć, żeby trzymali się z daleka od terytorium Banników.

– W takim razie jest durniejszy, niż myślałam!

Eliza złożyła kartkę na pół i wrzuciła ją do pieca. Przez moment zastanawiała się, nie rozumiejąc, co Ernest chce w ten sposób osiągnąć. Sposób objęcia władzy w organizacji został już precyzyjnie określony i jeśli nawet udałoby mu się pokazać, że sprawdzi się lepiej w roli lidera, na nic się to nie zda. Jedynie starcie w Wyższej Szkole Wojskowej będzie się liczyło.

– Chodźmy tam – rzuciła Anastazja.

– To równie zły pomysł, jak w jego przypadku.

– Dlaczego? Nas nikt nie zaczepi. Nie znają nas.

Zarieczna nie była przekonana, czy w istocie tak jest. Dziewczyny być może nikt nie kojarzy, ale wieść o Elizie rozeszła się po mieście, kiedy wyszło na jaw, że to ona

uratowała Wilmańskiego, zorganizowała fikcyjny pogrzeb, a potem sprawiła, że wrócił do żywych.

– Trzeba go przypilnować – ciągnęła Ana. – Szczególnie teraz. Jeśli wda się w jakąś bójkę i pogorszy swój stan, jego szanse zmaleją. Każdy jeden siniak może okazać się gwoździem do trumny.

– Aż tak daleko bym się nie posuwała, ale...

– Ale wiesz, że coś w tym jest. Musimy mieć się na baczności.

Nie przyjmowała odmowy. Szybko włożyła ciepły płaszcz i ponagliła Zarzeczną ruchem ręki. Niedługo potem szły już w stronę Śródmieścia, z nadzieją wypatrując jakiegokolwiek środka transportu, z którego mogłyby skorzystać.

Tory były jednak puste, a dzwonki tramwajów na dobre umilkły. Dorożki grzęzły w hałdach śniegu, aż w końcu woźnice uznali, że gra nie jest warta świeczki. Na inne pojazdy także nie było sensu liczyć.

Przeszły Twardą do kościoła Wszystkich Świętych. Ulica była dość dobrze odśnieżona, biorąc pod uwagę sytuację w innych, wąskich uliczkach Śródmieścia. Tutaj starano się jeszcze odkopać szyny, ale ostatecznie władze miejskie przegrały z naporem białego puchu.

– Napisał, gdzie dokładnie poszedł? – zapytała Ana, gdy zbliżały się do placu Grzybowskiego.

– Nie.

– Więc nie wiemy, gdzie się kierować?

– Wiemy – odparła z satysfakcją Zarieczna. – Jest tylko jedno miejsce, gdzie może na nas czekać.

– Myślisz, że czeka? Spodziewa się, że za nim ruszymy?

– Inaczej napisałby nieco więcej.

Była co do tego przekonana. Gdyby chodziło mu o jakiegokolwiek inne miejsce niż to, które było dla niej oczywiste, wyraźnie by to zaznaczył. A gdyby nie chciał, by poszły do dzielnicy żydowskiej, w ogóle nie zostawiałby wiadomości.

Zarieczna wskazała niewielką kawiarnię na rogu i Anastazja dopiero teraz zdawała się zrozumieć to samo, co ona.

– Przyprowadził mnie tu kiedyś – powiedziała. – Jedliśmy śniadanie po wiedeńsku, czytał „Ilustrowany Kurjer Codzienny”.

– Wiem.

– Skąd?

– Opowiadał mi co nieco. Zresztą sama później spotkałam się z nim na Muranowie.

Weszły do kawiarni i rozejrzały się. Na wieszaku przy wejściu Eliza nie dostrzegła ani charakterystycznego płaszcza, ani nowego nabytku Wilmańskiego, szarej fedory.

– Chyba jednak się pomyliłaś – zauważyła Ana.

Zarieczna przez moment była gotowa przyznać jej rację, ale zaraz potem podszedł do nich kelner. Jego wyraz twarzy świadczył o tym, że spodziewał się tej wizyty.

– Pani Zarieczna?

Eliza skinęła głową.

– Mam wiadomość od jegomościa, który uprzedził mnie, że panie się zjawią.

Odebrała od niego kolejną kartkę i rozłożyła ją. Wilmański pisał, że czekał na nie, ale ostatecznie musiał się zbierać. Nie poinformował dlaczego, podał jednak adres, pod którym mogły go znaleźć.

– Co tym razem? – bąknęła młoda.

Eliza podała jej kartkę, ale Ana tylko pokręciła głową. Dopiero teraz Zarieczna uświadomiła sobie, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż nikt nigdy nie nauczył dziewczyny czytać. Szybko zreferowała jej treść, a potem schowała papier do kieszeni.

– Nie pozostaje nic innego, jak sprawdzić, co on kombinuje – oceniła Ana.

– Mhm.

– Wiesz, gdzie jest ta knajpa?

Zarieczna nie orientowała się zbyt dobrze w tamtych rejonach, ale wiedziała, jak dotrzeć do Nalewek. Przypuszczała, że nawet w zimie ulica tętni życiem, więc nie powinno być problemu z odnalezieniem miejsca, które wskazał Wilmański.

Skinęła głową, po czym wskazała kierunek. Ruszyły przed siebie we wzmagającym się wietrze. Wydawało im się, że brną ku sercu żydowskiej dzielnicy bez końca. Wbrew temu, co sądziła Eliza, ulice niemal opustoszały. Raz po raz mijały grupy młodych mężczyzn rozmawiających w jidysz. Kobiety nie dostrzegły ani jednej.

Minąwszy szereg bożnic, w końcu dotarły na plac Muranowski. Gdyby nie zima, byłoby tu prawdziwe zatrzęsienie tramwajów. W tym miejscu krzyżowały się linie, które swój bieg zaczynały na Dworcu Gdańskim, placu Broni czy na Słodowieckiej. Teraz jednak przestrzeń była pusta.

Zarieczna miała wątpliwości, czy odnajdą wskazaną restaurację, ale Anastazji udało się wypatrzyć ją już po chwili. Weszły do środka i poczuły ulgę. Mimo że panował w niej zaduch, w porównaniu z ziąbem na zewnątrz było przyjemnie.

Problem polegał na tym, że lokal również zdawał się wyludniony. Niedopite trunki i niedojedzone potrawy stały na stolikach, jakby towarzystwo musiało rozejść się w pośpiechu.

Podszedł do nich kelner i zmierzył je wzrokiem.

– Czego tu szukacie? – rzucił.

Nie tak Eliza wyobrażała sobie powitanie w miejscu, które z zewnątrz sprawiało wrażenie porządnej restauracji. Być może było jednak przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn.

Ana zrobiła krok do przodu.

– Ernesta Wilmańskiego – wypaliła.

– Nie ma tu nikogo takiego.

– Właściwie chyba w ogóle nikogo tu nie ma – odparła pod nosem, zataczając ręką krąg. – Gdzie nagle wybyli?

Kelner zaplótł przed sobą ręce, a potem w milczeniu spojrzął na drzwi. Trudno było o wymowniejszy gest.

– Chodzi nam o Wołyniaka – dodała Anastazja. – Miał się tu z nami spotkać.

Pracownik restauracji nadal był niewzruszony.

– Mów, gdzie on jest?

– Nie wiem, o kim mowa.

– Och, naprawdę? – odparła z uśmiechem. – W takim razie będziesz miał okazję go poznać, kiedy tu wróci i wytłumaczy ci, że popełniłeś duży błąd, nie wskazując dwóm najważniejszym kobietom w jego życiu, dokąd się udał.

Eliza musiała przyznać, że zabrzmiało to całkiem dobrze. W dodatku kelner najwyraźniej wziął sobie jej słowa do serca, bo zmienił w końcu pozę i rozejrzał się. Odchrząknął niepewnie.

– Cóż... – zaczął. – Skoro was tu poprosił...

– Gdzie on jest?

– W kinie „Unia”.

– Gdzie to kino?

– Ulica Dzika dziewięć. Niedaleko.

– Co tam robi?

– Mogę tylko zgadywać – odparł pod nosem mężczyzna. – A nie chciałbym tego robić.

Wyszły z restauracji bez odpowiedzi, coraz bardziej zaniepokojone. Zarzeczna oceniła, że lokal był w stanie zmieścić przynajmniej kilkadziesiąt osób. Większość stolików wyglądała, jakby jeszcze przed momentem miejsca przy nich zajmowali klienci. Jeśli wszyscy wyszli razem z Wilmańskim, nie mogło to oznaczać nic dobrego.

Popatrzyła na szyld, ale nazwa wyszynku nic jej nie mówiła. Jeśli to tutaj mieściła się siedziba żydowskiego półświatka, policja nie otrzymała na ten temat żadnych informacji.

– Chodźmy – ponagliła ją Ana. – Może potrzebować naszej pomocy.

– Nie sądzę, żeby...

– Na pewno władował się w kabałę.

– To nie ulega wątpliwości – przyznała Zarzeczna. – Miałam na myśli, że nie wydaje mi się, żebyśmy mogli w jakikolwiek sposób mu pomóc.

– Sugerujesz, żebyśmy zrezygnowały?

– Wręcz przeciwnie – odparła Eliza i skierowała się ku Dzikiej.

Kino rzeczywiście znajdowało się nieopodal. Widać było je już z oddali, nie tylko dzięki szyldowi, ale także wysokiemu, strzelistemu frontonowi. Przed budynkiem stało kilku chłopaków i paliło papierosy. Dym połączony z parą sprawiał wrażenie tak gęstego, jakby dało się go ciąć nożem.

Zarzeczna przypuszczała, że tym razem będą musiały postarać się bardziej, by wejść do środka. Ledwo jednak podeszły do chłopaków, ci natychmiast się rozsunęli. Skinęli do Elizy głowami, a potem otworzyli przed nimi drzwi.

– Co tu się wyprawia, do cholery? – mruknęła Ana. – Na film raczej nie przyszli.

– Raczej nie.

Kiedy weszły do środka, wszystko stało się jasne. Na niewielkiej scenie ułożono skórzaną matę i mimo że jej nie ogrodzono, nie ulegało wątpliwości, że pełniła przed momentem funkcję ringu. Grupa kilkudziesięciu mężczyzn siedziała na widowni i obserwowała dwóch, którzy byli w centrum wydarzeń.

Obaj siedzieli na skraju maty, zakrwawieni i zdyszani. Ernest właśnie odwiązywał rękawice, jego przeciwnik najwyraźniej zrobił to chwilę wcześniej.

– Wygląda na to, że się spóźniłyśmy – bąknęła Anastazja.

Zarieczna jej nie słyszała. Ruszyła szybkim krokiem w kierunku Wilmańskiego, starając się ocenić jego obrażenia. Połowę twarzy miał zalaną krwią i przez to trudno było stwierdzić, jak głębokie są rany.

Mijała rzędy krzeseł, z których powoli podnosili się kolejni widzowie. Dopiero po chwili dostrzegła arbitra zapisującego coś na kartce. Stał kawałek za Ernestem i jego oponentem, który teraz nachylił się do Wilmańskiego, powiedział coś, a potem wskazał Elizę.

Ernest podniósł się i uśmiechnął do niej.

– Wygrałem – oznajmił. – Sześć rund, sporo celnych ciosów, werdykt jednomyślny.

Przeciwnik Wilmańskiego również wstał. Wyciągnął do niego dłoń, ale Wilmański nadal miał założoną rękawicę. Zamiast mu ją podać, skinął głową. Żydowski zawodnik zdawał się nieco skonsternowany, ale ostatecznie oddalił się, nie robiąc problemów. Jego Ernest nie musiał się obawiać.

Eliza i Anastazja stanęły przed nim i spiorunowały go wzrokiem.

– Wytłumaczysz, co tu się stało? – zapytała Ana.

– Doszło do walki.

– W jaki sposób?

– Rzucono mi wyzwanie – odparł Wilmański jakby nigdy nic. – Kilku pyszałków stwierdziło, że goje i pięściarstwo pasują do siebie jak woda i ogień. Przywołali igrzyska z dwudziestego czwartego.

Zarieczna podniosła ręcznik leżący na scenie i otarła czoło Ernesta.

– Igrzyska dla nas dość tragiczne – dodał. – Nie dość, że przegraliśmy wszystkie pojedynki, to jeszcze przed upływem czasu. Zawodnicy wyglądali na... cóż, przypadkową zbieraninę. I nie mieli nawet sekundantów.

Syknął z bólu, kiedy Eliza trafiła na miejsce, gdzie znajdowała się rana. Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Po to przyszedłeś do Dzielnicy Północnej? – spytała cicho.

– Poniekąd.

– Chciałeś się sprawdzić?

– Też.

– A oprócz tego?

– Chciałem wytłumaczyć tutejszym, żeby nie robili zakusów na nasze terytorium.

– I wytłumaczyłeś?

– To się okaże. Ten, z którym skrzyżowałem pięści, to jeden z przywódców lokalnego gangu.

– Świetnie...

– Możliwe rezultaty są więc dwa. Albo rozsierdzi go przegrana i zaatakuje, albo uhonoruje nasz układ i odpuści. Przynajmniej na jakiś czas.

Zarieczna spojrzała na zakrwawiony ręcznik, a potem na ranę. Znajdowała się tuż nad łukiem brwiowym i była tak głęboka, że bez szwów z pewnością się nie obejdzie. W dodatku goić się będzie na pewno ponad tydzień.

– Nawet jeśli sprawdzi się drugi scenariusz, co zyskasz?

– Nic.



– To bardzo roztropne.

– Musiałem to zrobić – odparł. – Nie chodziło o ugranie czegokolwiek wśród Banników.

– Więc o co?

– O to, że za tydzień o tej porze mogę przewodzić tej organizacji. I chcę mieć wtedy czyste przedpole, żeby uregulować sprawy wewnętrzne. Konflikt z Żydami do niczego mi się nie przyda.

Ana westchnęła głęboko, zwracając na siebie uwagę.

– Jesteś optymistą, Wołyniak – zauważyła, a potem wskazała na rozcięcie. – I to wyjątkowym. Może dzięki temu nie zmartwi cię to, że masz głęboką ranę.

– Zszyje się.

– Nawet jeśli, to jeden dobrze wymierzony cios Trawickiego sprawi, że na powrót się otworzy.

– Unoszę dobrą gardę. Nie przebije się przez nią.

Eliza nie miała zamiaru z nim dyskutować. Widziała, że jest zbyt dumny z siebie, ogarnięty irracjonalną satysfakcją i przekonany o własnej niezniszczalności, by przemówiła mu do rozsądku.

Nadal oddychał ciężko, oczy mu się świeciły, mięśnie miał napięte, a kąciki ust lekko uniesione. Musiała przyznać, że tak zadowolonego jeszcze go nie widziała. Zrozumiała, że był w swoim żywiole.

Niemal żałowała, że nie obserwowała tej walki. Wiedziała jednak, że za tydzień nie przegapi ani jednego ciosu, uniku czy bloku. Miała tylko nadzieję, że w starciu z młodym i silnym przeciwnikiem pójdzie mu równie dobrze.

– Ubieraj się – rzuciła Ana. – Idziemy prosto do szpitala.

– Spokojnie. Nie dzieje się nic, co by wymagało pośpiechu.

– Zaraz się wykrwawisz.

– Miewałem gorsze rany – odparł i machnął ręką.

Uśmiechnął się do nich, a potem obrócił i sięgnął po zakrwawiony ręcznik. Kiedy się wyprostował, zachwiał się i przechylił niebezpiecznie na bok. Eliza natychmiast do niego dopadła i go podtrzymała.

Na moment zaległa cisza.

Wilmański powoli zwrócił głowę w jej stronę. Zobaczyła, jak z jego twarzy w okamgnieniu znikł cały entuzjazm. Przełknął ślinę i zmarszczył czoło, jakby nie do końca rozumiał, co się właśnie stało.

Potem znów się uśmiechnął.

– Za szybko się podniosłem – oświadczył. – To się zdarza.

Ana podeszła do niego i uderzyła go w ramię.

– Gdzie jest najbliższy szpital? – spytała.

– Posłuchaj, młoda, naprawdę nie ma...

– Gdzie?!

– Nie wiem. Nie jestem przecież stąd.

Oboje spojrzeli na Zarzeczną, jakby fakt, że była policjantką, miał sprawić, iż zna lokalizację wszystkich szpitali miejskich. Sięgnęła do pamięci, ale przypominała sobie

jedynie budynek na rogu Inflanckiej i Pokornej. Kiedyś mieścił się tam szpital żydowski, ale teraz był to chyba tylko oddział chorób zakaźnych miejskiej lecznicy.

– Wracajmy do Śródmieścia – powiedziała. – Jak da radę, pójdziemy do Świętego Łazarza. Jak nie, zatrzymamy się po drodze u Świętego Ducha.

Ernest dotarł do pierwszej z tych placówek bez kłopotu. Rzeczywiście wyglądało na to, że zbyt szybko się podniósł, co po kilku mocnych ciosach mogło okazać się problematyczne. U Łazarza założyli mu szwy i przebadali gruntownie. Lekarze doskonale wiedzieli, z kim mają do czynienia.

Wypuścili go do domu bez zająknięcia się słowem o tym, że coś może być nie w porządku. Wilmański utrzymywał zresztą, że życzyli mu powodzenia w starciu za tydzień i uznali, że nie widzą żadnych powodów, by je przekładać.

Elizie trudno było w to uwierzyć, ale postanowiła nie drażnić tematu. Klamka i tak zapadła. Co by się nie wydarzyło, Ernest stanie do walki z Trawickim i da z siebie wszystko, by przeciwnik wylądował na deskach.

– Wygląda na to, że frekwencja będzie niemała – odezwała się, gdy wracali na Hożą.  
– Skoro nawet lekarze wiedzą, co się święci.

Wilmański skinął głową zamyślony. Skrzywił się, jakby coś go przy tym zabolalo.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Tak.

Obejrzała się przez ramię.

– Wrócę tam później, by z nimi pomówić – zaznaczyła. – Jeśli jest więc coś, czym niespecjalnie chcesz się dzielić, i tak się dowiem. Prędzej czy później.

– Starasz się zostać moją sekundantką?

– Jestem nią tak czy inaczej – odparła przekornie. – Czy tego chcę, czy nie.

Ana spojrzała na nich jak na dwoje dzieci i westchnęła.

– Przydałby się sekundant z prawdziwego zdarzenia – zauważyła.

– Poradzę sobie sam.

– Tak, to twoje motto życiowe – odburknęła. – Ale pięściarz zawsze ma kogoś w rogu.

– Stałaś się specjalistką?

– A ty walczyłeś kiedyś bez sekundanta?

Nie odpowiedział, co właściwie zamykało temat. Zarzeczna przypuszczała, że zanim przebrną przez zwały śniegu i dotrą na Hożą, każde z nich będzie miało choć kilku kandydatów, którzy mogliby wesprzeć Ernesta podczas walki.

Na miejscu okazało się jednak, że zadanie nie jest tak łatwe. Wilmański odrzucał kolejne nazwiska, uznając, że osoby niemające nic wspólnego z boksem nie powinny w ogóle wchodzić w grę. Eliza i Ana argumentowały, że chodzi o wsparcie psychiczne, ale on stanowczo odrzucał tę koncepcję.

Ostatecznie zostali z niczym – jeśli nie liczyć wątpliwości, które cały czas kołatały się w głowie Zarzecznej. By je rozwiązać, postanowiła zrobić to, o czym wcześniej wspominała w żartobliwym tonie.

Nazajutrz o świcie wybrała się do szpitala i odnalazła lekarza, który badał Wilmańskiego. Mężczyzna potwierdził, że wszystko jest w porządku, a ona dopiero wtedy na dobre odetchnęła.

– Inna sprawa, czy pani towarzysz ma jakiegokolwiek szanse – dodał doktor na odchodnym.

Eliza spojrzała na niego, jakby wygłosił najgorszą herezję.

– Raczy pan żartować.

– Bynajmniej – odparł, strzepując z kitla niewidzialny pyłek. – Pan Wilmański być może ma duże doświadczenie na ringu, ale jest przemęczony, a może nawet wycieńczony. Nie dość, że nie zregenerował się w pełni po operacji, jego organizm ledwo zipie za sprawą morfiny. Obawiam się, że robi dobrą minę do złej gry.

– Ależ...

– Ma swój honor, nie lubi okazywać słabości. To jednak może doprowadzić do tragicznych skutków. Proszę mieć to na względzie.

– Pokonał wczoraj jednego przeciwnika, poradzi sobie z drugim.

Lekarz najwyraźniej słyszał o starciu przy Dzikiej, bo pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Owszem – przyznał. – Tyle że tamten człowiek był w jego wieku. I powinien walczyć w wadze piórkowej. W przypadku kolejnego oponenta sytuacja będzie zupełnie inna.

Słowa lekarza odbijały jej się echem w głowie, gdy szła do domu wychowawczego. Przez cały dzień nie mogła wyrzucić ich z umysłu.



# Rozdział trzynasty

W pierwszych dniach przygotowania nie szły Wilmańskiemu najgorzej. Po mieście szybko rozeszła się wieść, że udał się samotnie do Dzielnicy Północnej i stoczył tam pojedynkę z prominentnym członkiem żydowskiego gangu. Obiegowa wieść niosła, że znajdował się w ścisłym kierownictwie i był powszechnie szanowany.

Część Banników była pod wrażeniem, inni podkreślali, że Ernest niepotrzebnie wyprawiał się na samozwańczą misję i ryzykował wybuch konfliktu. Ostatecznie jednak rezultat był pozytywny. Doszło do spotkania żydowskiej delegacji z Trawickim i Wilmańskim. Ustalono, że terytoria pozostaną niezmienione.

Ernest wyniósł z tego spotkania dodatkowe korzyści dla siebie. Mężczyzna, którego pokonał, nazywał się Frojm Ajchenbaum i rzeczywiście stanowił jeden z filarów organizacji. Był nieco starszy od Wilmańskiego, a boksu uczył się głównie na szkoleniach organizowanych po wojnie przez YMCA. Delegacje związku były wysyłane do Polski, a w Warszawie od 1920 roku urządzano nawet pokazowe walki pięściarskie. Nie cieszyły się wielkim zainteresowaniem, mieszkańcy stolicy zdecydowanie woleli zapasy.

Frojm zgodził się nie tylko być sekundantem, ale także trenować na co dzień z Wilmańskim. Mieli spotykać się w niewielkiej salce należącej do Polskiego Towarzystwa Atletycznego i przez tydzień prowadzić intensywne ćwiczenia.

Początkowo Ernest był zadowolony z tego, jak radzi sobie podczas treningów. Z każdym kolejnym dniem miał jednak wrażenie, że opada z sił. Walka wypadła w środę, w poniedziałek zaś poczuł, że dotarł do granicy. I nie był osamotniony w swoich wnioskach.

Kiedy skończył kilkurundowy sparing z Frojmem, Żyd podał mu ręcznik, a potem opadł ciężko na deski i założył ręce za liny.

– Musisz odpocząć – oznajmił. – Jesteś w gorszej formie niż podczas naszego starcia na Dzikiej.

Ernest usiadł obok.

– Będę odpoczywać od środowego ranka.

– To za mało czasu.

– Do wieczora zostanie mi go sporo.

– Nie na tyle, żebyś się zregenerował – zaproponował stanowczo Ajchenbaum. – Balansujesz na granicy. I obawiam się, że kilka dobrze wymierzonych ciosów może sprawić, że ją przekroczysz.

– Trawicki nie wymierzy dobrze ani jednego.

Frojm potarł brodę w głębokiej zadumie. Gdyby był bardziej ekspresyjny, być może westchnąłby lub rozłożył ręce, ale wszystkie jego reakcje sprowadzały się właściwie do gładzenia zarostu. Być może przez to wydawał się Wilmańskiemu człowiekiem nieprzeniknionym.

Ernest nie mógł nawet stwierdzić, czy jego sekundant w istocie będzie mu kibicował.

– On także ćwiczy – zauważył Ajchenbaum.

– W tydzień nie nauczy się boksować.

– Nie musi. Wystarczy, że dowie się, jak wyprowadzić kilka celnych ciosów.

– Nie przesadzaj.

– Nie przesadzam – mruknął Frojm. – Patrzyłeś ostatnio w lustro? Jesteś blady, wychudzony, masz podkrążone oczy. Nie wyglądasz zdrowo.

– Czuję się w sam raz.

Frojm odgiął się na linach, nabrał głęboko tchu, a potem spojrzał na rozmówcę bez wyrazu.

– W dodatku kłamiesz – rzucił.

– Ktoś musi, żeby ten świat się nie zawalił.

Żyd zmrużył oczy. Było w tym coś oskarżycielskiego.

– Zrobmy jutro przerwę – zaproponował. – Najesz się do syta, wyśpisz porządnie. Jeden dzień niczego nie zmieni.

– Przeciwnie. Może okazać się kluczowy.

– Trenujemy bez wytchnienia od kilku dni. Przypomniałeś sobie wszystko, czego kiedyś cię uczono. Na co więcej liczysz?

– Muszę poprawić pracę nóg.

– Owszem, musisz. Ale nie osiągniesz tego, katując się.

Ernest otarł pot z czoła i podniósł się.

– Wystarczy tych dyskusji – oznajmił. – Czas na kolejne rundy.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, jakby za jego pomocą prowadzili walkę znacznie ważniejszą niż tę, którą odbywali na pięści. W końcu Frojm wstał i na powrót założył rękawice.

– Jak sobie życzysz – powiedział. – Złożyłem ci obietnicę i jej nie złamię. Ale przypomnisz sobie moje słowa, kiedy będziesz ślaniał się na nogach w środe.

– Bez obaw.

– Ja się nie obawiam. Ty jednak powinienes.

Kiedy zaczęli boksować, Ajchenbaum nie wracał już do tematu. Wilmański był mu wdzięczny zarówno za to, jak i za fakt, że tym razem nie wspomniał o morfinie. Nie szczędził mu słów reprimendy, twierdząc, że każdy kolejny łyk tego specyfiku coraz bardziej go osłabia.

Ernest przez te wszystkie dni nie był gotów przyznać mu racji. Aż do dziś.

Czuł, że nie jest w formie, brakowało mu siły. Myślał tylko o tym, by wrócić na Hożą i wypić nieco roztworu. Eliza niechętnie zaopatrzyła go w pokaźny zapas, wynosząc z domu wychowawczego wszystko, co udało jej się znaleźć. Jednocześnie oznajmiła mu, że po walce odstawi narkotyk na dobre.

Wilmański miał taki zamiar, ale musiał przyznać, że ta myśl wydawała mu się coraz bardziej niewygodna. W dodatku z rozrzewnieniem wspominał, jakie efekty miała morfina przyjmowana dożylnie.

Przeszło mu nawet przez głowę, by skorzystać z kontaktów Banników. Miał dostęp do narkotyków, wystarczyło tylko odezwać się do odpowiednich osób. Problem stanowił jednak fakt, że gdyby ktokolwiek w organizacji dowiedział się, iż jest

morfinistą, efekt mógłby być druzgocący. Bannicy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jak kończą tacy ludzie. I nigdy nie zgodziliby się, by jeden z nich prowadził ich w nową przyszłość.

Wilmański i Frojm skończyli trening nieco wcześniej. Było to jedyne odstępstwo, na które Ernest był gotów przystać. Normalnie spędzali na deskach czas od rana do wieczora, tego dnia jednak zeszli z nich już po południu.

Zamiast wrócić na Hożą, Wilmański udał się do domu wychowawczego. Stał na schodach, wyciągnął paczkę papierosów i zapalił. Przez moment się zastanawiał. Wchodząc do budynku, narażał się na ponowne wysłuchanie tego wszystkiego, co powiedział Ajchenbaum. Eliza zgadzała się z sekundantem w całej rozciągłości, a może nawet to ona jako pierwsza zwróciła mu uwagę na to, jak źle jest z Wilmańskim.

Wypalił papierosa, zastanawiając się, czy nie powinien posłuchać tej dwójki. Może rzeczywiście jeden dzień go nie zbawi. Może i tak nie podciągnie się już w aspektach, na które nie ma wpływu.

Upływ lat zrobił swoje. Wiedział, że stracił na szybkości, co niegdyś stanowiło jeden z jego największych atutów. Dodatkowy dzień sparingów z pewnością nie pomoże.

W końcu uznał, że we wtorek odbędzie jedynie lekki poranny trening.

Los jednak postanowił, że i to nie było mu dane.

Kiedy obudził się następnego dnia, wiedział już, że pokrzyżowano mu szyki. W mieszkaniu panowała cisza, a łóżko Anastazji było zaścielone, jakby nie nocowała w domu. Normalnym widokiem o poranku był barłóg, nie miała nawyku ścielenia i dzień w dzień robił to za nią.

Po dziewczynie nie było śladu.

– Ana?

Wilmański zwlókł się z łóżka, nie odnotowując nawet zmęczenia, które mimo wielu przespanych godzin nie znikło. Nie zwrócił także uwagi na zakwaszone mięśnie, które od kilku dni dawały mu się we znaki.

Przeszedł do kuchni i rozejrzał się. Opadło go poczucie niepokoju, choć nie potrafił stwierdzić, skąd się brało. Dziewczyna mogła przecież na moment wyjść, choćby po to, by wyrzucić śmieci.

Wmawiał to sobie jedynie przez chwilę. Ostatecznie dobrze wiedział, że nie było żadnego powodu, by o poranku wychodziła na ziąb.

Szybko zrekapitulował wszystko, co działo się poprzedniego dnia. Był na treningu z Frojmem, potem poszedł do Elizy. Zjedli razem kolację w stołówce domu wychowawczego, po czym wrócił do mieszkania. Poszedł spać wcześniej, Anastazja jeszcze się nie położyła.

Nie wspominała, że miała zamiar gdziekolwiek wychodzić. A może jednak? Wypił dosyć sporo podczas kolacji, a po powrocie na Hożą od razu sięgnął po wódkę i morfinę. Tylko po to, by szybko się znieczulić i zapaść w sen, którego nic nie przerwie.

Sięgnął po papierosy i bezrefleksyjnie zapalił jednego. Sztachnął się tylko raz i odłożył go do popielniczki. Przez chwilę krążył po mieszkaniu, po czym uznał, że

zmęczony umysł płata mu figle.

Nic niepokojącego się nie działo. Ana spała w domu i ten jeden raz zaścieliła łóżko. Potem wyszła na zakupy lub do Elizy, by porozmawiać o jutrzejszej walce. Co innego mogłoby się zdarzyć?

Wilmański szybko narzucił płaszcz i w progu przypomniał sobie o zapalonym papierosie. Zgniółł go w popielniczce, brudząc przy tym ciemnoczerwoną rękawiczkę, a potem wyszedł z mieszkania.

Już po kilku minutach stanął przed schodami domu wychowawczego. Zarzecznej jeszcze nie było, zaczynała pracę dopiero za kilka minut. Zaklął pod nosem, wykreślając jedną z możliwości, która przyniosłaby mu spokój ducha.

Chwilę później wypatrzył zbliżającą się Elizę. Powitała go ze zdziwieniem, uśmiechając się.

– Jeśli to jakaś nowa tradycja, podoba mi się – powiedziała, a potem podeszła do niego i pocałowała go.

Odwzajemnił pocałunek zdawkowo, pospiesznie. Zarzeczna odsunęła się i zmarszczyła czoło.

– Co się dzieje?

– Nie ma młodej.

– Jak to nie ma?

Szybko naświetlił jej sytuację i nie musiał podkreślać, jak znaczący jest na pozór błahy fakt, że łóżko było pościelone. Najwyraźniej w domu wychowawczym nieraz starano się nauczyć dziewczynę, by zmieniała nawyki. Bezskutecznie.

Kiedy skończył, popatrzył wyczekująco na Zarzeczna. Ta jednak milczała.

– I? – zapytał nerwowo. – Co sądzisz?

Otworzyła usta, ale nie zdążyła się odezwać.

– Przesadzam? – rzucił. – Niepotrzebnie się niepokoję?

– Przede wszystkim brzmisz jak morfinista, Ernest.

Machnął ręką.

– Nie chodzi teraz o mnie. Powiedz mi, co myślisz.

– Sam fakt, że o to pytasz, dowodzi, że jesteś zbyt roztrzęsiony, by zebrać myśli.

Dobrze się czujesz?

– Nie. Nie czuję się dobrze. Nie wiem, gdzie jest Anastazja.

Słyszał wypowiedane przez siebie słowa, ale głos wydawał mu się obcy. Uświadomił sobie, że Zarzeczna ma rację. Rzeczywiście miał kłopoty z zachowaniem spokoju, a kiedy wyciągnął ręce z kieszeni, przekonał się, że mu się trzęsą.

Dopiero teraz dotarło do niego, że nie wziął porannej porcji morfiny.

– Myślę, że martwisz się na zapas – odezwała się w końcu Eliza. – Co miałoby jej się stać?

– Nie wiem.

Potarł nerwowo krótkie włosy na karku, rozglądając się.

– Nie wiem też, dokąd miałaby pójść. I to mnie martwi.

– Ma różne pomysły – odparła Zarzeczna. – Sam dobrze wiesz.

– Tym gorzej.



Spojrzał w kierunku drzwi, a potem potoczył wzrokiem po oknach wychodzących na Koszykową. Dostrzegł kilka osób, właściwie widm, które wpatrywały się w zimowy krajobraz. Zdawały się nie zwracać uwagi na dwoje ludzi stojących przed budynkiem.

– Zostało jeszcze trochę morfiny? – zapytał Ernest.

– Nie. Opróżniłam cały zapas.

– Potrzebuję...

– Zużyłeś już wszystko?

– Nie, ale z pośpiechu zapomniałem o porannej dawce.

– Więc wróć do mieszkania i zażyj. Tutaj nie ma już ani grama – odparła z pretensją w głosie, a potem zlustrowała go wzrokiem. – Ile ci zostało?

– Sporo.

Nie wyglądała, jakby mu wierzyła, ale uznał, że to nie pora, by ją przekonywać. Zresztą najpewniej odwiedzi go po pracy, sama przekona się, że nie zaczął brać więcej. Przystąpił z nogi na nogę, nerwowo się rozglądając.

– Gdzie ona może być? – spytał. – Co mogłaby robić o tej porze?

– Spokojnie, Ernest. Nic jej nie jest.

– W takim razie gdzie jej szukać?

– Może wróciła już do domu. Nie pomyślałeś o tym?

Nadal pocierał tył głowy. Obrócił się w kierunku Hożej i uznał, że Eliza może mieć rację. Jeśli młoda wyszła gdzieś na moment, do tego czasu mogła wrócić. Nawet nie sprawdził, czy kanalizacja działa, ostatnio rury przymarzały i było coraz więcej problemów. Na dobrą sprawę Ana mogła wyjść, by skorzystać z wychodka.

Skinął głową.

– Chodź – rzuciła Zarzeczna. – Pójdę z tobą.

– Zaczynasz pracę.

– Świat się nie zawali, jeśli się trochę spóźnię.

Ruszyli do mieszkania razem, a Wilmański miał wrażenie, jakby wczoraj nie boksował z Frojmem, a przebiegł królewski dystans podczas biegu maratońskiego. Powoli jednak się uspokajał.

Kiedy podeszli do klatki, Eliza ujęła jego dłoń i obróciła go do siebie, by spojrzeć mu głęboko w oczy.

– Nie widzisz, co się z tobą dzieje?

– Nie.

– Nie jesteś sobą bez morfiny. Zapomniałeś jednej dawki rano i już...

– Czuję się lepiej. Po prostu się zaniepokoiłem.

– Co do ciebie niepodobne.

Niechętnie przyznał jej rację. Wprawdzie psychicznie poczuł się nieco lepiej, ale fizycznie z każdą upływającą chwilą było coraz gorzej. Miał wrażenie, jakby brakowało mu paliwa.

Weszli na stację i jeszcze zanim Wilmański otworzył drzwi, zaczął nawoływać dziewczynę. Odpowiedziała mu jednak cisza. Spojrzał z niepokojem na Zarzeczna i dopiero teraz dostrzegł niepewność na jej twarzy.

– Mówiłem ci. Coś jest nie w porządku.

Otarł pot z czoła, zdziwiony poczuciem gorąca, które go opłotło.

– Weź morfinę. Nie za dużo.

Podszedł do jedynej szafki w mieszkaniu, otworzył ją, a potem zamarł. Nie było ani jednej flaszki. Wewnątrz znajdował się jedynie osprzęt do wstrzykiwania roztworu, kilka kawałków białego materiału i środek do dezynfekcji. Ernest nie wierzył własnym oczom.

Eliza podeszła do niego i stanęła obok.

– Twierdziłeś, że masz zapas.

– Jeszcze wczoraj w nocy było tego w bród.

– Więc co się stało?

Odwrócił się i powiódł wzrokiem dokoła. Myśli kotłowały mu się w głowie, nie chciały się ułożyć w logiczny ciąg. Przez moment zastanawiał się, czy w istocie nie spożytkował wszystkiego.

Ale nie, to niemożliwe.

– Nawet gdybym próbował, nie dałbym rady tyle przyjąć – powiedział. – Przyniosłaś mi ostatnio zaopatrzenie na... przynajmniej na kilka dni.

Popatrzyła na niemal pustą butelkę wódki stojącą obok szafki.

– Ile pamiętasz z wczorajszego wieczoru, Ernest?

– Tyle, ile jest konieczne, żebym wiedział, że tego wszystkiego nie wypilem – odparł stanowczo. – I to nie przypadek, że znikła zarówno Ana, jak i cały towar. Ktoś musiał tu być.

Albo to ona wyniosła morfinę, dodał w duchu. Ufał jej, ale zdążył także dobrze ją poznać. Wiedział, że byłaby do tego zdolna.

– Więc ktoś ukradł narkotyki i porwał dziewczynę?

– Tak to wygląda.

– Kto?

– Nie wiem. Może Trawicki, by wytrącić mnie z równowagi. Może Żydzi, by się odplącić. Może ktoś z niedobitków Bruderferajn, by wysłać sygnał, że jeszcze ze mną nie skończyli. Może policja, by...

– Wystarczy.

– Posłuchaj mnie. Nie wypilem tego, a dziewczyna...

– Wierzę ci, Ernest.

Odetchnął. Przez moment był przekonany, że będzie musiał zdobyć się na mozolną i karkołomną argumentację, która w wykonaniu morfinistów nigdy nie wypadła tak, jak powinna.

Wilmański niechętnie tak o sobie myślał. A jednak wniosek nasunął się sam. Przez lata w Wilnie wzbraniał się przed wszystkim, na czym Bruderferajn zbijało fortunę. Widział, co te rzeczy robią z ludźmi. A teraz wszedł na jedną z tych dróg, które kończyły się ślepym zaułkiem.

Postanowił, że po walce na ringu rozpocznie kolejne starcie. Tym razem z samym sobą.

– Ernest?

– Tak?

– Pytałam, co zamierzasz teraz zrobić?

– Poszukam jej. A ty wracaj do domu wychowawczego.

– Nie. Pomogę ci.

Nie było mu to na rękę. Pomijając to, że miała swoje obowiązki i mogła narazić się przełożonym, towarzysząc mu, wystawiała się na niebezpieczeństwo. Zamierzał szukać Any w miejscach, które do spokojnych nie należały.

– Wracaj na Nowogrodzką. Poradzę sobie sam.

– Nie ma mowy. Poza tym szybciej będzie, jeśli podzielimy się miejscami do sprawdzenia.

– Doprawdy? Może ty pójdziesz sprawdzić Trawickiego, a ja Dzielnicę Północną?

– Nie drwij.

Miała rację, nie powinien był tego robić. Brak morfiny był jednak zbyt dokuczliwy, wpływał nie tylko na jego osąd, ale także zachowanie. Uznał, że jak najszybciej musi przyjąć dawkę.

– I myślę, że powinniśmy zacząć od Żydów – dodała. – A konkretnie od twojego sekundanta.

– Frojm jest...

– Jest członkiem ich gangu – weszła mu w słowo. – Nie pomyślałeś o tym, że może mu zależeć, żebyś przegrał? Bannicy z Trawickim za sterami będą dryfującym okrętem, co z punktu widzenia Ajchenbauma jest dobrą perspektywą.

– Nie.

Popatrzyła na niego, jakby był naiwnym chłopakiem, a nie doświadczonym przez życie członkiem półświatka.

– Zawarliśmy umowę. Dzentelmeńską.

– I to sprawia, że mu ufasz?

– Tak.

– W takim razie wbrew pozorom jesteś naprawdę pełen wiary w ludzi.

– Raczej w Żydów, szczególnie jeśli chodzi o dotrzymywanie umów.

Przez moment miał wrażenie, że Zarzeczna się uśmiechnie. I mimo że jej usta nie drgnęły, w oczach pojawił się błysk, który świadczył o rozluźnieniu. Szybko jednak znikł. Oboje z każdą mijającą chwilą uświadamiali sobie, że Anastazji rzeczywiście coś mogło się stać. Przez moment rozglądali się w milczeniu. Szukali jakiegokolwiek poszlaki.

– Nic nie wskazuje na to, żeby ktoś tu wtargnął, Ernest.

– Oprócz brakujących leków.

– W tym wypadku nie nazywałabym tak morfiny – odparła, a potem wskazała na drzwi. – I nie ma śladów włamania.

– Nikt nie musi się tu włamywać. Ten zamek można otworzyć bez klucza.

– Naprawdę?

– Uroki stancji – odparł pod nosem i zaczął na powrót przeglądać szafkę.

Po chwili uznał, że to bezcelowe. W mieszkaniu niczego nie znajdzie, bo ktokolwiek porwał Anę, nie zamierzał negocjować. Nie chodziło o wyłudzenie od niego czegokolwiek – jedynymi powodami mogły być zemsta lub chęć wytrącenia go

z równowagi.

Wilmański zatrzasnął drzwiczki i ruszył do wyjścia. Zarzeczna bez słowa poszła za nim.

Nie miał zamiaru godzić się na to, by się rozdzielili, ale ostatecznie nie pozostawiła mu wyboru. Ustalili, że podczas gdy ona skupi się na sprawdzaniu śródmiejskich ulic, on zajmie się bardziej niebezpiecznymi lokalizacjami. Na to był gotów przystać.

– Spotkajmy się o trzeciej w „Mokradle” – zaproponowała Eliza. – Może do tego czasu któreś z nas coś znajdzie.

– W porządku.

Znów go pocałowała, a on dopiero teraz uświadomił sobie, jak osobliwie czuje się, okazując uczucia w miejscu publicznym. Nigdy nie przypuszczał, że nawiąże z kimkolwiek na tyle... normalną relację, by witać się i żegnać pocałunkiem na ulicy.

Odprowadził Elizę wzrokiem, a potem ruszył w kierunku Marszałkowskiej. Zamierzał sprawdzić ogród Saski, a potem przejść się na Nalewki. Był pewien, że Frojm nie miał nic wspólnego ze zniknięciem dziewczyny, ale nic nie stało na przeszkodzie, by ktoś inny z Żydów się tym zajął.

Oczami wyobraźni zobaczył, jak wprowadzają ją do ciemnej piwnicy jednej ze zniszczonych kamienic w Dzielnicy Północnej. Wiążą ją, a potem każą siedzieć cicho. Zapewniają, że nic jej się nie stanie, jeśli będzie się zachowywała dobrze. Że wypuszczą ją po walce.

Tyle że nawet gdyby chciała, Ana nie potrafiła zachowywać się tak, jak tego od niej wymagali inni. Nawet z rewolwerem przy skroni zapewne robiłaby to, co potrafiła najlepiej. Buntowała się.

Gdy mijał Dworzec Główny, przeszło mu przez myśl, że nie może jej szukać w takim stanie. Skręcił w lewo zaraz za Chmielną i poszedł do „Mokradła”. Bez słowa minął kilku mężczyzn siedzących przy kontuarze i przeszedł do bimbrowni.

Zastał tam jednego z młodszych Banników. Siedział przy niewielkim biurku i wypełniał jakieś dokumenty. Podniósł się raptownie, kiedy tylko zorientował się, kto przyszedł do kancelarii.

– Potrzebuję morfiny – rzucił Wilmański.

– Dobrze, że pan jest – odparł chłopak, jakby nie słyszał jego słów.

– Powiedziałem, że...

– Już, oczywiście – uciał szybko młody, ruszając w kierunku bimbrowni. Znikł na moment za drzwiami i Ernest miał wrażenie, że każda kolejna sekunda wydłuża się coraz bardziej. Był jednak zadowolony, że chłopak nie zadawał żadnych pytań. Być może wyszedł z założenia, że potrzebuje towaru, by sprawdzić jakość lub pokazać go potencjalnemu nabywcy.

Po chwili wrócił z morfiną. Wilmański wbił wzrok w szklane pojemniki, które młody trzymał między palcami. Postawił je na stole.

– A doustna?

– Nie mamy. Tylko taka.

Ernest schował flaszki do kieszeni. Będzie musiał wrócić do mieszkania, nie miał zamiaru prosić chłopaka o cały osprzęt.

– Mówiłeś, że dobrze, że się zjawiłem. Dlaczego?

– Ach...

Młody sięgnął po złożoną gazetę, a potem podał ją Wilmańskiemu.

– Rano był gazeciarski.

– Co nie jest niczym dziwnym.

– Ano nie – przyznał rozmówca. – Ale ten był nowy. I powiedział, że to gazeta specjalnie dla pana. Nie pytaliśmy, o co chodzi. Nie wnikamy w takie rzeczy, co jasne.

Ernest odebrał gazetę i ruszył do wyjścia, rozkładając ją jeszcze przed progiem. Nie musiał tego robić, by wiedzieć, że to nie przypadek. Był przekonany, że dostał wiadomość.



# Rozdział czternasty

Z odnalezieniem wskazówki nie miał najmniejszego problemu. Na pierwszej stronie znajdowała się obszerna informacja o odjeździe angielskich żołnierzy z Kolonii na mocy ustaleń locarneńskich, potem dziennikarze rozwodzili się nad tym, jak i dlaczego ograniczyć wydatki wojskowe, a kilka stron dalej zaczynał się cały korowód reklam.

Jedna z nich była zakreślona. Lokalna firma oferowała coś, co nazywano świeczkami bengalskimi na choinkę. W nawiasie umieszczono informację, że chodzi o zimne ognie, ale niewiele to Ernestowi mówiło. Liczył się dla niego adres.

Olszowa 5. Wilmański nie wiedział, gdzie mieści się ta ulica, ale jeden z mężczyzn siedzących przy kontuarze szybko uzupełnił jego wiedzę.

– Przejdiesz przez most Kierbedzia i skręcisz w prawo – oznajmił. – Przed szpitalem praskim.

Ernest podziękował mu skinieniem głowy.

– I powodzenia jutro.

– Nie mnie będzie ono potrzebne – odparł Wilmański, wychodząc na ulicę.

Szybkim krokiem skierował się na stację. Zastrzyk zrobił błyskawicznie, przeklinając się w duchu za to, że traci czas. Kluczowe było jednak, by zachował spokój. Nie miał wątpliwości, że wiadomość zostawili mu ci, którzy porwali Anastazję.

A jeśli miejsce było nieprzypadkowe, należało uznać, że to banda kontrolująca Nowy Port jest odpowiedzialna. Judel Dan Łokieć. Doktor Łokietek. Człowiek, który z pewnością miał powody, by uderzyć w Banników.

Z jednej strony wydawało się to logiczne. Z drugiej mogło być jedynie przykrywką. Szpital praski znajdował się w niewielkiej odległości od terenów kontrolowanych przez Łokietka, wynajęcie naprędce lokum nie stanowiłoby żadnego problemu.

Kiedy Wilmański dotarł na miejsce, doszedł do wniosku, że to prawdopodobny scenariusz. Nigdzie nie dostrzegł szyldu, który dowodziłby, że sprzedawano tutaj świeczki bengalskie – czy cokolwiek innego.

Typowa portowa zabudowa, zamieszkiwana zapewne przez dokerów. Przeważały niskie, jakby naprędce postawione budynki, pozbawione jakichkolwiek upiększeń. Hałdy śniegu były tak wysokie, że niemal sięgały okien na pierwszym piętrze.

Ernest wszedł do środka i rozejrzał się. W gazecie nie podano, pod jakim numerem szukać osoby, która zamieściła ogłoszenie. Na korytarzu także nie było żadnej informacji.

Przez moment sądził, że będzie musiał chodzić od drzwi do drzwi. Zaraz potem usłyszał jednak głos zza pleców.

– Wilmański?

Natychmiast się obrócił, sięgając po rewolwer. Wymierzył w niepozornego, chudego mężczyznę, który stał tuż za progiem. Ten natychmiast uniósł dłonie.

– Spokojnie, nie ma potrzeby...

– Gdzie ona jest?

– Zaraz cię do niej zabiorę. Ale żebym to zrobił, musisz opuścić broń.

Ernest nie miał zamiaru tego robić. Teraz, kiedy morfina płynęła już w jego żyłach, czuł, że wszystko skończy się dobrze. Nie, więcej. Był co do tego absolutnie przekonany.

– Mów!

Zbliżył się, złapał mężczyznę za fraki lewą ręką, a prawą przyłożył mu lufę smitha & wessona prosto do czoła. Popchnął go na ścianę tak, że ten wyrznął o nią tyłem głowy i jęknął. Mimowolnie zamknął oczy.

– Jak strzelisz, nigdy się nie...

Wilmański wycelował w bark.

– Mogę strzelać tak, by nie zabić – syknął. – Przynajmniej nie od razu.

Przełknięcie śliny przyszło mężczyźnie z wyraźnym trudem. Ernest miał ochotę pociągnąć za spust, a potem siłą wyciągnąć z niego wszystkie informacje. Dowiedzieć się, gdzie jest młoda, kto ją porwał, dlaczego i w jakim jest stanie. Powstrzymał się w ostatniej chwili. Teraz liczyło się tylko, by ją odnaleźć.

Przeciwnik próbował się wyrwać, ale szybko zrezygnował, czując, że lufa wbija się w jego ciało coraz mocniej.

– Nic jej się nie stało – zapewnił z zamkniętymi oczami.

– Gdzie ona jest?

– W mieszkaniu na strychu. Wszystko w porządku, nie tknęliśmy jej nawet i...

Wilmański szarpnął nim w bok, a potem puścił przodem, ruszając w kierunku schodów.

– Pospiesz się – rzucił.

Mężczyzna wchodził ostrożnie, jakby nie był przekonany, czy nogi nie odmówią mu posłuszeństwa. Budynek miał jednak tylko dwa piętra, szybko więc dotarli na górę. Przewodnik wskazał mu zamknięte drzwi.

– Tam – powiedział cicho.

Ernest spodziewał się, że drzwi prowadzą do niewielkiej kanciapy, która od rana miała służyć za jednoosobową celę. Kiedy jednak je otworzył, przekonał się, jak bardzo się mylił.

Strych był rozległy. Niskie skosy sprawiały wprawdzie, że wizualnie powierzchnia nie wydawała się duża, ale mogło się tu zmieścić kilkunastu ludzi. I zmieściło się.

Grupa mężczyzn stała po drugiej stronie pomieszczenia z rewolwerami wymierzonymi w Wilmańskiego. Ten, który znajdował się za nim, także dobył broni. Między zebranymi Ernest dostrzegł krzesło, do którego przywiązana była Anastazja. Usta miała zakneblowane, w jej oczach widać było wściekłość. Lęku Wilmański w nich nie dostrzegł.

Zacisnął mocno usta i w porę powstrzymał się przed uniesieniem rewolweru. Wiedział, że jeden nieprzemyślany ruch może kosztować go życie. Powiódł wzrokiem po zebranych, ale nikogo nie rozpoznał.

Mężczyźni nie wyglądali na Żydów. Nie przywodzili też na myśl praskiej bandy Doktora. Wszyscy mieli na sobie dobrze skrojone garnitury, a ich rewolwery już na pierwszy rzut oka świadczyły o tym, że organizacja, w której skład wchodzi, nie cierpi



na brak funduszy.

– Rzuć broń – odezwał się ten stojący za nim.

Głos miał spokojny, ton wyważony. Nie przypominał człowieka, który przed momentem zdawał się obawiać o swoje życie. Wilmański uświadomił sobie, że został ograny. Uśpiono jego czujność, a potem wprowadzono go prosto do paszczy lwa.

– Rzuć, powiedziałem.

– Nie.

– W takim razie nie pozostawiasz nam wyboru.

Rozmówca skinął na jednego ze swoich towarzyszy, a ten natychmiast wymierzył w głowę Anastazji. Stojący obok niego mężczyzna zrobił to samo i dziewczyna wzdrygnęła się. Dopiero teraz Wilmański dostrzegł na jej twarzy cień strachu. Szarpnęła się, ale sznury trzymały mocno.

– Nie zależy ci na jej życiu, Wołyniaku?

Ernest nie odpowiadał.

– Na dobrą sprawę to zrozumiałe. Ile taka mała dziwka pożyje? Na ulicy przetrwa dwa, może trzy lata, zanim nabawi się jakiejś choroby albo trafi na kogoś, kto potraktuje ją zbyt ostro.

Wilmański ścisnął mocniej uchwyt smitha & wessona. Popatrzył na zebranych, ale nie było nawet sensu spekulować, ilu zdążyłby zastrzelić, zanim kule zaczęłyby świstać w powietrzu. Pierwsza zginęłaby Ana, zaraz później on.

– Czego chcecie?

– Na początek tego, żebyś rzucił rewolwer.

Ernest przeklął się w duchu za decyzję, którą podjął wczoraj po powrocie na Hożą. Gdyby nie znieczulił się tak bardzo, włamywacz z pewnością by go zbudził. Nigdy nie doszłoby do tak beznadziejnej sytuacji, w jakiej teraz się z Aną znaleźli.

Nie widział żadnej szansy na przeżycie. Gdyby powiedział Zarzecznej, dokąd idzie, mógłby łudzić się, że przyjdzie mu w sukurs. W takim stanie rzeczy jednak nie mógł liczyć nawet na cud.

Cisnął smitha & wessona na podłogę. Mężczyzna obszedł Wilmańskiego, przyglądając się bacznie bliznom na twarzy. Potem stanął między Ernestem a Anastazją, przesłaniając mu ją. Schował broń za pasek spodni.

– Znamiona wielu walk – rzucił. – Ile ich odbyłeś, Wołyniaku?

– Zbyt wiele – mruknął Ernest. – Ale najwyraźniej wciąż o jedną za mało.

Mężczyzna powiódł wzrokiem po towarzyszach i pokiwał głową z uznaniem, doceniając tę uwagę. Potem rozpromienił się nagle.

– Będiesz miał jeszcze okazję – oznajmił. – Ale...

– Czego chcesz?

– Porozmawiać.

– W takim razie trzeba było podejść do tego inaczej. Z ludźmi, którzy grożą moim bliskim, rozmawiam tylko w jeden sposób.

Rozmówca rozłożył ręce.

– Cóż mogę rzec? – odparł. – Chciałem całej twojej uwagi dla siebie.

– Masz ją, więc mów.

– Właściwie to ty będziesz mówił. Ja będę pytał.

Jeden z zebranych jak na zawołanie podał mu krzesło i Wilmański nie miał już dłużej wątpliwości, że to człowiek, z którym rozmawia, jest przywódcą tej bandy. Usiadł na krześle, a potem założył nogę na nogę i wyjął ozdobną papierośnicę. Otworzywszy ją, zaproponował, by Ernest się poczęstował.

Wilmański ani drgnął.

– Zaczniemy więc. Pierwsze pytanie dotyczy tego, skąd bierzesz morfinę.

– Z domu wychowawczego.

– A jak oni ją zdobywają?

– Otrzymują w ramach aprowizacji.

– Z której składnicy?

– Nie wiem.

– Ile mają jeszcze w zapasie?

– Cały się skończył. Nie było tego wiele, większość została przeznaczona dla szpitali.

Rozmówca pokiwał głową i zmrużył oczy. Ernest nie mógł odpędzić od siebie myśli, że to wszystko tylko zasłona dymna. Odpowiedzi na zadane pytania wprawdzie mogły zainteresować niejednego członka półświatka, ale ten zdawał się w ogóle ich nie słuchać.

– Gdzie zaopatrują się Bannicy?

Wilmański milczał, zastanawiając się, ile może zdradzić. Ci ludzie najwyraźniej nie byli stąd, w przeciwnym wypadku nie musieliby w ogóle pytać. Tajemnicą poliszynela było to, jak wygląda kanał przerzutowy Banników.

– W Wolnym Mieście Gdańsku – odparł. – Towar jest tam przewożony z Niemiec.

– Wykorzystujecie dawne kontakty Bruderferajn?

– Nie. Pracujemy z inną grupą.

– Co od nich kupujecie?

– Wszystko.

– To znaczy?

– Opium, heroinę, kokainę i morfinę. Niedługo także eukodal, heminę i inne substancje.

Mężczyzna drażył jeszcze przez chwilę, a pytania były tak ogólne, że Wilmański nie miał żadnych wątpliwości, czy udzielać odpowiedzi. Była to niewielka cena za to, by opuścić to miejsce wraz z Anastazją.

Przesłuchanie trwało najwyżej kwadrans i mężczyzna zdawał się zadowolony z informacji, które uzyskał. Podniósł się z krzesła i odstawił je na bok. Popatrzył na dziewczynę, a potem na Wilmańskiego.

– Nie sądziłem, że jesteś z tych, którzy lubią takie młode.

– Opiekuję się nią.

Przebiegły uśmiech na twarzy rozmówcy kazał mu sądzić, że nie pokłada w tym wiary.

– My także planowaliśmy się nią zaopiekować, ale skoro zdecydowałeś się współpracować... – Urwał, rozłożył ręce i westchnął. – Trudno.

Ernest czekał na dalszy rozwój wydarzeń w napięciu. Ci ludzie właściwie nie mieli

powodu, by nie dotrzymywać słowa. Nie zagrażał im w żaden sposób, nie wiedział nawet, kim są.

Mimo to ich przywódca nie sprawiał wrażenia, jakby miał w zwyczaju honorować zawierane umowy.

– Jest jeszcze jedna rzecz – rzucił.

Wilmański spuścił wzrok. Znał ten ton. Nie zapowiadał niczego dobrego.

Kiedy podniósł spojrzenie, przekonał się, że jeden z podwładnych podał mężczyźnie metalowy pręt. Było ich w bród na pobliskim placu budowy, który nadal był częścią Nowego Portu. Wystarczyło trochę determinacji w odgarnianiu śniegu, by dostać się do wszelkiej maści elementów konstrukcyjnych.

– Byłeś bardzo pomocny, Wołyniaku.

– Doprawdy? A odniosłem wrażenie, że to tylko farsa.

– Co masz na myśli?

– Twoje pytania. Moje odpowiedzi – odparł przez zęby. – To nie był powód, dla którego mnie tu ściągnęliście.

– A więc co nim jest?

– Nie wiem.

Obawiał się jednak, że niebawem się przekona. Mężczyzna obrócił pręt w ręce i przyjrzał mu się w zadumie. Przez chwilę wyglądał, jakby prowadził wewnętrzny monolog. Potem podrapał się prętem po skroni.

– Cóż... – zaczął. – Czasem niewiedza jest błogosławieństwem.

Ernest zamknął oczy.

– Przynajmniej odejdziesz w spokoju.

Wilmański słyszał, jak Ana stara się wyrwać z krępujących ją więzów. Próbowwała krzyczeć, ale z jej zakneblowanych ust dobywał się jedynie niewyraźny, stłumiony skowyt.

Ernest otworzył oczy. Zrobił to w momencie, kiedy mężczyzna brał zamach. Tylko jeden wniosek zdążył mu się nasunąć – mężczyzna celował w głowę. Nie miał zamiaru go otłuc. Chciał zabić.



# Rozdział piętnasty

O tym, co się wydarzyło, Elizę poinformował Frojm Ajchenbaum. Zanim dotarł do niej sens jego słów, pojawiły się wątpliwości i podejrzenia. Skąd wiedział, co miało miejsce po drugiej stronie Wisły? Jakim cudem tak szybko ją odnalazł?

Nie zadała mu żadnego z tych pytań. Stała przed nim na środku Złotej i obserwowała, jak jego kaszkiet pokrywa coraz grubsza warstwa śniegu. Odniosła wrażenie, jakby wokół niej powstała jakaś bariera. Nie czuła chłodu ani osiadających na ubraniu płatków. Była w zupełnie innym świecie.

Potrzebowała chwili, by się otrząsnąć.

- Jak... jak to się stało?
- Odnalazł ludzi, którzy porwali dziewczynę.
- I poszedł tam? Zupełnie sam?
- Niestety.

Miała ochotę zapytać go o wszystko, co już sam jej powiedział. W jakiś sposób umysł zdawał się nie dopuszczać do siebie świadomości tego, co się stało.

- Nie, to niemożliwe.
- Przykro mi, ale...
- A skąd ty o tym wiesz, co? I jak mnie tutaj znalazłeś?

Frojm skrzywił się i strzepnął z daszka trochę śniegu.

- Wilmański trafił na Inflancką i...
- Gdzie?
- Do szpitala żydowskiego. Mamy tam swoich ludzi, którzy od razu poinformowali mnie o sytuacji i jego stanie.
- Jest przytomny?
- Tak – odparł Ajchenbaum i ciężko westchnął. – Ale nie wygląda to najlepiej.

Najważniejsze było, że żył, jakkolwiek sam fakt, że nie stracił przytomności, zapewne był zasługą morfiny. Zaręczona nie miała wątpliwości, że zanim wypuścił się na tę samotną misję, kupił odpowiednią dawkę na ulicy. Nawet jeśli kosztowała teraz fortunę.

- Co z Anastazją?
- Nie ma po niej śladu.
- Więc kto przyprowadził go do szpitala?
- Sam do nas trafił.
- Ale...
- Słaniał się na nogach, ale zdołał dotrzeć.

Eliza odetchnęła. Może nie było z nim tak źle, jak początkowo sądziła? Wprawdzie Frojm twierdził inaczej, ale mógł przesadzać. Tak jak ona, gdy zobaczyła minę Żyda. W pierwszej chwili była pewna, że ten przekaże jej wiadomość o śmierci Wilmańskiego.

– Poleciał mi iść na Złotą i cię szukać – ciągnął Ajchenbaum. – W normalnych okolicznościach rozkaz Bannika skwitowałbym splunięciem, ale w tej sytuacji

przystąpiłem. I oto jestem. A on chce cię zobaczyć.

– Prowadź.

Ruszyli między zaspami, które zdawały się zwiększać z każdym kolejnym dniem. Eliza miała wrażenie, że jak tak dalej pójdzie, całe miasto zostanie zasypane. Radziły sobie jedynie reprezentacyjne dzielnice. Tam zastępy mężczyzn ręcznie odśnieżały drogi, ładując hałdy na szereg furmanek. Śnieg zwożono w okolice studzienek kanalizacyjnych, a potem spychano. Dopóki jednak temperatura się nie podniesie, na niewiele się to wszystko zda.

Pociągi właściwie przestały jeździć. Na tory wypuszczono wprawdzie parowozy z pługami, według ojca zwane śniegowcami systemu klinowego, ale te także już sobie nie radziły. Podczas kilkugodzinnych przestojów śnieg usuwano ręcznie.

Kryzys się pogłębiał, każdy był zajęty tym, by zapewnić bezpieczeństwo sobie i swoim bliskim. Gangi przestały ze sobą walczyć, a wieść niosła, że na Kercelaku tymczasowo zaprzestano nawet pobierania haraczy. A mimo to ktoś w tych trudnych okolicznościach zadał sobie trud, by porwać Anastazję i wysłać Wilmańskiego do szpitala.

Eliza mogła pomyśleć tylko o jednym człowieku, który byłby do tego zdolny.

– Powiedział ci, kto za to odpowiada? – spytała, gdy Frojm wezwał furmankę.

– Tak.

– Trawicki?

– Jego zdaniem nie. Jacyś ludzie z zewnątrz. Tylko jeden się odzywał, reszta była tam jako wsparcie. Dobrze ubrani, z dobrą bronią. Nic więcej nie wie.

– Ludzie z zewnątrz? – zapytała z powątpiewaniem Zarzeczna. – Jakim cudem dostaliby się do Warszawy? Wszystkie drogi są zasypane.

– Są jeszcze pewne sposoby.

– Ale wymagają sporo zachodu. Po co ktokolwiek miałby sobie go zadawać?

Ajchenbaum pomógł jej wsiąść do powozu, a potem spojrzął na nią, jakby bez względu na to, co jej powie, i tak nie potrafiła ogarnąć zasad rządzących światem przestępczym.

– Najpodlejsze pobudki motywują najbardziej – odparł w końcu.

– Wiesz coś, Frojm?

– Nie.

Spojrzała na niego badawczo i pomyślała, że mówi prawdę. A jeśli w istocie wiedział, kto odpowiadał za ostatnie wydarzenia, ukrył to wprost idealnie. Przez moment się zastanawiała, po czym klepnęła woźnicę w plecy.

– Będziemy jechać przez Krakowskie? – spytała.

– A jak. Innej drogi teraz nie ma. Jak się uda, dowiozę was aż do kościoła garnizonowego.

– W takim razie proszę się zatrzymać przy komendzie głównej.

– Na długo? Mam jeszcze inne kursy...

– W taką pogodę?

– Zapłacę – wtrącił Frojm i odwrócił się do Zarzecznej. – O ile powiesz mi, czy opłaca się zrobić tam przystanek.

– Mam nadzieję.

Skinął głową, nie pytając o szczegóły. Była mu za to wdzięczna, choć po prawdzie stanowiło to rezultat dobrych przestępczych manier. Doskonale zdawał sobie sprawę, że niegdyś tam pracowała i mogła nadal mieć kontakty w policji. Nic więcej nie powinno go interesować.

Dojechali na miejsce dość szybko, jeśli wziąć pod uwagę, ile zajęłoby im przebicie się przez śnieg na piechotę. Eliza szybko weszła do środka, nie fatygując się nawet o to, by otrzepać ubranie przed budynkiem.

Od razu skierowała się do gabinetu komisarz. Weszła bez pukania, po czym powiedziała jej, co zaszło, i oznajmiła, że musi dowiedzieć się, kto mógł za to odpowiadać.

Przełożona była nieco skonsternowana pośpiechem i naciskiem ze strony podwładnej, ale nie skomentowała jej zachowania.

– Skąd mam wiedzieć? – zapytała. – Nie śledzę wewnętrznych porachunków.

– Rzecz w tym, że Wilmański twierdzi, iż nie były wewnętrzne. Przypuszcza, że to przyjezdni.

– Niemożliwe.

– Jest pani przekonana?

– Tak. Teraz, kiedy większość dróg jest zablokowana, kontrolujemy przepływ ludzi. Sprawdzamy wszystkich.

– I nie ma możliwości, żeby...

– Żeby do Warszawy niezauważenie dostała się kilkunastoosobowa grupa podejrzanych typów? Nie. Nie ma.

Tyle jej wystarczyło. Pożegnawszy szybko komisarz, Zarzeczna wróciła do furmanki i ściągnęła poły grubego płaszcza, który mimo porządnego materiału zdawał się przepuszczać całe zimno.

– Ruszajmy – rzuciła. – Mam wszystko, czego potrzebowałam.

Frojm wciąż o nic nie dopytywał, co zapisała mu na plus. Prędzej czy później i tak wszystkiego się dowie. Żydzi rzeczywiście trzymali rękę na pulsie, nie tylko jeśli chodziło o sprawy w ich dzielnicy.

Niektórzy zresztą twierdzili, że „ich dzielnica” to właściwie cała Warszawa. Co trzeci mieszkaniec był bowiem wyznania mojżeszowego. W ogrodzie Saskim i parku Krasińskich nieustannie słychać było rozmowy w jidysz, a podobnej liczby synagog miejskich próżno było szukać w jakiegokolwiek innej europejskiej metropolii.

Kiedy dojechali do szpitala, podziękowała mu zdawkowo i popędziła do budynku. Ernest leżał w niewielkiej sali na piętrze, tuż pod oknem. Było zamknięte, ale wiatr i tak zdołał znaleźć drogę między szkłem a futryną.

Zanim jeszcze się odezwała, okryła Wilmańskiego kołdrą pod samą szyję.

– Daj spokój – burknął. – Nie jest ze mną...

Usiadła na łóżku i zgromiła go wzrokiem.

– Jak się czujesz? – zapytała.

– Właśnie miałem powiedzieć, że nie najgorzej.

– Według Frojma mocno oberwałeś.

– Wyolbrzymia.

– Nie wygląda na takiego, który ma to w zwyczaju.

Wilmański wyciągnął ręce spod kołdry i zsunął ją nieco. Potem podciągnął się do wezgłowia. Eliza wypatrywała wyrazu bólu na jego twarzy, ale go nie dostrzegła. I natychmiast zrozumiała, dlaczego Ernest stara się robić tak dobre wrażenie.

– Trochę mnie sponiewierali, to wszystko.

– Co z Aną?

Zawiesił wzrok w rogu pomieszczenia i przez moment się nie odzywał.

– Nie wiem – odparł cicho. – Ogłuszyli mnie, a kiedy się ocknąłem, leżałem w śniegu przy placu Broni.

– Przenieśli cię tam? Dlaczego?

– Najpewniej chcieli, bym trafił właśnie tutaj. Do najbliższego szpitala.

– Ale w jakim celu?

– Nie wiem. Przypuszczam, że ci ludzie przyjechali z Gdańska, i mogą tylko spekulować, że...

– Dlaczego akurat z Wolnego Miasta?

– Bo stawiam, że to Niemcy. Ci, z którymi współpracowało Bruderferajn. Nie odzywali się, bo nie znali języka. Jedyne, który potrafił po polsku, był tłumaczem. Początkowo sądziłem, że dowódcą, ale...

– Nie – ucięła.

Był zaintrygowany pewnością w jej głosie, a kiedy streściła mu rozmowę z komisarz, skinął lekko głową. Nie musiała przekonywać go, że w takiej sytuacji jakakolwiek ingerencja z zewnątrz była mało prawdopodobna.

– To Trawicki, Ernest.

Wilmański się zamyślił.

– Czasem najprostsze rozwiązanie jest tym właściwym. Nie kombinuj niepotrzebnie.

– Jaki cel by mu przyświecał?

– Oberwałeś tak mocno, że naprawdę musisz pytać? – odparła. – Chciał cię wykluczyć z walki. Obawia się o rezultat.

– W takim razie niespecjalnie się postarał. Wystarczyło zadać jeszcze jeden lub dwa ciosy, a byłbym wyłączony.

– Tyle że nie o to mu chodziło. Chce, żeby walka się odbyła, ale nie na równych zasadach.

Wilmański wyglądał tak, jakby uraziła go sugestia, że po pobiciu jest w jeszcze gorszym stanie niż wcześniej. Ostatecznie jednak się nie odezwał. Zarzeczna przyglądała mu się przez chwilę, wypatrując śladów ran. O dziwo, nie dostrzegła żadnych. Najwyraźniej napastnicy byli wyjątkowo ostrożni.

I trudno było im się dziwić. Kluczowe z ich punktu widzenia było zachowanie pozorów.

– Gdzie oberwałeś?

– W tył głowy.

– Pokaż.

– Naprawdę nie ma potrzeby...



Zerwała się na równe nogi, a potem nachyliła nad nim. Ze zlokalizowaniem rany nie miała żadnego problemu. Znajdowała się w miejscu, gdzie wycięto mu kępkę włosów. Krwiak i szwy były wyraźnie widoczne.

– Chryste...

– Może źle wyglądać, bo jest świeże – powiedział. – Zapewniam cię, że...

– Nie możesz walczyć, Ernest.

– Muszę.

– Nie w takim stanie. Już sama morfina stawiała cię na przegranej pozycji, a teraz to... Musisz przełożyć starcie.

– Nie ma takiej możliwości.

– Ale...

– Muszę stanąć z nim do walki. Szczególnie jeśli to on wszystko zaplanował.

Eliza musiała oddać Trawickiemu, że zrealizował jedyny plan, jaki w tej sytuacji miał sens. Najał ludzi, którzy w niczym nie przypominali lokalnych gangsterów, i rzucił cień podejrzeń na organizację z zewnątrz. Kazał obłuc Wilmańskiego, ale nie na tyle, by nie mógł stawić się na ringu. I porwał dziewczynę, której odzyskanie było dla Ernesta kluczowe.

– Pokonam go, a potem wyduszę z niego, gdzie ją trzyma – dodał. – A jeśli nie będzie w stanie udzielić mi odpowiedzi, zaangażuję wszystkie siły Banników, by ją znaleźć. Tak czy inaczej nie mam innej możliwości, jak stanąć na ringu i...

Urwał, zawieszając wzrok na lekarzu, który przekroczył próg. Zarzeczna obejrzała się przez ramię i dostrzegła mężczyznę, z którym rozmawiała wczoraj u Świętego Łazarza. Ściągnęła brwi, nie rozumiejąc, co tutaj robi.

– Poprosiłem Frojma, by ściągnął tego doktora.

– Dlaczego?

– Ufam mu.

– Bo ostatnio dał ci pozwolenie na walkę mimo fatalnego stanu zdrowia? To nie świadczy o nim najlepiej.

– Jest dobrym lekarzem. I nie robi z muchy słonia.

Eliza podniosła się i zanim Wilmański zdążył ją zatrzymać, poszła w stronę doktora. Kiedy ten nie ruszył się ani o krok, zrozumiała, że właśnie na nią czekał. Zbliżyła się, a on cofnął się na korytarz.

– Dobrze, że pani jest – powiedział. – Trzeba przemówić mu do rozsądku.

Nie tego się spodziewała.

– W jakim sensie?

– Nie może walczyć. Otrzymał kilka silnych ciosów w głowę, możliwe, że doszło do pęknięcia czaszki. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, ale...

– On nie ustąpi.

– W takim razie zginie – orzekł stanowczo doktor. – Bo wystarczy jeden cios, a nigdy się nie podniesie.



# Rozdział szesnasty

Huk w głowie nie ustępował, a obraz co jakiś czas robił się rozmazany. Wilmański miał wrażenie, jakby wypił stanowczo za dużo. Jedyna rzecz, która nie zgadzała się ze stanem klasycznego upojenia, sprowadzała się do tego, że nie czuł alkoholowego optymizmu. Przeciwnie, opadały go dojmujące myśli.

Kiedy Eliza wróciła do sali i zmierzyła go wzrokiem, nie miał wątpliwości, że lekarz zarysował przed nią czarny scenariusz. Przysiadła na łóżku, położyła mu dłoń na ramieniu, a potem zwiesiła głowę.

– Wszystko ci przekazał?

– Tak.

Ernest poruszył się nerwowo. Zamrugał kilkakrotnie, ale obraz nie chciał się wyostriżyć.

– To nic nie zmienia – rzucił.

– Wręcz przeciwnie, to zmienia wszystko. Nie możesz stanąć do walki.

Nie wiedział, jak ją przekonać wcześniej, tym bardziej nie miał pojęcia, jak dokonać tego, kiedy poznała prawdę. Lekarz nie pozostawił mu złudzeń. Kilkakrotnie powtarzał, że wystarczy, by nie zablokował pojedynczego, dobrze wymierzonego ciosu, a zostanie znokautowany. W pełnym tego słowa znaczeniu.

– Wiem, że to ważne – dodała, podnosząc wzrok. – A nawet arcyważne. Ale co ci po tym wszystkim, jeśli...

– Nic mi nie będzie.

– Chyba żartujesz. Nie słyszałeś, co mówił ten doktor?

– Słyszałem.

– To dobrze. Bo jak sam wspomniałeś, poprzednio nie widział przeciwwskazań, żebyś wyszedł na ring. Nie jest jednym z tych, którzy przesadzają i nadto dbają o pacjentów. Jeśli on mówi, że nie możesz walczyć, to naprawdę nie możesz tego zrobić.

Ernest gorączkowo poszukiwał argumentów, którymi mógłby cokolwiek działać. Ostatnim, czego chciał, było stawanie przeciwko Trawickiemu wbrew Elizie. Potrzebował jej wsparcia, szczególnie w takiej sytuacji. Toczenie tego boju bez niej wydawało się z jakiegoś powodu z góry przegrane. Nawet gdyby to on triumfował.

– Nie możesz naprawdę tego rozważyć.

Nabrał tchu i odchrząknął.

– Na Boga, Ernest...

– Nie mam innego wyjścia. Muszę to zrobić.

Cofnęła dłoń.

– I jak masz zamiar uniknąć wszystkich ciosów Trawickiego?

– Trzymam dobrą gardę.

– To nie czas na kpiny.

– Nie kpię – odparł stanowczo. – Mam technikę, on nie. Będę musiał się pilnować, ale jestem pewien...

– Wystarczy jedno uderzenie!

– Wiem.

– Widziałeś kiedyś walkę, w której któremukolwiek z zawodników udało się przez wszystkie rundy unikać ataków drugiej strony?

– Nie będzie wiele rund. A ja będę uważać.

Pokręciła głową i podniosła się z łóżka. Wyglądała, jakby miała zamiar obrócić się na pięcie i opuścić szpitalną salę bez słowa. Tylko tego mu brakowało. Najpierw Anastazja, teraz jeszcze ona.

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Poradzę sobie.

– Jakim cudem, Ernest? Jakim cudem?

– Mówiłem ci. Trawicki nie ma żadnego doświadczenia i...

– Wielokrotnie wdawał się w bójki na ulicach – wpadła mu w słowo. – Zanim trafił pod skrzydła Hertza, był typowym junaczem. Imał się wszystkiego i jakoś sobie radził. A nie muszę ci chyba mówić, że aby sobie poradzić w półświatku, musiał wiedzieć, jak przywalić.

Nie musiała. Wystarczyło spojrzeć na Szymona, by stwierdzić, że odbył w życiu niejedną walkę. Żadna jednak nie miała miejsca na ringu i to było szansą Wilmańskiego. Przynajmniej dopóty, dopóki nie uszkodzono mu czaszki. Teraz ta przewaga stopniała, zdawał sobie z tego sprawę.

Miał też jednak świadomość tego, że to sytuacja bez wyjścia.

– On cię zabije, Ernest.

– Jeśli będę miał w tej sprawie cokolwiek do...

– Nie będziesz miał.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem w milczeniu, jakby to oni mieli stanąć naprzeciw siebie w pojedynku. W końcu Ernest oderwał od niej wzrok.

– Usiądź – powiedział cicho.

Zawahała się, ale ostatecznie wróciła na poprzednie miejsce. Skrzyżowała ręce na piersi i przechyliła głowę, choć i bez tego widziałaby, że jest nieprzejednana.

– Nie mam żadnego wyboru – odezwał się. – Musisz zdawać sobie z tego sprawę.

– Zawsze jest wybór.

– Jaki? Jeśli się nie stawię, władza przejdzie bezpowrotnie w ręce Trawickiego.

– I co z tego, Ernest? To naprawdę takie ważne? – spytała niemal błagalnie. – Anę znajdziemy bez pomocy Banników.

– Nie rozumiesz.

– Rozumiem w pełni. Jesteś upartym, zaślepionym żądzą władzy, bezmyślnym...

– On ją zabije, jeśli nie stanę do walki.

– O czym ty mówisz?

– Po to ją porwał. I dlatego jej nie wypuścił.

Zaręczona otworzyła usta, by zaprzeczyć, ale musiała się w porę zreflektować, że Wilmański ma rację. Jeśli to rzeczywiście Szymon odpowiadał za to wszystko, z pewnością był zdeterminowany, by doprowadzić do pojedynku. Nie musiał formułować groźby, by Ernest wiedział, co jest na szali.

– Zadał sobie sporo trudu – powiedział Wilmański. – A wszystko po to, żeby zmusić

mnie do starcia, kiedy nie jestem w formie. Kiedy ma szanse.

– Nie możesz być pewny, że jej coś zrobi.

– Mogę. I jestem.

Nie odpowiedziała, co potwierdzało, że stopniowo sama oswaja się z tą myślą. Nie należała wprawdzie do czarnowidzów, ale przyjęcie innego scenariusza wymagałoby wyjątkowego, gigantycznego optymizmu. A w tej sytuacji nie było na niego miejsca.

– Jeśli się wycofam, Trawicki ją zabije. A później któryś z Banników zabije mnie.

– Za walkower? Nie przesadzasz?

– Za brak honoru. Nie ma już Fryderyka, ale dla niektórych to nadal ważne.

Zaręczona przesunęła dłoń po twarzy, jakby w ten sposób mogła zasłonić się przed rzeczywistością. I osłonić przed wnioskami, które nasuwały się same.

– Naprawdę nie mam wyjścia – dodał.

– Masz...

– Jakie? Jeśli jakiegokolwiek widzisz, skorzystam z niego.

Przygryzła wargę tak mocno, że aż się skrzywiła. Potem nachyliła się do niego, znów kładąc mu dłoń na ramieniu. Jej dotyk był uspokajający, niemal niósł nadzieję. O tym, że nie powinien na nią liczyć, przypomniawszy mu dopiero mgła, która na moment pojawiła się przed jego oczami.

Skupił wzrok na Elizie.

– Masz wybór, Ernest.

– Jaki?

– Możesz zgłosić się na policję.

Gdyby nie to, że towarzyszył mu wisielczy nastrój, mógłby się roześmiać. Ona jednak patrzyła na niego z powagą, jakby w tej krótkiej propozycji kryło się coś więcej. Wilmański zrozumiał, że tak jest.

– Posłuchaj... – zaczęła. – Od kiedy się to zaczęło... i od kiedy, cóż...

Potarła nerwowo czoło. Ernest uznał, że nie ma powodu, by się męczyła.

– Wiem – powiedział.

– Poczekaj. Daj mi skończyć.

– Nie musisz.

Uniosła brwi i nachyliła się do niego jeszcze bardziej.

– Wiemy o wszystkim od samego początku – dodał, a potem zrobił głęboki wdech. – Hertz sądził, że to zadziała na naszą korzyść. Że dzięki tobie będziemy dostarczać policji mylnych tropów.

– Ale...

– Wiedzieliśmy, że pracujesz pod przykrywką. Od samego początku.

Nagle się wyprostowała, jakby poraził ją prąd. Rozszerzyła oczy i zamarła. Ernestowi przemknęło przez myśl, że ostatecznie jednak zostanie na placu boju sam. Właściwie powinien się tego spodziewać. Czegokolwiek w życiu się nie podejmował, jakichkolwiek relacji by nie nawiązywał, wszystko kończyło się tak samo.

Milczenie zdawało się przeciągać. Wilmański rozejrzał się, starając się stwierdzić, czy pozostali pacjenci przysłuchują się rozmowie. Większość była jednak zajęta własnym

cierpieniem, a łóżka znajdowały się na tyle daleko od siebie, że trudno byłoby usłyszeć cichą wymianę zdań.

Popatrzył na Elizę, ale ta unikała jego wzroku.

– Skąd wiedzieliście?

– Od Salomei.

– Co takiego?

– To córka Hertza – odparł ciężko Ernest.

Kiedy w końcu wbiła wzrok w jego oczy, wiedział, że czeka go długie tłumaczenie. Nabrał tchu i zaczął od razu, chcąc jak najszybciej uporać się z tym problemem. Kłopoty zdawały się nawarstwiać w tempie wykładniczym, a on nie miał zamiaru pozwolić, by zalegały w ich stosunkach jak hałdy śniegu na ulicach.

Po kilku minutach wszystko stało się dla Zarzecznej jasne. Zmarszczone czoło i przenikliwe spojrzenie kazały mu sądzić, że przynajmniej częściowo domyślała się prawdy. Może nie była gotowa jej do siebie dopuścić, ale ta drzemała gdzieś w podświadomości.

– To świetna aktorka – zakończył Wilmański. – Nie ciebie jedną oszukała.

– Nie, nie mnie jedną...

Zawiesiła głos i Ernest sądził, że ma jeszcze coś do powiedzenia. Zarzeczna jednak zamilkła. Zasłoniła ręką usta, jakby dopiero teraz dotarły do niej wszystkie implikacje tego, co usłyszała. I jakby chciała powstrzymać swoją pierwszą reakcję.

– Wszystko na nic... – odezwała się w końcu. – Całe to szkolenie, przepychanki ze wszystkimi, którzy uważają, że kobiety w mundurze to wynaturzenie... wszystko, co robiłam... na nic.

Wilmański uznał, że najlepiej będzie, jeśli się nie odezwie.

– W dodatku ty i ja... – dodała, a potem potrząsnęła głową. – To bardziej skomplikowane, niż sądziłam.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– A może nie? – rzuciła. – Może wręcz przeciwnie?

– Co masz na myśli?

– Jeszcze przed momentem czułam się winna, że przez ten cały czas nie byłam z tobą szczerą. Teraz okazuje się, że ty też mnie oszukiwałeś.

Ernest był już absolutnie pewien, że powinien milczeć. Nie było słów, którymi mógłby poprawić sytuację.

Po chwili przekonał się jednak, że nie były potrzebne.

– To oznacza, że jesteśmy kwita, prawda? – zapytała. – Sądziłam, że będę zmagać się z wyrzutami sumienia, poczuciem winy... że nie będę potrafiła ci wyjaśnić, dlaczego robiłam to, co robiłam.

– Doskonale to rozumiem.

– Ale tak naprawdę nie muszę tłumaczyć się z niczego – dodała, jakby go nie słyszała. – To lepsza sytuacja. Zdrowsza.

Nie nazwałby tego w taki sposób, ale nie miał zamiaru polemizować.

– Zresztą teraz nie pora na takie rozważania, prawda?

– Mhm.

– Musimy zająć się teraźniejszością. Później będziemy martwić się tym, co nas czeka.

– Na chwilę urwała, a potem podjęła zupełnie innym tonem: – O ile cokolwiek nas czeka.

– Myślę, że tak.

– Tylko jeśli zgodzisz się na to, co zamierzam ci zaproponować.

– A do czego się to konkretnie sprowadza?

– Do współpracy z nami.

Byłby pewien, że się przesłyszał, gdyby nie to, że patrzyła na niego z absolutną powagą.

– Sugerujesz, żebym został policyjnym szpiclem?

– Sugeruję, żebyś podjął jedyną decyzję, która sprawi, że przeżyjesz. I że odnajdziemy Anę.

Pokręcił głową i szybko pożałował, bo sprawiło to, że cichy szum, który słyszał od pewnego czasu, przerodził się w monotonne rżenie. Patrzył na Elizę, widział, że coś do niego mówi, ale przez chwilę niczego nie rozumiał.

– Ernest?

– Tak, tak... wszystko w porządku. Nie wiem tylko, jak to miałoby w czymkolwiek pomóc.

– Jeśli zgłosisz się do komisarz, zapewni ci bezpieczeństwo.

– W jaki sposób?

– Widzę przynajmniej dwa wyjścia.

On nie widział żadnego, ale nie miał nic przeciwko, by wysłuchać, co Zarzeczna miała do powiedzenia. Dopuszczał możliwość, że nie dostrzega wszystkich opcji.

– Pierwsze sprowadza się do tego, że zrezygnujesz z walki, odejdiesz z organizacji, a my zapewnimy ci ochronę. Dostarczysz nam wszystkich informacji, zbudujemy sprawę przeciwko Bannikom, będziesz zeznawał.

Ta propozycja była właściwie bardziej bolesna niż jakikolwiek cios, który mógł otrzymać na ringu. Milczał, patrząc bez wyrazu na Elizę. Szybko zrozumiała, że nie jest gotów nawet rozważyć takiego scenariusza.

– Wiem, że w tej chwili nie dopuszczasz do siebie takiej możliwości, ale to może być jedyny ratunek.

– Nie ma mowy.

– Zrobiłeś to samo z Bruderferajn...

– Nie to samo. W ich przypadku wykorzystaliśmy służby, by załatwiły coś za nas.

– W tym będzie podobnie.

– Nie – zaproponował kategorycznie. – Poza tym nie mam gwarancji, że Anastazja się odnajdzie. Jaka jest druga możliwość?

Zarzeczna westchnęła. Z jej punktu widzenia pierwsza ewentualność byłaby wprost wymarzona. Osiągnęłaby cel zawodowy, a co ważniejsze, osobisty. Wilmański przeszedłby na jej stronę barykady i przynajmniej kilka przeszkód stojących na drodze ich wspólnej przyszłości by znikło.

– W drugim scenariuszu także wycofujesz się z walki, ale pozostajesz w szeregach Banników.

- Długo w nich nie pobędę...
- Zajmiemy się Trawickim.
- W jaki sposób?
- Zapewniam cię, że sobie poradzimy. A ty staniesz na czele organizacji.
- Jako policyjna wtyka?

Zarieczna nie odpowiedziała, co samo w sobie stanowiło najbardziej wymowne potwierdzenie. Wiatr targnął oknem, szyba się zatrzęsała, jakby miała się rozsypać. Przez szczeliny do środka dostało się delikatne tchnienie chłodu, a mimo to Wilmański poczuł, jakby ział oplótł go całego.

- W jednym i drugim wypadku miałbym zostać zdrajcą.
- Widzisz inne wyjście?
- Tylko jedno.
- Zastanów się nad tym. Na spokojnie, bez unoszenia się dumą.
- Nie chodzi o dumę, a zasady.
- Które cię zabiją, Ernest.

Z trudem zachowywała spokój. Widział, że ma ochotę podnieść głos, a potem po prostu mu przyłożył, by się obudził. Z jej perspektywy musiał bowiem wyglądać, jakby trwał w swoistym transie.

Wilmański jednak nie miał zamiaru sprzeniewierzyć się wszystkiemu, czym kierował się w życiu. Ani tym bardziej plwać na pamięć po Fryderyku. Przeciwnie, zamierzał oddać mu hołd, kontynuując to, co rozpoczął.

- Współpraca z nami to niewielka cena za to, byś miał przyszłość.
- Pokręcił głową, tym razem lekko i ostrożnie.
- Masz jeszcze trochę czasu. Zastanów się.
  - Nie mam nad czym.

Zdawał sobie sprawę, że kiedy emocje opadną, sama to zrozumie. Zdążyła poznać go na tyle dobrze, by wiedzieć, na co może się zdecydować, a co absolutnie nie wchodzi w grę. Wystarczyło tylko, by przestała panicznie szukać dla niego ostatniej deski ratunku.

Rozmawiali jeszcze przez jakiś czas, ale właściwie kręcili się w kółko. Wilmański obawiał się, że teraz, kiedy oboje odkryli karty, ich relacja zmieni się w okamgnieniu. Tak się jednak nie stało. Miał wrażenie, że na dobrą sprawę nic się nie zmieniło.

Utwierdził się w tym przekonaniu, kiedy w końcu dała za wygraną. Położyła się wtedy obok niego, przepychając się przy tym łokciem. Uśmiechnął się do niej i dopiero wówczas poczuł, jak dużą opuchliznę ma pod oczami.

Objął ją i przez jakiś czas leżeli w milczeniu.

- Czuję, że muszę ci się zrewanżować – odezwał się w końcu.
- W jakim sensie?
- Złożyłaś mi dwie propozycje, a ja tobie żadnej.
- Brzmi groźnie.

– Być może – przyznał, a potem odchylił nieco głowę, by móc na nią spojrzeć. – Jeśli wygram, chcę żebyś pomogła mi w prowadzeniu spraw Banników.

- Czyś ty zwariował?



– Przypuszczalnie.

– Proponujesz policjantce, by...

– By odwiesiła mundur na dobre – dokończył za nią i nabrał tchu. – Jesteś świetnym stróżem prawa, ale cierpisz na pewną przypadłość, przez którą nigdy nie odniesiesz sukcesu.

– Jakąż to?

– Chcesz zmieniać świat. A nigdy tego nie zrobisz, pracując w policji.

– W szeregach Banników będę miała większe szanse? – spytała z powątpiewaniem. –

Wiem, że mocno oberwałeś, ale najwyraźniej twój stan jest jeszcze gorszy, niż twierdzi ten lekarz.

– Zastanów się, ile razem będziemy mogli osiągnąć.

– Mordując, bijąc, zastraszając i...

– Niekoniecznie. Hertz rozumiał, że podstawą działalności jest szacunek. Szacunek zwykłych ludzi do organizacji, ale i odwrotnie. Wiedział także, że czasem groźba jego utraty jest najlepszą motywacją.

Rozwodził się przez pewien czas nad tym, jak razem mogą zaprowadzić porządek w Śródmieściu. Przekonywał, że policja nigdy nie poradzi sobie ani z sutenerstwem, ani z łapówkarstwem, ani tym bardziej z handlem narkotykami.

– My możemy to wszystko ucywilizować – przekonywał. – Nikt nigdy nie wyeliminuje tych rzeczy z miasta. Ale razem możemy sprawić, że nikomu nie będzie działa się krzywda.

– Nie licząc tych, którzy będą wyzyskiwani.

– Zadbamy o każdego.

– O kokainistów zmierzających ku śmierci też?

– To ich wybór. Nie zbawisz wszystkich.

To ostatnie zdanie zdawało się pobrzmiwać jej w głowie echem jeszcze przez jakiś czas po tym, jak zamilkli. Nie wracali już do tematu, ale Wilmański przypuszczał, że Eliza będzie się nad nim zastanawiała. Jeśli rzeczywiście chciała coś zmienić, dał jej narzędzia. Wystarczyło, by zdecydowała się z nich skorzystać. Prędzej czy później dojdzie do takiego wniosku.

Do niego należało tylko to, by pokonać Trawickiego w nadchodzącym starciu.



# Rozdział siedemnasty

Hala Wyższej Szkoły Wojskowej była wypełniona po brzegi. Widać było już na pierwszy rzut oka, że zebrani rekrutują się spośród warstw społecznych, które normalnie stronią od publicznych zgromadzeń. Publiczność ta nie uczęszczała na popołudniowe koktajle, nie bywała na balach, nie chodziła nawet do teatru czy kina. Przypuszczalnie nie bywała także w cukierni u Lourse'a w Europejskim, u Bliklego na Nowym Świecie czy w „Małej Ziemiańskiej”.

Wodząc wzrokiem po zebranych, Eliza patrzyła na sól tej ziemi. Robotników w znoszonych płaszczach, pod którymi mieli kilka warstw ubrań. Kobiety z długimi włosami, które nie wiedziały o nowej modzie, nakazującej nosić fryzury na pazia. Dzieci, które większość czasu spędzały na ulicach, prowadząc walki na śnieżki, a nie ucząc się nazwisk członków Rady Regencyjnej, którzy przekazali władzę Józefowi Piłsudskiemu.

W hali panowały gwar i entuzjazm. Ludzie zapomnieli nie tylko o szalejącej zimowej zawierusze, ale także o trzęsącym się w posadach kraju. Nie myśleli o problemach aprowizacyjnych, odepchnęli myśli o walącej się gospodarce i sporach politycznych, które zdawały się pogłębiać coraz bardziej. Widmo upadku Rzeczypospolitej, lansowane przez wielu, tutaj zniknęło bez śladu.

Liczyło się jedynie to, że na moment wszyscy oderwali się od rzeczywistości.

Każdy w Śródmieściu zdawał sobie sprawę z tego, jak wielką rolę w życiu Warszawy odgrywali Bannicy. Przestępcy byli cichymi gwiazdami życia publicznego. Pisały o nich brukowce, szeptano na ich temat przy wódce. Kiedy rozeszła się wieść, że dwóch Banników zmierzy się w boju o władzę w organizacji, większość nie mogła przepuścić takiej okazji.

Sędziował członek Polskiego Towarzystwa Atletycznego, który zgodził się wystąpić w tej roli nieodpłatnie. Niechybnie liczył na to, że kiedyś zgłosi się do Banników, by odebrać przysługę. Sprawiał wrażenie opanowanego, doświadczonego arbitra i w normalnych okolicznościach z pewnością nieco uspokoiłoby to Zarzeczną. W tych jednak nie. Walka miała odbywać się do skutku i nawet najlepszy arbiter nie zdołałby przerwać jej przedwcześnie.

Deski ringu nie były heblowane i znajdowały się stanowczo za nisko, by widoczność była zadowalająca. Kiedy zawodnicy nań weszli, zebrani raz po raz podnosili się, by lepiej im się przyjrzeć.

Eliza również wstała.

Wilmański miał na sobie biały podkoszulek wpuszczony w krótkie, obcisłe spodenki, kończące się w połowie ud. Zakładał właśnie bordowe rękawice i przez moment po raz pierwszy widziała jego dłonie. Nosily wyraźne ślady poparzeń, właściwie cała skóra przywodziła na myśl łuskowaty nalot.

Najpierw pomyślała, że to Bruderferajn musiało kiedyś w ten sposób ukarać go za Bóg jeden wie jakie przewinienie. Potem przemknęło jej przez myśl, że Ernest ratował

kogoś z pożaru. Jaka była prawda? Przypuszczała, że nigdy się tego nie dowie.

Wilmański przez chwilę toczył wzrokiem po publiczności, aż w końcu wypatrzył ją i uniósł zaciśniętą pięść.

Siedziała w pierwszym rzędzie i gdyby nie hałas, mogłaby zagrozić go do walki, dodać mu nieco pewności siebie. Choć po prawdzie nie sprawiał wrażenia, jakby tego potrzebował. Wbijał wzrok w stojącego w przeciwnym narożniku Trawickiego jak drapieжник, którego przed atakiem powstrzymuje jedynie chwilowe wahanie.

Szymon truchtał w miejscu, kręcąc karkiem. Był ubrany podobnie, choć podkoszulek miał znacznie bardziej obcisły. A może był taki sam i to wyraźna muskulatura Trawickiego tworzyła takie wrażenie.

Ernest trwał w bezruchu, nie rozgrzewał się. Stojący za nim Frojm szeptał mu coś do ucha i poklepywał go po plecach.

– Patrząc tak na nich, można by pomyśleć, że nie ma wątpliwości co do wyniku – rozległ się znajomy głos.

Zarieczna odwróciła się i zobaczyła Salomeę. Córka Hertza skinęła jej lekko głową i stanęła obok.

– Co ty tu robisz?

– Komisarz mnie przysłała. Chce wiedzieć, jak potoczą się sprawy.

Eliza nie zdradziła jeszcze przełożonej, co udało jej się dowiedzieć. Nie zamierzała jednak długo zachowywać tej informacji dla siebie. Tuż po walce uda się na Krakowskie Przedmieście i rozmówi z dowódczynią. Jeszcze wieczorem aresztują Salomeę i dopiero w więzieniu okaże się, jak naprawdę radzi sobie z robieniem dobrej miny do złej gry.

– To tylko pozory – odezwała się Zarieczna.

– Hm?

– Mięśnie Trawickiego – wyjaśniła. – Nie mają żadnego znaczenia.

– Jesteś pewna?

– Doświadczenie zrobi swoje.

– Mam nadzieję.

Nie wychwyciła w jej głosie nuty kłamstwa, ale nie musiała. Teraz wszystko było jasne. Zresztą nawet gdyby Ernest nie nakreślił jej dokładnie sytuacji, sama zrozumiałaby, że Trawicki i Salomea zamierzali razem stworzyć bezwzględne przestępcze imperium. Jedno i drugie wydawało się do tego stworzone.

– Dlaczego się nie rozgrzewa? – spytała córka Hertza.

Eliza nie zamierzała odpowiadać. Nie chciała nawet myśleć o tym, że Wilmański zrezygnował z rozgrzewki, bo nawet najmniejszy ruch mógłby sprawić, że zakręci mu się w głowie.

Zamknęła oczy. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie jest to właściwy moment, by zmówić modlitwę. Potem uznała, że nawet na nią jest już za późno.

Na środek ringu wyszedł Jan Czerniec. Bies. Rozejrzał się z uwagą po zebranych, a potem uniósł ręce. Oznajmił, że zaraz rozpocznie się pojedynek, i poprosił o chwilę uwagi. Publiczność nie miała zamiaru mu jej poświęcać. Nikogo nie interesowało, co stary Bannik ma do powiedzenia, każdy bowiem znał zasady tego starcia.

Zawodnicy mieli walczyć dopóty, dopóki jeden z nich nie będzie w stanie kontynuować.

Bies jeszcze przez moment starał się ubrać to w zgrabne słowa, ale ostatecznie uzmysłowił sobie, że jest słyszalny tylko w dwóch, może trzech pierwszych rzędach. Tymczasem pozostałe trudno było nawet policzyć.

Kiedy Czerniec przywołał do siebie zawodników, podniósł się rwetes. Przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie, patrząc sobie prosto w oczy.

Eliza nie mogła uwierzyć, że to już. Mimo że od momentu podjęcia decyzji do samej walki minął tydzień, miała wrażenie, jakby te dwa momenty dzieliła cała wieczność. Tyle się wydarzyło, tyle myśli kotłowało jej się w głowie, że rzeczywistość zdawała się zachwiać.

– Słyszałam, że miał jakieś przejścia – odezwała się Salomea.

Zarzeczną kusilo, by zapytać, gdzie powzięła takie informacje, ale nie miała zamiaru dawać jej powodów do niepokoju. Chciała, by to, co ją czekało, było zupełnie niespodziewane.

– Miał.

– Co się wydarzyło?

– A ile wiesz?

– Tyle, ile mówią na mieście – odparła cicho Salomea. – Że była jakaś bijatyka, mocno oberwał. Że powinien się wycofać, bo mocno go raniono. Ale jak tak na niego patrzę, nie widzę żadnych obrażeń.

I właśnie o to chodziło Trawickiemu, skwitowała w duchu Zarieczna. A może także Salomei. Może to nawet ona zaplanowała cały ten wybieg? Szymon miał stanowczo za mało finezji.

– Niektórzy mówią, że sam Wołyniak rozpuszczał takie plotki.

Eliza zgromiła ją wzrokiem.

– Nie było tak?

– Nie.

– Podobno miał obawiać się o rezultat, dlatego próbował...

– Powiedziałam ci, że to nieprawda.

Salomea spuściła wzrok, a Zarieczna przez chwilę jej się przyglądała. Nie mogła uwierzyć, jak niewiele było trzeba, by oszukać nie tylko ją, ale także doświadczonych policjantów. Wystarczyło zbudować fasadę nieśmiałości i niepewności. Nikt nawet nie pomyślał o tym, by je kwestionować.

– Zaczynają – mruknęła córka Hertza.

Eliza spojrzała przed siebie. Przeciwnicy zderzyli się rękawicami, odskoczyli od siebie, a potem rozległ się gong. Arbiter natychmiast się odsunął, a sekundanci w narożnikach się ożywili, wykrzykując coś pod adresem zawodników. W ogólnym tumulcie nie sposób było wyłowić ich słów.

Ernest i Trawicki krążyli wokół ringu. Obaj unosili rękawice, żaden się nie odzywał.

Zarieczna uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech. Wypuściła powietrze, starając się opanować. Serce waliło jej tak mocno, że miała wrażenie, jakby biegła sprintem. Pożałowała, że przyszła tutaj tak wcześnie, że zajęła miejsce tuż przy ringu. Znacznie

lepiej byłoby gdzieś z tyłu, skąd nie byłoby nic widać.

– Długo będą tak tańczyć? – krzyknął ktoś z za jej pleców.

– Do roboty!

Rozległy się kolejne nawoływania, oklaski i gwizdy. Z całego tego rwetesu trudno było wyłowić nazwisko, które pojawiało się na ustach zebranych najczęściej. Raz Zarzeczna miała wrażenie, że większość kibicuje Wilmańskiemu, raz, że jest wręcz przeciwnie.

Ostatecznie wszystko z pewnością sprowadzi się do tego, kto zapewni publiczności lepsze widowisko.

– Widziałaś zakłady? – odezwała się Salomea.

Przeciwnicy nadal krążyli po ringu. Teraz jednak Trawicki zaczął ruchem ręki zachęcać oponenta, by ten na niego ruszył.

– Nie widziałam.

– Obstawiają od rana.

Eliza nie odpowiedziała. Obserwowała pracę nóg Wilmańskiego i zauważyła, że stara się poruszać spokojnie, nie wykonywać nerwowych zrywów. Na zachętę przeciwnika odpowiedział, robiąc krok w przód, a Szymon natychmiast się cofnął.

– Nie chcesz wiedzieć, na kogo stawiają?

– Nie.

– To powiem ci tylko, że jeśli Wilmański wygra, jego zwolennicy się obłowią.

Nie dziwiła się takiemu stanowi rzeczy. Sympatie sympatiami, ale wystarczyło popatrzeć na muskulaturę obydwu, by wiedzieć, że to Trawicki ma większe szanse w tym starciu.

Pozory, powtórzyła w duchu Eliza. To wszystko tylko pozory.

Powinna zaufać Ernestowi. Odbył kilkanaście, może kilkadziesiąt takich starć, znał się na rzeczy i bynajmniej nie był samobójcą. Skoro stawał do walki, musiał naprawdę wierzyć w to, że uda mu się wygrać. A ona powinna wierzyć jemu.

Nabrała głęboko tchu i nieco się uspokoiła.

Przynajmniej do czasu, aż Szymon ruszył na Wilmańskiego z furią w oczach.



# Rozdział osiemnasty

Spodiewając się ataku, Wilmański nie miał problemu z uchyleniem się przed kilkoma pierwszymi ciosami. Wiedział, że prędzej czy później przeciwnik będzie próbował przejąć inicjatywę, wystarczyło cierpliwie poczekać.

Uniknął sprawnie lewego sierpowego i prawego prostego, a potem okręcił się wokół Trawickiego i przywalił mu z całej siły w żebra. Cios nie był dotkliwy, ale był pierwszym celnym uderzeniem w starciu. Miał walor psychologiczny.

Publiczność ryknęła z zadowoleniem. Wszyscy zrozumieli, że walka dopiero teraz się rozpoczęła.

Szymon zareagował natychmiast. Zanim Ernest zdążył wyprowadzić kolejny atak, przeciwnik obrócił się, jednocześnie biorąc zamach. Rękawica znów przecięła powietrze, nie sięgając celu.

Wilmański wiedział, że od początku będzie balansował na granicy. Różnica między uniknięciem ciosu a nokautem sprowadzać się będzie przy każdym ciosie do kilku centymetrów.

Pilnował nóg. Skupiał się właściwie wyłącznie na nich, robiąc małe kroki, pozostając cały czas w ruchu.

Szymon ruszył na niego bardziej zdecydowanie. Wyprowadzał uderzenie za uderzeniem, każde tak potężne, że niechybnie zamroczyłoby Ernesta, gdyby sięgnęło celu. Wilmański jednak skutecznie ich unikał.

Szybko podniósł się sprzeciw publiczności. Nikomu nie podobał się kierunek, w którym zmierzała walka. Liczyli na krwawą jatkę, bój na życie i śmierć, a nie defensywne zachowanie jednego z zawodników.

– O to chodzi, Ernest! – krzyknął z narożnika Frojm. – O to chodzi!

Wilmański starał się skupić na jego głosie. Jeszcze kilka lat temu być może dałby się ponieść emocjom. Na fali dzikiego entuzjazmu tłumu pozęgłowałoby tak, jak podpowiadała mu to natura.

Teraz się jednak pilnował. Skupiał się na pracy nóg.

Trawicki wyprowadzał cios za ciosem, męcząc się coraz bardziej. Każdy atak był sygnalizowany, nic nie zaskoczyło Ernesta. Wiedział, że jeśli tak dalej pójdzie, przeciwnik szybko opadnie z sił, a wówczas wystarczy, by raz dobrze przymierzyć. Na nokaut od razu nie było co liczyć, ale dobre pierwsze uderzenie i kilka szybkich, celnych poprawek mogło okazać się kluczowe.

Oponent pocił się coraz bardziej, jego oddech stopniowo przyspieszał. Najważniejsze było jednak to, czego nie sposób było dostrzec. Szymon tracił cierpliwość. Stawał się rozdrażniony, coraz mniej uważny, a jednocześnie coraz pewniejszy siebie.

Czuł, że ma przeciwnika w potrzasku, że zupełnie zepchnął go do defensywy. Jego sekundant krzyczał, by nie tracił koncentracji, ale Ernest przypuszczał, że słowa przepadają gdzieś w furii Trawickiego.

Po chwili Ernest poczuł, że po jego ciele również spływają krople potu. Zaczynał



tracić siły szybciej, niż sądził. W porę jednak rozbrzmiał gong wieszczący koniec pierwszej rundy.

Arbiter wyszedł na środek, przeciwnicy odeszli do swoich narożników.

– Jest świetnie – odezwał się Ajchenbaum.

– Niezupełnie...

– Robisz dokładnie to, co powinienes. Nie przejmuj się buczeniem.

Nawet nie wiedział, że publiczność zaczęła buczeć. Nie interesowało go to. Frojm podał mu ręcznik, a potem przyjrzał się szwom na głowie podopiecznego.

– Wszystko trzyma – powiedział.

– Bo jeszcze mnie nie trafił.

– I nie trafi, jeśli będziesz się pilnował tak, jak do tej pory.

– W końcu muszę zaryzykować. Muszę zaatakować.

– Owszem. Ale będzie już wtedy słaby jak mucha. Spójrz, ile sił stracił.

Wilmański podniósł wzrok i spojrzał na przeciwnika. Oddychał ciężko, opierając ręce na kolanach. Sekundant wyraźnie go rugał, a ten tylko kiwał głową. Ignorował wzrok Ernesta.

– Ja też szybko słabnę, Frojm.

Żyd nie odpowiedział. Kiedy Wilmański obejrzał się przez ramię, zobaczył, że mężczyzna bynajmniej nie jest zaskoczony.

– Dasz radę.

– Aż tak źle wyglądam?

Ajchenbaum wzruszył ramionami.

– Jesteś trochę blady. Ale widywałem zawodników w gorszym stanie, którzy wygrywali. Napij się.

Nabrał chochlą wodę z niewielkiego wiaderka i podsunął mu pod usta. Potem polał go po karku, poklepał po plecach i zapewnił, że wszystko jest w najlepszym porządku. Przez ostatni tydzień Ernest zdążył poznać go na tyle dobrze, by wiedzieć, że to wierutna bzdura. Teraz jednak zadanie sekundanta było diametralnie inne niż podczas przygotowań. Teraz miał zakłamywać rzeczywistość.

– Do boju – rzucił Frojm, kiedy ponownie wezwano zawodników. – Twoja dama patrzy.

Ernest spojrzał w stronę Zarzecznej. Nietrudno było ją wyłowić wzrokiem, jako jedyna bowiem nie skandowała, nie gestykulowała, nie krzyczała. Trwała w bezruchu, jakby znajdowała się w oku cyklonu.

Posłała mu niewyraźny uśmiech, unosząc rękę do piersi.

– Runda druga! – oznajmił arbiter i cofnął się.

Zawodnicy znów zaczęli się okrażać. Wilmański przypuszczał, że musi minąć trochę czasu, nim oponent zapomni o wszystkim, co przed momentem usłyszał od sekundanta i jego porywczą naturą na powrót weźmie górę nad strategią.

Cierpliwość. Spokój. A ostatecznie szybkość w kluczowym momencie.

Te trzy elementy zdaniem Ernesta składały się na sukces. Obserwował przeciwnika i wiedział, że prędzej czy później przyjdzie moment, że ten się odsłoni. Będzie to trwało tylko chwilę, ale Wilmański natychmiast skorzysta z okazji. Zamarkuje kilka ciosów,

wyprowadzi parę celnych i osiągnie to, co było rezultatem wszystkich trzech elementów – dezorientację przeciwnika.

Potem wszystko pójdzie łatwo. Musiał tylko wytrwać do tego jednego, kluczowego momentu. Pozwolić Trawickiemu robić to, co mu się żywnie podobało, samemu się nie odsłaniając.

Tym razem jednak Szymon zwlekał z atakiem.

– Skończcie z tymi tańcami! – krzyknął ktoś z widowni.

Trawicki spojrział w kierunku mężczyzny, ale w jego oczach próżno było szukać złości. Nagle zatrzymał się. Opuścił rękawice, przez moment się nie ruszał, a potem rozłożył szeroko ręce.

– Ma rację – powiedział.

Wilmański stał z uniesioną gardą.

– Zaatakujesz w końcu? – spytał Szymon na tyle głośno, by choć pierwszy rząd go usłyszał. – Czy będziesz się bronił przez cały wieczór, licząc na to, że opadnę z sił?

Ernest się nie odzywał. Nie było sensu wdawać się w słowne przepychanki, nawet jeśli był to tylko amatorski pojedynek, niemający wiele wspólnego z tym, jak walczyło się na deskach prawdziwych ringów.

Nie miał także zamiaru dać się sprowokować. Zrobił wyrok w kierunku przeciwnika, by sprawdzić, jak szybko ten zareaguje, ale Trawicki ani drgnął.

– Daj spokój – syknął. – Te podchody niczemu nie służą. Tłum zaraz nas zlincuje.

Trudno było się z tym nie zgodzić. Buczenie znów stawało się coraz głośniejsze, pojawiły się też pierwsze zaciśnięte pięści wyrzucane w górę. Ci z zebranych, którzy już popili, odgrazali się, że zaraz sami wejdą na ring.

Ernest zrobił kolejny wyrok, tym razem biorąc przy tym niewielki zamach. I tym razem jednak nie doczekał się żadnej reakcji ze strony przeciwnika. Przemknęło mu przez głowę, że jeśli umiejętnie by to rozegrał, być może udałoby mu się za trzecim razem go zmylić. Udać, że po raz kolejny markuje cios, a w ostatniej chwili rzeczywiście uderzyć.

Kłopot polegał na tym, że wciąż znajdowali się dość daleko od siebie. Nie wiedział, czy jego stan pozwoliłby mu na błyskawiczną zmianę zwykłej zmyłki w celny cios.

Perspektywa była jednak kusząca.

– Taka okazja już się nie powtórzy, Wołyniaku.

Cierpliwość. Spokój. Szybkość w kluczowym momencie.

Wilmański powtórzył to w głowie, napominając się, że na długo przed walką postanowił nie poddawać się pospiesznej pogoni za zwycięstwem. Napięcie sięgało zenitu i czuł, że musi je rozładować, przechodząc w końcu do ofensywy, ale wiedział, że tak będzie. Przygotował się na to.

Trawicki w końcu westchnął i teatralnie odwrócił się do przeciwnika plecami.

– Wołyniak pomylił sceny! – krzyknął. – Powinien trafić do „Momusa”!

Rozległ się głośny rechot, choć Wilmański przypuszczał, że niewielu zebranych zna kabaret wystawiający swoje spektakle na niewielkiej scenie przy Wierzbowej. Wraz z wybuchem śmiechu posypały się obelgi pod adresem Ernesta. Tego także się spodziewał.

Trudno było się łudzić, że defensywna taktyka przyniesie mu sympatię tłumu.

– Wracaj do Wilna, tchórze! – krzyknął ktoś.

– Ściągnij te rękawice! I tak ci niepotrzebne!

Kolejni zaczęli dopominać się, by oddał zwycięstwo walkowerem.

– Wpuście tam kogoś, kto nie boi się bić!

Trawicki odwrócił się do przeciwnika, a potem uniósł gardę i zaczął truchtać.

– To jak będzie, Wołyniaku? – rzucił. – Pokażesz, na co cię stać?

Ernest usłyszał, jak ktoś za jego plecami stara się przekonać rozmówcę, że na wschodzie Wilmański naprawdę był pięściarzem.

– Bzdura – odparł mężczyzna. – Co najwyżej przed kurami uciekał. Popatrz na niego. Sam bym sobie lepiej dał radę.

Zawodnicy znów zaczęli się okrażać.

– Może to już nie ten wiek? – odezwał się Szymon. – Może gdybyśmy spotkali się na ringu dwa–trzy lata temu, znalazłbyś w sobie choć trochę odwagi? Jakies resztki?

Ernest nadal nie odpowiadał. Dwa–trzy lata temu nie pozwoliłby, żeby takie pytania pozostały bez odpowiedzi. Właściwie jeszcze wczoraj rano by na to nie pozwolił.

Emocje w nim wzbierały, ale czuł także, że z każdą chwilą słabnie coraz bardziej. I to właśnie ta ostatnia rzecz sprawiała, że udawało mu się utrzymać nerwy na wodzy. Jednocześnie nie nastrajało go to zbyt optymistycznie.

Zaczął odczuwać presję czasu.

– Jak chcesz – dodał Trawicki. – Ja nie mam zamiaru dłużej czekać.

Ruszył na niego, zachęcany przez publiczność. Zdawał się niesiony ich nawoływaniami, pławił się w nich. Ernest odniósł wrażenie, że w całej hali znajduje się tylko jedna osoba, która nadal mu kibicuje.

Zaręczona przyglądała się temu wszystkiemu z coraz większym niepokojem. Zerknął na nią tylko na chwilę, a potem odskoczył, by uniknąć ciosu. Kolejny przyjął na rękawice, zamarkował ucieczkę w prawo, po czym zmienił kierunek.

Następne uderzenie go nie dosięgnęło. Wilmański wyczuł jednak okazję, by zaatakować. Przeciwnik odsłonił jedną stronę, więc Ernest natychmiast wyprowadził lewy z dołu na tułów.

Rękawica sięgnęła celu, Trawicki jęknął i wygiął się w bok. Szybko jednak odwrócił się przodem do Wilmańskiego i ten nie miał okazji, by kontynuować. Liczyło się jednak to, że udało mu się podrażnić oponenta. Gdyby walczyli na punkty, a nie do nokautu, z pewnością mógłby liczyć na korzystny werdykt.

Uchylił się od kilku innych ciosów, jeden przyjął na gardę, a przed gongiem ostatni trafił go w tułów. Nie było żadnego niebezpieczeństwa, że sięgnie głowy, ale wydawało mu się, że usłyszał jęknięcie Elizy.

Potem obaj wrócili do swoich narożników. Frojm otarł mu czoło.

– Pocisz się coraz bardziej.

Wilmański spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– Próbujesz powiedzieć mi, żebym się pospieszył?

– Nie. Rób, co robisz. Wytrzymaj jeszcze rundę, może dwie. Trawicki zaczyna sobie folgować, czuje się coraz pewniej. Jeszcze trochę, a dostaniesz swoją szansę.

Ernest miał wrażenie, że krople potu nie przestają ściekać mu z włosów do oczu. W hali zrobiło się parno – jeszcze przed chwilą w powietrzu unosiła się lekka stęchlizna, teraz na dobre zadomowił się w niej odór potu. Wyziewy alkoholowe w zamkniętym pomieszczeniu także zrobiły swoje.

Wilmański wbił wzrok w dym unoszący się nad grupą mężczyzn po lewej stronie. Kopili jednego gnieciucha za drugim, ale mgiełka osiadała wysoko nad ringiem.

Wszystko to w połączeniu z nieustającym gwarem sprawiało, że hala jakby się zmniejszyła. Wywołało to u Ernesta ból głowy. Znow zaczął widzieć niewyraźnie, a okrzyki dochodzące z publiczności stały się niezrozumiałe. Zamrugał kilkakrotnie.

– Wszystko w porządku?

– Tak – odparł pewnie Wilmański. – Po prostu trochę gorzej widzę.

– Nie musisz dobrze widzieć, żeby dostrzec okazję – odparł Frojm, przesuwając rękami po karku. – Zwróć uwagę na jego prawe. Są mocne, szybkie, zdecydowane, ale trochę czasu zajmuje mu powrót do pozycji obronnej. Wykorzystaj prawy podbródkowy jako kontrę.

– Mhm.

– Szybki skręt, wyprost nóg, grzmot. Nie zapomnij tylko lewą ręką chronić głowy.

– Nie zapomnę.

– Wiesz, że jedno jego uderzenie może...

Urwał, kiedy Ernest zgromił go wzrokiem. Jeśli czegoś podczas tej walki nie trzeba mu było przypominać, to właśnie tego, jak niewiele trzeba, by ją przegrał.



# Rozdział dziewiętnasty

Rozległ się gong rozpoczynający czwartą rundę. W poprzedniej żadnemu z zawodników nie udało się przełamać *status quo*. Wciąż tańczyli swój taniec, jakby wcześniej ustalili wszystkie kroki.

Wilmański miał jedną okazję, ale w ostatniej chwili z niej zrezygnował, obawiając się, że jest podpuszczany. Tak było. I gdyby skorzystał z szansy, teraz leżałby na deskach.

Najwyraźniej było to jedno z ostatnich racjonalnych, przemyślanych zagrań Trawickiego. Od początku czwartej rundy postanowił pójść na całość. Atakował z każdej strony, z dołu, prostymi i sierpowymi.

Większość ciosów Wilmański przyjmował na gardę. Nie był w stanie dłużej się uchylać, a ilekroć to robił, kręciło mu się w głowie. Krzyki zebranych przerodziły się w jeden ciągły, głośny szum.

Wiedział, że to nie potrwa już długo.

Gdyby walczyli w normalnych okolicznościach, Ernest miałby w zapasie nadto sił, podczas gdy jego przeciwnik znajdowałby się na drugim końcu skali. Teraz jednak był tak samo wycieńczony jak Szymon.

Mimo to Trawicki wyprowadzał kolejne ciosy z równie wielkim animuszem, jak na początku – różnica sprowadzała się do tego, że jego ręce coraz wolniej wracały do pozycji wyjściowej. Coraz gorzej pracował w defensywie. Po jednym z lewych prostych w końcu dał Wilmańskiemu to, na co ten czekał.

Prawa ręka osłaniała wprawdzie brodę, ale łokieć nie znajdował się w odpowiednim miejscu. Szymon odsłonił tułów.

Ernest natychmiast z tego skorzystał, wkładając w uderzenie wszystkie siły. Wiedział, że będzie kluczowe.

I nie pomylił się.

Cios był szybki, mocny i dezorientujący. Nie na tyle, by sam w sobie przechylił szalę na korzyść Wilmańskiego, ale stanowił idealny początek. Zaraz po nim Ernest zamarkował parę kolejnych uderzeń, tworząc luki w obronie przeciwnika. Balansował ciałem, mylił Trawickiego, atakował z przeciwnogi. Czuł, że ma inicjatywę – i że realizuje dokładnie to, co sobie zaplanował.

W końcu ciosami lewej ręki otworzył gardę Szymona.

Przebił się przez nią prawym prostym z wykrokiem, trafiając prosto w głowę. Nie miał wiele siły, ale przeniesienie ciężaru ciała zrobiło swoje. Trawicki cofnął się, natychmiast zasłaniając się rękoma.

Wilmański zalał jego tułów falą kolejnych ciosów. Kiedy przeciwnik machinalnie chciał się przed nimi osłonić, Ernest wyprowadził lewy prosty. Znów celnie. Poprawił kolejnym uderzeniem, a potem zaczął młócić, jakby wstąpiły w niego siły piekielne.

Wydawało mu się, że uderza bez końca. Krew trysnęła z nosa i ust Szymona, kiedy ten wycofywał się w kierunku lin. Padł na nie plecami, odbił się, a potem musiał

przyjąc kolejną kanonadę uderzeń.

Wilmański bił bez opamiętania. Nie dostrzegał rozcięć, które wykwitwały jedno po drugim na twarzy oponenta. Nie słyszał jego jęków ani rozentuzjasmowanych krzyków publiczności. Nie odnotował nawet momentu, w którym powieki Trawickiego się zamknęły.

Przegapił też gong, który wieszczył koniec rundy.

Wróciwszy do swojego narożnika, sapał głośno. Słyszał, że Frojm coś do niego mówi, ale nie miało to żadnego znaczenia. Nawet nie próbował go zrozumieć. Dyszał, patrząc spode łba na Trawickiego.

Ten z trudem utrzymywał się na krześle. Nie mógł równo usiedzieć, co dopiero mówić o staniu lub skutecznym prowadzeniu dalszej walki.

– Słyszysz? – zapytał Frojm.

Wilmański nie miał pojęcia, co sekundant mówił. Zignorował to. Rozległ się dźwięk zapowiadający kolejną, bez wątpienia ostatnią już rundę. Ernest poderwał się na równe nogi i zupełnie nie przejmując się zamgloną wizją, ruszył przed siebie.

Grzmotnął od razu, nie markując nawet wcześniej uderzenia. Trafił prosto w nos przeciwnika, coś gruchnęło, a krew popłynęła jeszcze większym strumieniem. Trawicki zatoczył się w bok, kaszlnął i machnął ręką na oślep.

Wilmański wziął szeroki zamach, nie fatygując się już nawet o to, by drugą ręką osłaniać głowę.

Był to jego największy błąd.

Trawicki skorzystał w ostatniej chwili. Przyjął kolejny, potężny cios na przedramię, a potem obrócił się gwałtownie i uderzył przeciwnika w ciemię.

Ernestowi zahuczało w głowie, jakby tuż obok niego eksplodował ładunek wybuchowy. Przed oczami zrobiło mu się ciemno, a wszystkie dźwięki, jakie wypełniały halę, ustały. Wydawało mu się, że na moment znalazł się pod wodą.

Nogi momentalnie się pod nim ugięły i by nie upaść, musiał zarzucić ręce na ramiona przeciwnika. Uwiesił się na nim, jakby ten stanowił jego ostatnią deskę ratunku.

Było jednak wprost przeciwnie.

Trawicki przysunął usta do jego ucha. Dyszał ciężko, sam znajdował się na granicy wycieńczenia i zapewne także nie rejestrował wszystkiego, co się działo.

Wilmańskiemu zrobiło się niedobrze. Starał się utrzymać otwarte powieki, ale czuł, że jedno oko na dobre się zamknęło. Targnął nim odruch wymiotny, który zdołał zdusić w ostatniej chwili. Poczł jednak ohydny, kwaśny smak w przełyku.

– Zanim... zanim ją poturbowałem, zabawiłem się z nią porządnie... – wysapał mu do ucha Szymon.

Wilmański czuł, że się osuwa. Przeciwnik podtrzymał go, jakby próbował mu pomóc.

– Sporo umie... ta twoja mała dziwka...

Ernest pomyślał, że to nie może się tak skończyć. Nie może odejść w ten sposób. Słowa Trawickiego nie mogły być ostatnimi, które w życiu słyszy.

– Zerznąłem ją porządnie.

Wilmański starał się mocniej ścisnąć kark przeciwnika, ale brakowało mu sił.

– I zrobię to jeszcze raz... jak tylko dojdzie do siebie...

Szymon powiedział coś jeszcze, ale Ernest nic nie rozumiał. Próbował się odezwać, ale wyszedł z tego jedynie bełkot. Widział jeszcze tłum przez przymrużoną powiekę. Starął się wypatrzeć Elizę.

– Twoją drugą... dziwką... też się zajmę...

To usłyszał wyraźnie. Zbyt wyraźnie.

Zrozumiał, że walka się skończyła, a on przegrał. Trawicki mógł jeszcze go odepchnąć, a potem zadać ostatni cios. A może nawet nie musiał.

Ernest nie miał już żadnej możliwości. Żadnej, oprócz zakończenia tego w inny sposób.

Zmusił się, by mocniej objąć głowę przeciwnika i lekko ją przekręcić. Zanim Szymon zdążył zorientować się, co się dzieje, Wilmański uwiesił się na nim całym ciężarem ciała, starając się szarpnąć nim w bok.

Powiodło mu się. Obaj runęli na deski, a przekrzywiony, zakleszczony w rękach Ernesta kark wygiął się nienaturalnie.

Trawicki nie wydał z siebie nawet cichego jęku. Coś strzeliło.

To mógł być ostatni dźwięk, jaki Wilmański słyszał. Na to był gotów przystać.

Leżąc na deskach, uniósł lekko głowę, nie rozumiejąc do końca, co się z nim dzieje. Czuł się lekki, jakby ktoś zdjął z niego cały ciężar egzystencji. Popatrzył w kierunku Zarzecznej, która przepychała się ku niemu przez rząd wiwatującej gawiedzi. Złowił jeszcze jej spojrzenie, zanim głowa mu opadła.

Uderzył potylicą w deski.

Kiedy mrok stopniowo spowijał jego oczy, pomyślał jeszcze, że całe jego życie było jak czarna, bezgwiazdna noc. Jak czekanie na świt, który majaczył już gdzieś na horyzoncie, ale nigdy nie nadszedł.



# Posłowie

Długo zastanawiałem się nad tym, czy dopisać epilog. Ostatecznie doszedłem do wniosku, że – jak zawsze – historia będzie dalej, w moim i Twoim umyśle. Gdyby dane mi było przenieść się do międzywojennej Warszawy i znaleźć się na widowni w szkole wojskowej, zapewne następnego dnia poszedłbym na Powązki, odnalazł właściwą mogiłę, a potem zostawił przy niej swoje rękawiczki. Być może kilka osób też by się na to zdecydowało. Może byśmy się tam spotkali.

Pewne jest jedno – spotkaliśmy się w tej historii. Stworzyliśmy ją razem, bo pisanie i czytanie właśnie do tego zawsze się sprowadza. Pisarz tworzy ramy dla wyobraźni Czytelnika, ale to ona wypełnia je treścią i nadaje słowom kształt. Te dwie rzeczy to naprawdę najlepsze zajęcia, jakie ludzkość wymyśliła.

Dziękuję Ci więc za wspólne stworzenie kolejnej historii. I mam nadzieję, że przyjdzie nam razem tworzyć jeszcze nie raz.

# Nota historyczna

Bannicy ani Prałaci nie istnieli naprawdę. Stworzyłem ich na potrzeby książki, ale wydaje mi się, że nic nie stało na przeszkodzie, by istnieć mogli. Nie mamy pełnych informacji na temat przedwojennego półświatka warszawskiego – szczególnie jeśli chodzi o konkretne organizacje. Dzięki doniesieniom prasowym z tamtych czasów wiemy jednak trochę o tych, które przewijają się przez karty książki, a najwięcej materiałów dotyczy oczywiście Taty Tasiemki, czyli przywódcy bandy z Kercelaka. Nie tylko ona, ale także inne gangi, o których wspomniałem, grasowały naprawdę. Realnymi postaciami są także Łokietek (kontrolujący Nowy Port na Pradze), Pantaleon (postrach Kercelaka), czy wspomniany wileński gangster, bliski współpracownik Ala Capone, który krążył między Kresami a Chicago.

Bruderferajn w Wilnie upadło w sposób zbliżony do tego, który opisałem. Wprawdzie Eliza ani Wilmański nie maczali w tym palców, bo są jedynie wytworami naszej wyobraźni, ale Elka Gurewicz rzeczywiście został zamordowany na rozkaz Lichtsohna i Wójcika, w wyniku czego jego towarzysze dostarczyli policji materiałów pozwalających na skazanie przywódców mafii. Kiedy ci wyszli z więzienia w latach trzydziestych, doszło do krwawej walki o władzę. A tam gdzie dwóch się biło, trzeci skorzystał. Pod przywództwem owego trzeciego Bruderferajn przetrwało aż do wybuchu wojny.

Motyw z butami zostawionymi przez Elizę w bramie również zaczerpnąłem z prawdziwej historii. Zdarzyło się to w Warszawie i pozwoliło na skazanie Wiktora Zielińskiego, jednego z najbardziej znanych przedwojennych lipkarzy.

Policja kobieca rzeczywiście została powołana w latach dwudziestych, głównie przez naciski ze strony Ligi Narodów. Statystyki, które przytoczyłem w powieści, oddają realia, choć zwiększyłem nieco rolę tej formacji. W rzeczywistości policjantkom długo bowiem nie było dane rozpocząć działań operacyjnych.

Przestępcy w przedwojennej Warszawie działali prężnie, bo oprócz powodów, które pojawiają się na kartach książki, korzystali z poparcia politycznego. Tajemnicą poliszynela były ich związki z najbardziej prominentnymi politykami. A chyba najbardziej wymownym przykładem jest to, co się stało z Tatą Tasiemką.

Ten najśłynniejszy przedwojenny kryminalista z Kercelaka został miejskim radnym, zanim sąd skazał go na pozbawienie wolności. W apelacji wyrok zmniejszono. A ostatecznie Tasiemkę ułaskawił sam Prezydent RP.

# Podziękowania

Tym razem chciałbym zacząć od osób, o których wspomniałem w dedykacji. W miejsce tej książki w kalendarzu wydawniczym początkowo znajdowała się inna, stara i zakurzona powieść z szuflady, którą od dawna chciałem wydać. Zacząłem ją redagować, a właściwie przepisywać na nowo, ale podczas całego procesu towarzyszył mi pewien zgrzyt. Sam pewnie nie rozszyfrowałbym jego znaczenia, gdyby nie to, że pomogli mi w tym właśnie blogerzy książkowi. Zamknąłem tę powieść z powrotem w szufladzie i zasiadłem do pisania *Świtu, który nie nadejdzie*.

Dziękuję Wam więc w pierwszej kolejności. To, co robicie, ma znaczenie – nie tylko dla czytelników, którzy dzięki Wam wiedzą, po co sięgać, ale także dla autorów, którzy dzięki Wam wiedzą trochę lepiej, co wydawać.

Oprócz tego najserdeczniejsze podziękowania należą się mojej stałej ekipie wspierającej projekt pt. „Mróz pisze i na ten czas znika z rzeczywistego świata”:

- Dagmarze, której rady i opinii są dla mnie najcenniejsze;
- Rodzicom, którzy stanowią największe oparcie;
- zespołowi Czwartej Strony, dzięki któremu mogę robić to, co robię;
- Tobie, bo bez Czytelników wszystkie książki zamykałbym w szufladzie.

*Świt, który nie nadejdzie* to nie literatura faktu, a wiele przedstawionych w nim rzeczy stanowi wytwór mojej wyobraźni. Zainteresowanych tematem przedwojennej przestępczości chciałbym odesłać do kilku pozycji, przy okazji dziękując także ich autorom. W tym kontekście przede wszystkim warto wspomnieć o książce Moniki Piątkowskiej pt. *Życie przestępcze w przedwojennej Polsce. Grandesy, kasiarze, brylanty* oraz o *Szemranym towarzystwie niegdysiejszej Warszawy* Stanisława Milewskiego. Tym zaś, których zainteresował wymiar bardziej... cielesny, polecam pozycję Kamila Janickiego *Epoka hipokryzji. Seks i erotyka w przedwojennej Polsce*.

Nie sposób pominąć także źródeł internetowych, których przepastne bazy oferują właściwie wszystko, czego dusza zapagnie. Serwis przedwojennawarszawa.pl jest bogatszy niż niejedno muzeum, podobnie jest w przypadku portalu warszawa1939.pl. Znajdziemy na nich zdjęcia, filmy, mapy, teksty i wspomnienia, które mogą przenieść nas w tamten świat...

Tylko ostrożnie, bo jeśli zajdziemy w okolice „Mokradła”, może zrobić się niebezpiecznie...

*Opole, 16 lipca 2016 roku*

# Spis treści

## **Księga pierwsza**

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

## **Księga druga**

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

## **Księga trzecia**

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

**Posłowie**

**Nota historyczna**

**Podziękowania**